

JOHANNES MARIO
SIMMEL

ODPOWIE CI WIATR



•Książnica•

JOHANNES MARIO

SIMMEL

ODPOWIE CI WIATR

Przełożyła z niemieckiego

Irena T. Sławińska

Wydawnictwo „Książnica”

Tytuł oryginalu *Die Antwort kennt nur der Wind*

Opracowanie graficzne

Marek J. Piwko

© Droemersch Verlagsanstalt Th. Knaur Nachf.

München 1973

For the Polish edition

© by Wydawnictwo „Książnica”, Katowice 1995

ISBN 83-85348-23-9

Wydawnictwo „Książnica” sp. z o.o.

Katowice 1995

Wydanie pierwsze

Skład i łamanie:

Z.U. „Studio P” Katowice

Printed in Germany

Akcja tej powieści rozgrywa się głównie w Cannes i okolicy. Do miasta tego należą hotele, jachty, kasyna gry, sklepy, restauracje i wiele innych miejsc oraz krąg szacownych osób, które tam żyją i pracują. Uzyskałem od nich wyraźne przyzwolenie na posługiwanie się ich nazwiskami i zaangażowanie do działań fabularnych. Obok tego w mojej książce pojawia się drugi krąg osób, wymyślonych tak samo, jak cała fabuła. Jakikolwiek podobieństwo z rzeczywistymi faktami i instytucjami, szczególnie z kryzysami walutowymi, manipulacjami finansowymi i międzynarodowymi spółkami lub z osobami z tego drugiego kręgu – jest przypadkowe.

J. M. S.

Noc była ciemna bez gwiazd i księżycy,
W którą stronę byś spojrział, widzisz Arymana,
Niby waż czarny paszczękę otwiera.
Niebo – jak ugodzone morderczym żelazem –
Twarz ma – zda się – ukrytą pod kirem.
Wirujące niebiosy zastygły w bezruchu –
Rzekłbyś – śpią za tą żałobną zasłoną.
Księżycolica przyszła wtedy do ogrodu,
Przyniosła świecę, zapaliła lampę,
Noc ciemną w dzień świąteczny dla mnie zamieniła.
Rzekła – ze starych podań bajkę ci opowiem,
Posłuchaj baśni i niech rośnie miłość.

*Według Ferdousiego,
perskiego poety (939 -1020)
przełożyła Maria Składankowa*

PROLOG

1.

Chłopak zakręcił nad głową długim końcem liny, a stary pochwycił ją zrećnie i wybierał. Składak, do którego ów chłopiec pomógł mi i Angeli zejść z jachtu, kołysał się teraz łagodnie na fali, dryfując ku schodom wykutym w skałach południowo-zachodniego nabrzeża Cap d'Antibes. Starzec stał na stopniu już obmywanym przez wodę. Morze było tutaj ciemnoszafirowe, lecz tak przejrzyste, iż widziałem dno, a na nim wszystkie odłamki skalne, każdą roślinę. I roje maleńkich rybek czmychających na boki, które były jak igły, jak setki igieł.

Stary przyciągnął łódkę do schodów. W jasnych lnianych spodniach boso brodził z zamoczonymi nogawkami w wodzie. Nosił mocno wypłowiałą beżową koszulę, na głowie płaski kapelusz z szerokim rondem. Życie nie oszczędzało go chyba, był zgarbiony i sterany wiekiem. Jego dłonie pokrywały grube sploty żył, płaskie paznokcie były połamane, skóra na stopach, ramionach, rękach i twarzy przypominała kruchy pergamin. Chyba od dziecka spędzał całe dni na słońcu, wietrze i nad wodą. Miał przyjazną twarz, mimo ostro rysujących się kości policzkowych, i uśmiechał się do nas, ale tylko oczami, które były tak samo szafirowe jak morze. Zacisnął mocno usta, pochłonięty całkowicie wybieraniem liny i tym, żeby składak utrzymać w stanie równowagi. Był na pewno bardzo stary, lecz ciągle jeszcze pracował. Zachował jednak jasne i przenikliwe spojrzenie.

Chłopiec zwinnie i szybko dostał się na schody. Nazywał się Pierre i był drugim majtkiem na jachcie zakotwiczonym teraz na morzu. Odziany w białe spodnie i białą koszulę, chodził boso, jak my wszyscy tutaj. Mógł mieć dwadzieścia jeden lat. Kapitan zaś, mający na imię Max, liczył sobie osiemdziesiąt dwa. Pierre znał się ze starym, mówili sobie po imieniu.

Podąłem chłopakowi buty Angeli i swoje i stanąłem w łodzi, Pierre schwycił mnie za rękę i zeskoczyłem na ląd. Potem podąłem dłoń Angeli i ona również znalazła się na brzegu.

- *Bonjour*, madame – odezwał się stary człowiek – *bonjour*, monsieur. Piękny mamy dzisiaj dzień, prawda?
- A tak – odparłem – bardzo piękny.
- Ale i gorący – dodał stary.

– O, tak – zgodziłem się. – Wyjątkowo gorący.

Mówiliśmy po francusku, stary z jakimś szczególnym akcentem, który zwrócił uwagę Angeli. – Pan jest chyba z Marsylii?

– Z Marsylii, madame, rzeczywiście – potwierdził. Teraz gdy Pierre odebrał od niego linę i wrócił do składaka, uśmiechał się już nie tylko oczami, ale i ustami. Odsonił pięknie wykonaną protezę o idealnie równych zębach, które zaślniły w słońcu. Sięgnąłem do kieszeni po dziesięciofrankówkę, stary to zobaczył. – Niech pan da spokój, monsieur – rzekł. – Na pewno będziecie wracać. Jeśli pan wówczas będzie łaskaw... Ale to naprawdę niepotrzebne.

– Oczywiście, że potrzebne – wtrąciła się Angela. – Wszyscy musimy z czegoś żyć. Jak długo pan tutaj pracuje?

– Od świtu do północy, madame. A często i dłużej. Stale ktoś tu przyjeżdża i często wraca dopiero późną nocą. Śpię, o, tam, w tej zielonej chatce.

Między kolczastymi zaroślami i wysoką trawą stały małe, liche drewniane bungalowy. Słyszałem, że owe domki wynajmowano parom, które chciały miło spędzić czas. Par nigdy nie brakowało, wolnych chat prawie zawsze, ale chyba stary jedną z nich posiadał na własność.

– Czasem to i tutaj się zdrzemnę za dnia, kiedy słońce bardzo pali – powiedział z ledwie widocznym błyskiem w oku. – W upał nie należy pić, ale niekiedy, wie pani, czuję się niespecjalnie i pozwalam sobie na łyk albo dwa, a potem śpię, dopóki mnie nie zawołają.

– Co pan pije? – zainteresowała się Angela.

– Piwo – odparł starzec. – To dobra rzecz.

– O tak – przyznała Angela i mrugnawszy porozumiewawczo, uśmiechnęła się do niego. Tymczasem Pierre uruchomił silnik, łódź zatoczyła wielki łuk, znaczone śladem wysokiej fali, i popędziła w stronę jachtu. Pierre miał przewieźć teraz Trabaudów i ich psa, bo nie pomieścilibyśmy się wszyscy w składaku. Do Trabaudów właśnie należał ten jacht, nazywający się „Shalimar”.

Angela włożyła buty, ja zrobiłem to samo i spojrzałem na zegarek. Była za dwadzieścia druga – została mi zatem jeszcze godzina i jednaście minut życia.

– Co pan robił w Marsylii? – zainteresowała się Angela.

– Mieszkałem tam z żoną. Ale jako kapitan frachtowca stale byłem poza domem, nieraz miesiącami. Thérèse nie pochodziła z Marsylii, przyjechała z północy, z Limoges, mimo to czuła się tutaj dobrze, przynajmniej na początku. – Był gadatliwy jak wszyscy starzy mężczyźni. – Moja żona była bardzo ładna, ale cóż, dużo młodsza ode mnie. Kiedyś po powrocie z rejsu nie zastałem jej w domu. Zostawiła mi list. – Wyłowił z morza butelkę piwa na długim sznurku, otworzył ją, otarł wierzchem dłoni szyjkę i podał zdobycz Angeli. – Spróbuje pani?

- W taki upał? – zdziwiła się.
- A pan?
- Ja także dziękuję – rzekłem.

Przytknął butelkę do ust i dobrze z niej pociągnął. Tuż pod nami białe fale z bulgotem obijały się o stopnie schodów. – Wiecie państwo, to był hodowca mimoz z Grosse. Znałem go. Bardzo dobrze się prezentował. Miał tyle lat co Thérèse. W liście napisała mi, że kocha tego człowieka, a on ją, i że muszę jej przebaczyć.

– I pan przebaczył? – spytała Angela.

– Byłem przecież dużo starszy od niej... – to rzekłszy, stary ponownie zanurzył butelkę w morzu.

Angela wpatrywała się weń nieruchomym wzrokiem.

– A może nie? – spytał. – Może nie powinienem być jej przebaczyć?

Angela ciągle widziała tylko jego.

– No, dobrze – wyznał stary. – Nigdy jej nie przebaczyłem. I nigdy nie przebaczę. Nienawidzę jej.

– Nieprawda – zaoponowała. – Gdyby to była nienawiść, dawno by jej pan przebaczył i zapomniał o niej.

– Madame – powiedział – nikt jeszcze ze mną nie rozmawiał w ten sposób. To prawda, żony nigdy nie nienawidziłem, zawsze ją kochałem. Kocham ją do dzisiaj, chociaż nawet nie wiem, czy jeszcze żyje, czy umarła. Ale to już nie ma żadnego znaczenia, prawda?

– Żadnego – przyznała Angela.

– Monsieur, gratuluję panu – rzekł stary. – Ta pani ma wielkie serce i jasny rozum. Wspaniała kobieta. (*Une chic femme* – tak powiedział).

Angela, wciąż się uśmiechając, spojrzała teraz na mnie i ścisnęła moją dłoń. Kiedy się uśmiechała, w zewnętrznych kącikach jej oczu tworzyły się drobniutkie, delikatne zmarszczki.

– Wtedy zacząłem pić – zwierzał się dalej. – Przez długi czas wszystko układało się bardzo dobrze. Potem spotkało mnie nieszczęście. Na morzu. Straciłem patent. Przestałem na zawsze być kapitanem. Zabroniono mi nawet wchodzić na statek.

– Jakie to straszne – westchnęła współczująco Angela.

– Nie tak straszne jak to, co wydarzyło się później. Człowiek może imać się różnych zajęć. Pracowałem wzdłuż całej zatoki, od Marsylii po Mentonę. Potem, gdy już nie nadawałem się do ciężkiej pracy, znalazłem sobie lżejszą, a ostatnio właśnie tę. Jestem tu bardzo szczęśliwy, mam przyjaciół na Cap d'Antibes. Tylko gdy myślę o Thérèse...

- Rozumiem – rzekła Angela.
- Nie, już o niej nie myślę. Nigdy już o niej nie myślę. Tak jest od lat. – Usiadł na stopniu i patrzył na swoje popękane, wielkie dłonie.

Angela odciągnęła mnie na bok.

- Chodź – powiedziała. – Teraz już nie wie, że tu jesteśmy. Jest ze swoją Thérèse. – W dali usłyszałem bicie zegara na wieży kościelnej. Był kwadrans przed drugą. – Musimy się śpieszyć – ponagliła Angela.

– Tak – zgodziłem się.

Szliśmy razem schodami w górę. Prowadziły do ścieżki, która łączyła przystań z restauracją „Eden Roc” należącą do hotelu „Du Cap”. Do przebycia pozostało tylko paręset metrów. Widziałem ludzi opalających się na skalnych tarasach poniżej restauracji, dostrzegłem Liz Taylor z Richardem Burtonem, hiszpańskiego kandydata do tronu, Juana Carlosa, i żyjącego na emigracji króla Grecji z żoną, i wielu książąt, księżne, hrabiów i baronów, siedzących za stołem amerykańskich potentatów stalowych, i Curda Jürgensa, Henry’ego Kissingera i Beguma, i wielu innych, spotykanych w „Eden Roc”, gdzie przesiadywali przy aperitifach. Uświadomiłem sobie nagle, że chyba musiałem zwariować, żądając, by ze względu na tych bardzo bogatych i sławnych ludzi, którzy tutaj się zbierali, moje spotkanie z umówionym człowiekiem odbyło się właśnie w „Eden Roc”. I gdyby nie Angela, która dotrzymywała mi kroku, w przyływie nagłego strachu zrezygnowałbym z planu i uciekł z tego miejsca, nie wiem tylko dokąd, bo nie było już dla mnie ratunku po tym wszystkim, co się stało i co zrobiłem. Ale ona była przy mnie, ścisnęła moją dłoń, szedłem więc dalej ścieżką wzdłuż błękitnego morza, pod błękitnym niebem, pomiędzy drzewami pomarańcz i cytryn, pomiędzy piniami, palmami, sosnami i eukaliptusami, pomiędzy różami, goździkami i skłębionymi zaroślami obsypanymi złocistożółtym kwieciami, którego nazwy nie znałem. Szedłem szybko i ze zdumieniem stwierdziłem, że lewa noga wcale mnie nie boli. Dlaczego teraz nie boli? Bolała przecież na pokładzie „Shalimara”. Czy to z powodu zdennerwowania? A może wszystko jest pomyłką i uda mi się z tego wyjść cało? Nie, mówiłem sobie, to niemożliwe. Musisz wierzyć doktorowi Joubertowi ze szpitala Broussailles. To znakomity lekarz, a ty chciałeś usłyszeć prawdę. Znasz ją teraz, musisz się więc z nią pogodzić. Wiesz, mój stary, mówiłem do siebie, to ciężar nad siły, ale na pewno wytrzymasz. Dlatego przecież tutaj jesteś.

– A oto Marcel – zwróciłem się do Angeli.

– Rzeczywiście – odpowiedziała. Rozmawialiśmy ze sobą po niemiecku, chociaż Angela Delpierre była Francuzką, a ja językiem francuskim posługiwałem

się swobodnie. Mówiła płynnie, choć z lekkim obcym akcentem. – Boli cię noga?

– Nie. – To było kłamstwo, gdyż teraz wreszcie, prawie z ulgą, poczułem znowu przeciągły ból, który tak dobrze znałem. Więc jednak, pomyślałem. – Nie – powtórzyłem – w ogóle nie boli, Angelo. Muszę temu staremu koniecznie dać dziesiątkę.

Zatrzymała się nagle i objęła mnie, przylgnęła całym ciałem, byliśmy teraz jak jedno istnienie. Pocałowała mnie delikatnie w usta. Wtedy zobaczyłem w jej ogromnych brązowych oczach łzy.

– Co ci jest?

– Nic, naprawdę nic, Robercie.

– Ależ tak – powiedziałem. – Coś przede mną ukrywasz...

Przytuliła policzek do mojego policzka i kiedy byłem odwrócony plecami do morza, a ono odbijało się w jej oczach, usłyszałem szept: – Dzięki ci, Boże, dzięki, że mogę przeżywać coś tak cudownego. Błagam, chroń nas oboje, Boże. Uczynię, co zechcesz, ale chroń nas, proszę.

Myślałem o tym, co się stało, o tym, czego dokonałem, i co musiałem jeszcze zrobić, i o tym wreszcie, co mnie czeka. Byłem bardzo rad, że Angela nie mogła w tym momencie zobaczyć mojej twarzy. Przed sobą miałem szeroką ulicę, wysypaną oslepiająco białym, drobnym żwirem. Jej pobocza porastały cedry, palmy i starannie przystrzyżone żywopłoty. W dali, podobny do zamku z żółtą fasadą, stał hotel „Du Cap” otoczony ogrodami, które płonęły wszystkimi kolorami. W miejscach nie wysypanych żwirem ścieżka i ziemia połyskiwały matową czerwienią. Angela przytuliła się do mnie jeszcze mocniej i wówczas poczułem zapach jej skóry, który przypominał woń świeżego mleka, i pomyślałem, że wszystko, nawet to najgorsze, czego się dopuściłem, będę mógł dokładnie wytłumaczyć przed Bogiem naszą miłością i że Bóg mi przebaczy, gdyż On wszystko rozumie i potrafi przebaczać. Czulem, że serce Angelí bije bardzo szybko.

2.

– *Bonjour*, Marcel! – zaskrzeczała papuga, która sama siebie nazywała Marcelem. Staliśmy przed jej olbrzymią klatką na skraju czerwonej drogi prowadzącej do „Eden Roc”. Znowu dokuczała mi lewa stopa. Tego wczesnego czwartkowego popołudnia, 6 lipca roku 1972, było okropnie gorąco. Od lat już nie znosiłem upałów i pot ściekał mi po ciele, chociaż miałem na sobie tylko cienką niebieską koszulę, białe spodnie i miękkie białe pantofle na bosych stopach. Nagle

wydało mi się, że tracę siły. Zawirowało mi w głowie, ale wiedziałem, że to na skutek gorąca. Musiałem tu jednak pozostać, póki nie zjawi się ów człowiek, z którym byłem umówiony. Spoglądałem na morze, na zakotwiczone jachty, niektóre bardzo duże. Oprócz francuskich powiewały na nich również amerykańskie, niemieckie, angielskie, włoskie, szwajcarskie, belgijskie i Bóg wie jeszcze jakie bandery. Claude i Pasquale Trabaudowie schodzili właśnie do składaka po przerzuconej z pokładu drabince. Pies znajdował się jeszcze na pomoście i biegał po nim niespokojnie. Powietrze stało nieruchomo. Odwróciłem wzrok w prawo i ponad wodą zobaczyłem kolorowy port i domy Juan-les-Pins, a dalej niewyraźne w blasku słońca i upału zarysy Starego i Nowego Portu w wielkiej zatoce, palmy wzdłuż Croisette, a za nią białe hotele. Jakieś nierzeczywiste było to wszystko, to całe miasto ze swymi budowlami, willami i rezydencjami, które kryły się w wielkich ogrodach na zboczu. Na prawo, w dzielnicy La Californie, rozciągającej się we wschodniej części Cannes, mieszkała Angela. Nie potrafiłbym rozpoznać poszczególnych budynków, ale wiedziałem, że mam przed sobą swój dom, swoją ojczyznę. Naszą ojczyznę, nasze ognisko domowe, ponieważ Angela i jej mieszkanie były wszystkim, co mogłem uznać za swoje, co miałem na tym świecie. Tylko to i piętnaście milionów marek. To, czego jeszcze pragnąłem, miało właśnie się spełnić.

– *Beautiful lady!* – zawołał Marcel, patrząc na Angelę czarnymi jak guziczki, błyszczącymi oczyma. Ja również przypatrywałem się Angeli. Była nie tylko piękną, ale najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem. Włosy miała świetliście rude, twarz szczupłą i pociągłą, z ogromnymi brązowymi oczami. Angela Delpierre była dokładnie tego samego wzrostu co ja. Miała trzydzieści cztery lata, a ja czterdzieści osiem i to mnie początkowo bardzo deprymowało i niepokoiło. Teraz przestało być ważne. Było cudownie. Miała piękne ciało, wszystko w niej było doskonałe. Kochałem jej miękkie, tkliwe usta z lekko wywiniętymi wargami i małe uszy, nos i piersi, płaski brzuch i długie nogi. Kiedy tylko mogła, przebywała na powietrzu, toteż jej skóra pachniała świeżością i słońcem, które ją brązowiło. Tego dnia ubrana była w spodnie, dołem szerokie, górą, jak moje, bardzo obcisłe, do tego biały pulower o ciekawym kroju, bez rękawów, opinający ciało, z trykotowym spłotem, wykończony u góry kołnierzem luźno układającym się na przodzie. Z tyłu głęboki dekolt odsłaniał opalone plecy. Lakierki Angeli, o szerokich, masywnych obcasach i białych noskach, zdobiły małe niebieskie kotwice. Nie malowała się i nie używała perfum. Zupełnie nie przywiązywała wagi do makijażu, co mi bardzo odpowiadało. Na serdecznym palcu lewej ręki nosiła obrączkę wysadzaną ukośnie

brylantami, które mieniły się w słońcu tęczowo.

– Już trzy minuty po drugiej – zauważyła. – Twój człowiek się spóźnia.

– Tak – odparłem. – Ale przyjdzie, na pewno. Musi przyjść. Brandenburg sam go zapowiedział, osobiście zaszyfrował dla mnie nowe polecenia i przekazał temu człowiekowi pieniądze, żebym mógł opłacić informatorów.

– Dlaczego właśnie tutaj musimy się z nim spotkać?

– Mówiłem ci już przecież, Angelo. Po tym wszystkim, co zaszło, trzeba unikać ryzyka. Tutaj, w jasny dzień, w otoczeniu tylu ludzi, nie ma mowy o niespodziankach. Brandenburg chce mieć pewność. Ja także. Nie chcę, żeby tak jak innym coś mi się przytrafiło.

– O Boże – westchnęła Angela. – Gdyby miało ci się coś stać... gdybyś umarł, to ja też umrę. Patetycznie to brzmi, ale wiesz, że to prawda.

– Tak – odparłem – wiem.

– Bez ciebie nie mogłabym żyć.

– Ani ja bez ciebie – powiedziałem i z niepokojem pomyślałem o słowach; które właśnie padły, i o tym, jak ułożyłoby się życie Angeli, gdyby mnie zabrakło. Czy potrafiłaby rzeczywiście zdecydować się na krok, o którym przed chwilą mówiła? Nie wierzyłem w to. Wszystko przygotowałem na wypadek, gdyby musiała żyć dalej beze mnie.

– Czy dużo pieniędzy przyniesie ci ten człowiek? – spytała.

– O, tak – potwierdziłem. – Bardzo dużo pieniędzy. Żądają ich ludzie, którzy coś wiedzą.

A więc znowu ją oszukałem. Nie miałem wyboru. Angela nigdy nie powinna dowiedzieć się prawdy o tym spotkaniu. Rzeczywiście byłem tu umówiony z pewną osobą, ale bynajmniej nie z kurierem mego szefa, ów mężczyzna, tu nie minąłem się z prawdą, miał przynieść pieniądze, dużo pieniędzy. Ale to był dopiero początek, a najgorsze miało dopiero nadejść. Tak zadecydowałem. Nie byłem już tym samym człowiekiem, za jakiego się uważałem jeszcze przed dwoma miesiącami. Obcując z łajdakami, sam stałem się łajdakiem, ale było mi to obojętne. Ona nie miała o tym pojęcia. Wszystko straciło dla mnie sens. Na tym plugawym świecie liczył się już tylko jeden człowiek – Angela.

Nigdy nie kochałem tak bardzo żadnej kobiety. Ona też nigdy tak nikogo nie kochała. Ta świadomość powinna stać się ubezpieczeniem na życie, na życie tej, którą tak uwielbiałem. Dlatego ja również modłę się teraz do Boga, żeby mi pozwolił spisać do końca wszystko to, co przeżyłem. Nie zależy to od moich umiejętności, a tylko od czasu, jaki mi pozostał.

– A jeśli temu człowiekowi coś się stało? – niepokoiliła się Angela.

– A cóż by się mogło stać? Na pewno przyjdzie. Możemy być o to zupełnie spokojni. – Bałem się jednak, że stracę panowanie nad sobą, i niezgrabnie wyciągnąłem z kieszeni koszuli paczkę papierosów. Nie powinienem palić, ale jakie to miało znaczenie? Teraz, kiedy znałem już prawdę, wolno mi było wszystko. Oto cała przyjemność, pomyślałem. Dym podrażnił mi krtań i zakasłałem.

– *Smoke too much* – odezwał się Marcel.

– Ma rację – przyznała Angela.

– To pierwszy papieros dzisiaj – usprawiedliwiłem się.

Ale czy to ważne, ile ich jeszcze będzie, przemknęło mi przez myśl.

– Obiecałeś, że już nie będziesz palić.

Rzuciłem papierosa na czerwoną ziemię i przydeptałem.

– Dziękuję – rzekła Angela. Położyła rękę na moim ramieniu i już to przelotne poczucie wspólnoty uszczęśliwiło mnie i pozwoliło o wszystkim zapomnieć. O przeszłości, teraźniejszości, a nawet niedalekiej przyszłości.

– Zbliżają się Trabaudowie – uprzedziła Angela. Rzeczywiście, do przystani wielkim łukiem podpływała łódka. Pomyślałem, że niepunktualność wysłannika ma swoje dobre strony, ponieważ prosiłem Claude'a Trabauda, żeby możliwie dyskretnie zrobił jemu i mnie parę zdjęć. Claude miał świetny aparat fotograficzny, ja zaś chciałem mieć na zdjęciu człowieka, na którego czekałem, jego i mnie oraz sam moment przejmowania pieniędzy. Wszystko idzie dobrze, stwierdziłem.

W dole zaturlotała motorówka, w której siedziało trzech mnichów w białych habitach. Znałem ich, mieszkali w klasztorze cystersów na Wyspie Świętego Honorata. Była jeszcze druga, mniejsza wysepka, Świętej Małgorzaty – Ile Sainte-Marguerite; obie leżały nie dalej niż kilometr od lądu. Angela także знаła zakonników, byliśmy kiedyś na ich wyspie. Pokiwała ręką i wszyscy trzej odwzajemnili pozdrowienie. Produkowali likier o nazwie „Lerina”.

– Zakonnicy przywieźli „Lerinę” do „Eden Roc” – oznajmiła Angela. – Zawsze ją tam dostarczają.

Śledziłem motorówkę i w bursztynowym blasku słońca, bardzo niewyraźnie, wyłowilem znów w oddali Cannes. Angela spojrzała na mnie i podążyła za moim wzrokiem.

– Jak tylko załatwimy wszystko, zaraz wracamy do domu – oświadczyła.

– No jasne – zgodziłem się. – Koniecznie.

– Chcesz tego? Naprawdę?

– Bardzo i naprawdę.

– Nie tak bardzo jak ja. Rano świadomość tego, że jesteś obok mnie, była cudowna. Dla ciebie też?

– Też, kochanie.

– Chcę, żebyś zawsze był ze mną szczęśliwy.

- A ja chcę tego samego dla ciebie.
 - Wiesz, co mi się marzy? – szepnęła. – Mieć cię blisko siebie. Jak tylko wrócimy do domu, będziemy znowu szaleć.
 - I to jak! – westchnąłem. – A potem porozmawiamy, nastawimy płytę i posłuchamy ostatnich wiadomości w telewizji. I znów wrócimy do rozmowy, jak zawsze, zanim nie zacznie świtać.
 - Składak z Trabaudami i psem dobijał już prawie do nabrzeża.
 - A jak nas zmęczą rozmowy – ciągnęła Angela – i jedno zaśnie, to drugie będzie musiało je natychmiast obudzić. Ja ciebie, a ty mnie. Przysięgaliśmy to sobie, pamiętaj.
 - Zbudzę cię, Angelo, jak już nieraz robiłem.
 - A ja obudzę ciebie. Nie powinniśmy tyle spać. We śnie nie słyszymy się, nie widzimy i nie czujemy.
 - Ano nie. Powinniśmy naprawdę sypiać tylko trochę.
 - Sen jest jak śmierć – stwierdziła Angela. – Ludzie obchodzą się tak z czasem, jakby dane im było życie wieczne. A przecież nikt nie wie, ile mu jeszcze zostało: rok, pięć lat, minuta.
 - Mówiłem to już.
 - I ja w to wierzę – rzekła. – Chciałabym się z tobą zestarzeć, Robercie... A po kłótni nie powinniśmy nigdy zasypiać, zanim się nie pogodzimy. Jeśli się kiedyś pokłócimy...
 - Nigdy!
 - Ale może się zdarzyć... O jakiś drobiazg... Jeśli więc pokłócimy się o jakąś błażostkę, musimy sobie koniecznie przebaczyć, jeszcze przed zaśnięciem.
 - Koniecznie.
 - Ach, Robercie – powiedziała. – Każdy dzień jest dla mnie cudowny i każdy wieczór, i każda noc. Każdy uścisk. Każde twoje spojrzenie. Każde słowo, które wypowiadasz. Każdy krok, gdy idę obok ciebie. Każdy ranek jest wspaniały, kiedy się budzę, a ty leżysz koło mnie.
 - Odtąd zawsze tak będzie – odparłem. – Zawsze ty i zawsze ja, do ostatniego oddechu, do ostatniej chwili.
 - Tak, Robercie.
 - *It's paradise* – odezwał się Marcel. Miał rację. To był raj – dla mnie i dla niej.
 - *Lucky gentleman* – dodał Marcel.
- Mówił o mnie. I nie mylił się. Od ośmiu tygodni byłem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Mimo wszystko. A może właśnie dlatego.

– Uwielbiam cię – powiedziałem Angeli, która odsunawszy się ode mnie, patrzyła teraz w stronę Trabaudów wchodzących właśnie na skalne schody. – Gdybym w tym momencie musiał umrzeć, byłbym najszczęśliwszym...

Nie dopowiedziałem zdania. Z potworną siłą coś uderzyło mnie w plecy poniżej lewego ramienia. Runąłem do przodu na czerwoną ziemię. To strzał, pomyślałem. Trafiła mnie kula. Ale nie usłyszałem żadnego huk.

Pamiętam jeszcze, że Angela krzyczała, lecz nie rozumiałem ani słowa, i zmarwiłem się tym, że staremu człowiekowi na przystani nie dam już dziesięciu franków. O dziwo, nie czułem najmniejszego bólu. Nie mogłem się tylko poruszyć, nie mogłem wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Dochodził mnie teraz głos Angeli i coraz to inne głosy, donośne i przerażone. A potem wszystko ogarnęła ciemność i odniosłem wrażenie, że spadam, że coraz szybciej i szybciej pogrążam się w bezdennej otchłani. Zanim straciłem świadomość, zdążyłem pomyśleć: tak chyba wygląda umieranie.

To był jego początek.

3.

Powracałem kilkakrotnie do przytomności, ale ani razu nie odzyskałem jej zupełnie. Gdy podniosłem powieki, zobaczyłem brązowe oczy Angeli, których nigdy nie mógłbym zapomnieć. Angela coś mówiła. Jej twarz pochylona była tuż nad moją, jednak nie, mogłem zrozumieć słów. Przeszkadzał w tym jakiś głośny huk. Długo trwało, nim uświadomiłem sobie, że to wirnik helikoptera. Lecieliśmy. Helikopter wibrował. Leżałem na noszach, mocno do nich przywiązany. Człowiek w bieli trzymał nade mną butelkę z gumową rurką, połączoną z przegubem mojej lewej ręki. Tkwiła w nim igła. Po zrozpaczonej twarzy Angeli płynęły łzy, rude włosy opadły na czoło. Chciałem coś powiedzieć, ale nie potrafiłem wykrztusić słowa. Uklękła, zbliżyła usta do mojego ucha i teraz ją zrozumiałem. – Proszę, proszę, Robercie, nie umieraj! – wołała urywanymi zdaniami, szlochając. – Nie umrzesz, jeśli nie będziesz chciał. Nie rezygnuj! Nie rezygnuj! Proszę, proszę, proszę. Nie możesz tego zrobić. Nie wolno ci. Jestem twoją żoną i tak bardzo cię kocham, Robercie. Nie rezygnuj, pomyśl o tym, co jeszcze mamy przed sobą, o naszym nowym życiu, przecież się dopiero zaczęło. Czy pomyślałeś o tym? Powiedz, proszę!

Chciałem potwierdzić, lecz z największym wysiłkiem zdobyłem się tylko na nieznaczne poruszenie głową. Zupełnie wyczerpany, musiałem zaraz zamknąć oczy. I teraz, jak w kalejdoskopie, szybko zaczęły zmieniać się kolory, głosy i postacie. Wszystko zlewało się ze sobą – i wszystko rozpływało. Czerwień, pałaca czerwień. Moja żona Karin, wykrzywiona grymasem piękna twarz, przeraźliwy głos: Ty nędzny tchórzu. Ty łajdaku! Ty pospolity draniu! Myślisz, że z tego wyjdiesz? Mylisz się. Bóg cię ukarze, zobaczysz, zrobi to. Ty sadysto! Ty moralny sadysto! Ty czorcie! Budzę w tobie wstręt, co? No, powiedz, powiedz, że jestem wstrętna. Rozżarzona czerwień mieszała się teraz ze srebrnymi i złotymi smugami. Oto Włoszka ze sztyletem w piersi. Rozpłynęła się. Oto mój szef, Gustaw Brandenburg, ze swymi chytrymi świńskimi oczkami i szeroką szczęką, ordynarny i warkliwy. Nie dajesz już sobie rady, Robercie, co? Może ta praca jest dla ciebie za trudna? Nie chcesz czy nie możesz? Świnio, świński ryju. Złoto, złotem jest teraz wszystko. Za dwa lata będę miał pięćdziesiątkę, harowałem całe życie, mam prawo do szczęścia jak każdy inny człowiek. Tak, ale czy kosztem drugiego człowieka? W złoto wlewa się błękit, błękit głębokiego morza. To przestępstwo wyjątkowo ohydne, ponieważ nic i nikt nie potrafi mu się przeciwstawić. Siedemdziesiąt miliardów dolarów, panie Lucas, siedemdziesiąt miliardów dolarów! Świat zmierza ku przepaści. I nic na to nie poradzimy. Oto przemawia teraz Daniel Friese, cały w falującym błękitcie. Friese z federalnego ministerstwa finansów. Bogaci będą się bogacić, a biedni ubożeć. Kto to mówi? To słowa starej kobiety z apteki, uśmiecha się zniechęcona, bez cienia nadziei. Błękit i srebro. Srebro, pomarańcz i zieleń, zwoje i welony. Huczy wirnik. Przeogromne oczy Angeli, przeglądałam się w nich. Powolna muzyka. Tańczymy z Angelą na tarasie restauracji „Palm Beach”. Wszyscy tancerze ustępują nam miejsca. Oto flaga francuska. Znalazła się obok amerykańskiej. Pomarańczowy kolor intensywnieje. Nagle wszystkie barwy eksplodują, stają się gwiazdami, rozpędzonymi kołami i fontannami. Fajerwerki! Z ich blasku wyłania się człowiek w łaźience, to wisielec. Nagle kolory zaczynają nacierać, pchać się pod moje półprzymknięte powieki. Kto to? To ja. Pijany obok czarnowłosej kobiety z ustami jak otwarta rana. Jest naga, tarzamy się w jej łóżku. Kto to... kto... o, Jessie, to ta dziwka! Teraz zieleń, wszystkie odmiany zieleni. Dwa draby okładają mnie pięściami, jeden trzyma, drugi wali w podbrzusze, bez przerwy. Spadam, spadam. Trzymaj mnie, Angelo, trzymaj, proszę! Ale Angeli nie ma, jest natomiast przepastna czerń, w której pogrążam się jak w wacie. Tracę na powrót świadomość. Mam jeszcze przed sobą trzydzieści dwie minuty życia.

Dochodzę znów do siebie, wyłaniam się nagle z morza kwiatów. Biały jaśmin, czerwone, fioletowe, pomarańczowe kwiaty bugenwilli, niebieskie, białe, czerwone

i fioletowe petunie, czerwone gladiole, stokrotki białe i żółte, to kwieciste morze Angeli, to jej ogród na dachu. Małe róże we wszystkich kolorach nazywają się „Surprise”. I goździki. Nie, tylko nie goździki. Goździki przynoszą nieszczęście. Mały taboret w kuchni Angeli. Ona gotuje, ja siedzę na stołku i przyglądam się jej. Oboje jesteśmy zupełnie nadzy, jest przecież gorąco, bardzo gorąco. Czuję, jak moje ciało pokrywa się potem. Na czole chusteczka, pot niknie. Huk wirnika. Teraz wszystko jest żółte, połyskliwie żółte. Wszystko stale drożeje. Co się dzieje ze złotem? Nie rozumiem, panie. Stara kobieta w aptece. Ale ktoś musi przecież wiedzieć. Tak, to się chyba zgadza. Oto z jednej strony miliony ludzi, którzy o niczym nie mają pojęcia, a z drugiej ci nieliczni, którzy znają całą prawdę. Twarze odpływają. Pijany John Kilwood we fiolecie. Zajęty golfem Malcolm Thorwell w szybkiej spirali z rózu. Bezbarwny Giacomo Fabiani przy stole z ruletką, kremowy kolor. Sztynna Hilda Hellmann w ogromnym rokokowym łożu – i znowu wszystko w złocie. Dlaczego gnębi nas nieszczęście, panie? Dlaczego? Ach, nieszczęście nie zjawia się jak deszcz, jego sprawcami są ci, którzy na tym korzystają. Napisał to Brecht. Komunista. Maoista. Wszystkiemu jest winien Willy Brandt. Także komunista. Wszyscy socjaldemokraci są komunistami. „Der Spiegel” to pismo komunistów. Czy pan również jest komunistą, panie Lucas? Mieszanina głosów i kolorów. Wszystko się teraz kotłuje, coraz bardziej i bardziej, głosy i postacie. Restauracja „L'Age d'Or”. Białe otynkowane ściany. Niska. Staroświecka. Jej właściciel, Nicolai, wsuwa mięso do okrągłego otworu pieca. Jego fartuch jest czerwony, koszula biała. Sklep jubilerski Van Cleef & Arpéis przy Croisette. Jean Quemard z żoną. Uśmiechają się do nas, do Angeli i do mnie. Coś jasno błyska. Obrączka! Nagle wszystko lśni. Jestem z Angelą na tarasie jej mieszkania, wysoko nad Cannes. Wielotysięczne światła miasta, statków i ulic u stóp wzgórz Estèrent. Nieprzebrane mrowie światel, czerwonych, białych, niebieskich. Kochamy się. Stajemy się jednym w doznaniach nigdy dotąd nie przeczuwanych. Czyj to jęk? Mój. To ja. Brąz i żółć. Obława w La Bocea, trzask pistoletów maszynowych. Znowu błękit. Na krótko dobiega mnie dokuczliwy warkot motoru. Szarość, szarość, wszystko szare. Dźwigi wyciągają chevroleta z basenu Starego Portu. Za kierownicą martwy Alain Denon, mała dziura w czole, wielka w rozszarpanej potylicy. Złoto i czerwień. Czerwień i złoto. Największe przestępstwo naszych czasów – nie pomszczone, nie odpokutowane i nie osądzone – przestaje być przestępstwem, gdy sięga takich rozmiarów. Wtedy wszystko staje się nieuchwytnie, niekaralne... Błękit. Cudowny błękit. Nasz maleńki kościół w dzikim ogrodzie. Pelen ikon. Zapalamy z Angelą świece przed Czarną Madonną. Angela modli się, jej wargi poruszają się bezgłośnie. Oto młody kapłan, który wyjeżdża stamtąd

na motocyklu, w habicie, z koszykiem warzyw na bagażniku. I wszystko w czerwieni, czerwień, czerwień. Pałac Hellmannów. Obracające się ekrany radarowe. Pracują wielkie komputery, na ich tablicach rozdzielczych migocą światła. Wyłączyć, oszukać, sprzedać z wielkim zyskiem. Któż to się śmieje? Kto? Łagodny róż brzoskwinowy. Bar w klubie „Port Canto”. Teraz Angelą śpiewa dla mnie. „*Blow-in, in the vind*”: „Przez ile dróg musi przejść każdy z nas, by mógł człowiekiem się stać...”

Migają ekrany trzech telewizorów. Potrójne twarze i głosy spikera. Wolny kurs dla brytyjskiego funta. W praktyce dewaluacja o osiem procent. Strajki generalne. Zamknięte banki. Prywatne odrzutowce w Nicei. Wiem, do kogo należą, wiem dobrze... „Przez ile móż lecieć ma biały ptak, nim opadnie na piach...” – śpiewa Angela. Śpiewa dla mnie.

Saksofon. Sztylet. Słoń. Biała plamka na dłoni Angeli. Kocham cię. Nigdy nikogo tak nie kochałem, jak ciebie. I nigdy już nikogo nie pokocham. Nawet ja, Angelo, nawet ja. Siedzi na łóżku w swoim mieszkaniu w Cannes, ja w pokoju hotelu „Intercontinental” w Düsseldorfie. U naszych stóp światła – światła Lazurowego Wybrzeża, światła lotniska Lohausen. Nade mną startująca maszyna. Zegarrek na nocnym stoliku. Czwarta rano. Jesteś wszystkim, co mam na tym świecie. Róbcie coś! Teraz biel. Róbcie coś! To gorsze od morderstwa. Jak mogę przeszkodzić, moi panowie? Jestem sam, nie mam władzy. Oboje jej nie mamy. Posłali już swego tropiciela. Oto jest, tonie w zieloności. Kessler. Tyczkowaty, tuż przed emeryturą. Jeden z najlepszych ludzi...

Angela śpiewa: „...jak blisko śmierć musi przejść obok nas, by człowiek zrozumiał swój los...”

Mordercy... Wszyscy jesteście mordercami.

Pijany John Kilwood bełkoce.

Tak, mordercami jesteście wszyscy! Srebro i czerń. Mój adwokat w Düsseldorfie. W nieprzeniknionej mgle doktor Joubert ze szpitala Broussailles. Czy zniesie pan prawdę, monsieur?

Angela śpiewa: „...odpowie ci wiatr, wiejący przez świat, odpowie ci, bracie, tylko wiatr...”

Trzynaście czerwonych róż w moim pokoju hotelowym. Koperta. W niej kartka. Na kartce słowa: *Je t'aime de tout mon coeur et pour toute la vie...* Na całe życie...

To cała prawda, monsieur, chciał ją pan usłyszeć... Dziękuję panu, doktorze...

Angela śpiewa teraz w purpurze, w purpurze...

Nigdy, nigdy, dopóki żyjemy, jedno nie opuści drugiego, słyszę własne słowa. I zaczynam znowu lecieć w przepaść, pogrążam się w odmętach. To jest straszne. Co za nikczemność, że ja teraz...

Koniec. Tak więc wygląda koniec!

Nie, jeszcze raz wracam do życia.

Silny wstrząs. Przeniesiono mnie z helikoptera na nosze. Mnóstwo ludzi w bieli stało na dachu, na którym wylądował. Lekarze. Pielęgniarki. Angela. Wózek potoczył się w stronę otwartych drzwi windy. Teraz do środka. Drzwi się zamknęły. Zjechaliśmy w dół. Wokół mnie znowu pełno ludzi. Była także Angela. Tak bardzo kochana. Po jej twarzy nieprzerwanie spływały łzy. Jeszcze raz usłyszałem jej głos: „Nie rezygnuj, proszę, proszę, nie rezygnuj. Nie wolno ci...”

Koniec. Jej wargi poruszały się bezgłośnie. I wszystko nagle zaczęło wirować, coraz szybciej, szybciej i szybciej. Owionął mnie zimny podmuch wiatru. I znowu byłem w podróży, w morskiej podróży nocą. Czy to nadchodzi śmierć? Czy wreszcie nadchodzi? Nie, znowu tylko traciłem przytomność. Miałem jeszcze do przeżycia siedem minut.

Gdy wróciłem do siebie, wieziono mnie właśnie przez nie kończący się korytarz, podobny do tunelu. Paliło się tam mnóstwo świateł. Angeli już wtedy nie widziałem. Rozbrzmiewały głosy, których nie znałem. Zamknąłem oczy i wreszcie dosłyszałem jej czysty głos. Czytała mi wiersz. Siedziała naga na łóżku, na którym i ja leżałem nagi. W oknie pojawił się pierwszy różowy brzask. Wiedziałem, że to wiersz pewnego Amerykanina. Angela czytała niemiecki przekład. Ale nie wiedziałem, jak się nazywał ów autor.

Głos Angeli: „Od nadziei, lęku wolni i życia dzikich żądz...”

Przeniesiono mnie na inne łóżko. Rozległ się trzask. To moja koszula. Coś mnie oślepiło. Jakaś olbrzymia szyba. W niej pełno jaskrawych lamp, wprost nade mną. Ludzie z maskami na twarzach i białymi zawojami na głowach. Pochylają się...

„...ktokolwiek twoim bogiem, dziś z boskością w zgodzie bądź.”

Uklucie igły w przegub prawej ręki.

Coraz cichszy głos Angeli: „Każdego życia kres – nie ma umarłych powrotu...”

Kolory! Kolory! Pojawiły się teraz wszystkie naraz, w olśniewającym przepychu. Czuję, że ręce przygniata mi jakiś ciężar. Coś przyciśnięto do mojej twarzy. Rozległ się piskliwy sygnał. Wspaniałe były te kolory. Nie ma takich na świecie.

Jej głos stał się teraz bardzo cichy: „...znużony rzeki brzeg dotrze do morza portu”.

Syczenie się nasiliło. Pośród łąki pokrytej kwiatami wiała się leniwie rzeka. Poczuję, że czyjeś gładkie dłonie dotykają mego ciała, a coś lodowatego i ostrego wdiera się w lewy bok. I już wiedziałem, co to za rzeka. To Lete z podziemnej krainy, która oddziela królestwo żywych od zmarłych, rzeka Lete, z której dusze zmarłych czerpią zapomnienie. Zdumiałem się, kiedy zobaczyłem, że jej brzegi skąpane są w słońcu.

Potem moje serce łagodnie się zatrzymało; dobrze wyczułem ten moment. Powoli zaczął znikać obraz ukwieconej łąki i rzeki Lete, gdzieś rozplynęły się błyszczące kolory i wróciła czerń oddechu. Zapadłem się w otchłań po raz ostatni. Chętnie się temu poddałem. Ustawał mój coraz płytszy oddech. Przycichł syk. Krzepła krew w żyłach i arteriach. Wszechobecne jeszcze były ciemność, ciepło i spokój.

I umarłem.

KSIĘGA PIERWSZA

1.

– Pod koniec tygodnia Anglia uwalnia funta – oznajmił Gustaw Brandenburg. – Do tej pory praktykowano to tylko w granicach wahań kursowych, ale one już dawno nie odpowiadają rzeczywistej wartości funta. Teraz wejście do EWG jest już tylko kwestią czasu. Londyn przezornie uwolnił funta, żeby poznać w obiegu jego prawdziwą wartość i tym samym zapewnić sobie korzystny start do EWG.

– Czy to nie oznacza, że funt dewaluuje się?

– Jasne – odparł Brandenburg. – I to, jak słyszę, o osiem procent.

– Skąd o tym wiesz?

– Mam swoich ludzi.

– No nie! – zawołałem. – Jak dowiedziałeś się o wolnym kursie? Coś takiego robi się zawsze pod sam koniec tygodnia, a dzisiaj jest dopiero piątek. – Był piątek, 12 maja 1972 roku, tuż po dziewiątej rano. W Düsseldorfie padało i wiał silny wiatr. Nie chciało się tego dnia porządnie rozjaśnić i było prawie zimno, o wiele za chłodno jak na tę porę roku.

– Skoro funta mają uwolnić pod koniec tygodnia, to jakim cudem wiesz o tym już teraz? – dopytywałem się. – O czymś takim nikt wcześniej nie może wiedzieć.

– Ale ja tak – rzekł Brandenburg. – Mówię ci przecież, że mam swoich ludzi w Londynie.

– Muszą to być wyjątkowi ludzie.

– I są. Kosztowało mnie to kupę forsy. Ale musiałem wiedzieć. Muszę zawsze wszystko wiedzieć wcześniej od innych. Firma będzie mi wdzięczna do końca świata. Myślisz, że ci z naszej londyńskiej filii byłoby w stanie coś jeszcze dzisiaj zrobić? Ile byśmy stracili! Zapłaciłbym trzy razy tyle za informacje. Dziesięć razy tyle. Wszystko jedno. W dyrekcji są uszczęśliwieni.

– Szalony z ciebie facet – rzekłem.

– Wiem – odparł Brandenburg, obgryzając grube hawańskie cygaro w charakterystyczny dlań nieestetyczny sposób. Był ledwie średniego wzrostu, krępy, o potężnej, prawie łysej czaszce, która niemal opierała mu się na ramionach, kancista i masywna, tak że prawie nie było widać szyi. Miał potężną szczękę, mięsisty nos oraz małe, ruchliwe i chytre oczka. Takie świńskie oczka. W biurze przesiadywał bez marynarki, z zakasanyimi rękawami koszuli. Z upodobaniem nosił kolorowe pasiaste koszule, szczególnie liliowo-żółte, nigdy białe. Jego krawaty były niemodne i pognicione, niektóre nawet postrzępione. Nie przywiązywał żadnej wagi do swego wyglądu, tygodniami chodził w tym samym pomiętym tuzinkowym garniturze. Jego buty także często pozostawiały wiele do życzenia. Jadł łączywie i niechlujnie, co każdego przyprowadzało o mdłości. Łykał nie pogryzione kęsy, okrucy wypadały mu z ust, plamił stale ubranie i obrus. Paznokcie miał najczęściej nie przycięte i brudne. Należał do najbardziej zaniedbanych, a jednocześnie najbardziej rzeczowych ludzi, jakich znałem. Sześćdziesięciodziesięcioletni, niezonaty, był dla naszej firmy na wagę złota.

Brandenburg był szefem działu odszkodowań. Jego biuro mieściło się na siódmym piętrze olbrzymiego biurowca „Global – Ubezpieczenia” przy Berliner Alee. „Global” był jednym z największych towarzystw ubezpieczeniowych na świecie. Ubezpieczaliśmy w zasadzie wszystko, we wszystkich częściach świata – życie, auta, samoloty, statki, produkcje filmowe, posiadłości ziemskie, biżuterię, ludzi, części ciała, piersi, oczy, nogi aktorek, nie było niczego, czego nie moglibyśmy ubezpieczyć. Chociaż nie... Przekonałem się o tym ze zdumieniem. Nie ubezpieczaliśmy męskich członków. Kobięce narządy płciowe i owszem. Lecz nie penis. Co prawda wypłacaliśmy odszkodowanie w przypadku impotencji, lecz nie wtedy, gdy chodziło o uszkodzenie czy utratę genitaliów. To było bardzo dziwne. Pytałem o to wszędzie, nikt jednak nie potrafił wyjaśnić, dlaczego tak jest.

„Global” ze swą siedzibą w Düsseldorfie miał przedstawicielstwa zagraniczne w Belgii, Anglii, Francji, Holandii, Austrii, Portugalii, Szwajcarii i w Hiszpanii. Reprezentowany był w Australii, na Bahamach, w Brazylii, Kostaryce, Ekwadorze, Salwadorze, Gwatemali, Hondurasie, Japonii, Kolumbii, Meksyku, Nowej Zelandii, Nikaragui, Panamie, Paragwaju, Peru, Urugwaju, USA i Wenezueli. Według ostatnich rachunków bilans zamknął się sumą dwunastu miliardów marek i trzysetoma milionami marek kapitału i rezerw. W centrali w Düsseldorfie pracowało około dwóch tysięcy pięćset osób, na całym świecie „Global” zatrudniał prawie trzydzieści tysięcy ludzi. Ja pracowałem od dziewiętnastu lat w dziale „Ubezpieczenia od szkód”.

„Ubezpieczenia od szkód” były na pewno jednym z najważniejszych działów, a niechlujny Gustaw Brandenburg, prawnik z zawodu, tak samo jak ja, należał do najważniejszych ludzi w firmie. Kiedy zgłaszano szkodę, która wydawała się choćby tylko trochę podejrzana, Brandenburg włączał się natychmiast do sprawy. Człowiek ten miał fantastyczną intuicję. Potrafił zwęszyć natychmiast, że coś jest niepewne i zalatuje oszustwem. Był najbardziej nieufnym i sceptycznym człowiekiem „Globalu”. Nie wierzył w nic i nikomu. Dla niego wszyscy tak długo byli podejrzani, dopóki nie wykazali swej niewinności, względnie myśmy im winy nie udowodnili. My – to znaczy cztery tuziny pracowników, wśród nich juryści i byli policjanci, oddani do stałej dyspozycji Brandenburgowi i rozsyłani gdzie trzeba, gdy tylko zaswedził go gruby nos i gdy przeczuwał coś złego. Lubił, kiedy nazywano go „Posokowcem”. Był dumny z tego przezwiska. Dzięki swej nieufności przysporzył „Globalowi” w ciągu lat bajecznych sum. Pobierając ogromną pensję, ów kawaler żył jak tramp i mieszkał w małym hoteliku. Całe życie włóczył się po hotelach, nie potrafił nawet znieść myśli o własnym mieszkaniu, a tym bardziej o domu. Uwielbiał prażoną kukurydzę i zawsze nosił przy sobie pełne jej torebki. Potem wykladał je na biurko, by móc stale do nich sięgać. Gdzie tylko usiadł lub stanął, zostawiał po sobie śmietnik. Wypalał w ciągu dnia od dziesięciu do piętnastu cygar hawańskich, ciężkich dingerów. Unikał wszelkiego fizycznego wysiłku. Gdy miał dotrzeć do miejsca oddalonego o dziesięć minut drogi, zamawiał wóz. Nie miał przyjaciółki ani żadnego hobby, miał tylko swój zawód – w dzień i w nocy. Ileż to razy we wczesnych godzinach rannych zrywał mnie telefonicznie z łóżka i ściągał do biura, żeby pogadać o jakimś przypadku! Wydawało się, że ten człowiek nie potrzebuje snu. O ósmej rano zasiadał przy swoim biurku, które, zaśmiecone popcornami, zavalone papierami, zasypane popiołem cygar i poplamione herbatą, wyglądało równie nieestetycznie, jak on sam – i przed dwunastą w nocy nigdy nie wracał do domu. Najwcześniej o północy, i to wyjątkowo. To był cały Gustaw Brandenburg.

– Gdyby mieć teraz dużo pieniędzy, można by zrobić niezły interes na tym funkcie – oznajmiła świnia w ludzkiej skórze o nazwisku Brandenburg. Popiół spadł mu na krawat, ale nie zauważył tego. Na brodzie pozostał kawałek marmolady ze śniadania.

– Masz przecież pieniądze – zauważyłem.

– Jakie tam pieniądze – odparł. To był jego bzik. Ten drab stale przekonywał nas o swoim ubóstwie, on, który, jak wiedziałem, wyciągał osiemnaście tysięcy marek miesięcznej pensji. Nie udało mi się nigdy wycisnąć z niego, co robi z taką kupą forsy. – Poza tym przywoity człowiek tak nie postępuje – dodał, dłubiąc w zębach.

- Ale firma może.
- Jasne – przyznał i zamilkł, obserwując z niezadowoleniem wyniki swej dłubaniny, po czym zaczął obgryzać cygaro. Trwało to ze dwie minuty.
- Posłuchaj – powiedziałem. – Kazałeś mi przyjść. Mówiłeś, że w pilnej sprawie. Nie śpij teraz. Może tę pilną sprawę wymyśliłeś, żeby po prostu pogadać?
- Strzepnął na podłogę to, co miał na palcu, i kierując na mnie wzrok, wycedził z cygarem w ustach:
- Herbert Hellmann nie żyje.
- Nie! – zawołałem.
- To fakt – odparł.
- Ależ był zupełnie zdrow!
- I zupełnie zdrow umarł. Tyle że nagle.
- Wypadek?
- Być może. – Brandenburg jakby nabrał wody w usta.
- A może nie... – powiedział po dłuższej chwili.
- Człowieku, gadaj normalnie! Nie doprowadzaj mnie do szału! – Zacząłem szukać papierosów. Kiedy zapalałem pierwszego, trochę się rozkręcił.
- Może to samobójstwo – rzekł i wepchnął garść popcornów do ust. Trochę się oczywiście rozsypało, bo mówił, jak zawsze, z pełnymi ustami. – Samobójstwo byłoby najlepszym rozwiązaniem. Nie musielibyśmy wówczas płacić.
- Czego płacić?
- Odszkodowania za „Moonglowa”.
- Co to jest „Moonglow”?
- To jego jacht. Ubezpieczony u nas.
- Wysoko?
- Na piętnaście milionów.
- Ładnie – powiedziałem. – Pięknie.
- Od ognia na pokładzie, od zatonięcia podczas sztormu, od każdego rodzaju zniszczenia, włączając w to eksplozje różnego rodzaju, piractwo, rafy, zderzenie, każdą formę sabotażu lub czyjeś niedopatrzenie, ale nie od celowego zniszczenia. Tylko nie przewidzieliśmy, że pan Hellmann zechce sam ze swym „Moonglowem” wyeksplodować się w przestworza.
- Aha – mruknąłem, słuchając uważnie.
- No wiec tak – wracał do swojej relacji. – Tylko nie to. – Do nadstawionej dłoni wysypał z torebki nową porcję kukurydzy.
- Chcesz może?
- Nie, dziękuję. Jacht rozleciał się więc w drobny mak.
- Kompletnie. Był na nim Hellmann. – Gustaw przeżuł i połknął kukurydzę, potem znów wziął do ust cygaro. – Na jachcie byli jeszcze inni ludzie, gdy

wypływał z Cannes. W sumie trzynaścioro. Siedmiu z załogi, Hellmann, dwa małżeństwa i jeszcze ktoś. Wracał z Korsyki. To się zdarzyło wczoraj przed północą między Cannes i Korsyką. Wybuch. Rozmawiałem z urzędem, który tam, w Cannes, zajmuje się takimi sprawami. Siedziałem jeszcze w firmie, gdy nadszedł meldunek z DPA, gdzieś koło pierwszej. Wczoraj mieliśmy święto Wniebowstąpienia. Ładny dzień wybrał sobie Hellmann na poszybowanie w przestworza. Można powiedzieć, że to turystyka na wielką skalę.

W centrali informacyjnej piętro niżej działał dalekopis Deutsche Presse Agentur i jeszcze drugi, należący do United Press International. Byliśmy abonentami obydwu.

– Policja morska w Cannes ma długą nazwę – spojrział na niechlujnie zapisaną kartkę. – „Direction des Affaires Maritimes, Marine Méditerranée, Sous-Quartier Cannes”. Mieści się przy Starym Porcie. Główna kwatery znajduje się w Nici. Ale wypadek bada Sous-Quartier. Ty mówisz płynnie po francusku, prawda?

– Owszem – odparłem. Mówiłem także biegle po angielsku, włosku i hiszpańsku.

– Mój francuski jest marny, ale mniej więcej się zorientowałem, w czym rzecz. Ich szef – nazywają go „administrateur-chef” – jest w podróży naukowej po Ameryce. Jego zastępca z ludźmi był właśnie w drodze do miejsca wypadku. Nazywa się Louis Lacrosse. Później zatelefonowałem do nich jeszcze raz. Musiała to być jakaś niesamowita eksplozja. W promieniu ponad stu metrów rozleciały się części wraku. Z ludzi zostało tylko parę głów, nogi, ręce i palce. Rybacy wyciągnęli z wody te nieszczęsne szczątki. No tak... Święto Wniebowstąpienia.

– Czy to prawda, że Hellmann miał w kraju największy bank prywatny? – spytałem.

– Na pewno jeden z największych. Ten człowiek miał ośmiocyfrowe konto. Prawdopodobnie. Ale nie na pewno.

– Co to znaczy?

– Zmienił się kurs funta, Robercie. To był dla mnie punkt wyjścia. Rozejrzałem się trochę, a właściwie kazałem się rozejrzeć, we Frankfurcie w kręgach bankierskich. Ale do tych zasranych bankierów trudniej się dostać niż do byle śmierdzącej ostrygi. Jedno udało mi się wyniuchać: Hellmann od jakiegoś czasu był czymś kompletnie zdruzgotany. Człowiek-widmo, jak się ktoś wyraził. I zeszłego tygodnia w środę nagle poleciał do Cannes. Wyglądał podobno jak własna śmierć. Musiało się coś zdarzyć, że go tak wzięło.

– Tylko co? Przypuszczasz, że też mógł się dowiedzieć o uwolnieniu funta?

– Dowiedzieć może nie, ale po ciągnących się strajkach i tym wszystkim, co było potem, mógł się przecież liczyć z taką ewentualnością. Może się przeliczył. Może się bał, że za bardzo dostanie po kieszeni, jeśli funt zostanie zdewaluowany.

– Taki Hellmann łatwo się nie poddaje.

– To ty powiedziałeś. Był to przecież nasz as atutowy, sumienie bankowe Niemiec, wspaniała świetlana postać. – Mówił prawdę. Nazwisko Herberta Hellmanna kojarzono w świecie z osobą idealnego bankiera. – No, ale jeśli popełnił jakieś świństwo z funtami? Nie patrz tak na mnie! Oni wszyscy robią świństwa, ale tacy jak Hellmann nie pozwalają sobie na wpadkę. A teraz mogła mu grozić. I musiałby splamić swoje dobre imię. – Gustaw upstrzył okruciami popcornów, które podczas rozmowy wypadały mu z ust, swoją okropną koszulę w fioletowo-pomarańczowe paski. – I to mógłby być jego koniec, nie uważasz?

– Hm.

– Daj spokój z tym chrząkaniem. Kończył się, to pewne. Nim poszybował w stronę niebios, stał się kłębkim nerwów, jękał się podczas wystąpień, miał zawroty głowy, chodził ogromnie zdenerwowany.

– Skąd wiesz?

– Uwierzysz, że dzisiaj nie spałem? Nie masz pojęcia, jak tacy mali urzędnicy potrafią być gadatliwi, i to za niewielkie pieniądze.

– Czego szukał w Cannes?

– Tego nie wiem. Ma tam dom, wiesz przecież tak samo dobrze jak ja. Jego siostra mieszka w nim stale. Brylantowa Hilda... W te zęby stale coś włazi. – Gustaw znowu wetknął palec do ust. Zapaliłem od niedopałka drugiego papierosa.

– U siostry pewnie nie tylko chciał się wypłakać – stwierdziłem. – To twoje dłubanie w zębach jest obrzydliwe.

– Tak? I co z tego? To nie patrz... Jasne, że nie chodziło tylko o zwierzenia.

– Więc o co?

– Nie wiem. Mówię ci, że ta sprawa śmierdzi. Czuję to przez skórę.

– A gdyby chciał się zabić, to czy wsiadałby na jacht i płynął na Korsykę z gośćmi, skazując ich na pewną śmierć?

– Dlatego właśnie nie wygląda to na samobójstwo.

– Skrupułów za grosz.

– Że co?

– Mówię o kimś, kto tak kończy i jeszcze ciągnie za sobą dwanaścioro ludzi.

– A który bankier ma skrupuły w interesach? Zresztą, oprócz niego straciło życie nie dwanaście osób, tylko jedenaście.

- Powiedziałeś przecież, że na pokładzie było ich trzynaścioro.
 - Kiedy wypływali. Wracali w dwunastkę.
 - A gdzie się podział trzynasty?
 - Trzynasta, to kobieta.
 - Co się z nią stało?
 - Została na Korsyce. – Gustaw zaczął szperać w papierach. – Nazywa się Delpierre, Angela Delpierre.
 - Czemu ta Delpierre została na Korsyce?
 - Nie wiem. Już wszystko zamówiłem: bilet lotniczy, apartament w hotelu. Zamieszkaś w „Majesticu”. Polecisz Lufthansą przez Paryż o czternastej trzydziści. O siedemnastej czterdzieści pięć będziesz w Nicei.
 - Miałbym to ja...
 - No co ty? Masz mnie za idiotę? Po co bym ci o tym wszystkim opowiadał? Jasne, że ty. Już dwa razy zajmowałeś się statkami. Dwa tygodnie urlopu chyba ci wystarczy. A może chcesz koniecznie zostać przy swej słodkiej żonusi?
- Pchnął w moją stronę zszywkę z biletem lotniczym.
- „Global” nigdy nie rezerwował oficjalnie żadnych biletów czy miejsc w hotelu; zawsze załatwiało to któreś z biur podróży. Nikt nie musiał wiedzieć, kto dokąd leci, kto przyjeżdża i gdzie mieszka.
- Wiesz przecież równie dobrze jak ja – powiedziałem – że tego śledztwa sam nie będę w stanie przeprowadzić.
- Naturalnie, że wiedział. Muszę wyjaśnić, że zawsze w takich wypadkach niezależny ekspert natychmiast podejmował na zlecenie policji czynności dochodzeniowe. Agent ubezpieczeniowy mógł oczywiście prowadzić własne dochodzenie.
- Francuzi już zaangażowali specjalistę. Byłego oficera marynarki. Poznasz go. Co tak się na mnie gapisz? – Na twarzy grubasa pojawiła się nagle złośliwość, zmrużył świńskie oczka. Znałem go od tej strony. Ba, taki był w istocie. – Nie chcesz, Robercie, czy nie możesz? Za dużo obowiązków? Nie panujesz nad nimi? Może nie dajesz już sobie rady? Czy mam cię przekazać do służby wewnętrznej? A może masz wszystkiego dość? Robisz to już przecież dziewiętnaście lat. Ładny kawał czasu. Potrafiłbym zrozumieć, gdybyś miał dość.
- Tego było już za wiele. Zmusiłem się do wzięcia udziału w tej grze.
- No, proszę – udałem zdziwienie – wygląda na to, że poskutkowało?
 - Ee? – Gustaw bliski był irytacji.
 - Dobrze zapłaciłem staremu czarownikowi, żeby cię zamienił we wstrętą ropuchę. Udało się znakomicie!
 - Cha – wycedził Gustaw. – Cha, cha. Nie wysilaj się. – Nachylił się w moją stronę z tą nikczemną, obłudną poufałością i odważemnił się pięknym za nadobne.

– Wyglądasz bardzo mizernie – rzekł zniżonym głosem. – Chyba nie jesteś chory?

W mózgu zaterkotały mi przeraźliwe dzwonki alarmowe.

Ty świnió. Chamska świnió. Masz mnie w garści, i to jak! Wiesz, jak mnie załatwić. Mam czterdzieści osiem lat. Bez wątpienia jestem najstarszym z twoich ludzi. Wiele spraw potrafiłem tak poprowadzić, że „Global” nie musiał wypłacić ani feniga. Ale to nie ma znaczenia. Za to mi płacą. Dobrze, nawet bardzo dobrze płacą. Jednakże zawałem parę rzeczy, szczególnie w ostatnim czasie. Tak podsumowałem to ty, chamska świnió. Nie było tam szans na szachrajstwa, należało po prostu pozytywnie rozpatrzyć wniosek o odszkodowanie. Ale jeśli taki jest wynik, ty parszywa łachudro, zawsze winien jest człowiek, któremu przydzieliłeś to zadanie, prawda?

– Oczywiście, Robercie, jeśli naprawdę niezbyt dobrze się czujesz, uwzględnij to w swoich rachubach. Mogę zawsze posłać Bertranda albo Holgera. Jesteś lepszy od nich obu, dlatego zależy mi na tobie. Ale skoro mówisz, że nie możesz...

– Mogę! – Strach o byt poderwał mnie na nogi. Bertrand, Holger i kto tam jeszcze. Młodszy ode mnie, sprawniejszy, w porównaniu z nimi byłem już starcem. A gdybym się rzeczywiście przyznał, że jest ze mną źle, i poprosił, by sprawę przekazano komu innemu? Gustaw był moim przyjacielem, podkreślał to zawsze. Jestem twoim dobrym przyjacielem, zapewniał. Dobry przyjaciel, gównio! Mój dobry przyjaciel Gustaw Brandenburg potrafiłby z zimną krwią i bez mrugnienia wysmażyć raport do kierownictwa i nakazać wycofanie mnie z obiegu.

A co z lekarzem?

Muszę po tej rozmowie wpaść jeszcze do naszego zaprzysiężonego lekarza. Na dzisiaj przypadały coroczne rutynowe badania. Od wielu miesięcy czekałem na nie ze strachem. Lekarz oczywiście potrafi ustalić, co się ze mną dzieje. A potem? Co potem?

Rozmyślałem nad tym długo. Miałem tylko jedno wyjście: kłamać. Wszystkiemu zaprzeczać. Jestem zdrowy. Lekarz po prostu źle zinterpretował objawy, które znalazł, które musiał znaleźć. Nie miałem żadnych dolegliwości, absolutnie żadnych, nie! To było jedyne wyjście. W ten sposób nie będą mi mogli nic zarzucić. Prawdopodobnie nic, dobry Boże. Ale jeśli doktor będzie się upierać przy swojej diagnozie? Jeśli mimo wszystko uwierzą jemu, a nie mnie?

Złamałoby to serce Gustawowi, pomyślałem, temu psu, który ze swoich pracowników wyciskał ostatnie soki jak z cytryny i wyrzucał ich, gdy byli ludzkimi wrakami.

– Nie jestem chory – oświadczyłem.

– Cieszę się. Naprawdę, Robercie. Bo wyglądasz okropnie. Co się z tobą dzieje? Nerwy?

Milczałem.

- W domu coś nie gra?
- Yhm.
- Chodzi o Karin?
- Yhm.
- Co z nią?
- Nic szczególnego – odparłem. – To samo co zawsze.

2.

– Dzisiaj w nocy znowu krzyczałeś – powiedziała mi żona.
– Krzyczę przecież każdej nocy.
– Ale nie tak głośno. Dzisiaj było już tak źle, że chciałam cię obudzić, bo Hartwigowie na pewno znowu słyszeli twój krzyk. A pewnie i Thalerowie, i Nottbachowie... – byli to nasi sąsiedzi z piętra oraz z dołu i góry. – Nie wytrzymuję już tych wrzasków, czy tego nie rozumiesz? – Karin nie zamierzała zrezygnować z roztrząsania tematu. Było to półtorej godziny temu. Siedzieliśmy przy śniadaniu i w trakcie rozmowy Karin smarowała masłem bułeczki. Rano dużo jadła i parzyła sobie mocną kawę. Ja w ogóle nie jadłem, piłem tylko herbatę.

– To straszne, bo Hartwigowa stale mi zwraca uwagę na ten twój krzyk. Ciągłe pyta, czy przypadkiem nie jesteś chory. W te twoje koszmarnie sny dawno już nikt nie wierzy. Wszyscy są przekonani, że jesteś bardzo chory. Że to głowa. Hartwigowa powiedziała wczoraj, że powinieneś iść do psychiatry. Zdajesz sobie chyba sprawę, jak się musiałam czuć.

– Tak, to musiało być dla ciebie nieprzyjemne – zgodziłem się, popijając herbatę.

– Ja też uważam – mówiła z pełnymi ustami Karin – że musisz pójść do lekarza. Do psychiatry. To przecież nienormalne, żeby mężczyzna noc w noc krzyczał przez sen. Od dwóch lat! Hartwigowa mówi to samo. Czy poza domem, w hotelach, też krzyczysz?

– Nie wiem – odparłem i zapaliłem papierosa. – Nie przypuszczam.

– A więc zdarza się to tylko przy mnie, tylko w domu – zawyrokowała żona. Nie odezwałem się.

– Tylko przy mnie krzyczy mój mąż. W drodze, jeśli funduje sobie do łóżka jakąś dziwkę, nie krzyczy. A więc to ja jestem wszystkiemu winna. Zawsze ja. Mój ty biedaku! Przeze mnie trafisz jeszcze do domu wariatów, co? Ze mną trudno

wytrzymać, prawda? Budzę w tobie wstręt, czy tak? No, powiedz, powiedz wreszcie, że budzę w tobie wstręt.

Nic nie powiedziałem.

– I do tego tchórz – była w swoim żywiole. – Ma podejrzany zawód, wiecznie go gdzieś nosi po świecie, zostawia żonę samą na całe miesiące i w ogóle już jej nie dostrzega, a gdy zdarzy mu się trafić do domu, ani z nią nie rozmawia, ani jej nie słucha. Słuchasz mnie teraz?

Nie dałem się sprowokować.

– Ty świntuchu – rzekła Karin. – Po dziesięciu latach masz mnie dość, czy tak? Od dwóch lat przecież ze mną nie sypiasz. Nawet mnie nie przytulisz, kiedy wyjeżdżasz lub wracasz. Jak chcę cię pocałować, odwracasz głowę. Brzydzisz się moimi pocałunkami. Powiedz wreszcie, że się brzydzisz.

Nie odezwałem się słowem.

– Powiedz, nędzny tchórze – krzyczała Karin.

Nadal nic nie mówiłem.

– Sądzisz, że się w ten sposób wymigasz? Mylisz się, Bóg cię ukarze, zobaczysz – ciągnęła. – Ty bydlaku. Ty pospolity bydlaku. Tak, jesteś bydlakiem. Na pozór czarujący facet – zajęła się ścinaniem jajka. – Ulubieniec dam, wszystkie są nim zachwycone. Jakiego ma pani uroczego męża, pani Lucas. Boże, jaki miły jest pani mąż. Och, jaka pani musi być szczęśliwa, pani Lucas. Mąż z takim interesującym zawodem. Co odpowiadam? Tak, jestem szczęśliwa. Rzeczywiście mój mąż jest uroczy. A jaki potrafi być szarmancki wobec kobiet! Gdyby te baby wiedziały! Gdyby mogły cię znać tak jak ja. Prawdziwego Roberta Lucasa: bez maski, sadystę, moralnego sadystę. Mężczyznę, który kiedy tylko może, oszukuje i rani swoją żonę. Gdyby mogły wiedzieć, jaki diabeł w tobie siedzi. Słyszałeś, Robercie, co mówię?

– Tak – odparłem.

– Powiedział „tak”. Tak. I nic więcej. Przy swoich zdzirach na pewno jesteś rozmowniejszy. Od dwóch lat ani czułości, ani dobrego słowa, ani jakiegokolwiek porozumienia. Kiedy za ciebie wychodziłam, jeszcze tyle nie zarabiałeś i potrafiłeś być inny. To, co wyprawiałeś w łóżku, zawróciło mi w głowie i doprowadzało do szaleństwa. Wtedy umiałeś mówić. I to jak pięknie. Kocham! Boże, jak ty mnie wtedy kochałeś!

W potoku słów kończyła jeść jajko. Byłem już ubrany do wyjścia, ona siedziała w różowym szlafroku i turbanie na jasnych włosach. W domu Karin od lat zawsze chodziła w szlafroku. Dawniej było inaczej. Miała piękną twarz i nieco obfite kształty, które kiedyś tak mnie podniecały. Oczy szare i skośnie wykrojone, w całej twarzy było coś kociego. Nos mały, podobnie jak usta z bardzo czerwonymi

wargami. Urody dodawały jej długie rzęsy, z których była bardzo dumna. Włosy podcinała krótko i zaczesywała gładko do tyłu. Miała trzydzieści osiem lat, ale ani jednej zmarszczki na twarzy czy w kącikach oczu, kiedy się uśmiechała. Śmiała się jednak bardzo rzadko, a w mojej obecności już od dawna prawie wcale. Znajomi zwrócili mi uwagę, że twarz Karin, piękna i trochę lalkowata, jest całkiem gładka. Lalce nie przystoją zmarszczki. Karin, dziesięć lat młodsza ode mnie, całe godziny poświęcała pielęgnowaniu swojej urody. Była też dumna ze swego młodego ciała, chodziła często do sauny, a dwa razy w tygodniu odwiedzała ją masażystka.

Mieliśmy ładne mieszkanie w bardzo spokojnym, pięknym domu. Tylko dwóch lokatorów na jednym piętrze. Dla dwojga ludzi właściwie za duże. Pełno w nim było rzeczy, do których z biegiem lat się przywiązywałem i które polubiłem. Na przykład moja wielka kolekcja słoni. Kosztowne antyczne meble. Ogromne dywany. Chińskie wazy. Weneckie lustro w pokoju stołowym. W tym samym pokoju kominek. Gablotka z oryginalnymi bibelotami, które zwoziłem z podróży. Kolekcja płyt i gramofon stereofoniczny, biblioteka z półkami pełnymi książek, podchodząca pod sufit. Renesansowe biurko. Rzeźbione renesansowe krzesło z wysokim oparciem. Drobiazgi na biurku: owad w kamieniu, znaleziony kiedyś na Korfu, bożki szczęścia z kości słoniowej, z Singapuru. Alrauna z fińskiego lasu. Muszla z Pacyfiku koło Honolulu. Tak, wiele rzeczy lubiłem niegdyś w moim mieszkaniu. Srebrne wysokie świeczniki. Nasz piękny angielski serwis. Mój wielki zbiór fajek Dunhilla i Savinello. (Już nie palę fajki, tylko papierosy.) Barek wbudowany w rzeźbioną szafę. Sycylijskiego konika stojącego na stoliku obok telefonu. Jaki on był kolorowy i zgrabny w czerwonym pióropuszu i białych sznurach z jedwabiu, z porcelanowym siodłem, jedwabnymi włosami, z których upleciono grzywę i ogon, i z tymi wszystkimi błyszczącymi pajetkami, których mu nie żalowano! Ciągnął dwukółkowy wózek, ot, mały konik do zabawy.

Nasz pokój stołowy był bardzo duży, w części podwyższony o dwa stopnie. Na tym podwyższeniu urządziliśmy coś w rodzaju jadalni. Rozsuwany stół, krzesła obite zielono-srebrzystą materią. Przy stole mogło się pomieścić dwanaście osób. Kiedy byliśmy sami, Karin nakrywała tylko jeden jego skraj. Tu zawsze jadalśmy śniadanie. Kiedyś lubiłem ów śniadaniowy kącik, jak wiele innych w moim domu. Teraz już nie, wszystko mi zobojętniało, z wyjątkiem słoni i sycylijskiego konika. Do tych drobiazgów byłem jeszcze przywiązany. Ale nie smuciłbym się długo, gdyby mi je zabrano. Smuciły mnie inne sprawy, których jednak nikt nie mógł mi odebrać. Niestety.

Nie dopięty szlafrok Karin odsłaniał jej piersi. Miała piękne piersi i pod szlafrokiem niczego nie nosiła. Przed czternastoma dniami wróciłem z Hongkongu,

dwa miesiące nie było mnie w domu. Z pewnością Karin, choć pełna rozterek, czekała na odrobinę czułości, na małe upominki i rozmowy o sprawie, którą tam się zajmowałem. Byłoby to całkiem naturalne, gdybym wracał do niej stęskniony, przywoził upominki i cudowne opowieści z dalekiego świata, wyglądało jednak inaczej. I nie ona była winna, ale ja, na pewno. Ja już po prostu nie mogłem ofiarować Karin tego, czego słusznie ode mnie oczekiwała. Byłem zmęczony, piekielnie zmęczony i zobojętniały. Z miesiąca na miesiąc ten stan się pogarszał. Wyczerpywało mnie nawet mówienie.

Z każdej misji wracałem do domu coraz bardziej wykończony i wypalony i wszystkiemu byłem winien ja, tylko ja. Myślałem: żal mi Karin. Rzeczywiście było mi jej żal. Miała rację, jestem łajdakiem i tchórzem, draniem i życiowym nieudacznikiem. Ale robię to, co mogę. A mogę już tylko porządnie wykonywać swoją pracę. Oddałem jej wszystkie moje siły i rozum, przebiegłość, odwagę i inteligencję. Gdy wracam do domu, dla Karin już nic nie zostaje.

Po wielokroć zastanawiałem się nad tym, a także nad tym, czy powinienem Karin o wszystkim powiedzieć. Wciąż o tym myślałem, lecz nigdy nic nie mówiłem. Nawet to wydawało mi się męczące. Nie chciałem jej wyjaśniać, dlaczego to wszystko tak się skomplikowało, ponieważ nie chciałem współczuć. Nigdy i od nikogo, tym bardziej od Karin.

Nagle zauważyłem, że jej wargi się poruszały, że wciąż mówiła, tylko ja nie potrafiłem jej już słuchać. Myślałem właśnie o owej nocy w Hongkongu, kiedy przeżyłem pierwszy potworny szok. Późnej nocy w hotelu „Hongkong Hilton”...

3.

– Och! Och! Zamęczysz mnie! Zamordujesz! Dalej! No, pchaj! Teraz! Teraz! To szaleństwo! Zwariuję chyba! Chodź, chodź, mój ty pieszczocho. Chodź i ty... czuję, że idziesz... jaki on teraz mocny... tak, tak, tak, teraz!– Krzycząc piskliwym głosem, mała Chinka na moim łóżku miotła głową po całej poduszce, zwijała się i paznokciami wczepiała w mój kark. Opadłem ciężko na dziewczynę. Od czterech miesięcy nie miałem kobiety i byłem bardzo podniecony. Musiałem mieć jakąś i to szybko.

Tego wieczora trafiłem do pływającej restauracji w Aberdeen, miejskiej dzielnicy wyspy. Owe restauracje, podobne do starych amerykańskich „showboats”, zakotwiczone były przed dżonkami, które burta w burtę blokowały i wypelniały

cały port. Można się było do nich dostać sampanem, chińską domową łódką, w której zwykle wiosłowała kobieta. Lokal nazywał się „Sea Food”. Był otoczony czymś w rodzaju basenu, w którym pływało mnóstwo ryb. Można było wskazać kelnerce upatrzoną rybę, wtedy ją wylawiano i przyrządzano, zgodnie z życzeniem.

Jadłem taką właśnie specjalnie przyrządzoną rybę, gdy podeszła do mego stolika bardzo piękna i młodzianka dziewczyna, pytając, czy mogłaby mi dotrzymać towarzystwa. Zaprosiłem ją do stołu, a po kolacji także na drinka. W „Sea Food” panował tłok i kręciło się mnóstwo młodych prostytutek. Moja wybranka powiedziała, że nazywa się Han-jan, co w tłumaczeniu znaczy „Wspaniałomyślny ogród”. Mówiła dobrze po angielsku, choć z wyraźnie obcym akcentem. Wszystko było w niej milutkie: i włosy, czarne jak smoła, i oczy, które wzorem tutejszych dziewczyn kazała sobie zoperować i upodobnić do oczu Europejki.

W „Sea Food” bardzo dużo wypilem. W tajemniczych okolicznościach zmarła żona pewnego bogatego niemieckiego kupca, który w naszej firmie ubezpieczył ją na życie. W wypadku śmierci żony miał zagwarantowane dwa miliony marek, nawet gdyby to było samobójstwo. To nie było jednak samobójstwo, lecz mord, i policja i ja zebraliśmy na to dowody, ale jeszcze nie wszystkie. W Hongkongu było bardzo gorąco, a ja od roku źle znosiłem upały.

Teraz nagi i zlany potem leżałem obok Han-jan, jeszcze szybko oddychając, gdy poczułem niezbyt silne rwanie w lewej stopie. Wynajętym wozem przywiozłem Han-jan do „Hiltona”, który znajdował się przy szerokiej Queensway Central. Nocnemu portierowi, Chińczykowi, powiedziałem, że jest moją sekretarką i że muszę jej pilnie coś podyktować. Znałem go, nazywał się Kimura i nosił okulary z bardzo grubymi szklami. Na prawe oko prawie nie widział. Dyżurował zawsze tylko nocą.

– Naturalnie, sir – powiedział z uśmiechem Kimura, wkładając do kieszeni banknot o sporym nominale. – Niech się pan tylko nie przepracowuje. Pracuje pan stanowczo za dużo, sir. Wszyscy to mówią.

Z wprowadzeniem Han-jan do mego apartamentu nie było więc kłopotu. Cenę ustaliliśmy wcześniej i z góry jej zapłaciłem. Teraz dziewczyna, która tak wspaniale grała swoją rolę, nagle zupełnie zapomniała o rozkoszy i pożądaniu. Rozradowana pobiegła do łazienki, weszła pod prysznic i coś zanuciła. Leżałem na łóżku, paliłem papierosa z uczuciem pustki i rozczarowania. Tak było zawsze, gdy wprowadzałem kogoś i przychodził koniec.

Han-jan wróciła i w pośpiechu się ubierała. Być może tej nocy miała jeszcze jednego klienta. Byłem zadowolony, że tak szybko chce się ulotnić. Odprężywszy

się nieco, ledwie znosiłem jej obecność. Wziąłem również prysznic i ubrałem się, zapalając drugiego i trzeciego papierosa. Paliłem bardzo dużo, niekiedy do sześćdziesięciu papierosów dziennie.

– Odprowadź mnie na dół, proszę, czy możesz? Boję się, że portier rozżołości się, gdy będę sama wychodzić – zapiszczała.

– Zwiozę cię windą.

– Słodki, kocham cię – plotła.

– I ja cię kocham – odparłem. Jakże wytartym słowem jest „kocham”, pomyślałem. Czy na pewno? Wcale nie bardziej wyświechtanym od innych. Słowo pozbawione jakiegokolwiek sensu. Ile razy dziennie powtarzała je Han-jan? Na pewno nie miała jeszcze dwudziestu lat.

– Zobaczę cię jeszcze, najdroższy?

– Wkrótce odlatuję.

– Muszę się z tobą zobaczyć! Koniecznie. Jestem zawsze w „Sea Food”. Przyjdiesz i zabierzesz mnie znowu, prawda?

– Tak – odparłem. Nigdy bym jej już nie przyprowadził do swego hotelu.

Opuściliśmy apartament i z jedenastego piętra, na którym mieszkałem, zjechałszy windą do holu. Nocny portier skłonił się z przyklejonym do twarzy uśmiechem. Wyszedłem z Han-jan na Queensway Central. Jeszcze migotały neonowe reklamy, jeszcze kręcili się ludzie, a szeroką ulicą przesuwały się zwartym szykiem auta. Miasto nie zasypiało nigdy.

– Mogę wziąć taksówkę? – spytała Han-jan. – Pilno mi do domu, wiesz, matka jest chora.

Przywołałem taksówkę. Podjechała. Zapłaciłem kierowcy więcej, niż trzeba, i powiedziałem, żeby zawiózł tę damę, dokąd zechce. Han-jan wspięła się na palce i pocałowała mnie.

– Przyjdiesz do „Sea Food”, prawda? Jesteś cudowny. Jesteś najcudowniejszym mężczyzną, jakiego miałam. Po prostu przyjdź. Szaleję za tobą.

– Tak, tak – zgodziłem się.

– Kiedy przyjdiesz? Przyjdź jutro. Jutro, dobrze?

– Jutro, zgoda – odparłem, pakując ją do wozu. Miałem już dość jej paplani. Zatrzasnąłem drzwiczki. Taksówka odjechała. Han-jan słała mi jeszcze ręką całusy.

Ostatnio miałem ciągle kłopoty z oddychaniem, zdecydowałem się więc na mały spacer. W Hongkongu nawet nocą było bardzo gorąco i parno. Zszedłem w dół Queensway Central, mijając rozświetlone wspaniałe wystawy luksusowych sklepów. Jubilerzy. Salony mody. Futra. Galanteria skórzana. Kwaciarnie. A oto bank. Na stopniach portalu, jak przed wszystkimi bankami tutaj, stali w turbanach na

głowach dwaj olbrzymi, brodaci Sikhowie. Ci Hindusi pilnują banków w Hongkongu dzień i noc. Noszą zawsze dwulufowe strzelby i wyglądają niezwykle groźnie i imponująco.

Między strażnikami na stopniach budynku leżał obszarpany Chińczyk. Spał albo nie żył. Uzbrojeni po zęby Sikhowie nie zwracali na niego najmniejszej uwagi, bezmyślne spojrzenia wtopili w rozświetloną noc. Na ulicach Hongkongu leżało wielu ludzi, nieraz tak załodzonych lub tak pobitych, że się nie potrafili podnieść o własnych siłach. Prawie nikt się nimi nie interesował. Niekiedy brał ich ambulans albo przepędzała policja, co jednak nie zdarzało się zbyt często. Dopiero kiedy pojawiały się muchy, zaprowadzano porządek i wówczas ciała szybko znikwały.

Nachyliłem się nad Chińczykiem. Nie było tu jeszcze much. Rzęził cicho. A więc wszystko w porządku. Podniosłem się i nagle poczułem silny ból przeszywający lewą pierś. Ból objął też lewą rękę, docierając aż do palców. A więc znowu. Już znałem ten ból, jednakże nigdy nie był tak silny. Któryś miesiąc, pomyślałem. Z sercem nie mogło to mieć nic wspólnego. EKG, które przed rokiem zrobił mi nasz lekarz w firmie, było w normie. Może zaszkodziły mi jakieś potrawy albo ten upał. Prawdopodobnie za dużo paliłem. Chciałem teraz jak najprędzej znaleźć się w hotelu. Szedłem szybko, zderzając się z przechodniami. Ból w lewej stopie narastał, stopa stawała się coraz cięższa, miałem wrażenie, że jest z ołowiu. Metr po metrze przebijałem się z Queensway Central w kierunku hotelu. Ból w lewym boku potęgniał. Mocowałem się z powietrzem. Przesuwałem się blisko murów i wystaw, ręką wymacując drogę w obawie przed upadkiem. Do „Hilтона”! Boże, doprowadź mnie do „Hilтона” i mego pokoju. Potknąłem się, musiałem przystanąć. Powietrza, powietrza! Nie mogłem złapać tchu. Dyszałem jak ryba wyjęta z wody. Nie zwróciło to niczyjej uwagi. Kolorowe światła neonowych reklam migotały i wirowały. Także ludzie jakby coraz szybciej się poruszali. Tylko ja z największym trudem posuwałem się do przodu. Lewą nogę już prawie wlokłem za sobą.

To nic, nic, mówiłem sobie, to już było. Za dużo palisz, za dużo pijesz i pewnie zmęczyła cię ta prostytutka. Idioto. Należało ją wyrzucić i zostać w łóżku.

Queensway Central numer 2 A.

Jeszcze chyba ze sto metrów, dla mnie sto kilometrów. Zataczając się wszedłem do holu. Kimura przestraszył się na mój widok i przestał się uśmiechać.

– Co panu jest, mister Lucas?

– Nic, nie czuję się dobrze. Ale wszystko w porządku.

– Gdzie tam w porządku, sir! Usta ma pan... całkiem sine. Pan jest chory, sir.

Zawołałam lekarza...

– Nie! – krzyknąłem. Nagle potrafiłem krzyczeć. – Żadnego lekarza! Zabraniam panu! – Nie potrzebowałem lekarza. Nic mi nie było. A jeśli nawet, to nikt nie miał prawa się o tym dowiedzieć. Gdyby ktoś poznał prawdę, mogłoby to dotrzeć do mojej firmy i co by się wtedy ze mną stało? – Żadnego lekarza, zrozumiano?! – krzyknąłem jeszcze raz.

– Oczywiście, sir, skoro pan sobie nie życzy. Jeśli pan jest przekonany, że wszystko gra. Zawiozę... zawiozę pana na górę!

Weszliśmy do windy. Oparłem się na nim całym ciężarem. Gdybym tylko miał przy sobie lekarstwo... Zawsze nosiłem je w kieszeni, a tym razem zostało w pokoju hotelowym. Na jedenastym piętrze wydawało mi się, że już nie złapię tchu, że nie zrobię jednego kroku. Podłoga korytarza kołysała się pode mną, Kimura prawie mnie włókł. Jestem dość wysoki i ważę siedemdziesiąt sześć kilogramów. Mały Chińczyk męczył się ze mną okropnie. Wreszcie stanęliśmy przed drzwiami. Otworzył je, wprowadził mnie do sypialni, gdzie padłem na rozkopane łóżko, które jeszcze pachniało tanimi perfumami Han-jan. Kimura stał bezradny i przestraszony. Przyglądał się, jak zdzieram krawat i odpinam kołnierz u koszuli.

– Jednak sprowadzę na wszelki wypadek lekarza...

– Nie! – ryknąłem, aż drgnął. – Proszę wybaczyć, tam jest pudełko, niech mi je pan poda.

Było to pudełko z tabletkami nitrostenonu. Brałem je od roku w krytycznych sytuacjach. Pewien handlarz samochodami w Quebecu, którego poznałem na jakimś party i który skarżył się na takie same dolegliwości jak moje, powiedział, że nitrostenon zawsze mu pomaga. Od tego czasu zacząłem go zażywać. Palce mi drżały, gdy otwierałem pudełko. Zsunąłem na dłoń dwie pastylki, wrzuciłem je do ust i szybko rozgryzłem. Obrzydliwość.

– Teraz może pan odejść – zwróciłem się do Kimury. – Zaraz mi przejdzie. Na pewno.

– A jeśli nie...

– Niech pan idzie!

– Tak, sir. Oczywiście, sir. Zadzwonię za parę minut, żeby sprawdzić, jak się pan czuje. Na wszelki wypadek. To mój obowiązek.

– Wynocha! – aż się zdyszałem z wysiłku. – Znikaj pan!

Uklonił się, bardzo zatroskany i poważny.

Zniknął w samą porę, bo zaraz nastąpiło to, na co czekałem cały czas. Imadło. Duże stalowe szczęki ściskające mi pierś. Coraz mocniej i mocniej.

– Ach... ach... ach...

Zabrmieć to musiało jak bolesny jęk torturowanego. Imadło zaciskało się coraz ciśnień, z czoła strumieniami splywał mi pot.

Rozerwałem koszulę. Skurczyłem się, upadłem na łóżko, pot zalewał mi plecy, kark, cały tułów.

– Duszę się, du...

Zagłada. Absolutna zagłada. Takie miałem teraz uczucie. Oto zostaną unicestwiony, teraz i po wszystkie czasy. Strach wzbierał we mnie jak wielki przyptyw. Strach obłędny. Strach, którego nie potrafię opisać. Strach, który już tak dobrze znałem, z którym się zmagalem od prawie roku, który odtąd zawsze zapowiadał śmierć. Ale tak źle nigdy jeszcze nie było.

– Och...

Słyszałem własny jęk. Wpijałem paznokcie w pierś. Ręce miałem lodowate i spocone, taką samą skórę. Lewa dłoń paliła teraz jak ogień. I tak to trwało i trwało. Byłem zdruzgotany, zmaltretowany, stłamszony, zniszczony, tak, tak, tak... to niszczył mnie anioł sprawiedliwości za całe zło, jakie w życiu popełniłem. Jakie ludzie na całym świecie popełniali. Było to straszne i nie do zniesienia. Czułem, jak oczy wypływają mi z czaszki. Piekielne imadło zacisnęło się nieubłaganie. Głowa opadła mi na bok. Pozwól mi umrzeć, Boże, pozwól umrzeć, myślałem. Śmierć wyzwoli mnie od tego wszystkiego. Umrzeć, Boże, daj mi umrzeć, proszę.

Nie umarłem. Nagle gdzieś ulotnił się strach, zniknęło uczucie zagłady, rozsunały się szczęki imadła. Mogłem oddychać, najpierw ostrożnie, potem coraz swobodniej, zaczerpnąłem jeszcze raz powietrza. I jeszcze raz...

Usiadłem rozdygotany na brzegu łóżka. Atak minął, wiedziałem przecież, że przejdzie jak wszystkie dotychczasowe. Muszę po prostu mniej palić. Przekłete papierosy. Ból w piersi ustawał. Potem także w ręce i dłoni. I w stopie. Siedząc na łóżku uświadomiłem sobie, że bardzo wiele osób w takim zawodzie jak mój przeżywa podobne katusze. Nazwano to chyba chorobą menedżerów. Przyczyną moich dolegliwości były nie tylko papierosy. Moja praca niosła stres.

No i ten nieszczęsny dom. I nie może mi pomóc ani urlop, ani lekarz. Miałem świadomość, że to czysto wegetatywna sprawa. Powinienem wszystko zmienić, po prostu wszystko. Ale jak? Choć często podejmowałem tę decyzję, nigdy niczego jednak nie zmieniałem, bo było mi to głęboko obojętne, zupełnie obojętne. Od lat nie potrafiłem się już niczym i nikim cieszyć i na pewno sam nie byłem dla nikogo pociechą.

Przy łóżku zadzwonił telefon.

– Tu portier, mister Lucas. Jak się pan czuje?

– Dobrze – odparłem, znowu oddychając i mówiąc swobodnie. – Nadzwyczajnie.

– Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdziłem. – Przecież panu powiedziałem. Wszystko jest w porządku.

– Cieszę się, sir. Byłem bardzo zaniepokojony. Życzę panu dobrej nocy.

– Dziękuję – to powiedziawszy odłożyłem słuchawkę. Dwie minuty później zasnąłem bez snów i głęboko. Światło paliło się, leżałem na łóżku w ubraniu. Nie musiałem się już sobą zajmować. Obudziłem się dopiero następnego dnia rano o dziesiątej. Story były zasunięte, paliło się światło. Ujrzałem moje pogniecione ubranie, porwaną koszulę i pudełko nitrostenonu. Był to rzeczywiście cholernie skuteczny środek. Pomagał zawsze. Podniosłem słuchawkę, poprosiłem obsługę piętra i zamówiłem śniadanie – tylko dwa duże dzbanki herbaty. Natychmiast po telefonie zapaliłem pierwszego w tym dniu papierosa.

4.

– Robercie!

Przestraszyłem się. Przez moment nie wiedziałem, gdzie jestem, tak daleko odpływałem myślami. Oczywiście w Düsseldorfie. Z Karin. Obiegła stół i pchała mi się teraz na kolana. O ile zapis mojej przygody w Hongkongu wymagał czasu, o tyle wspomnienie o niej musiało się spełnić w jednej, najwyżej w dwóch sekundach.

Karin jednakże niczego nie zauważyła. Ujęła w dłonie moją głowę, pokryła pocałunkami całą moją twarz, gładziła po włosach i szlochała.

– Przykro mi, tak bardzo mi przykro, że to powiedziałam. Jesteś dobry i kochasz mnie, jestem tego pewna. Mimo wszystko, tak, tak, bardzo mnie kochasz. – Szlafrok rozchylił się teraz całkiem, odsłaniając biel ciała, jasne włosy na wzgórku łonowym i różowe szczyty pięknych piersi. Tuliła się do mnie i całowała namiętnie, teraz w usta, piersiami ocierała się o moją pierś, a ja siedziałem z opuszczonymi rękami, drżały mi lekko kolana, gdyż Karin zaczynała mi ciążyć, choć ważyła raptem ze sześćdziesiąt kilogramów.

– Nie jesteś zdrowy – mówiła. – Na pewno nie jesteś zdrowy. Koniecznie musisz iść do lekarza. Obiecasz mi? Musisz mi obiecać, Robercie, proszę!

– Dobrze.

– Jeszcze dzisiaj!

– Jeszcze dzisiaj – zgodziłem się. Dzisiaj byłem umówiony na coroczne rutynowe badanie z lekarzem naszej firmy. Co będzie, jeśli się okaże, że jestem rzeczywiście chory? Niezbyt poważnie, ale jednak chory? Może nawet nie będę

mógł dalej wykonywać swojego zawodu albo będę musiał zrobić przerwę na rok czy dwa. Co potem? Jakkolwiek wszystko było mi obojętne i godziłem się na życie bez radości – to do życia potrzebowałem pieniędzy. Skąd je brać, jeśli przestanę pracować? Skąd? Jeśli nawet zrezygnuje się ze wszystkiego, z życia na dotychczasowym poziomie, trzeba jeszcze płacić czynsz, podatki.

Karin nie zorientowała się, co przeżywam. Nigdy tego nie zauważała. Wciąż mówiła i mówiła, szybko i zapalczywie.

– Dobrze. Dziękuję, Robercie. Dziękuję. I wybac mi wszystko, co nagadałam. Nie chciałam tego, ale musisz mnie zrozumieć. Jestem jeszcze za młoda, żeby... żeby tak żyć. Nigdy bym cię nie oszukała. Nie mogłabym. Nigdy bym się na to nie zdobyła. Chociaż cała gromada facetów pali się do mnie, a tak, wierz mi. Jakże mogłabym się zadawać z byle kim, i to wtedy, gdy ciebie tak długo nie ma i gdy cię kocham? Och, Robercie, Robercie, tak bardzo cię kocham! Tylko ciebie. Zawsze tylko ciebie będę kochać. Wierzysz mi?

– Tak – odparłem. Coraz bardziej ciążyła mi na kolanach.

– I przebaczasz mi wszystko, co powiedziałam? Po prostu się uniosłam. Przebaczysz mi, prawda?

– Tak – powiedziałem. Lewa stopa zaczęła mi nagle znowu dokuczać. Był to ów nieprzerwany ból, który tak dobrze znałem, ale który być może będzie się nasilał, i to prawdopodobnie coraz bardziej.

– Byłam dla ciebie zawsze dobrą żoną, musisz to przyznać, Robercie! Nie było tak?

– Ależ tak – nie miałem zamiaru jej się sprzeciwiać. – Naturalnie.

– Dom utrzymuję w porządku. Dbam o twoją bieliznę, ubranie, o wszystkie telefony i sprawunki, kiedy ciebie nie ma... – To nie była prawda. Zaniedbywała moje interesy, nie przekazywała mi, kto do mnie dzwonił, ubranie od lat zajmowałem się sam. Interesowały ją tylko własne sprawy. Ale po co zaprzeczać? Jaki by to miało sens? Teraz gnębiło mnie co innego – badanie lekarskie. Jeśli będzie trzeba, będę po prostu kłamał, słowo daję. Bóle? Ataki? Nigdy w życiu! Jak pan na to wpadł, doktorze?

– Nie szastam pieniędzmi. Nie oszukuję. Trzymam twoją stronę i bronię cię przed każdym, kto źle o tobie mówi. A niektórzy mówią, wierz mi.

– Tak – znowu się zgodziłem.

– Nie pozwolę powiedzieć o tobie nic złego – mówiła szybko Karin, błędząc dłońmi po moich włosach. – Jesteś przecież najlepszy. Jesteś najukochańszy. Wszystkiemu jest winien twój zawód, a ta przekłeta firma wpędzi cię jeszcze do grobu. Wiem, tylko dlatego się zmieniłeś, że nie jesteś zdrowy. Ale na wszystko

jest rada i jeśli dzisiaj pójdziesz do lekarza, dowiemy się, co ci dolega, i będzie cię można leczyć, prawda?

– Tak – odpowiedziałem.

– Muszą ci dać długi urlop, pojedziemy wtedy nad morze, tak jak zawsze chciałeś. Pojedziemy dokądkolwiek, gdzie będziemy tylko razem, wypoczniesz, będziemy spacerować i kiedy wyzdrowiejesz, naprawdę wyzdrowiejesz, wtedy... wtedy znowu będziemy spać w jednym łóżku, prawda?

– Tak – odparłem.

– I wszystko będzie jak dawniej – zawołała. – Wszystko! Czy pamiętasz jeszcze, jak było dawniej? Jacy byliśmy szaleni? Naprawdę szaleni. A ja... ja nigdy nie będę cię do niczego zmuszać. Sam przyjdiesz do mnie, bo przecież wciąż mnie kochasz, a teraz tylko źle się czujesz, prawda?

– Tak – rzekłem.

– Nie potakuj tylko – głos jej stał się błagalny. – Powiedz, że to tylko przez twoje złe samopoczucie i że ty też mnie kochasz, proszę!

– Kocham cię. A wszystkimu winne jest moje złe samopoczucie – powtórzyłem. Rwanie w stopie nasiliło się istotnie, a przenikający mnie ból sprawiał, że miałem wrażenie, jakby noga nie należała już do mnie. Robiła się drętwą, martwą i ciężką jak ołów – i to akurat dzisiaj, w dniu, kiedy miałem iść do lekarza. Zza twarzy Karin rzuciłem spojrzenie na stół i spostrzegłem, że mój papieros wypadł z popielniczki i wypalił dziurę w obrusie.

– Powiedz mi jeszcze raz, Robercie, że mnie kochasz i że jestem głupia gęś!

– Jesteś głupia gęś, kocham cię – powtórzyłem jak automat. Objęła mnie, przylegając całym ciałem. Jej głowa spotkała się teraz z moim policzkiem, podbródek z ramieniem. Zerknąłem ku oknu. Na dworze padało i wiał silny wiatr.

Działo się to 12 maja 1972 roku, w piątek, około ósmej. Siedzieliśmy przy śniadaniu w naszym mieszkaniu na trzecim piętrze, w domu pod numerem 213 przy Parkstrasse w Düsseldorfie. Tego ranka nie chciało się przejaśnić i, jak na tę porę roku, było jeszcze bardzo chłodno. Ból w piersi i stopie nagle zniknął. Pomyślałem sobie, że u lekarza powinno się wszystko udać.

Musi, a co się tyczy sceny, którą mi właśnie zrobiła Karin – to wiecie państwo, tak byłem już do tego przyzwyczajony, że nie reagowałem. Znałem początki gniewu, wymyślania i przekleństwa, znałem finałowe prośby, fałszywe pojednania i moje fałszywe obietnice, nic nie było mi obce. Zobojętniałem na to, całkiem zobojętniałem, na wszystko.

W Düsseldorfie padało już od trzech dni.

5.

Z tym wszystkim oczywiście nie zdradziłem się przed Gustawem Brandenburgiem ani słowem. Kiedy spytał, co z Karin, wzruszyłem tylko ramionami:

- Nic szczególnego. To samo, co zawsze.
- Do diabła! – Gustaw próbował znowu grać rolę troskliwego ojca. – Ta kobieta jeszcze cię dobije, zobaczysz.
- Ach – westchnąłem tylko.
- Żadne „ach”! Zawsze ci to mówiłem! Jak długo się znamy? Dziewiętnaście lat, chłopie! I byłem twoim świadkiem na ślubie. Pamiętasz jeszcze ten przekłety listopadowy dzień dziesięć lat temu? Stałem za tobą w urzędzie stanu cywilnego, facet się pytał, czy chcecie i tak dalej, a ja się odezwałem, i to tak głośno, że wszyscy chyba usłyszeli, ale było mi to obojętne, i powiedziałem: „Mów nie, Robercie, na miłość boską, mów nie!” Powiedziałem tak czy nie?
 - Powiedziałeś.
 - Skandal zrobił się wtedy pierwszorzędny, musisz przyznać.
 - Przestań już, był skandal i wszystko, jak mówisz.
 - Ale ty nie powiedziałeś nie, tylko przytaknąłeś. Już wtedy dobrze poznałem się na twojej żonie. Ładna. Dobra do prowadzenia domu. Niezbyt rozgarnięta. Nie rozumie cię. Nigdy cię nie rozumiała. Nienawidzi twego zawodu. Zawsze go nienawidziła. Sentymentalna. Drobnomieszczańska. Chłopie, jak mogłeś sobie tak zafajdać życie? Pewnie ci musiał stawać pod szyję, innego wytłumaczenia nie ma.
 - A stawał. – Pomyślałem, że muszę mu potakiwać, podtrzymywać w dobrym humorze i naturalnie przyjąć zlecenie. Bądź co bądź, oddałem się znowu od Karin i to już było coś. W mojej sytuacji należało być wdzięcznym za wszystko. – Po prostu paliłem się do niej.
 - Ale w pijanym widzie mówiłeś mi kiedyś, że się zawsze awanturuje, jak w łóżku za ostro chcesz figlować.
 - To mnie tak podniecało! A ją też rozgrzewało do białości. Nie rozumiesz tego?
 - A tobie w głowie tylko rżnięcie! – rzekł Gustaw. – Jesteś od niej o dziesięć lat starszy, powinieneś więc wiedzieć, że fiut nie będzie wiecznie stał przy takiej. Zresztą przy żadnej. Dlaczego ja się nigdy nie ożeniłem, he? Biorę, kiedy mnie przypili, a potem siup, wynocha i tyle.
 - Może ty – odpowiedziałem.

– Co znaczy: „może ty”? Słuchaj, Robercie, nie jesteś jeszcze taki stary, więc nie jest za późno. Musisz zmienić swoje życie. Musisz odejść od Karin, mówię ci to od lat. Oczywiście dzisiaj rano znowu się awanturowała. Nie kręć głową, awanturowała się, poznaję, widzę to po tobie, znam cię lepiej niż ty siebie.

Czy stać cię na to? pomyślałem.

– No dobrze – odparłem. – Znow robiła mi okropne sceny. – Wstałem i rozemiałem się. – Zaskoczony byłem tylko w pierwszym momencie, rozumiesz, Gustawie? Wyświadczysz mi przysługę, jeśli pošlesz mnie do Cannes, wielką przysługę. Wyjadę od niej. Zawsze się cieszę, kiedy wyjeżdżam.

Spoglądał na mnie niepewnie.

– Ale to nie jest rozwiązanie – rzekł, parszkając popcornami.

– Doskonale, że bierzesz tę sprawę. To mnie cieszy. Naprawdę cieszy. Ale kiedyś musisz wrócić. Co potem? Przecież zaczniesz się to samo.

– Nie – zaprzeczyłem, choć równie dobrze mogłem powiedzieć „tak”.

– Zrobisz coś wreszcie? Rozejdziesz się z Karin?

– Tak – odpowiedziałem. – Rozejdę się z Karin. – I pomyślałem: ani mi się śni. W życiu każdego człowieka pojawia się kiedyś rysa. Czasem wcześniej, czasem później. Jeden od tego umiera, drugi potrafi żyć dalej. Można żyć, jeśli się to przezwycięży. Miliony tak żyją, na pewno wiele milionów. Prawdopodobnie większość ludzi. Porzucili wszelką nadzieję. Już w ogóle nie wiedzą, czym jest nadzieja. I wcale nie chcą wiedzieć. Zadowoleni są z tego, jak jest. Ja też przecież będę zadowolony, jeśli teraz polecę do Cannes, a lekarz nie podniesie alarmu. Byle dalej od domu, który dawno przestał być domem, byle dalej od żony, która dawno nie jest moją żoną. Naturalnie może się zdarzyć inaczej, ale i z tym, co jest, można się pogodzić. Jakoś to będzie, znam siebie. Muszę pozostać w zawodzie, to ważne. Muszę utrzymać swoje stanowisko. Muszę zarabiać. Myślałem o tym wszystkim, gdy tymczasem Gustaw, już teraz w pośpiechu, przekazywał mi akta, papiery, bilet lotniczy i klucz kodowy do telegraficznej korespondencji, bez przerwy instruował mnie i dawał rady. Już w ogóle nie zwracałem na niego uwagi. Wiedziałem, co mam zrobić. Robiłem to od dziewiętnastu lat.

6.

Lekarz „Globalu” nazywał się Wilhelm Betz i przyjmował w nowym budynku przy Grafenberger Allee. Był to elegancki pan około czterdziestki. Wyglądał dość pretensjonalnie z prostymi, śnieżnobiałymi i gęstymi włosami, z którymi kontrastowała świeża opalenizna, bo wrócił właśnie z urlopu. Pozycję miał pierwszorzędną: lekarz zatrudniony przez trzy wielkie towarzystwa i do tego bogaci prywatni pacjenci.

Skończyło się badanie. Siedziałem naprzeciwko Betza przy biurku z ciężkiego czarnego hebanu; niby-konferencyjna sala była urządzona w nader osobliwym guście. Pomieszczenie wypełniała pokaźna liczba afrykańskich rzeźb i masek, które wisiały na kredowobiałych ścianach. Wszędzie na czarnych meblach porostawiano hebanowe figurki. Na podłodze stał ponad półtorametrowy potwór, przedstawiający boga płodności z półmetrowym chyba członkiem. Z penisem tym konkurował drugi na biurku, uzupełniony jądrami, prawdziwa osobliwość. Doktor Wilhelm Betz stale manipulował przy hebanowym organie męskim, co wyglądało na przyzwyczajenie ujawniające się w momencie wzmożonej koncentracji. Miał przed sobą moje dwa elektrokardiogramy – aktualny i sprzed roku. Oglądał je długo, aż zacząłem się niepokoić. Po piętnastu przysiadach zabrakło mi niemal tchu, ale je wykonałem i czułem się właściwie bardzo dobrze. O szyby zacinął teraz deszcz, zbliżała się dwunasta, pogoda stawała się coraz obrzydliwsza. Jeszcze z biura zadzwoniłem do Karin i powiedziałem jej, że lecę do Cannes i żeby mi zapakowała bieliznę i ubrania do dwóch walizek oraz torby podróźnej. Byle nie tropiki i letnią odzież, gdyż w Cannes, jak i u nas, ma być rzekomo chłodno. Taką informację zdobyła sekretarka Gustawa. Karin zaniemówiła z wściekłości i po prostu odłożyła słuchawkę. Przysięgałem jej przecież, że pojadę na urlop...

– Proszę? – Z rozmyślań wyrwał mnie głos doktora Betza. Patrzył teraz na mnie poważnie, jedną dłonią poprawiając modne okulary w czarnych oprawkach, drugą masując monstrualny członek.

– Czy miewa pan bóle? Bardzo silne bóle? – spytał.

– Bóle? Bardzo silne? Ja? – Uniosłem brwi. Więc jednak coś tam było. Czyli trzeba będzie zagrać tę rolę, i to bezbłędnie. – Skądże znowu! Czy coś nie w porządku?

– Nie mam jeszcze obrazu krwi, cukru, cholesterolu i tych innych rzeczy. Trzeba będzie poczekać na wyniki z laboratorium. Ale nie podoba mi się pańskie ekg. Zupełnie mi się nie podoba.

Intensywnie bawił się teraz członkiem.

– Czemu? Ostatnie...

- Ostatnie pańskie ekg jest zupełnie normalne.
- No więc?
- Ale ma już rok. – Betz wstał i zaczął chodzić po pokoju. Naprzeciw bożka płodności stała bogini płodności z wydętym brzuchem i obwisłymi piersiami. Betz krążył między swoimi skarbami. – Panie Lucas, ma pan czterdzieści osiem lat, prawda?
- Tak.
- To niebezpieczny wiek.

I komu to mówisz, pomyślałem.

- Pali pan dużo, prawda?
- Stosunkowo dużo.
- Ile? Czterdzieści papierosów dziennie? Pięćdziesiąt?
- Już ze sześćdziesiąt.
- Rzuci pan palenie. – Zatrzymał się przede mną, pachnący miętą i jakąś drogą wodą toaletową, i mówił mi prosto w twarz. – I to natychmiast. Definitywnie. Ani jednego papierosa. Nie będzie to łatwe, ale żądam tego od pana. W przeciwnym razie... – Zawiesił głos, by tym, co powie, wyrzucić większe wrażenie.
- W przeciwnym razie co, panie doktorze?
- Będzie pan musiał za rok złożyć podanie o wcześniejszą emeryturę. Jeśli się panu poszczęści i przeżyje ten rok.

Zerwałem się z krzesła tak gwałtownie, że zderzyłem się z nim.

- Co to znaczy? Czyżby ekg było tak złe, że pan...
- Niech pan siada. Pańskie ekg jest złe. Może nie katastrofalnie złe, ale bardzo złe w porównaniu z poprzednim. – Stawiał mi teraz pytania, na które powinienem był odpowiadać twierdząco. Był to dobry lekarz. „Global” nie angażowałby durnia.
- Czy często miewa pan ataki?
- Ataki?
- Mam na myśli ataki serca. Takie naprawdę bolesne ataki z potami, dusznością i uczuciem strachu, z bardzo silnym uczuciem strachu. – Biurkowy członek znowu był maltretowany.
- To przecież... Nigdy, panie doktorze, daję słowo. Nigdy.
- Naprawdę?
- Dlaczego miałbym pana okłamywać?
- Oto jest pytanie – rzekł.
- Panie doktorze, mam bardzo dobrą umowę o pracę. Jeśli pójdę na emeryturę, wypłacać mi będą cztery piąte poborów, a moje są bardzo wysokie. Po co więc miałbym kłamać? – Mam nadzieję, że się nie dowie, pomyślałem. Bo właśnie skłamałem. Przechodząc na emeryturę, otrzymałbym jedną trzecią pensji. Musiałem go odwieść od ostrzeżenia „Globalu”.

- No dobrze, a więc nie miał pan jeszcze napadów stenokardialnych.
- Jak pan powiedział?
- Stenokardia. Niedotlenienie serca. Jeśli będzie pan palił doczeka się takich ataków, gwarantuję, a są bardzo nieprzyjemne.
- Rzucę palenie, zrobię wszystko, panie doktorze.
- Czy potrafi pan jeszcze normalnie chodzić?
- Nie rozumiem.
- Co ze stopami? Bolały?
- Nie.
- Nawet przy szybkim chodzeniu?
- Nie, nigdy.
- A zwłaszcza lewa? – Palcem opukiwał bez przerwy żołądź prącia.
- Ależ skąd, panie doktorze – zaśmiałem się, choć nigdy nie czułem się mniej usposobiony do śmiechu.
- Przewlekłe bóle w lewej nodze? – upierał się, bębniąc teraz palcem.
- Ależ nie.
- Uczucie, że lewa noga ciąży, że jest jakby z ołowiu?
- Przecież bym panu powiedział!
- Na pewno? – patrzył na mnie przeciągle, potem podszedł do okna i zainteresował się deszczem. – Dotkliwe bóle po lewej stronie klatki piersiowej? – spytał.
- Nie.
- W lewym barku, promieniujące na lewą rękę i dłoń?
- Nigdy w życiu!
- A „Hongkong-Hilton”? A Han-jan? Ów „Wspaniałomyślny Ogród”!
- Czy nigdy nie wydawało się panu, że jest już stary i zmęczony?
- Uśmiechnąłem się ironicznie.
- Starość? Czuję się w tak dobrej formie, jak nigdy przedtem. Dzisiaj po południu lecę do Cannes. Dwa tygodnie temu byłem jeszcze w Hongkongu. Stary? Śmieszne!
- To wcale nie jest śmieszne – stwierdził cicho. Zauważyłem nagle swoje odbicie w szybie okiennej. Ponieważ na dworze było dżdżysto, na biurku paliła się lampa, której blask padał na mnie. Betz widział mnie więc dokładnie, nawet kiedy był do mnie odwrócony plecami.
- Miał pan napady osłabienia. – To było stwierdzenie.
- Nigdy.
- Zawroty głowy?
- Nigdy.
- Boże, recytował cały katalog moich objawów.
- Bóle głowy?
- Nigdy w życiu nie bolała mnie głowa.

– Zmęczenie, obniżona sprawność?
– Niech pan zapyta mego szefa. Nigdy jeszcze nie działałem tyle, co w ostatnich latach.

– No tak – rzekł Betz, potem westchnął. – Czy jest pan wrażliwy na gorąco?
– Nie i nigdy nie byłem.

Czułem się coraz marniej. Ale dalej szczerzyłem zęby, miał mnie przecież w tej szybie okiennej.

– Czy miewa pan trudności z koncentracją?
– Nie zauważyłem.

Odwrócił się i jak narciarz zaczął w wielkiej przestrzeni wymijać rzeźby, poprawił jakąś maskę na ścianie, wrócił do biurka i usiadł.

– No, pięknie, panie Lucas. Być może mówił pan prawdę...

– Pan wybacz!

– No, no, proszę się nie denerwować. – Popatrzył na mnie poważnie. – Mógł pan równie dobrze kłamać. Nie wiem. Nie mogę zajrzeć do pańskiego mózgu. Widzę tylko to ekg. Leci pan do Cannes?

– Muszę.

– Nikt nie musi.

– To bardzo pilne.

– Nic nie jest pilne, jeśli człowiekowi grozi śmierć.

– Panie doktorze, naprawdę proszę do mnie w ten sposób nie mówić! Czuję się zupełnie zdrow. Czuję się sprawniejszy niż dawniej. Młodszy niż przed laty. Bardziej wypoczęty. – Same kłamstwa. Dlaczego właściwie kłamałem? Dlaczego nie przerwałem i nie powiedziałem prawdy? Boby mnie wtedy zwolnili z pracy i z całą pewnością przenieśli na emeryturę. Musiałbym żyć za marne grosze. U boku Karin. Zawsze z nią.

– No dobrze – rzekł Betz – dajmy temu spokój. Niech pan leci do Cannes. Ale naprawdę radzę rzucić palenie, w przeciwnym razie doigra się pan i wszystkie te symptomy, których rzekomo jeszcze pan nie miał, na pewno się pojawią. Byłoby zresztą lepiej, żeby je pan miał.

– Czemu?

– Mógłby pan wtedy rozsądniej żyć i naprawdę zerwać z paleniem. Ale jak pan chce. Gdyby na południu... bądź co bądź, zmiana klimatu, nowe napięcia... no więc gdyby w Cannes wystąpiły jakieś dolegliwości lub nawet atak, niech pan natychmiast wraca.

– Obiecuję – i mówiąc to, pomyślałem: gównno.

– Nie musi mi pan obiecywać. Z obowiązku muszę wyniki badań przedstawić kierownictwu firmy, a oni zadecydują, co dalej. – Fatalna perspektywa, pomyślałem. – W zasadzie jednak towarzystwo interweniuje tylko w wypadku choroby naczelnego kierownictwa i trudnych do zastąpienia wysokiego szczebla

urzędników – Zacząłem nabierać otuchy. – Pan nie należy do naczelnego kierownictwa i w razie potrzeby można będzie pana zastąpić, prawda? – Teraz byłem już dobrej myśli.

– Tak – odparłem – w razie potrzeby na pewno. W razie potrzeby każdego człowieka można zastąpić. – Musiałem jeszcze o coś spytać. – Panie doktorze, co właściwie wykazało ekg? Co według pana dzieje się z moim sercem i stopami?

– Powiedziałem już panu: zaburzenia w krążeniu. Nazywa się to *claudicatio intermittens*, jeśli dobrze postawiłem diagnozę. *Claudicatio* znaczy kulawość.

Ma świra na punkcie tego członka, przeszło mi przez myśl. Może jest impotentem?

– I na to nie ma rady?

– Jest. Nie palić. I brać lekarstwa.

– Jakie?

– Skoro, jak pan mówi, nie miał pan jeszcze żadnych tego rodzaju objawów, zapiszę panu coś profilaktycznego. – Nagryzmołił coś na recepcie, oderwał kartkę, przybił pieczętkę i podał przez stół. Przepisał nitrostenon. Ów nitrostenon, który od roku brałem, gdy zaczynały się bóle w piersi i ręce. To już było śmieszne. Diabelnie śmieszne. – Jeśli wystąpi atak, proszę zażyć jedną lub dwie pastylki. Rozgryźć. Poza tym przepiszę panu jeszcze jeden środek. Jak powiedziałem, nie wiem, czy pan mówił prawdę. To pańskie życie, nie moje.

– Panie doktorze, proszę mi stale nie wmawiać, że pana oszukuję, i...

Wstał nagle.

– Przepraszę pana teraz. Mam o dwunastej ważne spotkanie. Przyjemnej podróży. – Podał mi rękę, chłodną i suchą, bez uścisku.

Drugą masował olbrzymi członek. Cóż za oryginał z tego lekarza! Tacy tworzą świat.

7.

– Nie mógł przecież znowu podrożyć! Już trzeci raz w tym roku drożeje. Najpierw butelka kosztowała tylko pięć dziewięćdziesiąt, teraz siedem siedemdziesiąt pięć. Jak tak można, panno Nanito? – Stara, zgarbiona kobieta w szarym płaszczu miała szarą twarz, szare włosy, dłonie pocętkowane pigmentem, buty rozdeptane i w stanie rozkładu, trzęsącą się głowę. Kaszłała. Kaszel miała obrzydliwy.

Gdy wszedłem, staruszka była jedyną klientką w aptece, naprzeciw niej zaś stała młoda, piękna dziewczyna w białym kitlu. Zawsze odwiedzałem tę aptekę, znajdowała się w pobliżu mego mieszkania. Między starą klientką i dziewczyną leżało na szklanej ladzie pudełko. Staruszka nie zwracała na mnie uwagi. Trzymała zamknięty parasol, z którego na wyłożoną kafelkami podłogę ściekała woda.

– Bardzo mi przykro, pani Prawos – powiedziała dziewczyna nazwana Nanitą – bardzo mi pani żal! Lekarstwa drożęją, tak samo zresztą jak wszystko inne.

– Ale ten syrop na kaszel muszę mieć, pani przecież wie, panno Nanito! Zna mnie pani od lat. Kasa nie zapłaci za niego. Jest za drogi i mój lekarz mi go nie przepisze. Muszę więc sama zapłacić. Ale to jedyne, co pomaga. – Staruszka zauważyła mnie dopiero teraz. – Proszę wybaczyć... – zaniósła się kaszlem.

– Nie ma sprawy – odparłem i uśmiechnąłem się do niej i do dziewczyny. Nanita odwzajemniła uśmiech. Znaliśmy się od dawna.

– Żeby to tylko chodziło o syrop na kaszel! – Gorycz staruszki nie miała końca. – Ale wszystko jest coraz droższe. Po prostu wszystko. Mleko, masło, chleb, mięso, znaczki, wywóz śmieci... Ach, Boże, i jeszcze ta „Luisenhöhe”!

– Kto?

– No ta... ale ja pana zatrzymuję.

– Ależ nie – odparłem i pomyślałem: Kto wie, czy Brandenburg nie odwoła mnie, gdy dotrze do niego orzeczenie doktora Betza. – Co to za „Luisenhöhe”?

Z każdym słowem staruszka gorączkowała się bardziej, jej twarz drżała, paraliżowała ją troska o własne życie, największa jej troska i największe cierpienie.

– „Luisenhöhe” to prywatny pensjonat dla starców. Cudowny. I tak spokojny, w parku. Zawsze chciałam tam być. To było moje marzenie od lat. Ach, mieć tam pokój!

– I co? – spytałem. Co będzie ze mną, jeśli mnie wyrzucą i będę musiał zostać z Karin, chory? Czy wytrzymam?, myślałem.

– I nic – odparła pani Prawos. – To podłość, to straszna podłość. Widzi pan, mój mąż, Bóg niech ma go w swojej opiece, pracował na poczcie. Jestem rencistką. Mój Otto dwanaście lat już nie żyje, oszczędzał i oszczędzał, a ja to wszystko odziedziczyłam. Było tego jedenaście tysięcy sześćset marek. Złożyłam je na książeczkę oszczędnościową, bo pomyślałam, że jeszcze je wydam, a tak będą bezpieczne i starczy mi na kupno tego pokoju w „Luisenhöhe”

– Niechże się pani tak nie denerwuje za każdym razem – wtrąciła Nanita.

– Muszę! – zawołała staruszka. – I ten pan zapytał! A może to już pana nie interesuje?

- Ależ naturalnie – powiedziałem i dałem Nanicie znak, że mi się nie śpieszy.
- A więc widzi pan, zdecydowana byłam kupić ten pokój, żeby go mieć do końca, a swoją rentę chciałam przeznaczyć na utrzymanie i na opłatę różnych innych rzeczy. Z reguły każdego miesiąca odkładałam nawet jeszcze trochę na książeczkę, żeby starczyło. I wie pan, co się stało?
- Co?
- Na trzy i pół procent wzięli moje pieniądze! Trzy i pół procent! A pożyczają na osiem procent i więcej! Jak ludzie mogą być tak niegodziwi! Jak to jest, że nam wszystkim maluczkim dają trzy i pół procent, a zabierają osiem i coraz bardziej się bogacą, i sobie te marmurowe pałace budują?
- Tak właśnie jest, niestety – powiedziałem i przez chwilę zastanawiałem się nad tym, co miała na myśli Brandenburg, kiedy zapytał, czy „Global” rzeczywiście dalej robi regularne długi funtowe, aby obłowić się potem przy dewaluacji. – Komu pilnie trzeba pieniędzy, zapłaci nawet osiem procent.
- Tak – zgodziła się pani Prawos – ale nawet wtedy kredyt wymaga poręczenia. Nie mam żadnego. Siedem lat temu na pewno miałabym szansę. – Westchnęła głęboko, przecierając dłonią oczy.
- Jaką szansę? – spytałem.
- Że się ulokuję w „Luisenhöhe”. Wtedy żądali za pokój dwanaście tysięcy marek. Od biedy zebrałabym jeszcze taką sumę. Ale nie było wolnego pokoju i powiedzieli, że mam czekać. Czekać rok. Po roku zażądali już czterestu tysięcy! A ja coraz bardziej byłam do tyłu z tymi moimi trzema i pół procentami! Z powodu drożyzny coraz mniej udaje mi się zaoszczędzić z renty. I tak z każdym rokiem robi się coraz gorzej. Wie pan, ile dzisiaj żądają za pokój? Osiemnaście tysięcy! W przysłym roku, kto wie, dojdzie może do dwudziestu. Nigdy go nie dostanę, nigdy nie będę miała tego pokoju. Ale marmurowych pałaców jest coraz więcej!
- Mogłaby pani pójść do państwowego domu starości – rzekłem. – Prowadzą je organizacje opieki społecznej i charytatywne. Jestem pewien, że wydział opieki społecznej mógłby pani pomóc.
- Ale ja tam nie chcę! Mówię panu przecież, że mój mąż pracował całe lata na poczie! Mieliśmy naprawdę piękne mieszkanie. Na starość chcę też ładnie mieszkać. Czy to za duże wymagania, mój panie? Dlaczego nie mogę go dostać? Dlaczego w „Luisenhöhe” jest coraz drożej? Dlaczego w banku dają tylko trzy i pół procent? Kto sprawia, że to wszystko tak wygląda?
- To trudne do wyjaśnienia – odparłem i pomyślałem, że pani Prawos na pewno by mogła otrzymać te swoje sześć czy siedem procent, gdyby na jej książeczce oszczędnościowej figurowało paręset tysięcy marek. – Na całym świecie

dzisiaj tak jest. Wszędzie banki postępują tak samo, wszędzie wszystko nieustannie drożeje.

– Tak – przyznała pani Prawos. – To samo mówi student, który w sąsiedztwie wynajmuje mieszkanie, to samo. A wie pan, co jeszcze mówi?

– Co?

– Że bogaci będą coraz bogatsi, a biedni coraz biedniejsi. Teraz mu wypowiedzieli.

– Czemu? – spytała Nanita.

– Bo wygaduje takie rzeczy – odpowiedziała pani Prawos. – Takie i jeszcze inne. Ludzie, którzy mu wynajmują pokój, mówią, że jest komunistą. Czyta wiele książek i opowiada potem ludziom, co w nich jest. Na przykład o nieszczęściu.

– A cóż on mówił o nieszczęściu? – To mnie zainteresowało. Po wizycie u doktora Betza i rozmowie z nim byłem bardzo zmęczony i mogłem już myśleć tylko o tym, że mój samolot odleci za dwie i pół godziny i że z tego miasta wyniosę się znowu do innego obcego miasta, gdziekolwiek, gdzie będę sam. Od wielu lat najbardziej lubiłem być sam. Nawet w chorobie nie chciałem mieć w pobliżu Karin, tym bardziej nie chciałem jej obecności w godzinie śmierci.

– Nieszczęście nie zjawia się jak deszcz, tak mówił ów chłopak, przynoszą je ci, którym daje korzyść – relacjonowała staruszka.

– Brecht – wtrąciła się Nanita. – Tak pisał Brecht.

– Zgadza się. Tak, student mówił to samo. Czy ten Brecht to komunista?

– Nie żyje – powiedziała Nanita.

– A był komunistą?

– Tak – odparła Nanita.

– To i ja z tym studentem nie będę rozmawiać – oświadczyła smutno stara kobieta i odkasłała flegmę. – Co za miły chłopak. Z tymi długowłosymi, no wie pan, nie ma nic wspólnego. Krótko przystrzyżony, zawsze czysty i uprzejmy, pomaga mi w zakupach i przy sprzątaniu mieszkania, a w zimie nosi węgiel z piwnicy. Mieszkam w starym budynku, nie mamy centralnego ogrzewania. Węgiel też podróżował ostatniej zimy. Ale jeśli ten student rozgłasza takie komunistyczne rzeczy, nie mogę już się z nim zadawać. Niektórzy mnie przed nim ostrzegali. Nie chciałam wierzyć, że on również jest komunistą. Teraz chyba muszę. Komuniści są przecież naszym największym zagrożeniem.

– Jakże to? – spytałem.

– Nie uznają prywatnej własności – odparła staruszka, zanosząc się kaszlem. – Mówią, że wszyscy ludzie są równi. Co za bzdura! Wywłaszczają wszystko. A więc siedem siedemdziesiąt pięć – pani Prawos wróciła do rzeczywistości i z małej portmonetki wysuptyływała na ladę monety, podczas gdy Nanita pakowała jej do

torebki syrop. – Dzisiaj po południu dostanę odpowiedź, czy „Luisenhöhe” zgodzi się na rozmowę. Ma się właśnie zwolnić pokój, bardzo mały oczywiście, całkiem malutki.

– Trzymam za panią kciuki – powiedziała Nanita.

– Dziękuję – odparła pani Prawos. – Ale już tyle razy mówili, że coś dla mnie mają, i nie było nic. Nie, nie, nigdy się chyba nie doczekam, że mój sen się spełni.

Pomyślałem: ta mała pani ze swym wielkim marzeniem o pokoju boi się wywłaszczenia. Jutro funt puszczone zostanie na żywiol i zdewaluowany o osiem procent. Gustaw Brandenburg przypuszcza, że Herbert Hellmann odebrał sobie życie. Dlatego lecę teraz do Cannes, aby zbadać, czy Gustaw ma rację. Myślę, że Herbert Hellmann mógłby starej pani Prawos wyjaśnić, skąd przyszło nieszczęście i za czym sprawą.

8.

Padło dalej.

Siedziałem z Karin w restauracji na piętrze portu lotniczego Lohausen. Piliśmy herbatę i czekaliśmy na wywołanie mojego samolotu. Nie zapowiadano go jednak, lecz tylko z kwadrans na kwadrans przesuвано godzinę odlotu. Piloci przywracali „służbę zgodnie z regulaminem”, żądali więcej pieniędzy i wszystkie maszyny miały opóźnienie przez ten ich strajk. Restauracje, hale i wszystkie poczekalnie portu lotniczego wypełnione były zmęczonymi i zdenerwowanymi ludźmi. Płakały dzieci. Przy naszym stoliku siedziało jeszcze amerykańskie małżeństwo. Nie zamówili niczego, tylko oglądali stosy fotografii, które on wyciągnął ze skórzanej torby. Jego żona nosiła okulary z grubymi szklami. Porozumiewali się szeptem. Siedziałem z Karin przy oknie i przez dużą szybę, zmywaną uporczywym deszczem, patrzyłem na płytę lotniska i stojące tam maszyny i cysterny. Wszystko to spowijał welon mgły, a przenikająca z zewnątrz wilgoć, mokre ubrania i buty sprawiały, że wielu ludzi w restauracji kaszlało lub kichało.

– Uwaga, uwaga – odezwał się dziewczęcy głos w głośniku. – Linie KLM zawiadamiają, że lot numer 451 do Londynu przesunięty został mniej więcej o godzinę. – Zapowiedź została powtórzona po angielsku.

– *Now look at me here, at the Hofbrauhaus* – odezwał się Amerykanin, wskazując na fotografię.

– *It's just cute* – stwierdziła jego żona.

Karin tylko dlatego pofatygowwała się ze mną na lotnisko, że wóz musiał wrócić do miasta. Siadłem za kierownicą admirała, ona obok mnie. Była bardzo zła i nie odezwała się słowem. Gdy wróciłem do domu, zastałem zapakowane walizki i miękką torbę podróżną. Nie było już żadnych uwag na temat mojej obietnicy, tak bezwzględnie złamanej. Nie zamieniliśmy nawet pięciu słów. I oto siedzieliśmy tutaj od przeszło godziny, trwając dalej w milczeniu. Coraz to jakaś maszyna przylatywała lub startowała, autobusy przywoziły do samolotów pasażerów lub ich odwoziły. Lecz wszystko to działo się jak w zwolnionym tempie i raz po raz odzywał się dziewczęcy głos z głośnika: „Uwaga, uwaga. Lufthansa zawiadamia, że lot numer 567 do Nicei przez Paryż przesunięty został o kolejny kwadrans”.

Właśnie powtórzono komunikat po niemiecku i angielsku i głośnik się wyłączył, gdy niespodziewanie odezwała się Karin.

– Powodzenia w Cannes – rzekła.

– Dziękuję.

Spoglądaliśmy na płytę lotniska, na deszcz i rozmawialiśmy, nie patrząc na siebie.

– Grunt, żeby tobie się układało, prawda?

Nie odpowiedziałem.

– *This is Sue and me at Oberammergau.*

– *Now isn't this just cute!*

– Tobie i twojej zasranej firmie – wycedziła głośno Karin. – Wszystkie ubezpieczalnie oszukują, a ty im pomagasz. Przyjemnej zabawy!

– Dziękuję – rzekłem.

– Nie wierzę, żeby lekarz powiedział, iż u ciebie wszystko w porządku.

– To go spytaj.

– Wiesz dobrze, że nie udzieli mi żadnej informacji. Nie powiedziałem znowu nic.

– *Here we are in the Prater. This is the Riesenrad.*

– *Now isn't it just cute!*

Dziewczyna z głośnika poprosiła niejakiego pana Hopkinsa, udającego się lotem Trans World Airlines do Nowego Jorku, by podszedł do okienka linii.

– Mam dość – usłyszałem nagle żonę. – Nie czekam dłużej. Po co? Każde słowo trzeba z ciebie wyciągać.

Milczałem.

– Daj mi papiery samochodu i klucze – powiedziała.

Podąłem je.

– Zadzwoń, gdy będę na miejscu. – Po tych słowach zrobiło mi się głupio.

- Dobrze – Karin wstała. Zrobiłem to samo, obszedłem stół i pomogłem jej włożyć płaszcz przeciwdeszczowy.
- Bądź zdrow – powiedziała Karin.
- I ty bądź zdrowa – odparłem. Gdy wychodziła z restauracji, nawet nie spojrzała na mnie. Patrzyłem za nią, dopóki nie zniknęła. Już się nie odwróciła. Usiadłem i przypatrywałem się mgłę i deszczowi.
- Uwaga, uwaga. Pan American World Airways zawiadamiają, że lot numer 875 do Rzymu przez Monachium opóźni się o trzydzieści minut – z głośników znowu dał się słyszeć dziewczęcy głos. Powtórzył komunikat po angielsku.

9.

Mam czterdzieści osiem lat.

Za dwa lata będę miał pięćdziesiąt. Może za dwa lata nie będę już żył. Może dużo wcześniej. A może żyć będę jeszcze długo. Jestem chory, wiem to teraz na pewno. Nie wiem tylko jak bardzo. Może bardzo, a może nie. Nie ma to znaczenia. W życiu wiele pracowałem. Wiele zarabiałem. Mam piękne mieszkanie pełne pięknych rzeczy i żyję w nim z niekochaną kobietą. Kiedyś tę kobietę kochałem. Nie, to nie była miłość. To było pożądanie. W tym pożądaniu byłem szczęśliwy. Szczęście nie przetrwało trzech lat. Zresztą w życiu nigdy właściwie nie byłem szczęśliwy. Chociaż tak, na pewno. Jako dziecko. Miałem szczęśliwą młodość i wielu przyjaciół, z którymi mogłem się bawić. Miałem małego psa, z którym byłem najszczęśliwszy. Przejechała go ciężarówka. Nie zabiła, tylko ciężko raniła i widać było, że musi umrzeć. Dzieci otoczyły mnie i psa, tam na ulicy. Zrobiło się cicho. Z budowy przyniosłem kawał granitu, przyklęknąłem przy moim przyjacielu, pogładziłem raz jeszcze jego łeb, a on polizał mnie po ręce, i wtedy kamieniem zmiażdżyłem mu czaszkę. Nie chciałem, żeby dłużej cierpiał, ale inne dzieci podniosły wrzask, rzuciły się na mnie i potem rozbiegły. Opowiedziały w domu, co się stało, i odtąd żadne dziecko nie mogło się ze mną bawić. Rodzice ukarali mnie tygodniowym aresztem w pokoju. Nie pozwolili mi psa pochować w ogrodzie i wóz z zakładu utylizacyjnego zabrał małe zwłoki. Ja przecież tego psa kochałem i dlatego go zabiłem. I tego, pomyślałem, nikt nigdy nie potrafił zrozumieć. Długo potem modliłem się za mojego psa i jego szczęście tam, gdzie na zawsze poszedł. Od tego czasu nigdy się już nie modliłem. Chociaż tak, oczywiście, przy atakach. Ale to nie były prawdziwe modlitwy. Nigdy już potem nie miałem psa. Przyjaciół

miałem jeszcze w czasie wojny i po wojnie. Kiedy się ożeniłem, stopniowo odsunęli się ode mnie. Moja żona im się nie spodobała i oni nie spodobali się jej. Początkowo zawsze ustępowałem i ulegałem żonie, szalałem za jej ciałem, chciałem z nią spać. Później było inaczej i robiłem, co chciałem. Ale przyjaciele już się ulotnili. Mój zawód umożliwił mi obejrzenie prawie całego świata. W Cannes nigdy jeszcze nie byłem. To dziwne. Dlaczego dziwne? Jechałem zawsze tam, gdzie mnie wysyłano, wykonywałem swoją pracę jak tylko można najlepiej, miałem sukcesy i porażki i spałem z wieloma kobietami. Tak dużo ich zresztą nie było. Może czterdzieści. Najwyżej czterdzieści. Ze trzydzieści prostytutek, a reszta to mężatki. prostytutki stawały się coraz milsze. Żadnej z tych kobiet nigdy nie kochałem i nie sądzę, by którakolwiek z nich kochała mnie. Jestem tego nawet pewien, tak więc w czterdziestym ósmym roku życia nie wiem właściwie, co to jest miłość. Mało prawdopodobne, żebym się jeszcze mógł o tym przekonać. To wykluczone. prostytutki zupełnie mi wystarczają, przynajmniej potem zostawiają człowieka w spokoju. Dlatego tak bardzo zależy mi na zdrowiu, żeby móc pracować, żyć samotnie i daleko od domu. Nie mam z Karin dziecka. Dzięki Bogu! Cóż zrobiłbym z dzieckiem w takim małżeństwie? Przypuszczam, że większość małżeństw podobnych jest do mojego, tylko ludzie o tym nie mówią. My także nie mówimy. Jednakże muszą być przecież szczęśliwe małżeństwa. Tak myślę. Być kochanym przez drugiego człowieka – jakież to wspaniałe! – lecz nie wiem, jak to jest. I nie chcę wiedzieć, bo sam nie potrafię kochać, czego w życiu dowiodłem. Chciałbym jeszcze z piętnaście lat być zdrowy, żeby móc oglądać świat i pracować. I samotnie bywać w hotelach i barach, na lotniskach i w slipingach, mknąć po autostradach. A potem chciałbym szybko umrzeć. Szybko i możliwie bez bólu, raz-dwa. Najlepiej, gdyby stało się to zniecka, na przykład w czasie ataku serca. Nikt, nawet Karin po mnie nie zapłacze – dlaczegożby zresztą miała? W żadnym wypadku nie życzyłbym sobie takiej choroby, która by mnie uczyniła ciężarem dla innych, szczególnie dla Karin. Trudno mi nawet sobie wyobrazić, bym w chorobie miał być zdany na jej łaskę. Moi rodzice zmarli na serce. Oboje długo cierpieli. Tego bym nigdy nie chciał. Powinienem się zastanowić, jak zdobyć truciznę na wypadek, gdyby i mnie miało to grozić. To właśnie muszę zrobić. Zaopatrzyć się w skuteczną, silną truciznę. Może uda mi się w Cannes. Za pieniądze dostanie się wszystko. Chcę ją tylko mieć, aby zażyć w chwili, gdy bóle staną się nie do zniesienia lub gdy to ostatnie, co mnie trzyma przy życiu, moja praca, zacznie we mnie budzić wstręt. Tak, to jest myśl. Muszę zdobyć jakiś szybko działający środek, i to już, bo nie wiem, jak długo jeszcze zdołam prowadzić przynajmniej taki tryb życia jak dotychczas.

– Uwaga, uwaga – zabrzmiał w głośnikach dziewczęcy głos. – Lufthansa zapowiada start opóźnionego lotu numer 567 do Nicei przez Paryż. Prosimy pasażerów, by wejściem czternastym udali się na pokład.

Była piętnasta trzydzieści pięć. Skinąłem na kelnera i zapłaciłem.

Znalazłem się w autobusie, który dowiózł mnie do samolotu. Deszcz uderzał z łoskotem o dach. Wystartowaliśmy w silnej nawałnicy. Siedziałem przy oknie, ale deszcz był tak gwałtowny, że kiedy pilot skierował maszynę stromo w górę, nie mogłem nic dojrzeć. Zaświecił się napis „No smoking”. Mechanicznie sięgnąłem po paczkę papierosów, którą miałem w kieszeni, ale cofnąłem rękę. Nie, już ani jednego. Wreszcie chcę się przekonać, czy potrafię dotrzymać słowa danego doktorowi Betzowi. W lewej stopie poczułem lekki ból. Połknąłem dwie tabletki. Obok siedziała kobieta z małym chłopcem, który mnie uważnie obserwował. Wreszcie pociągnął za mój rękaw.

- Tak – rzekłem – o co chodzi?
- Dlaczego płaczesz? – spytał chłopiec.
- Nie płaczę.
- Olaf! – upomniała go matka.
- Ale on naprawdę płacze, mamusiu!

Przesunąłem dłonią po oczach, były rzeczywiście wilgotne. Pomyślałem: jakie to dziwne. Jeszcze nigdy w życiu nie płakałem. Chłopcu powiedziałem:

- To deszcz. Zmokłem na lotnisku.
- Wciąż patrzył na mnie uparcie.
- No, co jest? Nie wierzysz mi?
 - Nie – odparł mały chłopiec, który miał na imię Olaf.

10.

W dole zobaczyłem morze, tak samo niebieskie jak niebo.

Kiedy dotarliśmy do Nicei, słońce jeszcze świeciło, chociaż było dość nisko. Zanim podeszliśmy do lądowania, maszyna zrobiła w powietrzu ogromną pętlę. Gdy znieruchomiała i zaczęliśmy wysiadać, zawałdnęły mną dwa sprzeczne uczucia: było mi za gorąco, a jednocześnie czułem się wspaniale. Wydawało mi się, że wylądowałem w innym świecie. W blasku słońca płonęły wszędzie kwiaty. Światło było inne, zupełnie różne od tego, które przedtem znałem. Choć bardzo jasne, nie było wcale ostre i przynosiło oczom ulgę, taką samą zresztą, jaką dawało powietrze, łagodne i spokojne jak ciepła kąpiel. Ludzie byli inni niż we wszystkich znanych mi miejscowościach – pogodni, grzeczni i opanowani. Po prostu inny świat,

który mnie oczarował.

Stałem przy transporterze, którym jechał mój bagaż, i chociaż było mi bardzo gorąco, mogłem swobodnie oddychać pełną piersią. I kiedy potem jechałem taksówką do Cannes ulicą przylegającą do morza, pomyślałem: – Tutaj należałoby żyć. Zawsze, aż do śmierci.

Przejeżdżaliśmy wzdłuż plaż, na których było mnóstwo ludzi. Wydawali się piękniejsi od mieszkańców Niemiec, choć to oczywiście brzmi bez sensu, bo na pewno przecież między nimi znajdowali się Niemcy czy inne nacje. Ale to światło i powietrze, ta atmosfera spokoju sprawiały chyba, że i ludzie pięknieli. Minęliśmy jakiś hipodrom, a potem różne, najczęściej drewniane, zabudowania, w których mieściły się niezliczone restauracje.

– Jeśli przyjdzie panu kiedyś ochota na najlepszą *bouillabaise*, którą podają nad zatoką, musi pan tu wstąpić, monsieur. – Taksówkarz wskazał na szopę pomalowaną w białe pasy, przylegającą do morza. Przeczytałem: „Tetou”. – *Bouillabaise* podają także gdzie indziej, ale nigdzie nie znajdzie pan takiej jak tu – dodał. Niebo było niebieskie jak morze, a na zachodzie zaczynało już czerwienić, rzucając purpurowe światło na zbocza jakiegoś długiego pasma górskiego.

– Co to za góry? – spytałem.

– Estérel – objaśnił kierowca. – Kiedyś powinien pan tam także pojechać. Jest pan tutaj służbowo?

– Tak.

– Mimo to powinien pan znaleźć czas i wszystko zobaczyć. Całą okolicę Cannes: Vallauris, Biot, Antibes, Grasse, Vence, Juan-les-Pins, Saint-Tropez, wioski rybackie... Tutaj jest cudownie, monsieur, i proszę czasem nie myśleć, że jestem jakimś lokalnym patriotą. Sam przybyłem tu dopiero wtedy, gdy de Gaulle zrzekł się Algierii. Do tego czasu żyłem na południu, miałem tam wielką posiadłość, ale musiałem ją opuścić. Czy wie pan, jak nas nazywają?

– Tak – powiedziałem. – *Pieds noirs*. – Czarnostopymi nazwali Francuzi rodaków, którzy musieli opuścić Algierię. Tyle im obiecywano we Francji, mówił kierowca, ale nic się nie spełniło. Żeby utrzymać rodzinę, on, obszarnek, musiał jeździć taksówką. Na północy miałyby większe szanse, ale nie mógł się tam przenieść z rodziną, bo przyzwyczajeni byli do tutejszego klimatu, do słońca, ciepła, w innych warunkach nie mogliby żyć, trapiłyby ich różne choroby.

Zobaczyłem wspaniałe wille w wielkich ogrodach pełnych palm, sosen, eukaliptusów i pini. Ale najpierw było morze, potem trasa szybkiego ruchu, którą jechaliśmy, i z boku torry kolejowe. Za nimi zaczynały się wzniesienia, na których stały białe wille, niektóre bardzo stare. Dwa razy obok nas przetoczył się z łoskotem pociąg. O tej porze panował wzmógłony ruch. Dotarliśmy do Cannes dopiero

po godzinie. Kierowca szybko wjechał na Croisette, szeroką ulicę, przedzieloną środkiem pasami zieleni, na których rosły palmy. Po jednej stronie ulicy lśniły białe pałace hotelowe i okazałe rezydencje, po drugiej leżało morze. Wszędzie też kwitły różnobarwne kwiaty: niebieskie, czerwone, żółte, purpurowe i pomarańczowe. Zaczynałem się pocić. Jeżeli nawet miejscowi ludzie przywykli do zupełnie innych temperatur, w porównaniu z Düsseldorfem było tu bardzo gorąco. Ubiór mijanych mężczyzn ograniczał się najczęściej do spodni, lekkich półbutów i koszuli wyłożonej na wierzch, kobiety nosiły kolorowe kostiumy ze spodniami lub lekkie sukienki. Gdzieniedzie między wielkimi domami w ogrodach i olbrzymimi hotelami stały niskie, białe budynki, w których znajdowały się sklepy i restauracje. Taksówkarz objaśniał mi wszystko, a nawet pokazał mi skrawek plaży przed hotelem „Carlton”, na której leżeli tylko mężczyźni.

- To plaża homoseksualistów – rzekł. – Zupełnie oficjalna.
- Czy dużo ich w Cannes?
- O tak – odparł. – Ale chyba w całej Francji nie ma tylu pięknych kobiet, ile tu, sam pan zobaczy.

Dotarliśmy do hotelu „Majestic”. Oddalony trochę od drogi, miał szeroki podjazd wokół ukwieconego klombu. Gdy wypakowano mój bagaż i zapłaciłem za taksówkę, zacząłem się wkoło rozglądać. Na lewo od wejścia do hotelu widać było wielki taras, teraz pełen gości, bo właśnie była pora aperitif. Przed tarasem znajdował się marmurowy basen, w którym kąpało się parę osób. Jedno z odgałęzień hotelowej drogi prowadziło do podziemnych garaży. Ponad Croisette i płynącym po niej nieprzerwanym strumieniem samochodów spojrzałem na morze. W głębi zobaczyłem kilka statków i całe roje żaglówek, niektóre żagle zapalały się od zachodzącego słońca. Stałem długo i patrzyłem na morze i palmy, na rozweselonych ludzi i niebo, które teraz z każdą minutą zmieniało barwę, póki jakiś człowiek z recepcji nie podszedł do mnie i nie zapytał:

- Monsieur Lucas?
- Tak – potwierdziłem, budząc się z łagodnego snu na jawie.
- Witamy w Cannes – rzekł z uśmiechem. – Czy mogę pana zaprowadzić do apartamentu?

Skinąłem głową. Poszedł przodem. Raz po raz odwracałem się, żeby popatrzeć jeszcze na palmy, kwiaty i wodę. I na kobiety, nieraz olśniewająco piękne, jak i na panów o wyjątkowej prezencji.

– Dobrze, że zaraz pan przybył, monsieur Lucas – powitał mnie, potrząsając moją ręką, Louis Lacrosse, zastępca szefa administracyjnego z Direction des Affaires Maritimes, Marine Méditerranée. W jego ustach moje nazwisko brzmiało jak „Lika”. Zadzwoiłem do niego z pokoju hotelowego w „Majesticu”. Okna wychodziły na Croisette i na morze, a ja, prosto spod prysznica i dlatego nagi, usiadłem na brzegu łóżka i przyglądałem się, jak słońce schodzi coraz niżej, jak łańcuch Estérelu mieni się złotem, srebrem, a potem bladym błękitem, tężejącym stopniowo i przechodzącym w granat. W Cannes wciąż jeszcze było jasno.

– Pański szef, monsieur Brandenburg, zdążył już pana zapowiedzieć. Nasi ludzie są wciąż na miejscu wypadku, również nasz specjalista od materiałów wybuchowych, kapitan marynarki Viale, wkrótce go pan pozna.

Lacrosse był niskim, szczupłym mężczyzną o szybkich ruchach i przenikliwym umyśle. Mówił też bardzo szybko, gdy tylko się upewnił, że mogłem za nim nadążyć. Jego biuro znajdowało się tuż przy Starym Porcie i z okna patrzyłem teraz na morze żaglówek, zakotwiczonych burta w burtę. Gołe maszty kłuły niebo. Jachtów nie było, za to wiele motorówek.

– Co to za łódzie? – spytałem Lacrosse'a.

– To *vedettes*. Kursują z Gare Maritime do wysp, do małych wysp.

Za Gare Maritime dostrzegłem kawałek plaży. Na białym piasku stały łódzie rybackie i porozpinane były wielkie sieci. Mężczyźni grali w bule.

Lacrosse podchwycił moje spojrzenie.

– To całkiem przyjemna gra – powiedział. – Dawniej mieli swoje „bulodromy” pod platanami w Allée de la Liberté, po drugiej stronie. Ale ją wyasfaltowano i zamieniono w parking, tak więc teraz muszą grać tutaj.

– Jak daleko posunął się pan w śledztwie, monsieur? – spytałem. Zdjąłem marynarkę (w hotelu wybrałem najłżejsze ubranie, ale i ono okazało się nieodpowiednie). Czulem, jak się pocę.

– Niezbyt daleko. Była to eksplozja o niebywałej sile. – Lacrosse pokazał mi serię zdjęć, na których między innymi zobaczyłem części rozbitego statku, rozproszone po ogromnej powierzchni wód.

– Czy jedna eksplodująca maszyna może narobić tyle rabanu?

– Oczywiście, że nie – odparł Lacrosse. Miał małą bródkę, którą w rozmowie stale podskubywał, i całkiem pożyłkłe od nikotyny palce. Palił bez przerwy. Po częstował mnie natychmiast papierosem, ale odmówiłem. Jeszcze wytrzymałem i dziwiłem się, że w ogóle nie ciągnie mnie do palenia.

– A więc zakłada pan, że to było celowe działanie o charakterze przestępczym – badałem go dalej.

Przytaknął.

– Tak, monsieur Lucas, pańskie towarzystwo będzie chyba musiało płacić.

– Nie ma pan przecież jeszcze żadnych dowodów. Gładził swą bródkę à la Menjou.

– Jeszcze nie, monsieur.

– Czy sądzi pan, że Hellmann miał wrogów?

– A jakie jest pańskie zdanie? – odwzajemnił pytanie.

– Trudno powiedzieć. Hellmann był bankierem i możnym człowiekiem, a wielu ludzi zawsze mają wrogów.

– Tak samo mówi madame Hellmann.

– Jego siostra?

– Tak. Oczywiście już z nią rozmawialiśmy, ale krótko. Ten wypadek bardzo ją zalał, zresztą jest schorowaną osobą, od dłuższego czasu niedomaga i zawsze towarzyszy jej pielęgniarka. Powiedziała nam, że brat, czymś ogromnie przygnębiony, przybył tutaj w ubiegłym tygodniu, w środę, a więc przed jedenastoma dniami. Musiało nim coś wstrząsnąć do głębi.

– Ale co?

– Madame Hellmann mówi, że nie wie, bo z nią o tym nie rozmawiał. Przy najmniej tak twierdzi. Powiedział tylko, że musi jechać na Korsykę. Rozmowa z madame Hellmann jest trochę, no... jakby tu powiedzieć... trudna. Zresztą przekona się pan, kiedy ją odwiedzi.

– Czy uważa pan, że Hellmann sam wysadził w powietrze jacht, aby popełnić samobójstwo, bo znalazł się w sytuacji bez wyjścia?

Lacrosse zaczął nerwowo podskubywać wąsy.

– Jaką sytuację bez wyjścia ma pan na myśli, monsieur?

– Finansową.

– Jak mi wiadomo, był jednym z największych i najbardziej poważanych bankierów w swoim kraju! – Lacrosse miał zwyczaj tak długo palić papierosa, aż rozżarzony niedopałek nie przypiekał mu palców i dlatego chyba wszystkie były żółte.

– Tak – powiedziałem. – To mógłby być właśnie ten powód.

– Nie umiem sobie tego wyobrazić – rzekł na to Lacrosse. – To po prostu wykluczone.

– A co wyjdaje się panu najbardziej prawdopodobne?

- Morderstwo.
- Morderstwo? Ktoś z jego wrogów?
- Nie – odparł mały Lacrosse, wydmuchując dym. – Jeden z jego przyjaciół.

12.

– Przyjaciół?

– Tak, monsieur. Taki jest również pogląd madame Hellmann, jego siostry. Bardzo osobliwy, przyznaję, ale zastanowiło mnie to, co mi powiedziała.

– Więc?

– Jest przekonana, że brat musiał odkryć, iż ktoś, komu zaufał, z kim robił interesy, ordynarnie go podszedł, a potem oszukał. Stąd wzburzenie Hellmanna i nagły przyjazd. Madame Hellmann sądzi, że musiał to uczynić ktoś z przyjaciół, kto nie widział dla siebie innego ratunku.

– Dlaczego jednak nie zamordował go w inny sposób? Dlaczego równocześnie zginąć musiało dwanaścioro niewinnych ludzi?

– Hilda Hellmann sądzi, że po to właśnie, by nie podejrzewano morderstwa. – Żółte palce znów znalazły się przy wąsach.

Światło na dworze zmieniało się z minuty na minutę, wydłużały się cienie i robiło się coraz ciemniej, zapłonęły kolorowe lampy, a Stary Port mienił się teraz barwami błękitu, ochry, łososia, bieli, fioletu i ciemnej zieleni.

– Kim były te inne osoby na jachcie, spoza załogi? – spytałem.

– To dwa małżeństwa – odrzekł Lacrosse. – Franz i Clara Bienertowie oraz Paul i Babette Simonowie. Mają tutaj wille. Bienert był Szwajcarem i jak Hellmann bankierem, a Simon właścicielem wielkiej fabryki w Lionie.

– Jakiej fabryki?

– Urządzeń elektronicznych.

– Krewni?

– Są oczywiście, ale nie przyjechali. Śledzą nasze dochodzenie z daleka. Nie są to, jak przypuszczam, bliscy krewni, dzieci czy ktoś w tym rodzaju. Z ciała oczywiście niewiele zostało, można pochować tylko ich szczątki. Zostały już spalone. Naturalnie przedtem Instytut Medycyny Sądowej w Nicei skontrolował i przebeadał na nich wszystkie ślady, a świadczą one tylko o jednym.

– O czym?

– Musiała to być niezwykle silna eksplozja dynamitu.

– I spodobał się panu pomysł, że to ktoś z jego przyjaciół podłożył ładunek, prawda?

– Tak, monsieur. Widzi pan, madame Hellmann wyznała nam, że znajomi, którzy tu mieszkają, przynajmniej przez jakąś część roku, mieli handlowe powiązania z jej bratem. Powiedziała nam to teraz, bo uważała, że powinniśmy się tym najpierw zająć. I rzeczywiście przyjrzelśmy się temu międzynarodowemu towarzystwu bajecznie bogatych ludzi. Wszyscy z przemysłu i finansjery. Zdążyliśmy ich już odnaleźć i zawiadomić, aby na razie nie opuszczali Cannes, a oni nam to obiecali.

– Jak nazywają się ci ludzie? – spytałem, wyciągając notes.

– Już przygotowałem wykaz. – I Lacrosse podsunął mi kartkę.

Czytałem:

„John Kilwood, USA, nafta.

Giacomo i Bianca Fabiani, Włochy, przemysł ciężki.

Malcolm Thorwell, Anglia, przemysł zbrojeniowy.

Claude i Pasquale Trabaudowie, Francja, hotele.

José i Maria Sargantanowie, Argentyna, konserwy rybne.

Athanasios i Melina Tenedosowie, Grecja, armator.”

– Nie ma tu Niemców – stwierdziłem ze zdumieniem.

– A nie ma, to dziwne, prawda? Przecież Hellmann był Niemcem.

– No właśnie.

– Wszyscy – rzekł Lacrosse, w zaaferowaniu znowu skubiąc swój wąs – wszyscy bez wyjątku są miliarderni. Należą do najbogatszych ludzi świata, monsieur Lucas. Nie mieszkają tutaj stale, z wyjątkiem madame Hellmann. Trabaudowie mają pałac w Paryżu, inni mają swoje pałace, wille, apartamenty i rancza rozsiane po całym świecie. Tu przyjeżdżają tylko na jakiś czas. To jest miasto bogaczy, monsieur. Jednakże trochę innego kalibru bogaczy niż grupa, która się tu spotykała. Ta mała grupa jest bogatsza od całej Francji, ba, od całej Europy, niewyobrażalnie bogata. Tylko z trudem, z największym trudem można spróbować zrozumieć ich sposób myślenia i postępowania, monsieur. – Lacrosse wziął do ręki otwartą książkę. – Czytam właśnie nową książkę o Hemingwayu, w której zebrano różne z nim rozmowy. Znalazłem coś, co wydaje mi się dla pana, dla mnie i dla nas wszystkich szczególnie interesujące. Pisarz Scott Fitzgerald rozmawiał z nim o „superbogaczach”. Powiedział... – Lacrosse czytał głośno, z papierosem w kąciku ust – „Oni są inni niż ty i ja. Posiadają i używają życia wcześniej i to ma swoje znaczenie. Stać ich na łagodność tam, gdzie my jesteśmy twardzi, i na cynizm, gdzie my okazujemy zaufanie. Trudno to pojąć komuś, kto nie był bogaty już w

momencie własnych narodzin. W głębi serca myślą oni, że są lepsi od nas, bo my sami musieliśmy w życiu odkrywać kompromisy i rozwiązywać problemy. Nawet jeśli wszechstronnie wnikają w nasz świat albo głęboko się w nim zapadają, myślą dalej, że są lepsi od nas. Oni są inni.”

- Chce pan wiedzieć, co Hemingway na to odpowiedział?
- Lacrosse podniósł wzrok.
- Co?
- Powiedział tylko: „Zgadza się, mają więcej pieniędzy”.

Roześmiałem się.

– Dowcipna odpowiedź, nie ma co – stwierdził ponuro Lacrosse. – Ale właśnie tylko dowcipna. Fitzgerald miał rację, bogaci są inni, pojąłem to całkiem niedawno. Boże, że też musiało się to zdarzyć właśnie teraz, pod nieobecność szefa. Zastępuję go tylko i wszystko jest na mojej głowie.

– Może pan przecież zażądać, by przyjechał ktoś z wyższych funkcjonariuszy z Paryża.

– Już to zrobiłem. Kto wie, kiedy przyjadą? I kto przyjedzie? – po czym dodał błagalnie: – Zgodzi się pan ze mną, prawda, że w takim wypadku trzeba postępować niezwykle ostrożnie.

– Oczywiście, monsieur Lacrosse.

– Niech pan zestawi tylko Republikę Federalną, pański kraj, i Amerykę. W Ameryce garstka ludzi podzieliła majątek narodowy między siebie, ci sami ludzie zarządzają gospodarką i nadają kierunek polityce. Czy zdaje pan sobie sprawę, że ledwie dwa i pół procent ludności sprawuje kontrolę nad dwiema trzecimi gospodarki? W pańskim kraju, monsieur, siedemdziesiąt procent wartości produkcyjnej trafia do rąk niecałego procenta ludności. Bogacze stale się bogacą. Inflacja – jak wszędzie – dotyka wyłącznie robotników tygodniowych i urzędników, u najbogatszych wartość majątku produkcyjnego wzrasta!

Pomyślałem o staruszce z apteki w Düsseldorfie, która mnie pytała, dlaczego wszystko stale drożeje.

– Hilda Hellmann i Trabaudowie byli tu już dawno, przed przyjazdem jej brata. Pozostali pojawili się dzień, dwa przed nim lub po nim – oznajmił Lacrosse.

– Czy to Hellmann ich wezwał, czy oni jego?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział. – Oficjalnie dowiedzieliśmy się, że umówili się, aby uczcić jego sześćdziesiąte piąte urodziny. Ale czy to prawda... – westchnął ciężko. – Ci ludzie są nieprawdopodobnie wpływowi. Zrobią wszystko, co zechcą.

– I to mówi pan, policjant?

Przytaknął tylko.

– Tak, to mówię ja, policjant. – Obejrzał się i zmrużył oczy, jakby podrażnił go dym. – Są tak potężni, że... – i urwał.

– Każdemu mogą skrócić kark lub zrujnować karierę – to chciał pan powiedzieć, prawda?

– Opowiem coś panu, monsieur Lucas. Oboje z żoną długo oszczędzaliśmy. Właśnie kupiliśmy mały dom. Naturalnie, jeszcze go nie spłaciliśmy. Długów po uszy. Ale domek w zieleni to co innego niż nagrzone mieszkanie w mieście. Mam dwoje dzieci, monsieur Lucas. Chłopak idzie do gimnazjum, chce zostać fizykiem. Córka ma dopiero pięć lat. Jesteśmy szczęśliwą rodziną. Dla ludzi, z którymi mam teraz do czynienia, jestem tylko śmieciem, kimś całkiem bez znaczenia. Cud, że ze mną rozmawiają. – I nowy papieros...

– Ale pan ma obowiązek z nimi rozmawiać! Reprezentuje pan prawo.

– Ach, prawo – westchnął ze smutkiem. – Czyje? Moje czy ich?

– Jest tylko jedno i dla wszystkich.

– To pan tak ładnie mówi, monsieur Lucas. Gdyby tak było. Z pomocą prezydentów, cesarzy, królów i kogo tam jeszcze, ludzie ci przyzwyczaili się urządzić życie, jak im się podoba. Chciałbym być dobrze zrozumiany, monsieur Lucas: mnie ich bogactwo nie imponuje. Ale wiem, że kiedy nie będę dość ostrożny i nadepnę kłóremuś z nich na odcisk, otrzymam telefon z Paryża. Nic takiego się nie stanie, drobiazg, tylko mnie zwolnią, na moje miejsce przyjdzie ktoś inny, by poprowadzić dalej śledztwo. Będzie to ktoś bardziej ugodowy. Policjant w Cannes nie ma łatwego życia. Zjeżdżają się tu najmoźniejsi tego świata. A my mamy za mało urzędników i policjantów. Urzędnicy na bardzo odpowiedzialnych stanowiskach starają się w pięćdziesiątym piątym roku życia o przejście na emeryturę, taka jest prawda, nie należy to wcale do rzadkości. Już nie mogą podołać obowiązkowi, monsieur Lucas. Mam pięćdziesiąt sześć. Jeszcze pracuję, ale...

– Ale boi się pan, że za rok, dwa wysiądzie – odezwałem się cicho.

Skręcał wąsa i przez okno przyglądał się łodziom. Uczyniłem coś dziwnego. Do mężczyzny, ledwie co poznanego, powiedziałem:

– Boję się tak samo, monsieur.

Patrzył na mnie nieruchomo, obaj milczeliśmy chwilę.

– Na wszelki wypadek – odezwał się wreszcie – zorganizowałem już w Nicei pomoc, a w Paryżu poprosiłem, żeby policja ścigająca przestępstwa gospodarcze przyjrzała się tym ludziom. Sam jestem bezsilny, i pan także, monsieur, razem ze swoim towarzystwem ubezpieczeniowym, nawet jeśli jest ono tak duże. Mamy tu do czynienia z miliardami. Z bogactwem, które opanowało prawie cały świat. To

nie było zwyczajne morderstwo, przekonany jestem, że nie.

– Jeśli dowiedzieli się o tym w Paryżu – próbowałem go jeszcze podejść – to będziemy mieli tu na głowie różnych wysoko postawionych urzędników.

– Zapewne, monsieur Lucas, zapewne – jego odpowiedź tyleż znaczyła co nic.

Oglądał swoje dłonie, jeszcze bardziej zgarbiony i drobny. Z dworu dobiegł głośny śmiech dziewczyny, a potem w nagrzanym biurze Louisa Lacrosse'a zrobiło się bardzo cicho. Dopiero kiedy wydmuchiwałem dym, zorientowałem się, że zapaliłem papierosa.

13.

– Jedyną osobą bez miliardów jest Angela Delpierre – stwierdził przeczesując palcami swoją bródkę.

– To ta kobieta, która przeżyła katastrofę?

– Tak.

– Dlaczego została na Korsyce?

– Miała na jachcie kłopoty z żołądkiem, a później, przy odjeździe, czuła się jeszcze zbyt kiepsko, żeby dołączyć do innych, więc jedna z naszych łodzi przywiozła ją z Korsyki do Cannes.

– Angela Delpierre – powtórzyłem. – Kim jest ta pani? Duży majątek?

– Ach nie, monsieur Lucas. To znaczy jest zamożna, nawet na pewno. Do wszystkiego doszła sama, dzięki ciężkiej pracy. Jest tu w Cannes bardzo znaną osobą.

– O!

– Portretuje prominentów i dzięki temu stała się sławna; dziwię się, że pan jeszcze o niej nie słyszał.

– A nie.

– Dziwne. Maluje w tym mieście *crème de la crème*, same znakomitości, które tu przyjeżdżają. Słono każe sobie płacić za obraz, i słusznie. Portret od niej należy do dobrego tonu.

– Zameżna?

– Nie, ma trzydzieści cztery lata, z nikim nie związana, zupełnie niezależna. Mądra kobieta. Dzisiaj przed południem miałem z nią długą rozmowę. Zna nowobogackich i starobogackich, snobów, frustratów i sybarytów. Powinien pan się chyba jak najszybciej z nią skontaktować. Ma bardzo dużo zdrowego rozsądku, mówi także po niemiecku.

– Gdzie mieszka?

Dał mi adres i numer telefonu, które zapisałem z papierosem w ustach. Powiedziałem mu, że następnego ranka zadzwonię do niego, gdyby zaś coś ciekawego się zdarzyło, on może mnie szukać o każdej porze.

Skinął głową i podał mi zażółconą od nikotyny dłoń, kiedy zaś odwróciłem się od drzwi, siedział znów przy biurku, z głową podpartą rękami, jak stary, zmęczony człowiek. Pewnie myślał o żonie, dzieciach i nie spłaconym jeszcze domu, o tych wszystkich niezwykle wpływowych, bogatych ludziach i o swoim przeniesieniu w stan spoczynku. Nagle i ja o tym pomyślałem. Mogli dostać orzeczenie doktora Betza i w każdej chwili mnie odwołać. Sama radość!

14.

Nadeszła już noc, ale wciąż było ciepło. Idąc wzdłuż morza ulicą Croisette, wróciłem ze Starego Portu do hotelu pieszo. Choć zdjąłem marynarkę, byłem znowu spocony, paliły mnie stopy uwięzione w ciężkim obuwiu. Biegająca podnóżem Estérelu Croisette rozgrzana była światłami i światła płonęły też w dali na statkach. Dwa z nich, iluminowane rozwieszonymi girlandami lampek, iskrzyły się na wodzie.

Plaża opustoszała. Stałem i przyglądałem się zmęczonym falom, dogorywającym na piasku. Odezwał się do mnie jakiś stary człowiek. Najpierw go nie zrozumiałem, dopiero później zorientowałem się, o co mu chodzi. Żebrał. Dyskretnie i wstydliwie, w obawie przed policją, która nie zezwalała nagabywać ludzi. Dałem mu dziesięć franków i powiedziałem, żeby się za mnie pomodlił. Dziesięć franków miało wartość jakichś siedmiu marek pięćdziesiąt, nie była więc to duża suma. Po ulicy przetaczały się samochody, jeden za drugim. W trzech kolumnach, gęsto obok siebie, jechały największe, najdroższe i najpiękniejsze auta świata. Opony cicho dotykały asfaltu. Szedłem i zastanawiałem się, co to znaczy być tak nieskończenie bogatym, jak te osoby z listy, którą mi przekazał Lacrosse, ale mimo że bardzo chciałem, nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Znowu zaczepił mnie jakiś facet, tym razem o wyglądzie atlety, w białym ubraniu, niebieskiej koszuli i białym krawacie. Poprosił o ogień.

Pstryknąłem zapalniczką i w jej blasku dostrzegłem jego twarz. Był trochę zbyt uprzejmy, a jego ładna buzia też nie budziła mojego zaufania. Płomień zgasnął, a on podziękował i poszedł dalej. Od tego momentu miałem uczucie, że ktoś za mną idzie. Odwróciłem się parę razy szybko, ale nikogo nie było. Wierzyłem jednak

w swoją intuicję, zresztą po tylu latach w zawodzie... Z całą pewnością ktoś mnie śledził, może z ukrycia... Dotarłem wreszcie do hotelu i zobaczyłem, że na dziedzińcu, okrążając kwiecisty klomb, zajeżdżały wolno limuzyny. Wsiadali z nich panowie w białych smokingach i damy w eleganckich wieczorowych kreacjach, obwieszone biżuterią.

- Co się tu dzieje? – spytałem urzędnika.
- Gala, mój panie.

Słowo to wówczas było dla mnie jeszcze czymś nowym, dzisiaj spowszedniało. W czasie sezonu, a także tuż przed i po nim, nieustannie odbywają się w Cannes galowe przyjęcia, koktajle i inne uroczystości z najrozmaitszych okazji – najczęściej organizowane w jednym z dwóch właśnie otwartych wielkich kasyn gry, jak również w pałacach hotelowych przy Croisette. Ledwie przecisnąłem się przez hol, taki tam panował tłok. Rację miał taksówkarz rodem z Algierii, jak i smutny Louis Lacrosse: w Cannes gromadziły się całe tłumy pięknych kobiet i wyjątkowo bogatych mężczyzn, którzy swe żony i kochanki obwieszali biżuterią, jakiej jeszcze nie widziałem. W wielkiej sali orkiestra grała nastrojowe utwory, z baru dobiegała jeszcze inna muzyka. Dojechałem windą do swego apartamentu na piątym piętrze. Gdy otwierałem drzwi, usłyszałem telefon. Podniosłem słuchawkę w salonie, którego ściany obito brokatem, i usiadłem w biało-złotym fotelu. Wszystkie meble były stylowe, w salonie dominowała biel ze złotem, w sypialni czerwień z bielą, a łazienka była wyłożona czarnymi kafelkami.

- Lucas – przedstawiłem się ze słuchawką przy uchu, jednocześnie zajęty rozluźnianiem krawata i ściąganiem buta.

- Słuchaj, zafajdańcu – usłyszałem męski głos mówiący do mnie po niemiecku bez obcego akcentu – tylko się tutaj w nic nie mieszaj, rozumiałeś? Dam ci radę, spieprzaj. Jeśli jutro do południa się nie ulotnisz, marna twoja dola. Drugiego ostrzeżenia nie będzie.

- Kto... – zacząłem, ale połączenie zostało już przerwane.

Człowiek, który telefonował, musiał nałożyć chusteczkę na mikrofon, głos był bowiem nienaturalny i zniekształcony. A więc jednak ktoś mnie śledził, pomyślałem, uwalniając się od drugiego buta. W przeciwnym razie dzwonek telefonu nie odezwałby się zaraz po moim przybyciu. Przywykłem już do takich historii i nie przejmowałem się. I w Rio mnie to spotkało, i w Ankarze, i w Beverly Hills. Również w Hongkongu. Podważało to tylko teorię szefa, że Herbert Hellmann popełnił samobójstwo.

Przeszedłem do łazienki, puściłem wodę do wanny i zdjąłem wszystko z siebie, gdyż mimo klimatyzacji było mi gorąco i pociłem się. Na wszelki wypadek rozgryzłem dwie pastylki i podszedłem do telefonu, podając centrali zanotowany u Lacrosse'a numer Angeli Delpierre. Odezwała się już po pierwszym sygnale.

- Halo? – głos brzmiał spokojnie.
- Madame Delpierre?
- Tak. Kto mówi?
- Nazywam się Robert Lucas, przyjechałem z Niemiec. Przepraszam, że panią niepokoję, mam nadzieję, że pani nie przeszkadzam.
- Oglądałam właśnie dziennik telewizyjny.
- Wobec tego zadzwonię później.
- Ależ nie, najważniejsze już było. O co chodzi?

Wyjaśniłem jej cel swojej wizyty w Cannes i spytałem, czy mógłbym się z nią umówić na krótką rozmowę.

- Oczywiście, monsieur Lucas, jeśli to panu ułatwi pracę.
- Monsieur Lacrosse powiedział mi, że pani również mówi po niemiecku.

Nastąpiła cisza.

- Madame...
- Tak.
- Powiedziałem...
- Słyszałam. Mówię po niemiecku, ale nie... niechętnie. Proszę się nie gniewać, naprawdę. Mam swoje powody.

- Rozumiem.
- Po francusku mówi pan wyśmienicie, monsieur Lucas. Porozmawiamy wobec tego po francusku, dobrze?

– Chętnie. Kiedy?

- Chwileczkę... Jutro o dziesiątej przychodzi ktoś, kogo maluję... – W czasie rozmowy słychać było cichy głos męski. Pewnie spiker telewizyjny, pomyślałem.
- Może być o dziewiątej?

– Oczywiście, jeśli to dla pani nie jest za wcześnie...

– Och, wstaję zawsze bardzo wcześnie. A więc o dziewiątej. Mój adres...

- Residence Cléopâtre. Avenue de Montrouge, blok A, czwarte piętro. Znam go.

– Bardzo dobrze, monsieur. Czekam na pana o dziewiątej. Życzę przyjemnego wieczoru.

To ostatnie zdanie, choć zdziwiło mnie, zrobiło na mnie bardzo dobre wrażenie.

– Z wzajemnością, madame – odparłem.

Ale już odłożyła słuchawkę.

Siedząc przypatrywałem się gołym stopom i zastanawiałem się, kto mi ostatnio życzył przyjemnego wieczoru, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Musiało to być bardzo dawno. Nagle przypomniałem sobie o kąpeli. Wanna była już prawie pełna, więc wzięłem gorącą i zimną kąpiel. Potem energicznie osuszyłem ręcznikiem całe ciało, rozpakowałem walizki, posegregowałem bieliznę i ubrania,

umieszczając je w sypialni w wielkich szafach z przesuwanymi drzwiami, wyłożonymi lustrami. Odłożyłem na bok szyfr i osobiste papiery, które zamierzałem zamknąć w hotelowym sejfie.

Zamówiłem do pokoju kolację, na galowe przyjęcie przyszło tylu ludzi, że wolałem być sam. Apetyt mi dopisywał. Gdy tylko kelner zabrał wózek, wyciągnąłem nogi na szerokim łóżku, podłożyłem ręce pod głowę i zacząłem myśleć o smutnym Louisie Lacrossie i jego lękach. Na pewno nie był tchórzem, tylko dobrze wiedział, z kim ma do czynienia, i to go przerażało. Prawdę powiedziawszy, ja też byłem pełen obaw.

Zadzwonił telefon tuż przy łóżku i równocześnie w salonie. Sięgnąłem po słuchawkę na nocnym stoliku.

– Tak?

– Dobry wieczór, monsieur Lucas – usłyszałem kobiecy głos. Przez moment sądziłem, że należy do Angeli Delpierre, ale był to ktoś inny. – Pan mnie nie zna, monsieur – mówiła cicho. – Sądzę, że mogłabym panu coś interesującego przekazać.

– Kim pani jest?

– Prawdę.

– Prawdę o czym?

– Pan przecież wie, monsieur.

– Nie mam pojęcia.

– To po co pan tu przyjechał? Mam do sprzedania prawdę, której pan szuka.

– Skąd pani dzwoni?

– A jednak! Z budki w hotelowym holu. Zejdzie pan?

– Tak – odparłem. – Jak panią znajdę?

– Siedzę w barze, przy bufecie. Mam ciemne włosy i czarną sukienkę z dużym dekoltem na plecach. I będę trzymać czerwoną różę.

15.

Włożyłem ciemnoniebieskie ubranie, białą koszulę i niebieski krawat, zabrałem wszystkie dokumenty, razem z szyfrem, po czym zjechałem do holu. Skierowałem się najpierw do recepcji i poprosiłem o sejf. Zaprowadzono mnie do obszernego pomieszczenia ze skrytkami różnej wielkości, wypożyczyłem małą, zdeponowałem papiery i podpisałem odbiór klucza do sejfu.

Tańczono w dwóch salach, obok których przechodziłem. Na dworze, na świeżym powietrzu, można się było natknąć na grupki szoferów żywo o czymś

rozprawiających przy eleganckich limuzynach swych pracodawców. Również w barze, w którym grał trzyosobowy zespół Evergreensów, było pełno. Gdy oswoiłem się z przyćmionym światłem, dostrzegłem przy bufecie kobietę w czarnej, wydekoltowanej na plecach sukni wieczorowej. Bawiła się od niechcienia czerwoną różą. Siedziała przy końcu kontuaru. W moim zawodzie nabywa się z czasem umiejętności błyskawicznej oceny ludzi, nawet jeśli się maskują. Ta, która czekała na mnie z różą, była prostytutką. Luksusową, to prawda, *poule de luxe*, ale zawsze prostytutką. Rozmawiający z nią mężczyzna cmoknął ją w dłoń i zniknął wśród tańczących par. Ruszyłem w jej stronę. Mała kapela grała „Tea for Two”. Dotarłem do bufetu.

– Halo – rzuciłem na powitanie.

– Halo – odparła kobieta z różą. Miała może trzydzieści lat i prezentowała się całkiem niezle. Dobre wrażenie zniknęło wtedy, kiedy się roześmiała. Śmiech odsłaniał jej fatalne uzębienie. Nabrała pewnej wprawy w uśmiechaniu się, jednak czasami jej zęby stawały się widoczne.

Zająłem sąsiedni stółek i zapytałem, czy mogę coś dla niej zamówić. Zaproponowała whisky on the rocks, tak więc zamówiłem dwie i kiedy je podano, wznieśliśmy szklanki.

– Za prawdę – zaproponowała kobieta z różą i brzydkimi zębami.

– Jak pani sobie życzy – zgodziłem się łatwo. Wypiliśmy. Mężczyzna siedzący obok mnie zwolnił stółek, który zaraz zajął drugi facet, po pięćdziesiątce, zamawiając pół butelki szampana. Wysoki, chudy, w szykownym smokingu, miał rzadkie jasnobłond włosy i bliznę na lewej skroni.

– Jak się pani nazywa? – spytałem.

– Nicole Monnier.

– Skąd pani wiedziała, że tu mieszkam?

– Przyjaciel mi powiedział.

– Ach tak!

– Co znaczy „ach tak”?

– Już dobrze. – Traciłem cierpliwość, nie wierząc, czy warto było się ubierać i fatygować na dół.

Kapela grała teraz „Whe never we kiss, I worry and wonder”.

– A więc do rzeczy. Chce pani sprzedać prawdę.

– Tak – potwierdziła Nicole.

– Ile ona kosztuje?

– No, dość dużo. To bardzo cenna prawda.

– Ile? – Byłem na razie przekonany, że w ogóle nie ma nic do sprzedania, ale potem to wrażenie zaczęło mijać...

– Mnóstwo – tak właśnie powiedziała – aczkolwiek nie piętnaście milionów marek, które pańskie towarzystwo ubezpieczeniowe będzie musiało zapłacić.

Mylić się można, niezależnie od lat.

– Skąd pani wie...

– Psst – ostrzegła nieznacznym ruchem głowy.

Obróciłem się i zderzyłem z chudym mężczyzną, który zamówił szampana.

– Czy wystarczająco głośno rozmawiamy dla pana? – Nie byłem zbyt uprzejmy, ale mało mnie to obchodziło.

– Proszę mnie zostawić w spokoju – powiedział łagodnie.

Odróciłem się znowu do Nicole.

– Nie można tu rozmawiać, jak pan widzi – rzekła bardzo cicho. – Musi pan przyjść do mnie, będziemy swobodniejsi.

– Kiedy?

– Zaraz znikam. Niech pan jeszcze z godzinę zostanie i weźmie taksówkę. Połóż dłoń na bilecie wizytowym. Niech ją pan zakryje swoją, wówczas ja wezmę rękę.

W chwilę później miałem małą karteczkę w dłoni. Nicole wstała. Ukłoniłem się, a wtedy ona skierowała się do wyjścia. Chudy odprowadzał ją wzrokiem. Usiadłem i zamówiłem jeszcze jedną whisky. Spojrzałem na zegarek, była za piętnaście jedenasta. Bezmyślnie zapaliłem papierosa i zacząłem przyglądać się tańczącym. Wiele par sprawiało wrażenie bardzo zakochanych, splecione ciasno ze sobą, poruszały się w takt starych melodii. Mniej więcej po kwadransie chudy mężczyzna z blizną odszedł.

I tutaj prawie wszyscy panowie ubrani byli w smokingi, niewielu tylko w ciemne ubrania, tak jak ja. Karin nie zapakowała mi smokingu. Milczałem, sączyłem drinka, paląc wolno papierosa, przysłuchiwałem się łagodnej muzyce i byłem w pogodnym nastroju. W barach czułem się zawsze dobrze, i to na całym świecie, gdyż barmani należą do ludzi sympatycznych i potrafią tworzyć taką atmosferę. Ci tutaj byli wyjątkowo uprzejmi. Oczywiście zdarzają się także kiepskie bary i źli barmani, ale właściwie bardzo rzadko. Wypiłem jeszcze jedną whisky i pomyślałem, że chętnie wróciłbym do lat młodości, nie było mi jednak bardzo żal, że już odeszła. Kapela grała „Moonglow” z filmu „Piknik” i skojarzyła mi się ta melodia z jachtem Hellmanna, który nazywał się tak samo i eksplodował. Wtedy przyszło mi na myśl, że pieśń ta stała się teraz czymś w rodzaju elegii dla umarłych, o których nie wiadomo, czy byli przestępcami, czy też porządnymi ludźmi. W uczciwość siedmiu z załogi należało jednak wierzyć. Siedmiu na pięciu, jeśli Hellmann i jego ludzie byli na bakier z prawem – co absolutnie nie jest pewne. Ale nawet jeśli tak było, proporcja nie wyglądała źle. Co za brednie, pomyślałem i zamówiłem

jeszcze jedną whisky, zajmując się już tylko nią. Cóż to był za przyjemny trunek. Co za nadzwyczajnie przyjemny trunek...

16.

– Avenue du Bernard – rzuciłem taksówkarzowi. – Residence de Paris, blok C.

– Załatwione, monsieur – to powiedziawszy ruszył w drogę ogromnym chevroletem. Do północy brakowało kwadransa. Nicole zostawiła adres na wizytówce, na której, oprócz nazwiska i dokładnego adresu, zaznaczona była dzielnica: Le Petit Juas.

Jechaliśmy najpierw Croisette aż do rue des Serbes. Tutaj kierowca gwałtownie skręcił. Wyglądałem przez okno, próbując z tabliczek odczytywać nazwy ulic, gdyż jak zawsze chciałem zdobyć szybką orientację w mieście, żeby móc się po nim swobodnie poruszać. Przecieliśmy rue d'Antibes, oblepioną sklepami, minęliśmy mały i brzydki główny dworzec w Cannes i znaleźliśmy się na przestronnym Boulevard Carnot, którym kierowca kierował się teraz na północ. Na szerokiej tablicy rozdzielczej znajdował się kompas, zgrabny i mały, mogłem więc dokładnie śledzić strony świata. Dojechaliśmy do placu, przy którym znajdowała się główna siedziba straży pożarnej, skręciliśmy w lewo w avenue St. Jean i potem w avenue du Bernard.

Znaleźliśmy się w luksusowej dzielnicy. Résidence de Paris była jedną z wielu gigantycznych twierdz mieszkaniowych imponujących znakomitą architekturą i starannie zaplanowanymi łukami. Rezydencje zajmowały stoki, które górowały nad śródmieściem, i były charakterystycznym elementem krajobrazu Cannes. W największym komforcie mieszkała w nich zapewne setka ludzi. Otaczały je zielone ogrody lub nawet rozległe parki, tak jak Résidence de Paris. Wysiadłem przy bloku C, kierowca mógł zawrócić na parkingu i pojechać do miasta. Wszystko zdumiewało swoimi rozmiarami: sam budynek i park, w którym rosły palmy, cedry i cyprisy. Księżyc świecił jasno i mogłem spoglądać z góry na rozjarzone miasto, morze i port pełen świateł. Teraz w powietrzu była jakaś świeżość, oddychałem więc głęboko. Brzegiem basenu szedłem do oświetlonego wejścia, gdy nagle zobaczyłem jakichś dwóch mężczyzn. Stali za palmami i teraz skoczyli na mnie. Jeden wykręcił mi ręce do tyłu i przytrzymał mocno, drugi zacisnął nos tak, że musiałem otworzyć usta, do których wpełchnął mi mokrą szmatę. Poznałem tego draba; wieczorem

na Croisette prosił mnie o ogień. Człowiek, którego uprzejmość i ładna buzia wzbudziły moje podejrzenia – to był on. Z kneblem w ustach nie byłem w stanie nawet pisać, gdy zaatakował. Bil z całych sił, z rozmachem uderzając mnie w żołądek, brzuch i niżej. Tu w górze o tej porze nie było żywego ducha, więc im się specjalnie nie spieszyło. Ten ładny zaczął się pocić, ja zresztą też. Miałem uczucie, że ciało mi pęka i wypływają z niego wnętrzności. Wszystko trwało najwyżej trzy minuty, wreszcie skończyli ze mną. Straciłem przytomność.

17.

Kiedy doszedłem do siebie, leżałem w trawie na wznak i z pierwszym oddechem poczułem, jak podnosi się mój żołądek. Wyrwałem knebel z ust i gwałtownie zwymiotowałem. Próbowałem się podnieść, ale kolana odmówiły posłuszeństwa. Na czworakach podczołgałem się do wielkiego basenu i kranu, z którego stale płynęła woda. Wypłukałem usta i pottrzymałem głowę pod strumieniem, aż cały zeszytniałem z zimna. Oddychałem nerwowo, bojąc się, że znowu stracę przytomność. Ciało sprawiało mi piekielny ból. Usiadłem. Wszystkie kieszenie miałem puste, w którejś wyrwaną podszewkę. Poza chusteczką do nosa i czterema dziesięciofrankówkami niczego w nich nie znalazłem.

Otarłem twarz i wstałem, ale zaraz upadłem. Spróbowałem jeszcze raz. Za trzecim razem stanąłem chwiejnie na nogach. Zataczając się jak pijany, rękoma podtrzymując brzuch, skierowałem się do wejścia bloku C. Wciąż miałem uczucie, że zaraz zemdleję. Po omacku przemieszczałem się powoli wzdłuż muru. Szklane drzwi wejściowe były otwarte. Paliło się tu mocne światło. Dostrzegłem windę i wjechałem na szóste piętro, bo przypomniałem sobie adres na wizytówce. Winda zatrzymała się i wytoczyłem się z niej. Korytarz, potem troje drzwi, wreszcie apartament numer 612. To tu, choć na drzwiach nie ma żadnego nazwiska. Zadzwoń-łem. Nic. Zadzwoń-łem jeszcze raz i znowu cisza. Dzwoniłem i dzwoniłem, nie odrywając palca od guzika. Po dwóch może minutach odezwał się z mieszkania jakiś wściekły męski głos. Był coraz bliżej, w końcu drzwi się gwałtownie otworzyły, a ja – jedną ręką o nie oparty – runąłem prosto w objęcia szczupłego mężczyzny. Miało koło czterdziestki, bardzo mieszczański wygląd i był prawie łysy. Ubrany w pizamę w niebiesko-czerwone pasy, w prawej ręce trzymał pistolet. Lufa wwiercała się teraz w mój żołądek.

– Ty cwaniaku! – I z impetem odepchnął mnie od siebie, rzucając na ścianę korytarza. Był bardzo silny. Z niedowierzaniem patrzył, jak się zachwiałem i ucze-
piłem ściany, żeby nie upaść.

– Weź pan tę zabawkę – wykrztusiłem, gdy wciąż celował w mój żołądek.

– W tej okolicy co noc zdarzają się włamania – wyjaśnił mężczyzna w piżamie. – Musimy sobie sami radzić. Mam pozwolenie na broń, więc najpierw strzelę w pański brzuch, potem w ścianę, policji zaś powiem, że celowałem w ścianę, a później w obronie własnej strzeliłem do pana.

– Nie pleć pan głupstw, nie jestem włamywaczem.

– To pan mówi.

– Czy włamywacz dzwoni do drzwi?

– Może ma pan współników, którzy tymczasem z dachu pakują się na balkon. – Nagle się odwrócił i bacznie przyjrzał oświetlonemu wnętrzu mieszkania, ale nic się tam nie poruszyło, więc uspokojony patrzył znowu na mnie.

– I jak miałem te drzwi otworzyć, jak? – spytałem.

– No więc dobrze. Nie jest pan włamywaczem. Pijany?

– Nie.

– Ćpun?

– Nie.

– Jak pan wygląda? Mokry i brudny. Co się z panem dzieje?

– Pobito mnie, przed blokiem.

– Kiedy?

Spojrzałem na zegarek, było pięć po pierwszej.

– Może przed kwadransem. Nie, pół godziny temu, chwileczkę, panie... – osuwałem się wolno na podłogę. Zrobiło mi się znowu bardzo słabo.

– Zawołam policję...

– Nie.

– Ależ tak! Koniecznie! Musi przyjechać policja...

– Upłynie godzina, zanim przyjadą. I nic nie znajdą.

Nie chciałem policji ani rozgłosu, przynajmniej nie teraz.

– Niech mi pan poda coś do picia, bardzo proszę – powiedziałem.

– Koniak?

– Tak.

Poszedł i wrócił z kieliszkiem do połowy napełnionym koniakiem. Po jednym łyku zrobiło mi się całkiem niedobrze, więc wypłem do dna i wtedy poczułem się wreszcie lepiej. Stałem znowu na nogach :

– Czego pan sobie życzy? – spytał mężczyzna w piżamie – Nazywam się Danon. Alain Danon.

Patrzył na mnie, ale nie wymieniłem swojego nazwiska.

– Chciałbym mówić z mademoiselle Monnier – powiedziałem. – Nicole Monnier.

– Z kim?

– Z mademoiselle Nicole Monnier. Mieszka tutaj.

– Tutaj mieszkam ja. Jak się nazywa? Monnier? Nie słyszałem nigdy tego nazwiska.

– Musi tutaj mieszkać. Ten adres jest na jej wizytówce. Blok, piętro, apartament numer 612. Czeka na mnie, to przecież ten numer.

– Zgadza się, ale tutaj na pana nikt nie czeka.

– Miałem przecież adres na wizytówce...

– Niech ją pan pokaże.

– Nie mam już tej wizytówki. Ci, którzy mnie napadli, opróżnili moje kieszenie.

– Słuchaj pan...

– Słowo honoru. Wizytówkę też wzięli.

– Jest pan obcokrajowcem? Niemcem?

– Tak.

– A czego chciała od pana ta... ta...

– Monnier.

– ...ta Monnier.

– Chciała mi coś sprzedać – odparłem.

– Co?

– Prawdę.

– Jaką prawdę?

– Nie wiem.

Patrzył na mnie znowu z podejrzliwością.

– Proszę posłuchać. Ja nie wierzę panu, pan nie wierzy mi. Oprowadzę pana po całym mieszkaniu. Zobaczysz pan, czy jest tu jakaś Nicole Monnier.

I zaprosił mnie do środka. Apartament był bardzo duży, urządzone kosztownymi antycznymi meblami. Usłany dywanami i gobelinami, miał dwie sypialnie. W jednej z nich ściany i sufit wyłożono lustrami, to na suficie dawało się przestawiać za pomocą linki. Pościel w jednej połowie łóżka była rozgrzebana. Zaprowadził mnie także do dwóch ubikacji i kuchni.

– No więc, jest pan teraz zadowolony? Mogę iść spać? Wychodzę wcześniej.

– Ale ja nie rozumiem...

– Jeśli pan jest w porządku, to dama pana nabrała. Wpadka. W końcu to tutaj przetrzepano panu skórę i okradziono, prawda?

– Hm...

– Wszystko jasne, tak uważam. A pan nie?

– Nie bardzo.

– Powinien pan być ostrożniejszy w tym mieście.

– Czy mógłby mi pan przywołać taksówkę?
– Jasne. – I zadzwonił. – Przyjedzie za pięć minut – powiedział, odkładając słuchawkę. Odstoził olbrzymie okno i w dole zobaczyłem światła miasta i połyskujące morze.

– Cudowny widok, prawda? Mieszkam tu od ośmiu lat i nigdy nie umiem się nim nacieszyć. Wspaniałe miasto, ale dość niebezpieczne, o czym miał pan okazję właśnie się przekonać.

– Hm.

– Forsa. Jak pan przypuszcza, ile worów pieniędzy zebraloby się w tym mieście? Iluż miliarderów tu mieszka? Nic dziwnego, że mamy tyle przestępstw. – Wziął gazetę, „Nice-Matin”, jak przeczytałem. – Niech pan spojrzy! Codziennie całe kolumny o tym, do kogo włamano się poprzedniej nocy, czyj samochód skradziono, kogo napadnięto, z ilu jachtów wyniesiono silniki. Ale mimo wszystko to najpiękniejsze miasto świata, dla mnie raj i nigdzie indziej nie mógłbym żyć. Czy pan to rozumie?

– O tak – odparłem. – Na pewno. Proszę mi wybaczyć to najście. Już schodzę, na taksówkę zaczekam na dole.

– Jak pan chce. I proszę się nie gniewać... Tu rzeczywiście trzeba być ostrożnym. Do mnie włamywano się już dwa razy. Dlatego postarałem się o pozwolenie na broń. Czy także pan je ma?

– Nie. – To była prawda, nigdy też nie posiadałem broni.

– Jeszcze koniaku?

– Nie, dziękuję. – Skierowałem się ku drzwiom, zdziwiony, że znowu jakoś mogę chodzić. Jeszcze raz się przeprosiliśmy i Danon zaproponował, że zjedzie ze mną windą, ale odmówiłem. Taksówka już czekała na dole.

– „Majestic” – powiedziałem, padając na tylne siedzenie.

– Proszę bardzo.

Kiedy dojechalśmy, galowe przyjęcie trwało w najlepsze. Podeszedłem do portiera i poprosiłem o klucz do pokoju.

– Długo jeszcze? – i wskazałem ręką na salę.

– Och, do trzeciej, czwartej, nigdy nie wiadomo, monsieur Lucas. Czy klucz do sejfów też mam panu dać?

– Nie – powiedziałem. – Niech zostanie, gdzie jest.

– Jak pan sobie życzy, monsieur Lucas.

Zanim opuściłem hotel, włożyłem do sejfów prawie wszystkie pieniądze, paszport i co cenniejsze rzeczy. Klucz do sejfów dałem portierowi na przechowanie do dużej skrytki. W moim zawodzie przez lata nauczyłem się niejednego. Jeśli tego nie potrafisz, szybko wypadasz z gry. Dałem portierowi dwadzieścia franków i pojechałem do siebie na górę. Rozebrałem się i zobaczyłem na ciele pierwsze siniaki. Ładnie jutro będę wyglądać, pomyślałem, ale teraz uprzytomniłem sobie, że to już było rano. Z łazienki przeszedłem do sypialni, rozsunąłem zasłony i położyłem

się do łóżka. Na morzu i wzdłuż Estérelu drgały światła. Statki iluminowane były czerwonymi, zielonymi i niebieskimi lampami. Z jakiejś balowej sali przenikała cicho muzyka. Leżałem na wznak i myślałem o czerwonej róży, którą Nicole Monnier bawiła się w barze. W mieszkaniu Alaina Danona, który oświadczył, że nigdy nie słyszał o tej kobiecie, zobaczyłem czerwoną różę. W sypialni z lustrami, w kącie w połowie przysłoniętym stojącą szafką. Oczywiście mogła to być zupełnie inna róża.

18.

Następnego dnia było bardzo gorąco. Gdy piłem herbatę i zapaliłem pierwszego papierosa, powietrze za oknem aż się iskrzyło. Chciałem już wiele razy rzucić palenie, ale zawsze znajdowałem jakiś powód, żeby tego nie zrobić, przeważnie byłem na to zbyt spięty i zdenerwowany. Postanowiłem więc przynajmniej ograniczyć liczbę wypalanych papierosów. Tabletki przepisane przez lekarza połykałem regularnie.

Po owej fatalnej nocy na ciele miałem już fioletowe, zielone i żółte sińce i wszystko mnie bolało. Choć włożyłem najłżejsze ubranie, to jednakże kiedy o dziewiątej dzwoniłem do mieszkania Angeli Delpierre, koszula przyklepała mi się do ciała i niemiłosiernie się pocilem. Zmiana klimatu i ból bardzo mi dokuczały. Miałem zawroty głowy, czułem się zmęczony i stary. Tak, bardzo stary.

Drzwi się otworzyły.

– Monsieur Lucas? – spytała młoda kobieta, która właśnie stanęła przede mną. Była tego samego wzrostu co ja, miała lśniące rude włosy, bardzo duże brązowe oczy z długimi, jedwabistymi rzęsami i szczupłą twarz z pięknym zarysem ust. Pokazała się tylko w szortach i lekkiej zielonej bluzce, zawiązanej pod biustem, bosą. Tym strojem podkreśliła swoją zgrabną sylwetkę, długie nogi i opaleniznę. W uśmiechu odsłaniała idealnie piękne zęby. W oczach jej tlił się cień smutku, nawet kiedy się śmiała. Gdy zobaczyłem Angelę pierwszy raz, ów smutek wzruszył mnie najbardziej.

– Nie zajmę pani wiele czasu – powiedziałem od razu, gdy tylko znalazłem się w małym holu. – Mam tylko parę pytań.

– Może pan godzinę pytać, monsieur Lucas. Powiedziałam panu przecież, że mój klient przychodzi do pozowania dopiero o dziesiątej. Mój Boże, jaki pan spocyny, aż mokry! Niechże pan zaraz ściąga marynarkę. I rozwiąże krawat! Nie wytrzymaj pan tutaj i jeszcze dostanie zawału.

– Zabrałem z domu nie to, co trzeba – usprawiedliwiłem się, zdejmując marynarkę i krawat. Powiesiła je na wieszaku.

– Niech pan zżuje buty. – Jej głos był spokojny, rzeczowy, a nawet pewny siebie.

Zawahałem się.

– Niechże pan ściąga!

Zdjąłem buty.

– Idziemy na taras. Tu na górze zawsze jest trochę wiatru – mówiła idąc przodem. Najpierw było studio z drzwiami otwartymi na oścież, przez które widać było obrazy i sztalugi. Potem przechodziliśmy przez jasny, nowoczesnie urządzonej salon. Cała ściana, od podłogi po plafon, wypełniona była książkami. Po przeciwnej stronie dostrzegłem półkę, na której stało z pięćdziesiąt słoń, z najróżnorodniejszych materiałów i różnej wielkości: maleńkich i bardzo dużych, ale zawsze z trąbą uniesioną ku górze. Na chwilę się zatrzymałem. Najpiękniejszy wydał mi się maleńki słoń z hebanu. Był pękaty i po prostu zabawny. Pomyślałem o mojej kolekcji słoń w Düsseldorfie, ale tylko przez moment, gdyż ona szła szybko, a mnie bolało całe ciało, gdy się ruszałem. W pokoju stał duży telewizor, podobnie jak w ogrodzie zimowym, w którym kwitły w doniczkach rozmaite kwiaty. Madame Delpierre zauważyła moje spojrzenie.

– Jest jeszcze trzeci, w kuchni. Mam bzika na punkcie telewizji, szczególnie jeśli chodzi o dzienniki. Muszę wszystkie oglądać. TÉLÉ-MIDI, TÉLÉ-SOIR, TÉLÉ-NUIT, 24 HEURES, INFORMATION PREMIÈRE i INFORMATION DERNIÈRE. Po prostu wszystko. Pierwszy kanał, drugi, i jeszcze Monte Carlo. Kiedy podczas nadawania wiadomości przechodzę z jednego pomieszczenia do drugiego, nie tracę ani sekundy i mogę je śledzić w całości. – Roześmiała się. – W studiu stoi czwarty odbiornik, czysty obłąd, co?

– Trochę – przyznałem. – Może.

Wyszliśmy na taras i zaraz zaczerpnąłem powietrza. Przylegał on do dwóch ścian niezwykle przestronnego apartamentu, powiększając o dwie trzecie i tak wielkie pomieszczenie. Jeszcze nie widziałem tak olbrzymiego tarasu, a tym bardziej tyłu troskliwie pielęgnowanych kwiatów. Urządzone był jak mieszkanie, z szezlongami, wiklinowymi fotelami i stolikiem, kącikiem wypoczynkowym pod ogromnym żaglem i huśtawką ogrodową. Podłogę tarasu wyłożono niebieskimi i białymi kafelkami. Mieszkanie usytuowane było na najwyższym piętrze i dlatego taras znajdował się poza zasięgiem ciekawskich oczu, mimo to po jednej jego stronie zamontowano kratę z drewnianych listew pomalowanych na białą. Drewno było prawie niewidoczne, gdyż oplatały je bluszcz, biało kwitnący jaśmin i bugenwilla, cierniste pnącza z małymi, owalnymi, drzącymi listkami i kwiatami we

wszystkich odcieniach czerwieni, fioletu i pomarańczy. Rośliny tkwiły korzeniami w długich skrzynkach, ustawionych wzdłuż tej drewnianej przesłony. I były jeszcze wielkie, brzuchate ceramiczne dzbany, zwane, jeśli się nie mylę, ali babami. Rosły w nich całymi rodzinami białe i fioletowe petunie oraz czerwone, białe i niebieskie pelargonie. Dzbany miały boczne otwory, podobne do kieszeni, z których wymykały się drobne różnokolorowe różyczki. Angela znowu zaobserwowała, że się im przyglądam.

– Te małe różyczki nazywają się „Surprise” – wyjaśniła mi. – Wie pan, na punkcie kwiatów mam również bzika.

– Podobnie jak ja – odparłem, wędrując wzrokiem po wielkich wazonach z czerwonymi i pomarańczowymi gladiolami, które stały na stołach, pęczkach biało-żółtych stokrotek w glinianych naczyniach, małych świerczkach i innych ozdobnych drzewkach rosnących w donicach. Taras przypominał targowisko kwiatów, kolorowe i wesołe. Spostrzegłem też stół z narzędziami i środkami do pielęgnacji roślin, konewki i ogrodowego węża. W drewnianym okratowaniu, pomiędzy jaśminem i begoniami, ukryte były kolorowe, glazurowane, ceramiczne figurki o na pół fantastycznych kształtach: jakaś dzika kaczką, jakiś gołąb, motyle.

– Kupiłam je w Vallauris – powiedziała Angela. Ta kobieta uważnie mi się przyglądała; było to chyba częścią jej zawodu. – Leży niedaleko stąd. Wyrabiają tam garnki wedle starych prowansalskich wzorów – chyba od roku 1950, i dzięki Picassowi, Pignonowi i Prinrowi na pewno stało się Vallauris najślawniejszym ośrodkiem ceramiki artystycznej w świecie. – Mówiła z taką naturalnością i swobodą, że zapomniałem o bólach i głęboko wdychałem świeży wiatr, tu na górze rzeczywiście wyczuwalny. Angela pogłaskała gołąbka. – Podarował mi go Picasso – rzekła. – Naturalnie, byłam bardzo szczęśliwa i dumna, że mi zrobił taki prezent. Co będzie pan pił? Jakiś sok? Pomarańczowy? A może raczej tonik czy gorzką lemoniadę?

– Jeśli mogę, to proszę o lemoniadę.

– Chwileczkę! – Wybiegła boso do mieszkania. Zbliżyłem się do balustrady od strony morza. Zwiedziłem w życiu wiele pięknych miast, podziwiałem cudne krajobrazy, ale czegoś podobnego jeszcze nigdy nie widziałem. U moich stóp rozciągał się widok na całe miasto, jego ulice, stare domy, okazałe rezydencje i kościoły. Stąd morze wydawało się bezkresne. Po lewej mój wzrok sięgał aż do Cap d'Antibes, na prawo ogarniał góry Estérel. Całą ogromną zatokę, w której leży Cannes, miałem jak na dłoni. Dojrzałem palmowe ogrody, kwieciste gaje między rezydencjami, Stary Port i na lewo drugi, zapewne nowy. Stało tam zakotwiczonych wiele jachtów, często bardzo dużych. W jaskrawym słońcu wszystkie domy

lśniły białą, a morze było ciemnoniebieskie, usiane różnobarwnymi plamkami statków. Dobrze widoczne też były żaglówki, jachty i motorówki, ciągnące za sobą ślady spienionej wody. Niebo miało barwę morza, jedno i drugie zdawało się nie mieć kresu, zdążając ku nieskończoności. Daleko w powietrzu pojawił się jakiś samolot i bezgłośnie zniknął, podchodząc do lądowania w Nicei.

– Port na lewo nazywa się Port Canto – usłyszałem za sobą kobiecy głos. – Zatrzymują się tam wszystkie jachty. Kawałek dalej widzi pan „Palm Beach”.

Odwrociłem się. Angela podawała mi szklanke, która zdążyła spotnieć. – Pańska lemoniada, z lodem i kawałkiem cytryny. Czy dobrze?

– Wspaniale.

Sama wybrała sok grejpfrutowy.

– Cudownie jest tu na górze – wciąż byłem zachwycony.

– Tak – przyznała. – Bardzo kocham to miejsce. W dzień i w nocy, przy dobrej pogodzie i przy złej. Zawsze lubię tu przebywać.

– Widać to po pani.

Roześmiała się.

– Kiedy nie muszę pracować, spędzam tu cały dzień. Tylko tu. – Stała blisko mnie i po raz pierwszy dotarł do mnie świeży zapach jej skóry. Angela nie używała perfum. – Niech pan siada pod markizą, bo nic pan nie ma na głowie, a to zbyt niebezpieczne o tej porze. – Nałożyła białą, lnianą czapkę i wybrała krzesło stojące w pełnym słońcu. – Mnie już nie szkodzi, mimo to zawsze coś wkładam na głowę. Będzie dzisiaj bardzo gorąco. Co by pan chciał wiedzieć, monsieur Lucas?

– Wszystko, co mi pani może powiedzieć o Herbercie Hellmannie.

– Nie będzie tego wiele – uśmiechnęła się. W kącikach oczu zebrały się zaraz promienne wiązki małych zmarszczek. – Poznała mnie z nim jego siostra, bo najpierw ją malowałam. Jego portret stał u mnie długo. Kiedy tu przyjechał w ubiegłym tygodniu, musiała mu powiedzieć, że obraz – wciąż jeszcze nie skończony – nadal jest u mnie. Tak więc przychodził tutaj, chyba ze trzy razy, zawsze na jedną, dwie godziny. Teraz obraz jest gotowy, ale monsieur Hellman nie żyje, powinnam więc do niej zadzwonić.

– Mógłbym zobaczyć portret?

– Naturalnie. – Już wstała i wyprzedzając mnie weszła do salonu. Chód miała cudownie lekki i szybki, ruchy oszczędne i pełne wdzięku. Poszedłem za nią boso, znów mnie wszystko bolało. Atelier było bardzo duże. Dostrzegłem z tuzin rozpoczętych obrazów, na wielkim stole poplamiony biały kitel, palety, tuby z farbami, pędzle, butelki z terpentyną, płótno i ramy. Angela zaprowadziła mnie do

stojącego w kącie portretu jeszcze bez ramy. – To właśnie on – wskazała. Przyjrzałem się obrazowi. Nie jestem znawcą, ale coś niecoś wiem o malarstwie, i wydało mi się, że Angela była całkiem niezłą portrecistką. Obraz przedstawiał tylko samą twarz i, jeśli nie było w nim upiększeń – a inne płótna nie wskazywały na to, by Angela przypochlebiała się klientom – to Hellmann mógł być dumny z własnego oblicza. Twarz miał szlachetną, z patrzącymi na mnie serdecznie szarymi oczami, z życzliwym uśmiechem, wysokim, myślącym czołem, nad którym rosły siwe, bujne jeszcze włosy przystrzyżone na jeża. Bez wątpienia spoglądał na mnie uczciwy człowiek.

– Wygląda wspaniale.

– I w istocie tak wyglądał, monsieur Lucas. Był także gentlemanem. – Tak? pomyślałem. – W każdym calu gentlemanem. – Angela zastanowiła się przez moment. – Ale to tylko wrażenie, monsieur Lucas, tylko pierwsze wrażenie, niech pan inaczej tego nie odbiera!

– Co pani mówi?

– Hellmann był niezwykle zdenerwowany i podniecony, kiedy widywałam go podczas ostatnich spotkań, coś bardzo musiało go gnębić.

– Czy to może znaczyć, że się bał?

– Tak, mogło tak być. Mam wrażenie, że... Widzi pan... Wydawało mi się, że on w ogóle przychodził do mnie tylko dlatego, że tu znajdował spokój. Raz mi o tym powiedział. Lubił mnie, a ja go też, dlatego zabierał mnie często na jacht. Również... również i tym razem.

– Kiedy pani niedyspozycja żołądkowa uratowała życie.

– Tak – przyznała – miałam wielkie szczęście. Mogłam równie dobrze zginąć i kto wie, czy... – Urwała nagle. Pociemniało w jej oczach.

– Co chciała pani powiedzieć?

– Nic.

– A jednak.

– Ależ nie, monsieur Lucas! Wrócimy na taras? – Nie czekała na odpowiedź i już szła przodem, z boku zostawiając kuchnię z otwartymi drzwiami. Zobaczyłem całą górę liści endywi, musiała je plukać przed moim przyjściem.

Na tarasie owionął mnie znowu cudownie chłodny poddmuch wiatru.

– Ale tym razem i tutaj nie znalazł spokoju – powiedziała zamyślona, siadając na krześle.

– Dlaczego?

– Wciąż był wzywany do telefonu.

- Przez kogo?
- Chyba w interesach.

Wyciągnąłem z kieszeni spodni portfel i wręczyłem Angeli kartkę z nazwiskami, którą dał mi smutny Louis Lacrosse.

- Przez tych ludzi może? Zna ich pani?

- Chwileczkę – przeprosiła i szybko wyszła. Wróciła zaraz z okularami w oprawkach ozdobionych strasowymi kamyczkami i usiadła. – W ostatnim roku nagle stałam się dalekowszycem i nie umiem już bez nich czytać. Prowadzę auto, robię bez okularów różne rzeczy, tylko nie czytam, no i nie maluję, bo wtedy też muszę ich używać. – Studiowała kartkę ze skoncentrowaną twarzą, jak zawsze, gdy się jej stawiało jakieś ważne pytania i chciała na nie dokładnie odpowiedzieć.

- Z wyjątkiem Sargantanów znam wszystkich, którzy tu figurują – oświadczyła po chwili. – Johnowi Kilwoodowi, Fabianim i Tenedosom malowałam portrety. Najlepiej znam Trabaudów, jestem nawet z nimi zaprzyjaźniona, szczególnie z Pasquale. – Zdjęła okulary. – To pana dziwi, prawda? – I zanim zdążyłam odpowiedzieć, ciągnęła. – Jestem tu swego rodzaju osobliwością, znam wszystkich ludzi. Zaprasza się mnie na towarzyskie spotkania, na przyjęcia...

- Co znaczy „zaprasza się”?

- Ach, to zaprasza dyrekcja kasyna w „Palm Beach” i ta z „Municipalu”, zależnie od pory roku, to na festiwalu filmowe, to na wystawy i na wszystkie imprezy, które się tu organizuje. Robi to głównie „Syndicat d'Initiative”. Jest to, jak pan woli, biuro obsługi turystycznej, tu, nad zatoką. Ja... – Zdawała się trochę zakłopotana.

- Dzięki moim obrazom zdobyłam pewne nazwisko w świecie, oczywiście w określonych kręgach. „Syndicat d'Initiative” traktuje mnie widocznie jako swego rodzaju atrakcję Cannes.

- Jest nią pani bez wątpienia.

- Dziękuję – odparła. – Ale poważnie. Prawdę mówiąc, w ostatnich latach znalazłam się w poważnych tarapatach. Oczywiście mogę się tylko cieszyć z obecnego awansu towarzyskiego, bo w ten sposób dostaję zamówienia, pan rozumie? Z drugiej jednak strony rzecz jest diabelnie kosztowna. Potrzeba mi sukienek, butów, na tych galach trzeba się dobrze prezentować. Mam szczęście, proszę mi wierzyć. Potrafię nosić sukienkę za dwieście franków, choć inne kobiety skłonne są przyjąć, że kosztowała dwa tysiące i jest od Pucciego. Mam naturalnie kilka rzeczywiście drogich sukien. I futra. I piękną biżuterię... Wszystko, co zarobię, lokuję w kosztownościach. Gdyby kiedyś trzeba było uciekać, biżuterię można łatwo... – Znowu urwała.

- Czy już pani kiedyś uciekała? – spytałem.

– Jak powiedziałam, znam wszystkich z listy, z wyjątkiem Sargantanów. – Nie odpowiedziała na moje pytanie. – Przyjeżdżają tu każdego roku na parę miesięcy, wszyscy mają domy lub apartamenty. Trabaudowie mieszkają tu przez większą część roku, poza tym w Paryżu. Ale jeśli mnie pan pyta, czy to ci ludzie telefonowali do monsieur Hellmanna w moim domu, to muszę pana rozczarować. Głosów tych nie znałam.

– Pani podchodziła do telefonu, ktoś prosił Hellmanna i pani oddawała mu słuchawkę. Z kim potem rozmawiał, tego pani nie wie.

– Ach tak, to jasne, że nie. Ale rozumiem, myśli pan, że ktoś go najpierw prosił do aparatu, a potem dopiero rozmawiał z nim ktoś inny.

– Właśnie. Sądzi pani, że to niemożliwe?

– Brzmi to całkiem do rzeczy – powiedziała poważnie. – Śmieszne, ale o tym wcale nie pomyślałam.

– I mówi pani, że to telefony tak go denerwowały?

– Bardzo się irytował, stawał się gwałtowny, a potem był albo bardzo wzburzony, albo całkiem apatyczny. Nie chciał mi nigdy powiedzieć, o co chodzi, a ja go nie wypytywałam.

– Kiedy odwiedzał panią?

– Przychodził kolejno przez trzy dni – odpowiedziała. – Jeszcze w ubiegłym tygodniu. Potem zaprosił mnie na tę wycieczkę na Korsykę, razem z Simonami i Bienertami, których poznałam wcześniej.

– Czego szukał na Korsyce?

– W Ajaccio miał spotkanie z kontrahentami.

– W jakim języku prowadzono rozmowy telefoniczne?

– W angielskim. – Gdy tak gawędziliśmy, w pobliskiej Nicei bez przerwy lądowały lub startowały samoloty. Widziałem, jak nisko przelatywały, lecz prawie bez odrzutowego loskotu.

– Czy mówi pani po angielsku?

– Jak po niemiecku.

– Czy mogę spytać, czego dotyczyły te rozmowy? A może pani przy nich nie było?

– Mój aparat ma bardzo długi sznur i mogę go z salonu przynieść do innych pomieszczeń. Kiedy pracuję, stoi w studio. Wtedy stale dzwonił, chciałam wyjść, ale monsieur Hellmann prosił mnie o pozostanie. Niczego jednak nie zrozumiałam. Chodziło o terminy i o coś, na czym Hellmannowi bardzo musiało zależeć. Niestety, nie wiem, co to było. Pamiętam tylko, że stale padało jedno słowo – *cover*. Nie, dwa słowa: *cover* i *coverage*.

– *Cover* – powtórzyłam. – *Coverage*.

– Proszę zaczekać, przyniosę słownik... – Wybiegła do pokoju obok i wróciła ze słownikiem angielsko-francuskim. Założyła okulary, poprawiła czapeczkę, która

się jej zsunęła, i zaczęła kartkować książkę, by wreszcie odczytać: – „Cover. Najpierw: nakrycie, pokrywa, okładka, futerał, okrycie, zasłona, ochrona.” – Podniosła oczy. – Czy to coś mówi?

– Może – powiedziałem. – Ale nic mi na myśl nie przychodzi, proszę dalej.

– „...zaskocz, nakrycie... I także: nakryć, przykryć, zawijać, rozwijać, ukryć”... hm?

Wzruszyłem tylko ramionami.

– „...zasłonić, chronić...” – I to na nic?

– Gdybym to wiedział – odparłem. Kapelusik znowu jej się zsunął do przodu. Poprawiła go. Pasma czerwonych włosów wymknęło jej się teraz na opalone, wysokie czoło.

– „...celować w coś – bronią palną, ostrzeliwać – działami tereny, obejmować, osaczać, w gazetach: informować o czymś, traktować jakąś sprawę... *covered button, covered court, covered wire... coverage: sprawozdanie... cover girl...*”

– Nie, to już chyba nie ma znaczenia.

– Co to mogło być? Mówię panu, że to słowo stale powracało, stale... *cover... coverage*. Nic innego właściwie nie słyszałam.

– Jak pani sądzi, madame, eksplozja była nieszczęśliwym wypadkiem czy celowym działaniem?

– Tym drugim – powiedziała bez wahania.

– Dlaczego pani tak myśli?

– Monsieur Lacrosse powiedział mi, że był to ciężki ładunek dynamitu.

– Ach, dlatego.

– Nie tylko. Przede wszystkim na to wskazuje stan, w jakim znajdował się monsieur Hellmann.

– Co to było? Tylko strach?

– Strach też.

– Może wściekłość, gniew, rozgoryczenie?

– Wszystko razem. – Głos jej brzmiał melodyjnie i przyjemnie, ta kobieta nigdy się nie unosiła i nie zacierziewiała, umiała panować nad emocjami.

– Czy ma to jakiś związek z tymi telefonami?

– Z całą pewnością, ale w jakim stopniu, tego naprawdę nie umiem powiedzieć. I w żadnym wypadku nie da się ustalić, czy z tymi ludźmi lub jednym z nich – tu wskazała na kartkę – monsieur Hellmann rzeczywiście rozmawiał.

– Czy był zrozpaczony?

– Tak, chyba tak to trzeba nazwać...

– Można więc brać pod uwagę ewentualność, że chciał sobie odebrać życie?

- W taki sposób? I pociągnąć za sobą innych ludzi? Nigdy! Nie znał go pan. Wykluczone! Gdyby miał to uczynić... nie umiałabym powiedzieć dlaczego... zrobiłby to bez narażania innych, za to daję głowę! – Patrzyła na mnie zamyślona.
- Nie na wiele się przydałam, co?
- Naprawdę bardzo mi pani pomogła – zapewniłem ją, a ona uśmiechnęła się do mnie. Bezwiednie odwzajemniłem uśmiech. – *Cover* – powtórzyłem.
- I *coverage* – dodała.
- Jeszcze ostatnie pytanie. To dosyć dziwne, że wszyscy zjechali się do Cannes prawie w tym samym czasie – a może robią to zawsze?
- Nie, pojawiają się o różnej porze. Tylko tego roku chcieli uczcić sześćdziesiąte piąte urodziny monsieur Hellmanna.
- Ach, tak!
- Jego siostra powiedziała mi o tym przez telefon. Między jedenastą a dwunastą zaczynają się w tym towarzystwie wielkie tele-ploty, każdy dzwoni więc do każdego. Madame Hellmann też często do mnie dzwoni, żeby mnie zaprosić czy poplotkować. Nie jest zdrowa...
- Wiem. Jak pani malowała jej portret?
- Musiałam przychodzić do jej domu. Opuszcza go rzadko, bo z trudnością się porusza. Obraz jest u niej.
- Kiedy wypadały urodziny monsieur Hellmanna?
- Dzisiaj, dokładnie dzisiaj. Trzynastego maja.
- No tak – powiedziałem, odbierając listę. – Jestem pani bardzo wdzięczny, madame, że mi pani poświęciła swój czas. Bardzo mi pani pomogła.
- Obawiam się, że nie.
- Na pewno – stwierdziłem. Znowu się uśmiechnęła do mnie, gdy wstałem i trochę sztywno się ukloniłem. Zachowałem powagę. Przeszliśmy przez salon do małego holu. Szybko zawiązałem krawat, wsunąłem buty i założyłem marynarkę. Zauważyłem, że Angela bez przerwy mnie obserwuje.
- A więc do widzenia – wyciągnąłem do niej dłoń.
- Nie podała mi ręki.
- Monsieur... – głos jej brzmiał bardzo miękko.
- Słucham? – Zmieszałem się nagle.
- Monsieur Lucas, chciałabym pana o coś zapytać. Ale pan się nie obrazi, obieca mi pan?
- Obiecuję.
- Czy pan się kiedykolwiek śmieje? Czy potrafi się pan śmiać, monsieur?
- Ja... nie rozumiem.
- Niech się pan roześmieje – powiedziała ta osobliwa młoda kobieta. Zaśmiałem się głośno i nienaturalnie.

- To ma być śmiech?
- Tak.
- Mówię panu, że nie.
- Na rozkaz nie potrafię się śmiać.
- Przepraszam, to był nietakt z mojej strony.
- Nic podobnego. Surowy, niemiecki – tak wyglądam?
- Ani surowy, ani niemiecki.
- Jaki zatem?
- Niech pan posłucha, monsieur Lucas – zaczęła ostrożnie. – Może pan się ze mną nie zgodzić, może mnie pan nazwać osobą bezczelną czy nieuprzejmą. Ale... ale chciałabym to panu powiedzieć.
- Widzi pan, chodzi o to...
- Słucham...
- Chodzi o to – już przestała się zacinać – że pan rzeczywiście przywiózł tutaj nie te ubrania, co trzeba. I niewygodne buty. Wybieram się po południu do miasta, by kupić nowe farby i odebrać parę rzeczy, które mi poprawiano w sklepie z konfekcją przy rue d'Antibes. Pan jest sympatyczny, monsieur, bardzo sympatyczny.
- Nikt mnie jeszcze tak nie komplementował.
- Wiem o tym.
- Skąd?
- Po prostu wiem. Monsieur Lucas, czy pozwoli pan, żebym mu towarzyszyła, kiedy wybierze się pan tutaj na zakupy? Znosi się przecież, że pan zostanie dłużej, prawda?
- Tak.
- Poza tym kobieta wie lepiej, co jest odpowiednie dla mężczyzny, ma bardziej wyrobiony gust.
- Chce pani iść ze mną na zakupy? – spytałem. – Po nowe rzeczy? Jestem fatalnie ubrany, prawda?
- Dlaczego zaraz fatalnie? Zawsze pan przesadza. Niepraktycznie, monsieur. No, więc jak?
- Świetna propozycja. – Poczułem nagle, jak bije mi serce. – Cieszę się, madame, naprawdę się cieszę. Pozwoli pani jednak, że ją przedtem zaproszę na obiad.
- Z przyjemnością, ale uprzedzam, że mam wręcz wilczy apetyt.
- Kiedy mam przyjść po panią?
- Powiedzmy o pierwszej.
- Dobrze, o pierwszej. Zamówię stolik w „Majesticu”.
- Niech pan pozwoli, żebym to ja go zamówiła, ale gdzie indziej.
- Dobrze, wobec tego do pierwszej. A ja... cieszę się, cieszę naprawdę.

– Z wzajemnością – odparła. – Zawołam taksówkę, postój jest bardzo blisko. Kiedy pan zjedzie windą, już będzie czekała. – Mocno uściśnęła mi rękę na pożegnanie. Spojrzałem za siebie w stronę pokoju i znajdującej się tam półki. – Wie pani – odezwałem się całkiem bez sensu. – I ja zbieram słonie. Te podobają mi się bardzo, zwłaszcza ten mały, wesoły z hebanu.

– Jest pan przesądny, co?

– Bardzo.

– Ja także. – Otworzyła drzwi wejściowe. Podeszedłem do windy, nacisnąłem guzik i czekałem, aż podjedzie. Nieznacznie odwróciłem głowę – Angela stała w uchylonych drzwiach i znowu się śmiała. Spróbowałam i ja się uśmiechnąć, ale nic z tego nie wyszło. Poczulem się nagle bardzo niepewnie i trudno określić, dlaczego. Ale oto zjawiała się winda. Kiedy wsiadałem, Angela wciąż jeszcze stała i uśmiechała się. Drzwi zamknęły się za mną i nacisnąłem guzik parteru. Kabina z szumem zjeżdżała w dół. Było w niej bardzo gorąco. Na wysokości głowy znajdowało się lustro. Spojrzałem w nie i próbowałem się uśmiechnąć. Wyszedł jakiś grymas, na więcej nie było mnie stać. Naraz zaczęło mnie boleć całe ciało, mimo że zdążyłem już zapomnieć o ostatniej nocy. Niespodziewanie jednak to wcale nie świeże sińce tak mi dokuczały, coś innego niosło ból całemu ciału, czego nie potrafiłem nazwać. I rzecz najdziwniejsza w całej tej sprawie: przenikający mnie ból był całkiem przyjemny i nigdy jeszcze nie doświadczany.

19.

– To morderstwo. – Głos Hildy Hellmann, chrapliwy i skrzeczący, aż dyszał z nienawiści. – Oczywiście, że morderstwo. Pospolite i perfidne morderstwo.

Siedziała wyprostowana w swoim olbrzymim rokokowym łożu, które stało w półmroku ogromnej sypialni. Teraz i ja zrozumiałem, dlaczego nazywano ją w pewnych kręgach „Brylantową Hildą”. Była ubrana zupełnie jak na bal. Pierścień, podłużny szmaragd w brylantowej koronie, na pewno miał dwadzieścia karatów. Na lewą rękę założyła szeroką bransoletkę ze szmaragdów, które również obramowane były brylantami, a na szyję koliać, jakiej jeszcze w życiu nie widziałem. Składała się z ośmiu części, każdą zdobił w środku solidny, podłużny szmaragd, a po bokach ornamenty liściowe, obsadzone brylancikami, szlifowanymi półkuliście. Na honorowym miejscu wisiała łezka szmaragdowa nadzwyczajnej wielkości, z dwoma półksiężycami brylantowymi, połączonymi jakimś okrągłym kamieniem.

Hilda Hellmann miała jeszcze w uszach klipsy, szmaragdowe łezki z brylantami. Całość musiała być warta wiele milionów. I to wszystko zakładała do łóżka, sama zaniedbana, bez makijażu, blada, z różowymi oczami albinosa, w czarnej peruce, która, lekko przekrzywiona, odsłaniała jej prawie idealną łysinę. Nosiła koronkową koszulę nocną i wypłowiła, jasnoniebieską lizeskę. Było jej widocznie zimno. Po raz pierwszy mogłem swobodnie oddychać. Pomieszczenie to, jak i cały dom, miało klimatyzację. Słodko pachniały kwiaty.

– I to jakie morderstwo – powtórzyła Brylantowa Hilda.

Od Angeli Delpierre, która mieszkała w dzielnicy La Californie, udałem się najpierw taksówką do biura Louisa Lacrosse'a przy Starym Porcie, a potem do „Majesticu” i dopiero na końcu dotarłem do wysuniętej na zachód ekskluzywnej dzielnicy Les Vallergues, gdzie Hellmannowie mieli swoją posiadłość. Kierowcy nazwisko to było oczywiście bardzo dobrze znane, nie musiałem nawet podawać ulicy. Jak mi powiedział, willa była kiedyś własnością rosyjskiego wielkiego księcia. Leżała w ogromnym parku otoczonym wysokim murem, który, jak zauważyłem, zwieńczony był stalowymi ostrzami, zwojami drutu kolczastego i prawdopodobnie elektrycznymi przewodami alarmowymi. Z domku wylonił się portier, wysoki mężczyzna w białym uniformie z mosiężnymi guzikami i złotymi galonami. Taksówkarz dał mu znak, żeby otworzył bramę, ale ta pozostała zamknięta.

Służący przeszedł przez małą furtkę umieszczoną w wielkich wrotach, zbliżył się do nas i wyjaśnił, że samochód nie może wjechać do parku i muszę wysiąść. Było dziesięć minut przed jedenastą, a na jedenastą zapowiedziałem się u Hildy Hellmann, dzwoniąc z biura Louisa Lacrosse'a.

W biurze smutnego, małego Lacrosse'a poruszały się trzy wielkie wentylatory, ale ja się prawie dusiłem. Wczesnym ranem powiadomiłem go telefonicznie o napadzie na mnie i przygodzie z Nicole Monnier oraz Alainem Danonem. Obiecał mi, że spróbuje się tym zająć.

– A zatem?

Oprócz Lacrosse'a znajdował się w biurze jeszcze jakiś czarnowłosy i ogorzały mężczyzna w lnianych spodniach i lnianej koszuli. Był to kapitan marynarki Laurent Viale, francuski specjalista od materiałów wybuchowych, którego ściągnęła tutaj policja morska. Viale miał może trzydzieści pięć lat. Zdał mi krótką relację. Z jego ustaleń jednoznacznie wynikało, że było to morderstwo. Szczątki piekielnej maszyny wyłowiono już z wody. Przy takiej ilości dynamitu, jaką się posłużono, powiedział, wyleciałby w powietrze nawet liniowiec „France”, bombę prawdopodobnie więc zamontowano w maszynowni. Viale wierzył, że ślady pozwolą

określić rodzaj użytego dynamitu, co nam bardzo ułatwi dalsze postępowanie. Niestety, na to trzeba trochę poczekać, bo jego spektrometr rozbił się, a nowy jeszcze nie dotarł samolotem z Paryża. Od razu się polubiliśmy i pomyślałem, że będzie nam się dobrze pracować.

– Jeśli tylko się dowiem, co to za materiał wybuchowy, będę mógł powiedzieć, skąd pochodzi – wyjaśnił Viale. – Pracuję tu od szesnastu lat, powoli poznałem to środowisko. – Próbkę i części wraku, które przywiózł z obszaru katastrofy, zabezpieczono obok, w laboratorium policyjnym. Pokazał mi półki pełne małych i większych szczątków.

– A zatem? – pytanie skierowałem do Lacrosse'a, kiedy wróciłem z laboratorium, którego okna, jak zauważyłem, były zakratowane.

– A zatem nic – odparł, jak zawsze przygnębiony. – Danon zniknął.

– Co znaczy zniknął?

– Znaczy to, co znaczy. Posłałem kilku urzędników z centralnego komisariatu do Residence de Paris. Kiedy nikt na ich dzwonki nie odpowiadał, i dozorca nie potrafił nic powiedzieć, wyłamali drzwi, wcześniej oczywiście zaopatrzywszy się w nakaz rewizji.

– I...?

– Danon uciekł, mieszkanie było puste. Brakowało bielizny, ubrań i walizek. W garażu nie było jego samochodu. Nikt nie zauważył, jak odjeżdżał. Musiał zniknąć jeszcze nocą. Przekazaliśmy jego rysopis do wszystkich jednostek i wozów patrolowych, jak również do posterunków żandarmerii, ale jeśli ma choćby za pięć franków rozumu, zamelinuje się gdzieś na jakiś czas. – Lacrosse zapalił nowego papierosa od niedopałka poprzedniego.

– Ale jaki jest powód jego zniknięcia?

– A dlaczego powiedział, że Nicole Monnier nie mieszka w tym domu? – spytał Viale.

– Może to jej robota?

– W szafach pełno damskich sukienek, bielizny, butów i innych drobiazgów.

– Chyba więc mieszkanie należało do niej?

– W każdym razie tak mówi dozorca. To ona była lokatorką i za wszystko płaciła, choć nie było to mieszkanie własnościowe.

– A Danon?

– Chyba był jej alfonsem – i Lacrosse pogładził swą bródkę à la Menjou.

– Co znaczy „chyba”?

– Mógł być także jej klientem.

– Klientem, który miał u niej bieliznę, ubrania, walizki i auto?

– Czemu nie? – wtrącił się kapitan Viale. – Mógł tam mieszkać, jak długo chciał, a prócz tego mieć inne mieszkanie, być może pod fałszywym nazwiskiem, czy to wiemy? Może „opiekował się” jeszcze innymi dziewczynami.

– Róża, o której pan wspomniał, także zniknęła – dodał Lacrosse, sięgając po nowego papierosa.

– Czy Nicole Monnier zabrała z sobą jakieś sukienki i bieliznę?

– Nie, w każdym razie szafy są pełne, nie brakuje niczego. Miała, być może, swoje rzeczy w innym mieszkaniu, a może w kilku innych mieszkaniach. Jeśli oboje wykażą spryt, nie tak szybko ich znajdziemy.

– Czy któreś z nich było przedtem karane, rejestrowane lub znane policji?

– Nic z tych rzeczy – odpowiedział Lacrosse. – Z czym pan wraca od Angeli Delpierre?

Powtórzyłem wszystko, co mi powiedziała.

– A więc nic nowego. Chciałem tylko, żeby sam pan tam pojechał i się przekonał – wyjaśnił.

– Co mogą znaczyć słowa: *cover* i *coverage*? – spytałem.

– Nie mam pojęcia – odparł.

– Pokrycie. Hm. Pokryty. A co by pan powiedział na czeki lub weksle? Mówi się przecież „pokryte” i „nie pokryte”, czy nie? – powiedział Viale.

– Tak – odparłem zaskoczony. – Pan ma rację. Czy w Cannes jest kierunkowe połączenie z Düsseldorfem?

– Nie – odpowiedział mi Lacrosse. – Działa tylko odwrotnie, z Düsseldorfu do Cannes. Nasza sieć telefoniczna jest trochę... no właśnie.

– Mógłbym skorzystać z telefonu? – spytałem. – Chciałbym teraz odwiedzić Hildę Hellmann.

– Ależ naturalnie – zgodził się, a potem, gdy się z nim żegnałem, powiedział z ironicznym uśmiechem: – Życzę powodzenia.

Pojechałem do hotelu, aby wyjąć z sejfu pieniądze i klucz kodowy oraz nadać telegram do Gustawa Brandenburga. Odszyfrowany tekst brzmiał: „STALE SPOTYKAM SŁOWA »COVER« I »COVERAGE« STOP CZY ZNA PAN ICH UKRYTE ZNACZENIE?” Mój kod był tak dobrze obmyślony, że każdego dnia pozwalał na nowy, zawsze jednak pozornie sensowny tekst. Nadałem telegram jako pilny i pojechałem do Willi Hildy Hellmann, gdzie portier w bieli zagroził nam drogę...

Wysiadłem więc i zapłaciwszy kierowcy, podążyłem za służącym ku bramie. Musiałem poczekać, aż coś uzgodnił przez telefon.

– Odwożą pana – poinformował. Krótco potem zjawił się wóz podobny do jeepa, z odsuwającym dachem, wyglądającym jak baldachim na kołach. Z przodu i z tyłu

były po dwa siedzenia. Kierowca był również w uniformie jasnoniebieskim, z mosiężnymi guzikami i złotymi galonami. Przejeżdżaliśmy przez park. Spojrzałem na zegarek, jechaliśmy równe pięć i pół minuty. Tymczasem las – tak, do niego podobny był ten park, pełen palm, cyprysów, cedrów i oliwek – stawał się tak gęsty, że posuwaliśmy się jak w tunelu, gdyż gałęzie starych drzew tworzyły nad drogą zielony dach. Widziałem kamienne ławy i amorki, popękane figury i olbrzymi basen, w którym nie było wody. Oślepiało w słońcu bielą. Willa była zbudowana w wiktoriańskim stylu kolonialnym. Wokół niej rozpościerały się starannie utrzymane rabaty kwiatowe i trawniki, na których obracały się zraszacze, a kropelki wody mieniły się w jaskrawym słońcu tęczą.

Do wejścia prowadził szeroki ganek z kolumnami, dźwigający taras pełen kwiatów i białych, metalowych mebli. Człowiek, który mnie przywiózł, odjechał dziwnym pojazdem. Trzeci służący – znowu w bieli – otworzył drzwi wejściowe.

– Proszę za mną, monsieur.

Zdążyłem za nim przez olbrzymi hol z marmurową posadzką, która pokryta była dywanami. Na ścianach wisiały obrazy – z pewnością oryginały – Rubensa, Botticellego, El Greca, Vermeera van Delft i duże gobeliny. Dom przypominał ogromny antykwarjat, w którym poupychano najkosztowniejsze meble z najróżniejszych epok, z baroku, renesansu czy rokoka. Były to bardzo piękne meble, ale całość nie robiła dobrego wrażenia, w dodatku wszędzie unosił się mdły zapach kwiatów umieszczonych w licznych wazonach. We wnękach zauważyłem oświetlone postacie ludzi i zwierząt wyrzeźbione z kości słoniowej. Obrazy i rzeźby wręcz nie pasowały do tego wnętrza, w którym pomieszano style i epoki. Mimo całego przepychu nie był to dom, o jakim można by powiedzieć, że jest urządzone ze smakiem, choć czuło się, że rządzi nim i narzuca mu swą wolę kobieta. Oczywiście, pomyślałem, mieszka tu przecież Hilda Hellmann, jej brat pojawia się rzadko, więc to chyba ona ma tu najwięcej do powiedzenia. Marmurowymi schodami weszliśmy na pierwsze piętro, gdzie szeroka balustrada kamienna osłaniała wejście do wielu pokoi. Wszędzie oczywiście były widoczne obrazy, rzeźby i kilimy. Musiał to być olbrzymi dom, bowiem schody z korytarza, zawsze liczące trzy stopnie, były dwukondygnacyjne. Wreszcie służący zapukał do jakichś drzwi. Otworzyła je pokojówka i zaprosiła mnie do błękitnego salonu. Ujrzałem tam znowu wazy z kwiatami, w całym domu pełno było kwiatów, ale nie miały tej naturalności co u Angeli na tarasie, przytłaczały swą ilością, a ich zapach odurzał. Zapaliłem; byłem zdenerwowany i spocony, więc zaciągnąłem się mocno. Doktorowi Betzowi łatwo było mówić o rzuceniu palenia, wiedziałem już, że to nierealne. Szybko

rozgryzłem dwie tabletki nitrostenonu i zacząłem się przyglądać leżącym na stole masywnym, starym foliałom, oprawnym w skórę, z metalowymi okuciami. Były to książki o drzewach, pisane po łacinie. Czekałem, zapaliłem drugiego papierosa. Było już dwadzieścia minut po jedenastej. O wpół do dwunastej otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł przystojny mężczyzna, około trzydziestopięcioletni, świetnie ubrany, tylko oczy jego były lodowate.

– Seeberg – przedstawił się po niemiecku i podał mi ciepłą, wiotką dłoń. – Paul Seeberg. Witam pana, panie Lucas. Łaskawa pani zaraz pana przyjmie, musiała się tylko trochę odświeżyć. Leży – szok, rozumie pan. To straszne przeżycie.

– Tak, straszne – zgodziłem się.

– Jestem generalnym pełnomocnikiem Domu Bankowego Hellmanna – wyjaśnił Seeberg – i przyjacielem rodziny, jeśli mogę się tak nazywać, ale chyba mogę. Przybyłem tu zaraz, gdy tylko dowiedziałem się o katastrofie. Pani Hellmann była wprost załamana. Widzi pan, ona i jej brat bardzo się kochali. Teraz, dzięki pomocy znakomitego lekarza, najgorsze ma już za sobą, proszę więc zbyt długo z nią nie rozmawiać i w żadnym wypadku nie wolno jej panu zdenerwować.

– To nie w moim stylu.

– Ależ oczywiście – przytaknął. – Taki jednak jest pana zawód i zapewne wykonuje pan tylko swoje obowiązki. Proszę to robić jednak ostrożnie, aby nie rozdrapywać starych ran, bardzo pana o to proszę.

Wzruszyłem ramionami. Ten dom składał się z samych zapachów. Także Seeberg zostawiał za sobą jakiś przyjemny zapach.

– Jakiej wody toaletowej pan używa?

Ku memu zaskoczeniu pytanie nadzwyczajnie go ucieszyło.

– „Gres pour homme” – poinformował mnie. – Tylko tu ją można dostać. Wyjątkowa, prawda? Używam jej od lat.

– Ma pan może długopis? Proszę mi zanotować nazwę. I firmę.

– Gres. Paryż.

– Koniecznie muszę ją zdobyć – powiedziałem.

– Ależ chętnie. – Wyciągnął z kieszeni wizytówkę i na odwrotnej stronie napisał złotym długopisem co trzeba.

– Dziękuję – skłoniłem się – bardzo pan uprzejmy.

– Jeszcze raz panu przypominam...

Drzwi otworzyły się znowu i ukazała się w nich pielęgniarka w białym fartuchu, dość masywna, ale w pewnym sensie i macierzyńska.

– Madame będzie mogła przyjąć pana.

– Pani jest Włoszką? – zwróciłem się do niej.

– Tak, monsieur, z Mediolanu. Nie pozbędę się chyba akcentu, chociaż już od sześciu lat pracuję i mieszkam we Francji. – Zamknęła za mną drzwi. Znalazłem się w przyciemnionej sypialni Brylantowej Hildy, a pielęgniarka powiedziała, kim jestem.

– W porządku. – Hilda miała trudności z mówieniem, jakby po zażyciu zbyt dużej ilości środków uspokajających. – Proszę nas teraz, Anno, zostawić samych. Niech nikt nie wchodzi, zrozumiano?

– Tak, madame. – Drzwi zamknęły się.

– Niech pan do mnie podejdzie, panie Lucas. I niech pan weźmie krzesło. To właśnie, dobrze. Proszę sięść koło mnie, żeby mogła pana widzieć i nie musiała tak głośno mówić. – Lustrowała mnie dokładnie swymi różowymi oczyma albinośa, jej palce bez ustanku krążyły po pościeli. Mimo klimatyzacji było mi za gorąco, choć ona drżała z zimna.

– Towarzystwo ubezpieczeniowe, rozumiem, rozumiem doskonale. Musi pan tylko wybaczyć, jeśli ja... – wzięła koronkową chusteczkę, odwróciła się na bok i chwilę szlochała. Czekałem i wdychałem słodkawy zapach kwiatów, który tu także wypełniał przestrzeń. Nagle zwróciła się moją stroną twarzą, gładką i białą i zaczęła mówić szeptem, ale bardzo wyraźnie.

– Morderstwo. To było oczywiście morderstwo. Pospolite i perfidne morderstwo! – Przełknęła ślinę i powtórzyła jeszcze raz: – I to jakie!

– Co pani ma na myśli? – spytałem. W lewej nodze i lewym boku poczułem ból, ale niezbyt silny.

– Jak podoba się panu mój szmaragdowy komplet? – zmieniła temat nagle ożywiona.

– Wspaniały. Co znaczą pani słowa: „I to jakie morderstwo”?

– Z dziesięciu oprawionych szmaragdów znajdujących się w tym naszyjniku i pierścieniu, osiem – i jeszcze ten wielki szmaragd w kształcie gruszki – pochodzi z koliai, która wedle potwierdzonej przysięgą metryki należała kiedyś do cara Aleksandra II.

– Łaskawa pani, co miała znaczyć pani uwaga o morderstwie?

– Przecież pan wie – odparła, przymykając różowe oczy i uśmiechając się niemądrze. Poczułem się dość niepewnie. – Pan przecież wie! Pan musi wiedzieć!

– Nie wiem, o czym pani mówi. Lacrosse mi wspomniał o rozmowie z panią. Podobno pani sądzi, że brat został zamordowany przez jakiegoś swojego klienta, który znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

– Ach, monsieur Lacrosse! – znów zachichotała jak obłąkana. – Biedny, mały monsieur Lacrosse. Taki mały człowiek, a tyle strachu, tyle odpowiedzialności! Zorientowałam się natychmiast, że on na pewno do niczego nie dojdzie w tym

śledztwie. Coś mu więc naopowiadałam, a on to wziął za dobrą monetę.

– To było kłamstwo?

– Ta szmaragdowa łąza wycięta została na nowo ze znacznie większej łązy i waży siedemdziesiąt pięć karatów...

– To było kłamstwo? – powtórzyłem. – Łaskawa pani!

– ...a te osiem szmaragdów to razem osiemdziesiąt trzy karaty. Piękne, prawda? Tak, oczywiście kłamałam. – Teraz znowu zniżyła głos. – Co za ostrożny człowiek z tego Lacrosse'a. Boi się, że w coś się wplącze. *To get involved*, pan rozumie, prawda?

– Tak – odparłem zastanawiając się, czy powinienem ją zapytać o znaczenie słów *cover* i *coverage*, ale zrezygnowałem.

– Jak pani przypuszcza, dlaczego zamordowano pani brata?

– Cóż, chciano go zniszczyć, to jasne.

– Kto?

Jej uśmiech wyrażał teraz zupełnie obłąkanie.

– Ależ panie Lucas! Wszyscy!

– Wszyscy?

– Oczywiście, że wszyscy! Pan przybywa z Niemiec, jesteśmy więc rodakami. Zna pan niemieckie stosunki. Mój brat był wielkim człowiekiem, zbyt wielkim dla innych – zaśmiała się. – Niech pan nie robi takiej miny! Niech pan tak nie udaje! Pan przecież doskonale wie, że nie zrobiła tego jedna osoba.

Przypomniało mi się, jak zareagował Lacrosse, gdy mu oświadczyłem, że wybieram się do Brylantowej Hildy, i poważnie zacząłem się zastanawiać, czy ta kobieta jest przy zdrowych zmysłach.

– Wszyscy jego przyjaciele – chichotała dalej. – Wszyscy razem, żeby zniknął, żeby go już nie było.

Zdecydowałem się.

– Ma pani na myśli przyjaciół, którzy tu zjechali na jego urodziny?

– Urodziny! – Wybuchnęła nagle spazmatycznym płaczem. – To właśnie dzisiaj... – Nie mogła dalej mówić. Zerwałem się, bo cała dygotała. Musiałem coś zrobić, więc pośpieszyłem do drzwi.

– Gdzie... gdzie pan idzie?

– Sprowadzić pielęgniarkę.

– Nie! – Nagle jej głos zabrzmiał ostro. Odwróciłem się szybko. Siedziała prosto na łóżku, już nie płakała, chociaż była jeszcze roztrzęsiona. – Siostra zostanie za drzwiami. Nikogo pan nie sprowadzi. Niech pan wraca, natychmiast.

– Nie – powiedziałem.

– Co to znaczy nie!

– Proszę tak do mnie nie mówić, łaskawa pani. Nie znoszę tego.

– Proszę wybaczyć. – Znowu pojawił się u niej ten szalony uśmiech. – Moje nerwy... Mam takie słabe nerwy... Niekiedy mi się zdaje, że tracę rozum. Proszę, niech pan usiądzie.

Usiadłem.

– A więc oskarża pani przyjaciół i ludzi, z którymi robił interesy?

Zdawało się, że za chwilę pęknie ze śmiechu.

– Co za pomysł! Boże, co za pomysł! Jego dobrzy przyjaciele, moi kochani przyjaciele... Panie Lucas, wolne żarty.

– Nie żartuję – odparłem. – Mówiła pani o „wszystkich”. Kto są ci „wszyscy”?

– Wie pan tak samo jak ja – nie ukrywała złości. Lodowatą dłonią chwyciła moją rękę, wilgotną od potu. – Panie Lucas, zapłacę panu. Zapłacę, ile pan zechce, każdą sumę!

– Firma ubezpieczeniowa, dla której pracuję, będzie musiała pani prawdopodobnie wypłacić odszkodowanie – powiedziałem.

Machnęła ręką z lekceważeniem.

– Co tam ubezpieczenie! Zapłacę panu za to, żeby pan wszystkich tych ludzi oskarżył, doprowadził przed sąd i unicestwił. – Użyła dokładnie takich słów. – Trzeba ich zniszczyć, w przeciwnym razie i ja nie będę pewna swego życia.

– Dlaczego?

– Jestem przecież dziedziczką, jedyną dziedziczką. Wszystko należy teraz do mnie, jedynej żyjącej krewnej mego biednego brata.

– Czy to znaczy, że i bank należy teraz do pani?

– To przecież oczywiste.

– Ale w pani stanie... Proszę wybaczyć...

– Tak pan sądzi? Cóż, mój stan. Nie pojedę do Niemiec, nie znam się też zupełnie na pieniądzach, ale na szczęście jest Seeberg.

– Kto?

– Paul Seeberg, nasz generalny pełnomocnik, poznał go pan przed chwilą.

– Ach, tak.

– Na nim mogę polegać, choć brak mu jednak pańskiego doświadczenia. A więc, jak będzie? Ile pan żąda? Pieniądze nie grają roli, o ile mi pan tylko pomoże w unieszkodliwieniu tych bandytów – i niech pan tylko nie powtarza, że nie wie pan, o co chodzi.

Ta kobieta była obłąkana. Nie było sensu dalej z nią rozmawiać.

– Niczego nie zażądam – odparłem. – Wyjaśnienie tego wypadku jest moim obowiązkiem. Jeśli tylko czegoś się dowiem lub potrzebne mi będą dodatkowe informacje, zgłoszę się do pani. Czy będzie można?

– Zawsze – odparła. – Zawsze, mój kochany.

Wstałem.

– Proszę spojrzeć – Hilda zatrzymała mnie, a potem nacisnęła guzik przy łóżku i za moimi plecami zapaliło się światło. Odwróciłem się. Między dwiema szafami z epoki Marii Teresy wisiał podświetlony od dołu portret Hildy, który przedstawiał ją taką, jaką w rzeczywistości była. Obraz był utrzymany w jasnych kolorach: białym, żółtym, jasnobrązowym i pomarańczowym, a jednak w tym silnym świetle wywierał niesamowite wrażenie, miał w sobie coś demonicznego. Cały obłęd, który trzymał tę kobietę w swych szponach, został zawarty w oczach.

– Cudowny, prawda? Pan naturalnie zna Angelę Delpierre.

– Ze słyszenia – skłamałem.

– Nie osobiście?

– Nie.

– Musi ją pan koniecznie poznać.

– Chętnie. – To mówiąc wyjąłem notes i długopis. – Czy mogłaby mi pani zapisać jej nazwisko i adres? Jestem dalekowiedzem i nie zabrałem okularów.

Dziwne, ale wzięła notes i długopis i zanotowała nazwisko i adres Angeli oraz numer telefonu. Miałem nadzieję, że fakt, iż bloczek położyła na kolanach, nie zmienił bardzo charakteru jej pisma. W ten sposób zdobyłem już drugą próbkę pisma.

– To wielka artystka. Czy uwierzy pan, że nieraz na całą noc zostawiam przy nim światło? Śpię zawsze bardzo krótko. Kiedy się budzę, patrzę na obraz. Daje mi tyle spokoju...

Drzwi otworzyły się. W ich framudze stał Seeberg.

– Bardzo mi przykro, panie Lucas, ale czuję się odpowiedzialny za łaskawą panią. Przedłużył pan wizytę. Wielmożna pani jest bardzo słaba.

– Już idę – odparłem. Hilda znowu podała mi swą lodowatą dłoń. Kiedy się nad nią nachyliłem, szepnęła:

– Milion, jeśli pan się zgodzi!... Dwa miliony! Zadzwoni pan? Wie pan już teraz, jak postępować.

Przytaknąłem. Kiedy już byłem przy drzwiach, zawołała za mną:

– Cały komplet udało nam się kupić na aukcji Sotheby's w Zurychu!

Seeberg odprowadził mnie aż na dół do wyjścia, tam już czekał służący w pojeździe podobnym do jeepa.

– Taksówka czeka przy bramie – poinformował mnie Seeberg.

– Dziękuję – odparłem. – Czy panią Hellmann opiekuje się rzeczywiście odpowiedni lekarz?

– Z całą pewnością są to najlepsi specjaliści: internista i psychiatra.

– Czy aby...

- Jak widzę, zauważył pan, w jakim ona jest stanie od czasu katastrofy? Skinąłem tylko.
- Życzę panu pomyślności w dochodzeniach – powiedział.
- Na pewno wkrótce się zobaczymy.
- Na pewno, panie Seeberg.

Wsiadłem do jeepa z baldachimem i odjechaliśmy. Jak tylko okrążyliśmy podjazd, odwróciłem się, ale Seeberg zniknął, za to na pierwszym piętrze dostrzegłem dwie twarze, przywarłe do szyby

- Hildę Hellmann i siostrę Annę. Obserwowały mnie natarczywie, a ich oczy wyrażały strach. Jeszcze nigdy w dwóch ludzkich twarzach nie widziałem tyle strachu. Zorientowały się, że spoglądam w ich stronę. Zasłona błyskawicznie opa-
dła.

20.

Wóz prowadziła Angela Delpierre. Siedziała za kierownicą białego mercedesa 250 S, a ja obok. Powietrze gotowało się teraz i migotało niespokojnie nad asfaltem. Angela miała na sobie białe spodnie i turkusową bluzę w stylu Mao, zapiętą pod szyję. Zauważyłem też jej dyskretny makijaż. Jechaliśmy w dół avenue du Roi Albert I, która wiła się jak wąż. Kierując się na zachód, minęliśmy tory kolejowe, przeciskaliśmy się wąskimi uliczkami ze starymi, zapadłymi domami, których mury oblepione były postrzępionymi plakatami, wreszcie przecięliśmy avenue d'Antibes i dotarliśmy do Croisette. O ile sobie przypominam, Angela zawsze była kierowcą, kiedy wyjeżdżaliśmy jej wozem. Siedziałem z boku i patrzyłem na nią zachłannie. Jej rude włosy były pełne blasku. Zachowując tempo, jechała pewnie i dobrze, a przy tym bardzo ostrożnie. Spojrzałem na jej ręce na kierownicy. Na grzbiecie prawej dłoni pośrodku opalenizny dostrzegłem nagle bardzo jasną plamę.

- Czy pani się skaleczyła?
- Gdzie?
- Na prawej dłoni. Ta biała plama...

Angela zawahala się, po raz pierwszy od czasu naszej znajomości coś ją jakby zirykowało.

- Zabawna historia z tą plamą – rzekła. – Nigdy się nie opala i nic nie można na to poradzić.

- Ale dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Przed laty wybrałam się do wróżki. Jest ich tu bez liku, w Saint-Raphael nawet jedna bardzo sławna, która przyjeżdża dwa razy w tygodniu do Cannes, do hotelu, i tam przyjmuje. Jacyś przyjaciele namówili mnie, żebym się do niej wybrała. Nasłuchałam się mnóstwa bzdur, no, może trochę przesadzam. Wiele rzeczy, o których mi opowiedziała, zdarzyło się naprawdę. Dostrzegła także tę plamę. Powiedziała, że to ślad po jakimś silnym przeżyciu w młodości i że zostanie na zawsze...

– To prawda?

Nie odpowiedziała.

– Nie wierzę – usłyszałem swój głos – nie wierzę, żeby ta plama miała zostać na zawsze. Zniknie. – Dopiero teraz pojąłem znaczenie tych słów.

– Dlaczego miałyby zniknąć?

– Nie wiem, ale jestem o tym święcie przekonany. Ja...

– Tak?

– Już nic, gadam głupstwa.

– Niech będzie – rzuciła i włączyła radio.

– *...Howmany roads must a man walk down before you can call him a man?...* – odezwał się głos Boba Dylana.

– „Blowin' in the wind” – ucieszyłem się.

– Moja ulubiona piosenka – powiedzieliśmy prawie jednocześnie. Angela odwróciła na krótko głowę i popatrzyła na mnie ogromnymi, brązowymi oczami.

– Naprawdę – potwierdziłem. – To moja ulubiona piosenka.

– *...yes, and how many times must a cannonball fly, before they are all of them banned?* – śpiewał dalej Dylan.

– I moja – przytaknęła. Patrzyła teraz przed siebie. Jechaliśmy w górę Croisette. Morze lśniło jak płynny olów, a palmy też jakby przywiędły z gorąca. Tu, w tej części miasta, zbudowano białe wille i gigantyczne hotele, rosły kwiaty we wszystkich prawdziwych i wymyślonych barwach, jeździły najdroższe samochody. Bogactwo, luksus, zbytek.

– *...the answe, my friend, is blowin' in the wind. The answer is blowin' in the wind.*

Angela wyłączyła radio. Mimo tłoku znalazła jakąś lukę, cofnęła się zrećznie i tyłem zaparkowała blisko krawężnika. Wysiedliśmy. Upał, w wozie złagodzony przez pęd wiatru i otwarte okna, teraz wydał mi się jeszcze większy.

– Musimy kawałek pokonać pieszo – odezwała się. Idąc Croisette ku zachodowi, mijaliśmy luksusowe sklepy, niestety zamknięte w porze popołudniowej. Cały ciąg tych niskich, wysuniętych budynków zamykała usytuowana na rogu filia paryskich jubilerów Van Cleff & Arpéis. W oknach wystawowych zobaczyłem

istne cacka: brylanty, turkusy, naszyjniki, bransolety, jak również całe komplety biżuterii. Zatrzymałem się na moment, a Angela przystanęła obok mnie. Zorientowałem się nagle, że przypatruje się jakiemuś konkretnemu przedmiotowi w bocznej wystawie. Były to długie klipsy brylantowe, wyjątkowo pięknej roboty, z czymś w rodzaju kokardki przy uszach i z brylantowymi wisiorkami. Ledwie zdążyłem przyjrzeć się temu kosztownemu drobiazgowi, gdy poczułem, że wzięła mnie pod rękę. Ruszyliśmy dalej i znowu zaczęła mnie boleć lewa stopa. Przyszło mi na myśl, że gdyby Hilda Hellmann tylko chciała, mogłaby wszystko to, co wystawiali Van Cleff & Arpéis i co mieli jeszcze w sklepowych sejfach, zamówić przez telefon, wypisać czek i przejąć na własność. Ta obłąkana Hilda z upiornego domu. A może wcale nie była obłąkana? Jakiś rolls-royce mijał nas wolno. Obok chińskiego kierowcy w liberii siedział także odziany chiński służący, zaś z tyłu spoczywał śmiertelnie zmęczony życiem mężczyzna, który rozglądał się znudzony, trzymając w ręku telefoniczną słuchawkę.

21.

„Felix” był również takim parterowym, białym budynkiem. Sąsiadujące z nim sklepy stały nieco cofnięte, a na uzyskanym tym sposobem miejscu posadzono palmy i całe połacie kwiatów. Choć na zewnątrz można było znaleźć miejsce przy stolikach pod markizami, to jednak w klimatyzowanej restauracji panował tłok. Przy barze w głębi czekali ludzie, by zwolniło się jakieś miejsce. Właściciel spostrzegł Angelę, podeszedł do niej rozpromieniony i przywitał. Znali się chyba dość dobrze. Po wymianie wzajemnych uprzejmości, podeszliśmy do zarezerwowanego stolika przy tylnej ścianie lokalu. Od ulicy Croisette dzieliła nas tylko szyba. Siedzieliśmy obok siebie, jak zwykle we francuskich lokalach, i jako aperitif popijaliśmy ricardy; potem zamówiłem koktajl rakowy i chateaubrianda dla obojga. Powietrze było tutaj przyjemnie chłodne. Glazurowany i oświetlony mur naprzeciwko zdobiły płaskie figurynki. Drewno boazerii było czarne. Kelner przyniósł masło w kostkach lodu i kawałki chrupiącej, świeżej bagietki. Czekając na koktajl zajadaliśmy się kromkami z masłem posypanym solą i obserwowaliśmy ulicę w skwarze południa. Kelner otworzył butelkę Dom Perignon, którą również zamówiłem, i wstawił ją do kubałka z lodem, tuż obok naszego stolika. Nalał mi łyk: szampan był bardzo zimny i smakował wybornie. Kelner napełnił nasze kieliszki i odstawiwszy butelkę do srebrnego kubałka, odszedł. Piliśmy teraz oboje.

Naprzeciwko na promenadzie morskiej przy plaży jakiś malarz zawiesił swoje obrazy na sznurze przymocowanym do dwóch pali. Obrazki były bardzo wesołe i

kolorowe i pokazywały Croisette, Stary Port i inne widoczki. Malarz, młody człowiek, siedział na ziemi. Ludzie mijali go, w ogóle nie zwracając uwagi na jego obrazy.

– Jest tu każdego dnia – oświadczyła Angela. – Bardzo zdolny, ale nie ma szczęścia.

– Pani za to je ma.

– O, tak – przyznała, odstukując szybko w drewno. – Na pewno. A pan, monsieur Lucas?

– Mam wielkie szczęście, madame – tych słów nie wypowiadałem od lat – bo poznałem panią. Siedzi pani obok mnie, mogę na panią patrzeć, dla mnie przyjechała pani do miasta.

– Nonsens. Przecież muszę zrobić zakupy.

– Ach, tak!

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się, jak to zawsze robiła. W jej oczach zapalały się drobne, złote punkciki, a zmarszczki tworzące się w kącikach, dodawały uroku opalonej cerze. Ale był i smutek w tym radosnym spojrzeniu, jakby cień smutku.

– Czy boi się pan różnych rzeczy? – spytała.

– Słucham?

– Pan przecież zrozumiał, ludzi i wydarzeń. Zdarza się to panu?

– Nie – skłamałem.

– A ja tak – przyznała się. – Często się boję. Że nie będę już mogła malować lub nie przyjdą klienci i nie będę już zarabiała...

– I samotności.

– Nie, tego zupełnie nie. – Ale uśmiech zamarł na jej twarzy. – Chętnie jestem sama.

– I tego jeszcze, żeby znowu nie trzeba było uciekać.

– Nie zapomniał pan? – teraz naprawdę się uśmiechała.

– Nie – odparłem. – Dlaczego...

– Niech pan zobaczy – zmieniła szybko temat – oto idzie mój stary przyjaciel. – I wskazała ruchem brody na wchodzącego do lokalu szczupłego, może pięćdziesięcioletniego mężczyznę, bardzo starannie ubranego, z dużą teczką w ręce. Sprawiał wrażenie człowieka zajętego sobą, całkiem nieobecnego. – To Fernand, jego nazwiska nie znam. Studiował kiedyś architekturę, bardzo zdolny, ale jego matka w wypadku uległa porażeniu poprzecznemu. To nieuleczalne. Było to chyba dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat temu, na długo przedtem, nim przybyłam do Cannes. Fernand przerwał studia, bo bardzo kocha swoją matkę i żeby mogła żyć w jako tako komfortowych warunkach, musiał natychmiast zacząć zarabiać. Od tej pory sprzedaje losy.

– Losy?

- We Francji jest mnóstwo najróżniejszych loterii – liczbowe, wielkie i małe wyścigi konne, państwowe...
- Kelner przyniósł rakowy specjał, który smakował mi, jak nigdy w życiu.
- Dobre?
- Skinąłem głową z aprobatą.
- To mnie cieszy – powiedziała. – Chciałabym, żeby wszystko tu panu smakowało i żeby się pan dobrze czuł.
- Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak wspaniale – stwierdziłem.
- Monsieur Lucas – w głosie Angeli było upomnienie.
- Ależ to prawda!
- Nie wierzę. – Spojrzała na mnie poważnie. – Czy mówiła już panu jakaś kobieta, że jest pan bardzo szarmancki?
- Tak, ale pani wie, jak to jest.
- Nie wiem. A jak jest?
- Niektóre panie to zauważały, z grzeczności, bo czegoś chciały albo byłem dla nich miły. Mówiły więc także coś miłego, ale to bez znaczenia.
- Więc to tak?
- A tak – odparłem. – Tak to wyglądało.
- Ale nie ze mną – rzekła Angela. – Niczego od pana nie chcę. Staram się być miła nie tylko dlatego, że tak wypada, u mnie to coś znaczy. Chcę, żeby pan wiedział i rzeczywiście w to wierzył, bo to prawda: pan jest szarmancki, nawet bardzo. – Podnieśliśmy kieliszki z szampanem. – *Le chaim!* – zawołała.
- Co to znaczy?
- Na zdrowie, pomyślności. To po hebrajsku. Mam wielu żydowskich przyjaciół. No więc?
- *Le chaim!* – powtórzyłem. Tymczasem podszedł do nas ów szczupły, błydy mężczyzna z aktówką. Gdy tylko zobaczył Angelę, która dawała mu znak głową, wykrzywił swą nieobecną twarz, pokazując nam w uśmiechu zęby. Podszedł natychmiast do naszego stolika i wtedy zauważyłem, że miał spocone czoło.
- Kupiliśmy od niego losy na jakieś wielkie wyścigi w Paryżu, które miały się odbyć nazajutrz, i parę losów na loterie liczbowe. Angela zapłaciła za swoje losy sama, bo jej na tym zależało.
- Czy pańskie losy już kiedyś wygrały? – spytałem Fernanda.
- Trzy razy, monsieur – odparł. – Raz trzysta milionów franków, raz czterysta pięćdziesiąt, a raz sto.
- Co takiego?
- Ma na myśli stare franki – rzekła Angela. – Można tak, można inaczej – po tylu latach mówią tu wszyscy i liczą jeszcze w starych frankach.

- Ach tak. Ile czasu potrzebował pan na sprzedanie tych szczęśliwych numerów? – spytałem Fernanda.
- Tyle, ile pracuję.
- A jak długo pan pracuje?
- Dwadzieścia trzy lata. Ale zawsze, kiedy mnie tylko madame zobaczy, kupuje ode mnie losy, mimo wszystko.
- Jestem łasa na pieniądze – oznajmiła Angela i uśmiechnęła się do nas obu, a wówczas pojawiły się znowu te jej tańczące złote punkciki w oczach. – Chciwa jestem do szaleństwa. Któregoś dnia wygram milion nowych franków i wtedy, Fernandezie, upijemy się oboje, dobrze?
- Zgoda.
- Do nieprzytomności – dodała.
- Proszę?
- Upijemy się do nieprzytomności.
- Z największą ochotą.
- À propos – odezwałem się. – Pan pewnie umiera z pragnienia, monsieur. Czego by się pan napił?
- Ależ, monsieur...
- Może pan bez obaw się zgodzić – wtrąciła Angela. – Jesteśmy przyjaciółmi, a więc – na jednego do baru?
- Bardzo dziękuję, moi państwo – powiedział Fernand i poszedł do baru w głębi sali, przy którym Amerykanie, Anglicy i Niemcy wciąż jeszcze czekali na wolny stolik. Wskazał na nas i otrzymał pękaty puchar szampana.
- Fernand podniósł go w naszą stronę i zawołał głośno, na cały lokal, tak by wszyscy go usłyszeli.
- Za wasze szczęście!
- *Le chaim!* – odwzajemniła toast Angela i podnieśliśmy nasze kieliszki.
- Jeszcze jeden? – spytałem.
- *Le chaim!* – krzyknął Fernand.
- Tak, jeszcze jeden. Ta rodzina była kiedyś bardzo bogata. Ojciec umarł, a Fernand z matką został w wielkiej biedzie. Czy był pan kiedyś ubogi, monsieur Lucas?
- Byłem – odparłem. – I to bardzo.
- Kelnerzy sprzątnęli ze stołu puste naczynia. Podano chateaubrianda.
- I ja nie miałam kiedyś pieniędzy – powiedziała Angela, kiedy się zabieraliśmy do jedzenia. – W pierwszych latach, kiedy się uczyłam malować w Paryżu.
- Pani rodzice...
- Nie żyli – rzekła szybko. – Tak, wtedy byłam bardzo biedna. Ale bardzo szybko zdobyłam zamówienia i pieniądze, duże pieniądze. Czy takie mięso właśnie

pan lubi? Półkrwiste? Smakuje? – Przytaknąłem. – Potem popełniłam błąd, bo zaufałam mężczyźnie, który powiedział, że będzie moimi pieniędzmi spekulował na giełdzie.

– Zaufała pani takiemu człowiekowi?

– Kochałam go – wie pan, co wtedy można sobie wmówić. Wziął forszę i zniknął, a ja zostałam praktycznie bez jednego sou. Dzisiaj idzie mi znowu dobrze. Ale jestem już o wiele ostrożniejsza. Powiedziałam panu, że wszystko, co mam, lokuję w biżuterii. Jestem oszczędna i nieufna i już nigdy nie powierzyłabym mężczyźnie swoich pieniędzy. – Z przyjemnością patrzyłem, jak z apetytem i swobodnie jadła, zresztą i ja byłem głodny.

– Pojawi się mężczyzna, w którym się pani znowu zakocha, i postąpi pani tak samo – powiedziałem.

– W miłości tak bywa – zgodziła się Angela. – Nie mam w niej szczęścia. Czym jest miłość? Czymś nietrwałym. Przychodzi potem ten czas i albo mężczyźni opuszczają kobiety, albo kobiety mężczyzn. Naturalnie, od czasu do czasu trzeba mieć kogoś, ale czy nazwie pan to miłością?

– Nie – powiedziałem.

– A widzi pan – odparła. – *Le chaim!*

– *Le chaim* – powtórzyłem.

22.

Kiedy przygotowywano na naszym stole *crêpes suzettes*, a kelner zapalał alkohol i płomień strzelił w górę, Angela śmiała się jak dziecko.

– To mnie zawsze podnieca – stwierdziła podekscytowana.

– Lubi pani płomienie?

– Tak, szalenie. Próbowałam przed laty malować ogień, ale nie udało się.

Weszła obdarta, bosa dziewczynka. Trzymała przed sobą lubiankę z pięcioma czy sześcioma małymi gałgankowymi zwierzątkami. Błada, chuda, miała zapłakane oczy. Wędrowała od stolika do stolika, ale wszędzie ją odprowadzono, wreszcie stanęła przed nami.

– Jeszcze nie sprzedane? – spytała Angela.

Zmartwiona potrząsnęła głową. Stopy jej były zakurzone i brudne.

– Po ile te zwierzątki?

– Dziesięć franków, madame.

– Wezmę osła – zdecydowała się Angela i dała małej dziesięciofrankówkę.

- A ja niedźwiadka – dorzuciłem. Dziewczynka skinęła głową, nawet nie podziękowała i odeszła ze swoim koszykiem. Przy wyjściu zderzyła się ze sprzedawcą losów Fernandem, który już trochę ochłonął z gorąca i teraz wybierał się dalej w drogę. Zauważyłem, że rozmawia z dziewczynką. Zgodnie wyruszyli do „Carltona”. Angela tymczasem oglądała krytycznie oba zwierzaki. – Osioł pruje się w szwach – rzekła. – Sypią się trociny, ucho jest prawie oderwane i cały jest brudny.
- Niedźwiadek też nie grzeszy czystością – moje ogłędziny nie wypadły lepiej. – Bardzo, bardzo brudny i futro ma wytarte. Zostawimy je tutaj.
- O nie! – zaoponowała Angela. – O nie! Ja panu podaruję mego osła, a pan mnie niedźwiadka i obydwóch jakoś ocalimy.
- A to po co?
- Tylko tak sobie, bo wierzę w przesady. Pańskiego niedźwiadka zawieszę w wozie przy lusterku. A czy pan zachowa mojego osła?
- Z całą pewnością, na pamiątkę tego dnia.
- Nie – odparła Angela – dla przypomnienia czasów, kiedy byliśmy jeszcze bardzo biedni, bardzo młodzi i bardzo szczęśliwi.

23.

Zjedliśmy ser, wypiliśmy kawę i byliśmy właśnie przy poprawiającym trawienie armagnacu, gdy pojawił się kapitan marynarki Laurent Viale, ubrany w lnianą koszulę i lniane spodnie, czarnowłosa i opalony. Rozejrzał się za miejscem dla siebie, nie znalazł żadnego, ale zobaczywszy Angelę i mnie, szybko do nas podszedł.

- Angela! – Złożył pocałunek na jej rękę, mnie skinął głową. – Czy mógłbym się przysiąc?
- Oczywiście – powiedziałem, a kelnerowi rzuciłem: – Jeszcze kieliszek i koniak dla pana.
- To państwo się znają? – zwróciłem się do Viale'a.
- Od wielu lat! – Patrzył na nią serdecznie. – Jak ci się powodzi, Angelo?
- Wyśmienicie. A tobie?
- Jak wiesz – zaczął – zajmuję się eksplozją jachtu. Do tej pory siedziałem w laboratorium. Jeszcze nie skończyłem, ale najpóźniej jutro będę mógł powiedzieć, co to był za dynamit i skąd pochodził. Kelner zjawił się z armagnacem dla Viale'a. – Zaczynam w odwrotnej kolejności – zauważył. – To przecież rois-clefs-armagnac, moja ulubiona marka.

– Zgadza się – odparła Angela. – Cudo, nie trunek.
– Gdy tylko wyjaśnimy ten wypadek – ciągnął – pozwolą państwo, że ich tu zaproszę na obiad, tylko my troje, dobrze? Polubiłem pana, monsieur Lucas, a Angela jest moją dobrą przyjaciółką od lat. Zgoda?

– Chętnie, Laurent – odpowiedziała, kładąc dłoń na jego dłoni, co nagle we mnie wzbudziło zazdrość. – Teraz jednak musimy iść, mamy jeszcze sporo do załatwienia.

– Jutro rano zadzwonię do pana do hotelu – zwrócił się do mnie. – Niech pan trzyma za mnie kciuki.

– Na pewno.

Na pożegnanie Laurem pocałował ją w policzek, a kiedy płaciłem, jeszcze rozmawiali. Znów się obejrzałem. Rozprawiali o czymś żywo, śmiejąc się. Wreszcie pożegnaliśmy się i Angela wzięła mnie pod ramię, kiedy opuszczaliśmy „Felix”, kierując się ku samochodowi.

– Co panu jest? – spytała

– Nic.

– Ależ tak!

– Nic, naprawdę nic, madame Delpierre.

– Proszę mi mówić po imieniu, a ja pana będę nazywała Robertem. A teraz niech mi pan powie, co się stało.

– Miły facet, ten Viale – powiedziałem.

– Ach tak – westchnęła znacząco. – Bardzo sympatyczny człowiek.

– No tak.

– Pewnie chce pan wiedzieć, czy z nim spałam – powiedziała.

– A więc rzeczywiście, to jest... nie, madame...

– Angelo.

– Nie, Angelo, to mi naprawdę niepotrzebne... Czy pani z nim spała?

– Parę razy, przed laty – wyznała, kiedy akurat przechodziliśmy koło sklepu znanej firmy jubilerskiej. – Nie układało się. Myśmy... Mój ty Boże, myśmy po prostu nie pasowali do siebie. Powiedzieliśmy sobie, że mimo to możemy zostać przyjaciółmi. Rzeczywiście tak się stało i mam nadzieję, że nimi pozostaniemy. Zadowolony?

– Nie mam prawa się na ten temat wypowiadać.

– Zgoda. Ale mimo to chciałabym wiedzieć.

– Proszę wybaczyć, to było niestosowne z mojej strony – odrzekłem.

Dotarliśmy do wozu. Było w nim gorąco jak w piekle. Otworzyłem okno po mojej stronie. Angela znalazła w schowku kawałek sznurka i pod lusterkiem rzeczywiście zaczęła umocowywać tego beznadziejnego misia. Z szumem mijały nas luksusowe limuzyny.

- Monsieur Lacrosse podał mi parę liczb – powiedziałem, przyglądając się, jak przywiązuje niedźwiadka.
- Co to za liczby?
- Dotyczą najbogatszych, z którymi właśnie mamy tu do czynienia. Na przykład dwa i pół procent ludności w Ameryce kontroluje dwie trzecie gospodarki. Bogaci ich wszystko, nawet inflacja, podczas gdy cała reszta stale i systematycznie ubożeje.
- Mnie też to mówił – odparła. – Teraz miś trzyma się dobrze.
- Panią to nie interesuje...
- Nawet bardzo, monsieur Lucas. Jestem socjalistką, jak chyba zresztą i pan.
- No jasne – odpowiedziałem. – Będąc przy zdrowych zmysłach, czy można dzisiaj głosować na kogoś innego?
- Oboje jednak, drogi panie, jesteśmy trochę dziwnymi socjalistami – stwierdziła Angela. – Na przykład ja, żyję przecież z tych milionerów. Pan mieszka w luksusowym hotelu, siedzieliśmy przed chwilą w lokalu, do którego nie zaglądają biedni ludzie i do którego wcześniej, parę lat temu, nigdy byśmy pójść nie mogli. Mam takie uczucie, że to niezmierzone bogactwo, które pan tu spotyka, wywiera nawet na panu zbyt wielkie wrażenie.
- Żadnego, moja ty salonowa socjalistko – rzekłem.
- Ależ tak, tak, mój ty salonowy socjalisto – podchwyciła uszczypliwy ton. – Czy nie powinniśmy się przyznać, że chętnie żyjemy w dostatku i mimo to chcielibyśmy zostać socjalistami?
- Słusznie – przytaknąłem.
- Czy więc nie są schizofreniczne pańskie rozmyślenia o świecie biednych?
- Tak – odparłem, czując lekki ból w lewym boku. Szybko i ukradkiem rozgryzłem dwa nitrostenony.
- Co pan tam robi? – spytała natychmiast.
- To środek, który zawsze biorę po jedzeniu – odparłem. Ruszyliśmy w górę Croisette. Powietrza nie poruszył nawet najłżejszy podmuch wiatru.

24.

Dojechaliśmy do hotelu „Majestic”, przed którym na parkingu stał wysoki męzczyzna w ciemnoniebieskim uniformie. Wysiedliśmy z auta. Dozorca miał na imię Serge. Uściśnął dłoń madame Delpierre, a z rozmowy wynioskowałem, że Angela zawsze, jeśli dłużej bawiła w mieście, zostawiała tutaj, w chłodzie podziemnego garażu, swój samochód. Oboje rozmawiali o ostatnich wyścigach

konnych w Cagnes-sur-Mer. Wstąpiłem do holu i spytałem, czy jest dla mnie jakaś wiadomość. Dowiedziałem się, że Brandenburg jeszcze się nie odezwał, poza tym niczego nie było.

Wróciłem na dwór. Brudnego osiołka zostawiłem u portiera, który wetknął go do mojej przegródki.

Serge właśnie odprowadzał wóz do garażu.

– Już – odezwała się Angela. – A teraz szybko, Robercie, na zakupy.

Doszliśmy do gmachu festiwalu filmowych, przy którym właśnie coś robiono, bo zbliżała się kolejna impreza, i skręciliśmy w główną handlową ulicę, rue d'Antibes.

Cokolwiek działo się w następnych trzech godzinach, decydowała o tym Angela. Weszła ze mną do sklepu z konfekcją męską i wybrała potrzebne rzeczy: po parze białych, jasnoniebieskich, ciemnoniebieskich, bardzo lekkich spodni, do tego odpowiednie przewiewne koszule do noszenia na wierzch i apaszki. Wszystko oczywiście musiałem przymierzać. W kabinie było gorąco, chociaż obracał się wentylator. Przymierzałem sztukę za sztuką. Gdy coś założyłem, wychodziłem przed zasłonę, a Angela wydawała swoją opinię. Nie od razu zadowalał ją materiał czy kolor, decyzja wymagała czasu. Ale mnie było wszystko jedno, bo nagle poczułem się naprawdę szczęśliwy.

Siedziała na krześle i paliła papierosa, a ja, niczym jakiś model, raz po raz wyruszałem się z przymierzalni. Spodnie, które dla mnie wybrała, były tak wąskie, iż pomyślałem, że nie usiądę w nich nigdy. Miały bardzo małe kieszenie. Białe pasowały, inne wymagały poprawek. Z koszulami nie było kłopotu. Angela wybrała również ciemnoniebieską w białe kropki. Koszuli tej, jak i spodni, już nie zdjąłem. Wokół szyi przewięzała mi miodowy jedwabny szalik w białe ćetki. Przejrzałem się w lustrze kabiny i zobaczyłem w nim obcego sobie człowieka. Wydawało mi się, że jestem szczuplejszy i młodszy, i nagle przestało mi być tak nieznośnie gorąco, tylko jeszcze piekły mnie stopy. Gdy płaciłem, sprzedawczyni powiedziała, że zakupione rzeczy oraz moje stare ubranie, koszula i krawat zostaną przesłane do „Majestica”.

Potem Angela zaprowadziła mnie do drugiego sklepu, w którym znalazła dla mnie dwa ubrania: beżowe i prawie białe, a do tego odpowiednie krawaty od Cardina. Były tam także smokingi. Sprzedawcą był młody, miły chłopiec, z nim dogadywała się ona doskonale. Wynosił z zaplecza coraz to nowe rodzaje smokingów, nim uznała, iż trafiła na właściwy. Materiał był pierwszorzędny, cienki i niemący się, i tak stałem się właścicielem czarnych spodni i białej marynarki oraz całej kolekcji bardzo szerokich muszek, bo takie właśnie były w modzie. Kupiłem

także odpowiednie koszule (wybrała je oczywiście Angela). Smoking i koszule miały być odesłane do hotelu.

– Teraz do „Loupa” – zdecydowała, gdy znowu znaleźliśmy się na jednokierunkowej rue d'Antibes, po której auta posuwały się nie szybciej niż zwykli przechodnie. – To najlepszy sklep obuwniczy w Cannes. – Poruszała się tak zwinnie i lekko, że z trudem dotrzymywałem jej kroku. Zakupy sprawiały jej radość, wszystkiego musiała dopilnować i nie ustępowała, dopóki nie znalazła tego, w czym – według niej – było mi najlepiej. W koszuli i spodniach czułem się zupełnie inaczej, upał nie dawał mi się tak we znaki.

U „Loupa” znalazła dla mnie bardzo miękkie, wygodne półbuty, białe, brązowe, czarne, oraz lekkie lakiery do smokingu. Musiałem się we wszystkich przechadzać, żeby sprawdzić, czy nie uwierają. Chociaż zawsze tego nienawidziłem, tutaj wydawało mi się to nawet przyjemne. Angela znowu siedziała na krześle i taksując mnie dokładnie, paliła papierosa. Paliła bardzo dużo – jak i ja. Jedną parę białych mokasynów zaraz zatrzymałem, reszta, w tym moje stare buty i skarpetki, miała być odesłana do hotelu.

Kiedy wreszcie wyszliśmy ze sklepu, zatrzymałem się i oparłem o mur.

– Co jest? – przestraszyła się. – Żle się pan czuje?

– Nie – odparłem – cudownie. Cudownie jak nigdy. Czuję się odmieniony, Angelo, odmieniony jak w bajce. Czuję się młodszy, Angelo, o wiele młodszy. I lekki, i uskrzydłony, i...

– To świetnie, Robercie. Tego właśnie chciałam! Och!

– Co znowu?

– Pan się właśnie roześmiał – rzekła poważnie. – Po raz pierwszy roześmiał się pan szczerze.

– To dzięki pani, tylko pani. To wszystko jest pani zasługą.

– Nonsens – szybko odpowiedziała. – A teraz proszę za mną, zostały mi jeszcze własne sprawunki.

Poszedłem. Ani w Hongkongu, ani w Singapurze czy w Sydney nie czułem się tak lekko i wspaniale jak tu, w Cannes, na zatłoczonej rue d'Antibes, u boku Angeli. Nie spostrzegłem nawet, że zacząłem tak pędzić, aż zdyszana musiała zawołać:

– Wolniej! Niech pan idzie trochę wolniej, Robercie, już ledwie zipię! – I wówczas zatrzymaliśmy się, i śmialiśmy się oboje długo i głośno. Nagle pomyślałem: oto szczęście. Sądziłem, że go w ogóle nie znałem lub że już zapomniałem. Pamiętałem tylko, że byłem szczęśliwy w dzieciństwie, kiedy miałem małego pieska. Ale oto, na progu pięćdziesiątki, znów byłem szczęśliwy, bo obcy człowiek okazał mi ludzkie zainteresowanie, współczucie i życzliwość. Popołudniowe

słońce ukosem kładło się na rue d'Antibes, ludzie spieszyli się, pełzały zatłoczona ulicą samochody, a ja myślałem o tym, jak dziwne było to wszystko, co mi się tu przytrafiło.

25.

Teraz szła kupować farby, pędzle i różne drobiazgi malarskie. Towarzyszyłem jej, jak i później w supermarkecie, gdzie złożyła ogromne zamówienie z dostawą do domu na jutrzejsze przedpołudnie. Zawsze denerwowałem się w sklepach, zwłaszcza z babskimi fatalaszkami, a jeszcze bardziej nie lubiłem, kiedy musiałem iść na zakupy z żoną. Dzisiaj byłem nimi zachwycony. Obserwowałem zdecydowanie Angeli, połączone zawsze z uprzejmością, które pozwalało jej egzekwować to, czego potrzebowała, nie ulegać namowom, ale dokładnie trafiać w rzeczy upatrzone, niezależnie od tego, czy była to jakaś specjalna tubka zieleni czy słoik śledzi, które ku memu największemu zdumieniu widocznie bardzo lubiła. Tego sobotniego popołudnia sklepy były otwarte do ósmej i panował duży ruch, ale ludzie wcale mi nie przeszkadzali, bo widziałem tylko Angelę.

Potem musiałem ją zostawić samą, przy mierzeniu sukienek nie mogłem już oczywiście uczestniczyć. Wszystko, co kupiliśmy, z wyjątkiem żywności, miało być dostarczone do hotelu, a konkretnie Serge'owi, który był chyba w tym mieście legendą, bo znał go każdy w sklepach przy rue d'Antibes.

Tak więc znalazłem się sam na rogu małej rue Chabaud. Powiedziałem, że pooglądam sobie sklepowe wystawy, i tym naprawdę się zająłem, aż doszedłem do place Gambetta.

Na place Gambetta była kwaciarnia, nazywała się „Floreale”. Wstąpiłem i poprosiłem, by przesłano trzydzieści czerwonych róż madame Angeli Delpierre. Mieszkała...

– Znamy madame Delpierre – przerwał mi sprzedawca. – Zawsze kupuje u nas kwiaty. Jesteśmy niedaleko od rue d'Antibes i przy tym tańsi. Przepraszam pana, monsieur, ale jakie to mają być róże?

– „Baccara” – odparłem.

– W żadnym wypadku nie chciałem być nieuprzejmy, monsieur – mam na imię Pierre – ale madame, a wiem to na pewno, bardziej od róż „Baccara” lubi róże „Sonia”. „Sonia” jest pełniejsza, trzyma się dłużej i ma jaśniejszą czerwień, o, proszę zobaczyć, jest tutaj – i wskazała na jakiś bukiet wazonie.

– A więc dobrze, niech będzie „Sonia”.

– Z przyjemnością, monsieur. Bilecik?

– Tak, ale jeszcze chwileczkę, Pierre. Chciałbym, żeby odąd każdej soboty o tym samym czasie – a więc po południu – przesyłał pan madame Delpierre trzydzieści róż. Płacę z góry za pierwsze cztery tygodnie.

– Jak pan sobie życzy, monsieur.

– A teraz proszę o karteczkę.

Gdy mi ją podał, usiadłem i napisałem: „DZIĘKI ZA WSZYSTKO”. Bilet włożyłem do koperty i zakleiłem. – Gdy nikogo nie będzie – pouczyłem go – proszę zostawić różę przed drzwiami.

– Może pan na nas polegać, monsieur.

Znalazłem się znowu na place Gambetta i zawróciłem na rue d'Antibes. W białych, lekkich mokasynach, bez skarpet, moje nogi niosły mnie z łatwością. Czulem się rześko, po prostu słyszałem i czulem, jak oddycham pod cienką koszulą. Przy jakiejś wystawie zatrzymałem się i obserwowałem w niej swoje odbicie. Ledwie się poznawałem. Tak wyglądałem może kiedyś, przed dwudziestu, dwudziestu pięciu laty, kiedy miałem jeszcze nadzieję i odwagę, wierę w siebie i młodzieńczą zuchwałość...

– A cóż to pana tak zainteresowało? – usłyszałem głos Angeli i oto była ona sama, widoczna w odbiciu szyby. Stała tuż, tuż i śmiała się, a jej rude włosy płuęły.

– Sprawdzam, jak się zmieniłem – wyznałem zgodnie z prawdą. – Jak mnie pani zmieniła. Wyglądam, jakbym miał trzydzieści lub trzydzieści pięć lat, pełen... – I tu urwałem.

– Pełen pomysłów na życie i tych różnych rzeczy, rozumiem – dokończyła. Wzięła mnie pod rękę i odeszliśmy od wystawy. – To wszystko jest jeszcze w panu, Robercie.

– Już nie.

– Jestem pewna. I jeśli pan tu jeszcze trochę zostanie, zobaczy pan, jak wszystko to samo się odnajdzie w pańskiej świadomości.

– Dokąd idziemy?

– To chyba koniec, co? Suknie również prześlą Serge'owi, to tylko trzy minuty drogi. Nie, stop, papierosy, muszę mieć papierosy – i skierowała się do małej trafiki.

– Za dużo pani pali – zauważyłem.

– A pan nie?

Niosłem trzy kartony papierosów, kupione przez Angelę, i plastikową torbę, do której wrzuciłem pieniądze, klucze, paszport i wszystko, co miałem w kieszeniach ubrania, a czego nie mogłem upchać w kieszeniach wąskich nowych spodni.

Dotarliśmy do „Majestica”. Było zaledwie po piątej, ale na wielkim tarasie hotelu siedziało przy białych stolikach już wielu gości, którzy pili aperitif. Na krzesłach były czerwone poduszki.

– Bolał mnie nogi– oznajmiła. – Może siądziemy. O, widzi pan, tam w prawym rogu, za wejściowymi drzwiami, jest jeszcze wolny stolik.

Usiedliśmy przy nim.

Podszedł kelner, a ponieważ Angela chciała się napić szampana, zamówiłem znowu butelkę Dom Perignon. Kelner przyniósł ją po chwili w kubelku z lodem, a do tego dwie miseczki oliwek i orzechów.

– Proszę zaczekać! – aż podskoczyła, jakby o czymś zapomniała. – Zaraz wracam. – Ledwie zdążyłem się podnieść, gdy już biegła przez taras w kierunku niskich bungalowów, w których znajdowały się luksusowe sklepy; dostrzegłem więc tylko, jak zniknęła w drzwiach z dużym napisem „Barclay”. Szybko wróciła, prawie bez tchu.

– To dla pana – powiedziała siadając. Podała mi starannie zapakowany prezent. Rozerwałem papier i oto trzymałem w ręce coś w rodzaju małego podróżnego neseseru z miękkiej, czarnej skóry, zamykanego na zamek błyskawiczny. W środku były kieszenie i przegródki.

– Zmieści pan w tej szaszetce cały swój kram – paszport, pieniądze, klucze – objaśniała zaaferowana. – Panowie noszą takie torebki, jeśli wychodzą tylko w koszuli i spodniach. Proszę zaczekać, wszystko włożę.

Patrzyłem na jej twarz, ale tego tym razem nie zauważyła. Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Piękno emanowało z jej wnętrza. Kto na nią spojrział, musiał uwierzyć, że jest dobra, wspaniałomyślna, dzielna, czuła i współczująca każdemu zatroskanemu czy cierpiącemu człowiekowi. Z jej oczu wyzierała bezgraniczna szczerłość i uczciwość. Otaczała ją aura bezinteresownej życzliwości, biło z niej jakieś ciepło, a jednocześnie wyczuwało się ów zagadkowy smutek, który jej nigdy nie opuszczał. Ta kobieta przyzwyczaiła się żyć własnym życiem i liczyć na siebie. Poznała biedę, tak jak ja, a dostatek zawdzięcza tylko sobie. Wierzę, że mógłbym jej wszystko powiedzieć, a ona by mnie rozumiała. Powściągliwa i skryta jak kobiety Wschodu, które znałem, te zaś, jak słyszałem, gotowe są dla ukochanego mężczyzny na wszystko. Pewnie i ona miała swoje troski i czarne godziny, swój *cafard*, ale nigdy o tym nie mówiła. Przeciwnie, zachowywała się tak, jakby to jej nie dotyczyło, czasem zdradzały ją tylko oczy...

– No i jak się panu podoba? – uporządkowawszy wszystko, wręczyła mi skórzaną torebkę. Zmieściłoby się w niej dużo więcej.

– Jestem zachwycony – rzekłem. – I dziękuję pani, Angelo, z całego serca.

– Przyjemność po mojej stronie – powiedziała.

- Przyszedł kelner, gdyż szampan zdążył już zziębnąć w lodzie, i odkorkował butelkę. Kiedy spróbowałem i z aprobatą skinąłem głową, napełnił kieliszki i zniknął.
- Za pańską misję – uniosła toast.
 - Nie – odparłem – za nasze spotkanie, za ten wspaniały dzień. Trzynasty maja to najcudowniejszy dzień w moim życiu.
 - Mówi pan głupstwa – zaoponowała łagodnie. – Szampan znakomity, prawda?
 - To nie są głupstwa – spoważniałem. Wokół słychać było gwar rozmów prowadzonych w różnych językach. Za Angela widziałem Croisette z ciągnącymi się sznurami samochodów wśród kwiatów i palm, a jeszcze dalej morze. – Pani zrobiła ze mnie nowego człowieka.
 - Tych parę nowych rzeczy nie stworzy nowego człowieka.
 - Ale tak jest – odparłem – jeśli zdobywa się je dla kogoś, kogo się nie zna, i robi się to całkiem bezinteresownie.
 - No wie pan – ukrywając zakłopotanie, mieszała drewnianą mątewką w kieliszku – to było jednak konieczne, Robercie. Ubrania, które pan przywiózł, są okropne, za szerokie, wiszą na panu, siedzenia w spodniach wypchane...
 - Nabyłem je u bardzo dobrego krawca w Düsseldorfie.
 - To wcale nie był dobry krawiec, coś znowu! Sam pan widział, jak tutaj leży na panu konfekcja. A pańskie buty! Potwory, nie buty! Teraz pan wygląda młodziej, to się zgadza. Inaczej pan chodzi, to także prawda. Ale – niechże się pan tylko nie gniewa, proszę – kiedy się pan u mnie pojawił, poruszał się pan jak ciężko chory człowiek, a spodnie wisiały na panu jak na wieszaku. Na coś takiego nie mogłam spokojnie patrzeć, zresztą nie zniosłabym tego u nikogo, taki mam zawód. Teraz pan prezentuje się świetnie.
 - No, no, no!
 - Serio! Powie to panu każda kobieta siedząca tu na tarasie. Był pan tylko zaniedbany, z obojętnością traktował pan wszystko, w czym się chodzi, chciałam więc...
 - Angelo! – przerwałem jej.
 - Tak? – z kieliszkiem przy ustach patrzyła na mnie, a w jej brązowych oczach paliły się znowu złote punkciki.
 - Kocham panią – powiedziałem.
 - Kocha pan... Robercie, pan zwariował.
 - Tak – potwierdziłem, co zabrzmiało, jakby powiedział to ktoś inny, prawdziwy Robert Lucas, który dwadzieścia, trzydzieści lat milczał – zwariowałem, szalęję za panią, Angelo.
 - Niech pan przestanie – powiedziała Angela. – Niech się pan uspokoi, wypijmy jeszcze po kieliszku.

Napełniłem je po brzeg i sączyliśmy szampana we dwoje. W zapadającym zmierzchu syciłem się cudownym powiewem chłodu.

– Mam czterdzieści osiem lat – rzekłem. – O wiele więcej niż pani. Jestem starszy o czternaście lat, za dwa lata będę miał pięćdziesiąt. Angelo, nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś takiego jak pani, nie przeżyłem tego jeszcze nigdy, przysięgam. Niech mi pani dlatego wybaczy. Proszę, niech się pani nie gniewa.

– Dlaczego miałabym się gniewać?

– Bo to wszystko mówię, ale naprawdę tak myślę.

– Panu tylko się wydaje, że tak myśli.

– Nie, ja wiem i nigdy pewniejszy nie byłem. Czuję to tak mocno, jak mocno potrafiłbym panią kochać. I pewnego dnia pani także mnie pokocha. – Przestraszyłem się ostatniego zdania i sięgnąłem szybko po szampana. – Widzi pani, jaki jestem szalony!

Nic nie powiedziała. Patrzyła na mnie, uśmiechając się lekko, prawie nieznacznie, i w jej oczach zobaczyłem bardzo małą swoją twarz.

– Pani oczy – powiedziałem. – Pani ma cudowne oczy, nigdy ich nie zapomnę, dopóki we mnie będzie życie, to nigdy.

– Ale to właśnie pan ma piękne oczy. Życzliwe i patrzące z tkliwością, i przede wszystkim zielone, zawsze chciałam mieć takie.

– Gdybyśmy się mogli zamienić, dałbym je pani bez zastanowienia, ale pewnie by pani potem żałowała. W moim życiu kobiety mówiły mi różne rzeczy, ale tego, że mam piękne oczy, nie powiedziała żadna.

– Nie były więc zbyt spostrzegawcze – podsumowała Angela. – Lub umyślnie przemilczały. Pańskie oczy są nadzwyczajne, Robercie.

– To pani jest nadzwyczajna – odparłem.

– Nie – znów sięgnęła po kieliszek, jakby chcąc się za nim ukryć. – Nie, niech pan przestanie. Proszę, Robercie, niech pan zamilknie.

Na tarasie pojawił się boy i wywołał głośno moje nazwisko.

– Tak! – Zerwałem się.

– Telefon, monsieur.

– Zaraz wracam – przeprosiłem. Po paru krokach zawróciłem. Nachyliłem się nad nią i powiedziałem: – I u pani zjawi się miłość, niech pani uważa.

- Czy to ty, Robercie?
- Tak, Karin.

Dzwoniła żona. No, wreszcie, pomyślałem. W jej głosie wyczułem zdenerwowanie i złość.

- Miałaś do mnie zadzwonić zaraz po wylądowaniu.
- Zapomniałem, wybacz, proszę. Bardzo mi przykro.
- Jakie tam przykro, jest ci wszystko jedno, czy się martwię o ciebie, czy nie.
- Jeśli się tak martwiłaś, czemu nie zadzwoniłaś wcześniej?
- Uganiać się za tobą nie będę. Niech ci się nie wydaje, że cię szpieguję, ale teraz już nie wytrzymałam. Dlaczego jesteś w hotelu? Wydaje mi się, że powinie-
neś być zapracowany?
- I pracuję – odpowiedziałem. – W tej chwili prowadzę rozmowę na tarasie.
- Rozmowę z dziwką.
- Nie wyrażaj się w ten sposób, proszę.
- Mam więc rację. Siedzi na tarasie z dziwką. Z dziwką, dziwką, dziwką...
- Do widzenia – przerwałem. – Do widzenia, Karin.
- Dobrze się bawisz na tej twojej przeklętej posiadce, że coś takiego w ogóle nazywasz pracą. Wszędzie tylko dziwki. Tu wciąż jeszcze pada, ale przypuszczam, że tam na południu świeci słońce. Nie chcę ci więc zabierać czasu, bo ona pewnie czeka.

Trzask! Odłożyła słuchawkę.

Wyszedłem z kabiny do holu. Spytałem portiera, czy ma dla mnie wiadomości. Nie było żadnych. To dobrze. Skierowałem się do drzwi obrotowych. Przez szybę zobaczyłem nasz stolik w kącie, a przy nim Angelę patrzącą na Croisette. Może ze dwie minuty tak stałem i obserwowałem ją, nie będąc przez nią zauważony, i odczułem znowu ów dziwny ból w całym ciele, który właściwie wcale nie był bólem, a tylko się nim wydawał. Wróciłem do niej, a wtedy podniosła wzrok.

- Złe wiadomości?
- Nie, dlaczego? – powiedziałem.

Przyglądała mi się uważnie.

- Naprawdę nie!

Napełniłem znowu kieliszki, trochę szampana zostało w butelce. Wylałem go na marmurową posadzkę.

- To...

– Bogom pod ziemią. Wiem, we Francji robi się to samo, bo przecież nasi bogowie też miewają pragnienie.

– Tak – powiedziałem. – Niech raduje się ten, komu ugaszono pragnienie.

– Zróbmy to razem – zaproponowała Angela.

Wypiliśmy więc strząsając ostatnie krople szampana na podłogę.

– Angelo – powiedziałem – mam prośbę. Zna pani wszystkich ludzi z tej listy, którą pani pokazałam.

– Z wyjątkiem Sargantanów.

– Racja. Muszę ich poznać, najlepiej na jakimś neutralnym terenie i to wszystkich naraz. Również i niejakiego Paula Seeberga, który jest generalnym pełnomocnikiem banku Hellmanna. Czy mogłaby to pani zaaranżować?

– Ma pan na myśli jakieś party?

– Tak.

– Z jedzeniem?

– Niechby nawet.

Zastanowiła się.

– U mnie nie da rady, nie mam służby i odpowiedniego pomieszczenia, ale u Trabaudów będzie można. Mają wielki dom. Powiedziałam już panu, że Pasquale Trabaud jest moją przyjaciółką. W taką pogodę będą jeszcze na morzu, na jachcie. Spróbuję ich złapać późnym wieczorem.

– Mogę o to panią prosić?

– Naturalnie, chętnie... – Spojrzała na mnie. – Co pan teraz robi? Na mnie czeka właśnie sprzątaczką. Musimy zapłacić.

– Nic szczególnego...

– W takim razie zabieram pana do siebie – powiedziała z taką oczywistością i naturalnością, jakiej próżno się spodziewać u innych kobiet. – Upiczę coś dla nas! Zdziwi się pan, ale umiem gotować. Nie wyglądam na to, co?

– Wierzę, że pani wszystko potrafi – powiedziałem. – A później po kolacji zadzwoni pani do przyjaciółki, dobrze?

– Zgoda.

Zapłaciłem. Serge wyprowadził samochód wyładowany naszymi sprawunkami. Angela zajęła miejsce przy kierownicy, a ja znowu koło niej i wyjechaliśmy na Croisette. Cienie wydłużyły się.

Alfonsyna Petit była niewysoką, drobną kobietą o siwych włosach i dość ostrożnym sposobie poruszania się. Sprzątała u wielu osób w Residence Cleopatre. Do Angeli приходziła we wtorek, czwartek i sobotę od południa, w inny sposób nie dało się tego rozłożyć. Była bardzo pilna. Pochodziła z Bretanii. Angela przedstawiła mnie pani Petit, która przyglądała mi się spłoszonymi, roztroprnymi oczami. Podaliśmy sobie dłonie. Popatrywała na mnie wciąż, nawet kiedy szła z nami do salonu. Stało tam już wazonie trzydzieści róż, które zamówiłem we „Floreau”.

- Kiedy przyszły?
- Przed dwoma godzinami, madame. Jest też list.

Angela rozerwała kopertę i przeczytała głośno moje słowa: „DZIĘKI ZA WSZYSTKO”. Spojrzała na mnie.

- Ależ mnie pan zaskoczył, ten właśnie gatunek róż lubię najbardziej.
- Wiem. Każdej soboty będzie dostawać pani róże na pamiątkę trzynastego maja, najważniejszego dnia w moim życiu. Pierwszego w nowym życiu dnia moich urodzin. Byłoby pięknie, gdybym mógł powiedzieć: naszych urodzin.

Alfonsyna opuściła pokój.

- O ile ważniejsze, Robercie, że to pan się narodził.
- Dlaczego?
- Był pan taki... taki zmęczony, kiedy pan do mnie przyszedł. Załamany i zniechęcony. – Angela uklękła i zaczęła układać kwiaty. Włała do wazonu środek konserwujący i wrzuciła miedziaka. Zapytała Alfonsynę, czy przycięła róże.
- Tak to wtedy wyglądało? – spytałem z niepokojem.
- Tak. – Podniosła wzrok. – Ale teraz już nie, jest pan o wiele bardziej rozluźniony i weselszy. I dziękuję za kwiaty, Robercie.
- Pani przecież tak lubi kwiaty.
- Nie tylko dlatego – to powiedziawszy wstała, przeczytała raz jeszcze kartkę i położyła ją na biurku. Róże znalazły się przed wielkim telewizorem. Wróciła Alfonsyna, zaraz też obie panie zapomniały o mym istnieniu. Usiadły na kanapie przy stole, jedna obok drugiej, i Alfonsyna czytała teraz ze szkolnego zeszytu, co kupiła, ile wydała, ile godzin pracowała w tym tygodniu oraz ile pieniędzy na wszystko otrzymała. Widziałem, jak Angela założyła okulary w oprawce ze strasów, a potem zaczęły obie głośno rachować. Siedziały jak dwie uczennice, sumowały, myliły się w rachunkach i musiały zaczynać od nowa. Podeszedłem do ściany

z książkami, odczytując tytuły i autorów. Camus. Sartre. Hemingway. Greene. Mailer. Giono. Malraux. Priestley. Huxley. Bertrand Russell. Mary McCarthy. Silone. Pavese. Irvin Shaw. Irving Wallace... I ja lubiłem tych autorów, i miałem ich książki, oczywiście nie po francusku, a po niemiecku. Na półkach było także pełno albumów o sztuce, na górze jedna na drugiej leżały dwie bibleie, a na nich, na samym już szczycie, siedział jak na tronie stary, mały Budda z brązu.

Wreszcie obie panie uporały się z rachunkami i Alfonsyna dostała swoje pieniądze. Ucisnęła mi rękę na pożegnanie i w małym holu słyszałem, jak szepta z Angelą. Zatrzasnęły się drzwi wejściowe. Angela wróciła.

– Dokonał pan właśnie podboju, Robercie. Alfonsyna mówi, że jest pan nadzwyczaj sympatyczny.

– Ach – powiedziałem. – Widzi pani, już działa! Nie zdawałem sobie sprawy, ale mój wpływ na kobiety można porównać tylko z trzęsieniem ziemi.

– Chyba i ja tak uważam – zgodziła się łatwo. – Monsieur jest jak wichur. Co życzyłby sobie szanowny pan do zjedzenia? Nie wiedziałam przecież, że zostanę zaproszona na obiad, mam więc jeszcze w lodówce całą furę endywii. Trzyma się dobrze. Sałata zawiera moc witamin ważnych dla zdrowia – mówiła niczym nauczycielka. – Jem bardzo dużo sałaty. Pan też?

– Tak – odparłem, choć nie miałem pojęcia, kiedy ostatni raz jadłem sałatę.

Ustaliliśmy, że będzie sałata i stek. Do tego *bâtard*, chrupiące białe bagietki, które przyniosła Alfonsyna. Angela założyła kolorowy fartuch, a ja usiadłem na stołku w kuchni – zwróciłem na niego rano uwagę – i przypatrywałem się, jak smażyła stek i przygotowywała endywię.

– Wiadomości! – krzyknęła nagle.

Włączyła mały japoński telewizor w kuchni, a następnie pobiegła do ogrodu zimowego i salonu, uruchamiając i tamte odbiorniki. Wielki telewizor przyciągnęła aż do otwartych, szklanych drzwi, które prowadziły na taras.

– Zawsze oglądam dziennik – tłumaczyła się, gdy wróciła.

Słuchaliśmy wiadomości. Pierwszą była ta, na którą czekałem: Anglia uwolniła kurs funta. Panika na całym świecie, szczególnie we Włoszech i Japonii. Wiele giełd, przede wszystkim londyńska i frankfurcka, miało być zamkniętych w poniedziałek...

Angela krzątała się przy kuchence i stole, nasłuchując i co chwilę zerkając na mały japoński telewizor „Sony”. Nie komentowała, tylko milcząc wchłaniała w siebie wszystkie słowa jak gąbka.

Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak szybko przygotował posiłek. Dała mi znak, bym za nią poszedł. Wbiegła do zimowego ogrodu. Z szafy wzięła talerze, srebrne sztućce i miski. Znów szybko weszła na taras. Tam, pod markizą, nakryliśmy wielki stół. Na górze wiał orzeźwiający wiatr, łagodny i cudowny po upale w mieście. Niebo było teraz butelkowo-zielone, prawie się już ściemniło. Samoloty z lotniska w Nicei były podobne do cieni, kiedy cicho przesuwały się po niebie całkiem blisko morza i nas. Także tu, na tarasie, można było słyszeć i widzieć telewizyjnych spikerów. Strajk angielskich dokerów bez widoków na koniec. Zapowiedź generalnego strajku kolejarzy włoskich w nadchodzący wtorek. Katastrofa statku niedaleko Teneryfy. Najgroźniejsze od wielu miesięcy naloty amerykańskich bombowców dalekiego zasięgu B-52 na północny Wietnam.

Angela znowu pośpieszyła do kuchni, gdzie skwierczały steki. Przyjrzała się im, nakłuła widelcem, obróciła, a mnie podała butelkę Rosé i dwa kieliszki z poleceniem, bym zaniósł je na taras. Cała pochłonięta oglądaniem telewizji, nie wiedziała o bożym świecie. Wreszcie wszystko było gotowe i zasiedliśmy do stołu na tarasie pełnym kwiatów. W dole migotały nieprzeliczone światła tego nadmorskiego miasta. Spostrzegłem różnokolorowe światełka statków, trzy rzęsiście iluminowane parowce i światła przy drodze wzdłuż Estérelu. Na niebie nie było nawet jednej chmurki. Kwiaty lśniły magicznym blaskiem w świetle elektrycznej tarasowej latarni. Gdzieś brzmiała cicha muzyka. Wciąż nadawano komunikaty. Urowadzenie samolotu w Chile. Ciężkie walki pomiędzy katolikami i brytyjskimi żołnierzami w Irlandii Północnej...

Nawet samoloty, które nad nami teraz przemykały, włączyły światła pozycyjne i nieprzerwanie nimi mrugały. Steki były półkrwiste, jak sobie tego życzyłem, a w zielonej sałacie dojrzałem plastry ogórka, małe cebulki i inne składniki, których nie znałem. Rosé smakowało cierpko i szlachetnie. Wiadomości dobiegły końca i Angela stała się znowu rozmowna.

– Czy wie pan, ile kosztuje taka butelka Rosé? Trzy franki pięćdziesiąt! Niewiarygodne, co? – Wstała i wyłączyła odbiornik i wówczas światło z pokoju wpadło na taras. Kiedy skończyliśmy kolację, pomogłem jej zanieść wszystko do kuchni, gdzie jeszcze migotał „Sony”. Wyłączyła go, jak i telewizor w ogrodzie zimowym.

– O dwudziestej trzeciej będą nowe wiadomości – powiedziała.

– Do tego czasu nie złapię Pasquale Trabaud. Gdy z morza wracają do Port Canto, zostają z przyjaciółmi na pokładzie i popijają. A czego my się napijemy? Myślę, że teraz szampana. – Miała wysoką lodówkę, z której wyjęła butelkę. Przechyłałem etykietę „Henriot 1961”.

– Tam stoją kieliszki. Niech pan otworzy butelkę, dobrze? Przebiorę się szybko – powiedziała. Przed kolacją zdjęła fartuch, a teraz zniknęła w sypialni. Otworzyłem butelkę i wyniosłem ją z dwoma kieliszkami na taras, gdzie postawiłem wszystko na małym stoliku ustawionym przed ogrodową huśtawką. Stąd rozciągał się widok na miasto, morze i na balustradę balkonu w tym jego miejscu, gdzie nie było drewnianej kraty. Balustrada miała z półtora metra wysokości.

Angela wróciła do mnie, ubrana teraz w luźną, brązową suknię domową z bufiastymi rękawami i zapinanym pod szyją aksamitnym kołnierzem. Napeliłem kieliszki, usiadła obok mnie. Daleka muzyka umilkła, zrobiło się tak cicho, jakbyśmy byli jedynymi mieszkańcami Ziemi. Przyniosła papierosy i popielniczkę.

– Naprawdę pali pani za... – zacząłem i urwałem. Podałem jej ogień i sam zapaliłem. Siedzieliśmy delektując się szampanem, milcząc i patrząc na rozświetlone morze i leżące w dole miasto. Dopiero potem, po wielu wypalonych papierosach, przy drugiej butelce szampana Angela odezwała się cicho.

– Uraziłam pana.

– Mnie? Ależ skąd!

– A jednak. W momencie, kiedy się poznaliśmy. Przez telefon. Powiedziałam, że mówię również po niemiecku, ale niechętnie.

– Tak, przypominam sobie – odrzekłem, chłonąc zapach jej świeżej, opalonej skóry.

– Chciałabym to wyjaśnić...

– Po co? Domyślam się, głupstwo.

– Nie domyśla się pan i to wcale nie głupstwo – mówiła prawie szeptem i powoli, starannie dobierając słowa. – Kim był pan na wojnie?

– Żołnierzem.

– Oczywiście. A ranga?

– Starszy szeregowiec, wyżej nigdy nie zaszedłem.

– Czy był pan może we Francji?

– Tak – odparłem. – Ale dopiero później. Kiedy zaczęła się wojna, nie miałem jeszcze szesnastu lat. Bardzo szybko wysłano mnie do Rosji. Tam dostałem się do niewoli, w czterdziestym piątym. Trzy lata. Miałem szczęście.

– Niektórzy je mają – stwierdziła z goryczą. Wydało mi się, jakby jej głos się teraz trochę oddalił. – Moi najbliżsi nie. Nikt. Rodzice, krewni... od początku, musi pan wiedzieć, byli w ruchu oporu. Wszystkich ujęto i deportowano. Przyszłam na świat w trzydziestym ósmym roku, przyjaciele ukrywali mnie do czterdziestego piątego. Tak, wyszłam z tego, jedna jedyna. Nikt inny nie przeżył...

– Biała plama na pani dłoni! – odezwałem się może zbyt głośno, ale to mi nagle przyszło na myśl. – Już była pani na tyle duża, że wiedziała, co oznacza aresztowanie rodziców, prawda?

– Nie całkiem, ale latami śniła mi się owa noc, kiedy przyszli Niemcy i zabierali ojca i matkę. Wciąż śniły mi się ciężkie buty. W dzieciństwie krzyczałam potem latami przez sen.

– Być może, że to był ten szok, który spowodował zmianę pigmentu, i o tym mówiła wróżka.

– Tak, to możliwe. Nie pomyślałam o tym nigdy – dziwne.

– Jeśli będzie pani kiedyś szczęśliwa, biała plama zniknie, proszę pamiętać.

– Jestem szczęśliwa.

– Nie, nie wierzę. Nie jest pani szczęśliwa.

– Nie widzi pan?

– Nie. – Opróżniła kieliszek. – Niech mi pan trochę doleje. I sobie też. Musimy zacząć przynajmniej do jedenastej.

– Nie jest pani szczęśliwa – powiedziałem, napełniając kieliszki. – Stara się pani, ale nie jest.

Angela obserwowała mnie długo.

– Ma pan rację – nie ukrywała zaskoczenia. – Jest pan pierwszym człowiekiem, który mi coś takiego mówi. Zgadza się... Myśli pan, że jestem pijana?

– Skądże, zupełnie trzeźwa.

– I tak się też czuję. Wtedy, wtedy naprawdę byłam pijana. Boże, jak bardzo...

– Kiedy?

– Kiedy dowiedziałam się... kiedy mi Jean powiedział. – Znowu patrzyła na mnie. – Jest pan dla mnie obcym człowiekiem, Robercie. Nie wiem, dlaczego opowiadałam panu o czymś, o czym wie poza mną tylko kapłan i o czym nigdy z nikim nie rozmawiałam.

– Proszę nie mówić, jeśli pani nie chce.

– Ależ chcę! Czy to nie dziwne? Nawet bardzo chcę panu powiedzieć. Dlaczego akurat panu, nie wiem. Ale pan powinien to usłyszeć – i to właśnie dzisiaj. Po południu był pan zazdrosny o Laurenta.

– O kogo?

– O Laurenta Viale'a, oficera marynarki.

– Och, tego. Tak, zgadza się.

– Niepotrzebnie, jego nigdy nie kochałam. Tego drugiego tak, za nim szalałam z miłości. Trzy lata temu... – W głosie jej wyczuwało się dystans. – Kochałam go jak nikogo przedtem... Zapomniałam o sobie całkowicie. Jeśli się kocha naprawdę, nie myśli się już o sobie, tylko o drugim człowieku, prawda?

Milczałem, huśtawka poruszała się cicho, paliłem, piłem wolno i patrzyłem na piękną twarz Angeli, która teraz zwrócona była ku mnie profilem.

– Żyłam tylko dla tego mężczyzny. Mieszkał tutaj, w tym mieszkaniu... Mieśliśmy się pobrać. Wiele podróżował, ale zawsze kiedy przyjeżdżał do Cannes, był tutaj, ze mną. Przygotowałam wszystko do ślubu, rozumie pan? Chcieliśmy go wziąć po cichu i dopiero później ogłosić, ale przecież i to wymaga wielu przygotowań, prawda?

– Zdaję sobie sprawę – odparłem.

Nie słuchała mnie już.

– Nadszedł ów wieczór... I wtedy... – urwała, nastąpiła długa cisza. – I wtedy powiedział mi, że nie może mnie poślubić. Jest mu okropnie przykro, ale jest żonaty i ma dwoje dzieci. Mieszkał w Amiens. Nigdy nie byłam wobec niego nieufna. Myślałam, że się przesłyszałam, ale to była prawda... To... to było dla mnie straszne, może pan sobie wyobrazić... Wyrzuciłam go. Zapakował w pośpiechu swoje rzeczy i zniknął. A ja, dopiero co pogrążona w rozpacz, przestałam płakać i wzięłam butelkę whisky. Wówczas piłam whisky, czystą, z lodem. Dużo, bardzo dużo whisky. Tak, tej nocy byłam rzeczywiście pijana. I nie przestawałam pić...

28.

...piła dalej. Migotały ekrany czterech telewizorów, także tego w studiu. Przed kłótnią, zanim dowiedziała się prawdy o mężczyźnie, którego kochała, krzątała się po całym mieszkaniu. Teraz po pijanemu zapomniała o włączonych odbiornikach, przysiadła na kanapie, przed sobą mając butelki, lód i szklankę i nie uroniła ani jednej łzy, wtedy jeszcze nie. W głowie miała tylko potworny huk i wirowanie. I jedną myśl: wszystko na darmo. Oszukano mnie, okłamano. Mojej miłości już nie ma, jestem sama, całkiem sama. Nie ma już nikogo, naprawdę nikogo.

Nagle drgnęła.

Ktoś krzyczał z całych sił.

Trwało chwilę, nim zorientowała się, że dźwięk ten pochodził z telewizora. To wszystko działo się 10 czerwca, a w tym dniu w czterdziestym czwartym roku jednostka Waffen-SS zamordowała prawie wszystkich mieszkańców i spaliła małą miejscowość Oradour-sur-Glane w południowej Francji, w odwecie za zabicie przez *maquis* niemieckiego generała. Mężczyźni zostali rozstrzelani, kobiety

i dzieci spędzono najpierw do kościoła. Niektórzy wierzyli jeszcze w ratunek. Ci sami esesmani podpalili kościół, w którym wszyscy zginęli. Ruiny wioski stoją jeszcze dzisiaj, miejscowość odbudowano na innym miejscu. Oradour – podobnie jak inne miejsca – stało się dla Francuzów pomnikiem wiecznej pamięci.

W takie dni jak ten telewizja nadawała filmy o antyfaszystowskiej wymowie, pokazywała zbrodnie, których dopuścili się naziści. Teraz właśnie emitowano wstrząsający program dokumentalny, złożony z wypowiedzi naocznych świadków, potajemnie nakręconych filmów i ukradkiem zrobionych zdjęć. Oto rzędy zastrzelonych mężczyzn. Starzy ludzie, świadkowie, relacjonują z płaczem tamte krwawe wydarzenia. Oto kościół, esesmani spędzają do niego kobiety i dzieci, zamykają drzwi. Z wnętrza słychać śpiew. Teraz kościół staje w płomieniach, wylatują w powietrze ubogie chałupy. Pojawiają się esesmani, stoją w szerokim rozkroku, w ciężkich buciorach, z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału. Już tylko oni.

Angela siedziała i piła, whisky sączyła jej się z kącików ust, ale nie zwracała na to uwagi. Otępiałym wzrokiem rejestrowała obrazy na matowej szybie. Matka. Ojciec. Wuj Fred. Wuj Maurice. Kuzyn André. Wuj Richard, ciotka Henriette. Ciotka Marlene. Wszyscy nie żyją.

I nagle nie wytrzymała. Zerwała się i wytoczyła na balkon, gdzie kwitły jej ukochane kwiaty. Była dżdżysta noc. W głowie kołatała tylko jedna myśl, jedna jedyna, która narastała jak męka i nakaz: koniec. Wszystko skończone. Skończ z tym, teraz, zaraz. Takiego życia dłużej nie zniesiesz.

– Takiego życia – słyszała własny bełkot. – Nie... nie... Nie chcę już...

W wysokich pantoflach, potykając się na śliskiej posadzce, zbliżyła się do balustrady, o którą rozbijał się deszcz. Podciągnęła się w górę, cała była rozdygotana. Nie czuła najmniejszego strachu, gdy spojrzała w dół na oświetlony, betonowy parking na tyłach domu. Zaraz. Zaraz. Zaraz znajdę się w tej czeluści i wszystko się skończy. Podciągnęła wyżej prawe nogę. Potem lewą. Klęczała teraz na balustradzie. Postawiła lewą stopę na krawędzi. Wsparta rękami, podnosiła się centymetr po centymetrze. Wyżej, wyżej. Druga noga też dała się podciągnąć. Deszcz zmoczył jej włosy, twarz, sukienkę, ale było już jej wszystko jedno. Przyjdź śmierci, przyjdź. Oto stanęła, stała teraz cztery piętra nad ziemią, pod ciemnym niebem, ponad roziskrzonym światłami miastem. Uderzył ją wiatr. Pomyślała jeszcze: Chcę...

I wtedy upadła.

Upadła na posadzkę tarasu, sprawił to gwałtowny podmuch wiatru. Gdy ocknęła się po krótkim omdleniu, leżała w kałuży, a w otwartych ustach miała pełno wody. Krztusiła się i pluła nią. Czuła się tak słaba, że nie potrafiła poruszyć żadną częścią ciała. Spadła na taras, a nie w przepaść.

– Nie... nie... Chcę... Chcę umrzeć... balustrada... – Podnosiła się i upadała, znowu się podnosiła i znowu upadała. Wszystkimi siłami starała się stanąć na nogach. Wstała. Drżały jej kolana. Zataczając się wróciła do balustrady, ale nie była w stanie już się na nią wspiąć.

Spojrzała w przepaść, z parkingu właśnie odjeżdżał jaki wóz. Już nie miała odwagi. Ale musiała z sobą skończyć. Musiała... musiała!

Ze szlochaniem chwiejnym krokiem weszła do salonu, łyknęła z butelki, pogubiła pantofle i opadła na fotel obok stolika z telefonem. Telefon!

– Chciała z kimś porozmawiać. Tylko z kim? Miała przecież tylu przyjaciół. Mnóstwo przyjaciół. Tak? Miała? Kogo? Kogo, Angelo, masz, komu mogłabyś opowiedzieć, co chcesz zrobić? Kogo?

Nikogo, zrozumiała przerażona.

Dostrzegła książkę telefoniczną, zaczęła ją bezmyślnie kartkować. Wówczas, przed trzema laty, nie potrzebowała jeszcze okularów do czytania. Drżały jej ręce, książka spadała na podłogę, podniosła ją, nie wiedziała, czego w niej szuka – jakiegoś człowieka... kogoś, z kim by mogła pomówić...

Mówić, mówić. Był przecież... był przecież telefon zaufania... Być może, że tam ktoś... Nie znalazła numeru. Kościoły! Przebiegła wykaz kościołów. Wybrała numer, ale nikt się nie zgłosił. Jeszcze jeden numer i znów bez odpowiedzi. Jęknęła z rozpaczy. Trzeci numer telefonu. Pojawił się długi sygnał – jeden, drugi i nagle odezwał się męski głos. Spokojny, cichy, uprzejmy. Nie zrozumiała, co ów mężczyzna mówił, i czując bezgraniczną ulgę, że oto słyszy ludzki głos, sama nie była w stanie wydobyć z siebie dźwięku. Opadła na stolik, słuchawka wysunęła jej się z rąk. Jęczała. Łkała. Płakała znowu głośno i rzewnie.

– Jestem przy telefonie – mówił spokojnie męski głos – i zostanę przy nim. Niech pani się nie spieszy. Mam czas. Mam dużo czasu dla pani.

– Ja... ja... ksiądz... Czy pan jest księdzem?

– Tak. Może pani płakać. Spokojnie, mamy czas...

Wciąż nie mogła się uspokoić.

– Jestem tutaj – słyszała wciąż w słuchawce.

Trwało to z kwadrans.

Znalazła wreszcie siłę, żeby powiedzieć: – Zabić... Przed chwilą...

Książd nie zrozumiał.

– Czy pani kogoś zabiła?

– Nie... ja... chciałam się sama... Rozumie pan? Siebie samą... Skoczyć z balkonu... Ale nie udało mi się. I teraz... i teraz...

Zaczęła znowu szlochać.

– Jestem przy telefonie. Niech się pani nie spieszy, niech się pani nie spieszy...

W owym młodym głosie było tyle siły i zarazem łagodności, iż pod jego wpływem Angela powoli odzyskiwała równowagę. Zaczęła mówić: – Chcę sobie odebrać życie... Już dłużej nie mogę...

– Rozumiem. Pani już dłużej nie może.

W dialogu tym pojawiały się niekiedy minuty ciszy lub płaczu. Zawsze jednak odzywał się ten głos. – Nie odkładam słuchawki, jestem przy telefonie.

– Opuszczona... mężczyzna, którego kochałam... zdradzona... oszukana... Teraz jestem sama... Sama... Już dłużej nie potrafię! Chcę umrzeć.

Spokojny głos nie zaprotestował ani słowem. Nie sprzeciwiał się, nie wystawiał ocen. Mówił tylko to, czego w tej sytuacji mogła jeszcze słuchać: – Pani na pewno przeżyła coś bardzo ciężkiego...

– Tak.

– A więc w życiu pani pojawił się ten mężczyzna... Pani mu dała całą swoją miłość... On panią tak bardzo rozczarował... I teraz właśnie zrobiło się pusto... ta straszna pustka...

– Tak... tak... – Angela opanowała się trochę i już tylko cicho szlochała, łątwiej też było jej mówić: – Kochałam tylko jego... tylko jego... Znam wielu ludzi... bardzo wielu... muszę znać wielu ludzi i spotykać ich, bo taki jest mój zawód... Muszę być na każdym przyjęciu, każdym bankiecie... Muszę, rozumie pan?

– Rozumiem bardzo dobrze.

– Ale cóż to za życie? Bankiety! Przyjęcia! Cały ten luksus tutaj... I pustka... Jakie ja życie prowadzę? Nie powiem panu, kim jestem i gdzie mieszkam. – Krzyknęła nagle. – Jeszcze pan zawiadomi policję!

– Przysięgam, że nigdy bym tego nie uczynił... Nie chcę znać pani nazwiska... naprawdę... Jest pani w wielkiej potrzebie i bardzo sama... Samobójstwo to ostatnie stadium samotności... Ale tak zupełnie nie jest pani sama...

– Jak to nie?

– Jestem tu teraz.. Mówię z panią... Dobrze panią rozumiem... I to jak dobrze... Może mi pani wierzyć.

- Doprawdy?
- Ależ oczywiście... Pani musi dużo przebywać wśród ludzi... Taka profesja... Ludziom nie można powiedzieć, jak naprawdę z panią jest... Ani o kłopotach, ani o smutkach... Przed nimi musi pani grać, nosić maskę, być zawsze wesoła... Tak to wygląda, prawda?
- Tak – przyznała zdziwiona. – Tak to jest. Nigdy nie mogę... Nigdy nie mogę być tym, kim naprawdę jestem, bo wszyscy uważają mnie za najweselejszą i najszczęśliwszą kobietę w Cannes... Nie wolno mi przecież narzekać i żalić się. Muszę pracować... Mieć zamówienia... Kogo interesuje moje prawdziwe życie?
- Mnie – powiedział powoli. – I właśnie to staram się teraz udowodnić, widzi więc pani, że nie jest całkiem sama...
- Nie, nie całkiem...
- Wielu się wydaje, że są samotni i opuszczeni, choć nie tak bardzo jak pani. To wielkie nieszczęście, że trzeba zawsze nosić maskę i grać. Zakochana, u boku mężczyzny, nie musiała pani tego robić...
- Nie... Mogłam się przed nim otworzyć... ten... ten człowiek wiedział wszystko o mnie. A teraz...
- A teraz ja wszystko wiem...
- Ale pan nie wie, kim jestem! – zawołała.
- To nie ma nic do rzeczy. Mówimy ze sobą, a to dopiero początek naszej rozmowy. Powinniśmy ją prowadzić dalej. Dlaczego nie przyjdzie pani do mnie? Jestem kapłanem w małym prawosławnym kościele przy Boulevard Alexandre III. Czekam na panią – jutro, przed południem... Będziemy dalej rozmawiać o wszystkim.
- Jestem protestantką.
- Nie ma to przecież żadnego znaczenia! Czekam na panią.
- Nie przyjdę... Bardzo się wstydzę, za bardzo...
- To może przyjdzie pani pojutrze albo do mnie znowu zadzwoni. Jestem tu, o tej porze zawsze mnie można zastać, również przed południem. Jestem do pani dyspozycji, niech pani pamięta. Niech pani wie, że ją dobrze rozumiem...
- Ale to jest przecież... trudno mi w to uwierzyć...
- Ale tak jest...
- Zrobię to jeszcze raz! Skoczę...
- Potrafię to zrozumieć, uczyniłbym chyba to samo na pani miejscu...
- Ale czy samobójstwo nie jest grzechem? W pańskich oczach, według pańskich przykazań?
- Nie chcę z panią rozmawiać o grzechu... W pani sytuacji nie może być o nim mowy... Mówmy lepiej o pani, o tej kobiecie, którą tak dobrze rozumiem. Spokojnie, niech się pani nie spieszy, ja mam dla pani czas całego świata...

Rozmawiał z nią prawie dwie godziny. Program telewizyjny dawno się skończył. Czarny ekran migotał jaskrawymi punkcikami, bo przestano już cokolwiek nadawać. Kapłan o głosie, który dawał ukojenie, mówił dalej. Ona opowiedziała mu wszystko, przestała płakać, wróciła jej jasność umysłu i płynność wypowiedzi.

– Niech pani przyjdzie do mnie – jeszcze raz powtórzył.

– Nie wiem...

– Może nie jutro. Kiedykolwiek. I niech pani pamięta, że zawsze tu można mnie spotkać. Człowieka, którego pani nie zna, przed którym nie musi pani nosić maski, któremu można wszystko powiedzieć. Zawsze przyjdę pani z pomocą. Rozumiem panią doskonale.

– Dziękuję – odpowiedziała Angela i nagle poczuła się niezmiernie zmęczona. – Dziękuję... – Położyła słuchawkę na widełki, a w następnej chwili zasnęła głęboko i mocno, jak nigdy w życiu. Skuliła się w fotelu, nie zdążyła się nawet rozebrać. Paliło się światło, nie wyłączone cztery telewizory mrugały ziarnistymi ekranami, a na tarasie dudnił deszcz.

30.

Migotały czerwone i białe światła pozycyjne maszyny, która stromo podchodziła do lądowania w Nicei. Po zwierzeniach Angeli nastąpiło długie milczenie. – Kiedy się obudziłam, była dziesiąta rano – odezwała się wreszcie. – Bolał mnie każdy mięsień, każda kość. Miałam potwornego kaca.

– Czy poszła pani do niego?

Spojrzała na mnie. Jej oczy błyszczały, odbijając światło, które padało z pokoju mieszkalnego.

– Nigdy.

– Dlaczego?

– Za bardzo się wstydziłam. I od tamtego czasu nigdy już nie myślałam o samobójstwie.

– Ten człowiek uratował pani życie.

– Tak. – Angela sączyła szampana. Znowu paliliśmy.

– I mimo to...

– I mimo to nie odwiedziłam go nigdy i nie zatelefonowałam. Wybiorę się kiedyś do tego kościoła, jest niedaleko stąd – powiedziała, przez chwilę zatrzymując na mnie wzrok. – Jestem pewna, że tego młodego duchownego natychmiast rozpoznam po życzliwym głosie. Gdy się już tam wybiorę, chcę, żeby mnie poznał. Postanowiłam twardo, że pójdę do niego, ale dopiero wtedy... – Urwała.

– Kiedy co?

Patrzyła na mnie jak zbudzona z głębokiego snu.

– Proszę?

– Powiedziała pani, że się temu kapłanowi przedstawi, ale dopiero wtedy, kiedy... kiedy co, Angelo?

Patrzyła na mnie, jakby mnie zobaczyła pierwszy raz.

– Nie – oznajmiła nagle. – Skończmy z tym wreszcie. Nie rozumiem siebie. Nikt nie znał tej historii. Dlaczego, Robercie, opowiedziałam ją panu? Dlaczego?

Wstałem, zbliżyłem się do balustrady i spojrzałem w dół. Wysokość robiła wrażenie. Nagle wyczułem obok siebie Angelę.

– W tę przepaść – szepnąłem.

– Tak. W tę przepaść.

Chciałem położyć rękę na jej ramieniu, ale cofnęła się.

– Nie – powiedziała. – Proszę.

– Przepraszam.

– Jest za dziesięć jedenasta. O jedenastej posłuchamy wiadomości, a potem zadzwonię do Pasquale – znów stała się rzeczowa. – Powinna już o tej porze być.

W salonie zadzwonił telefon. Wybiegła i podniosła słuchawkę. Spojrzałem w śmiertelną przepaść i widok pogrążonego w ciemnościach parkingu z palmami i betonową nawierzchnią utkwił mi w pamięci na zawsze.

Angela wróciła na taras.

– To do pana – oświadczyła. – Lacrosse.

Głos miała jeszcze smutniejszy niż przedtem. Gdy z nim rozmawiałem, krzątała się po pokoju.

– Szukaliśmy pana w hotelu i wszędzie. W końcu pomyślałem, że zastanę pana może u madame Delpierre.

– Czy coś się stało?

– Tak.

– Co?

– Nie przez telefon. Czy mógłby pan zaraz przyjść?

– No... tak. Jasne. Do pańskiego biura?

– Do biura.

– Jadę – rzuciłem tylko i odłożyłem słuchawkę.

– Co się stało? – podeszła do mnie zaniepokojona.

– Nie wiem jeszcze. Muszę jechać do Starego Portu. Czy zrobi to pani dla mnie i zorganizuje to spotkanie u Trabaudów? Zadzwonię jutro z rana, dobrze?

– Oczywiście, Robercie – i uśmiechnęła się wesoło.

– Znow założyła pani tę swoją maskę – stwierdziłem.

- Tak – odparła. – Maska, to moja azjatycka twarz. Jeśli będzie coś ważnego, niech pan zadzwoni do mnie jeszcze dzisiaj. Postawię telefon koło łóżka.
- Nie będę przecież pani... To może się przeciągnąć.
- Wszystko jedno. Musi pan zadzwonić!
- Ale dlaczego?
- Bo chodzi o pańską sprawę, o coś, co pana dotyczy, co sprawiło, że pan tu jest. Chcę wiedzieć o wszystkim, co pana obchodzi.
- Angelo...

Znów odsunęła się ode mnie i podniosła słuchawkę. – Zawołam panu taksówkę – powiedziała

Potem skierowaliśmy się do wyjścia. Znów była chłodna, zamknięta i nieprzystępna jak w pierwszej godzinie, gdy ją poznałem. Nie odprowadziła mnie na dół, tylko pożegnała się w drzwiach. Rękę, którą chciałem pocałować, szybko cofnęła. Tym razem nie patrzyła, jak wchodzę do windy. Drzwi mieszkania szybko się zatrzasnęły.

Gdy wyszedłem na parking, taksówki jeszcze nie było, musiałem poczekać. W kieszeni koszuli poszukałem paczki papierosów. Zauważyłem, że tkwi w niej jakaś karteczka. Wyciągnąłem ją; była to ta sama kartka, na której napisałem: „DZIĘKI ZA WSZYSTKO”. Pomyślałem sobie, że musiała tę kartkę mieć w ręce, kiedy rozmawiałem przez telefon. Jedno słowo było na niej teraz przekreślone i jej dużym, szerokim pismem dopisane nad nim inne. Stałem pod latarnią przy wejździe, zapaliłem, wypuściłem dym i długo patrzyłem na tę kartkę. „DZIĘKI ZA WSZYSTKO”, napisałem. Czytałem teraz: „DZIĘKI ZA NIC”.

31.

Leżał na podłodze laboratorium w wielkiej kałuży krwi, a jego twarz była prawie całkowicie zmasakrowana. Wszędzie było pełno krwi, na ziemi, na jego koszuli, spodniach i odsłoniętych częściach ciała.

Stałem obok Louisa Lacrosse'a i patrzyłem oniemiały na kogoś, kto niedawno jeszcze chodził, jadł, rozmawiał, a teraz jego widok budził już tylko przerażenie. To Lacrosse kazał mi przyjść do tego pomieszczenia pełnego półek i stołów zastawionych rozmaitymi przyrządami, palnikami bunsenowskimi, chemikaliami, mikroskopami. Wokół kręcili się jacyś mężczyźni i fotografowali zwłoki, obsypywali grantem stoły, półki i instrumenty w poszukiwaniu odcisków palców. Było ich

sześciu, a w pomieszczeniu z zakratowanymi oknami panował nieznosny upał. Ciągle jeszcze nie wiedziałem, kim był zmarły, więc spytałem: – Kto to jest?

– Laurent Viale – usłyszałem odpowiedź.

– Boże! – zawołałem. Ten elegancki Laurent Viale, kiedyś, na krótko, kochanek Angeli, później przyjaciel! Wciąż nią zajęty, myślałem przede wszystkim o tym, jak ona przyjmie tę wiadomość.

– Spotkałem Viale'a na obiedzie w „Felixie” – powiedziałem.

– A ja przed trzema godzinami jadłem z nim kolację – odparł Lacrosse, błądy i zdenerwowany, z nie zapalonym papierosem w ustach.

– Kto to mógł zrobić i jak?

– Pistolet dużego kalibru z nałożonym tłumikiem. Bardzo mała odległość. Fachowy strzał w tył głowy.

– W takim razie musiał to być ktoś, kto był tu u siebie lub kogo Viale znał – okna są zakratowane, a my jesteśmy na pierwszym piętrze.

– Tak – zgodził się ponuro. – To wszystko jeszcze bardziej komplikuje sprawę. Musiał to być człowiek, który krótko przedtem rozmawiał jeszcze z Viale'em, może jego znajomy.

– Jak on tu wszedł? Mam na myśli ten budynek.

– Jest całą noc otwarty – wyjaśnił. Papieros w kąciku ust to podnosił się, to opadał w takt słów.

– A strażnik?

– Skądże! Mówię panu przecież, że mamy stanowczo za mało ludzi. Kto nie jest w akcji – ma wolne, odsypia lub pracuje w biurze. Znając Viale'a, każdy łatwo mógł się tutaj dostać. Przed trzema kwadransami sam tu bez przeszkód wchodziłem, by się dowiedzieć, jak daleko posunął się w swoich badaniach, i wtedy go znalazłem. Natychmiast zawiadomiłem policję sądową w Nicei, gdyż ta sprawa zaczyna przekraczać moje uprawnienia i coraz bardziej się gmatwa. Komisarz Jacques Roussel jest już na miejscu, przesłuchuje jakichś ludzi i szuka świadków. Dzięki Bogu, przywiózł paru urzędników.

Jeden z mężczyzn, łysy, w okularach, obrócił zwłoki na wznak, żeby je zbadać.

– To doktor Vernon, nasz policyjny lekarz tu w Cannes – przedstawił go Lacrosse. Vernon skinął odruchowo głową w moją stronę i zaczął pincetą grzebać w krwawej mazi, która była twarzą Laurenta Viale'a, a może jego ustami, które przed laty całowała Angela. Teraz usiadła tam wielka mucha. Ale doktor Vernon ani drgnął, spokojnie robiąc swoje, podparłszy się ręką o skrwawiony kark.

– Tu, dziecinko – zwrócił się do Lacrosse'a – tu jest mały otwór wlotowy. Twarz zmiażdżona. Pocisk dum-dum, to dla mnie jasne.

– Przypuszczam, że Viale siedział przy jednym ze swoich przyrządów – objaśniał Lacrosse – sprawca stał za nim. Miał więc piękną śmierć. Nic nie przeczuwał – i było po wszystkim. Chciałbym tak umrzeć.

– Myślałem, że pocisków dum-dum używa się tylko do karabinów.

– Do pistoletów też, dziecko. – Bez wątpienia od dawna był lekarzem policyjnym. Nic go nie przerażało, nic nie zniechęcało. Człowiek bez złudzeń, któremu obcy był strach i który niczemu się nie dziwił. Osobliwy dziwak. A może to zabawne droczenie się, pobłażliwość, z jaką zwracał się do innych, były tylko grą, może Vernon bronił się w ten sposób przed podejrzeniem, że go coś jeszcze poruszało i obchodziło?

– Chodź no tu, dziecko, z notesem – zaskrzeczał doktor i zaczął coś szybko dyktować swemu asystentowi. Młody człowiek stenografował.

– Dlaczego to zrobiono? – spytałem. – Czy jest jakiś powód?

– O tak – potwierdził Lacrosse. – I to bardzo widoczny, niestety.

– Jaki mianowicie?

– Niech pan spojrzy na półki.

Popatrzyłem na regały, na których przed południem leżały jeszcze wszystkie znalezione części jachtu, przede wszystkim zaś druty i odłamki bomby; teraz półki były zupełnie puste.

– Ktokolwiek tu był, zabrał wszystko – powiedział Lacrosse.

– Nie tylko materiał dowodowy, także notatki Viale'a, widziałem je po południu. Nie zostawił nic, nawet jednego skrawka papieru.

– Ależ tu było mnóstwo rzeczy – zauważyłem. – J ciężkich...

– Sprawca musiał je zabrać w dwóch, trzech ratach, prawdopodobnie w walizkach. Może działał sam, może ze współnikami.

– To było ryzykowne przedsięwzięcie.

– Na pewno, ale mamy tu do czynienia z ludźmi, którzy się przed niczym nie cofną – stwierdził. – Przestrzegałem pana już w dniu, kiedyśmy się poznali.

Wszedł bardzo wysoki mężczyzna, który z powodu swego wzrostu lekko się garbił. Był w tropikalnym ubraniu i bez krawata, miał krzaczaste czarne brwi, falujące jasne włosy, ciemne oczy i pociągłą, energiczną twarz.

– Komisarz Jacques Roussel z miejskiej policji sądowej – przedstawił go Lacrosse.

Roussel był pełnym przeciwieństwem Lacrosse'a – pełen energii, stanowczy i odważny.

– Niezłe świństwo, co?

– Tak – przyznałem.

– Kimkolwiek był, dopadnę go – powiedział ze złością. – Ścierwo przeklęte. I wszystkim mi jedno, czy zamieszani są w tę sprawę bogaci, nawet jeśli do nich należy świat! Nie mają prawa uważać się za coś lepszego od zwykłego włóczęgi w porcie.

– Niech pan robi porządek – rzekł Lacrosse. – Ma pan władzę, dużo władzy.

– Gównu, nie władza! – odparł rozgniewany. – Rozmawiałem z Paryżem. Z tajną policją. Z policją gospodarczą. Właśnie tę ostatnią zapędziłem do galopu, mają tu przysłać swoich ludzi.

– Będzie więc skandal – zauważył Lacrosse.

– No i co z tego? Dokonano morderstwa i jeśli się nie myłę, właśnie mamy kolejną ofiarę. Niech stracę rozum, jeśli nie ma jakiegoś związku między tymi postępami. Ci ludzie z „Moonglowa”, którzy pracowali na jachcie, cała załoga, Louis, to przecież nie miliarderzy, ale biedacy, i wszyscy mieli kogoś bliskiego, tak samo jak ty i ja. Teraz ich rodziny zostały bez środków do życia. Niech mnie diabli wezmą, jeśli ze strachu będę trzymał głębę na kłódce. Co pan na to, monsieur?

– Nie cofnę się przed niczym – poparłem go.

– Pan nie zostaje w Cannes – wyszeptał Lacrosse.

Roussel położył mu dłoń na ramieniu.

– Viale zostawił matkę – powiedział. – Dostanie teraz rentę, wiesz, ile to będzie. Pomyśl o matce Laurenta, Louis. Wyobraź sobie, że to twoja matka.

Dziwna zmiana nastąpiła nagle w tym małym smutnym człowieku. Wyprostował się, zmęczone oczy odzyskały blask i kiedy zabrał głos, przemówiły przez niego tyle razy dławione upokorzenia i zbierana latami nienawiść.

– Masz słuszość, Jacques. Byłem podłym tchórzem, o wiele za długo, zaw sze. Ale już nie jestem. Ktokolwiek to uczynił – musi odpokutować. – Podniósł na niego oczy. – Dziękuję za tę rozmowę.

– Już dobrze, stary – odparł Roussel.

Wszedł urzędnik.

– Czy jest tu monsieur Lucas? – zapytał.

– Tak – zgłosiłem się. – Co się stało?

– Telegram z „Majesticu”. Nadeszły dwa pilne telegramy dla pana. Proszą, żeby pan wstąpił, jak tylko będzie mógł.

– Nie jest już pan nam potrzebny – wtrącił Roussel. – Jeśli chce pan iść...

– Muszę. To pewnie mój szef.

– Jasne. Teraz pewnie wszystko pójdzie w ruch – rzekł. Żaden z nas nie wiedział jeszcze, ile miał racji.

Obydwa telegramy były od Gustawa Brandenbura. Poprosiłem portiera, żeby mi wydał klucz od sejfu, wyjąłem książkę z szyframi, usiadłem w pustym holu i zacząłem czytać. W pierwszym telegramie żądano, bym w niedzielę rannym samolotem przyleciał do Düsseldorfu i po przybyciu natychmiast zgłosił się w biurze Brandenbura. Drugi zaś brzmiał: „WSZELKIMI SPOSOBAMI CHRONIĆ EKSPERTA I MATERIAŁY DOWODOWE”.

Sprawdziłem. Telegram nadany był o 19.45. Pomyślałem, że gdybym wieczorem był w hotelu, Viale może by żył. Ale potem zastanowiłem się: Jak moglibyśmy go ochronić? Może jego nie, ale chociaż te przedmioty... Skąd znowu Brandenburg tak dokładnie wie o wszystkim?

Spaliłem telegramy i spopielałe resztki wrzuciłem do popielniczki. Książkę szyfrową umieściłem na powrót w sejfie, z którego wyjąłem paszport oraz wszystkie pieniądze, i powiedziałem portierowi, że rano muszę lecieć do Düsseldorfu, ale chciałbym zatrzymać mój pokój.

– Już wszystko załatwione, monsieur. Rezerwujemy dla pana pokój, bo pan wkrótce tutaj wróci.

– Kto panu o tym powiedział?

– Do nas też przyszedł telegram. – Podał mi jakieś papiery. – Tu jest pański bilet, monsieur. Poproszono nas, abyśmy zarezerwowali jedno miejsce w samolocie Air-France, który startuje z Nicei o dziewiątej piętnaście. Będzie pan leciał przez Paryż i o dwunastej dwadzieścia pięć będzie pan w Düsseldorfie. Zapisaliśmy to wszystko na pański rachunek.

Podziękowałem mu, oddałem klucz od sejfu i zobaczyłem jeszcze, jak go zamyka. Następnie wjechałem na górę do apartamentu, rozebrałem się i wziąłem zimny i gorący natrysk. Wszędzie leżały pudła – to nadeszły moje ubrania, koszule i spodnie. Całkiem nagi rozpakowałem to wszystko i poukładałem w szafach, zostawiając na jutrzejszą podróż beżowe lekkie ubranie i jeden z krawatów wybranych przez Angele.

Położyłem się na łóżku i próbowałem zasnąć, ale byłem zupełnie rozbudzony. Włączyłem małe radio stojące obok. Miękkie, kobiece głos śpiewał: *Elle est finie la comédie...* Wyłączyłem je. Spojrzałem na zegarek, który na noc zawsze zdejmowałem. Wskazywał akurat drugą dwadzieścia. Nagle zadzwonił telefon, to była Angele.

– Już dzwoniłam, ale nikogo nie zastałam. Czy coś się stało, Robercie? Coś złego?

– Tak – odparłem. – Coś bardzo złego.

– Co?

Powiedziałem jej.

Nastąpiła długa cisza. Czekałem, jak na to zareaguje. Odezwała się wreszcie cichym głosem:

– To był dobry człowiek. Od lat, właściwie od samego początku, byliśmy tylko przyjaciółmi, ale za to prawdziwymi. Bardzo mi go żal, tak kochał swoją matkę. Zaraz jutro do niej pojedę i się nią zajmę, jest teraz przecież zupełnie sama.

– Dlaczego pani zadzwoniła? – spytałem.

– Bo życia stale ubywa, to straszne, prawda? Bo chciałam powiedzieć, że moja przyjaciółka Pasquale chętnie zaprosi na kolację tych wszystkich ludzi. Pojutrze o ósmej. Odpowiada to panu?

– Bardzo! Chociaż... niech pani zaczeka. Muszę jutro – to już dzisiaj – polecieć do Düsseldorfu.

– Na jak długo? – Mój Boże, pomyślałem i poczułem bicie serca, tak szybko zapytała!

– Nie wiem, ale chyba na dzień-dwa. Gdyby się przeciągnęło do pojutrze, uprzedzę odpowiednio wcześniej. Ale mam nadzieję, że do tego czasu wrócę. Zależy mi na tej kolacji.

– Czy to z powodu śmierci Viale'a musi pan jechać do Niemiec?

– Także dlatego.

– Kiedy odlatuje pański samolot?

– Dziewiąta piętnaście z Nicei.

– Wobec tego o ósmej odwiozę pana z hotelu.

– Wykluczone... To już za pięć i pół godziny! Nie, wezmę taksówkę.

– Proszę tego nie robić, będę o ósmej. Dobranoc, Robercie.

– Dobranoc, Angelo. Za wszystko dziękuję – to powiedziawszy, odłożyłem słuchawkę.

Ale nie było już mowy o spaniu.

Narzuciłem szlafrok i wyszedłem na balkon. Usiadłem i paliłem papierosy jeden za drugim. Zbyt byłem podekscytowany, więc sen gdzieś odszedł. Od wpół do piątej zaczęło jaśnieć niebo nad morzem, zmieniając swą barwę z minuty na minutę. Na Croisette i w hotelu było zupełnie cicho. O czwartej czterdzieści pięć znowu zadzwonił telefon. Była to oczywiście Angela.

– Nie może pan spać, prawda?

– Nie.

– Ja także nie.

– Biedny Viale.

- Nie chodzi tylko o niego – powiedziała. – Wie pan to równie dobrze.
- Wiem.
- Co pan robił, gdy zadzwoniłam?
- Siedziałem na balkonie i patrzyłem, jak dnieje.
- Ja robię to samo: siedzę na tarasie i przyglądam się niebu. Czy pański telefon ma również długi sznur?
- Chyba tak.
- Niech więc pan weźmie aparat, wróci z nim na balkon i ogląda niebo... Czy pan już siedzi?
- Tak.
- Teraz oboje oglądamy niebo.
- Tak. – Zamilkłem, tylko w słuchawce słychać było jakieś szmery. Niebo najpierw szare, potem piaskowe, zmieniało swoją barwę, przechodząc z ochry w brąz i jabłkową zieleń, by złocić się coraz bardziej, i naraz w tym blasku zajaśniały białe domy na krętej Croisette. Siedziałem przez długi czas ze słuchawką przy uchu, tak jak Angela przy swoim telefonie, i żadne z nas nie odezwało się słowem. Z morza wynurzyło się krwawe słońce.
- A więc o ósmej – po tych słowach odłożyła słuchawkę.

33.

Była punktualna co do minuty. Włożyłem na drogę beżowy garnitur, który kupiliśmy razem, brązowe mokasyny i zabrałem z sobą tylko miękką torbę podróżną.

Niedzielnym rankiem o tej porze było jeszcze na ulicach bardzo cicho. Spieszyło nam się. Jechaliśmy znowu wzdłuż morza, mijając plażę, skały i wiele przytulnych restauracyjek. Nie doliczyliśmy się nawet tuzina przechodniów i nie wypowiedzieliśmy nawet tuzina słów podczas tej jazdy.

Angela, w białym kostiumie ze spodniami, była nie umalowana. Zaparkowała wóz przed budynkiem portu lotniczego i towarzyszyła mi aż do ostatniej bramki. Choć nie spuszczała ze mnie oczu, milczała. Dopiero przy pożegnaniu odezwała się:

- Będę na górze, na drugim balkonie – po czym szybko się oddaliła. Przeszedłem przez paszportową i celną kontrolę, gdzie mnie nawet prześwietlono, bo ostatnio dość często zdarzały się uprowadzenia samolotów, kiedy wreszcie, już po wywołaniu mojego samolotu, pośpieszyłem do autobusu dowożącego pasażerów na płytę lotniska, odwróciłem się i wysoko ponad sobą zobaczyłem Angelę. Stała

prawie samotnie na drugim balkonie, kiwając mi ręką roześmiana. Przypomniało mi się to wszystko, o czym opowiadała ostatnio, o rozmowie z księdzem, o masce i azjatyckiej twarzy, i też spróbowałem się uśmiechnąć na pożegnanie. To ją zdopingowało i jeszcze mocniej machała ręką, a mnie tymczasem rozboleła lewa stopa. Wszedłem ostatni do autobusu, który odjechał szybko w stronę oczekującej maszyny. Wysiadając, z łatwością rozpoznałem Angelę w białym kostiumie i znowu jej pomachałem, a ona odwzajemniła gest pożegnania obydwoma rękami. Żegnałem ją tak długo, aż stewardesa nie poprosiła mnie, bym wreszcie usiadł w samolocie.

Wystartowaliśmy nad morze. Ciężki boeing powolnie i z mozołem wznosił się, w końcu zgąst napis „No smoking”. Sięgnąłem do kieszeni po tabletki. Palcami wyczułem jakiś mały, twardego przedmiot. Wyjąłem go. Był to wesoły słoń z hebanu, który tak mi się podobał w kolekcji Angeli. Musiała mi go dzisiaj rano wsunąć ukradkiem do kieszeni.

Angela...

Widziałem ją przed sobą, jej cudowne oczy. Słońce jaskrawym blaskiem uderzyło w okna i osłepiło mnie, że aż musiałem zamknąć powieki, i wtedy dopiero ujrzałem ją wyraźnie, jej oczy... W dłoni zaciskałem małego słonia. Lecieliśmy na północ. Lewa stopa bolała mnie dalej.

34.

W Paryżu padało.

W Düsseldorfie padało.

Wchłaniał mnie brzydki, zimny świat. Marzęm, znowu byłem nieodpowiednio ubrany. W Paryżu miałem na to za mało czasu, ale już z lotniska Lohausen w Düsseldorfie zadzwoniłem do Angeli. W ruchu automatycznym rozmowę uzyskiwało się szybko. Zgłosiła się natychmiast, zadyszana.

– Halo!

– Tu Robert.

– Wylądował pan szczęśliwie! Dzięki Bogu!

– Chciałem, Angelo, podziękować za słonia. Sprawiała mi pani naprawdę wielką przyjemność. Teraz trzymam go w ręce.

– Niech przyniesie panu szczęście – powiedziała, a ja dopiero teraz uświadomiłem sobie, że przez cały czas mówiłem po francusku, podczas gdy ona po niemiecku.

– Pani mówi po niemiecku! – zawołałem głęboko poruszony.

- Tak – w jej głosie było zakłopotanie. – Proszę cię o wybaczenie, Robercie.
- Wybaczenie? Z jakiego powodu?
- Bo przecież... bo głupio się zachowałam. Przemyślałam to już. Przecież nie wszyscy Niemcy szli chętnie do wojska. I na pewno nie wszyscy byli nazistami.
- Było ich bardzo wielu.
- Ale nie wszyscy, na pewno nie. – Pan, Robercie, pan na pewno do nich nie należał.
- Oczywiście, że nie.
- I niechętnie służył pan w wojsku.
- To prawda – odparłem.
- Tak też myślałam. Dlatego było to po prostu niesprawiedliwe. Przebacza mi pan?
- No jasne! Angelo, jestem taki szczęśliwy, że jest pani w domu, że słyszę pani głos!
- Wiedziałam, że zadzwoni pan zaraz po wylądowaniu, zostałam więc w domu. Chciałam usłyszeć pański głos.
- Skąd pani wiedziała?
- Wiedziałam po prostu. Dlatego zostałam. Biedny Laurent Viale zostanie już jutro raniem pochowany. Tutaj pogrzeby odbywają się szybko, wiadomo, upał. Pojadę potem zaraz do jego matki.
- Czy mogę znów zadzwonić? Dziś wieczorem?
- O tak! – ucieszyła się. – Będę czekać.

35.

– *Cover. Coverage* – powtarzał Gustaw Brandenburg, energicznie drapiąc się po zupełnie łysej, kwadratowej czaszce. – To z tego powodu kazaliśmy ci wrócić, Robercie. – Mój szef, odziany w ohydny koszulę w pomarańczowo-białe prążki, obgryzał jak zwykle ogromne hawańskie cygaro i raz po raz sięgał do torebki z popcornem. Wszędzie już było pełno okruchów, na podłodze, ubraniu, nie wspominając o biurku, na którym leżały – czekając na swoją kolej – trzy inne torebki tego przysmaku. Obok w wygodnym fotelu siedział mężczyzna, może pięćdziesięcioletni, bardzo elegancko ubrany, spokojny, rzeczowy, o twarzy kościstej i nieufnej. Był to, jak się okazało, doktor Daniel Friese, dyrektor z federalnego ministerstwa finansów. Nie miałem najmniejszego pojęcia, co go tutaj sprowadziło. Powiedzmy, jeszcze nie miałem. W olbrzymim gmachu „Globalu” panowała tego

niedzielnego przedpołudnia głucha cisza, pracował tylko on, Brandenburg, zresztą jak zawsze.

Zdałem sprawozdanie z tego, co przydarzyło mi się w Cannes. Obaj mężczyźni przysłuchiwali się z takim wyrazem twarzy, jakby wszystko wiedzieli z góry i nie spodziewali się niczego innego. Od czasu do czasu szef przewiercał mnie na wylot wzrokiem, z troską czy wściekłością, tego już nie umiałem dociec.

– Dla dwóch słów *cover* i *coverage* kazałeś mi... – zacząłem, ale on przerwał mi natychmiast: – Bądź cicho. Pan Friese specjalnie przyjechał z Bonn, żeby uczestniczyć w tej rozmowie.

– W niedzielę? Takie to pilne?

– Nie ma nic pilniejszego – uciął szybko Friese. Miał przyjemny głos.

– Pan Friese również interesuje się naszą sprawą.

– To prawda – potwierdził Friese.

– Wszystko wskazuje na to, że przypadek, którym się w tej chwili zajmujesz, eksplozja jachtu, śmierć dwunastu ludzi, a teraz trzynastego, tego eksperta, jak się on nazywa...?

– Viale. Laurent Viale.

– ...tego Viale'a, wszystko to dowodzi, że mamy do czynienia z przestępstwem o podłożu finansowym, gospodarczym. Dokonanym w białych rękawiczkach i to na taką skalę, że nawet ja nie potrafię tego sobie wyobrazić. Pan Friese – czego nie wiedziałem – interesuje się już od dłuższego czasu Hellmannem i jego interesami. Zdecydowaliśmy się więc pracować razem. Abyś zrozumiał, w czym rzecz, dyrektor Friese spróbuje ci to wyjaśnić, choć nie będzie to łatwe...

– Postaram się to wyłożyć najprościej i najkrócej, jak tylko się da – oświadczył przedstawiciel ministerstwa finansów w Bonn. Był rzeczywiście świetnie ubrany. – Widzi pan, panie Lucas, to już dla nikogo nie jest tajemnicą: mamy dzisiaj powszechną inflację. Jeśli nie uda nam się jej opanować, doprowadzi do katastrofy gospodarczej o szerokim zasięgu, i to przynajmniej tak groźnej, jak druga wojna światowa. – Mówił spokojnie i rzeczowo, tylko napięta twarz zdradzała pewien niepokój. – Chciałbym przedtem jeszcze zaznaczyć, że inflację uważam za najpospolitsze w świecie złodziejstwo, a to dlatego, że prawo jest zupełnie bezsilne wobec ludzi, którzy z całą świadomością, brutalnie i bezwzględnie – jak w tym wypadku – zawsze znajdują sposób, by obrócić je na własną korzyść.

– Będziesz miał do czynienia z nie lada kanałiami – stwierdził Brandenburg i wpakował do ust garść popcornu. – Chciałem powiedzieć: będziemy mieli do czynienia – poprawił.

– Jak dochodzi do takiej inflacji i zagrożeń, o których pan mówi, panie Friese? – spytałem, a w moich myślach, ni stąd, ni zowąd, pojawił się mały taboret

u Angeli, na którym siedziałem, zafascynowany jej kuchenną krzątaniną.

– Widzi pan – podjął swój wykład Friese – w obiegu na całym świecie jest dzisiaj dokładnie siedemdziesiąt miliardów dolarów. Siedemdziesiąt miliardów! Czy w ogóle potrafi pan sobie wyobrazić taką sumę?

– Nie – przyznałem.

– Jak nikt zresztą. Ale one istnieją naprawdę i są przyczyną wszystkich nieszczęść.

– Przede wszystkim: skąd pochodzą? – spytałem.

– Z ogromnych koncernów na drugiej półkuli, od prywatnych bankierów, z wielkich banków, od wpływowych spekulantów, których nie brakuje. Tworzy je tak zwany deficit-spending w USA.

– Co to takiego?

– Stany Zjednoczone nadal kupują za granicą o wiele więcej niż eksportują. A więc coraz więcej dolarów wypływa za granicę. Dolar jest nadal twardą walutą świata, choć od dawna przecenianą. Ale Amerykanie bardzo niechętnie obniżają wartość swego pieniądza, bo mogłoby to podnieść cenę złota, co dogadzałoby Rosjanom będącym w posiadaniu ogromnych zapasów tego kruszcu, które zawsze mogą rzucić na rynek. Stąd wziął się zakaz kupowania złota ze zmniejszonych zasobów Ameryki przez obywateli amerykańskich. Nam wolno, Szwajcarom też – Amerykanom nie. A nawiasem mówiąc: jestem przekonany, że wkrótce znowu musi dojść do poważnego kryzysu dolara, który będzie musiał zostać zdewaluowany, może nawet o dziesięć procent i na tym się na pewno nie skończy! Ale idźmy dalej: jeśli chodzi o amerykańskie koncerny czy międzynarodowe towarzystwa – to sprawa jest jasna, wolno im nabywać tyle niemieckich akcji, ile tylko zechcą. Zwykły Amerykanin, który chciałby kupić niemieckie akcje, musi zapłacić dwanaście procent podatku.

– To przecież świństwo – zauważyłem.

– I to w majestacie prawa – przyznał Friese.

– A co to są międzynarodowe towarzystwa? – spytałem.

– To firmy, które we wszystkich uprzemysłowionych krajach mają swe przedstawicielstwa, skutkiem czego nigdzie ich nie traktuje się jako obcokrajowców i mogą wszędzie funkcjonować bez zobowiązań. Legalnie, jak powiedziałem, przynajmniej do czasu, gdy zainteresowane państwa same nie zaczną się bronić i wtedy przestaną tolerować tych międzynarodowych oszustów i przymykać oczy na ich samowolę. Każdą prywatną firmę z kapitałem zagranicznym prześwietla się niemal rentgenem.

– Cóż to za prawo! – Nie ukrywałem oburzenia.

– Wszyscy ludzie są równi – wybełkotał Brandenburg z ustami pełnymi popcornu – ale niektórzy równiejsi.

– Co się więc dzieje z tymi siedemdziesięcioma miliardami dolarów w obiegu? – spytał retorycznie Friese. – Leżą w bankach, idą na inwestycje w przedsiębiorstwach za granicą albo na ich wykup, kierowane są zawsze tam, gdzie można na nich zarobić, a więc do krajów z relatywnie największą stabilnością pieniądza, przede wszystkim do Republiki Federalnej Niemiec, która – wedle mnie niesłusznie, ale to inna sprawa – uważana jest za kraj pewny, odporny na kryzysy, a marka za walutę twardą i najlepszą. Lepszą nawet od szwajcarskich franków i holenderskich guldenów. Kiedy więc w jakimś kraju dochodzi do alarmującej sytuacji – mam na myśli strajk, bezrobocie, spirale płac i cen i podobne – wówczas ludzie, którzy zarządzają tamtejszymi koncernami, bankami i miejscową walutą, transferują zgromadzone miliardy dolarów do kraju stabilnego. Jest to zupełnie legalna operacja, której podstawą jest międzynarodowe porozumienie monetarne, formalnie obowiązujące, ale w praktyce od dawna pełne luk. Otóż wedle tej umowy bank federalny zobowiązany jest każdą walutę i w każdej wysokości przyjąć i wymienić. W ten sposób spływają do nas coraz nowe miliardy – mówię to w największym skrócie, ale pan rozumie, prawda?

Skinąłem głową.

– Napływające dolary Republika Federalna musi wymienić na marki. Może teraz domagać się wiarygodności od amerykańskiego banku narodowego, może dążyć do wymiany dolarów na złoto, ale to już nierealne, gdyż Amerykanie od dawna nie wymieniają papierów wartościowych na złoto.

– I to wszystko legalnie, w majestacie prawa – warknął Brandenburg, zajęty wałkowaniem swojego cygara. Koszulę pod pachami miał mokrą od potu, choć w Düsseldorfie było zimno. Ze zdrowiem tego faceta nie jest chyba najlepiej, pomyślałem. A z moim?

– Zupełnie legalnie, tak jest. Tylko, widzi pan, równocześnie z wymianą dostaje się w obieg coraz więcej marek. Mówiąc brutalnie: bank federalny drukuje coraz więcej pieniędzy i to jest początek inflacji. Byłby spokój, gdyby tych dodruków nie ruszano, ale tak nie jest. Te nowe pieniądze w obiegu powinny mieć odpowiednie pokrycie w ofercie towarowej, ale tego się nie zrobi przez jedną noc. Skutek jest oczywisty: równowaga zakłócona. Ceny muszą wzrosnąć. A tak przy okazji: nawet związki zawodowe i przedsiębiorcy pomagali – i to jakże skutecznie – przy nakręcaniu spirali inflacji.

Przypomniałem sobie staruszkę z apteki.

„Wszystko jest coraz droższe. Po prostu wszystko. Mleko, masło, chleb, mięso, znaczki pocztowe, wywóz śmieci... Ach, Boże, i jeszcze «Luisenhöhe». Jak ludzie mogą być tak niegodziwi...”

– Ale przecież to jakiś obłąd, ten stały wzrost płac i cen – zauważyłem.

– Z całą pewnością – zgodził się ze mną bez oporu – żyjemy w świecie zwiariowanym pod względem ekonomicznym, bezwolnie znosimy potworny kryzys, który przede wszystkim niszczy zwykłego człowieka, ciułacza, podczas gdy nasi wielcy i najwięksi wygrywiają ten wyścig. Ale to jest, jak powiedziałem, tylko jedna strona nieszczęścia.

Ach, nieszczęście nie zjawia się jak deszcz...

36.

– A co z drugą? – zapytałem.

– Wróćmy do wspomnianych już siedemdziesięciu miliardów dolarów – ciągnął Friese. – Dopóki nie zostaną wydane na zakup całych zakładów przemysłowych, znajdują się w ręku wszechobecnych spekulantów, którzy rządzą wszystkimi systemami monetarnymi, dowolnie nimi manipulując, by odnieść pożądany skutek, a tym samym wymierne korzyści finansowe. Jeśli na przykład są w posiadaniu słabej waluty, powiedzmy takiego funta czy lira, to oczywiście się jej pozbywają, a to znaczy, że wkłady w słabej walucie wędrują do określonego banku narodowego, który zobowiązany jest do zakupu i to jeszcze po wysokim kursie. W ten sposób spekulanci wchodzą w posiadanie twardej waluty, japońskiego jena czy zachodniemieckiej marki, i asekurują się przed spadkiem wartości. Żeby tylko to! Przedsiębiorstwom, zależnym w holdingu od międzynarodowych koncernów, pozwalano na robienie długów w krajach o słabej walucie, i to olbrzymich długów, a potem wyciągano kredyty z kraju o słabej walucie i kierowano je w obieg mocnych systemów monetarnych. Obracając miliardami, owe międzynarodowe towarzystwa mają potężny wpływ na działania rządów i banków emisyjnych, najczęściej jednak szkodliwy w skutkach.

– Szkodliwy dla zwykłych ludzi – chrząknął Brandenburg.

– To prawda, kryzysy walutowe i inflacja nigdy nie uderzają w bogatych, lecz wyłącznie w biednych, którzy stają się ofiarami koniecznych środków ochrony podjętych przez państwo i banki emisyjne. I wszystkie te działania, wszystkie spekulacje są najzupełniej legalne i trudno z nimi walczyć, choć aż się we mnie burzy, kiedy o tym mówię. Dla nas to katastrofa, na krócej czy dłużej. Wypadek, nad którym pan pracuje, panie Lucas, jest tego właśnie przykładem, dlatego więc tutaj jestem i dlatego jest tutaj pan Kessler.

– Kto?

– Pan Otto Kessler. Nasz najstarszy stażem i najbardziej doświadczony rewident podatkowy w ministerstwie. Czeką obok.

Chciałem pana pokrótce wprowadzić w pewne sprawy, żeby pan mógł się z nim lepiej porozumieć.

Brandenburg nacisnął guzik przy telefonie, żeby skontaktować się z sekretarką, której należało tylko współczuć, że musiała mu towarzyszyć w najdziwniejszych porach.

– Słucham, panie Brandenburg?

– Niech wejdzie pan Kessler – warknął, a popiół spadł mu na koszulę, czego zresztą nie zauważył.

Otworzyły się drzwi. W ich framudze stał wysoki mężczyzna około pięćdziesiątki, o jasnych, rzadkich włosach i z blizną na lewej skroni, który na bankiecie w hotelu „Majestic” siedział obok mnie przy barze i podsłuchiwał rozmowę z zaginioną Nicole Monnier.

Wytrzeszczyłem oczy.

Pan Otto Kessler uklonił się niedbale.

37.

Głos Kesslera był inny niż Friesego – mówił szybko, bez emocji i stanowczo, przyzwyczajony do rozkazywania i nie znoszący sprzeciwu.

– A więc widzimy się ponownie – przemówiłem pierwszy.

– Od dawna już jestem w Cannes, z przerwami oczywiście – odparł Kessler, rewident podatkowy, as ministerstwa finansów. – Mieszkam w „Carltonie”. Rozumie pan, że nie mogłem się ujawnić.

– Oczywiście, zresztą ta dziewczyna, z którą rozmawiałem w barze...

– Zniknęła ze swoim alfonsiem. Wiem o wszystkim, panie Lucas, co się panu przydarzyło.

– Ale co pan robił w Cannes?

– Przyglądaliśmy się transakcjom zawierającym przez dom bankowy Hellmanna, jeden z najbardziej szanowanych i znanych prywatnych banków Republiki Federalnej. Współpracujemy naturalnie z rewidentami innych krajów, wymieniając informacje. Od wielu miesięcy, a nawet lat, interesujemy się Hellmannem oraz jego powiązaniem z amerykańskim obywatelem, Johnem Kilwoodem.

– Zaraz, zaraz, to chyba jedna z tych osób, które przybyły do Cannes, by obchodzić sześćdziesiąte piąte urodziny Hellmanna.

– Tak. Najbardziej interesująca i najniebezpieczniejsza – dorzucił Kessler. Strzelił palcami. Robił to często, co było niezbyt miłym zwyczajem. Wyciągnął z kieszeni notes i przeczytał: – John Kilwood. Trzeci raz rozwiedziony. Sześćdziesiąt dwa lata. Pięcioro żyjących dzieci. Wykształcenie: uniwersytet Yale. Działalność zawodowa: Kilwood Oil Company wraz ze spółkami. Szacowana wartość majątkowa netto: siedemset milionów do miliarda dolarów.

– Niech go Bóg błogosławi – wtrącił się Brandenburg.

– I pobłogosławił – odparł Kessler, zaglądając do notatek. – Kilwood posiada domy, parcele, mieszkania w Beverly Hills, na Florydzie, na Wyspach Bahama, we Francji, Szwajcarii, Monaco, Liechtensteinie i Anglii. Tam ma cały zamek. Dwa samoloty, obydwie boeingi 702. Luksusowe mieszkanie w nowojorskim drapaczu chmur „United Nations Plaza”.

– KOOD-OIL – rzekł Friese. – Spółka, której jest właścicielem, pracuje w Europie prawie bez zysku, przede wszystkim u nas.

– Gdzie zostaje zysk? – spytałem.

– Tam, gdzie powinien zostać – w krajach o najmniejszych podatkach – poinformował nas Kessler. Przewrócił kartkę w notatniku i spojrzał na mnie. – Wie pan, oczywiście, jakie znaczenie ma KOOD, prawda?

– A kto nie wie? – odparłem.

Razem z zakładami montażowymi w Schwarzwaldzie, filiami rozsianymi po całej Republice Federalnej i firmami kooperacyjnymi za granicą, KOOD był jednym z największych producentów sprzętu elektronicznego w świecie. Konstruowano tam zarówno urządzenia radarowe, jak i telewizory, części dla satelitów komunikacyjnych oraz aparaturę dla amerykańskich programów kosmicznych. W elektronice nie było niczego, co by nie było produkowane przez KOOD!

– I proszę – odezwał się Kessler z miną człowieka doświadczonego i rozsądnego – ten cały KOOD, zakłady w Schwarzwaldzie, były w czterdziestym ósmym roku fabryką o zaledwie dwuosobowej załodze. Dzisiaj KOOD zatrudnia na całym świecie trzy czwarte miliona ludzi, nie licząc zakładów kooperujących. Po wszystkim, co tutaj przedstawiłem, nie powinno nikogo zdziwić, jeśli dodam, że duża część udziałów firmy należy do Johna Kilwooda.

– Rzeczywiście nic mnie już nie zaskoczy – zgodziłem się.

– W 1948 roku musieliśmy kupować dolara po cztery marki dwadzieścia, po kursie niczym nie usprawiedliwionym. Teraz zatrzymał się przy trzech markach dziewiętnaście, co i tak wydaje się za dużo. Wówczas Amerykanie skupowali w Niemczech, co się tylko dało. Kilwood kupił małą fabrykę w Schwarzwaldzie, która z latami stała się wszechpotężnym KOOD. Przypuszczam, że pan dyrektor

Friese wyjaśnił panu, jak się coś takiego robi, nie naruszając prawa.

- Tak.
- Świetnie – ciągnął. – Jak pan myśli, ile wynosi roczny zysk w tej firmie?
- Wiele miliardów.
- Zgadza się – Kessler zaśmiał się złośliwie – a wie pan, ile tu płacą podatków? Uśmieje się pan: w Niemczech żadnych!

38.

- Jak to możliwe? – wyrwało mi się.
- To całkiem proste – odpowiedział Friese. – KOOD ma zleceniodawców w Liechtensteinie i im przekazuje swoją produkcję, a tam, w tej oazie podatkowej nie płaci się prawie wcale podatków. Fikcyjne firmy rozprawdają zyski, jak im najwygodniej. Za pośrednictwem Liechtensteinu rachunki wędrują na Wyspy Bahama, gdzie w ogóle nie stosuje się podatków, i gdy tylko nastąpią rozliczenia między Liechtensteinem a Wyspami – tym razem prawdziwe! – miliardowy zysk, jak pan się słusznie domyśla, zgarnia KOOD – czyli oczywiście Kilwood.

- Czy w Niemczech nie można znaleźć żadnego sposobu na firmę nie płacącą podatków? – zdziwiłem się.

- W tym cały problem – podsumował Friese. – W tej dziedzinie wszystko jest dozwolone i nic nie da się zrobić. Jednakże – po raz pierwszy podniósł głos – jest taki jeden słaby punkt, o który, przy bardzo dużym szczęściu, moglibyśmy się zaczepić. Jeśli spółce KOOD udowodnimy choćby najmniejsze oszustwo podatkowe czy jakąś nieprawidłowość – możemy się z nią wówczas rozprawić i tym od dawna zajmuje się Kessler, kontrolując interesy spółki i domu bankowego.

- Jakie miejsce w tym układzie zajmuje Hellmann?

- Ach, i tego pan nie wie? – zdziwił się Kessler. – Bank Hellmanna finansował inwestycje Kilwoda na terenie Niemiec.

- A to ładna historia, Robercie, co? – cmoknął Brandenburg. Cygaro w jego ustach znów było rozmiękle, żzute i pogryzione. Przechylił się do tyłu, splótł ręce na brzuchu i obserwował nas wszystkich chytrymi, świńskimi oczkami.

– Może pan sobie wyobrazić, ilu zabiegów z mojej strony wymagało dotarcie do tych informacji – opowiadał Kessler. – Raz była to niedyskrecja, raz pomogło mi czyjeś pragnienie zemsty... – Spojrzał na mnie swymi stalowoniebieskimi oczami, w których nie potrafiłem dopatrzeć się iskierki człowieczeństwa, równie dobrze mogłyby być one ze szkła. Kessler, pomyślałem, as wywiadu finansowego, jest opętany swoim zawodem i nic innego na świecie dla niego nie istnieje.

– Wszystkie transakcje pieniężne, o których mówił pan Friese – kontynuował – od dwudziestu lat nadzorował Kilwood, tu, w Niemczech, przez bank Hellmanna. Znalazł sobie bank o nieposzlakowanej opinii, bo operacje musiały wyglądać na absolutnie zgodne z prawem i bez zarzutu. I takie rzeczywiście były – według naszego ustawodawstwa. Kiedy jakiś kraj znalazł się w sytuacji kryzysowej, wówczas Kilwood – jak nam wiadomo – przetrzucał pieniądze stamtąd do Niemiec, do Hellmanna, zamieniał je na marki zachodnie i przeznaczał na inwestycje w spółce KOOD. W ten sposób mała fabryka stała się światową firmą, a jej właściciel skrupulatnie wykorzystywał każde polityczne zawirowanie, każdy przewrót, każdy pucz. Węgry w pięćdziesiątym szóstym, Zatoka Świń na Kubie, berliński mur, nie pominął nawet wojny wietnamskiej i stu innych okazji, aby żonglować swymi dolarami i z pomocą banku Hellmanna coraz bardziej się bogacić – a u nas doprowadzać do coraz większej inflacji. Fakt, nie on jeden jest temu winien, bo inni postępują podobnie. A Hellmann mógł mieć czyste sumienie, bo to, co robił, było przecież legalne, najzupełniej legalne. I wówczas zdarzyła się ta sprawa z funtem.

– Co za sprawa? – spytałem.

– Kilwood zorientował się, co się święci w Anglii, widział nie tylko strajki, bezrobocie, tracącego na wartości funta, ale przeczuwał również, że Wielka Brytania, jeśli zamierza wejść do EWG, wcześniej czy później musi uwolnić funta z pasma wahań kursowych. I tu zaczyna się dziać coś nieprawdopodobnego, wprost niepojętego w całej tej historii.

– Jestem bardzo ciekaw – rzekłem.

– Niech pan słucha – Kessler był w swoim żywiole. – Żeby to lepiej panu wyjaśnić, powiem najpierw, co Kilwood powinien był uczynić i co w takich wypadkach zawsze robił, zgoda? – Przytaknąłem. – Dobrze. A więc powinien był wycofać z Anglii swoje funty, które zgromadził ze sprzedaży dolarów, przekazać

je Hellmannowi i zażądać za nie marek zachodnich po starym, wysokim kursie. Na pewno by je otrzymał, gdyż Hellmann jeszcze przed dewaluacją zdążyłby przelać funty do banku federalnego, tak że nie on by ponosił straty, lecz bank Republiki, a w konsekwencji i my, zwykli podatnicy. To nie wszystko! Za pośrednictwem banku Hellmanna mógłby Kilwood jeszcze przed dewaluacją wystarać się o funtowe kredyty i to bardzo duże.

– W jaki sposób? – spytałem.

– Gdy jest się osobą godną zaufania, to można od każdego niemieckiego bankiera zażądać pożyczek w funtach, guldenach, dolarach i Bóg wie jakich jeszcze walutach i oczywiście je otrzymać – referował Friese. – Kilwood liczył się na pewno z dewaluacją funta.

– Właśnie zwolnili kurs – rzekł Brandenburg, leniwie strząsając z siebie okruchy. – Naprawdę zdevaluowano funta, podobno o osiem procent.

– Zgadza się – potwierdził Friese.

– I jaki powinien być tego rezultat? – zwrócił się do mnie Kessler.

– A taki – wyrecytowałem – że Kilwood, w porę wymieniwszy funty, nie tylko mógłby uniknąć straty – w przeciwieństwie do wielu małych i średnich przedsiębiorców – lecz jeszcze by zbił majątek na tej operacji. Gdyby zrobił w Anglii zakupy w markach zachodnio-niemieckich...

– Jeśli chciałby takie zakupy zrobić – poprawił Kessler.

– Dlaczego chciałby?

– Powiedziałem panu przecież, że w tej historii zdarzyło się coś zupełnie nieprzewidzianego, wprost nie do pojęcia. Ale proszę kontynuować swój wywód, proszę go doprowadzić do końca, żebyśmy wiedzieli, czy pan rozumiał.

– No więc – podjąłem myśl – jeśli Kilwood zechciałby teraz w Anglii dokonać zakupów w markach zachodnioniemieckich – w swojej brytyjskiej firmie kooperacyjnej na przykład – zapłaciłby o osiem procent mniej w tychże markach.

– Fakt.

– A kredyty funtowe, które dostał, mogłyby mu przy spłacie przynieść jeszcze raz osiem procent.

– I to prawda – odparł. – A teraz niech pan dobrze słucha, panie Lucas, bo za chwilę dowie się pan, co jest w tej historii tak dziwnego i niepojętego, czego nikt z nas nie rozumie. Kilwood – a wiemy to już na pewno – kazał wprawdzie przetransferować funty do banku Hellmanna, gdzie je wymieniono na marki po starym, wyższym kursie, jednakże nie zaciągnął żadnych kredytów funtowych, przeciwnie,

dał bankowi polecenie, żeby udzielił kredytów w funtach.

- Co takiego? – Byłem zupełnie zbity z tropu.
- Dobrze pan słyszał. Rozdał kredyty, zamiast je zaciągnąć.
- Coś podobnego – zawołałem – przecież Hellmann, kiedy przyjdzie czas spłaty, dostanie o osiem procent mniej. To interes przynoszący straty, a nie zysk.
- Zgadza się – potwierdził Friese.
- Nie pojmuję zupełnie.
- Nikt tego nie rozumie – pokręcił głową Kessler. – Ale to jeszcze nie wszystko.

- Nie?
- Bank Hellmanna, kupując funty od Kilwooda, nie przekazał ich zaraz do banku federalnego, lecz zatrzymał!

- Zatrzymał?
- Tak jest – przytaknął Kessler.
- To przecież oznacza, że Hellmann na tych funtach stracił po dewaluacji osiem procent – nic z tego nie rozumiałem.

- Dokładnie tak to wygląda – odparł Friese.
- Dobrze, co? – cmoknął Gustaw.
- Czy wie pan, ile pieniędzy przetransferował Kilwood w funtach lub kazał wydać w formie kredytów za pośrednictwem banku Hellmanna?

- Nawet się nie domyślałem.
- Pięćset milionów marek zachodnich – oświadczył Kessler.

Naraz w wielkim biurze Brandenbura zrobiło się całkiem cicho.

Deszcz zaczął o szyby, a ja przez chwilę zapragnąłem znaleźć się u boku Angeli. Ale zaraz poczułem, jak serce bije mi coraz szybciej, i znowu zwyciężył instynkt myśliwego, znany mi od lat. To była największa sprawa, jaką kiedykolwiek w swojej karierze dostałem do rozpracowania. Pięćset milionów marek, dobry Boże!

40.

- Resztę można sobie dopowiedzieć – ciągnął Kessler, oglądając swoje piękne palce, które miał zwyczaj wylamywać w stawach. – Splajtowała brytyjska firma kooperująca z KOOD, którą Kilwood pozbawił całkiem rezerw funtowych, tak że nie była już w stanie wywiązywać się ze swoich zobowiązań.

- Czy naprawdę pan wierzy, że Kilwood zrujnował własną firmę?

– Nie wierzę, bo się jeszcze nie upewniłem. W nic, panie Lucas, nie wierzę, czego nie sprawdziłem. Firma tylko częściowo należała do niego, współpracował z nią. W taki sam lub podobny sposób ten spryciarz Kilwood zrujnował tuziny większych firm, a potem wykupywał je zawsze z masy upadłościowej. Lubił to robić. – W miarę jak mówił, coraz bardziej go nie lubiłem. Miał chyba w sobie coś takiego, co czyniło go facetem antypatycznym i trudnym do zniesienia.

– A jeśli Hellmann i Kilwood mieli jakiś plan? – spytałem.

– Ale jaki? – zainteresował się Kessler.

– Tego już nie wiem.

– My również o niczym nie mamy pojęcia – wtrącił się Friese.

– I co dalej? – chciałem wiedzieć.

– A nic! – rzucił Kessler. – Zdarzyło się tutaj coś niebywałego, czego nikt z nas nie jest w stanie pojąć. Hellmann zgodził się na transakcję kredytową, na której musiał stracić, a potem zatrzymał kupione od Kilwooda funty i nie przekazał ich w porę do banku federalnego, poniósł jeszcze jedną stratę.

– Tylko głupiec mógłby tak postąpić! – zawołałem. – Trudno się połapać, o co w tym wszystkim chodzi, ale rozumiem, że bank Hellmanna po dewaluacji poniósł podwójną stratę.

– Ale Hellmann nie był głupcem. I nie był szalony – powiedział Kessler, znów wyłamując palce. – Jednakże sam się zgubił.

– To potworne – stwierdziłem. – Nie mieści mi się w głowie.

– I nikomu z nas. Stoimy przed wielką tajemnicą – stwierdził Friese. – Jeśli ją odkryjemy, wyjaśnimy całą aferę. Ale czy kiedykolwiek dotrzemy do prawdy?

– Musimy spróbować – rzekł Kessler. – Nie zważać na nic i próbować. Faktem jest, że to Hellmann stracił na tej transakcji osiem procent, a nie bank federalny. Osiem procent z pięciuset milionów daje czterdzieści milionów marek.

– Wielki Boże – zawołałem.

– Wielki Boże, niestety – zagderał Brandenburg. – Ale nawet czterdzieści milionów nie doprowadziłyby tego banku do upadłości.

– Sprawa by jednak nabrała rozgłosu, zaczęto by się interesować, dlaczego Hellmann zaraz nie przekazał pozyskanych funtów do banku federalnego i jakby tego było mało, udzielił kredytów w tej walucie. Musiał mieć jakiś powód, i to nader tajemniczy. W Niemczech Hellmann cieszył się dużym poważaniem i miał opinię bankiera nie tylko operatywnego, ale i bardzo uczciwego. Ustaliliśmy, co potwierdzają liczni świadkowie, że ostatnio sprawiał wrażenie dość przygnębionego, udał się nawet do Cannes, aby uzyskać pomoc od Kilwooda. Gdy spotkamy się po południu, wówczas wszystkim panom dokładnie opowiem, a teraz chciałbym jeszcze z panem porozmawiać, panie Lucas – tu zwrócił się do mnie.

- Tak jest, Robercie – rzekł Brandenburg. – Życzylibyśmy sobie tego, by wyjaśnić pewne kwestie,
- Stale powtarzały się słowa *cover* i *coverage*, czyli „pokrycie” – rozpocząłem. – Jest to termin bankowy. Hellmann żądał pokrycia ośmioprocentowej straty. Żebrał, błagał – na próżno. Nie było mowy o *coverage*.
- Czy rozumie pan teraz, jaką sensacją stał się dla nas pański telegram? – spytał Friese.
- A więc to Kilwood – stwierdziłem z zaskoczeniem. – To Kilwood popchnął go ku śmierci.
- Tego nie powiedziałem – Kessler wygiął z trzaskiem palec. – Nie wiemy przecież, dlaczego Hellmann się nie zwrócił do banku federalnego. W każdym razie Kilwood odmówił mu pomocy. Może akurat nie miał pieniędzy, co jednak jest mało prawdopodobne, albo miał je zablokowane. A może nie chciał mu pomóc? W postępowaniu Hellmanna też kryje się wiele zagadek. Dlaczego na przykład udzielił kredytów? Niewykluczone, ale podkreślam: to nic pewnego, że planował z Kilwoodem jakieś szalone przedsięwzięcie, coś na ten temat obiło mi się o uszy. W każdym razie nic z tego nie wyszło i ostatecznie Kilwood odmówił Hellmannowi pokrycia, o którym pan mówił. Musiał mieć swoje powody – pomijając względy czysto ludzkie czy przyjacielskie. A więc nie będzie *coverage*, Hellmann traci zupełnie głowę. Myśli o jachcie. Nie chce, żeby to wyglądało na samobójstwo, dlatego bierze na pokład gości; był dobrym bankierem, mógł coś takiego wymyślić. Teraz wszystko będzie wskazywało na morderstwo. Opinia publiczna zupełnie inaczej by zareagowała, gdyby dowiedziała się, że bank Hellmanna popadł w tarapaty. Ale się nie dowie, bo Kilwood szybko zatuszuje całą sprawę, wpłacając stosowną sumę i działając oficjalnie wspólnie z Brylantową Hildą jako dziedziczką, w rzeczywistości – łatwej do przewidzenia – jako jedyny właściciel. Sądzę, że zawsze marzył o własnym domu bankowym.
- Też tak myślę – zgodził się Friese.
- I ja – dodał Brandenburg. Chrzękał jak świnia, bo właśnie się zakrztusił, wypluł więc popcorn do ręki i zsywał na powrót do torebki.
- A więc to Kilwood – podsumowałem rozważania.
- Dlaczego pan tak uważa? – spytał Kessler.
- Myślę, że inne osoby, które zjechały do Cannes, aby wziąć udział w uroczystym przyjęciu urodzinowym u Hellmanna, nie miały z tą sprawą nic wspólnego.
- Nie mógłbym tego niczym potwierdzić – powiedział Kessler. – A przecież oni wszyscy, gdyby chcieli, mogliby mi udzielić jakichś wskazówek, choćby dlatego, żeby się oczyścić. Byłem u wszystkich, również u tego pijaka Kilwooda.

- On pije?
- Jak szewc.
- A kiedy się upija, staje się sentymentalny. To by się zgadzało. Brutalny po trzeźwemu, rzewny po pijanemu. Pamięta pan film z Charlie Chaplinem i tym milionerem, który tam występuje?
- Mam nosa, Robercie, musisz przyznać – z satysfakcją zauważył Brandenburg. – Czy nie mówiłem ci zaraz, że to samobójstwo, a nie morderstwo? Nie mam wątpliwości, że Hellmann popełnił samobójstwo, a Viale'a zamordowano. Nie będziemy więc musieli płacić.
- Nie wiemy jeszcze dokładnie, że tak było – odparłem. – Nie mamy też tych wszystkich dowodów, na których zależy panu Kesslerowi, trzeba je dopiero zebrać.
- To po co wysyłałem cię do Cannes? – huknął nagle Brandenburg tak głośno, że wszyscy aż podskoczyli. – Pieprzę taką robotę, zobaczycie, że będę je miał! Lekko urażeni obaj panowie z ministerstwa finansów spojrzeli na siebie.
- Zrobię, co będę mógł, Gustawie – przyrzekłem. – Słuchałem uważnie tego, co mówił pan Kessler. Było to bardzo interesujące, ale parę spraw nie pasuje do siebie.
- Na przykład? – zapytał Kessler niespodziewanie ostro.
- Na przykład Hilda Hellmann powiedziała mi, że było to zbiorowe morderstwo. „Wszyscy” mieli to uczynić, chociaż nie określiła, kto.
- Niechże pan przestanie, panie Lucas – zniecierpliwził się Kessler. – Pan się za bardzo przejął Brylantową Hildą, jej miejsce jest w domu wariatów, to prawie trup.
- Taki pan pewny? – spytałem. – Naprawdę?
- Jak mam to rozumieć?
- Jest sprytna. Lacrosse'owi przedstawiła na przykład zupełnie inną wersję wydarzeń. – Tu pozwoliłem sobie na drobną uszczypliwość. – Nie zdążyłem jeszcze porozmawiać z Kilwoodem i wieloma innymi osobami. Dodam, że moje zadanie polega na czym innym niż pana, panie Kessler. I zanim nie poznam wszystkich faktów – jak właśnie pan – nie uwierzę w nic.
- Ma pan do tego słuszne prawo – rzekł urażony.
- Powitamy z radością dalsze postępy w pańskim dochodzeniu – powiedział pojednawczo Friese. – Zależy nam na tej współpracy, to wszystko.
- Mnie również – odparłem. – Jednak takie wypadki, jak zamordowanie Viale'a przed zakończeniem dochodzenia czy zniknięcie wszystkich części wraku, dowodzą niezbicie, że to nie było samobójstwo.

- Oczywiście, że Hellmann sam tego nie zrobił – upierał się przy swoim Brandenburg. – Musiał mieć pomocników. Co ci przyszło do głowy, Robercie?
- Poza tym Kilwood był także zainteresowany tym, żeby prawda nie wyszła na jaw – dodał Friese.
- Zdumiewająca sprawa – stwierdził Kessler.
- I gładko się jej nie rozwiąże – podsumował Brandenburg, udając, że próbuje nas pojednać. – Druga godzina. Jeśli chcemy coś jeszcze dostać do jedzenia, musimy się pośpieszyć. Po południu pracujemy dalej. – I podniósł się, sapiąc z wysiłku.

41.

Tego dnia pracowaliśmy do dziewiątej wieczorem. W biurze Gustawa było tyle dymu z papierosów, że pod koniec nie mieliśmy już czym oddychać. Obstawieni butelkami po piwie, siedzieliśmy bez marynarek. Omówiliśmy wszystko w najdrobniejszych szczegółach, zwłaszcza od strony finansowo-technicznej, czym nie chciałbym was zanudzać. Uczciwie powiedziawszy, po przeanalizowaniu całego systemu walutowego i finansowych operacji, przestałem cokolwiek z tego rozumieć. Uzgodniliśmy, że zaraz jutro polecę do Cannes i przyjrzę się bliżej Johnowi Kilwoodowi i reszcie. Może rzeczywiście wszystko ułoży się inaczej, może znajdzie coś, czego nie zauważył Kessler. Ten miał wyjechać jeszcze dzisiaj późnym wieczorem. Oficjalnie się nie znamy, a gdybyśmy chcieli porozmawiać, to musimy uzgodnić telefonicznie miejsce spotkania.

- Cieszę się z tej współpracy. – Na pożegnanie Kessler mocno uściśnął moją dłoń.

- Ja także – odparłem szczerze, choć nie bez obaw.

Kiedy wyszli, zostałem z Gustawem w zadymionym biurze. Sekretarkę odesłał do domu. Teraz w wielkim budynku byliśmy tylko my dwaj, strażnicy i portierzy.

- Widzisz więc, Robercie, mój przyjacielu, tak wygląda ten świat, w którym żyjemy – odezwał się Brandenburg. – Wszyscy są kłamcami, oszustami, złodziejami – bogacze, przekupni politycy i obłudni kapłani z bankiem watykańskim w odwodzie, cesarzowie i królowie, bankierzy i państwa, w których nie ściga się przestępców, a zarabia na nich. I wreszcie nasz kochany „Global”, który obłowił się dzięki moim cennym informacjom. Tak samo zresztą zdobywaliby pieniądze biedni, gdyby się im tylko pozwoliło i dało ku temu okazję. To jedyne, co nas łączy z innymi – wszyscy jesteśmy oszustami.

- My?
- Tak – sapnął Gustaw, próbując usadowić się wygodniej w fotelu – i ją, bo ciebie chronię, i ty, bo wiedziałeś, że będę ciebie chronił.
- O czym ty właściwie mówisz?
- Oszuście, podaj rękę drugiemu oszustowi – powiedział. – Najgorsze już zażegnałem, bo nie dopuściłem, żeby cię zaraz wycofali ze sprawy, co chcieli zrobić. I oszukałem ich mówiąc, że lekarz przesadził.
- Mówże wreszcie wyraźnie! – Wypowiadając te słowa, czułem, jak gdzieś ulatnia się moja odwaga.
- Mam tutaj pisemne polecenie dyrekcji, żeby cię natychmiast zwolnić z obowiązków i urlopować na czas nieokreślony, abyś mógł pomyśleć o gruntownej kuracji. Doktor Betz przesłał swój raport. Jesteś bardzo chory, Robercie.
- W ogóle nie jestem chory!
- *Claudicatio intermittens* – przeczytał zerkając w papiery. – Tak tu napisano. Doktor Betz jest dobrym lekarzem.
- A ja ci mówię, że się myli – zaoponowałem głośno, myśląc o niej. Angela, Angela! Poczulem nagle ból w lewej nodze. Angela! Musiałem do niej wrócić, nawet gdybym miał dotrzeć do Cannes na piechotę. Nic mnie nie powstrzyma, nic i nikt. – Nie zgadzam się z decyzją dyrekcji – zaprotestowałem. – I tobie nie wolno, Gustawie. Gdybyś ją akceptował, tobyś mnie cały dzień nie przygotowywał do specjalnych zadań, ale z Friesem i Kesslerem wyznaczył kogoś na moje miejsce. Błyszczały mu oczy. Zabawny facet.
- Zgoda. Zgadzam się, bo obaj jesteśmy oszustami. Wciąż jeszcze ciebie lubię najbardziej, nawet gdybyś miał zginąć marnie. Nie zgadzasz się i to tylko chciałem od ciebie usłyszeć. Ty masz swoje powody, a mi to też odpowiada, ale jeśli masz dalej pracować, należałoby jeszcze załatwić pewną drobną formalność.
- Jaką znowu formalność?
- Obserwował mnie i już pomyślałem, że ze współczuciem, gdy nagle się roześmiał w jakiś taki nieprzyjemny sposób.
- Musisz podpisać oświadczenie, nalegają. Oto ono: wyrażasz chęć do pracy, chociaż zostałeś zgodnie z przepisami upomniany, i tak dalej. Działasz na własne ryzyko, odtąd to już twoja sprawa, jeśli ci się coś przytrafi. „Global” zastrzega sobie zresztą prawo natychmiastowego odwołania, jeśli uzna to za stosowne, jeśli twój stan się pogorszy lub nie będziesz mógł sprostać stawianym wymaganiom. Wtedy musisz wrócić. Pracuj więc, ale jeśli się skończysz, nie spodziewaj się jakiegś dodatkowej zapomogi, pożyczki czy dywidendy, niczego takiego. Tyle, oszuście, mogłem dla ciebie zrobić. – Patrzył na mnie wyczekująco. – Wszystko tam jest napisane. No i co?

– A cóż by miało być? – odparłem. Noga mi chyba nie odmówi posłuszeństwa, pomyślałem, prędzej mogę spodziewać się zawału. Nogą się nie przejmuję, ale gdyby tak... wszystko jedno, koniec. Muszę wrócić do Cannes, do Angeli, i tylko o tym teraz myślę.

– Jeśli coś się stanie i umrzesz, żona otrzyma normalną emeryturę wdowy po pracowniku z długim stażem. Wiesz, ile wynosi. Jeśli zaś coś się stanie, ale jeszcze trochę pożyjesz, dostaniesz swoją emeryturę. Podpisujesz? – Bezwzględny facet z tego Brandenburga, pomyślałem.

– Daj. – Podpisałem, nie przeczytawszy ani wiersza. Bałem się, żeby nie trafić na pewne słowa. Na przykład na słowo „śmierć”.

– Czy nie kryje się za tym jakaś kobieta, hę? – Jego twarz skrzywiła się w grymasie.

– Jak na to wpadłeś?

– Kessler coś tam napomknął przed twoim przyjazdem, ale nic mnie to nie obchodzi. Moje gratulacje, życzę ci z całego serca, żebyś wreszcie zaczął korzystać z życia. Gałgan z ciebie, Robercie. – Cmoknął, spostrzegłszy mój podpis. – Ale draka, co? Teraz wszystko gra. Poczciwy Gustaw ma jednak nosa, nie uważasz? Pójdziemy na jednego?

– Nie byłem jeszcze w domu.

– Tęsknisz za Karin? – zarżał.

– Tęsknię za kąpielą.

– Kąpiesz się – od kiedy?

– Całuj mnie... – odparłem.

– To by ci odpowiadało. Kąp się grzecznie, tylko bez numerków z Karin! Poczekaj lepiej, aż znajdziesz się w Cannes. – Podsunął mi dwie koperty. – Oto twój bilet lotniczy. Lufthansa, odlot z Lohausen o dziesiątej, tym razem przez Frankfurt. Będziesz w Nicei o trzynastej pięćdziesiąt. A tu są czeki podróżne. Trzydzieści tysięcy, na razie tyle, na informacje i inne wydatki. Pamiętaj o dokładnym rozliczeniu, bo będzie mi potrzebne. Powodzenia. – Wyciągnął ku mnie bezwładną, różową dłoń z paznokciami w czarnych obwódkach.

– Nie wychodzisz jeszcze?

– Byłbym wyszedł, gdybyśmy poszli się czegoś napić – powiedział. – Ale tak, to jeszcze zostanę, mam dużo pracy i właściwie tu spiam.

– Radziłbym ci przedtem przewietrzyć.

– Zrobię to. A gdyby ci palce u nóg zaczęły błękitnieć, zadzwoń do mnie, dobrze? – rzucił na pożegnanie mój szef Gustaw Brandenburg.

Poszedłem do domu pieszo. Nie padało już, ale dął silny wiatr. Torbę podróżną zostawiłem na lotnisku. Po wielu godzinach oddychałem wreszcie świeżym powietrzem. Przechodząc koło baru, wstąpiłem, zamówiłem koniak i zgłosiłem rozmowę zamiejscową. Wybrałem Cannes i prawie natychmiast usłyszałem w słuchawce głos Angeli.

– Czekam już od tylu godzin! – powiedziała. – Dzięki Bogu! Nic się nie zdarzyło?

– A co się mogło zdarzyć? – I w tym momencie ogarnął mnie lęk, że widocznie ze mną musiało być źle, skoro zażądali takiego oświadczenia. Doktor Betz złożył pewnie jakiś poważny raport na mój temat.

– Nie wiem, wypadki chodzą po ludziach. Kiedy pan wraca?

– Jutro za dziesięć drugą jestem w Nicei. Cieszę się, Angelo, że się znów zobaczymy.

– Ja też, Robercie. Wyjadę po ciebie.

– To wspaniale.

Zapytała o coś jeszcze, ja krótko odpowiedziałem.

– Niech pan dobrze śpi, Robercie. Bardzo, bardzo się cieszę.

– I ja, Angelo.

– Niech cię Bóg ma w swojej opiece.

Dlaczego powiedziała to właśnie teraz? – zaniepokoiłem się, ale powiedziałem: – Niech i ciebie strzeże, Angelo. Dobranoc.

Odłożyłem słuchawkę, zapłaciłem i wypiliśmy swój koniak. Przez ciemność i wiatr powędrowałem dalej do domu. W aptece, do której zawsze wstępowałem, zobaczyłem światło. Przy oszklonych drzwiach stał jakiś mężczyzna, któremu przez okienko Nanita podawała właśnie lekarstwo. Miała dyżur nocny, poznała mnie i pozdrowiła skinieniem głowy. Podeszedłem do niej, kiedy została sama.

– Myślałam, że pan wyjechał – powiedziała.

– Istotnie. Jestem tu tylko na krótko, bo jutro rano znowu odlatuję.

– Więc pan jeszcze nie wie?

– Czego?

– Pani Prawos nie żyje.

– Kto nie żyje?

– Pani Prawos, pamięta pan tę starszą panią, która marzyła o pokoju w domu starców?

– Tak, teraz przypominam sobie. To ona nie żyje?

- Jest dzisiaj nekrolog, w „Bild am Sonntag”.
 - Na co umarła?
 - Podcięła sobie żyły.
 - Co?
 - Tak, podcięła żyły. Zostawiła list pożegnalny. Tylko parę słów: „Nic po starych, biednych i chorych”. Taki jest nagłówek w gazecie.
- Mały pokój w „Luisenhöhe”.
- I stara pani Prawos targnęła się na życie.
- Czterdzieści milionów marek.
- I bankier Hellmann popełnił samobójstwo.
- Czy naprawdę się zabił?
- Wszyscy tak uważają. A ja mam to udowodnić.
- To bardzo smutne – dodała Nanita.

43.

- Cztery godziny czekałam na ciebie z kolacją – oświadczyła na powitanie moja żona Karin. Ubrana była w szary szlafrok, w domu zawsze w nim chodziła. Włosy miała w nieładzie, twarz bez śladu makijażu. – Wreszcie zjadłam sama. Jeśli chcesz, coś ci odgrzeję...
 - Nie jestem głodny.
 - Mogłeś zadzwonić.
 - Byłem bardzo zajęty – odpowiedziałem, krążąc po pokoju i przypatrując się moim książkom, sycylijskiemu konikowi i słoniom, oglądając witrynę z różnymi bibelotami, które zwoziłem z całego świata. W kieszeni czułem słonia Angeli. Wydawało mi się, że od lat tutaj nie byłem. Wszystko stało się dla mnie obce i obojętne. Podszedłem do barku i przygotowałem sobie dużą whisky.
 - Napijesz się?
 - Nie – odparła. – Masz nowe ubranie. I nowe buty. I krawat.
 - W Cannes jest bardzo gorąco, musiałem więc kupić parę rzeczy.
 - Oczywiście. Bardzo piękny jest ten krawat, pasuje świetnie do ubrania.
- Sam go doбираłeś?
- Tak.
 - Jakby inaczej – powiedziała z przekąsem. – A kiedy znowu odlatujesz?
 - Jutro, ale wezmę taksówkę, możesz spokojnie spać. Wyjdę wcześniej, sam sobie zrobię herbatę i już dzisiaj powiem ci do widzenia.

– Jeśli chodzi o mnie, to w ogóle nie musisz się ze mną żegnać. Jak się nazywa?

– Kto?

– Kto? Kto? – przedrzeźniała mnie. – Nie jestem idiotką! Sam byś nigdy takiego krawata nie wymyślił. Ani ubrania. Ani butów. Znam przecież twój okropny gust.

– Nikogo nie było – skłamałem. – Sam wszystko wybrałem.

To podłe, co robisz, stary, powtarzałem w myślach. Co znaczy podłe? Za dwa lata będziesz miał pięćdziesiątkę i kiepskie zdrowie, nawet bardzo. *Claudicatio intermittens*. No, cóż, przełknij tę pigułkę. Smakuje gorzko, ale musisz ją przełknąć. Będziesz kulał coraz częściej. Ile ci jeszcze zostało czasu do amputacji stopy? Potem będziesz kaleką. Serce masz też chore. Pielęgnować będzie cię Karin. Zostało ci bardzo mało czasu, przyjacielu, bardzo mało. *So little time, my friend*. Przez całe życie tylko harowałeś, a teraz nagle dowiedziałeś się, co to jest miłość. Po raz pierwszy w życiu naprawdę kochasz. Po raz pierwszy w życiu jesteś szczęśliwy. Każdy człowiek ma prawo do szczęścia. Tak, pomyślałem, to prawda – ale szczęście kosztem drugiego? Szczęście kosztem Karin? – Przestańmy się kłócić – usłyszałem swój głos. – Przynajmniej przez te kilka godzin, kiedy tu jestem.

– Tak naprawdę to cię tu nie ma – odparła. – W rzeczywistości jesteś u niej, u tej drugiej.

– Powiedziałem ci, że nie ma drugiej.

– Mów, co chcesz. Idę spać i nie budź mnie tak wcześnie. Źle ostatnio sypiam, muszę wziąć jakąś tabletkę. – Nie spojrzawszy nawet na mnie, wycofała się do łazienki.

Usiadłem przed telewizorem i zaraz przypomniały mi się cztery telewizory Angeli. Patrzyłem na jakąś komedię, ale nic do mnie nie docierało. Koło jedenastej poszedłem do łazienki. W sypialni Karin było ciemno i nie dochodził stamtąd żaden szmer. Wziąłem długą i gorącą kąpiel. Obejrzałem dokładnie palce stóp, nie były wcale sine. Nie wycierając się, do łóżka pomaszerowałem mokry i nagi, a kiedy się położyłem, nastawiłem budzik na siódmą. Zgasilem światło i natychmiast zasnąłem.

Na sygnał budzika obudziłem się wypoczęty, zrobiłem sobie herbatę i przejrzałem poranną gazetę, która informowała o tajemniczej katastrofie jachtu i śmierci Hellmanna. Ostatnia strona była cała zadrukowana nekrologami, największy podpisała Hilda, oplakująca śmierć swego „kochanego, niezapomnianego brata”. Kondolencje składali: dom bankowy, izba przemysłowo-handlowa oraz kilka spółek, w których zarządzie zasiadał. Sensacją było nadal uwolnienie funta i spodziewana ośmioprocentowa dewaluacja.

Ubrałem się i zamówiłem taksówkę. Przy drzwiach do sypialni Karin nasłuchiwałem chwilę. Chrapała teraz cicho i regularnie.

Wychodząc z mieszkania, ostrożnie zamknąłem drzwi i zjechałem windą. Wiatr rozpędził chmury. Było chłodno i słonecznie. Nadjechała taksówka.

– Lotnisko – rzuciłem krótko.

– Nareszcie piękny dzień, co? – powitał mnie kierowca. Jechaliśmy bardzo szybko przez miasto. Düsseldorf, który tak dobrze znałem, wydał mi się nagle obcy, jakbym nigdy w nim nie mieszkał. Cały drżałem na myśl, że wkrótce zobaczę Angelę, wszystko się we mnie radowało. Życie wypełnione obowiązkami. Za dwa lata pięćdziesiątka, czyli żegnaj, nadziejo! I oto... i oto... wydawało mi się, jakbym zdążył do bram rajów.

Tylko przez moment poczułem się niewyraźnie, kiedy przypomniałem sobie cztery zaledwie zdania, które poprzedniego wieczora zamieniłem z Angelą... Gnębiło mnie to tak bardzo, że starałem się o tym nie myśleć, odsunąć od siebie te cztery zdania jak najdalej.

Angela spytała:

– Robercie, jest pan żonaty?

Odpowiedziałem:

– Nie, nie jestem.

– Jak to dobrze – rzekła.

– Tak – odparłem – prawda?

KSIĘGA DRUGA

1.

Na tarasie portu lotniczego czekało tym razem wiele osób, ale Angelę dostrzegłem natychmiast. Jej rude włosy płonęły w słońcu. I ona musiała mnie zobaczyć, gdyż obie ręce wyrzuciła w górę i machała w moją stronę. Stałem przed autobusem, podstawionym do samolotu, i obydwoma rękami witałem ją także, a jednocześnie myślałem: oczywiście, że powiem jej prawdę. Muszę jej powiedzieć, ale nie zaraz. Później, gdy się na tyle zbliżymy do siebie, że Angela nie zakończy naszej znajomości, jeszcze prawdziwie nie zaczętej, wtedy dopiero powiem, gdy będzie przygotowana, by wspólnie ze mną szukać jakiegoś wyjścia. Muszę więc ją teraz przez jakiś czas okłamywać, w obawie żeby jej nie stracić. Byłby to dla mnie prawdziwy cios. Mam zamiar rzeczywiście przestać palić, żeby nie pogorszyć stanu zdrowia. Ale już przecież ją okłamałeś, przestrzegał mnie wewnętrzny głos, gdy wchodziłem do autobusu. To kłamstwo stoi teraz pomiędzy wami. Dobrze, zgodziłem się, dobrze. Ale po tym wszystkim, co przeżyła, nie mogłem przecież jej powiedzieć o mojej żonie. Zrozumie mnie, przekonywałem się, zrozumie wszystko i przebaczy.

Autobus tymczasem szybko zbliżał się do budynków portu lotniczego. I znowu było inne światło wokół mnie, upał, błyszczące morze, kwiaty, palmy i pogodni ludzie. Oto wróciłeś do siebie, zrozumiałem, wreszcie wróciłeś do domu. Tylko tu, przy Angeli, jest twój dom.

W hali zaczęliśmy ku sobie biec, biec coraz szybciej. Zderzałem się z ludźmi i potykałem, wciąż jednak biegłem i wreszcie byłem przy niej, przy mojej Angeli, i rozpostarłem ramiona, gotowy przygarnąć ją całą, ona już także uniosła swoje, gdy nagle stało się coś osobliwego. Ogarnęło nas zakłopotanie, opadły nam ręce i patrzyliśmy tylko na siebie.

- Angelo – powitałem ją – Angelo.
- Wreszcie, Robercie – odparła – wreszcie. Cieszę się, że pan tu znowu jest. Jakże się cieszę.

– I ja. Liczyłem każdą godzinę, każdą minutę i sekundę. – Chłodną dłonią zakryła mi usta.

– Nie. Słowa mogą wszystko zniszczyć.

Złożyłem pocałunek na jej dłoni, którą szybko cofnęła.

Znowu siedziała przy kierownicy, a ja obok niej. Wóz miał odsuwany dach, teraz otwarty. Włosy rozwiewał nam wiatr, a Angela, ubrana w niebieski kostium ze spodniami i niebieskie pantofle, wydała mi się jeszcze piękniejsza. Siedziałem milczący i wpatrzony w nią. Jechaliśmy do Cannes wzdłuż morza, a pod lusterkiem wstecznym kołysał się stary, brzydki, mały miś, którego kupiłem od dziewczyny z „Felixa”. Osioł, którego podarowała mi Angela, został w moim apartamencie. Jechała bardzo szybko i pewnie, nie rozmawialiśmy z sobą. Raz tylko zdjęła rękę z kierownicy i uściśniła moją.

Nie zawiozła mnie do „Majesticu”.

– Dokąd jedziemy?

– Do Trabaudów jesteśmy zaproszeni dopiero na ósmą – zauważyła. – Mamy trochę czasu.

– Tak, ale dokąd...

– Pst... – Po przejechaniu kilku krętych uliczek w dzielnicy La Californie wydostała się na długą, szeroką i prostą drogę. Domy były tu stare, zrujnowane i brzydkie, a drewniane parkany między nimi oblepione postrzępionymi plakatami. Przed małymi barami stały na wolnym powietrzu krzesła i stoliki, a wejścia dekorowały markizy. Domy coraz bardziej zmniejszały się i brzydły. Potem pojawiło się pole z prawdziwym morzem rozkołysanych czerwienią kwiatów, ale nie były to maki.

Nagle Angela skręciła z autostrady i skierowała samochód do zupełnie zdziczałego, wielkiego ogrodu. Brama wyrwana była z zawiasów i pokryta rdzą. Ziemia kamienista. W zielsku, chyba metrowym, rosły anemony i złocienie. Zauważyłem parę niezgrabnie okopanych grządek z warzywami. Zaparkowaliśmy pod starymi drzewami, które rosły kołem na piaszczystym gruncie, a ich korzenie wystawały z ziemi i utrudniały jazdę. Dopiero gdy wysiadłem, zobaczyłem, gdzie byliśmy. Na wprost miałem małe kościółek, żółto pomalowany i zbudowany w jakimś obcym dla mnie stylu. Dzwonnica z otwartym belkowaniem odsłaniała dzwon. Wieżę kościółka zwieńczała lazurowa, cebulasta kopuła z wymalowanymi białymi gwiazdami. Na samym szczycie lśnił krzyż z trzema poprzeczkami, górna była krótsza, dolna ukośna.

– Oto on – powiedziała Angela – oto mój kościół. Mówiłam przecież panu, że zawsze chciałam odszukać kapłana, który mnie owej nocy pocieszał. Powiedziałam, że dopiero wtedy przyjadę, kiedy... – urwała.

– Kiedy co?

– Proszę za mną, Robercie – usłyszałem tylko, a ona szła już przodem w stronę brązowych drzwi. Widoczne było na nich białe „P” z bardzo długą kreską pionową i skrzyżowanymi dwiema innymi kreskami. Frontowe drzwi kościoła były jednak zamknięte, a w pobliżu nikogo. Zawołałem głośno, nikt nie odpowiedział. Stałiśmy niezdecydowani. Obok wejścia, w rosłej trawie, tkwiła na dwóch deszczułkach tablica z wieloma ogłoszeniami. Wszystkie były pisane cyrylicą i niczego się nie doczytaliśmy.

– W głębi jest jeszcze dom – zauważyła Angela. – Może znajdziemy kogoś, kto będzie wiedział, gdzie jest ksiądz.

Dom okalał gąszcz chwastów, z trudem przedzieraliśmy się przez wysoką trawę. Był w ruinie, wiele okien zabito deskami. I w nim zastaliśmy drzwi zamknięte. Zastukaliśmy. Nic. Angela zajrzała do okna na parterze, które, jak wszystkie zresztą, było bardzo brudne.

– Ktoś tam jest – stwierdziła. – Jakaś kobieta. – Pomachała jej, dając znak, żeby wyszła. Potrwało, nim zdecydowała się spotkać z nami. Sprawiała wrażenie umysłowo chorej. Była odziana w szary, podarty kitel, miała włosy w strąkach, a w oczach obłęd i strach, przede wszystkim strach. Ręce jej ciągle drżały. Przyglądała się nam i zawstydziłem się, że ją tak przestraszyliśmy. Może jednak nie zawsze tak wyglądała.

– Chcielibyśmy porozmawiać z księdzem – pierwsza przemówiła Angela.

– Hę? – kobieta nie miała ani jednego zęba.

– Chcielibyśmy...

– Nie rozumiem po francusku – głos owej kobiety był łamliwy i ochrypły. – Czy mówią państwo po rosyjsku? Po niemiecku?

– Chodzi o księdza – Angela przeszła na niemiecki.

– Gdzie jest? – dodałem.

– A tam. – I stara podniosła rękę.

Ze zdziczałego ogrodu wyjeżdżał właśnie na motorowerze młody mężczyzna w długim habicie. Włosy sięgały mu do ramion. Na bagażniku miał wielki kosz z jarzynami.

– Przewielebność sprzedaje nasze warzywa – wyjaśniła stara. Młody duchowny zatoczył efektowne koło i z warkotem zniknął. – Jesteśmy tylko małą, biedną gminą.

Angela zerknęła na mnie i pokazała mi wzrokiem odsłonięte lewe przedramię starej. Jej podziurawiony kitel miał krótkie rękawy i na wewnętrznej stronie przedramienia dostrzec można było wyblakłe wprawdzie, ale czytelne jeszcze dobrze literę i długi rząd cyfr...

- Kościół jest zamknięty – stwierdziła z żalem Angela.
- Msza dopiero o ósmej – odparła stara. – Przyjdą państwo?
- O ósmej nie mamy czasu.
- Nikt nie ma czasu – zauważyła stara kobieta z numerem obozowym na ręce. – Mało dziś ludzi przychodzi.
- Czy mogłaby nam pani otworzyć kościół? Chcielibyśmy go zobaczyć od środka.

– Chętnie – zgodziła się zaraz staruszka. Odeszła i wróciła z pękiem kluczy, kierując się pierwsza ku portalowi kościoła. Bardzo kulała, dostrzegłem, że nosiła ortopedyczne buty. Drzwi świątyni otworzyła bezszelestnie. – Zaczekam i potem zamknę – oświadczyła. – I tak zresztą muszę się pomodlić, bo dzisiaj nie robiłam tego jeszcze. Popęłam ciężki grzech, który obciąża moją duszę.

Zastanawiałem się, jaki mógł to być grzech. Idąc przodem wprowadziła nas do wnętrza kościoła. Ogarnęły nas mrok i cisza. Nie było tu ławek, lecz tylko krzesła, chybotliwe i różnorakie, w tuzinie krótkich rzędów. Na wszystkich ścianach wisiały najznakomitsze ikony, wielkie i małe, kolorowe i ciemne. Kościół krył prawdziwy skarb. Ikony spoglądały na nas wizerunkami Matki Boskiej. Jedne wyklepane były z metalu, inne malowane pod szkłem lub bez niego. Stara kobieta podeszła do przodu, pod samą ścianę ikon, i niezgrabnie uklękła. Zapomniała o nas. Zatrzymaliśmy się przed wielką czarną ikoną z metalu przedstawiającą Matkę Boską pochylającą się nad swym dzieciątkiem, które trzymała na kolanach. Przed obrazem stał świecznik, cofnęliśmy się więc do kruchty, gdzie w pudle leżały świece. Wisiała nad nim skrzynka z francuskim napisem: NA NASZ KOŚCIÓŁ. Wetknąłem do niej pięćdziesięciofrankowy banknot, wzięliśmy dwie długie, cienkie świece i wróciliśmy do czarnej Madonny. Okazałem się mało zręczny, ale Angeli udało się je umocować w świeczniku i mogłem je zapalić.

Angela usiadła przed obrazem na twardym, starym krześle, a ja obok wpatrzony w nią. Ręce złożyła na kolanach i poruszała bezgłośnie wargami jak dziecko. Pomyślałem, że powinienem się teraz także pomodlić. Spróbowałem, ale nic z tego nie wyszło. Siedziałem więc i patrzyłem to na Angelę, to na Madonnę rozświetloną blaskiem świec. Widziałem, jak mija nas stara kobieta, kierując się ku wyjściu. Angela zdawała się nic nie dostrzegać, wpatrzona nieruchomo w płomień świec. Tylko wargi jej wciąż się jeszcze poruszały. Wstała nagle i spojrzała na mnie, jakby wróciła z dalekiej podróży. W tym samym momencie ruszyliśmy ku wyjściu, gdzie czekała na nas staruszka, aby zamknąć drzwi. Chciałem jej wręczyć pieniądze, ale zareagowała gwałtownie. I nie dała się przekonać.

- Jeśli chce pan coś ofiarować, proszę do skrzynki.
- Już to zrobiłem – powiedziałem.

– Wystarczy. – Staruszka znowu nam się przyglądała. Strach wyniesiony z obozu na zawsze pozostał w jej oczach. – Jesteście państwo bardzo mili, Bóg kocha takich ludzi. Przybывajcie w szczęściu, ale przede wszystkim wtedy, kiedy jesteście pełni trosk. Bóg wam pomoże, zawsze. Po swojemu oczywiście. Może nie potraficie ogarnąć Jego pomocy, pojąć jej teraz, ale On naprawdę nam pomaga. Gdyby nie On i Jego dobroć, od wieków nie byłoby tej ziemi. Życzę państwu przyjemnego dnia, pani i panu.

– Dziękuję – rzekła Angela.

Przez zdziczały ogród wróciliśmy do wozu, pozostawionego w cieniu, a teraz obsypanego pyłem kwiatowym z jakiegoś drzewa. Spojrzeliśmy za siebie. Stara kobieta zamykała właśnie wejściowe drzwi.

– Od tej pory będzie to nie tylko mój kościół, Robercie, ale i twój.

– Wiem – zgodziłem się. – Chciałbym mieć taką czarną ikonę.

– Będziemy tu wracać i patrzeć na nią – postanowiła Angela.

W wozie zrobiło się bardzo gorąco. W naszym kościele panował chłód.

2.

Ulicą Croisette wracaliśmy pod górę do „Majestica”. Kiedy w apartamencie brałem szybko prysznic i nakładałem lniane spodnie, koszulę i pantofle, Angela czekała na tarasie, w naszym kąciку. Zanim podjechałem windą do siebie, zamówiłem szampana i kiedy teraz wracałem, kelner odkorkowywał właśnie butelkę. Piliśmy w godzinie aperitif, taras zapełniał się znowu, a przez Croisette płynęły strumieniami auta. Angela paliła, ja nie, przyrzekłem to sobie. Chciałem żyć długo u jej boku, nie chciałem chorować i umierać. Wyjąłem z kieszeni słonia, zabranego z mej kolekcji w Düsseldorfie, i postawiłem go przed Angielą.

– Robercie!

– Od pani dostałem taki sam prezent.

Długo oglądała słonia ze wszystkich stron.

– Piękny – stwierdziła z przekonaniem. – Dziękuję panu.

– Teraz oboje mamy coś od siebie – zauważyłem.

– Mam jeszcze pańskiego niedźwiadka, a pan mojego osiołka.

– Pani ma mnie – spoważniałem. – Jeśli pani zechce, więc proszę, Angelo, chciej! – Piłka rozbawionego dziecka przy turlała się do moich butów. Schyliłem się i podrzuciłem ją chłopcu. Był to mały Japończyk. – Chciałbym pani wszystko opowiedzieć...

– Powoli – rzekła Angela.

– Zgoda, powoli. Ale o tym musi się pani zaraz dowiedzieć. Kiedy tu przyjechałem i jeszcze pani nie znałem, miałem tak dość życia, że postanowiłem się przede wszystkim rozejrzeć za jakąś dobrą trucizną, na wypadek gdybym się nagle zdecydował na samobójstwo.

Skinęła głową.

– Cóż to?

– Mniej więcej to samo przyszło mi do głowy, Robercie, kiedy pana zobaczyłam.

– Co?

– Że oto przyszedł ktoś, kto był u kresu sił, półtora nieszczęścia. Żał mi było pana. Był pan taki wykończony...

– Czy dlatego zaproponowała mi pani wycieczkę na zakupy?

– Tak – przyznała uczciwie. – Pomyślałam, że może będę mogła panu pomóc.

– I pomogła mi pani niebywale, pani o tym wie.

– Dzisiaj już pan nie myśli o truciznie.

– Dzisiaj? Pani wie, Angelo, czego teraz pragnę.

Piła szampana, przenosząc całą swoją uwagę na kieliszek.

– Pytał mnie pan, kiedy się wybiorę do tego kościoła, do naszego kościoła.

– Pytałem. No i...?

– Zdecydowałam się iść dopiero wtedy, kiedy będę szczęśliwa, bez reszty szczęśliwa.

Serce zabiło mi nagle tak głośno, że przez moment aż się przeraziłem. Zorientowałem się jednak szybko, że nie było to nic groźnego.

– Czy jest pani teraz szczęśliwa?

Patrzyła na mnie tymi dziwnie smutnymi oczyma i potwierdziła skinieniem.

– A powód, Angelo?

– Wydostałam się z więzienia własnych wspomnień.

Nieustannie i prawie bezszelestnie przesuwają się po Croisette auta. Ktoś głośno zaśmiał się na tarasie. Na morzu czatowały dwa amerykańskie niszczyciele.

– Już pani pozbyła się nienawiści? Smutku?

– Wszystkiego – odparła Angela. – A sprawił to pan, Robercie. Dziękuję.

Nasze oczy na krótko spotkały się ze sobą, a potem oboje spojrzeliśmy na morze. Było zupełnie gładkie i spokojne, a okręty wyglądały jak dwie szare plamy. Ogromnych numerów na dziobach już gołym okiem nie można było odczytać.

3.

– Prawdę powiedziawszy, żyjemy w ciągłym strachu, że nas zabiją – powiedziała Melina Tenedos, żona greckiego armatora, drobnej postury i piękna jak lalka. Mówiła też jak lalka, którą ktoś nakręcił. Ubrana była w suknię z czerwonego jedwabnego brokatu, głęboko wydekoltowaną, dołem plisowaną. Mąż jej był krępy i na pewno o trzydzieści lat od niej starszy. Wielki, czarnowłosy i ciemnoskóry, nosił grube szkła w czarnej, rogowej oprawie. – Szefer naszej służby ma na imię Vittorio i pochodzi z Elby. Jest maoistą.

– Bardzo niebezpiecznym maoistą – dodał jej mąż. Oskubywał karczocha, zanurzał pojedyncze listki w sosie vinaigrette i oblizywał je. Robił to w sposób wyjątkowo nieapetyczny, jadł jeszcze gorzej niż mój Brandenburg. – Ów Vittorio nie cofnie się przed niczym – Tenedos był już cały zaśliniony.

– Podburza ludzi – szczebiotała. – Już nieraz przyłapałam go na tym, jak wygłaszał te swoje przemówienia, te komunistyczne agitki. Pani wie, madame Traubaud, że nasz dom, tu w Cannes, jest tak samo duży jak ten. I wie pani, dlaczego nie wydajemy już przyjęć.

– Wiem – odparła smukła Pasquale Traubaud.

– Ale ja nie wiem – wtrąciłem się. – Dlaczego?

– Po prostu, żeby nie prowokować służby, monsieur Lucas. Gdyby nasi pracownicy, tak nieustannie podburzani przez Vittoria, mieli jeszcze przygotowywać tego rodzaju jedzenie i podawać je, a mamy tu, niestety, tylko złożone serwisy i sztuce, nie wiem, czy nie doszłoby do otwartej rebelii. Athanasios śpi zawsze z odbezpieczonym pistoletem na nocnym stoliku.

– Muszę – warknął wymieniony, cmokając i wycierając tłuste usta wierzchem dłoni, po czym zanurzył w sosie kolejny liść karczocha i oblizywał go. – Nie to, co w Grecji. Tam spokój i porządek. Tutejsi pracownicy to jedna wielka zgraja przestępców. Na wskroś zarażeni maoizmem. – Poczulem jak Angela trąca mnie czubkiem buta. Jej twarz, zwrócona ku Grekowi, wyrażała bezgraniczne zainteresowanie. – Mówię zawsze, że ktoś taki u nas dawno siedziałby na wyspie. Czy uwierzą państwo, że biżuterię żony, tu w Cannes, trzymam tylko w sejfie i że żona nałożyła ją dopiero w drodze do państwa? Woli, żeby służba nie widziała jej kosztowności.

– Nawet pan sobie nie wyobraża, jak nikczemni potrafią być ci ludzie, a przecież mają się u nas dobrze. – Melina zatrzepotała doklejonymi rzęsami. Biżuterią była dosłownie objuczona. Kierowca musiał chyba wybrać okreśną drogę,

żeby zdążyła się uporać z założeniem wszystkich błyskotek.

– Może pani przecież zmienić personel – zauważyłem.

– Nie zna pan tutejszych stosunków, monsieur Lucas – włączył się Athanasios Tenedos. – wszyscy są tacy sami. Wszyscy czerwoni. Ubieramy się w domu w byle co, jemy skromnie, żeby tylko Vittorio nie buntował służby. I tak robi swoje. Jestem przekonany, że kiedy jesteśmy w Atenach, próbuje rozszyfrować kombinację sejfów. Może długo próbować. System jest specjalny, wyłącznie przeznaczony dla Cannes – zasapał się i zaśmiał złośliwie, a z ust wypadł mu kawałek karczocha.

– Robimy wszystko, by nie rozdrażniać Vittoria i, reszty pracowników – powiedziała Melina. – Już nawet zaprosiliśmy go do wspólnego stołu. Wie pan, co powiedział?

– Co? – pytanie podchwyciła Pasquale Trabaud. Widziałem, jak siliła się na powagę, ale byłem pewien, że przynajmniej Trabaudowie i Sargantanowie bawili się szczerze tą historią.

– Odmówił z bezgraniczną pychą – zawołała z oburzeniem Melina Tenedos.

– I lodowato – dodał jej mąż.

– No właśnie – paplała dalej – gdy więc mamy ochotę na coś lepszego, jemy i pijemy po kryjomu. Jeśli mamy ochotę na kawior lub szampana – nie uwierzycie państwo! – musimy późną nocą odsuwać fortepian w salonie.

– A po cóż fortepian? – osłupiałem.

– Stoi za nim segment z książkami, który daje się obracać. Za półką ukryliśmy lodówkę, mamy w niej kawior, szampan i tym podobne rzeczy – opowiadała. – Kazaliśmy w tajemnicy zbudować skrytkę, gdy służba była na urlopie. – Której, naturalnie, nie udało się jeszcze wyniuchać, pomyślałem. – Z lodówki w kuchni nie moglibyśmy korzystać, bo usłyszeli by nas. Ale i tak czekamy, dopóki wszyscy nie zasną. Czy to normalne? – Pomyślałem, że o ludziach nie powinno się mówić w tak jednoznaczny sposób. Nie należy przeceniać w nich dobra ani zła. – Vittorio zna niemiecki, czyta niemieckie gazety. I wie pan, co jeszcze? „SPIEGLA”! – zawołała.

– Co to jest? – wtrąciła się Maria Sargantana, która w przeciwieństwie do swego męża była bardzo korpulentna, jasnoskóra i wesola, a przy stole obnosiła się jak królowa matka. Tego wieczora wystroiła się w jedwabną princeskę w kolorze szampana, zapiętą pod szyję i bogato haftowaną na górze.

– Niemiecki magazyn informacyjny – objaśniłem.

– Maoistyczny, prawda? – zapytała pani Melina.

– Oczywiście, że tak – poparł żonę Tenedos. Uporał się już z karczochem i teraz upierścienione i czarno owłosione dłonie zanurzał w miseczce z wodą. –

Niech pan nie zaprzecza, monsieur Lucas, w Grecji wiedzą dokładnie! „SPIEGEL” popiera Brandta, prawda?

– Nie zawsze – odparłem. – I niekoniecznie.

– Daj pan spokój, czytam także „SPIEGLA” – obruszył się Tenedos. – Orientujemy się dokładnie. A kim jest ten pan Brandt, co?

– Socjaldemokratą – odpowiedziałem.

– A więc komunistą – uzupełniła szybko dziecięcym głosikiem jego filigranowa żona. – Wszyscy socjaldemokraci są komunistami, wiemy to z doświadczenia we własnym kraju. Komunistami i maoistami. Jak Vittorio.

Tenedos zakończył ostatnie zmagania z karczochem. Milcząca służba w bieli sprzątała talerze i stawiała nowe, zaczynając podawanie kolacji. Przy stole siedziało trzynaście osób, z przewagą mężczyzn.

– Czy pan jest również maoistą, monsieur Lucas? – spytała pani Tenedos z kokieterią w oczach.

– Nie, madame.

– A kim pan jest?

Nie udało mi się odpowiedzieć. W tym samym bowiem momencie John Kilwood, siedzący naprzeciwko mnie po przekątnej, wybuchnął płaczem. Płakał i szlochał, wsparł głowę rękami i łzy spływały mu na smoking. Zerwała się Pasquale Trabaud i podbiegła do niego, obejmując ramieniem Amerykanina, który wedle ustaleń rewidenta podatkowego Kesslera posiadał majątek wartości blisko miliarda dolarów i, jak wszystko wskazywało, doprowadził bankiera Herberta Hellmanna do samobójstwa.

Konwersacja urwała się. Wszyscy patrzyli z zakłopotaniem na Kilwooda, który szlochał i lamentował jak dziecko, podczas gdy Pasquale cicho go uspokajała. Potrząsał tylko głową i łkał dalej.

– To częste u niego – stwierdziła Bianca Fabiani, krągła piękność, moja sąsiadka po lewej ręce.

– Bierze się z pijaństwa – skomentował głośno Malcolm Thorwell, Anglik, siedzący znacznie dalej. – John nigdy nie jest trzeźwy, pije od rana. Do diabła, John, niech się pan opanuje! – zawołał.

Jednakże Kilwood płakał dalej.

– Winny... winny... jak ja jestem winny – bełkotał.

– Niech pan się zamknie – ponownie upomniał go Thorwell.

– Z nim naprawdę jest źle – zauważył trzydziestopięcioletni Paul Seeberg, generalny pełnomocnik domu bankowego Hellmanna, który tak świetnie się prezentował. Tylko oczy miał bezwzględne i zimne, jak wszyscy mężczyźni tutaj, z wyjątkiem Claude'a Trabauda. – Powinien się wreszcie zdecydować na kurację odwykową.

- Stale jakąś przeprowadza – oznajmiła Melina Tenedos.
- Wszystkie do niczego. Tuzin razy mu mówiłem, że powinien pojechać do Wiednia. Jest tam instytut, w którym prowadzą najskuteczniejsze odwyki w Europie, ale John nie pojedzie, wiadomo, że nie.
- Wina, którą wziąłem na siebie... – jękał się Kilwood, z twarzą ukrytą w dłoniach.
- Jest pan kompletnie pijany, niechże więc pan pozwoli odwieźć się do domu i nie marnuje nam wieczoru – zareagował gwałtownie Giacomo Fabiani. Bardzo silny, miał brutalną twarz, z bardzo obwisłymi wargami: – To już nie do zniesienia, John!
- Wybaczcie, przyjaciele, wybaczcie mi – bełkotał Kilwood. Przychodził już trochę do siebie.

Służący usługiwali z nieporuszonymi twarzami. Szczodrze rozstawione na stole świece w wielkich lichtarzach paliły się spokojnie, dając łagodne światło. Wszyscy panowie byli w smokingach. Angela, siedząca obok mnie, wybrała na wieczór białą, kontrastującą z jej opalenizną muślinową sukienkę, z góry do dołu zdobioną poprzecznymi zakładkami, głęboko wydekoltowaną na plecach i odsłaniającą także ramiona. Koniec dekoltu spinała kokarda haftowana perłami i strasami, spod której wypływał rodzaj żagla z białego muślinu, jak suknia sięgający ziemi i rozwiewający się przy chodzeniu. Stroju dopełniały srebrne pantofle, srebrna wieczorowa torebka i wyłącznie biała biżuteria – brylantowa kolia, wraz z odpowiednim pierścionkiem, bransoletą i kolczykami. Rude włosy miękką falą opadały jej na wysokie czoło. Powieki z długimi rzęsami podkreśliła turkusem, usta lekko pociągnęła szminką.

Tak więc o dwudziestej pierwszej trzydzięci kolacja u Trabaudów trwała w najlepsze, a wszystko, co się zebrało tutaj wokół okrągłego stołu, jak sobie pomyślałem, warte być musiało z pewnością od trzech od pięciu miliardów dolarów. Zorientowałem się również, że panowie mieli o wiele młodsze żony i że Angela piękniej chyba nigdy nie wyglądała. I stwierdziłem w końcu, że ów krąg starych przyjaciół, który tu się zebrał przy wspólnym stole, był – jak to z dotychczasowych rozmów z nimi wynikało – nieufny wobec siebie, podszyty strachem, kontrolujący każdy swój gest i każdą minę przed drugą osobą. Gdyż tu, jak sobie uświadomiłem, w tym dostojnym gronie, każdy podejrzewał swojego sąsiada o to, że kazał zamordować bankiera Herberta Hellmanna.

Podano langusty z rusztu.

4.

Przyszliśmy z Angielą pół godziny wcześniej, o co prosiła Pasquale. („Aby trochę poplotkować, zanim zjawi się to całe towarzystwo”). Trabaudowie zajmowali duży dom w dzielnicy Eden, we wschodniej części Cannes. Położony na tyłach ogromnego ogrodu, z białą fasadą, zbudowany został, jak mi powiedziano, przed piętnastu laty. Miał wielki taras z widokiem na morze i obszerne, klimatyzowane pomieszczenia, których ściany zakryte były ogromnymi gobelinami. Dom był nowoczesny, urządzone drogimi meblami. Na wszystkich podłogach leżały wielkie, najczęściej jasne dywany. Sprawiał wrażenie zamieszkałego i natychmiast każdy czuł się w nim dobrze. Naturalnie nie było mowy o nieporządku czy niechlujstwie, pokoje lśniły czystością, ale przecież to tu, to tam, ktoś zostawiał gazetę, książkę lub fajkę, a cairn-terrier ze zmierzwioną sierścią biegał swobodnie po całym domu.

Na powitanie Pasquale Trabaud i Angeli rzuciły się sobie w objęcia i ucałowały. Pasquale była smukłą, piękną kobietą o wrażliwej, zmysłowej twarzy. Śmiała się chętnie i dużo.

– Jesteśmy naprawdę przyjaciółkami, monsieur Lucas. Niektórzy uważają nas za siostry. – Pasquale miała również rude włosy. Jej mąż, dobiegający sześćdziesiątki (gdy ona najwyżej mogła mieć czterdzieści lat), wyglądał sportowo, energicznie i młodziej, niżby na to wskazywały jego lata. Był wysoki, postawny, silny i opalony tak jak inni, ciemne włosy zaczesywał do tyłu. Poczęstowano nas na tarasie drinkiem, wszyscy z wyjątkiem mnie palili. Chciałem przecież być zdrowszy, najdłużej jak tylko będzie można – dla Angeli, która, jak zauważyłem, zachowywała się swobodnie i naturalnie, skromnie i zarazem z wielką pewnością siebie, na co moja żona nigdy nie potrafiła się zdobyć. Karin musiała zawsze brylować, dokądkolwiek byśmy nie szli. Nie miałem ochoty o tym myśleć. Z pomocą przyszła mi Pasquale, która przywołała mnie właśnie do porządku: – Czy pan nie słucha, monsieur Lucas?

– Proszę wybaczyć...

– Powiedziałaś, że pan jest sympatyczny. Bardzo sympatyczny. Tworzyście z Angielą idealną parę. Pan jest zakochany, to widać od razu.

– Tak – zgodziłem się – jestem bardzo zakochany.

– Niech pan trochę zaczeka. Niech pan będzie cierpliwy. Przyjdzie czas, że i Angeli zakocha się w panu. Mam zresztą wrażenie, że prawie to uczyniła.

- Naprawdę, Pasquale – zaprotestowała Angela.
- Tak skarbie, i po tobie to widać, i po nim. Ach, jakbym się cieszyła. Nie możesz przecież wiecznie sama prowadzić takiego cygańskiego życia.
- Madame – zwróciłem się do Pasquale – dziękuję pani. Jeśli zechce być pani moją sojuszniczką, spełnię pani każde życzenie, o ile tylko będę w stanie.
- Pan jest szalony – obruszyła się Pasquale. – I pan mówi o życzeniach! Od żadnej z odwiedzających mnie osób nie otrzymałam jeszcze tylu kwiatów, co od pana.

Poprosiłem Pierre'a z kwaciarni „Floreal” o przysłanie do hotelu dużego bukietu, który potem zabrałem z sobą. Stał w salonie, przy kominku, nad którym wisiał portret pani domu namalowany przez Angelę. Na obrazie była widoczna tylko głowa Pasquale, osłonięta delikatnym welonem. Nie jestem znawcą, ale moim zdaniem był to bardzo dobry portret.

- Ma pan bardzo szykowny smoking – zauważyła Pasquale.
- To Angela go dla mnie wybrała – nie ukrywałem dumy. Byłem rzeczywiście dumny z tego smokingu, lekki, przewiewny i cienki, świetnie zarazem leżał na mnie. Traubaud miał na sobie ciemny.
- I zrobiła to z miłością – nie omieszkła dodać.
- Przestań już, Pasquale – wtrącił się jej mąż. – Biedna Angela z zakłopotania nie wie, gdzie podziać oczy.
- Oczywiście – odpowiedziała – bo się także zakochała. Nic nie mów, Angelo, jestem kobietą, potrafię cię przejrzeć. Gratuluję, monsieur Lucas. Uspokój się, Naftali.

Terier poszczeekiwał, domagając się pieszczot. Pasquale schyliła się i pogłaskała go po sierści. Widać było, że go bardzo lubi.

- Jak się wabi? – spytałem.
- Naftali – odparła. – Naftali, syn Izraela. Muszę panu powiedzieć, że urodzeni w kraju Izraelczycy nazywani są sabrami. Sabra to owoc figi kaktusowej, po wierzchu twardy, szorstki i kolczasty, wewnątrz wypełniony mięszem delikatnym i słodkim. Tacy są właśnie młodzi sabrowie: twardzi, szorstcy i dokuczliwi – z duszą wrażliwą, prawie sentymentalną. I taki jest Naftali – niesforny, wierny, przywiązany i czuły. Tak, mój kochany, tak, jesteś najlepszy...
- Stara pan się dowiedzieć, jak umarł Hellmann – zwrócił się do mnie Traubaud i z kieliszkami w rękach przeszliśmy obaj na koniec tarasu.
- Tak, takie mam zadanie.
- Do łatwych nie należy.
- Jak pan sądzi, co to mogło być? Nieszczęście? Samobójstwo? Morderstwo?

– Samobójstwo na pewno nie – odparł spokojnie. – Hellmann nie należał do ludzi, którzy odbierają sobie życie. Powiedziałem to już temu rewidentowi podatkowemu – no, jakże on się nazywa? No tak, Kesslerowi. – Ciekawa rzecz, pomyślałem, Kessler ani słowem o tym nie napomknął. Dlaczego?

– Nieszczęśliwy wypadek pan wyklucza. A więc morderstwo? – indagowałem dalej.

– A więc morderstwo – zachował spokojny ton. – Nie trzeba dalej pytać, odpowiedź narzuca się sama. Każdy z nas, każda z tych osób, które pan dzisiaj wieczorem pozna, mogła to zrobić. Myślę oczywiście: kazała to zrobić jakimś zawodowemu mordercy. Nawet Bienertów i Simonów, którzy byli na jachcie, należałoby wziąć pod uwagę. I oni mieli interesy z Hellmannem. W tym konkretnym wypadku najemnemu mordercy musiało się nie poszczęścić. Na pewno chodziło tylko o usunięcie samego Hellmanna.

– Jego i załogi.

– Tych biedaków, słusznie – przytaknął. – A ta historia z Bienertami i Simonami jest oczywiście czystą spekulacją myślową. Ale wszyscy inni, a więc i my, są podejrzani, i to jak!

– Ach, prawda – to mówiąc wyciągnąłem szybko wizytówkę i długopis. – Czy byłby pan łaskaw wypisać mi nazwiska swoich gości? Nie wiem, jak się je pisze, a nie chciałbym narobić błędów.

– Chętnie. – Położył wizytówkę na tarasowej balustradzie i zrobił spis zaproszonych. Schował długopis i kartkę.

– Wszystkie te osoby – dodał Trabaud – miały handlowe powiązania z Hellmannem. – To była dla mnie nowina. Czy Kessler o tym nie wiedział? Widocznie nie. – Bardzo zakamuflowane powiązania – ze względów podatkowych oczywiście i prawno-dewizowych. Ale oni wszyscy prowadzili interesy z bankiem Hellmanna. Jak i ja, monsieur Lucas. Dlaczego miałbym kłamać? Ja także mógłbym mieć powody, jak wszyscy. Będzie panu trudno rozwiązać tę zagadkę. Brylantowa Hilda zechce chyba dalej prowadzić bank, dopóki jej starczy zdrowia. Bóg jeden wie, co sję później stanie. Przypuszczam, że wyznaczy do tego generalnego pełnomocnika, tego młodego Seeberga. Z tym człowiekiem można się dogadać. Wracam do dam?

– A teraz – rzekła Pasquale – chciałabym panu Lucasowi pokazać jeszcze dom. Jesteśmy tu bardzo szczęśliwi. Wszystko zostało zbudowane według naszych planów dokładnie tak samo, jak nasz jacht według planów Claude'a. Uprowadzę ci teraz, Angelo, monsieur Lucasa, pozwolisz, *chérie*? Wytrzymasz bez niego dziesięć minut?

– Pasquale, proszę – znowu upomniał ją mąż.

Zaśmiała się.

– Spójrz tylko na Angelę. Kiedyż to ja widziałam bardziej zakochaną parę...
– Oprowadzała mnie po całym domu. I tu widać było bogactwo, ale całkiem inne niż w domu Hildy Hellmann, zupełnie inne. W końcu znaleźliśmy się w wielkiej piwnicy, gdzie stały pralki i deski do prasowania.

– Mężowi często sama piorę i prasuję koszule oraz bieliznę – przyznała się Pasquale. – Obok jest szwalnia. Wszystkie mniejsze rzeczy dla dzieci szyję także sama. – A była przecież w sukni od Pucciego w przenikających się kolorach błękitu, zieleni i pomarańczy. Sukienka miała gorset z wiązaniem wokół szyi i spódnicę ze śmiałymi pęknięciami. Teraz zdobiły ją kosztowne szmaragdy. Biżuteria Angeli prezentowała się wprawdzie równie pięknie, ale o ileż kolekcja osoby, zdanej tylko na dochody z malarstwa, które lokowała w klejnotach, była mniej okazała.

– Potrafi pani szyć?

– To mój wyuczony zawód. – Pasquale oparła się o wielką pralkę. – Monsieur Lucas, chciałam, żeby pan nas poznał dokładnie. Z pewnością dzisiaj jesteśmy bardzo bogaci. Ale tak zawsze nie było, Bóg poświadczy, że nie. Dzisiaj mój mąż ma sieć hoteli w Hiszpanii, na Majorce, w Grecji, Włoszech i Niemczech. Po wojnie, kiedyśmy się poznali, prowadził w Tuluzie małą gospodę odziedziczoną po wujku. Nie znam nikogo, kto by od niego ciężiej pracował w życiu. Na początku szło nam niekiedy tak źle, że pracowałam w swoim dawnym zawodzie jako modelka, aby po prostu dorobić. Na wszystko, co posiadamy, Claude zapracował ciężko, a ja mu w tym pomagałam. Chciałabym, żeby pan to wiedział.

– Dziękuję za zaufanie, madame.

– I jeszcze coś – dodała. – Z Angela rzeczywiście się przyjaźnimy. Jest niezależna, może robić, co jej się podoba, ma dosyć pieniędzy. Jeśli miłość, wielka miłość, stanie się waszym udziałem, nie powinien jej pan nigdy rozczarować. Już raz ją oszukano. Nie wierzę, by umiała drugi raz to udźwignąć. – Usłyszeliśmy w górze podjeżdżający ze zgrzytem wóz. – Pierwsi goście już są – zauważyła. – Jest pan miły, kocha pan Angelę, którą i ja Kocham, niech więc mi pan mówi Pasquale. Czy mogę – jak panu na imię?

Powiedziałem jej.

– Mogę mówić: Robercie?

– Naturalnie, Pasquale.

– Nie wolno panu nigdy unieszczęśliwić Angeli.

– Nie mógłbym.

– I oszukać jej.

– Nigdy – przyrzekłem, myśląc o tym, jak bardzo już ją oszukałem.

Zjawiali się teraz kolejno. Podjeżdżał wóz za wozem. Kelnerzy serwowali szampana na tarasie. Zauważyłem, że nikt poza mną nie przyniósł pani domu kwiatów. Goście wnieśli tylko śmiech i paplaninę. Pili, palili i krążyli wokół gazonów ogrodowych z kwitnącą zielenią. Pasquale przedstawiała mnie wszystkim. Obserwowano mnie z dozą nieufności, głównie jednak z zainteresowaniem. Oto wreszcie coś nowego – agent towarzystwa ubezpieczeniowego.

John Kilwood przyszedł już pijany, musiał go przyprowadzić kierowca. Był chudy, kiepsko wyglądał, miał głębokie wory pod oczami i gąbczastą twarz z widocznymi porami. Ręka mu drżała, gdy obejmował kieliszek. W rękę zawsze trzymał kieliszek. Smoking jego był wymiętoszony, koszula ze śladami whisky. Trzymał się tego kieliszka, jakby to była jego ostatnia deska ratunku. Pił bez umiaru – on jeden tylko whisky, nie szampana.

– Dobry, szpiclu – zwrócił się do mnie.

– Dzień dobry, mister Kilwood.

– Czy już mnie aresztowano? Czy to stąd mnie pan odtransportuje?

– Przestań, do diabła, pleść głupstwa, John! – mitygował go Malcolm Thorwell, który nie odstępował Kilwooda. Thorwell był bardzo wysoki, bardzo szczupły i odrobinę za elegancko ubrany. Mówił z lekkim zaśpiewem i w sposobie bycia podkreślał nieustannie, jaki to z niego superman. Przypuszczam, że był pedałem.

– To nie głupstwa. Zabiłem Hellmanna. Zgadza się czy nie? Jasne, że się zgadza, pan nic nie mówi. Niczemu nie zaprzecza. Był przecież moim przyjacielem, dobrym przyjacielem. Kiedy pewnego razu stanąłem przed komisją poborową dla żołnierzy, pytał mnie jakiś idiota od psychiatrów: – No i jak, mister Kilwood? Wierzy pan, że będzie mógł zabijać? – Odpowiedziałem: – Nie jestem pewny, czy wrogów, ale przyjaciół na pewno.

Nikt się nie odezwał.

– To kawał – rzekł złośliwie Kilwood. – Żeby wam było wesoło! A więc do roboty, mister Lucas, gdzie są kajdanki? Przyznaję się do winy.

– Dlaczego pan zabił pana Hellmanna, mister Kilwood? – zapytałem.

– Ostrzegam pana, monsieur Lucas, niech pan na serio tego nie bierze – wtrącił się Thorwell.

– Ale powinien uwierzyć! – upierał się Kilwood, chwiejąc się na nogach. – Powiem panu, dlaczego to zrobiłem.

– Dlaczego?

– Bo go prosiłem, żeby mi skombinował jakąś farmę dla bugenwilli, i on mnie na tym interesie nabrał. Zna pan bugenwille, to takie rośliny ze wspaniałymi, małymi kwiatkami, całą masą pięknych, kolorowych kwiatków. To całe moje szczęście. Nie zna pan bugenwilli?

– Nie – skłamałem. – Jak to się pisze? I gdzie miała być ta farma?

– W Vence.

– Czy mógłby mi pan pokazać, jak się to pisze? – Podałem mu długopis i jedną z moich wizytówek. Zdumiewająco szybko nagryzł parę słów na odwrocie. – Zanim winowajca przekazany zostanie w ręce sprawiedliwości, ma jeszcze prawo do ostatniej whisky, prawda? Garçon, he... – i zataczając się wyszedł.

– Pijackie mamroty – rzekł Thorwell. – Mam nadzieję, że nie potraktuje pan ich serio.

– Naturalnie, że nie.

– To dlaczego prosił go pan, żeby coś napisał?

– Chciałem wiedzieć, jak się pisze „bugenwilla”.

– To nie powód.

– Naturalnie, że nie.

– Zbiera pan autografy?

Milczałem. A więc miałem już rękopisy Hildy Hellmann, Seeberga, Trabauda i Kilwooda.

– Na co one panu?

– Dla zabawy.

– Ach tak – powiedział Thorwell. – Chciałby pan próbkę i ode mnie?

– Chętnie.

Światła na tarasie i w ogrodzie oraz wszystkie lampy ukryto w ukwieconych krzakach. Rzuciły na nas dziwaczne cienie.

– Co mam napisać? – spytał, odbierając ode mnie kartkę i długopis.

– Niech pan napisze: „Nie zamordowałem Hellmanna”.

Napisał posłusznie.

– Rzeczywiście tego nie zrobiłem.

– Gdyby pan to zrobił, przecież by mi pan nie powiedział.

– Tak, zgadza się. – Zaśmiał się po babsku. – Jak słodko wygląda Pasquale w sukience od Pucciego, prawda?

– Uroczko.

– Paniom, które znam, służę znajomością mody. Nie ma pan pojęcia, jak niezdecydowane potrafią być kobiety i jak mało gustowne. Angela ma dobry gust,

Pasquale to samo, ale niech pan spojrzy na Biankę.

– Na kogo?

– Biankę Fabiani. Stoi obok swego męża, tam dalej. Stary dureń, cały świat wie, że go nieustannie oszukuje. Występowała kiedyś w paryskiej rewii „Lido”. Niech pan tylko popatrzy na tę brokatową suknię z jedwabiu. Żałosna! Myśli, że mając piękne piersi, może je pokazywać na każdym przyjęciu. Widzi pan te brodawki?

– Nie, pan chyba przesadza.

– Wcale nie przesadzam! Małe i różowe. Widzę je obie. O tam, teraz, kiedy się nachyla. A propos mordu. Szuka pan sprawcy, ale Kilwood nim nie jest – to biedny pijaczyna, niech Bóg ma go w swojej opiece. Ale czy wie pan, że Fabiani przeniósł obłądną sumę lirów do Niemiec, do banku Hellmanna, bo we Włoszech zanoszą się wkrótce na krach?

– Nie, nie wiedziałem.

– Miał być krach, ale jeszcze nie nastąpił i Fabiani pilnie zabiega o zwrot pieniędzy. Słyszę, że Hellmann popadł w tarapaty płatnicze przez tę historię z bankami. Przestał być wypłacalny. Interes, który ci dwaj ze sobą prowadzili, był nielegalny.

– Co za interes?

– Delikatne machlojki dewizowe. Zdumiało to pana? Cudowny Hellmann, as autowy pańskiego kraju, bankier *made in Germany*. No i co, jeśli Fabiani zażądał zwrotu przelanych pieniędzy, a Hellmann nie mógł ich wypłacić? Hellmann mógł powiedzieć, że ujawni całą historię z dewizami. Żebyśmy się dobrze rozumieli: co we Włoszech jest nielegalne, w Niemczech nie. I co wtedy pozostawało Fabianiemu, hę? To tylko teoria naturalnie, wyłącznie teoria. Kim jest ten elegancki, młody człowiek po tamtej stronie?

– Paul Seeberg, generalny pełnomocnik Hellmanna – odparłem.

– Naprawdę, ten facet wie, jak się ubierać. Ma świetny gust. Wybacz pan, monsieur Lucas, chciałbym się tylko temu panu Seebergowi przedstawić. Rzeczywiście, to bardzo elegancki młodzian...

6.

Małżeństwa Fabianich i Tenedosów zajęte były sobą, gdy do nich podchodziłem. Ich rozmowa nagle się urwała, a potem naraz wszyscy zaczęli mówić. Piersi Bianki Fabiani rzeczywiście rzucały się w oczy, Thorwell tylko trochę przesadził.

Wyglądała niekorzystnie, choć jej suknia z pewnością kosztowała małą fortunę. W sposobie bycia zachowała jeszcze ową tandetną i poufałą kokieterię, narzuconą przez dawny zawód.

– Szuka pan mordercy biednego monsieur Hellmanna? – zaśmiała się bez powodu.

– Tak – odparłem.

– Wszyscy moglibyśmy być mordercami – sentencjonalnie powiedział Grek. Wydawało się, że nie ma w ogóle szyi, bo jego czaszka osadzona była na ramionach. Pogłaskał ramię swojej lalkowatej żony. – Wszyscy mieliśmy powody. Mógł mnie zrujnować czy choćby moją opinię. Miałem powód. Fabiani miał także powód, prawda?

– Oczywiście – potwierdził wywołany, jak zawsze poważnie. – Nie muszę mówić panu, co to za powód, bo zrobił to już Thorwell.

– A pan skąd wie?

– Przecież panu właśnie opowiadał.

– Mnie opowiadał?

– Proszę nie udawać, monsieur Lucas. Widzieliśmy dobrze, jak zerkał w stronę żony i mnie.

– Wstrętny pedał – uściśliła dawna tancerka z „Lido”, a obecnie signora Fabiani, jedna z najbogatszych kobiet w swoim kraju. – Deprawować chłopców to może, co? Paka mu się należy, już choćby za to. I za morderstwo! Któż miałby lepszy powód niż on!

– On? – zdobyłem się na zdumienie.

– Angielska filia KOOD – wyjaśnił Tenedos – należała do niego prawie w całości. Zbankrutowała przez manipulacje dewizowe Hellmanna i Kilwooda. Czy to nie powód?

– Interesujące, co pan mówi. A ja was wszystkich uważałem za dobrych w gruncie rzeczy przyjaciół.

– I jesteśmy nimi – potwierdziła Melina Tenedos. – Ale cóż szkodzi się zabić? Wymyśliliśmy małą grę w morderców. – I roześmiała się. Zawtórowali jej wszyscy, ja także.

– Tak, oczywiście, zabawa to dobra rzecz – odpowiedziałem.

Ku mojemu zadowoleniu kelner roznosił nowe kieliszki z szampanem. Melina Tenedos, kobieta z twarzą lalki, zaproponowała, żebyśmy napisali do biednej, chorej Hildy Hellmann. Pasquale przyniosła jakąś kartkę. Kazałem Tenedosowi zaczynać. Dwie linijki. Potem pisał Fabiani, także dwie linijki. Podeszli Sargantani i nawet Sargantana, który wyglądał, jakby jeszcze wczoraj ujeżdżał konie, zdobył się na parę słów. Potem podpisały się panie, nie wyłączając Pasquale. Próby pisma miałem więc od wszystkich.

– Wyślę kartkę z hotelu – zaproponowałem i wetknąłem ją do wewnętrznej kieszeni smokingu.

7.

– Proszę mnie jutro odwiedzić – rzekł do mnie trochę później Sargantana. Sądzę, że mam panu coś ważnego do przekazania. – Rozmawialiśmy wszyscy po francusku, niektórzy ze strasznym akcentem. Dał mi swoją wizytówkę. – Nie chciałbym tu o tym mówić. Nie chciałbym w domu przyjaciół.

– O co chodzi?

– Pan szuka mordercy, prawda?

– Tak.

– No więc. – Ukłonił się i głęboko nachylił nad dłonią Pasquale.

– Kochanie, wygląda pani cudownie – rzekł Sargantana, do mnie zaś powiedział: – Od dziewiątej jestem do dyspozycji, czekam na pana.

– Bardzo to uprzejme z pana strony – odparłem.

Angela stała sama przy schodach, które z tarasu prowadziły w głąb ciemnego ogrodu. Trzymała w ręku kieliszek i paliła papierosa.

Podszedłem do niej.

8.

– A więc – odezwała się Angela – czy wieczór się udał?

– Wszystko jest bardzo zagmatwane – odparłem. – Ale posuwam się.

– Świetnie – rzuciła.

– Czy coś się stało? – W długiej do ziemi białej sukni, z włosami rudymi na tle ciemnego ogrodu, wyglądała jak dama z portretu.

– Nie, a dlaczego?

– Jest pani teraz zupełnie inna, Angelo.

– Tak pan uważa?

– Widzę przecież. Dlaczego? Czy coś zrobiłem?...

– Pan nie, Robercie.

– Któż więc?

– Pasquale – zaciągała się raz za razem papierosem. – Wiem, że nie chciała źle, ale to, co mówiła, było nieprzyjemne, zrobiła mi tym wyjątkową przykrość. Mam na myśli te uwagi o nas. Jest naprawdę dobra i kochana. Chciałaby mnie widzieć szczęśliwą. A pan jej się bardzo podoba. Ale to nie powód, żeby nas

publicznie obwołać parą zakochanych.

– Należy żałować. Uważa pani, że to się nigdy nie stanie?

– Robercie, prosił mnie pan o zaaranżowanie tego wieczoru. Chciałam panu pomóc.

– Stale mi pani chce pomagać. Niech pani odpowie na moje pytanie, Angelo.

– Pasquale zaprosiła nas jutro na jacht. O wpół do dwunastej powinniśmy być w Port Canto. Jest prawdziwą swatką.

– Niech więc będzie, kocham panią, ale to wyłącznie moja sprawa. Panią to nie obchodzi – czy nie tak?

– Tak, Robercie. Miałam już swoje doświadczenia z miłością, zna je pan. Niewiele były warte. Przydałby mi się raczej dobry, nowy przyjaciel niż nowa miłość, która tak żałośnie się kończy.

– To przecież kłamstwo – uniosłem się. – Skąd Pasquale tyle o mnie wiedziała? Skąd się dowiedziała, że tak bardzo panią kocham? Kto jej powiedział?

– Ja – odparła speszona. – Ja, przez telefon. Rozmawialiśmy chyba z godzinę, gdy wyjechał pan do Düsseldorfu. Chyba... – Zwróciła się do mnie twarzą i uśmiechnęła, a wówczas w jej oczach pojawiły się znajome złote iskierki. – Chyba naopowiadałam jej o panu niestworzonych rzeczy.

– A więc to tak – i uczulem, jak ogarnia mnie ciepła fala szczęścia. – O miłości nie będzie więc mowy. Nigdy.

– Nigdy – powtórzyła Angela, nie cofając spojrzenia i uśmiechu.

Patrzyliśmy na siebie i pomyślałem, że by zrozumieć, czym jest szczęście, trzeba świadomości, iż się je straciło i ponownie odzyskało.

– Szkoda nas obojga.

– Taki los – przyznała Angela.

– Czy jutro wyjedziemy w morze?

– Przrzekłam. Ma pan dużo pracy?

– Jakoś sobie poradzę.

– Jest pan uprzejmy, Robercie, zawsze bardzo uprzejmy.

– Kocham panią – powiedziałem. – Zostawmy tę dziecianną grę w uprzejmości.

Podszedł do nas jasnowłosy Seeberg, w jednej dłoni trzymając kieliszek, w drugiej papierosa. I on miał na sobie biały smoking.

– Nie przeszkadzam?

– Ależ nie – odparła Angela.

– Ależ tak – sprzeciwiłem się przekornie.

I roześmialiśmy się wszyscy troje.

– Mam pozdrowienia od pani Hellmann – Seeberg lustrował mnie zimnymi oczyma, nie rezygnując jednak z uśmiechu. – Najserdeczniejsze pozdrowienia,

także dla pani, madame Delpierre. Pani Hellmann niezmiernie żałuje, że z powodu swej choroby nie mogła tu przybyć. Jak przypadkowo usłyszałem – a dość głośno wszyscy państwo rozmawiają – toczy się tutaj jakaś dziwna gra – rzekł Seeberg.

– Tak – powiedziałem. – Zabawa w morderców. Kto nim jest? Każdy jest innego zdania.

– Czy ktoś sugerował, że i ja mógłbym być mordercą? – spytał Seeberg.

– Nie, nikt – uspokoiłem go. – Nikt pana nie podejrzewa.

– To jednak dziwne – powiedział szybko Seeberg. – Naprawdę dziwne. Nikt mnie nie podejrzewa?

– A ma pan coś na sumieniu? – spytałem.

– Naturalnie – rzekł Seeberg poufale. – I należałoby się panu zaraz wyświadczyć, bo nie jestem całkiem w porządku.

– Kto jeszcze według pana mógłby być w kręgu podejrzania? – zainteresowała się Angela.

– Na tak bezpośrednie pytanie, madame, może być tylko bezpośrednia odpowiedź. Jak w roli sprawcy widzi pani swego przyjaciela Claude'a Trabauda? Czy zna pani jego powiązania z bankiem Hellmanna?

– Czy należy do zwyczajów waszego banku, żeby podobne rzeczy podawać do publicznej wiadomości? – zareagowała szybko Angela.

– Słyszałem, jak opowiadał właśnie o tym paru osobom i mnie przywoływał na świadka.

– Ach, tak.

– Tak to wygląda, panie Lucas. Jakie wnioski wyciąga pan z tego faktu?

– Bardzo różne, choćby z tego względu, że zanim pan się pojawił, Trabaud zdążył mnie o tym poinformować.

– Za często o tym rozprawia – zauważył Seeberg. – Przez cały czas nie potrafi o niczym innym mówić. Czy moja próbka pisma przydała się panu na coś?

– Nie rozumiem, o co panu chodzi.

Pupilek Naftali przededefilował powoli koło nas na krzywych nogach.

– Kazał mi pan zanotować nazwę wody toaletowej „Gres pour homme”.

– Słusznie, teraz przypominam sobie – powiedziałem. – Naprawdę, panie Seeberg, czyta pan za dużo kryminałów.

9.

„Nie porozmawiasz ze mną. Trudno przełamać twój upór. Nie masz litości. Kiedyś może jej i dla ciebie zabraknie. Nikt, nawet głupiec, nie pozwoli się tak po prostu zniszczyć. W twoim otoczeniu nie ma głupców, Herbercie, powinienes to wiedzieć. Wiesz zresztą.”

Te kilka zdań, skreślonych ręcznie po francusku na arkuszu gładkiego, białego papieru, pokazał mi mały, smutny Louis Lacrosse za pierwszym razem, gdy się u niego zjawiłem.

– Przeszukaliśmy willę Hellmanna – jego pokoje przede wszystkim. Brylantowa Hilda nie sprzeciwiała się. Przy okazji znaleźliśmy to w szufladzie biurka. – I pokazał mi ów arkusz papieru. – Pismo naturalnie zmienione, ale mimo wszystko.

– Odciski palców?

– Ani jednego. Wzięliśmy tę kartkę, nie mówiąc nikomu. Nam oczywiście byłoby znacznie trudniej niż panu zebrać podpisy wszystkich znajomych Hellmanna, a tym bardziej jakieś większe próbki pisma, potrzebne dla grafologicznego porównania. Weźmie pan to na siebie?

Zająłem się tym i byłem teraz w posiadaniu próbek pisma wszystkich mężczyzn i kobiet związanych z wypadkiem. Ależ nie – zorientowałem się – nie wszystkich. Brakowało Herberta Hellmanna oraz dwóch małżeństw: Bienertów i Simonów, ofiar katastrofy. Co za niedorzeczność, pomyślałem.

Czy rzeczywiście niedorzeczność?

10.

– Powtarzam: czy suknie muszą być od Pucciego? Robi zawsze takie same. A za tę samą sumę dostanę dwie wspaniałe kreacje od Niny Ricci!

– Przepraszam – konferencja SALT! A co się dzieje w rzeczywistości? Wie pan równie dobrze jak ja, że podziemne próby atomowe robią seryjnie zarówno Amerykanie jak i Rosjanie.

– Tłumaczę ci, najdroższa, że ona coś kręci z szoferem, bądź pewna, że tak. Rozmowy przy stole.

Trzej kelnerzy serwowali mięso, jarzyny, ryż i sałatę.

– Szczęściarze z tych Trabaudów – zwróciła się do mnie Melina Tenedos. – To się nazywa służba! Do takich ludzi można mieć zaufanie. Ale my... U nas lodówka za fortepianem i pistolet na nocnym stoliku, żeby ta hołota kogoś nie zamordowała.

– Tak, to rzeczywiście straszne – zgodziłem się, co przyjęła z powagą, i w tym samym momencie poczułem znowu czubek buta Angeli na moim własnym. Nie pozwoliła sobie na to jeszcze żadna kobieta i ów sygnał miło mnie poruszył. Angela tymczasem rozmawiała ze swoim sąsiadem po prawej, Paulem Seebergiem.

– Słuchajcie państwo! – zawołała. – To niezmiernie interesujące, co mówi pan Seeberg.

Zrobiło się cicho wokół stołu. Podniósł wzrok nawet John Kilwood, który prawie nie jadł, zajęty jedynie opróżnianiem kolejnych szklanek whisky. Wydawało mi się, że robił to z rozmysłem.

– Stany Zjednoczone zorganizowały konferencję na temat handlu i rozwoju w Santiago de Chile – referował teraz Seeberg. – Byłem tam. Konferencja trwała w najlepsze, gdy stało się tutaj to nieszczęście, więc prosto z Chile przyleciałem do pani Hellmann. Ale przedtem wysłuchałem na kongresie wielu przemówień, w tym przemówienia przewodniczącego Międzynarodowej Koalicji Wolnych Związków Zawodowych. Należałoby się z tymi ludźmi porozumieć – dobrowolnie i zaraz.

– Ze związkami? – przeraziła się Melina Tenedos. – Dobrowolnie?

– Uspokój się – upomniał ją mąż.

– A cóż one chcą? – wtrącił się John Kilwood zdumiewająco rozsądnie.

– Jak podkreślił ów przewodniczący – relacjonował dalej elegancki Paul Seeberg, który mówił po francusku bez obcego akcentu – związki zawodowe widzą ogromne niebezpieczeństwo w ograniczaniu ich praw przez wszystkie ponadnarodowe korporacje, które swoje operacje kapitałowe przeprowadzają na skalę światową.

– Czy inaczej dałyby się przeprowadzić? – mruknął Sargantana.

– Nie chodzi tu o nie – rzekł Seeberg. – Mówca wyjaśnił istotę niebezpieczeństwa, które polega na tym, że towarzystwa międzynarodowe lekceważą zobowiązania wobec określonego kraju, uchylają się od międzynarodowej kontroli, obojętnie jakiego rodzaju, i od jakiegokolwiek socjalnej odpowiedzialności.

– To należy do związków w określonym kraju – wtrącił się Fabiani i z uśmiechem obejrzał się na kelnera, który stał za nim z tacą.

– Nie, dziękuję, dla mnie już nic. Seeberg ciągnął dalej:

– Przyznają państwo, że trudno byłoby mnie podejrzewać, iż mógłbym się stać rzecznikiem interesów związków zawodowych...

– To dlaczego pan ich broni? – zawołała Bianca Fabiani.

– Uspokój się – warknął jej mąż.

Odwróciłem się i zauważyłem, że jej sukienka była rzeczywiście zbyt beztropko wycięta.

– Referuję tylko – usprawiedliwił się spokojnie Seeberg. – Proszę wybaczyć, madame, mam swoją teorię na ten temat. Nie żyjemy już w kapitalizmie dziewiętnastego wieku. Świat wszedł w okres przełomu. Związki pójdą na całość i będą, czego się boję, zwyciężać, jeśli nie ułożymy się z nimi.

– Nie będzie to takie trudne – odparła pani Fabiani, śmiejąc się niedorzecznie – jeśli panowie związkowcy będą tak dalek skorumpowani. Czy po przyjęciu wybieremy się jeszcze do kasyna?

Kelnerzy nalewali szampana, Kilwood dostał nowy kieliszek whisky. Świece lekko migotały.

– Oczywiście, kochanie, idziemy do kasyna – poparł ją Tenedos. – Ale związki zawodowe nie są skorumpowane, o to ich nie można posądzać. Seeberg ma rację: trzeba się starać o układy z nimi.

– Układy róbcie zaraz z szatanem – wyrwał się John Kilwood.

– John – wściekał się Thorwell – jest pan nie tylko opojem i błaznem, ale nieuleczalnym i totalnym głupcem. Mamy czekać, aż stanie się to, co słusznie przepowiadają związki zawodowe?

– To jedyne pytanie, które i ja chciałbym postawić – powiedział Seeberg. – Dlatego mówiłem o Santiago. Proszę o wybaczenie, jeśli znudziłem panie.

– Trzymam się zawsze tej samej reguły gry: zero, dwóch sąsiadów po bokach i dwadzieścia dziewięć. – Bianca Fabiani była już lekko pijana.

– Jutro na statku! – szepnęła mi przez stół Pasquale. – Wyglądacie cudownie, oboje.

– Proszę, Pasquale, przestań – zmytygowała ją Angela.

Pasquale roześmiała się.

– Angela zarumieniła się! Patrzcie, państwo! Potrafi się jeszcze czerwienić. Chciałabym i ja! Wielkie nieba, kiedy to ja spiekłam raka ostatni raz?

Znowu Angela trąciła mnie pantofelkiem.

11.

Około jedenastej przyjęcie miało się ku końcowi.

– Jedziemy do „Municipalu” – oznajmiła nieoczekiwanie Angela. – Leży na zachodnim krańcu Croisette, przy Starym Porcie. Jest to tak zwane zimowe

kasyno. Letnie kasyno otwiera „Palm Beach” w czerwcu. Szukać go trzeba na drugim końcu Croisette, za Port Canto.

– W „Municipalu” jest bardzo przyjemnie, można tam też dobrze zjeść, mam na myśli „Ambassadeura”. Monsieur Mario, jako maître restauracji, jest po prostu fantastyczny – uzupełniła informację Bianca Fabiani. Staliśmy w holu. Panie otulały się szalami i nakładały sobolowe i szynszylowe zakieciiki. Angela zabrała swoją białą etolę z norek. Goście wychodzili do swoich aut. Rozglądałem się ze stufrankowym banknotem w dłoni.

– Czego pan szuka?

– Chciałbym coś zostawić służbie.

– Niech pan położy na talerzu – doradził Claude Trabaud, patrząc na mnie dziwnie. Na talerzu, stojącym na starej komodzie, leżało już kilka banknotów. Położyłem swój. – Pan jest pierwszy – rzekł Trabaud.

– Proszę?

– Który daje służbie napiwek. Te banknoty to ja położyłem, żeby przed swymi ludźmi zachować twarz.

– Sądzi pan, że nikt z tych miliarderów...

– Nikt. Dlatego chyba zostali miliarderami. Jeden z tych panów, których gościliśmy dzisiaj – nie wymienię jednak nazwiska – był u nas tak często przyjmowany, niczego nigdy nie zostawiając służbie, że Pasquale rąbnęła mu pewnego wieczora: „Służący wzięli już pana na języki. Dałam im pięćdziesiąt franków, mówiąc, że są od pana.” Pana ogarnęła wściekłość i zawołał: „Pięćdziesiąt? Sto powinna im pani być dać, Pasquale! Będą teraz naokoło rozgadywać, że jestem skąpy!” – Zrobiło nam się wesoło. – Pan też dał sto, to za dużo, inni nie dają nic. Nigdy pan, panie Lucas, nie zostanie bogatym człowiekiem.

– Obawiam się, że ma pan rację – przyznałem.

– Ale szczęśliwym być może – dodał Claude Trabaud.

Wróciłem do Angeli i wyszliśmy na dwór. Kilku szoferów warowało już przy otwartych drzwiach rolls-royce'ów, jednego dwunastocylindrowego jaguara i jednego mercedesa 600. Goście Trabaudów wsiadali do nich po kolei. Parking i drogę wyjazdową oświetlały dodatkowo lampy, dyskretnie umieszczone w krzakach.

– Praktycznie w Cannes można odwiedzać tylko jedno albo drugie kasyno. Innych renomowanych lokali brak, pozostają tylko nocne kluby dla młodych – powiedziała Angela.

– Jak to możliwe? W takim mieście, jak Cannes!

– Kasyna na całym świecie stały się mocarstwem. Mogą właściwie wszystko osiągać i wszystkiemu przeszkadzać – na przykład każdej konkurencji. Tu, zdaje się, dzieje się podobnie. Jakie są pana plany? – Angela wolno prowadziła wóz po

wyżwirowanej drodze, tuż za rolls-royce'em Fabianich. – Te lampy ukryte w zaroślach są romantyczne, prawda?

- Tak – zgodziłem się. – Bardzo romantyczne.
- A Trabaudowie mili.
- Bardzo mili. Przebaczyła więc pani Pasquale?
- Ach, Robercie. – Milczała, dopóki nie znaleźliśmy się na ulicy. – Czy zrobił pan jakieś postępy?
- Tak mi się wydaje. I szybko liczę na dalsze.
- Wspaniale – poszukała mojej dłoni. – Robercie?
- Tak?
- Wie pan, co również jest wspaniale?
- Co?
- Że tak bardzo biedni byliśmy kiedyś oboje.

12.

Le quatre, pair, noir et manque!

Le trente et un, impair, noir et passe!

Le sept, impair, rouge et manque!

Krupierzy głośno wyśpiewywali liczby, które właśnie pojawiały się na poszczególnych stołach. Grano przy wielu, wielka, wystawna, po staroświecku przytulna sala pełna była gości. Jak mógł najgłośniejszy, mały Włoch wykrzykiwać w swoim języku życzenia szczęścia i błogosławieństwa. Wygrał, widziałem, że mu dużo wypłacono.

– Krzyczy również, gdy traci – wyjaśniła mi Angela. – Jest tu każdego wieczora, przez wiele miesięcy. Z żoną i przyjaciółmi, którzy stawiają za niego. Gra zawsze wysoko i nieraz upływają całe minuty, nim rozłożone zostaną jego stawki.

– Dzisiejszego wieczora stracił już sześćset tysięcy franków – odezwał się koło nas uprzejmy i nie rzucający się w oczy mężczyzna. – Dobry wieczór, madame Delpierre – skłonił się przed Angelą, która nas przedstawiła.

Dystyngowany ów pan był jednym z wielu „komisarzy”, którzy tu dyżurowali i mieli oko na graczy, jak zresztą w każdym kasynie. Angela przeważnie ich znała.

– Spójrz na tamtego – to mówiąc wskazała oczyma na niepozornego mężczyznę. – Ma on małą córkę, która jest podobna do aniołka z obrazu Botticellego. Przywiózł ją kiedyś do Cannes, namalowałam ją. Gratis, bo mi to sprawiało radość. Zrewanżował się, obsadzając mi zielenią taras. Jest dobrym ogrodnikiem, dogląda zawsze moich kwiatów.

Towarzystwo, z którym przyjechaliśmy, szybko się rozproszyło. Każdy grał sam, porozdzielały się nawet pary. Widziałem, jak swemu mężowi, który przykleił się do zielonego stolika, naprzykrzała się Bianca Fabiani, dopóki nie dostała od niego paru żetonów. Podeszła do nas, z twarzą wykrzywioną od złości.

– Spójrzcie na tego kutwę! – zawołała. – To ma być mąż! Dwieście franków mi daje, bo się splukałam, a chciałabym pograć. Jemu zaś przelatują tysiące. Trzeba postępować jak Maria.

– A co robi Maria? – spytałem.

– Maria nosi zawsze wieczorowe suknie zbluzowane nad talią. Już wiem dlaczego, raz mi pokazała ukryte tam kieszonki, w których chowa wygraną. Zataja oczywiście przed mężem, kiedy wygrywa. Kręci się potem na krześle i wierci, niby to bliska płaczu. On nie może na to patrzeć, daje jej nowe pieniądze, natychmiast. Jak pan myśli, ile na boku mogła już Maria zaoszczędzić? Ale człowiek głupi! – I pozełgowała do upatrzonego stolika, przeciskając się przez krąg graczy.

– Widzi pan, co jest w górze? – Angela wskazała na sufit. Do jednej z kolumn przytwierdzona była kasetka. – To kamera telewizyjna. Wszędzie ich pełno. Centrala bez przerwy obserwuje gości i często rejestruje na filmie.

– A ja nie mam nawet wejściówki.

– Oczywiście – Angela uśmiechnęła się z przekąsem – bo jest pan w moim towarzystwie, a mnie nie obowiązują wejściówki. Powiedziałam panu przecież, że wynalazł mnie „Syndicat d'Initiative”.

Różowe budynki zimowego kasyna z salami gry, teatrem i restauracją „Ambassadeur” znajdowały się na końcu quai Albert-Edouard, w bezpośrednim sąsiedztwie Starego Portu, gdzie Lacrosse miał swoje biuro, i w pobliżu Gare Martine, skąd odpływały ku wyspom *vedettes*.

– *Le dix, pair, noir et manque*.

Krzyk małego Włocha przeszedł w skowyt i dało się słyszeć straszne przekleństwo.

– Nie będzie pan grał? – zapytała mnie.

– To nudne – odparłem. – Ale naturalnie spróbuję.

Podszedłem z nią do drzwi, za którymi znajdowało się pomieszczenie ze stalowymi skrytkami. Angela wyciągnęła klucz z wieczorowej torebki.

– Zaraz wracam. Przyniosę trochę pieniędzy.

– Skąd?

– Z sejf. Tu go mam. – Zaśmiała się. – Dokumenty, pieniądze, biżuterię, wszystko tu trzymam. Byłam tu wczoraj, żeby zabrać klejnoty, które w tej chwili noszę. Nie ma sensu płacić za sejf bankowy, tu go mam za darmo...

Zniknęła.

Zmieniłem sto franków na dwa żetony po pięćdziesiątce. Rzeczywiście, nigdy nie ciągnęło mnie do gry. Ruletka nudzi mnie, to gra, w której decyduje przypadek, nigdy inteligencja. Szedłem przez wielką salę. Między stolikami do gry a długim barem urządzono małą restaurację, w której jeszcze byli ludzie. Przy barze siedział samotnie John Kilwood i pił whisky. Skinął zalany w moją stronę. Odwzajemniłem pozdrowienie. Potem zobaczyłem Marię Sargantanę – akurat w tym właśnie momencie, gdy w sekretnym miejscu swej wieczorowej sukni ukrywała żetony, i przyszło mi na myśl, że bogacze to rzeczywiście bardzo dziwni ludzie i może bardzo dziwni mordercy.

Zbliżyłem się do innego stolika i naprzeciwko spostrzegłem Angelę, której tutaj udało się znaleźć miejsce. Siedziała z zapalonym papierosem i krupierowi z sąsiedztwa anonsowała obstawiane numery. Tak zapatrzyłem się w jej twarz, że prawie zapomniałem, gdzie się znajduję. Pomyślałem, że Angelę poznałem trzynastego, że trzynastego zaczęło się dla mnie nowe życie, i postanowiłem wystawić Boga na pokuszenie.

Schyliłem się i ponad głowę jakiejś pani położyłem obydwie pięćdziesięciofrankowe żetony na trzynastce. Chciałem to mieć szybko z głowy. Spojrzałem znów w stronę Angeli, która musiała mnie zauważyć, podniosła bowiem głowę i nasze oczy spotkały się, a wówczas jakby słońce weszło. Jedno spojrzenie ma czasem taką siłę, że wszystko, co znajduje się poza zasięgiem oczu, przestaje być ważne. Poczulem zawrót głowy, przytrzymałem się mocno krzesła i wszystkie głosy Amerykanów, Holendrów, Anglików, Włochów, Francuzów i Niemców, stopiły się w jedno bezładne brzmienie.

– Monsieur...

Na dźwięk głosu aż drgnąłem.

Stojący obok mnie krupier odwrócił się. Uderzał grabkami w oba żetony leżące na trzynastce.

– Czy to pańska stawka?

– Tak.

– Trzynastka ze stu frankami dla pana po lewej – ogłosił krupier, a jego kolega ze środka stołu, który wypłacał zyski, przesunął w moją stronę dwie wieże żetonów. Zarobiłem trzy i pół tysiąca franków.

– Sto dla panów – rzuciłem w stronę krupierów. I zacząłem się modlić. Wodziłem cię, Boże, na pokuszenie i zrozumiałeś mnie. Wysłuchałeś mnie, dozwól teraz, Boże, bym sprawdził, czy i ja cię dobrze zrozumiałem, pozwól tylko, bym sprawdził. Wówczas zgłosiłem nową stawkę. Podwyższyłem ją maksymalnie na trzynastce do półtora tysiąca franków. Udowodnij mi teraz, Boże, udowodnij. Potoczyła się kula. Nie patrzyłem w tę stronę. Trzymałem oczy zamknięte, dopóki

nie usłyszałem krupiera: „*Le treize, impair, noir et manque!*”

Trzynastka po raz drugi. Gracze zaniepokoiłi się, a ja wygrałem tym razem pięćdziesiąt dwa tysiące franków. Zostawiłem pięćset franków napiwku i wybrałem teraz trzy *cheveaux*, dwa *carrés*, obydwa *transversales simples* i *transversale plain* od trzynastki do piętnastki oraz naturalnie trzynastkę, a wszystkie stawki były maksymalne. Obłożyłem żetonami nawet najprostsze szanse: kolor, tuzin i kolumnę. Inni gracze zaczęli również próbować szczęścia na trzynastce.

Zatrzymała się po raz trzeci.

Mały Włoch, nie biorący udziału w grze, zachowywał się jak szalony, nie odstępował mnie w tłumie, pocierał wierzchem dłoni moją marynarkę, aby choć trochę udzieliło mu się moje szczęście, zupełnie jakbym był kominiarzem. Szef stołu podszedł do krupiera przy kasie i obaj na długo pograżyli się w zawiłościach rachunkowych, a potem krupier wyciągnął ze skrytki stołu największe żetony i wyliczył mi, ile sztuk wygrałem i ile to będzie w sumie.

Zdobyłem dwieście trzydzieści pięć i pół tysiąca franków. Dałem obsłudze kasyna pięć tysięcy i ściągnąłem z numerów pozostawione stawki. Miałem dosyć. Nie udźwignąłbym tylu żetonów i z sali musiał przyjść kelner ze skrzynką. Kiedy towarzyszyłem mu do kasy, zobaczyłem Angelę. I ona szła w tym samym kierunku, podążając za innym człowiekiem z obsługi, który niósł jej skrzyneczkę.

- Czy pani również stawiała na trzynastkę? – spytałem.
- Tak – promieniała. – Wspólnie z panem! Nie zauważył pan?
- Nie.
- Posta...
- Posta...

Odezwaliśmy się równocześnie.

- Proszę.
- Pani ma pierwszeństwo, Angelo.
- Powiemy razem, tak mi się zdaje.

Wyrecytowaliśmy chórem: – Postawiliśmy na trzynaście, bo poznaliśmy się trzynastego.

Przez moment zapłonęły jej oczy.

- To miłość, jestem jej pewny, niech pani uważa – szepnąłem zaczepnie.

Nie odpowiedziała. Krupier raz jeszcze przeliczył przy okienku jej wygraną i spytał, czy wszystko ma wymienić.

- Tak, wszystko – potwierdziła.

Gdy znikwała w opancerzonym skarbcu, zaczęto mi wypłacać pieniądze. Mężczyznę z kasy również obdarzyłem napiwkiem i poprosiłem o zapakowanie banknotów. Było ich zbyt dużo, bym zdołał je upchać w kieszeniach smokingu.

Angela wróciła z sejfowego pomieszczenia. Śmiała się.

– Idziemy do baru, chciałabym się czegoś napić. Zaprosi mnie pan na drinka?

– Z przyjemnością, madame – odparłem. – Czekam tylko, żeby mi zapakowano cały majątek.

Przybiegł spocony, mały Włoch i zaczął podtykać jej pod nos pięcioletni żeton, prosząc o coś natarczywie.

– Czego on chce? – zwróciła się do mnie Angela.

– Żeby pani splunęła. To przynosi szczęście. Ja też mam to zrobić.

Splunęliśmy symbolicznie na żeton, a mały Włoch stawał się jeszcze mniejszy w nieustannych pokłonach.

– *Grazie, signora, grazie signore, grazie molto tante...* – Wrócił do swojego stołu, spocony i nieprzytomny z podniecenia.

– Ten mały Włoch – powiedziała – buduje wielkie lokomotywy we Włoszech. Opowiedział mi o tym niedawno jeden z zaprzyjaźnionych komisarzy. Dlatego może z Ventimiglia do Cannes jedzie się teraz tak długo.

Kasjer jeszcze nie uporał się z moim pakietem.

– Pójdę pierwsza – zdecydowała się Angela.

Odprowadzałem ją wzrokiem, gdy szła przez salę ku wielkiemu barowi, i widziałem tylko ją, łagodnie kołyszącą biodrami, spaloną słońcem w wycięciu oślepiająco białej sukni, płomiennie rudą. Wiele kobiet nie umie ładnie chodzić, oglądane od tyłu prezentują się szczególnie niekorzystnie. Angela wyglądała świetnie. Chodziła wyprostowana i opanowana, kochałem jej sposób poruszania się.

Zobaczyłem, że przy barze podeszła do starszej pani, która siedziała przy kasie. Barmani byli w nieustannym ruchu. Rozmawiając ze starszą damą, Angela sięgnęła nagle ręką za kontuar, potem szybko wycofała się i usiadła przy bufecie.

Kasjer skończył wreszcie pakować moje pieniądze. Pośpieszyłem do Angeli, zająłem miejsce obok niej, zamówiłem dwa szampany, a kiedy się pojawiły, powiedziałem:

– Trzynastka przyniosła nam szczęście. Angela uniosła kieliszek: – Niniejszym mianuję trzynastkę naszą szczęśliwą liczbą.

– Zgadza się w zupełności.

– I trzynastego naszym dniem urodzinowym. Będziemy go uroczystie obchodzić każdego miesiąca. – Nie spodobał jej się wyraz mojej twarzy. – Może choć w następnym miesiącu będzie pan trzynastego tutaj. – I dodała szybko: – O tym pan przecież myślał – co się może jeszcze zdarzyć w tym miesiącu, prawda?

– Myślałem o tym, Angelo, co odtąd w każdym miesiącu mego życia powinno się zdarzyć.

- Nie – sprzeciwiła się szybko – tylko nie to, Robercie. Było nam tak wesoło. Niech pan tak nie mówi. Niech pan tak nie myśli.
 - Już dobrze. Już wszystko w najlepszym porządku, Angelo.
 - Wcale nie – posmutniała nagle.
 - Wznieśmy toast za to, czego każde z nas najbardziej pragnie, ale nie powiadajmy głośno tych życzeń. Pijmy tylko za nie – czy odpowiada to pani?
 - Tak, Robercie. Pan zawsze potrafi być miły.
 - A pani piękna – powiedziałem szczerze. – I tak kochana. Tak bardzo kochana.
 - Nie. Proszę. Pijmy.
 - Dobrze.
- Napiliśmy się szampana.
- I pan niech wypije – zwróciła się Angela do małego, krępego szefa barmanów.
 - Zdrowie obojga państwa – wznosił toast Paul. Pisałem już, że rzadko zdarza się niesympatyczny barman, a Paul był jednym z najmiłszych. – Za wasze szczęście, oby spełniły się wszystkie wasze życzenia.
 - Paul – zwróciłem się do niego – jaka jest pańska ulubiona marka szampana?
 - Comtes de Champagne z Taitinger – wyrecytował.
 - Pozwoli więc pan, że podaruję mu butelkę. Pańskie życzenia szczęścia mogą się nam jeszcze przydać.
- Starsza pani przy kasie rozpląkała się nagle i Paul pośpieszył do niej.
- Co się dzieje? – zwróciłem się do Angeli.
 - Ach, nic – zbagatelizowała sprawę. – Chodźmy, przyjrzymy się jeszcze, jak inni grają.
 - Nie, muszę wiedzieć, dlaczego ta pani płacze. Paul! – Zjawił się, niepewnie patrząc na Angelę. – Paul, co się stało waszej kasjerce? Co jej jest?
 - Niech pan nie mówi – ostrzegła Angela.
 - Niech pan powie – byłem teraz stanowczy.
 - W takim razie idę – rzekła Angela.
 - Zaraz tam będę. – Odeszła rzeczywiście.
 - Mówże, Paul!
 - Monsieur – barman zniżył głos, jakby poza mną nikt nie miał prawa go słyszeć. – Madame Lorand, nasza kasjerka, nie jest już damą w kwiecie wieku. Jak pan sądzi, ile może mieć lat?
- Spojrzałem w stronę kasy, madame Lorand jeszcze płakała, ale przez łzy dała mi znak i uśmiechnęła się.
- Po sześćdziesiątce?
 - Ma osiemdziesiąt.

– Niemożliwe! – zawołałem.

– Przecież ja wiem, monsieur. Jeszcze tu pracuje. Kiedy zamkniemy lokal, a w następnym miesiącu otworzą „Palm Beach”, pójdziemy wszyscy, cała ekipa, z madame Lorand, do Deauville, tak jest każdego roku. Mimo swej osiemdziesiątki codziennie siedzi przy kasie do trzeciej nad ranem. Kasyno daje jej jeszcze pracę, troszczy się o swoich pracowników. Do emerytury pozostał jej rok, wtedy otrzyma najwyższą stawkę. Ma tu w Cannes mieszkanie, ale wiem, że to jest straszna nora, bez centralnego ogrzewania. Czasem w zimie jest u niej okropnie zimno, a madame Lorand z trudem to znosi. No więc madame Delpierre dała starszej pani pieniądze. Teraz będzie można założyć ogrzewanie, właśnie za te pieniądze. Nie wygada się pan, prawda?

– Naturalnie, że nie – przyrzekłem. – Niech pan również madame Lorand pośle drinka.

– Woli piwo – zauważył Paul.

– W takim razie piwo – zgodziłem się.

Spojrzałem w stronę Angeli, obserwowała mnie z daleka. Teraz gniewnie tupnęła nogą o dywan i odwróciła się. Pośpieszyłem do niej.

– Angelo...

Wzruszyła ramionami.

– Tak prosiłam, żeby pan nie pytał Paula!

– Pani jest cudowna, Angelo.

– Nie jestem cudowna, a pan nie jest miły. Pomyliłam się.

– W takim razie pomyliliśmy się oboje – odparłem.

Odwróciła się z uśmiechem, a we mnie krew popłynęła szybciej, gdy nasze spojrzenia znowu się spotkały i nie chciały rozstać.

Pochwyciłem jej dłoń i ucałowałem.

– Tyle wygrałam, że... – nie dokończyła i cofnęła się szybko. – A cóż to? – Przestraszyła się naprawdę. Skierowała swój wzrok na podłogę, a ja zrobiłem to samo. Przed Angela klęczał pijaniuteńki Kilwood i próbował przycisnąć do ust jej sukienkę.

– Cudowności ty moje i księżniczko – bełkotał – niechże wolno mi będzie ucałować rąbek pani sukni. Tylko rąbek... Tylko jeden całus... Pijakiem jestem i przestępcą. Pani jest prześliczna, moja ty księżniczko...

– Zbieraj się pan i znikaj – podniosłem głos.

– Szlachetny panie, miej litość dla parszywego psa... – i skamlając ciągnął do ust jej sukienkę. Trąciłem go lekko, a wtedy przewrócił się na wznak. Przypatrywał mi się teraz złośliwie szklistymi oczyma.

– Niech pan znika – nie ustępowałem. – Natychmiast. Szybko, szybko, bo pożałuje pan.

Podniósł się z trudem.

– Patrzcie, jaki gentleman – zaśmiał się z przekąsem. – Jaki dzielny rycerz...
– I zataczając się odszedł do hazardowego stołu.

– Stracił rozum – powiedziała Angela, nieprzyjemnie zaskoczona.

– Chodźmy – zaproponowałem szybko. – Chcę zobaczyć i usłyszeć, co ten osobnik teraz zrobi.

Ruszyliśmy za Kilwoodem, ja oczywiście z paczką pieniędzy w rękę.

13.

Kilwood stał za Thorwellem i głaskał go po plecach. Słyszałem, jak mówił: – Szanowanie jego królewskiej mości. O, wielki panie i przyjacielu ludzi, któremu nikt nie dorówna. Taki szlachetny, taki skromny, jakie to szczęście, że mogę się mienić waszym przyjacielem.

– Odwał się pan – warknął Thorwell.

Potem dostrzegł Trabauda, który stał w pobliżu za siedzącymi graczami i już go zagadywał: – I ty jesteś gentlemanem, panem w każdym calu, moim najlepszym przyjacielem... – Usiłował cmoknąć go w policzek, ale ten go odepchnął. Kilwood pośliznął się i wylądował przy sąsiednim stoliku na Biance Fabiani, którą teraz obejmował i całował w kark. Wydała przeraźliwy okrzyk. Wtedy chwycił ją za dekolt i wymamrotał zdumiewająco trzeźwo: – Najpiękniejsza z pięknych, moja ty ubóstwiana, cudem jesteś rodzaju ludzkiego. Co za szczęście, że mogę zwać się twoim przyjacielem.

– Spływaj pan i to natychmiast! – rozjuszyła się na dobre Bianca. I głośniej zaczęła przywoływać męża, który, zajęty przy trzecim stole, już się zdążył podebrać. Giacomo Fabiani szarpnął Kilwooda za poły smokingu. Gracze wyraźnie zaniepokoiли się.

– Co ten facet wyprawia?

– Ależ nie, daj spokój, mój władco. – Głos Kilwooda był teraz cyniczny, oczy złośliwe, uśmiech ordynarny. – Nic nie zrobiłem. Ubóstwiam tę wspaniałą istotę, przecież to nie powód do gniewu. Ty też jesteś wspaniałą, wszyscy jesteście wspaniałymi istotami, prawdziwą *creme de la creme*. – Przełknął niepostrzeżenie ślinę i wrócił do zjadliwości. – Sami zacni ludzie. – Zbliźali się właśnie Athanasios i Melina Tenedosowie. – I wy także, najukochańsi moi przyjaciele. Sami cudowni ludzie. – Poglaskał Tenedosa po policzku i skłonił się przed Meliną tak głęboko, że omal się nie przewrócił. – O, moi państwo, jakże jestem szczęśliwy, że mogę przebywać w waszym towarzystwie. – Zbliżył się nagle i pocałował Melinę w usta.

– Musiałem to uczynić. Wspaniała niewiasto, ozdobo naszej kolekcji! – Przy stole, obok którego miała miejsce ta scena, wszelki ruch zamarł, zrobiło się cicho. Kilku mężczyzn zdążyło w tę stronę pośpiesznie, z pewnością byli to komisarze. Kilwood na pozór nie orientował się w sytuacji. Nagle wybuchnął płaczem. – Wszyscy jesteście tak cudowni, tak zacni i tak nieskazitelni. To ja, ja jestem idiotą, starym kretynem, zapijaczoną mordą... – Poczulem, jak Angela chwyta moją dłoń. – Jestem przestępcą!

– Niech się pan wreszcie uciszy, głupcze – syknął stanowczo Tenedos.

– Uciszy? Jak mógłbym w tak szacownym gronie tłuściochów o gładkich czołach i sprawiedliwym śnie? Jestem gówno, zero i nic. Ja... – Zaczerpnął powietrza i krzyknął nagle jak oszalały: – Mordercy!

Od stolików zaczęli wstawać goście. Urwały się rozmowy. Wszyscy gapili się teraz na Johna Kilwooda. Wory pod jego oczami, z których płynęły pijackie łzy, zrobiły się czarne, obrzmiała twarz podeszła fioletem. Chwiał się miarowo, ale trzymał jeszcze na nogach. Jego francuski bełkot rozchodził się po całej sali. – Mordercy, tak jest, mordercy! – Nie panował już nad sobą i z wściekłością wołał:

– Nie tylko ja! Również moje małe księżniczki, moje przeświecne ich wysokości, nasza cała czcigodna ferajna! Wszyscy jesteśmy mordercami! Wszyscy! Mordercy! Wszyscy!

Zobaczyłem, że teraz i Trabaudowi, i Seebergowi spieszo było do pijaka. Komisarze też już do niego dotarli. Odepchnął wszystkich. Z kolei utkwiał wzrok we mnie i krzychał: – Ma pan tu jak na dłoni, monsieur Lucas, wszystkie zacości i mnie, zapijaczonego kretyna, wśród nich – wszyscy jesteśmy mordercami, tak jest, wszyscy!

– Na miłość boską, co się z nim dzieje? – denerwowała się Angela.

– Chciałbym to wiedzieć – odparłem. Zobaczyłem, że teraz wszyscy znajomi otoczyli go kołem, z wyjątkiem José'go Sargantany. Siedział z boku w głębokim fotelu, palił, obserwował i nie reagował na nic.

Inni wydzierali się jeden przez drugiego.

– Stul wreszcie głowę, John!

– Zapijaczony idioto!

– Tak, jestem pijany, zgadza się! Tak samo jak zgadza się, że my wszyscy jesteśmy mordercami. My wszyscy, wszyscy, wszyscy! – krzychał Kilwood.

Zdrętwiałem nagle i chociaż tu w sali było bardzo gorąco, nagle zrobiło mi się zimno. Oto widziałem i słyszałem Hildę Hellmann, zalegającą łożo w upiornym domu, obwieszoną klejnotami i obłąkaną. Obłąkaną? W uszach miałem jej głos:

– Niech pan nie robi takiej miny! Niech pan nie udaje! Wie pan przecież dokładnie, że zabili go wszyscy...

Czy obłąkana była Hilda Hellmann, czy pijany John Kilwood? Przepisnąłem się przez krąg ludzi, którzy go otoczyli i szarpali na wszystkie strony.

– Chwileczkę, mister Kilwood, niech pan posłucha...

Tenedos odepchnął mnie brutalnie.

– Wynoś się pan!

Potoczyłem się prosto w ramiona jakiegoś komisarza.

– Tylko bez skandalu, błagam, monsieur – szepnął komisarz. – ten pijaczyna musi zniknąć i to błyskawicznie.

Tenedos i Thorwell znaleźli się przy Kilwoodzie, podtrzymując go.

– Szybko naprzód, niechże pan idzie, John.

– Pan jest pijany!

– No i co z tego? Mówię prawdę! Zaczęło się wszystko od Algierczyka z La Bocea...

Mężczyźni szarpali i próbowali prowadzić Kilwooda, który najwyraźniej stracił równowagę. Łzy płynęły mu po twarzy i kapąły na dywan, nie było więc innej rady, jak siłą ciągnąć go przez salę, a wszystko działo się na oczach przerażonych graczy i skonsternowanych krupierów. Czy telewizyjne judasze podglądały to zamieszanie i rejestrowały je? Dobrze byłoby mieć taki zapis, pomyślałem. W tym samym momencie komisarze utworzyli kordon wokół Kilwooda.

Przy stołach krupierzy już oprzytomnieli. Znów rozlegały się ich zawołania.

– *Faites vos jeux, mesdames et messieurs!*

– *Faites vos jeux!*

Cała grupa zniknęła już za drzwiami sali. Postrzelony, mały Włoch, ten od lokomotyw, przemknął jak strzała koło mnie, coś wykrzykując.

– Co on mówi? – spytała Angela.

– Że musi teraz koniecznie postawić na dwadzieścia trzy.

– Dlaczego?

– Bo się pojawiły łzy. Przy łzach trzeba stawiać na dwadzieścia trzy. – I zadałem jej pytanie: – Jak myślisz, po co to widowisko? Co znaczy: wszyscy jesteście mordercami?

– Ludzie są dziwni – stwierdziła Angela. Z oddalenia spostrzegłem Trabauda rozmawiającego z komisarzem. – Być może tego Kilwooda dręczy jakaś wielka wina i próbował ją z siebie wyrzucić w straszliwy sposób. Mój rzeźnik w La Californie jest bardzo pobożnym człowiekiem. I wie pan, co robi? Wymachuje toporem nad uśmiercanym zwierzęciem i śpiewa religijne pieśni. Raz to przeżyłam.

Odrąbywał jagnięciu głowę ze śpiewem „Błogosławione niech będzie jagnię”. To wszystko.

- Co to jest La Bocea, Angelo?
- Dzielnica Cannes, przy Starym Porcie, w zachodniej części.
- Czy mieszkają tam Algierczycy?
- O, tak, to dzielnica komunalnego budownictwa mieszkaniowego. Drobni urzędnicy pocztowi, emeryci, Algierczycy.
- Kilwood powiedział, że wszystko zaczęło się od Algierczyka z La Bocea.

Włoch zaczął nagle ryczeć i zachowywać się jak obłąkany. Postawił na dwadzieścia trzy, bo dwadzieścia trzy ma być liczbą szczęśliwą, kiedy płyną łzy. Przy jego stole wygrała dwudziestka piątka.

14.

Wracaliśmy do domu. Była druga nad ranem. Angela jak zawsze siedziała przy kierownicy. Do jej rezydencji prowadziła w górę wąska i kręta ulica, którą dotarliśmy do torów kolejowych. Szlabany były spuszczone. Angela zatrąbiła, na ten sygnał w małej budce przy drodze podniósł się dróżnik i pokręcił korbą. Szlabany poszły w górę.

– Nocą przejazd jest zawsze zamknięty. Trzeba trąbić – wyjaśniła. – Zapobiega to nieszczęściu, nawet gdyby dróżnik zasnął.

Gdyśmy wspinali się na zbocze, można było w świetle reflektorów liczyć palmy i cyprysy, wychylające się z willowych ogrodów. Paczkę z wygraną trzymałem na kolanach. Angela wprowadziła wóz do garażu i zamknęła go. Tu, w górze, powietrze było chłodne i zdziwiłem się, że nie odczuwałem wcale zmęczenia.

Windą dojechaliśmy do jej mieszkania na czwartym piętrze. W małej windzie nasze ciała znów były blisko siebie. Musiały się spotkać i nasze spojrzenia. Przed drzwiami Angela długo szukała w torebce swoich kluczy. Gdy wreszcie otworzyła, zatrzymałem się niezdecydowany, wtedy ujęła w dłonie moją głowę i pocałowała w policzek. Pochwyciłem ją, przygarnąłem do siebie i pocałowałem w usta. Pod suknią czułem zarys jej ciała i ona także musiała wyczuć, jak bardzo jestem podniecony. Ściśnięte najpierw mocno wargi rozchyliły się nagle i usta jej stały się miękkie i powolne. Wsunąłem w nie język. Jęknęła cicho. I wtedy mnie odepchnęła.

– Nie – już była opanowana. – Nie, Robercie, kochany Robercie. Proszę. Nie chciałąbym.

– Nie chciałąbym, bo za wcześniej?

Patrzyła tylko i nie odpowiadała.

- Już dobrze – powiedziałem. – Jutro do południa jestem zajęty. Wezmę taksówkę do Port Canto. Spotkamy się przy jachcie Trabaudów.
 - Znajdzie go pan?
 - Jak się nazywa?
 - „Shalimar”.
 - Nie będzie trudno.
 - Ma pan kąpielówki?
 - Nie.
 - Kupię panu jakieś. Ręczniki, oliwkę i różne inne rzeczy przyniosę sama. I czapkę dla pana. Przed słońcem. Na morzu piecze jak licho.
 - Nie wiem – zawahałem się – czy będę się rozbierać. Wszyscy jesteście tak mocno opaleni. Ja... Moje ciało jest zupełnie białe...
 - I to pana krępuje? Wszyscy byliśmy kiedyś biali, niech pan nie będzie śmieszny.
 - Jestem śmieszny, prawda?
 - Ależ nie.
 - Każdy mężczyzna śmieszny, kiedy jest zakochany, prawda?
 - Ale nie pan – rzekła Angela. – Nie pan. Przeciwnie, w panu za dużo jest powagi. Przed paru laty mieszkał tu w Cannes pewien kompozytor, bardzo znany we Francji. Jak pan, stale miał tylko wątpliwości i skrupuły. Mówił zawsze, że stoi przed dylematem, nawet gdy chodziło o jakąś drobnostkę. Czy wie pan, jak go przezwano?
 - No, ciekaw jestem. – Wchłaniałem tymczasem słodycz jej świeżej skóry.
 - Joe Dylemat – odparła Angela.
 - Dlaczego i on stąd odszedł?
 - Znalazł żonę, wielką miłość. Wyleczyła go z dylematów. Odjechał z nią daleko, do dalekiego kraju, nie wiem dokąd. Podobno jest bardzo szczęśliwy.
 - Dobranoc, Angelo.
 - Musnęła mnie delikatnie w usta.
 - Dobranoc, Joe Dylemacie – zażartowała na pożegnanie. – Przywołam panu taksówkę. Niech pan tylko nie daje się oszukać. Do „Majestica” wolno kierowcy pobrać najwyżej dwanaście franków. Jeśli wyciągnie tabelę i zacznie w niej szukać, niech pan natychmiast zaprotestuje.
 - Dobrze, madame.
 - Jutro przy „Shalimarze”. – I drzwi zaraz zatrzasnęły się za nią.
- Zjeżdżając windą, wywijałem z rozmachem zapakowaną forszę. Joe Dylemat. Śmieszne. Strasznie śmieszne. Tylko że ja ze swymi dylematami nie przesadzałem.

Miałem na przykład żonę. Nie byłem zdrowy. Ale o tym, prawdę powiedziawszy, ona nie wie. I nie powinna się dowiedzieć, postanowiłem w myślach. Nigdy nie powinna się dowiedzieć. Nigdy? Jak to zrobić?

Podjechała taksówka. Przy torze kolejowym musieliśmy się znowu zatrzymać i poczekać, aż podniosą szlabany. Taksówkarz, podający się za cudzoziemca, rzeczywiście przed „Majesticem” wyciągnął jakąś tabelę, ale przerwałem mu mówiąc, że kurs kosztuje dwanaście franków. Dałem mu trzynaście, co skwitował jakąś uwagą o skąpych cudzoziemcach i odjechał.

Wykąpałem się i nagi wyciągnąłem na łóżku, wyobrażając sobie, że obok mnie leży naga Angela. Pomyślałem też o żonie. Zobaczyłem ją nagą i to mnie tak zdennerwowało, że wstałem i poszukałem papierosów. Przez cały dzień wystrzegałem się ich, teraz wypaliłem trzy na raz. Jak idiota przyglądałem się lewej stopie. Narzuciłem szlafrok, wyszedłem na balkon, patrzyłem na wyblakłą nocą Croisette i na morze i zastanawiałem się nad przyszłością moją i Angeli. Nadjechały polewaczki splukujące jezdnię. Byłem niespokojny i coraz bardziej nerwowy. Około wpół do czwartej zadzwoniłem do Angeli. Numer był zajęty. Wykręcałem go raz po raz i daremnie. Wreszcie zrezygnowałem i poczułem ukłucie zazdrości. Z kim o tej porze mogła rozmawiać? Zapaliłem jeszcze jednego papierosa. Nagle odezwał się telefon.

- Tu Lucas.
- Robercie! – To była Angela. Głos zadyszany. – Z kim tak długo rozmawiałeś?
- Z nikim.
- Telefon był stale zajęty.
- A tak, bo próbowałem się do ciebie dodzwonić. Ale numer był zajęty. Usłyszałem jej śmiech.
- Bez przerwy wybierałam numer do ciebie.
- Dlaczego?
- Bo... ja... Chciałam coś jeszcze powiedzieć, Robercie.
- Tak?
- Dziękuję.
- Za co mi dziękujesz?
- Przysłałeś kiedyś karteczkę ze słowami: „Dzięki za nic”.
- Tak, przed trzema dniami... przed wiekami... przed tysiącem lat.
- Teraz chcę ci rzeczywiście podziękować.
- Za co? – powtórzyłem pytanie.
- Że przy pożegnaniu tak się właśnie zachowałeś.
- A cóż mi zostało?

- Nie mów tak – zaprotestowała. – To nieprawda, dobrze wiesz. Gdybyś należał... chyba bym cię wpuściła do mieszkania. Nie byłoby to dobre.
- Może i nie – zgodziłem się i powrócił mi spokój.
- Po co nam pośpiech, Robercie, teraz jest nam też dobrze. Poczekajmy jeszcze, żeby potem mogło być jeszcze piękniej. Nie chciałbyś tego tak jak ja, Robercie?
- Nie wiesz nawet jak bardzo.
- Jesteś rozsądny. Odwołuję Joe Dylemata. Cały czas się nad tym zastanawiam i myślę, że twoje problemy na pewno są prawdziwe.
- Każdy ma jakieś – zauważyłem.
- Przemijają, Robercie.
- Na pewno.
- Przypomniałam ci, co napisałeś na karteczce. Teraz ja dziękuję. Dziękuję za wszystko. Wyrzuciłeś tę karteczkę?
- Noszę ją zawsze przy sobie w portfelu.
- Zostaw ją. Wpadnie nam kiedyś w ręce i przypomnimy sobie, jak się wszystko zaczęło.
- Być może.
- Dobranoc, Robercie. Śpij dobrze.
- Ty również. Dobranoc.

Odłożyłem słuchawkę na widełki i zgasilem światło. Drzwi na balkon zostawiłem otwarte. Po Croisette przejeżdżały znowu polewaczki. Słyszałem, jak pracują pompy i łagodnie obracają się ich walce, oczyszczając nasze miasto.

15.

Gdy im zdawałem relację, przysłuchiwali się w milczeniu, i mały Louis Lacrosse i zwalisty komisarz Roussel, charakterystyczna postać z krzaczastymi, czarnymi brwiami i falującymi, białymi włosami. Opowiedziałem im wszystko, co się zdarzyło po moim wyjeździe z Cannes i czego dowiedziałem w Düsseldorfie od ministerialnego urzędnika Friesego oraz rewidenta podatkowego Kesslera.

Mówiąc, patrzyłem przez okno na Gare Maritime, gdzie kręciły się *vedettes*, a wracający z nocnego połowu rybacy czyścili łodzie i rozpinali sieci. Bliżej w cieniu dostrzegłem parę starszych osób grających w bule. Było zaledwie po ósmej i jeszcze nie tak gorąco w Cannes.

- To wszystko jest dość mętne – uznał na zakończenie Roussel. – Monsieur Kessler ma całkiem inną wersję wydarzeń niż ta, którą pan poznał.

– Każdy chce znaleźć dla siebie jakieś usprawiedliwienie – zauważyłem. – Dzisiaj Trabaud zaprosił mnie na wycieczkę w morze, będzie on, jego żona i madame Delpierre. Może przekaze mi coś ważnego, co byłoby dla nas punktem zaczepienia. Sprawia wrażenie człowieka bez zarzutu. Czy Kessler jest istotnie w Cannes?

– Wrócił, tak. I telefonował, ale jeszcze się nie zjawił. Czekamy teraz na naszych finansowych ekspertów z Paryża. Chce z nimi nawiązać współpracę. Czy się u pana nie meldował?

– Nie, ale to uzgodnione. Mamy się kontaktować tylko w sprawach niecierpiących zwłoki, w innych się nie znamy. – Wyciągnąłem kopertę i podałem ją Lacrosse'owi.

– Co to jest? – spytał.

– Próby pisma, o które pan prosił.

– Och, czyżby panu udało się zdobyć wszystkie? Jak to dobrze, zaraz je przekażę grafologowi. Może... – I nagle jego głos się załamał.

– Co panu jest?

– Mała ma odrę – zwierzył się Lacrosse.

– Wszystkie dzieci przez to przechodzą – pocieszyłem go.

– Ale to niebezpieczne – westchnął.

– Bardzo kocha swoją rodzinę – rzekł Roussel. – Mam rację, Louis?

Przytaknął w milczeniu.

– A pan? – zwróciłem się do komisarza.

– Nie mam rodziny, żyję samotnie. To może i dobre. Widzi pan, jeśli nikogo nie kocham, to i nie przeżywam nigdy ciężkich okresów – stwierdził filozoficznie Roussel.

– Szczęśliwych też nie – zauważyłem.

– Chwila małego szczęścia zawsze się trafi – rzekł komisarz.

– Od czasu do czasu. Jeśli mi na tym zależy. Wtedy to i owo sobie wma-wiam. Ale wiem, że tylko wma-wiam, i nie przejmuję się, kiedy jest po wszystkim. Ach, chcę dodać, że zostaję tu z moimi ludźmi aż do wyjaśnienia morderstwa Viale'a. Naszą kwaterą będzie centralny komisariat.

Sieci rybaków błyszczały w jaskrawym słońcu poranka.

16.

Wyszedłem tego dnia w białej koszuli, wyłożonej na białe spodnie, i w białych lekkich półbutach, nie zapominając oczywiście o skórzanej torebce подарowanej

mi przez Angelę. Od Starego Parku szedłem wolno ulicą Croisette i minąwszy hotel, dotarłem do białego sklepu jubilerskiego paryskiej firmy Van Cleef & Arp-
éis. Już wczoraj, po wygranej w kasynie, od razu wiedziałem, co zrobię z tak wiel-
ką sumą pieniędzy.

Sklep nie był duży, ale miał klimatyzację i niezwykle gustownie urządzone
wnętrze. Podszedł do mnie mężczyzna, znacznie młodszy ode mnie. Ubrany był w
niebieską koszulę i białe spodnie, ściągnięte paskiem z krokodylej skóry, na no-
gach miał niebieskie mokasyny. Prezentował się świetnie, a kiedy się uśmiechał,
nie sposób było też się nie uśmiechnąć. Przyznam, że między mężczyznami była to
sytuacja osobliwa.

Powiedziałem, że na wystawie widziałem brylantowe kolczyki. Wyszedł ze
mną przed sklep, gdzie mu je pokazałem. To właśnie te kolczyki zainteresowały
Angelę, gdy jechaliśmy na kolację do „Felixia”.

– Chodzi mi dokładnie o te – wyjaśniłem.

Skinął głową i kiedy wróciliśmy do sklepu, wyjął klejnot z wystawy. Podałem
swoje nazwisko, wówczas i on zrobił to samo. Był dyrektorem filii tej znanej firmy
jubilerskiej i nazywał się Jean Quémard. Z biura na zapleczu wyszła jasna blon-
dynka, której mnie zaraz przedstawił. Madame Quémard była równie sympatyczna
i uprzejma, jak jej mąż. Miała na imię Monique.

– Chciałbym wiedzieć, monsieur Quemard – zacząłem – czy pewna dama nie
pytała już o te kolczyki.

– Może nie powinienem panu tego mówić – zauważył z uśmiechem.

– Niech pan powie. To madame Delpierre, prawda?

– O tak, madame Delpierre! – Była więc i tutaj znana. Oczywiście, pomyśla-
łem. Prawdopodobnie całą lub prawie całą swoją biżuterię kupowała właśnie tutaj.
– Tak monsieur, kiedyś madame Delpierre wstąpiła do nas i kazała sobie pokazać
te kolczyki. Wyjątkowo jej się podobały.

– Wiem – przyznałem się.

– Takie same – to znaczy tak samo wykonane – nosiła Martine Carol, niez-
jąca już aktorka – poinformowała madame Quemard.

– Ile kosztują? – spytałem. Quemard zajął do katalogu.

– Sto piętnaście tysięcy franków, monsieur Lucas. – Pan jest cudzoziemcem.
Jeśli zechce pan wywieźć ów klejnot i zadeklaruje go na granicy, zaoszczędzi pan
na podatku, bo wówczas będziemy go mogli sprzedać o dwadzieścia procent taniej
– poinformowała mnie madame Quemard.

– Nie wywożę go – odparłem oszołomiony trochę sumą, którą miałem zapła-
cić. Ale czy nie podrzuciła jej ruletka? Czyż nie wygrałem jej dzięki naszej szczę-
śliwej trzynastce?

– W porządku – zgodziłem się.
– Otrzyma pan też kartę gwarancyjną i dokładny opis z fotografią dla celów asekuracyjnych. Gdzie mamy je przesłać?

– Do hotelu „Majestic”, proszę. Kolczyki wezmę z sobą.

Madame Quémard zniknęła, aby przynieść etui i zapakować kosztowności. Ja tymczasem otworzyłem saszetkę i odliczyłem sto piętnaście tysięcy franków. Z wygranej zostało mi jeszcze sto dziewiętnaście tysięcy. Quémard przeliczył pięćsetfrankówki, które dziesiątkami pospinane były cienkimi szpileczkami. Wróciła madame Quémard i podała mi etui. Zapakowano je w ciemnoniebieski papier ze złotymi gwiazdkami i opieczętowano. Wetknąłem pakiecik do torebki.

– Ciężko mi będzie wytłumaczyć madame Delpierre, że kolczyki sprzedane – Quémard do końca był uprzejmy.

– Kupiłem je w prezencie dla madame Delpierre. – Za późno zorientowałem się, że może ją tą wzmianką kompromituję.

– Domyślałem się, oczywiście, monsieur Lucas. Proszę wybaczyć głupi żart – rzekł Quémard.

– Tym podarunkiem na pewno uszczęśliwi pan madame Delpierre – dodała pani Quémard.

– Bardzo bym chciał – odrzekłem.

– Dziękujemy za miłą wizytę, monsieur – wygłosił Quémard zwyczajową formułę, odprowadzając mnie z żoną do drzwi.

– Niech pan podziękuję kasynu – rzuciłem na pożegnanie. Kiedy znalazłem się na ulicy, wszystko, co przeżyłem, wydało mi się zupełnie nierealne. Naprzeciwno „Felixa” zobaczyłem młodziutkiego malarza, który między palmami rozwieszał obrazy. Był to ten sam młody malarz, któremu nie dopisywało szczęście. Podeszedłem do niego i dałem mu pięćset franków. Sądził, że ma do czynienia z wariatem, wzbraniał się przed przyjęciem pieniędzy, tym bardziej że nie zamierzałem kupować żadnego obrazu.

– Niech pan weźmie – rzekłem. – Czy jadł pan dzisiaj śniadanie?

Potrząsnął zawstydzony głową.

– Proszę to zrobić jak najszybciej. Musi pan jeść. I to przez parę dni porządnie. Z pustym żołądkiem trudno o szczęście.

– Dziękuję panu, monsieur. Coś podobnego jeszcze mi się nie zdarzyło.

– Mnie też nie. – Kiedy przeniosłem wzrok na morze, amerykańskich niszczycieli już nie było. Odplynęły nocą.

José Sargantana posługiwał się niemieckim wyuczonym w szkole.

– „Kiedy nosorożec zły i ogromny chciałby cię pożreć rozwścieczony, zawnazasu upatrz sobie drzewo, bo wkrótce może być po tobie.” Wiedziałem, że jeszcze umiem. Wilhelm Busch. Zawsze mi bardzo imponował.

– I teraz zawnazasu chce pan sobie upatrzeć drzewo – stwierdziłem bez ogródek.

– Tak – odparł José Sargantana, wracając do francuskiego. – Muszę. Staram się unikać przykrości.

Była dziewiąta czterdzieści pięć, gdy znalazłem się w olbrzymim gabinecie argentyńskiego magnata, potentata w dziedzinie produkcji konserw mięsnych, w jego Residence Bellevue przy avenue du Prince de Galles, położonej w dzielnicy Le Peyrière. Było to jedno z najwytworniejszych miejsc w mieście. Residence Bellevue otaczał rozległy park z palmami, cyprysami i piniami oraz wieloma basenami. Rezydencja należała chyba do największych w okolicy. Jej właścicielem był człowiek o nieco prymitywnym wyglądzie, który zawsze przypominał mi gaucho – pasterza pędzącego olbrzymie stada wołów po przepastnych równinach swego kraju ojczystego. Gdy się zameldowałem, przyjął mnie służący i przekazał sekretarzowi, który wprowadził mnie do salonu. Sargantana wyszedł natychmiast z przyległego pomieszczenia. Zdążyłem zerknąć do sali, w której pięć dziewczyn przy biurkach uderzało w klawisze maszyn do pisania, telefonowało lub obsługiwało dalekopisy.

– Ale ma pan biuro – nie ukrywałem zdumienia.

– Dwa. Obok jest jeszcze jedno. Z siedmioma sekretarkami. Wszędzie mam swoje biura. Wszędzie muszę pracować i być do dyspozycji. Proszę za mną, pokażę panu dom. Nie cały, żona jeszcze śpi. Lubi spać. – I ów zwalisty mężczyzna, tylko w koszuli, spodniach i boso, z twarzą pociemniałą od słońca i kłującymi guziczkami zamiast oczu, które zawsze do połowy miał przymknięte, zaczął mnie oprowadzać po całym mieszkaniu. Były to, jak zresztą sam zauważył, właściwie trzy mieszkania na dwóch piętrach. Kupił wszystkie i przebudował w jedno.

– Każde mieszkanie ma dziewięć pokoi. Kosztowało dokładnie sto siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Liczę najchętniej w dolarach. I tak płaciłem. (Mogę sobie wyobrazić, pomyślałem.) Ale to zaledwie cząstka tego, co tu wpackowałem. Ponieważ apartament był dwupiętrowy, musiałem wbudować schody i windę. Kazałem

zburzyć ściany i zlikwidować kolumny oraz podpory, żeby uzyskać recepcyjne pomieszczenia o odpowiednim metrażu. – Oprowadzał mnie właśnie po nich. Biblioteka i salon, w którym można było również podawać do stołu, były z pewnością dziesięciokrotnie czy nawet piętnastokrotnie większe od tego typu pomieszczeń w normalnych apartamentach. Co u dobrze sytuowanego mieszczucha uchodziło za pokój mieszkalny, u Sargantany było zaledwie garderobą, obudowaną szafami i lustrami. Wszystkie podłogi były z carraryjskiego marmuru, pochwalił się Sargantana, tak samo jak i łazienki. Pokazał mi jedną z nich. Zwyczajne krany i okucia zastąpiono tutaj złotem. Jednak całość z antycznymi meblami i kosztownymi dywanami urządzona była z wielkim gustem.

Wysokie na trzy i do piętnastu metrów szerokie okna dorównywały wymiarami zewnętrznym ścianom. Naturalnie działało urządzenie klimatyzacyjne. Wszystkie pomieszczenia recepcyjne i biura znajdowały się w dwóch dolnych apartamentach, prywatne pokoje na pierwszym piętrze, gdzie jeszcze spała Maria Sargantana. Z okien widać było morze.

– Ile pokoi ma to mieszkanie? – nie byłem w stanie poskromić ciekawości.

– Dwadzieścia dwa – odparł z dumą dziecka, które chwali się szczególnie piękną zabawką. – Wie pan, lubię przestrzeń. W Buenos Aires mamy willę z trzydziestoma dwoma pokojami. A teraz proszę do mojego biura.

W gabinecie za obydwojma biurami sekretarek, dominowała ciemna zieleń. Ciemna zieleń i ciemny brąz oraz stare meble. Potężne biurko było puste. Stał na nim tylko telefon, zapewne z wieloma łącznikami. Kiedy wszedłem, z fotela przed biurkiem podniósł się jakiś mężczyzna. Wysoki, miał rzadkie jasnobłond włosy i bliźnię na lewej skroni. Tym mężczyzną był rewident podatkowy Otto Kessler.

18.

– Co za niespodzianka – powitałem go wylewnie.

– Cieszę się również. – Kessler nie miał skłonności do ironii. – Miałem właśnie do pana dzwonić i pytać o postępy. Moglibyśmy się gdzieś potem spotkać.

– O dochodzeniach zechcą panowie tutaj nie rozmawiać – przerwał nam Sargantana. Usiadł za potężnym biurkiem pod Monetem, popularyzowanym często w albumach. – Prosiłem pana Kesslera, z którym od pewnego czasu mam kontakt, aby się tu również z rana zjawił, bo uznałem, iż to, co mam do przekazania panu,

może być interesujące dla was obojgu.

– Zaproszono mnie dzisiaj na jacht monsieur Trabauda – poinformowałem Kesslera. – Ale już byłem u Lacrosse'a i przekazałem mu wszystko.

– Zaraz stąd do niego pojedę. – Kessler był jednak jakiś nieobecny i roztrągniony. – To od seniora Sargantany mam większość informacji, które dotyczą KOOD ze Schwarzwaldu i funtowych transakcji między mister Kilwoodem i panem Hellmannem, co już referowałem w Düsseldorfie. Naturalnie wszystko dokładnie przebadalem, co nie jest brakiem zaufania wobec pana, señor Sargantana, ale po prostu moją rutynową powinnością.

– Zrozumiałe. Dałem panu przecież tylko wskazówki – rzekł Argentyńczyk. – Zresztą wczoraj Kilwood był znowu kompletnie pijany.

– Tak, w kasynie... – zacząłem, ale Kessler przerwał mi ruchem głowy.

– Już słyszałem. Jestem w dobrej komitywie z pewnym komisarzem. To była naprawdę żenująca scena. Kto odprowadził Kilwooda do domu?

– Fabiani i Tenedos – poinformował nasz gospodarz. – Ale jeśli państwo sądzą, że Kilwood tylko wieczorem tak się zachowywał, to się mylą. Zanim wybraliśmy się do Trabaudów, to znaczy Maria i ja, przyszedł tu już porządnie wstawiony. Mówił, że musi ze mną koniecznie pomówić, zna mnie najlepiej, nie może już tego znieść.

– Czego? – podchwyciłem.

– Winy, strasznej winy, która go przytłacza.

– Co za winy?

– Winy za śmierć Hellmanna – powiedział José Sargantana, po czym zacytował wiersz o nosorożcu.

19.

– I teraz zawczasu chce pan sobie upatrzeć drzewo – nawiązałem do jego recytacji.

– Tak – zgodził się José Sargantana. – Muszę. Staram się unikać przykrości. – I zwrócił się do Kesslera. – Przekazałem panu swoje domysły, pan je sprawdził i uznał za słuszne. Powiedziałem także, że Kilwood jest naprawdę alkoholikiem. Tego, co wyprawiał w ostatnich dniach, nie można już nazwać piciem czy nawet złapaniem. Widział pan go wczoraj – te słowa skierował do mnie. Przytaknąłem. –

Gdyby do ust Kilwooda przytknąć zapalną, to eksploduje. – Sargantana masował teraz swój podbródek. – Nie tak łatwo znaleźć odpowiednie drzewo – stwierdził. – Będzie skandal, to nieuniknione. A ja jestem z Kilwoodem nie tylko zaprzyjaźniony, ale i prowadziłem z nim wspólne interesy, zresztą nadal prowadzę. Prawda na pewno wyjdzie na jaw. Kilwood oszalał na punkcie swoich, zeznań, ogarnęła go jakaś mania prześladowcza. Również wczoraj po południu, gdy do mnie przyszedł, miał tylko zeznania w głowie. Najpierw chciał wołać policję, ale powstrzymałem go.

– Dlaczego?

– Mówię panu przecież, że pierwszej skoczę na drzewo, nim straszny nosorożec, którym może być prawo, sprawiedliwość i co tam jeszcze, pożre mnie z krete-sem. Pomyślałem, że to, co wydobyłem z Kilwooda, przekażę panu. Nie chciałem mieć do czynienia z policją. To jest dla... takiego człowieka... – Był rzeczywiście zakłopotany i po raz pierwszy wydał mi się nawet trochę sympatyczny. – Człowiek z moją pozycją, jeśli w coś takiego wpada, potrzebuje potem przyjaciół i pośredników, żeby go osłaniali. Muszę pozostawać na drugim planie, jakikolwiek obrót przybierze sprawa. Panowie sami przekażą policji francuskiej, co trzeba. Proszę powiedzieć spokojnie, że to ja panów prosiłem o pośrednictwo. Przełożeni tego pana Lacrosse'a na pewno wykażą zrozumienie. Między moimi zakładami a Francją została zawarta ostatnio bardzo poważna transakcja, Francja chce inwestować w Argentynie. Czy muszę dalej mówić?

Z Kesslerem zgodnie kiwnęliśmy głowami. Pomyślałem: a więc to tak się robi w tych kręgach. Kessler zdawał się być przyzwyczajony do podobnych praktyk, nie dziwiło go nic.

– Słuchamy – rzekł.

– A więc Kilwood przyszedł tu podpity i rozdygotany od płaczu. Przypro-wadziłem go do tego pokoju. Chciał zeznawać, koniecznie zeznawać! Wymyślił coś nieprawdopodobnego: międzynarodową konferencję prasową. Nie było mi to na rękę. A sądzę, że nikomu, tym bardziej pańskiemu ministerstwu, panie Kessler.

Ów potrząsnął od niechcenia głową. Miał na sobie tropikalne ubranie w kolorze khaki i sandały.

– Co mówił Kilwood? – spytałem.

Sargantana nacisnęła guzik w bocznej ścianie biurka. Ukazała się nam skrytka z magnetofonem. Z szuflady wyjął plik papierów i nam go podał.

– Aby go uspokoić, zaproponowałem mu nagranie oświadczenia. Potem sam je przepisałem, proszę wybaczyć błędy maszynowe, ale nie mogłem tego powie-rzać sekretarce, a następnie Kilwood podpisał oryginał oraz kopię, gdy mu obieca-łem, że jego oświadczenie przekażę policji.

- Dlaczego sam nie poszedł na policję? – zdziwiłem się.
- Jest tchórzem. Chciał to wszystko wyznać i odebrać sobie życie – oznajmił Sargantana. – Wierzcie mi, panowie, ten człowiek jest bliski delirium. W każdym razie mówił wczoraj wieczorem w tym pokoju, możecie panowie sprawdzić z tekstem.

Sargantana włączył magnetofon.

20.

„Nazywam się Kilwood i chciałbym złożyć... hm... złożyć zeznanie. Oświadczam pod przysięgą, że byłem tym... który José'go Sargantanę... nonsens... który Herberta Hellmanna popchnął do samobójstwa...”

Obracały się krążki z taśmą. W pokoju rozlegał się pijany głos Kilwooda. Wraz z Kesslerem sprawdzaliśmy jego słowa z maszynopisem. A za oknem park lśnił wszystkimi kolorami kwiatów, jakie tylko mogły zakwitnąć, i słońce z ciemnoniebieskiego nieba ogarniało blaskiem ciemnoniebieskie wody.

„Od wielu lat pra... pra... do licha!... pracowałem z Hellmannem, tak jest... Był moim bankierem... Mieliśmy w Niemczech KOOD. Wszystko szło dobrze, przez całe lata, wszystkie nasze manipulacje...” Tu następowały szczegółowe opisy zawieranych transakcji, o których opowiadał w Düsseldorfie Kessler. To się przeciągało, zajmując również sporo miejsca w maszynopisie. Wreszcie: „... przeniosłem funty do banku Hellmanna i poleciłem mu jeszcze udzielić pożyczki w funtach... wszystko razem w wysokości... wy...”

Bełkot.

Ostry głos Sargantany: „Niech się pan weźmie w garść, John!”

Głos Kilwooda, znowu wyraźniejszy: „... w wysokości pięciuset milionów marek zachodnich... Miałem dobry plan... Byłby się udał, gdyby nie Hellmann... Przestraszył się... Przeszedł tutaj, chciał, żebym mu dał *coverage*... Stracił czterdzieści milionów na tej sprawie... Sam zawinił.”

– Relacjonowałem to panu w formie przypuszczenia – szybko przypomniał Kesslerowi Sargantana, a on tylko skinął głową.

„Żądał *coverage*... pokrycia tych ośmiu procent, które stracił... Nie mogłem mu pomóc... Nie miałem wolnej gotówki... Wszystko w tym momencie zainwestowane... Nie, to nieprawda! Ja... To nieprawda...” Szloch, minuty szlochu. Krążki obracają się. Słońce świeci. W ogrodzie śpiewają ptaki. „To kłamstwo! Prawda jest taka, że chciałem zrujnować Hellmanna. Miał zdechnąć! Chciałem jego banku!”

Tak jest, chciałem! Dlatego nie dałem mu ani dolara. Groził, że się zabije... że popełni samobójstwo... Powiedziałem, że to świetna myśl... doradziłem eksplozję statku... aby całość wyglądała na wypadek, a jemu została ta biała kamizelka... Powiedział, że to sprawa serio. Powiedziałem, powiedziałem, powiedziałem... że to także traktuję poważnie. Miałem nadzieję, że potraktuje to poważnie. Słusznie przypuszczałem. Hellmann zabił się – zabił siebie i innych. Gdyby tylko siebie zabił, ale... tylu niewinnych... To mnie doprowadza do szaleństwa!” Teraz głos przeszedł w krzyk: „Tracę rozum! Tylu niewinnych ludzi! A mogłem mu pomóc! Wszyscy mogliśmy mu pomóc! Cała nasza klika! Mieliliśmy dość pieniędzy! On... on... nie wiem, czy się do innych zwracał... Sargantana mówi, że do niego nie... Nie wierzę... niech się pan nie gniewa, Jose, ale panu nie wierzę... Człowiek w jego sytuacji czepia się ostatniej deski ratunku! To pewne... Ale nikt mu nie pomógł... i dlatego nie tylko ja jeden jestem jego mordercą... dlatego wszyscy jesteśmy mordercami... Wszyscy... Ale ja, ja rzeczywiście mam go na sumieniu. To... to było moje zeznanie. Dzisiaj jest poniedziałek, piętnastego maja siedemdziesiątego drugiego roku, godzina osiemnasta dwadzieścia pięć. Nazywam się John Kilwood. Przysięgam, że to, co powiedziałem... jest prawdą, czystą... prawdą, tak mi dopomóż Bóg!” Głos umilkł, taśma obracała się bezszelestnie.

Przeczytałem w maszynopisie ostatnie słowa: „... tak mi dopomóż Bóg.” Pod nimi znajdował się jeszcze podpis Kilwooda, nabazgrany i prawie nieczytelny. Sargantana wyłączył magnetofon.

– Z tym trzeba natychmiast na policję – oświadczył Kessler.

– Dlatego ją właśnie panu daję. – Sargantana przewinął taśmę i wręczył ją Kesslerowi. – Proszę. Przełożeni Lacrosse'a będą wiedzieć, co i jak mają robić. Wierzę, że znalazłem się na drzewie.

– Wczoraj wieczorem w sali gry ciągle krzyczał, że wszyscy państwo są mordercami – zauważyłem wolno.

– No tak, wyjaśnia przecież na taśmie, co ma na myśli.

– To brzmiało zupełnie inaczej – odparłem krnąbrnie.

– Tak pan uważa? – Sargantana patrzył na mnie wyniośle.

– Takie jest moje zdanie – upierałem się. – I tak będę mówić, jeśli zapytają.

A nawet jeśli nie zapytają, będę mówić. Na wszelki wypadek. Zanim go nie wyprowadzono, Kilwood krzyczał coś jeszcze o Algierczyku z La Bocea, od którego wszystko się zaczęło. Co miał na myśli?

– Nie mam pojęcia.

– Naprawdę pan nie wie? – poparł mnie Kessler.

Sargantana wrzucił ramionami.

– Kilwood powiedział mi jeszcze, że cynicznie polecił Hellmannowi, by zatrudnił amerykańskiego specjalistę do przygotowania jachtu, sam by przecież tego nie zrobi! Dziesięć minut później oświadczył, że doradził mu ściągnąć kogoś z paryskiego podziemia. Wczoraj wymyślił Algierczyka z La Bocea. Cóż mogę dodać? Ten człowiek jest w szoku i nie wie, co mówi.

Ach, pomyślałem, coż to były za czasy, kiedy wierzyłem jeszcze we wszystko, co usłyszałem.

– A czy wiedział, co mówi do mikrofonu? – spytałem.

– Myślę, że tak – odparł lodowato Sargantana. – Sugeruje pan coś, monsieur Lucas?

– Tylko pytałem.

– Stawia pan dziwne pytania, monsieur Lucas.

Miałem już dosyć.

– A pan opowiada dziwne historie, señor Sargantana.

– Chce pan powiedzieć, że mi nie wierzy?

– Wierzę panu – odparłem. – Nie wiem, czy powinienem wierzyć Kilwoodowi.

– Ale ja wiem – wtrącił się Kessler. – Teraz jak najszybciej z tym do Lacrosse'a i Roussela. Nie przejmujemy się skandalem. I tak wszystko zostanie zatuszowane, niech się pan nie martwi, señor Sargantana. Jest pan na swoim drzewie. Szybko, panie Lucas, idziemy. Czy ma pan wóz?

– Nie.

– To niech pan woła taksówkę. W ciągu kwadransa spotkamy się u Lacrosse'a. Każdy z nas bierze po egzemplarzu zeznań. Taśmę weźmie pan, panie Lucas. Señor Sargantana, dopóki sprawa się nie wyjaśni, nie będzie pan opuszczał Europy.

– Na pewno nie – przyrzekł Argentyńczyk. – Zostanę na swoim drzewie.

21.

Tego dnia było bardzo gorąco.

W biurze Lacrosse'a obracały się trzy wentylatory. Zniknęli starsi panowie, którzy grali rano w bule, zniknęli rybacy. Ich łodzie były puste, a sieci wyschnięte i białe jak wapno.

Siedzieliśmy sobie z Kesslerem i słuchaliśmy, jak Roussel i Lacrosse rozmawiali z Paryżem. Domagali się przyjazdu przedstawicieli ministerstwa sprawiedliwości oraz przedstawicieli ministerstwa gospodarki zaopatrzonych we wszystkie pełnomocnictwa, prosili też o powiadomienie amerykańskiej ambasady.

Wywnioskowałem z rozmowy, że natrafili na rezerwę i wielki opór. Roussel nacierał coraz bardziej bezpardonowo. Groził, że sam znacznie działać i doprowadzi do skandalu, do którego widocznie za wszelką cenę starano się nie dopuścić.

- Ale stosunki, co? – szepnął mi Kessler.
- Sądzi pan, że u nas byłoby inaczej?

Nie odpowiedział i jak zwykle wyłamywał palce. Urzędnicy wchodzili i wychodzili. Rozmawiał z nimi Lacrosse, był teraz znacznie energiczniejszy i już nie tak smutny. Jego ludzie obserwowali dom, w którym mieszkał Kilwood. Znajdował się on w Mougins, małej miejscowości oddalonej o jakieś osiem kilometrów. Z ich wypowiedzi wynikało, że Kilwood spał jak zabity po ostatniej pijackiej nocy. Dowiedzieli się też przez przypadek od gospodyni, że z rana zażył jeszcze silny środek nasenny. Willa była strzeżona, jak nas zapewnili i Kilwood nie mógłby jej niepostrzeżenie opuścić. W razie próby ucieczki można mu było natychmiast przeszkodzić, wzywając do stawienia się w biurze Lacrosse'a.

Niewielki wzrostem zastępca szefa administracyjnego już przygotował wezwanie, na to potrafił się jeszcze zdobyć. A jednak powiedział:

- Póki nie otrzymamy pomocy z Paryża, wolałbym, żeby facet spał.
- Kiedy się jej spodziewacie?
- Dzisiaj, ale nie przed wieczorem – oznajmił Lacrosse. – A bo co?

Przypomniałem mu jeszcze raz o zamierzonym rendez-vous z Trabaudami.

– Niech pan spokojnie jedzie. Wracając, niech pan spyta w „Majesticu”, czy jest jakaś wiadomość dla pana. Jeśli nie, to znaczy, że się nic nie zmieniło.

- Dobrze. Jak z małą?
- Źle – odparł Lacrosse. – Niestety, źle. Lekarz mówi, że odra jest najgorsza w pierwszych dniach. Biedne dziecko. W taki upał w łóżku...

22.

– Są trzy rodzaje ludzi, z którymi warto obcować – zapewniał Claude Trabaud. – Ludzie o silnym charakterze, lojalni oraz ci, których życie wiele nauczyło. – Wybraliśmy ławkę na rufie „Shalimara” i popijaliśmy dżin z tonikiem. W pomyslnym wietrze łopotała w tyle francuska bandera, za plecami wisiał bączek i uczepione były obydwie wciągarki, obsługujące kotwicę.

Przy dziobie stały Angela i Pasquale. Śmiały się z czegoś, na głowach miały turbany, które osłaniały włosy przed silnym wiatrem. Pasquale, której smukła figura wciąż jeszcze zdradzała modelkę, założyła skąpe bikini. Angela była w kostiumie kąpielowym z cieniutkiego, cielistego tiulu, na którym górą i dołem naszyto białe, grube koronki, ozdobione aplikacjami w kształcie kwiatów. Sprawiało to wrażenie, jakby jej ciało przysłonięto samymi tylko kwiatami.

– Dlatego – dowodził Claude Trabaud – tak chętnie przebywamy w towarzystwie Angeli, dlatego szukamy jej przyjaźni. Życie ją doświadczyło, jest zawsze szczerą, lojalną i wewnętrznie silną. Dobrze rozumiem, monsieur Lucas, że pan kocha Angelę.

Balansując w wąskim przejściu między kabiną a relingiem, obie panie zbliżyły się do nas. Moje kąpielówki, które kupiła mi Angela, miały biało-czarny wzór, Trabaud nosił niebieskie. Wszyscy byli opaleni, tylko ja wyglądałem jak wymoczek i trochę się jednak wstydziłem. Przed wejściem na pokład pościągaliśmy buty, co wedle słów Angeli należało do obowiązkowego rytuału. Przed ławką na rufie przyśrubowano na stałe stół i trzy pokładowe krzesła.

– Jest nam gorąco – oznajmiła Pasquale. – O, jakbyśmy się czegoś napiły!

– Pierre! – krzyknął Trabaud. Musiał krzyżeć, gdyż słowa zagłuszał wiatr, hałasowała śruba okrętowa, łopotąła bandera i kłaskała spieniona za łodzią woda.

Po trzech stopniach wbiegł na górę bosy bosman, piękny chłopak. Dyżurował obok niewiele tylko starszego kapitana, który siedząc w kajucie kapitańskiej na wysokim stołku, czuwał przy stanowisku nawigacyjnym nad całym sprzętem oraz wielkim kołem.

– Co chcecie? – zwrócił się Trabaud do pań.

– A co wy pijecie? Dżin z tonikiem? Niech będzie – szybko zdecydowała Pasquale. – Zgadzasz się, Angelo?

– Bardzo chętnie.

– Jeszcze dwa dżiny z tonikiem, Pierre, bardzo proszę – polecił Trabaud.

– Już się robi, monsieur. – I Pierre, cały w bieli jak kapitan Max, zniknął. Panie usiadły. Byliśmy wszyscy porządnie wysmarowani olejkiem. Angela sama mnie natarła, chroniąc przed porażeniem słonecznym. Abyśmy lepkimi ciałami nie brudzili ławy i krzeseł, wszędzie porozkładano ręczniki. Od Angeli dostałem również białą czapeczkę.

Skądś przybiegł Naftali, cairn-terrier, syn Izraela, i łaścił się do nóg Pasquale. Zadawalony ułożył się na jej stopach z czerwono polakierowanymi paznokciami.

– O czym mówicie? – zainteresowała się Pasquale.

– O Angeli – rzekł jej mąż.

- Ciekawa jestem co.
- Że ją kochamy. – I Claude pocałował Angelę w rękę.
- Ach, proszę. – Spostrzegła mój natarczywy wzrok i uśmiechnęła się do mnie, a wówczas z jej oczu posypały się złote iskierki.

Pierre wrócił z dwoma drinkami i postawił je na stole. Piliśmy teraz wszyscy, tymczasem Max przygotował jacht do wielkiego okrążenia, podrywając go w pośpiechu. Wiatr szamotał się z moją czapką, piana rozbryzgiwała się nad naszymi głowami, dookoła miałem tylko słońce i morze, a w sobie uczucie wielkiego spokoju i szczęśliwości.

- Na horyzoncie Nicea – usłyszałem głos Trabauda.

Z biura Lacrosse'a pojechałem do „Majestica”, gdzie ułożyłem zaszyfrowany telegram do Gustawa Brandenbura. Zawiadomiłem go o wszystkim, co się wydarzyło. Telegram był bardzo długi. Chciałem, żeby mi poradzono, jak się mam zachować, gdyby skandal zatuszowano i zostawiono Kilwooda w spokoju. Potem pojechałem do Port Canto. Wszyscy już czekali na mnie na pokładzie. Nie zdjęto jeszcze trapu. Postawiłem właśnie na nim nogę.

- Buty! – zakomenderowała Angela.

Tak więc wszedłem na pokład boso. Naftali przywitał mnie wesołym ujadaniem, a po odcumowaniu, kiedy wypływaliśmy z portu, Trabaud oprowadził mnie po całym statku. Miał dwa silniki General-Motors, każdy po dwieście osiemdziesiąt trzy konie mechaniczne, i dodatkowy dieslowski na akumulator, długość pokładu wynosiła osiemnaście metrów, a szerokość pięć i przy swoich czterdziestu pięciu tonach osiągał prędkość osiemnastu węzłów. Rufę z pierwszą górną kabiną łączyły schodki. Tu, po prawej stronie, za potężną szybą, było stanowisko kapitana, po lewej – urządzenie radarowe. Usytuowane między obydwoma blokami nawigacyjnymi schodki prowadziły do salonu, wyłożonego ciemnym drewnem, z meblami w niebieskim obiciu i lśniącymi, miedzianymi okuciami. Parę stopni niżej znajdowały się kabiny dla gości z piętrowymi łóżkami. Każda miała umywalnię. W jednej z nich przebrałem się, Angela zajęła drugą. Naprzeciw kabin znajdowała się kuchnia z elektryczną kuchenką. Dalej jeszcze, ku przodowi wysunięte kajuty zajmowali młodzi ludzie, kapitan i drugi mat. Natomiast na drugim końcu statku, pod rufą, gdzie urządzone wypoczynkowy kącik, była duża kabina z podwójnym łóżkiem, regałami książek, wbudowanymi w ścianę szafami i telefonem, tu sypiali Trabaudowie, kiedy udawali się w długi rejs. Łódź pachniała płótnem żaglowym i dziegiem. Trabaud był bardzo dumny ze swego statku. Byłbym chyba także...

- Na wprost Nicea – usłyszeliśmy głos Claude'a Trabauda.

Zmieniając kierunek, jacht prawie zatoczył koło i pędził ku brzegowi Nicei. Koło stóp dostrzegłem czworokątną skrzynię. Była to, jak mi wyjaśnił Trabaud,

samonadmuchująca się łódź ratunkowa, wystarczyło ją rzucić do wody i automatycznie się rozwijała, mogąc pomieścić dwanaścioro ludzi. W pontonie tym zabezpieczone były suchy prowiant i woda, rakietnice, nadajnik i farba, która nabłyszczająca wodę, aby łódź ratunkowa była widoczna z powietrza. Na lewo od wejścia do kajuty kapitana wisiało koło ratunkowe w białym kolorze, z niebieskim napisem „Shalimar”. Burty jachtu były białe. Rufę z pokładem kapitańskim łączyła drabina. Na samej górze można się było nawet opalać nago.

Brzeg Nicei znacznie się zbliżył. Widziałem już inne jachty i zaludnione plaże. Dostrzegłem obydwie wstrętne molochy mieszkaniowe, już wcześniej mi znane, owe potworne drapacze chmur, szerokie u podstawy i zwężające się ku górze, szare i nieludzkie, jednakże zamieszkane przez tysiące ludzi. Nie umiałbym zliczyć pięt, a tym bardziej okien. Zwielokrotniona wieża Babel.

– Jak się to panu podoba? – zagadnął mnie Trabaud. Powiedziałem prawdę, a Pasquale zaśmiała się.

– Dlaczego się pani śmieje?

– Bo Claude utopił w tych monstrach mnóstwo pieniędzy.

– Też mi się nie podobają – zgodził się Trabaud. – Spróbuję sprzedać je z zyskiem, nie będzie to trudne. Nad całą zatoką zaczął się prawdziwy boom budowlany. Jeśli chciałby pan zainwestować pieniądze, powinien pan tu budować, nie ma lepszej lokaty.

– Ja... – zacząłem i usłyszałem śmiech Angeli.

– Wybaczone państwu – rzekł Trabaud. – Zawsze myślę o interesach.

– Ach, Robert jest nadzwyczajnie bogatym człowiekiem – zauważyła Angela. – Wiecie przecież, ile wczoraj wygrał w kasynie.

Nie wiesz jednak, pomyślałem, co z tym zrobiłem i co jest teraz w mojej torebce, która leży w kabinie.

– W dodatku – zaczął nieoczekiwanie Trabaud – chciałbym się przed panem usprawiedliwić, monsieur Lucas. Wczoraj wieczorem nie powiedziałem panu prawdy, zwyczajnie pana oszukałem.

– Oszukał pan? Kiedy?

– Opowiadając panu, że miałbym również powód do zamordowania Hellmanna, bo robiłem z nim ciemne interesy dewizowe.

– Nie robił pan?

– Nie – rzekł Trabaud. – I nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. Kredyty miałem w banku Hellmanna na każde żądanie, to prawda. I teraz je mam. To wszystko.

– Nie rozumiem – odparłem. – Dlaczego więc się pan obwiniał?

– To był taki test – powiedział. – Widzi pan, z Hellmannem byłem szczerze zaprzyjaźniony. Jego śmierć dotknęła mnie głęboko. Chciałbym na własną rękę

wysondować, kto go ma na sumieniu, dlatego oskarżyłem się przed gośćmi. Miałem ochotę sprawdzić, czy się ktoś sprzeciwi i jak zareagują. Nikt się nie sprzeciwił. I wszyscy zareagowali bardzo dziwnie, nie uważa pan?

– Tak – przyznałem – bardzo dziwnie. Szczególnie generalny pełnomocnik Seeberg. On przecież znał prawdę, że się pan niesłusznie oskarżał – i nie sprzeciwił się jednym słowem. Przyznam, że to dosyć zastanawiające.

– Seeberg to mądry człowiek. Nie chciał mnie może zdradzić, że kłamałem lub również zdziwił się i zgodził w następstwie na mój plan, mając nadzieję, że się uda. Mógł mieć wiele powodów. Ale proszę nie zapominać, że kiedy wydarzyło się to nieszczęście, Seeberg był jeszcze w Chile. Mało prawdopodobne, by zabił swego szefa. Jakkolwiek rzecz się ma, musi pan wiedzieć, że naprawdę nie robiłem z Hellmannem żadnych machlojek – nigdy. Idiota ze mnie, pieniądze zdobywam w trudzie i uczciwie.

– Czy pamięta pan, co mu o nas wczoraj mówiłam? – wtrąciła się Pasquale.

– Tak.

– To dobrze. I mówcie sobie Claude i Robert, niech wszyscy mówią sobie po imieniu! – zaproponowała Pasquale. – Kto jest przeciw, niech podniesie rękę.

Nikt się nie zgłosił.

– Cześć, Robert – pierwszy odezwał się Claude Trabaud, nakładając wyblakłą czapkę kapitańską.

– Cześć, Claude – odpowiedziałem.

– Tak właśnie trzeba. Jesteście głodni? – spytała Pasquale.

– Niewyobrażalnie – odparłem.

– No to do garów – rzuciła hasło. – Angela chciała ci pokazać Iles de Lérins. Jeśli nie zdążycie zobaczyć Wyspy Świętej Małgorzaty, to przynajmniej odwiedźcie Wyspę Świętego Honorata, która jest bardziej interesująca i piękniejsza.

– I mniejsza – zauważył jej mąż.

– Zrzucimy kotwicę i zabierzemy się do jedzenia – zadecydowała Pasquale.

– Będzie nadziewana papryka, przygotowałam ją z rana. Trzeba tylko odgrzać. Podnieś się Naftali, synu Izraela! – Poczochrała go jeszcze delikatnie i jak młoda dziewczyna zakotłowała się na stopniach kapitańskiej kajuty.

– Pójdę ci pokibicować – ofiarował się Claude.

– Całkiem słusznie – rzuciła przez ramię – niech młode szczęście zostanie trochę samo. Poślemy wam jeszcze dwa dziny z tonikiem, okay?

– Okay, Pasquale – podziękowałem.

Angela była już przy mnie na ławce. Objąłem ją. Statek jak szalony wracał na otwarte morze.

- Czy nie są wspaniali oboje? – Angela zwróciła ku mnie twarz.
 - Nadzwyczajnie.
 - A ty, czy jesteś szczęśliwy Robercie?
 - Bardzo – i przytuliłem ją do siebie.
 - To dobrze – ucieszyła się. – To cudownie. Chciałabym, żebyś wreszcie był szczęśliwy.
 - Od ciebie – ledwie zacząłem i poczułem słoną wodę na ustach – tylko od ciebie to zależy. Już mnie uszczęśliwiłaś.
 - I będę chciała więcej.
- Mijał nas wielki jacht i fale rozkołysały się teraz wokół „Shalimara”, który tańczył i huśtał się trochę. Trzymałem Angelę mocno w ramionach.

23.

Chwyciłem za linę, a Pierre za jej koniec i kiedy dobijaliśmy do przystani, wyskoczył pierwszy, dociągnął bączka do brzegu, po czym pomógł przy wysiadaniu Angeli i mnie. Powiedział, że zostanie w łódce i trochę popływa, a my mamy się nie przejmować czasem.

Na morzu pozostał zakotwiczony „Shalimar”. Na słonecznym pokładzie, na samej górze opalała się naga Pasquale, niedostrzegalna dla cudzych oczu, a w dużej kabinie na dole wypoczywał Claude, oboje celebrowali południową drzemkę. Było bardzo gorąco, ale tutaj wiał wiatr i mniej dokuczał upał.

Angela przebrała się w jasnozielony kostium ze spodniami i dopasowała odpowiednie pantofle. Wzięła mnie za rękę i z przystani ruszyliśmy w kierunku potężnej zrujnowanej bramy. Wyspa Świętego Honorata miała najwyżej półtora kilometra długości i może z pół szerokości. Pełno tu było sosen aleppo, drzew eukaliptusowych, róż i mimoz, złocieni i gladioli.

- Chętnie tu zaglądam. Zawsze się wtedy wspinam na wieżę klasztoru – wyznała Angela. – Wiele razy tutaj malowałam. Czy wiesz, że ta wyspa przez całe stulecia panowała nad Cannes, że nie było odwrotnie? Prawdę mówiąc, to wyspiarze zbudowali miasto jakieś piętnaście wieków temu.

Minąwszy bramę, szliśmy teraz długą aleją eukaliptusową. Na bramie widniał napis „L'Abbaye”.

- Wyspy dlatego nazywają się Lérins, że na największej, tam w głębi, znajdowała się kiedyś świątynia poświęcona Leronowi.
- Kim był Lero?

– Bóstwem, kimś w rodzaju Herkulesa. Klasztor, o, już go widać przed nami, założył święty Honorat prawdopodobnie około czterechsetnego roku po narodzeniu Chrystusa. – Idąc, trzymaliśmy się wciąż za ręce i rozmawialiśmy po niemiecku. Kiedy byliśmy sami, zawsze mówiliśmy po niemiecku, a przy innych osobach po francusku.

Zaczęła mnie boleć lewa stopa, ale nie przejmowałem się tym. Kiedy Angela trzymała mnie za rękę i szła u mego boku, kiedy słyszałem jej głos, wszystko inne było mi obojętne.

Aleja się skończyła i staliśmy oto przed klasztorem. Zorientowałem się, że niezbyt szczęśliwie go odrestaurowano, tylko w krużganku ocalała dawna piękność. W zdziczałym ogrodzie dostrzegłem fragmenty najrozmaitszych pomników kamiennych i pozostałości rzymskich kolumn. Dwóch kapucynów w habitach, jeden mały i beczkowaty, drugi wysoki i chudy, grało w wolanta. Biegali rozbawieni i ścinali w powietrzu lekką piłkę. Grubas pocił się i dyszał. Gdy dostrzegli Angelę, natychmiast podszli i pozdrowili nas uprzejmie. Angela podała im rękę, przedstawiła mnie i wtedy przywitałem się z nimi również. Obaj mnisi byli najwyraźniej ucieszeni z tego nowego spotkania z Angelą.

– Madame jest tak śliczna – rzekł gruby mnich – że to na jej cześć nasz migdałowiec zakwita co tydzień.

– Co za migdałowiec? – spytałem.

– Według legendy – wyjaśnił chudzielec – święty Honorat miał siostrę, świętą Małgorzatę. To ona wraz z całym zgromadzeniem chrześcijańskich dziewic osiedliła się za jego życia na wyspie naprzeciw nas, Wyspie Świętej Małgorzaty. Bardzo kochała swojego brata, ale święty Honorat zabraniał jakiegokolwiek kobiecie postawić choćby stopę na jego wyspie. Sam odwiedzał siostrę tylko raz w roku. Powiedział, że zjawi się zawsze, gdy zakwitnie migdałowiec. Siostra, bardzo kochając brata, modliła się o cud i Bóg Wszechmogący sprawił, iż migdałowiec zakwitał każdego miesiąca, tak że święty Honorat mógł co miesiąc przychodzić w odwiedziny, zgodnie ze swą przysięgą. Ale gdyby znał madame...

– Nie zostałby świętym – odpowiedziałem. – Ładne rzeczy mają w głowie pobożni mężowie. – Obaj wybuchnęli śmiechem.

– Chwileczkę, proszę zaczekać – odezwał się nagle grubas i szybko pobiegł do klasztoru, tocząc się jak biała kula po czerwonej dróżce.

– Pewnie będzie pani chciała pokazać panu klasztor, czy tak? – zwrócił się do Angeli chudy mnich.

Skinęła głową.

– Mnie do klasztoru nie wolno. W ciągu stuleci, niestety, bardzo podupadł. Zostało już tu tylko czterech mnichów. Wyspa została sprzedana na licytacji.

Właścicielami byli różni ludzie: aktorka Sainval, pierwsza odtwórczyni roli Hrabiny w „Weselu Figara” Beaumarchais'go, potem biskupi z Fréjus, potem dominikanie, a ostatnio cystersi.

Przyturlał się mały, gruby mnich. Niósł zieloną butelkę.

– Dla pani i pana – rzekł. Likier „Lerina” produkowali sami zakonnicy. – Madame malowała na wyspie, malowała monaster i *chateau* i kilka obrazów nam podarowała. Zawiesiliśmy je na honorowym miejscu w klasztorze – paplał mały grubas. – Madame może od nas dostać tyle butelek, ile tylko zechce.

– Dziękuję – odparła. – Ale wobec tego wszyscy czworo łykniemy sobie zaraz. Tylko jak wyciągniemy korek?

– I o tym pomyślałem – po tych słowach grubas wysupłał z czeluści swego habitu nóż z korkociągami. Otworzył butelkę, która zaraz poszła w obieg. Najpierw napiła się Angela, po niej ja. Likier był cierpki i pyszny. Chudzielec uniósł butelkę w górę: – Wznoszę toast, za czas pokoju i spokoju dla was obojga.

– Dziękuję. – Sięgnąłem po banknot. – Może mógłbym coś ofiarować na klasztor...

– Może pan – grubas ucieszył się. – Może pan, monsieur. Nie jesteśmy bogaci i dziękujemy panu. Życzymy pięknego dnia.

Znów uściskaliśmy sobie dłonie i ruszyliśmy dalej. Lewa stopa bolała mnie już naprawdę. Zatrzymałem się i odwróciłem. Obaj zakonnicy kiwali nam wyraźnie rozbawieni. Machałem teraz i ja, w jednej ręce trzymając butelkę.

– Oto *chateau* – oznajmiła Angela. Twierdza leżała blisko klasztoru. – W *chateau* chronili się zawsze mnisi, gdy tylko zbliżały się podejrzane statki. Budowlę wzniesiono około 1100 roku, żeby bronić się przed napadami piratów. Zobacz, *chateau* nie jest zamkiem, lecz wieżą obronną.

Ból nasilił się, ale starałem się nie pokazywać tego po sobie, żeby jej nie niepokoić.

Parter wieży, zapadły i kwadratowy, miał wewnętrzny dziedziniec. Jego mury złote od słońca, wzniesione na płaskiej skale przy brzegu, błyszczały pośród niebieskiego morza i sosen. Jakieś cztery metry nad ziemią znajdowały się drzwi ze schodami.

– Dawniej nie było tu schodów – wyjaśniała Angela, idąc u mego boku – i mnisi posługiwali się drabiną. Wciągal ją za sobą, gdy tylko pojawiał się na horyzoncie żagiel Saracenów. Przedtem zapalali ognie ostrzegawcze, które były sygnałem dla strażnicy na Mont Chevalier. – Weszliśmy do kaplicy, bardzo już zrujnowanej. – Tu aktorka Sainval miała swój salon – opowiadała.

Przez okno wyjrzałem na dziedziniec i dostrzegłem rzymską cysternę. Galerie sięgały wysokości drugiego piętra, kiedyś były może drogą krzyżową. Za kaplicą

znajdowała się rzeczywiście bardzo duża sala.

– Wszyscy mieszkający na wyspie często się tutaj chronili – mówiła dalej Angela. – Słyszałam, że na górze spali zakonnicy.

Szerokie, kręcone schody zaprowadziły nas na drugie piętro. Kierując się ku wielkiej sali dawnej biblioteki, mijaliśmy puste, stęchłe cele mnichów. Zabrakło mi nagle tchu, stopa ciążyła jak ołów i zacząłem posapywać.

– Nie za szybko idę, Robercie?

Zaprzeczyłem.

Wchodziliśmy na trzecie i czwarte piętro. Na trzecim piętrze, powiedziała Angela, mieszkał opat, na czwartym służba i strażnicy. Dotarliśmy na sam szczyt zwieńczony blankami.

– Przenikają się tu wszystkie style – Angela była w swoim żywiole. – Przez stulecia stale rozbudowywano *chateau*.

Staliśmy teraz w prażącym słońcu, wysoko ponad wyspą i morzem. I

– Bywałam tu często – mówiła dalej, a ja oparłem się o balustradę, żeby odciążyć lewą nogę. – Spójrz, Robercie, naprzeciwko mamy Cannes – pokazała ręką. – Miasto nad morzem i zbrocze z rezydencjami. Mieszkam tam w górze, za tymi wysokimi palmami – dodała. – Kocham to miejsce, nigdzie indziej nie chciałabym mieszkać. Znam ciemne strony Cannes, ale mimo to chcę tu zostać na zawsze.

– Chciałbym i ja – wyznałem. W tysiącach szyb dalekich domów iskrzyło się słońce. Dzisiaj u wejścia do zatoki widać było mnóstwo białych żagli, być może odbywały się jakieś regaty. Ból w stopie stał się tak nieznośny, że szybko i ukradkiem połknąłem kilka tabletek. Angela natychmiast to zauważyła.

– Co ci jest?

– Wiesz przecież, łykam po jedzeniu.

– Nieprawda – odparła. – Coś cię boli, Robercie. Widzę to po tobie. Powiedz mi, proszę, Robercie. Powiedz.

– Nic, nic, naprawdę nic się nie stało. – Siłilem się na obojętność, ale w następnym momencie musiałem usiąść, nie wytrzymałem bólu.

– Robercie! – Angela uklękła przy mnie.

– Już dobrze – uspokajałem ją. – Coś mnie boli, ale to nic takiego. Z papierosów, powiedział lekarz.

– Serce?

– Nie. Stopa. Lewa stopa.

– Ściągaj but.

– Nie chcę. Naprawdę, Angelo, zaraz mi przejdzie. Ja...

Już jednak zdjęła mój but i obserwowała dokładnie stopę. Potem chłodnymi, suchymi dłońmi zaczęła masować palce i całą stopę, która spoczywała teraz na jej

kolanach. Opierałem się plecami o mur, gdy ona klęczała przede mną, ugniatając i masując zbolaną nogę.

– Nie bój się – uspokajałem ją – naprawdę nic się nie stało. Niekiedy mi się to zdarza. Lekarz mówi, że to nic strasznego. – I tak znowu skłamałem, oszukałem kobietę, którą kochałem.

– Musisz iść do specjalisty, Robercie. Do najlepszego, jakiego mamy. Obiecasz mi?

– Tak.

– Musisz przysięgnąć.

– Przysięgam. – Nad tą przysięgą powinienem się być zastanowić.

– Nie może ci się nic stać teraz, kiedy się oboje odnaleźliśmy. Mój Boże, to byłoby straszne, to byłoby okropne...

– Nic się nie stanie. – Słońce paliło. Z oddali dobiegał mnie śmiech mnichów.

– Jeśli coś ci dolega, jeśli to jakaś choroba, to niech ja pocierpię, a nie ty.

– Angelo, gadasz głupstwa.

Podniosła moją stopę i wsparłszy o pierś, dalej ją masowała. Uczułem nagle, jak ból ustępuje, jak z każdą chwilą znika.

– Już przechodzi – prawdziwie się ucieszyłem. – Zawsze szybko mija.

Chłodnymi palcami Angela masowała jeszcze nogę. I ból zupełnie zniknął.

– Już dobrze?

Przytaknąłem głową, po czym wstałem. I wysoko ponad morzem i wyspą, pod bezkresnym niebem, na szczycie prastarej twierdzy, objęliśmy się i zastygli w pocałunku, który, jak to niebo, zdawał się nie mieć końca. Być może w niepamięć pójdzie wszystko, co się w moim życiu zdarzyło. Ale nigdy, aż po godzinę śmierci, nie zapomnę tego pocałunku, danego i przyjętego w żarze wczesnego popołudnia na szczycie *chateau*, na Wyspie Świętego Honorata.

Wreszcie rozłączyły się nasze wargi.

– To znaczyło na zawsze – przestrzegłem ją.

– Tak – zgodziła się Angela poważnie.

– Na całe życie – dodałem.

Schyliła się, podniosła butelkę i odkorkowała, podała mi ją, a potem sama się napiła. Resztkę wylała na rozpaloną słońcem posadzkę i zrzuciła z wieży butelkę, która rozprysła się na wszystkie strony.

– Za podziemne bóstwa – zawołała. – Wiesz jakie?

– Wiem, wiem. – I pomyślałem, że człowiek tylko w uszczęśliwianiu drugiego człowieka może się zbliżyć do bogów, pomyślałem też o kwitnącym migdałowcu

świętego Honorata i powiedziałem głośno: – Nam migdałowce powinny kwitnąć każdego dnia i każdej nocy.

– Każdej godziny, każdej minuty, zawsze, Robercie. Dopóki tylko starczy życia.

Na szczycie muru dostrzegłem drobną jaszczurkę. Siedziała nieporuszona i okrągłe oczka skierowała na nas.

24.

– Wielonarodowe korporacje – Claude Trabaud był w swoim żywiole. – Co to znaczy? To spółki, które działają na terenie wielu państw, a dostosowując swe programy produkcyjne i inwestycyjne do koniunktury handlowej, z łatwością przenoszą się z kraju do kraju...

Siedział na rufie statku, który lekko się huśtał, naprzeciwko mnie, z bosymi nogami na krześle i ze szklanką whisky w ręce. To już było po powrocie z wyspy. Angela i Pasquale leżały wyżej na słonecznym pokładzie i jeszcze opalały swe nagie, brązowe ciała. Słyszałem, jak cicho z sobą rozmawiały. Było spokojne, późne popołudnie. Max i Pierre wycofali się do swych kajut. Małymi łykami i ja sączyłem, whisky. Woda była tu tak przejrzysta, że wzrok dosięgał dna i można było podziwiać cały krajobraz skał i porostów oraz wielkie i małe ryby.

– Wszystkie te międzynarodowe spółki są niezmiernie bogate. Produkcja niektórych osiąga wartość większą niż dochód narodowy średniego państwa. Na przykład obroty General Motors są większe niż produkt społeczny brutto Niderlandów. Standard Oil, Royal Dutch i Ford mają obrót większy od produktu społecznego brutto takich krajów, jak Austria czy Dania. General Electric znajduje się w tabeli wyżej niż Norwegia, Chrysler wyżej niż Grecja, a brytyjsko-niderlandzka spółka Unilever na tym samym poziomie co Nowa Zelandia. Struktura zarządzania jest w tych firmach tak skonstruowana, że miejsca, gdzie podejmowane są decyzje, nie można prawie wcale uchwycić. Nawet w tak uprzemysłowionym państwie jak Anglia zagraniczne koncerty kontrolują ponad dwadzieścia procent kluczowego przemysłu. Jedna trzecia ze stu największych przedsiębiorstw niemieckich zarządzana jest ostatecznie poza krajem, a to są naprawdę wielkie przedsiębiorstwa...

Pokładem przespacerowałem się wolno Naftali, by ułożyć się wygodnie obok Claude'a Trabauda. W górze rozlegał się śmiech obu pań. Powiał wiatr, jacht zaczął się silnie kołysać.

– Nikt dzisiaj, nawet instytucja państwa, nie jest w stanie zakłócić działalności tych korporacji. Znalazły się one wszystkie poza punktem, z którego takie

posunięcia byłyby możliwe, wyjąwszy oczywiście reorganizację całej gospodarki światowej, co jest trudne do wyobrażenia. Jest więc wiele rzeczy w postępowaniu owych spółek, które ani z narodowego punktu widzenia, ani z węższego, określonego przez załogi pracownicze, nie są pożądane. Same decydują, gdzie przeprowadzać prace badawcze i rozwojowe, a gdzie produkować. Mogą rozstrzygać, co i w jakiej ilości powinno być produkowane. Mogą przeszkadzać w ekonomicznym wykorzystaniu nowych pionierskich wynalazków, jeśli jest to sprzeczne z ich interesami. Są tak wielkie i elastyczne, że uodporniły się na wszelkie naciski, nawet ze strony rządów. Można się tylko domyślać ich finansowej, a tym samym produkcyjnej aktywności – ich wpływów na rynek, na konkurencję, a nawet na politykę i państwo, czym nie chciałbym zanudzać. Przyjaciele moi z branży hotelowej, podobnie jak ja, są głęboko przekonani, że presję na funta trzeba bezwzględnie wiązać z międzynarodowymi spółkami. Wyrosła potęga, która sama może wstrząsnąć rynkami walutowymi całego świata, decydujący czynnik, wymykający się spod jakiegokolwiek prawnej kontroli.

– Krótko mówiąc, już się nic nie da zrobić? – spytałem.

– Jeśli poszczególne państwa nie zmobilizują się i nie zaczną się bronić, działalność owych monstrualnych tworów pozostanie nieuchwytna i bezkarna i doprowadzi w konsekwencji do totalnego chaosu. – Trabaud spojrział na mnie i uśmiechnął się. – Pomyślisz, że takiemu jak ja łatwo się gada. Potrafię rzeczywiście zarabiać pieniądze i to bardzo duże, ale jednocześnie znam obowiązki społeczne, nie uważasz?

– Oczywiście.

– Nie należę do żadnej z owych międzynarodowych spółek. Hotele buduję zawsze we współpracy z krajami, w których powstają. Z grona osób, które wczoraj poznałeś, jestem jedyny, który może to o sobie powiedzieć.

Nagle stałem się czujny.

– Dlaczego tak uważasz?

– No, wiesz przecież.

– Co?

– A więc nie wiesz. To Fabiani, Thorwell, Sargantana, Tenedos i Kilwood tworzą taką spółkę – działają na całym świecie, także w twoim kraju, KOOD należy do nich wszystkich, rozumiesz?

Statek nagle się gwałtownie rozkołysał i byłem w stanie tylko przytaknąć. KOOD należy do nich wszystkich... A więc nie tylko Kilwood, ale także Tenedos, Sargantana, Fabiani i Thorwell.

– Coś im z bankiem musiało nie wyjść, mam na myśli Hellmanna, ale nie wiem co. Mając w rękach tak gigantyczne przedsiębiorstwo, byli w stanie wyratować go z każdej, ale to każdej opresji, działając tym samym we własnym interesie.

Rozporządzają nieograniczonymi środkami. Tymczasem Hellmanna zamordowano.

- I nikt nie wie, dlaczego.
- Nikt.
- Claude, nie wyobrażasz sobie, jak bardzo mi pomogłeś – powiedziałem.

25.

O siódmej wieczorem wróciliśmy do Port Canto. Starym i ulubionym zwyczajem Claude chciał zostać na pokładzie, porozmawiać i wypić, jednakże Pasquale przemówiła mu do rozsądku:

– Widzisz przecież, że chcą być sami. No więc zmobilizuj się i chociaż raz upij się ze swoją staruszką.

Palilo mnie od słońca ciało, całe już purpurowe, mimo wielkiej ilości kremu i oliwki, piekła mnie też twarz, którą za bardzo chyba wystawiłem na słońce. Podziękowałem Pasquale za wspaniały dzień.

– Nie gadaj o cudownościach – machnęła ręką. – Powtórzmy wkrótce wycieczkę. Jesteś przyjacielem Angeli, a więc i naszym przyjacielem, prawda, Naftali?

Terier zaszczekał. Pożegnaliśmy się z Pierre'em i Maxem, którym wręczyłem napiwek. Z butami w rękach wydostaliśmy się trapem na bulwar. Angela zaparkowała mercedesa dokładnie pod ogromnym hasłem, wypisanym na murze nabrzeża, które brzmiało: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się”. Niosłem dużą torbę Angeli, do której zapakowała ręczniki, swój kostium kąpielowy i moje kąpielówki. Kiedy zakładała buty, podtrzymałem ją za ramię, a potem zaraz też włożyłem swoje.

- Już nic nie boli? – szepnęła.
- Jakby ręką odjął.

Trabaudowie stali na statku i machali nam na pożegnanie, póki Angela nie wyprowadziła mercedesa z portu.

– Pić mi się chce – stwierdziła. – Wam, panom, dobrze było przy wodopoju, ale ja z Pasquale miałam na górze prawdziwą smażalnię. W takim razie stop. – Skręciła w prawo kierownicę i zatrzymała się przed parterowym budynkiem pod szyldem „Club-House Port Canto”. Weszliśmy do chłodnego holu i mijając kolejne pomieszczenia klubowe oraz mały bar z trzyosobową kapelą, wydostaliśmy się na ocieniony taras. Wybraliśmy stolik blisko ściany, gdzie dochodziła muzyka. Były tu, prócz nas, tylko cztery pary.

Zamówiłem szampana i kiedy się pojawił, Angela wypiła duszkiem cały

kieliszek, który zaraz znów napełniłem. Zapadał wieczór, światło z minuty na minutę zmieniało swój blask, a powietrze przypominało jedwab. Przeszedłem do baru, otwartego na oścież, dałem muzykom jakieś pieniądze i poprosiłem o „Blowin'in the wind”. Wróciłem do naszego stolika, gdzie Angela już mnie wypatrywała.

- Co tam robiłeś?
- Nic – odparłem.

Sączyliśmy szampana i po chwili rozbrzmiały pierwsze takty „Blowin'in the wind”.

- Nasza piosenka – zdumiała się Angela.

Zerwała się i wybiegła do baru, a za chwilę z głośników na pustym prawie tarasie popłynął jej głos. Śpiewała do mikrofonu, bardzo cicho, prawie szeptem i tak wpół śpiewane, wpół szeptane niemieckie słowa zaczęły się układać w piosenkę. „Przez ile dróg musi przejść każdy z nas, by mógł człowiekiem się stać? Przez ile mórz lecieć ma biały ptak, nim w końcu opadnie na piach...”

Fortepian. Perkusja. Przytłumiony saksofon. Głos Angeli. Przechylony do tyłu, piłem szampana, a moje myśli wędrowały.

Powiedziałem, że nie jestem żonaty. Oszukałem ją, to podłe.

„...przez ile lat nie odważy się nikt zawołać, że czas zmienić świat...”

Paliło mnie ciało. Nie od słońca i nie od szampana. Wiesz, dlaczego. Oszukałeś ją. Masz w domu żonę. Nie jesteś wolny. Nie...

„...Odpowie ci wiatr, wiejący przez świat, odpowie ci, bracie, tylko wiatr” – rozchodził się w przestrzeni szept.

A jeśli nawet! Naraz pozbyłem się skrupułów. Nie obchodzi mnie nic! Jestem wolny! Moje małżeństwo umarło, tylko na papierze Karin jest moją żoną. Kobieta, którą kocham, jest tutaj, blisko mnie i ma na imię Angela.

Śpiewała: „...przez ile lat ludzie giąć będą kark, nie wiedząc, że niebo jest tuż? Przez ile łez, ile bólu i skarg przejść trzeba, a przeszło się już?”

Nie chcę powiedzieć prawdy i nie powiem jej. Modlić się będę, by nikt inny mnie nie wyręczył, by nie zdradził Angeli, jak właściwie jest. Muszę do końca wyjaśnić sprawę, którą się zajmuję. Muszę pracować, zarabiać pieniądze, nie wolno mi zawieść.

„...Odpowie ci wiatr, wiejący przez świat, odpowie ci, bracie, tylko wiatr...”

Muszę... muszę... Co? Co muszę? Czy chociaż raz jeden nie mogę być szczęśliwy? Całe życie zawsze tylko musiałem i musiałem.

Coraz więcej było we mnie przykrych usprawiedliwień, wiedziałem bowiem, jak krzywdzę Angełę, nie mówiąc jej prawdy. Nie mogłem powiedzieć. Gdybym się na to zdobył, na pewno bym ją stracił...

„...Jak blisko śmierć musi przejść obok nas, by człowiek zrozumiał swój los...”
– śpiewała Angela.

Nie chcę jej stracić! Nigdy! Byłby to koniec, koniec wszystkiego...

„Odpowie ci wiatr, wiejący przez świat, odpowie ci, bracie, tylko wiatr...”

Głos umilkł. Wolno i melancholijnie zastąpił go teraz saksofon, doprowadzając melodię do końca. Pod nieobecność Angeli otworzyłem paczuszkę od Van Cleefa i obydwie kolczyki wpuściłem do kieliszka, w połowie napełnionego szampanem. Wróciła promienna do stolika. Podniosłem się.

– Dziękuję – powitałem ją – dziękuję, Angelo.

– Nasza piosenka – powiedziała. – Nasz kościół. Nasza pieśń. Nasz kącik na tarasie „Majestica”. Tyle naszego. I będzie więcej. Przepraszam, kochany kąciku, żeśmy się dzisiaj sprzeniewierzyli tobie. Wrócimy jutro. – Usiedliśmy. – Tam w środku jest bardzo gorąco – stwierdziła. – Uff! Czy pozwolimy sobie jeszcze na łyk?

– Jak najbardziej, pijmy więc za to pozwolenie.

I nagle wydała okrzyk. Z przerażeniem patrzyła w kieliszek.

– U mnie już się zaczęło – spojrzała w moją stronę. – Widzę kolczyki w kieliszku, kolczyki Martine Carol, więc chyba się upiłam.

– Ja też, też widzę kolczyki w twoim kieliszku. Wyjmij je, kochanie, bo jeszcze połkniesz.

Palcami wydobyła klejnoty z szampana.

– Załóż je – poprosiłem.

Zmieniła się nagle na twarzy, poważnej teraz i nie kryjącej dezaprobaty.

– Naprawdę zbzikowałeś. Nigdy tego nie przyjmę! Co sobie wyobrażasz, kim jestem?

– Jesteś kobietą, którą kocham.

– Ależ to szaleństwo! Nie masz tylu pieniędzy!

– Jasne, że mam. W przeciwnym razie bym ci ich nie kupił. Z głębokim uszanowaniem od madame i monsieur Quémardów.

– Nie, nie przyjmę. W żadnym wypadku! Dziwką jestem, czy co?

– Słodką dziwką. Chciałbym po wsze czasy kochać taką dziwkę.

– *Le chaim, ma poule!* – Odwróciłem się. – Garçon, proszę jeszcze raz to samo.

– Natychmiast, monsieur.

Angela nie odrywała wzroku od brylantów.

– Ale skąd...

– No, przecież wiesz, kasyno! Zapomniałaś?

– Całą wygraną zaniósłś zaraz do Van Cleefa?

– Bynajmniej nie całą. I nie zaraz, dopiero dzisiaj rano. Chciałem ci je kupić już wtedy, gdy zobaczyłem, jak na nie patrzysz – nie pamiętasz już, kiedy. Ale nie

mogłem. Przyszła ta trzynastka, trzy razy pod rząd. Czy to nie znak?

Barman, miał na imię Jacques, sam przyniósł kieliszek i napełnił go. Angela mi go przedstawiła.

– Bardzo mi miło, monsieur – rzekł Jacques.

– Mnie również – odpowiedziałem. – Proszę o jeszcze jedną butelkę, monsieur Jacques. – Było mi lekko na sercu, byłem wesoły.

Barman zniknął.

– Nie, nie i nie – upierała się Angela – nie chcę tych kolczyków. Idę z tobą do Van Cleefa i zwrócimy je!

– Nie przyjmie. Jubilerzy nie praktykują czegoś takiego.

– Quémard tak, znam go.

– Też go poznałem. Nie przyjmie kolczyków, przyrzekł mi to uroczyście.

Przymierz je wreszcie, proszę.

Nie odrywała ode mnie ogromnych oczu.

– Powtarzam, że to szaleństwo.

– Tak, słodkie szaleństwo.

– Które się źle skończy.

– Naturalnie – odparłem. – Załóż wreszcie kolczyki.

Zaśmiała się nagle.

– Jesteś po prostu niemożliwy! Raz jeden trafiła mu się kupa forsy i co zrobił?

– Właśnie, co zrobił – powtórzyłem patrząc, jak oba kolczyki z długimi brylantowymi wisiorami umocowywała na małych uszach i przyglądała się im w lusterku puderniczki.

– Czy nie cudowne?

– Ty jesteś cudowna – poprawiłem.

– Ach, Robercie... – sięgnęła po moją dłoń i wówczas na jej dłoni zajaśniała znana mi plamka. – Robercie, dziękuję ci... Gdybyś wiedział, jak bardzo o tych kolczykach marzyłam...

– Wiem. Wiem wszystko. Z monsieur Quémardem jesteśmy jak towarzysze broni, jak przyjaciele, najlepsi w świecie i nieugięci w przyjaźni. Wypij, poświęcimy drugą butelkę i jeszcze raz wzniesiemy toast. Dzisiaj jest święto, więc uczcijmy je. – Jacques przyniósł srebrny kubek z nową butelką. Odkorkowałem ją sam i napełniłem kieliszki. Wzniesiliśmy toast i zadźwięczało szkło. Wzdłuż morza, łądu i masywu Estérel zapalały się światła. – Za nas – powiedziałem.

– Za nas – powtórzyła Angela. – Nigdy od mężczyzny nie przyjąłem jeszcze klejnotu. Dopiero do ciebie.

– Madame – zauważyłem uroczyście – zasypuje mnie pani samymi pomyslnymi wiadomościami.

– Robercie...

– Tak?

- Jakaś kobieta na pewno będzie cię mogła bardzo, bardzo pokochać.
- Nie chcę jakiegós. Chcę ciebie.

Jej dłoń wciąż spoczywała na mojej, a w uszach jej błyszczały teraz i iskrzyły się brylanty. Na jachcie wypilem już sporo z Claude'em Trabaudem. Czułem, że byłem na lekkim rauszu. – Zawsze tylko ty, Angelo. – I ucałowałem jej dłoń z jasną plamką.

Na taras wytoczyła się głośna, wesoła ferajna, wyglądali na ludzi filmu. Usiedli trochę dalej i rozmawiali po włosku. Sześciu mężczyzn i młoda kobieta.

- To Claudia Cardinale – szepnęła Angela. – Odwróć się.
- Nie.

– Ależ odwróć się i popatrz na nią. Jest piękna. Lubię ją oglądać w filmach. Jest cudownie cudowna. – I Angela była już trochę wstawiona.

– Nie tak cudownie cudowna jak ty. Jak myślisz, dlaczego siedzę twarzą do ściany? Bo tylko ciebie chcę widzieć, zawsze tylko ciebie i nikogo poza tym.

Na tarasie zapaliły się światła. Ich blask odbijał się w kolczykach różnobarwnym migotaniem i magicznie je roziskrzał.

26.

Jechaliśmy do niej, jak zwykle siedziała przy kierownicy, a ja obok zapatrzony w nią. Zostawiła w uszach kolczyki. Radio w samochodzie nastawione było na Monte Carlo, nadawano „Merci, Dieu, merci...” Johna Williama. Znaleźliśmy się znowu w krętym rewirze starych uliczek, obstawionych zaplakatowanymi parkanami i krzywymi domami. Reflektory wyłowiły nagle postać mężczyzny, który z głową na kolanach siedział skulony na krawężniku chodnika. Angela zahamowała. Wysiadła, a ja za nią. Wcześniej znalazła się przy obcym i usiłowała się czegoś od niego dowiedzieć.

Czy poczuł się źle? A może chory?

Nieszczęśliwie długo nie odpowiadał. Wreszcie podniósł głowę. Był stary, twarz miał okrytą odrażającymi strupami.

– Jestem ogrodnikiem – wymamrotał cicho. – Pracowałem niedaleko stąd, w pewnej willi, nazwiska właścicieli nie wymienię, swojego zresztą też nie. Łaskawa pani wyrzuciła mnie dzisiaj wieczorem.

– Dlaczego?

– Niech pani spojrzy na moja gębę. Jaka wstrętna przez tę egzemę. Nie wiem, skąd się przyplątała. Prawdopodobnie jakiś środek ochrony roślin, przed paru tygodniami puszka eksplodowała mi w twarz. Moja pani brzydzi się taką gębą. Ja zresztą też, ale co mam zrobić, jest przecież moja.

– I co? – równie cicho spytała Angela, uklękawszy przy nim.
– I nic. Co teraz zrobię? Gdzie w moim wieku dostanę pracę? Z taką egzemą! Szkoda, że mnie pani nie przejechała, zdechłbym jak pies. Ale nigdy nie miałem szczęścia.

– Wracaj do wozu – poprosiła mnie Angela. – Zaraz będę.

Wróciłem do mercedesa, zająłem swoje miejsce i zobaczyłem, jak Angela, nadal rozmawiając z pechowcem, daje mu wszystkie pieniądze, jakie zdołała wygrzebać z torebki przewieszanej przez ramię. Gdy podchodziła do samochodu, stary człowiek podniósł się i odszedł. Wsunęła się bez słowa za kierownicę. Nie rozmawialiśmy ze sobą aż do przejazdu kolejowego ze spuszczonej nocą szlabanem. Angela musiała tu zaczekać.

– Dałam mu adres – odezwała się wreszcie. – Lavalów. Też tutaj mieszkają. Ogromny park, szukają pilnie ogrodnika. I powiedziałam mu, do jakiego lekarza ma się zwrócić z tą egzemą. Już raz widziałam ogrodnika, który coś takiego miał i ten lekarz mu pomógł. Musiało mu rzeczywiście zaszkodzić jakieś paskudztwo do opryskiwania roślin.

Szlabany podniosły się. Angela ruszyła dalej. Wiozła nas do domu.

27.

Do domu. Po raz pierwszy napisałem to słowo. Tak wówczas czułem – mieszkanie Angeli było moim mieszkaniem, naszym ogniskiem domowym, naszym domem rodzinnym, gdzie, jak myślałem, nie mogło nam się przydarzyć nic złego. Gdy przekroczyliśmy jego próg, zobaczyliśmy leżącą na podłodze kartkę, pewnie wsuniętą przez otwór na listy. Niezgrabnym pismem wypisane były słowa: „Każdego rana modłę się za Was oboje u świętej Gertrudy, za Wasze szczęście. Alfonsyna Petit.”

– Kościół świętej Gertrudy leży w pobliżu dworca – wyjaśniła Angela. – Alfonsyna mieszka tam niedaleko.

– I modli się.

– Jak widzisz, każdego rana.

Zostałem w hallu sam z kartką w ręku, gdyż Angela weszła zaraz do sypialni, aby się przebrać. Po drodze włączyła telewizory, kolejno w kuchni, salonie i ogrodzie zimowym. Dawano właśnie drugie wiadomości wieczorne.

Nagle się pojawiła w krótkim frotowym szlafroku, pantoflach domowych i oczywiście w kolczykach. Ściągnąłem koszulę i buty i usiadłem w kuchni na zdydlu, przypatrując się jej, jak z niebywałą zręcznością przygotowywała sałatkę śledziową z „bismarków”. Rozbiegana między kuchnią a tarasem, nasłuchiwała równocześnie wiadomości. Pomagając jej w nakrywaniu stołu na tarasie, patrzyłem znów na morze światła i na bezkresną wodę. Z Angela trudno się było teraz porozumieć, zajęta była dziennikiem, pochłaniała łapczywie każde jego słowo. Ja zresztą też, bo rozmawiano prawie wyłącznie o dewaluacji funta. Domagano się waloryzacji marki od innych wielkich uprzemysłowionych państw, przede wszystkim od USA. W Bazylei obradowała dziesiątka. Reakcja giełdy japońskiej była nerwowa, tak samo włoskiej.

Z Port Canto zadzwoniłem do „Majestica”. Nie było dla mnie żadnych wiadomości ani telegramu. Nie zameldował się Lacrosse. Co to mogło znaczyć? Czy Kilwood dalej odsypia pijaństwo? Czy grube ryby z Paryża jeszcze nie przyjechały?

Angela uwijała się po pokojach, a w rozchylnych połach jej szlafroka raz po raz migały długie, piękne nogi. Do sałatki śledziowej był znowu *bâtard*, czyli biały chleb, i lodowate piwo Kronenbourg. Siedzieliśmy na tarasie, jedząc, pijąc i patrząc na siebie.

W telewizji nadawano jakiś show i muzyka płynęła z trzech włączonych odbiorników.

– Prawda, jakie piękne? – cieszyła się Angela i obracała głową, aby iskrzyły się brylanty kolczyków. – Prawda, jakie wspaniałe?

– To ty jesteś wspaniała.

Słuchaliśmy starych, sentymentalnych szlagierów. Uprzątnęliśmy stół i tańczyliśmy teraz na tarasie wśród kwiatów, w bladym świetle padającym z mieszkania. Poruszaliśmy się wolno i wtuleni w siebie, Angela zarzuciła mi na szyję ramiona i całowaliśmy się coraz zachłanniej.

– Dobrze, że oboje jedliśmy śledzie – Angela na chwilę przywróciła nas do rzeczywistości.

Zatrzymała się. Jej pocałunki stały się gorętsze i gwałtowne. Zrozumiałem, że dzisiaj była już gotowa na wszystko. I nagle uświadomiłem sobie, że nie mogę jej przecież oszukać, że muszę powiedzieć prawdę, bez względu na to, co nastąpi później. Trzymając ją ciągle w ramionach, wydałem wyrok na siebie:

– Nie powiedziałem ci prawdy, Angelo. Jestem żonaty.

Poczułem, jak zdrętwiała. Wolno, jak automat uwolniła się ode mnie, przeszła przez pokoje, wyłączając aparaty, i wróciła na taras. Usiadła w wiklinowym fotelu, a ja zająłem huśtawkę. Milczeliśmy.

- Nieszczęśliwie żonaty – odezwałem się wreszcie.
- Tak, oczywiście – potwierdziła sztywno, wracając naraz do francuskiego. – Wszyscy mężczyźni żenią się nieszczęśliwie. Tamten też, to z jego powodu... – Urwała. – Tamten był straszliwie nieszczęśliwy w małżeństwie.
- Ja jestem naprawdę.
- Ach, przestań.
- Proszę, Angelo...
- Masz przestać, rozumiesz? Nie zaczynam z żonatymi mężczyznami. To było... to przyzwoite z twojej strony, że mi jednak powiedziałeś. Ale teraz koniec. Masz, bierz te kolczyki.
- Nie.
- Tak!
- Nie!

Pobiegła do hallu, gdzie wisiała moja koszula i wetknęła je do kieszonki. Wróciła.

- Porozmawiam z żoną – obiecałem jej. – Odejdę od niej. To chciałem ci dzisiaj także powiedzieć, Angelo. Poproszę ją o rozwód. Moja żona jest młodsza ode mnie, wygląda świetnie. Ona mnie już dawno nie kocha, jeśli w ogóle kochała.
- Gadanie – machnęła ręką i opadła na fotel. – Słowa. Puste słowa. Nic.
- Mówię poważnie, nigdy nie byłem bardziej poważny. Polecę jutro do Düsseldorfu i rozstanę się z żoną. Chcę ciebie, tylko ciebie. Potrzebuję cię.
- Idź – powiedziała, odwracając się plecami. – Idź, proszę. – Patrzyła nieruchomo w rozświetloną czelusć.
- Angelo, wierz mi...
- Idź precz! – krzyknęła nagle z wściekłością, ale zaraz szepnęła: – Proszę, Robercie, proszę, zostaw mnie samą. Wszystko na nic.

Usiłowałem ją jeszcze przekonać, ale nie odpowiadała. Spoglądała na miasto i morze w dole i już mnie nie widziała.

- Dobrze – nie próbowałem się już bronić. – Idę.
- Nie odpowiedziała.
- Wróć. Kiedy się rozstanę z żoną.
- Nie odpowiedziała.

Wyszedłem do holu, ubrałem koszulę, w której wyczułem kolczyki i jeszcze raz pojawiłem się na tarasie. Odwróciła się do mnie plecami. Wyglądała jakby umarła siedząc. Opuściłem mieszkanie.

Była jaskrawo umalowana, miała potężne piersi i siedzenie oraz usta, wielkie i czerwone jak rozwarta rana.

– Co najbardziej lubisz? – zapytała rzeczowo czarnowłosa dziewczyna. – Robię wszystko, byłeś tylko płacił. Masz specjalne życzenia, proszę bardzo, spełnię każde. Podotykam trochę przez spodnie. Boże, jak on szybko staje. Ale z ciebie popychacz, nie ma co.

To było w barze na rue de Canada, o czym dowiedziałem się dopiero później, gdy mnie odnaleziono. Bar znajdował się w jakimś hotelu wynajmowanym na godziny, czego także nie wiedziałem, kiedy do niego wstąpiłem, zresztą byłoby mi to obojętne. Od Angeli zamierzałem pieszo wracać do „Majestica”, lecz byłem w takim nastroju, że zablądziłem. Na tej ulicy z mnóstwem barów kręciło się wiele prostytutek i wielu amerykańskich turystów.

Chciałem się upić i dlatego wstąpiłem do baru z najjaskrawszym neonem. Usiadłem przy bufecie, zamówiłem whisky i zaraz pojawiła się ta czarna i piersiasta. Napraszała się, przyklejała do mnie ciałem i dobierała mi się do ud. W barze były tylko prostytutki i hałaśliwa muzyka. Pary coraz to się pojawiały i znikwały, mężczyźni byli już porządnie podpici. Ogólnie jednak było całkiem spokojnie i wszystko przebiegało zgodnie z ustalonym rytuałem. W barze było dość mroczno, na zewnątrz trochę jaśniej.

Przed oczami ciągle miałem obraz Angeli siedzącej na tarasie i wiedziałem, że muszę jeszcze bardzo dużo wypić, żeby wymazać go z pamięci, zapomnieć o niej i o niczym już nie myśleć. Nie tylko można się było kochać w kimś, zrozumiałem to nagle, ale zniechędzić siebie w tym kimś. Zamawiałem odtąd podwójne whisky. Czarna dziewczyna piła szampana, powiedziała, że miała kiedyś kłopoty z żołądkiem i nie znosi whisky.

- A tym bardziej szkockiej. Nienawidzę Anglików. Tyś nie Anglik, hę?
- Nie.
- A kto? – spytała, gdy zdążyłem już wsunąć jej pod bluzkę rękę.
- Niemiec. – Piłem dalej i znów zamówiłem podwójną whisky.
- Lubię Niemców – oświadczyła.
- Jasne – odparłem.

Czułem, jak alkohol zaczyna działać, myślałem jeszcze o Angeli, bez bólu jednak, a tylko z wściekłością. Byłem uczciwy wobec niej. Gdybym kłamał, wszystkooczyłoby się normalnie. Powiniennem był dalej kłamać. Nie, pomyślałem, trzeba

było powiedzieć prawdę. Wypiłem jeszcze jedną whisky i wówczas przyszło mi na myśl, że muszę przestać pić, bo mogę już nigdy więcej nie zatęsknić do alkoholu.

Niepotrzebnie się martwiłem, czarnowłosa powlokła mnie do swego hotelowego pokoju i natychmiast się rozebrała, ja również ściągnąłem z siebie wszystko i rzuciłem się na nią chciwie. Zachowywałem się jak szalony, nie panowałem nad sobą i prawie gwałciłem dziewczynę. Łóżko trzeszczało, a ja ciągle, na ile w tym upojeniu potrafiłem zebrać myśli, powtarzałem sobie: Do diabła z tobą, Angelo, mam dosyć, przeklinam cię i nie chcę znać. Byłem naprawdę pijany. Czarna zaczęła krzyżeć. Krzyżała tak głośno, że ludzie zastukali w ścianę, kazałem jej się więc przymknąć, ale ona powiedziała, że to było takie mocne, iż musi coś wziąć, żeby zapanować nad zmęczeniem, a że ma to szczególne działanie i zwiększa wrażliwość, powinienem starać się, żeby jej tak samo dogodzić.

No więc, dogadzałem jej, jak tylko potrafiłem, robiliśmy wszystko, co mi przychodziło do głowy, zgadzała się na wszystko, żądając tylko dodatkowego honorarium. Nie brała właściwie dużo, była jeszcze młoda, nie miała nawet dwudziestu pięciu lat i jej skóra była bardzo jasna. Wreszcie osunąłem się z wyczerpania na wznak, ona zaś zajęła się sobą na bidecie, nie przestając zapewniać, że mnie kocha, że Niemcy są wspaniali, zupełnie inni od tych zasranych Anglików, a potem powiedziała mi, gdzie jest klozet. Ruszyłem przez korytarz, Oczywiście nago, umyłem się i zwymiotowałem, a kiedy wypłukałem usta, wróciłem do Czarnej. Leżała na łóżku i czytała „Nice-Matin”.

– Angielski funt spadł o osiem procent – oznajmiła. – Właśnie przeczytałam. Kiepsko z Anglikami, co?

– Tak.

– Ale się z tego cieszę, do cholery!

– Co ty pleciesz?

– Amerykańskie okręty wojenne, te z szóstej floty, przyplyną następnym razem dopiero na początku lipca, krótko przed dniem niepodległości. Będzie wielkie święto, wiesz, jak to jest. Powiem ci w sekrecie, że pewnie i dla nas szykuje się frajda. Ubiegłego roku przychodzili bez przerwy. Dlaczego w tym roku tak rzadko?

– Pełno Rosjan siedzi teraz na Morzu Śródziemnym – zauważyłem.

– Niechby przychodzili – paplała dalej – Rosjanie i jankesi. Byle młodzi, najważniejsze. Rosjanie podobno w łóżku szaleją, nie tak jak ty, oczywiście. Jankesi też są do rzeczy. Cały żołd potrafią przepić i przepuścić na dziwki, powiem ci, że oni się chyba wtedy wyładowują. Nie chciałabym być marynarzem, całe miesiące bez kobiety, tylko rękodzieło. Nie sądzisz, że Rosjanie też mogliby tu przychodzić?

- Nie, właściwie nie – rzekłem.
 - No, to gdzie się mają pieprzyć? – Słusznie rozumowała. – Nie mogą przecież po Morzu Śródziemnym cały czas tylko pływać, kiedyś schodzą na ląd, he?
 - Masz rację.
 - To polityka, co?
 - Tak.
 - Cholerna polityka – denerwowała się Czarna. – Kładzie nam cały interes.
 - Pewnie tak – zgodziłem się łatwo. Nie myślałem już zupełnie o Angeli, nagle poczułem się bardzo zmęczony i chciało mi się spać.
 - Jak się właściwie nazywasz? – zainteresowała się Czarna.
 - Adolf. A ty?
 - Jessy. Jeśli jesteś zmęczony, zaśnij, zaraz wyłączę światło. Przeczytam jeszcze tylko o sporcie. Boks, rozumie się. Dość się dzisiaj naorałam, a ty wybuliłeś przecież za całą noc. Rano przygotowuję coś dobrego do jedzenia.
- Ostatnich słów już prawie nie słyszałem, zasnąłem. Spałem bardzo mocno i nie przypominam sobie, bym snił. Naraz zbudziła mnie Jessy, szarpiąc z całych sił.
- Co... co się dzieje?
 - Adolfie, chłopie, chory jesteś?
 - Dlaczego? – bełkotałem jeszcze nieprzytomny.
 - Krzyczysz przez sen. Może ty wariat?
 - Nie – powoli wracałem do rzeczywistości. – Czasem krzyczę. Ale nie wtedy, gdy leżę na boku.
 - Tak, tak, już dobrze, głupie świnię! – wrzasnęła na cały głos, gdy w ścianę znowu zastukano. Przyjrzała mi się w świetle lampki, którą zapaliła, i spytała z goryczą: – Kochasz ją bardzo, prawda?
 - Kogo?
 - Już dobrze – machnęła ręką. – Śpij dalej. Ale, proszę, na boku.
- Nie wiem, czy zasnąłem na boku, w każdym razie już nie krzyczałem i gdy znowu ktoś zaczął walić w drzwi i wykrzykiwać moje nazwisko, zaraz się obudziłem.
- Tak – ujawniłem się szybko. – Jestem, jestem.
- Jessy, wyrwana ze snu, przeklinała.
- Uspokój się – zmitygowałem ją – to do mnie.
 - Niech pan otworzy, monsieur Lucas. Tu policja.
 - Zmajstrowałeś coś? – Jessy nie spuszczała ze mnie wzroku. – Przez okno dostaniesz się na dach, a stamtąd...
 - Nie, nic – przerwałem jej – muszę otworzyć. – Czaszka pękała mi z bólu, gdy się podnosiłem, szybko wskoczyłem w kalesony i spodnie i zawołałem: – Chwileczkę.

Podszedłem do drzwi i otworzyłem je.

Przedem stało dwóch mężczyzn w cywilu. Obaj w kapeluszach.

– Policja kryminalna. Roger i Cradut z Commissariat Central – odezwał się ten starszy. Pokazali legitymacje, które bardzo dokładnie obejrzałem. – Zmuszeni jesteśmy prosić pana, aby poszedł z nami.

– Dokąd?

– Do Mougins, niedaleko stąd, komisarz Roussel prosi pana o niezwłoczne przybycie.

– Tak, rozumiem. – I zacząłem się ubierać. Nie umyłem się i nie ogoliłem, ale było mi wszystko jedno. Jessie siedziała na łóżku, na pół goła i zupełnie zdezoorientowana.

– Nie wyobraża pan sobie, ilu urzędników szuka pana od paru godzin – to powiedział młodszy, gdy wiązałem krawat. – Pan jest pod naszą obserwacją, wie pan o tym?

– Tak.

– Dzisiaj w nocy nasz człowiek zgubił pana w tej dzielnicy. Byliśmy już u madame Delpierre, ale powiedziała, że nie wie, gdzie pan jest. Wobec tego przeszukaliśmy tutaj wszystkie hotele i speluny, jest tego mnóstwo, monsieur.

– Co się stało? – spytałem.

– Nie mam pojęcia – odparł policjant, który nazywał się Roger.

– Przychodzimy wprost z komisariatu. Mamy wóz, zawieziemy pana do Mougins.

Na wzmiankę o Angeli stanęły mi nagle łzy w oczach.

– Co z panem?

– Jakieś świństwo wpadło mi do oka. – Zacząłem je wycierać chusteczką, ale łzawiłem jeszcze bardziej. – Adieu, Jessie...

– Adieu, Adolfie. – Przesłała mi ręką pocałunek.

Zeszliśmy bardzo wąskimi i krętymi schodami i wsiedliśmy do czarnego peugeot, którego prowadził Roger. Słońce oślepiało mnie i jeszcze bardziej podrażniało oczy, czułem się fatalnie.

– Czy ta prostytutka mówiła o panu Adolf? – Robert zdobył się na to pytanie dopiero wówczas, gdy znaleźliśmy się na Croisette.

– Tak.

– Dlaczego?

– Powiedziałem jej, że mam na imię Adolf.

– Ach, tak – rzekł Roger – a ja myślałem, żeście się pokłócili.

Twarz Johna Kilwooda, nabrzmiała i rozdęta, była okrągła jak balon, fioletowy język zwisał z ust, a oczy dosłownie wylazły z głowy. Szyję krępował nylonowy sznur, przywiązany do haka w łazience u samej góry. Wisiał na nim John Kilwood. Był tylko w spodniach od piżamy, zabrudzonych kałem.

Tak wyglądało na fotografii ujęcie ogólne. Zrobiono mnóstwo zdjęć, także twarzy w dużym powiększeniu, wszystkie były w kolorze i na wysoki połysk. W trakcie oglądania zrobiło mi się niedobrze. Podawał mi je komisarz Roussel, jedno po drugim. W domu Johna Kilwooda w Mougins ulokowaliśmy się na pierwszym piętrze, dzień był znowu bardzo gorący i w pomieszczeniach kręciło się wielu ludzi. Przychodzili i wychodzili, gromadzili się wokół Roussela i mnie, a John Kilwood, człowiek, który złożył wyczerpujące oświadczenie, że jest właściwym mordercą Herberta Hellmanna, już nie żył.

– Czy się powiesił? – spytałem.

– Na pewno nie – odparł Roussel. – Niewiele nam jeszcze wiadomo, jednego natomiast jesteśmy pewni, że to nie było samobójstwo. John Kilwood został zamordowany.

Mała miejscowość Mougins liczy zaledwie trzy tysiące mieszkańców i leży na wzgórzu z widokiem na całą okolicę między Grasse a morzem. Wjechaliśmy do miasteczka przez bramę pozostawiając po starych umocnieniach i gdy mijaliśmy popiersie jakiegoś mężczyzny, Roger pośpieszył z wyjaśnieniem, że jest to komendant Lamy z Vaury, który na przełomie wieku poległ w saharijskiej ekspedycji, tutaj natomiast, w Mougins się urodził. Dom Johna Kilwooda, o nazwie „Plein ciel”, raczej mały, leżał przy ciasnej uliczce, za placem przykościelnym, na którym rosły platany i parę palm. Był trzypiętrowy i wąski, z niezwykle wysokimi oknami, zasłoniętymi wszędzie ciemnoczerwonymi, jedwabnymi portierami. W małym pomieszczeniu ta czerwień najbardziej rzucała się w oczy.

Oprócz Roussela, Lacrosse'a, Kesslera i urzędników z referatu zabójstw i służby śledczej, wchodzących w skład centralnego komisariatu oraz policji sądowej, było tutaj jeszcze trzech mężczyzn. Roussel zapoznał mnie z nimi. Pierwszy nazywał się Maurice Farbre i przybył z ministerstwa spraw wewnętrznych w Paryżu. Musiał być urzędnikiem wysokiej rangi, chociaż raczej milczał i tylko przyglądał się śledztwu. Drugi mężczyzna o zmierzwionej czarnej czuprynie reprezentował paryskie ministerstwo finansów i nazywał się Michel Ricard. I on ledwie

zaszczycał nas słowem. Trzeciego delegował amerykański konsul w Nicei, bo przecież Kilwood był Amerykaninem. Nazywał się Francis Ridgeway. I był jeszcze lekarz policyjny, niewysoki doktor Vernon, którego już poznałem. Nie było natomiast już głównej osoby, czyli Johna Kilwooda. W metalowej wannie wywieziono go do Instytutu Medycyny Sądowej. Po całym domu kręcili się technicy kryminalni i ludzie z wywiadu, rozsypywali grafit na stołach, szklankach i butelkach, szukali odcisków palców i wielu innych rzeczy. Dalej też fotografowano.

W powszechnym zamieszaniu nikt nie zwrócił uwagi na mój wygląd. Mówiono po francusku, człowiek z amerykańskiego konsulatu posługiwał się tym językiem z wielkim trudem i ledwie rozumiał. Jeden z policjantów krążył z kawą i bez przerwy uzupełniał wszystkim filiżanki. Wypiłem trzy i wówczas dopiero poczułem się lepiej.

Lacrosse zakomunikował mi na powitanie, że szukano mnie od piątej rano. O piątej bowiem przyszedł z Rousselem do tego domu, żeby wreszcie obudzić Kilwooda. Zaczęli się bać, że Kilwood mógł wziąć za dużo środków nasennych – za dużo jak na osobnika napompowanego whisky. Znaleźli go w łazience, powieszono go na haku.

– Czy przedtem zaglądaliście do tego domu? – upewniłem się.

– Stałe – odparł Lacrosse. – Raz ja, raz komisarz.

– Ja też – wtrącił się Kessler.

– I co?

– Kilwood spał. Gospodyni wyszła o ósmej. Dzisiaj zjawiała się wcześniej. Po przesłuchaniu odesłaliśmy ją.

– Gdy tylko dostaliśmy to zeznanie, cały wczorajszy dzień na zmianę i w regularnych odstępach czasu doglądaliśmy porządku – oświadczył Roussel. – Na przeciwko leży hotel „De France”. Urządziliśmy w nim coś w rodzaju głównej kwatery. Czekaliśmy na panów z Paryża. Amerykański konsulat zawiadomiliśmy już wcześniej. Mister Ridgeway przybył około dwudziestej drugiej.

– Parę razy zaglądałem również do domu i widziałem Kilwooda śpiącego – wydukał Ridgeway łamanym francuskim.

– Jednym słowem wszyscy byliśmy na miejscu – podsumował Lacrosse.

– Dlaczego pan nie obudził Kilwooda i nie aresztował go?

– Aresztowanie nie wchodziło przecież w rachubę. Nie było podstaw. Tylko wezwanie policyjne, a takowe przywieźli nam dopiero panowie z Paryża.

– Nie od razu udało nam się załatwić ów pozew – poinformował Fabre z ministerstwa spraw wewnętrznych. – Musieliśmy to uzgodnić z amerykańską ambasadą.

– W dodatku nie było już lotów – rzekł Ricard z ministerstwa finansów. – Samolotem Luftwaffe dostaliśmy się do Nicei, a stamtąd już tylko samochodem. Należy żałować, że nie udało się szybciej. To bardzo poważna sprawa...

– Wiem – zgodziłem się.

– Z monsieur Ricardem już rozmawiałem – oznajmił Kessler. W stosunkach wzajemnych obaj podkreślali głęboki, koleżeński szacunek, jaki mieli względem siebie.

– Kilwood nie mógł uciec – stwierdził stanowczo Roussel – domu strzegli żandarmi. Teoretycznie ktoś mógł się włiznąć do ogrodu, sforsować mur opleciony bluszczem i dostać się do domu, ale to mało prawdopodobne. Bardziej prawdopodobne wydaje się przypuszczenie, że ktoś, kogo nie odkryliśmy, znajdował się w domu i zrobiwszy swoje, zniknął. Jak, nie umiem sobie wyobrazić.

– Ja także nie – przyznał się Lacrosse. – Musieliśmy w końcu obudzić Kilwooda, panowie z Paryża czekali z nami już dłuższy czas.

– Gdy znaleziono nieboszczyka i ja się stawiłem na miejsce – poinformował Farbre, zżółkły na twarzy, widocznie miał coś z wątrobą.

– I ja – zgłosił się Ricard z ministerstwa finansów. – Razem z kolegą. – Wskazał oczyma Kesslera.

– W jaki sposób doszli państwo do wniosku, że to było morderstwo, a nie samobójstwo? – zwróciłem się do Roussela, który w czasie rozmowy pokazywał mi fotografie, już wywołane i powiększone.

– Doktor jest tego zdania. – Spojrzeliśmy wszyscy na małego lekarza policyjnego, mniejszego jeszcze od Lacrosse'a.

– Dziecko by zobaczyło, monsieur Lucas! – i doktor Vernon podniósł w górę ręce. – To wiedziałem zaraz, gdy tylko zdjęliśmy go z haka. Wątpliwości nie ma. Kilwood był martwy, gdy go wieszano.

– Doktor uważa – wtrącił się Lacrosse – że Kilwood został we śnie udławiony nylonową linką.

– Uduşony, dziecinko, uduşony – poprawił go mały lekarz.

– Niech będzie uduşony.

– Kto tam wie? – Vernon znowu wznosił swoje małe ręce. Z filiżanką kawy spacerował po łazience tam i z powrotem, raz po raz podnosząc ją do ust. Łazienka była duża i zmieściliśmy się w niej wszyscy. – Już panom wyjaśniłem: przed sekcją zwłok niczego o przyczynie zgonu nie mogę powiedzieć. Wygląda na to, że Kilwood został uduşony pętlą.

– A jednak – śledziłem uważnie tok rozważań.

– Ale to nic nie znaczy. Najpierw muszę otworzyć ciało. Widzi pan, dziecinko, to mogło być pozorowane uduşenie pętlą. Może Kilwood został otruty. Albo umarł na atak serca. Albo ze strachu, kiedy mu zaciskano sznur.

- No tak, ale ktoś musiał go na tym haku powiesić.
- Oczywiście, dziecinko, oczywiście. – Vernon zatrzymał policjanta roznośzącego kawę. – Poproszę jeszcze, bardzo dziękuję. Ach, zaraz się człowiek inaczej czuje. Jeśli rzeczywiście posłużono się nylonową linką, sekcja wykaże symptomy takiego uduszenia. Mówię panu, wyjątkowo nieprzyjemne są tego typu historie. Bo praktycznie niczego się nie można uczepić. Przy duszeniu sznurem zamykają się żyły i tętnice szyjne, ale nie tętnice kręgosłupa. W twarzy dochodzi do zastoju, nabrzmienia i do zasinienia, jak również...
- Jego twarz była przecież nabrzmiała i sina – zauważyłem.
- To nastąpiło wcześniej. Z przepicia. Kilwood tankował, wiemy to wszyscy. U uduszonego siność i nabrzmienie inaczej wyglądają.
- A więc nie został uduszony? – zdziwiłem się.
- Kto mówi, że nie? – Mały doktor zachichotał. – Może twarz zsiniała i nabrzmiała niezależnie od picia. Morderca, wlokąc Kilwooda do łazienki i wieszając go, musiał przecież rozluźnić ucisk sznura, wobec tego powstały zupełnie inne warunki i zarówno nabrzmienie, jak i sinica, spowodowane uduszeniem, mogły poznikać.
- Boże, pokaraj mnie – jęknął przedstawiciel amerykańskiego konsulatu. – Można zwariować.
- Dlaczego morderca upozorował jeszcze powieszenie, skoro tak po dyletancku się do tego zabierał? – dociekałem.
- Bo nie uważał się za dyletanta, w swoim mniemaniu zrobił to porządnie, ba, nawet perfekcyjnie, lecz nie dosyć perfekcyjnie. Pojęcia nie miał ten człowiek o medycynie, a musi pan wiedzieć, że to niezwykle delikatna dziedzina.
- Mimo to jest pan zupełnie pewien, że Kilwood nie popełnił samobójstwa.
- Absolutnie pewien!
- Ale dlaczego chciano go zamordować? Złożył zeznanie i powodu już nie było – zastanawiałem się.
- Kto wiedział o tym zeznaniu? – Vernon rozejrzał się triumfująco po otoczeniu. – Ech, voilà!
- Ktokolwiek w tym domu się ukrył, wykluczam oczywiście udział panów w zamordowaniu Kilwooda – tu zaśmiał się – to ów ktoś na pewno nie wiedział o zeznaniu – Vernon bawił się najwyraźniej. – Gdyby Kilwood został rzeczywiście uduszony, musiałbym podczas sekcji wykryć krwawe wybroczyny w spojówkach i czepcu ścięgnistym, i to dość intensywnie. Mogę naturalnie nie znaleźć żadnych.
- Zwariuję przez tego faceta – rzekł do mnie cicho przedstawiciel ministerstwa finansów, przecierając chusteczką twarz.
- Co to znaczy naturalnie żadnych? – W uśmiechu Lacrosse'a była sama słodycz.

– W zależności od tego... czy jest jeszcze kawa? Tak? Doskonale. Jeszcze filiżaneczkę proszę. W zależności od tego, czy narzędzie uduszenia, czyli sznur, zaciśnięty został mocno czy też luźno. Bardzo dziękuję za kawę, dziecinko.

– Wychodzi na to – wpadłem mu w słowo – że jeśli sznur został zaciśnięty mocno, wybroczyny będą szczególnie widoczne.

Vernon zachichotał znowu.

– Przeciwnie! Jeśli sznur został mocno zaciśnięty, mocno i nagle, wówczas w ogóle ich nie znajdę.

– Mmmmm... m! – to mężczyzna z amerykańskiego konsulatu nie potrafił już ukryć zniecierpliwienia.

– Co temu panu?

– Zakatarzony – bąknął Roussel. – Dlaczego nie będzie krwi?

– Bo nagle zamykają się naczynia krwionośne i krew nie dochodzi do góry. To jasne jak słońce, dziecinko.

– Oczywiście! – przyznał Roussel – przepraszam, doktorze.

– Ale może sznura nie dociągnięto nagle i mocno. Morderca nie dusił przecież Kilwooda w łóżku, jeśli to było uduszenie, lecz w łazience. Widzę ślady kału koło wanny. W łóżku nie znaleźliśmy ich. Śmierć nastąpiła więc w łazience, a tym samym i wypróżnienie. To sobie morderca zręcznie rozważył, ale nie dość zręcznie. – Vernon napił się kawy i drepcąc dookoła, prowadził wykład dalej. – Mogła również zostać uszkodzona krtąń.

– Aha! – wykrzyknik pochodził ode mnie.

– Ale nie musiało! Duszenie, jak powiedziałem, to delikatna sprawa. Jeśli Kilwood faktycznie został uduszony. Jedno za tym przemawia, przynaję. Pod krtanią znalazłem wyraźny znak, który biegnie horyzontalnie i na karku staje się dobrze widoczny. W czasie sekcji mogę znaleźć jeszcze pęknięcia w chrząstce tarczowatej i pierścieniowatej.

– Wspaniale, coraz lepiej – cieszył się złośliwie Lacrosse.

– ... ale nie muszą. Najczęściej takich pęknięć nie znajduje się.

– *This guy is driving me nuts* – rzekł mężczyzna z amerykańskiego konsulatu.

Vernon zareagował dziecinnym uśmiechem.

– Niech pan wreszcie zapomni o przyczynie śmierci, doktorze. Co z godziną śmierci? Czy może ją pan określić? – dopytywał się Roussel.

– No właśnie, to też cała historia. Ciężko, ciężko...

– Dlaczego ciężko? Przyszedł pan tutaj o wpół do szóstej. Czy stężenie postmortalne nastąpiło już u Kilwooda, kiedy pan go zobaczył, czy też nie?

– Mogę prosić o troszeczkę cukru?... Dziękuję. Dopiero częściowe. Mięśnówka szczęki, ale szyja i ramiona, nogi i stopy jeszcze nie.

– A więc, kiedy pan przyszedł, nie upłynęło jeszcze pięć godzin od zgonu Kilwooda?

– To jest właśnie pytanie.

– Jak to pytanie? – Roussel starał się być niezwykle uprzejmy. Człowiek ten zdawał się nie mieć nerwów. – Po pięciu godzinach występuje całkowite stężenie pośmiertne.

– Tak pan sądzi? Inni mówią co innego, ale niech będzie, przy normalnej temperaturze to pięć godzin. Temperatura w tym mieszkaniu nie była normalna, szczególnie w łazience. W łazience jest bardzo ciepło, zgodzicie się państwo, prawda? A więc, może Kilwood, kiedy przyszedłem, nie żył już od pięciu godzin, ale całkowite stężenie pośmiertne, dziecinko, nie nastąpiło jeszcze z powodu ciepła. Poza tym stężenie nie zaczyna się od szczęki, ale od serca, a jak mam to ustalić przed sekcją?

– W każdym razie wiemy, że Kilwood był o piątej martwy, wtedy go znaleźliśmy. Pan przyszedł tutaj o piątej trzydzieści. Czy wystąpiły już plamy opadowe?

– Nie odkryłem żadnych.

– A więc nie było jeszcze trzech godzin...

– Momencik, dziecinko, momencik! W wypadku gwałtownej śmierci, a więc kiedy się kogoś dusi, krew krzepnie wprawdzie szybciej, ale w pierwszych dwudziestu czterech godzinach skrapla się i dlatego plamy opadowe występują później, aczkolwiek z drugiej strony...

Ricard z ministerstwa finansów jęknął głośno.

– Już dobrze, kochany doktorze. – Roussel nie tracił łagodności. – Uwzględniając wszystkie zastrzeżenia i znaki zapytania, niech nam pan przynajmniej powie, w przedziale jakiego czasu umarł Kilwood?

– Nie mogę panu podać żadnej dokładnej godziny! Nikt tego nie potrafi!

– W przybliżeniu.

– W przybliżeniu – warknął Vernon – to znaczy, że pan się zgadza na odchylenie do jednej godziny?

– Tak.

– Powiem więc, że Kilwood nie mógł umrzeć przed godziną zero trzydzieści i nie mógł także po pierwszej trzydzieści. To znaczy wszelako...

– ... że mógł umrzeć o dwudziestej trzeciej trzydzieści i równie dobrze o drugiej trzydzieści, całkiem jasne, doktorze – Roussel definitywnie zakończył mękę.

– *I'll be a son of a bitch* – Amerykanin wypowiadał się już tylko w swoim własnym języku. Vernon, który nie rozumiał słowa po angielsku, skinął mu życliwie głową.

– A przy okazji – zwrócił się do mnie Lacrosse – pańskie próby pisma poszły już do naszego rzeczoznawcy.

– I co?

– Absolutnie wyklucza możliwość, by choć w jednym wypadku próba pisma zgadzała się z owym listem z pogrózkami, przyjmując nawet, że zmieniono w nim charakter pisma – oświadczył Louis Lacrosse.

Odwrociłem się nagle i z łazienki przez sypialnię wyszedłem na balkon. Oddychałem głęboko. Musiałem się oprzeć o balustradę. Gdybym słuchał tego sekundę dłużej, trafiłbym chyba do domu wariatów. Roztaczała się przede mną głęboka, zielona dolina Grasse. W rozedrganym powietrzu mieniły się kolorami kwiatowe rabatki należące do fabryki perfum: fioletowe, czerwone, żółte, niebieskie, białe i pomarańczowe. Wspaniały był to widok, a ja czułem się nędznie, jak nigdy dotąd.

30.

– Karin – zwróciłem się do żony – chciałbym się rozwieść.

– Powtórz to jeszcze raz – odpowiedziała. Zastałem ją w szlafroku, byle jak uczesaną i bez makijażu, nie wiedziała, że wrócę do domu, i na kolację podała tylko sery i piwo. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie w jadalnym kąciku dużego salonu, była godzina dziewiąta wieczór, w pokoju paliły się cztery stojące lampy z szerokimi, miodowymi abażurami z jedwabiu.

– Chciałbym się rozwieść, Karin. Przykro mi, ale już cię nie Kocham i nie mogę z tobą żyć. Chciałbym odejść.

– Do innej kobiety.

– Do innej.

– Masz kawałek sera na półeczku – zwróciła mi uwagę. – Strzepnij go. Domyśliłam się wszystkiego już poprzednim razem, kiedy tu wpadłeś. Nie nabierzesz mnie.

– Kocham tę kobietę, Karin. – Miałem świadomość własnej podłości i nikczemności i taki widocznie byłem, ale nie mogłem inaczej postąpić, w samolocie sto razy do tego wracałem. – Kocham ją – powtórzyłem.

– Zdzira. Zadawać się z żonatym.

– Nie wiedziała, że jestem żonaty. Później jej to powiedziałem.

Opróżniwszy szklankę, Karin dołała sobie piwa. Zapaliła i przypatrywała mi się ze zmrużonymi oczyma.

- I powiedziała ci oczywiście, że jeśli się ze starą nie rozmówisz i nie skończysz, to nie da ci spokoju, mam rację?
- To nie tak.
- Ach, nie kłam znowu, ty wstrętny tchórz!
- To nie było tak, zupełnie inaczej.
- Co znaczy zupełnie inaczej?
- Mniejsza o to. Inaczej.
- Dla ciebie to oczywiście proste – rzekła z przekąsem Karin.
- Nie takie proste – odparłem. – Gdyby to było proste, odszedłbym od ciebie już dawno.
- A to dlaczego?
- Bo już od lat wszystko między nami skończone. Bo cię już nie kocham. Ty też mnie dawno nie kochasz, bądź uczciwa.
- Zawsze cię kochałam! I będę, chociażbyś się okazał świnią.
- No wiesz!
- To prawda – i Karin rozplakała się cicho. Paliła i popijała piwo, a łzy ciągle płynęły po jej ładnej twarzy. Rozmawialiśmy półgłosem. – Cóż ty właściwie o mnie wiesz, o mnie i o tym, jak cię kocham? Czy cię to kiedykolwiek obchodziło? Nic a nic. Z Cannes jest ta dziwka, zgadza się?
- Ta pani mieszka w Cannes.
- A cóż takiego nadzwyczajnego jest w tej babie? Czy to w łóżku jest tak fantastyczna? Lepsza ode mnie?
- Nie spałem z nią.
- Kłamiesz. Nie spał, ale z żoną chciałby się rozejść. Co ta ladacznica z tobą wyprawia? Co takiego ci funduje? Teraz, im jesteś starszy, tym mocniejszych potrzebujesz wrażeń, potrzebujesz dziwki. Akurat osiągnąłeś stosowny wiek do takich rzeczy. Powiedz wreszcie, czym ci dogadza? Jaką to rewelacyjną zabawę w dzwoneczki wymyśliła?
- Nie spałem z nią.
- Nie spałem z nią! – przedrzeźniała mnie. – Niewiniątko. Czy powiedziała ci, że nic z tych rzeczy?
- Taka jest prawda – rzekłem.
- Prawda! A więc robi to lepiej. No tak. Nie od dziś masz skłonność do kobiet lekkich obyczajów, a na jej punkcie musiałeś dostać bzika. Dawniej wracałeś od dziwek do domu i był spokój. Tym razem jest inaczej.
- Zupełnie inaczej – przyznałem. – Ta kobieta nie jest ladacznicą.
- Szlachetny rycerz w błyszczącej zbroi – wymyślała dalej, odgarniając z czoła kosmyk włosów. Jeszcze płakała, ale mówiła już bardzo spokojnie. – Tym razem nie jest to dziwka. Nagle, naraz. Akurat. Mówisz, że nie dziwka?

- Nie.
- Nie dziwka? Dziwka! Dziwka! Dziwka z Cannes!
- Przestań!
- Mam przestać? Ja? A jeśli nie przestanę, to co? Stłuczysz mnie? Zamordujesz? Nie przestanę i już. Jest ładniejsza ode mnie?

Nie odpowiedziałem.

- Pytałam, czy jest ode mnie ładniejsza?
- Tak – odparłem.
- Doskonale – przyjęła do wiadomości porażkę. – Młodsza ode mnie?
- Nieistotne.
- Ach tak. Wiesz, kim jesteś? Największą kupą gnoju, jaka się na tym świecie wala. Wiesz, ile lat jesteśmy małżeństwem? Dziesięć. – Bałem się, że to powie. – Podarowałam ci najlepsze lata mojego życia. – A więc i to powiedziała.

– Podarowałaś – powtórzyłem.

- Tak! – I nagle przeszła w krzyk. – Podarowałam! A kto się o ciebie troszczył, kto czekał na ciebie, często całymi miesiącami? Nic teraz nie znaczę, zeszłam się i mam być odrzucona jak śmieć? A kto tyłu świetnym facetom musiał powiedzieć „nie” i wziął ciebie, choć mogłam przebierać w adoratorach, o czym wiesz. Ja! Ja tak zdecydowałam. Noszę twoją obrączkę na palcu, to ty mi ją włożyłeś i obiecałeś być ze mną na dobre i na złe, w chorobie i potrzebie, dopóki...

– Przestań! Nie braliśmy ślubu w kościele, tylko w urzędzie stanu cywilnego. Karin, proszę.

- Bo nie chciałeś kościoła. Tak jak nie chciałeś nigdy nosić obrączki! Teraz już rozumiem dlaczego. Biedni moi rodzice ostrzegali mnie przed tobą, szczególnie tata. Teraz nie żyją, teraz już nie mam nikogo, tylko ciebie. Ale ciebie nigdy właściwie nie miałam. Byłeś tysiące mil ode mnie, zawsze to czułam, ale przynajmniej wracałeś do domu. Ludzie tutaj widzieli, że wracasz, miałam męża, który stale był w podróży, nie wyglądał na zdrowego i darł się przez sen. Teraz mi świta, dlaczego krzyczysz we śnie.

– Nie gadaj głupstw – na próżno próbowałam ją uspokoić. – Krzyczę od lat. Tę kobietę poznałem dopiero w Cannes.

– Jak się nazywa?

Milczałem.

- Nie trudno dowiedzieć się.
- Nie, nie trudno.
- Już ja się dowiem – przeszła do pogroźek. – I obiecuję ci, że zrobię z tą cholera porządek. Zrobię taki porządek, że będzie musiała pożegnać się z Cannes.
- Jak to zrobisz?
- Zostaw to już mnie! Rozbijać małżeństwo! Co za dziwka!

- Nie wiedziała, że jestem żonaty. I mówię ci, że z nią nie spałem.
- I ciebie załatwię! U Gustawa! W firmie! Już ja im nagadam! Zobaczymy wtedy, co się stanie z twoją ciepłą posadką, z tą synekurą dziwkarską i włóczęgi.
- Nie wykończysz mnie, bo sama siebie byś wykończyła. Chcesz żyć, prawda? Potrzebujesz pieniędzy, w małżeństwie czy poza nim. Nie masz chyba ochoty głodować? Co?
- Podły draniu. Gardzę tobą. Gardzę z całego serca i po grób.
- Pozwól mi odejść, Karin, proszę – perswadowałem. – Bardzo cię proszę. To, co ciągniemy, nie jest już małżeństwem. Co nas w nim jeszcze łączy? Obiecuję ci, że zawsze będę się tobą opiekował i...
- Ach, widział to kto! Jaki szlachetny. Do stu piorunów! Kapelusze z głowy! Przed gentlemanem! Chcesz więc, draniu, dalej o mnie dbać? Nie chcesz mnie tak po prostu zostawić na lodzie, zwać i powiedzieć na odchodnym: bacz dobrze, z czym zostajesz, jesteś młoda i zdrowa, i możesz jeszcze popracować?
- Mogłabyś przecież – zauważyłem.
- A po co? Nie mam sobie nic do zarzucenia. To ty chcesz odejść, nie ja. Jest jeszcze sprawiedliwość.
- Wiem.
- Dzięki Bogu, są prawa, które chronią kobietę.

Z Mougins, z domu żałoby, wróciłem do Cannes. W „Majesticu” czekał na mnie telegram od Gustawa Brandenbura: mam natychmiast przyjechać do Düsseldorfu. Wykąpany i ogolony, spakowałem na nowo miękką torbę i włożyłem lekkie ubranie, to drugie z kolekcji wybranej przez Angelę. Najbliższy samolot do Düsseldorfu przez Paryż odlatywał dopiero za trzy i pół godziny, usiadłem więc na opustoszałym tarasie wśród parasoli, osłaniających przed jaskrawym słońcem. Zająłem miejsce w naszym kąciku, tym samym, w którym siadywałem z Angelą, wypilem całą butelkę szampana, ale czułem się coraz fatalniej i nie umiałem się pozbierać. Przeszedłem do holu, żeby zadzwonić do Angeli, ale nie zrobiłem tego. Przesiedziałem tam ze dwie godziny, wciąż podchodziłem do telefonu, ale nie zadzwoniłem. Nie miałem odwagi. W kieszeni marynarki natknąłem się na obydwa brylantowe kolczyki, trochę się nimi bawiłem i chciałem je nawet wyrzucić, gdy nagle uprzytomniłem sobie, że wysiadają mi nerwy, wziąłem więc taksówkę i pojechałem do Nicei, na lotnisko, gdzie znów czekałem nad butelką szampana.

Kiedy wywołano mój lot, byłem już porządnie wstawiony. W drodze do autobusu jak głupiec odwracałem się w stronę balkonu, wypatrując oczywiście na próżno Angeli. Przy wejściu do autobusu potknąłem się i omal nie upadłem. Zaczęli mi się przyglądać ludzie, gdy zorientowali się, że jestem pijany. Zerkali w moją stronę i później w samolocie, chociaż siedziałem jak trusia i już nie piłem,

zajęty tylko myślami o rozstaniu się z Karin. Dalej czułem na sobie spojrzenia. Może się ubrudziłem na twarzy.

Do domu pojechałem taksówką i zaraz zadzwoniłem do Gustawa. Był jeszcze w swoim biurze i zaproponował, żebym zgłosił się do niego nazajutrz o dziewiątej. A potem jedliśmy z Karin kanapki z serem, popijając piwem, i wówczas jej powiedziałem, że kocham inną kobietę i chcę od niej odejść. Karin zareagowała i wszystko potoczyło się tak, jak opisałem. W Düsseldorfie było bardzo ciepło, noc zrobiła się parna i musieliśmy otworzyć okna.

Karin wyjęła ze szlafroka chusteczkę, potem wytarła nos i spytała przytomnie: – I jak sobie to wszystko wyobrażasz pod względem finansowym?

W tej samej chwili coś się ze mną stało. Wróciłem do domu z wielkim poczuciem winy i to ja zacząłem tę trudną rozmowę. Wiedziałem, że byłem draniem, który po prostu chciał zostawić żonę dla innej. Miałem świadomość własnej nieuczciwości. Ale musiałem taką decyzję podjąć, nie miałem innego wyboru. Zbyt kochałem Angelę, bym jeszcze jedną noc mógł spędzić z Karin pod wspólnym dachem. Jednakże bałem się tej rozmowy, bałem się wybuchu hysterii, miłosnych zaklęć, próśb, błagań i przysiąg. Mężczyźni tworzą sobie chyba fałszywy obraz kobiet, z którymi mieli nieszczęście się ożenić. Wydaje im się, że ich żony popełnią samobójstwo, że się załamią i wylądują w ryszotoku, jeżeli opuszczą je dla drugiej kobiety. Bo swoich mężów pomimo wszystko jeszcze kochają. Tak jednak nie jest.

– Jak będzie z finansami? – W głosie Karin były już tylko rzeczowość i chłód.

W jednej chwili przestałem mieć jakiegokolwiek skrupuły.

– Zostawię ci naturalnie mieszkanie – oświadczyłem. – Wyprowadzę się.

– Dokąd?

– Gdziekolwiek. Do hotelu. Nie wiem jeszcze. – Wiedziałem, ale teraz i ja się najeżyłem. – Mam przy sobie trzy tysiące marek, możesz dostać zaraz dwa osiemset. Będę płacił czynsz, ubezpieczenia i tak dalej i dopóki nie otrzymamy sądowej decyzji, dostaniesz na życie tyle, ile trzeba.

– O jakiej sądowej decyzji mówisz?

– O rozwodzie.

– Kto mówi, że zgodzę się na rozwód? Ani słowa nie powiedziałam. To tobie na nim zależy, mnie nie, w żadnym wypadku. Będę musiała pomówić z moim adwokatem. Przedtem nie powiem nic. Ile to chcesz mi dać?

Wymieniłem sumę, w stosunku do moich możliwości zupełnie przyzwoitą.

– Widzicie go, jałmużna! Kto by z tego wyżył? To by ci pasowało, ja dostanę grosze, a ty z tą lafiryndą przehulasz takie odczepne w dwa dni i to bez zmrużenia oka.

– Dostaję tylko pensję – zauważyłem. – Nie mam majątku.

– Masz konto bankowe.

– Wiesz, co na nim jest.

– Konto jest na twoje nazwisko, ale mam upoważnienie do podpisu. Co zrobisz, jeśli podejmę wszystko, co na nim jest?

– Będziesz miała kłopoty prawne, jeśli to zrobisz – ostrzegłem, postanawiając zaraz z rana zablokować konto, cofając pełnomocnictwo.

– Akcje w Szwajcarii również w połowie należą do mnie – stwierdziła. – Mogłabym polecić do Zurychu i sprzedać połowę.

– Możesz – zgodziłem się łatwo. Dziwne, ale owe szwajcarskie akcje były mi obojętne. Powinienem rano odwiedzić również mojego adwokata. Od dwudziestu lat był moim adwokatem i przyjacielem, należało się z nim naradzić.

– Już nic więcej nie powiem – oznajmiła Karin. – Nie dam się złapać w pułapkę. Muszę się skontaktować z adwokatem. Powie mi, jak się mam zachować. A cóż ty sobie wyobrażałeś? Że jeszcze dzisiaj powiem tak i amen, żebyś mógł poślubić tę dziwkę z Cannes? Ani słowa ze mnie nie wydusisz. Muszę teraz myśleć o sobie. Potrzebuję gwarancji, jeśli już nic innego nie wywalczę. Pieniądze, które mamy, nie są twoje, lecz nasze.

– Oczywiście, łączy nas wspólnota majątkowa. Pamiętaj, że twoje pieniądze też nie należą tylko do ciebie, są nasze.

Teraz, kiedy zajęliśmy się sprawą finansów, rozmawialiśmy zupełnie spokojnie i rzeczowo, cicho i stanowczo.

– Cóż więc, draniu, wymyśliłeś? – spytała.

– Zaraz się wyprowadzam.

– Śmieszne, a twoje rzeczy?

– Zabieram z sobą tylko najniezbędniejsze.

– Jak?

– Moim samochodem.

– Naszym samochodem – krzyknęła Karin.

Wstałem.

– Dokąd idziesz?

– Spakować się – odparłem. – Jest późno.

Zaczęła znowu płakać. Pobiegła do sypialni i zatrzasnęła drzwi, usłyszałem jak szlochała. Słyszałem ten szloch przez całą następną godzinę.

Zdjąłem marynarkę, rozluźniłem krawat i udałem się do garderoby. Z najwyższych półek wbudowanych tam szaf wziąłem najpierw trzy wielkie walizki. W samolocie sporządziłem spis wszystkich rzeczy, które powinienem zabrać. Na kartce znalazły się: słonie, sycylijski konik, maszyna do pisania, ubrania, bielizna, krawaty, spinki, notes telefoniczny, książeczka czekowa, dokumenty osobiste i samochodu, franki, buty, polisy ubezpieczeniowe, budzik podróżny, małe radio, minox, płaszcz przeciwdeszczowy.

Dziwna to była lista, ale pomocna. Zapakowałem najpierw do walizki koszulę, bieliznę osobistą, skarpetki, buty i krawaty. Uzbierała się tego fura. Kiedy zrobiłem sobie chwilę przerwy, usłyszałem znów Karin. Płakała teraz głośniej.

Poszukałem w schowku pudła z wełną drzewną, przytaszczyłem je do pokoju gościnnego i ostrożnie zapakowałem w nią wszystkie swoje słonie, każdego owijając jeszcze dodatkowo gazetą. Potem przyszła kolej na kolorowego konika. Zabierałem także małe, tranzystorowe radio, które stało koło mego łóżka i do którego byłem przywiązany, chociaż mieliśmy nowoczesną wieżę hi-fi. I oczywiście kamerę minox. Do torby podróżnej włożyłem osobiste dokumenty z biurka, mój notes z telefonami, dokumenty samochodowe, spinki, szpilki do krawatów i trzy zegarki na rękę.

Śmieszna rzecz. Wszystkie zegarki, łącznie z tym, który akurat miałem, podarowała mi Karin.

Potem zacząłem znosić do wozu, który zostawiłem przed domem, walizki i pudło. Zjechałem windą i załadowałem je do bagażnika. Był na szczęście duży, choć i tak nie mieściło się w nim wszystko. Jedną walizkę i maszynę do pisania musiałem przerzucić na tylne siedzenie, karton ze słoniami zaś na przednie. Kilka razy wracałem na górę. Za drugim razem otworzyły się drzwi z naprzeciwka i stanęła w nich nasza sąsiadka, pani Hartwig.

- Dobry wieczór, panie Lucas.
- Dobry wieczór – zbyłem ją, chcąc iść dalej, ale ona ruszyła za mną.
- Co pan robi? Wyprowadza się?
- Chwilowo tak, pani Hartwig. – Z mieszkania dochodził szloch Karin, teraz głośniejszy i spazmatyczny.
- Biedna pani...
- Proszę wybaczyć, pani Hartwig.

- To niegodziwe, co pan wyprawia, panie Lucas. Ma pan taką dobrą i...
- Pani Hartwig...
- Tak?
- Proszę się zająć swoimi sprawami.
- Co za bezczelność! – Odchodząc trzasnęła drzwiami.

Czułem, że mnie dalej obserwuje przez judasza, kiedy znosiłem kolejno ubrania z wieszakami. Były ciężkie. Spociłem się w parnej duchocie. Zaczęła mi dukać stopa, a potem noga. Nie liczyłem, ile połknąłem tabletek. Przekląłem całą robotę, chętnie bym odpoczął, to jednak nie wchodziło w rachubę. Część ubrań powiesiłem z tyłu, a resztę położyłem na walizki. Przyglądało mi się ciekawie na ulicy parę osób, które wyszły się przewietrzyć. Zakląłem głośno. Koszula, spodnie wszystko lepiło się do ciała, pot spływał mi stróżkami po czole na twarz. W końcu jakoś mi poszło. Wóz był przeładowany, aż się wygiął. Wjechałem jeszcze raz na górę, otworzyłem drzwi sypialni i rzuciłem na komodę dwa tysiące osiemset marek w setkach. Karin leżała w poprzek łóżka z oczami utkwionymi w sufit, płakała dalej i szlochała.

– Masz tutaj pieniądze – rzekłem. – Dam znać, gdy będę wiedział, gdzie zamieszkał.

Milczała.

- Powodzenia, Karin – dodałem jeszcze. – I przebaczone... jeśli możesz.
- Tobie? Nigdy! Bóg cię ukarze, łajdaku!

Nie miało to żadnego sensu, należało po prostu szybko zniknąć. W drodze do wyjścia usłyszałem nagle, jak Karin wyskakuje z łóżka i biegnie za mną. Zdążyłem dotrzeć do drzwi. Ledwie znalazłem się na korytarzu, Karin dogoniła mnie. Rzuciła mi się na szyję.

– Zostań! Zostań! – krzyczała głośno. – Nie rób tego, nie rób!

– Wybacz, muszę. – Uwolniłem się od niej, a wtedy drzwi z naprzeciwnika otworzyły się raptownie i pokazała się w nich znowu pani Hartwig. Na jej widok Karin wpadła w jeszcze większą rozpacz: – Pani Hartwig, mąż mnie opuszcza! – po czym rzuciła się sąsiadce na szyję, a jej głośny płacz przeszedł w spazmatyczne łkanie.

– To do niego podobne – stwierdziła pani Hartwig, gdy już wchodziłem do windy. – Ale pani nie jest sama, ma pani przyjaciół. I mój mąż i ja jesteśmy pani przyjaciółmi. Biedna, kochana pani Lucas. Pani mąż jeszcze się zdziwi, jeszcze zobaczy, jak to będzie.

Nacisnąłem guzik i winda ruszyła w dół. Słyszałem jeszcze, jak Karin krzyczała za mną piskliwym głosem:

– Przestępca! Świnia! Podły drań! Nie minie cię kara! Ostatnią koszulę zedreżę z ciebie!

Doszedł mnie równocześnie krzyk Hartwigowej, ale nie rozumiałem słów. Zziajany ze zmęczenia, spocony, z ciężącą mi coraz bardziej nogą, stwierdziłem, że wszystko to, na rany Boga, było dopiero początkiem, a nie końcem. Marynarke miałem przewieszoną na ramieniu. Dotarłszy na parter, zamknąłem za sobą bramę i to był ostatni raz, kiedy przez nią przechodziłem, naprawdę ostatni.

32.

Jechałem bardzo ostrożnie, bo byłem zdenerwowany i bałem się, że spowoduję jakiś wypadek. Skierowałem się w stronę lotniska Lohausen, gdzie znajdował się hotel „Intercontinental”. „Global” zawsze w nim lokował wszystkich swoich interesantów i gości, znałem tamtejszych portierów i dyrektorów. Dawano nam tam znaczne upusty. Po przylocie porozumiałem się telefonicznie z naczelnym dyrektorem i powiedziałem mu, że się zgłoszę, bo rozwodzę się z żoną. Spytałem, czy będzie mi mógł zarezerwować duży pokój z wieloma szafami w ścianie – na nieokreślony czas. Uzgodniłem cenę. Wciąż jeszcze było parno, noc nie przynosiła ochłody i do „Intercontinentalu” dobrnąłem spocony jak mysz. Hotelowa służba pomogła mi tym razem wnieść bagaż na górę, do pięknego apartamentu na ósmym piętrze. Miałem rzeczywiście dużo miejsca na bieliznę i ubranie, a dyrekcja kazała mi wstawić do salonu dwie butelki musującego wina.

Ale daleko mi było do szampańskiego nastroju. Z baru kazałem sobie przysłać butelkę whisky i dużo lodu oraz wodę sodową i przy wypakowywaniu popijałem, stopniowo dochodząc do siebie. Choć pomieszczenia miały klimatyzację, całkiem się rozebrałem, nie byłem bowiem przyzwyczajony do takiego wysiłku fizycznego, i tak racząc się alkoholem rozwieszałem ubrania i układałem bieliznę oraz inne rzeczy. Dla słoni i konika znalazłem miejsce na dwóch ściennych półkach w salonie. Dokumenty postanowiłem z rana znieść do sejfu hotelowego. Potem należało podjąć pieniądze z banku i zablokować konto dla Karin. Było to dość nikczemne posunięcie, ale wolałem nie ryzykować. O drugiej nad ranem wreszcie ze wszystkim się uporałem. Usiadłem w fotelu zupełnie wypompowany i zde gustowany, oddychałem ciężko i próżno czekałem, aż ustąpi ból w nodze. Piłem dalej, świadomy, że się upijam. Po głowie kołatała mi tylko jedna myśl: odszedłem od Karin. Nie wiem, co teraz będzie, ale uwolniłem się od niej.

Zadzwoiłem tam. Zgłosiła się natychmiast, w słuchawce wyłowilem głosy Hartmannów, którzy widocznie pocieszali moją żonę.

- Karin, mieszkam w „Intercontinentalu” – poinformowałem ją.
- Dobrze – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Siedziałem w salonie naprzeciwko okna i patrzyłem w noc. W oddali widziałem światła lotniska: białe, czerwone, niebieskie i podświetlone pasy startowe. Raz po raz startował lub lądował jakiś samolot. Pewnie z pocztą, pomyślałem, albo wypadło mu międzylądowanie, jeśli przybywał z bardzo daleka i miał przed sobą jeszcze szmat drogi. Samoloty przelatywały nieraz tuż nad hotelem, ale o dziwo, nie było ich słyhać jak w Cannes czy Nicei.

Program telewizyjny dawno się skończył, włączyłem więc radio. Nastawione było na frankfurcką AFN, amerykańską stację wojskową, gdzie – cóż za zrzędzenie losu – usłyszałem głos Boba Dylana: „...*the answer, my friend, is blowin' in the wind. The answer is blowin' in the wind...*”. Szybko wyłączyłem odbiornik i dalej sącząc alkohol, przywołałem obraz Angeli, aż do bólu stęskniony za nią.

O czwartej byłem zupełnie pijany. Poprosiłem wówczas o połączenie z Cannes. Mówiłem z pewnym trudem i nazbyt wyraźnie, gdy po dłuższej chwili zgłosiła się Angela. Na początku niczego nie zauważyła.

– Nie chcę już z tobą mieć nic do czynienia – oznajmiła. – Gdzie jesteś? W „Majesticu”? Dlaczego dzwonisz o tej porze?

- Jestem w Düsseldorfie.
- Gdzie?

– W Niemczech. W Düsseldorfie. – Przeszliśmy na francuski, Angeli, wyrywanej ze snu, trudno było porozumiewać się po niemiecku.

- Nie jesteś w Cannes?
- Nie. Musiałem wrócić.
- Nie zadzwoniłeś do mnie.
- Nie miałem odwagi.

– Była u mnie wczoraj policja kryminalna. Szukała cię. Zniknąłeś po wyjściu ode mnie. Gdzie byłeś?

- W barze. A potem u prostytutki – wypaliłem. – Zamordowano Kilwooda.

– Wiem. A tutaj sądny dzień. Reporterzy i jeszcze raz reporterzy. Z całego świata. Adwokaci Kilwooda, amerykańska policja. Ale wszyscy jakby wody nabrali w usta. Gazety informują tylko o morderstwie. Chcą chyba zatuszować skandal. Och, Robercie, dlaczego mnie oszukałeś?

- Powiedziałem ci przecież prawdę.
- Tak. W końcu. Ale najpierw mnie oszukałeś.

– Więcej nie skłamię, Angelo – przyrzekłem. – Z żoną już nie mieszkam. Opuściłem ją...

– O, Boże – zawołała.
– I telefonuję z hotelu. – Powiedziałem jej, z jakiego i podałem numer telefonu.

– Czekaj. Czekaj. Najpierw okulary... i coś do pisania... Jaki numer?

Powtórzyłem wszystko jeszcze raz, gdy zapisywała.

– Opuściłem żonę, więc widzisz, że mówiłem prawdę. Nie kocham jej, od bardzo dawna nie kocham. Jutro pójdę do adwokata, to znaczy dzisiaj, i wniosę sprawę o rozwód. Oczywiście winę biorę na siebie.

W słuchawce zapanowało milczenie tak długie, że pomyślałem, iż odłożyła słuchawkę.

– Angelo!

– Tak. – Głos zniżyła do szeptu: – Wracaj, Robercie...

– Koniecznie, Angelo – i gdy przyrzekałem, poczułem znajomy ból, który znów po chwili cudownie zniknął bez śladu.

– Kiedy przyjedziesz?

– Nie wiem jeszcze.

– Wkrótce?

– Gdy tylko będę mógł, ale nie wiem, czy szybko. Mam tu robotę. Zadzwonię do ciebie jutro wieczorem, dobrze?

– Dzwon, kiedy zechcesz. Rano, wieczorem, nocą, świtem, jak teraz. Będę zawsze czekać na twój telefon. Jak się czujesz?

– Czuję, że zrobiłem coś bardzo ważnego – powiedziałem. A równocześnie rozpiera mnie wielka radość.

– Mnie też, Robercie. Ale przede wszystkim mam poczucie, że wyrządzamy komuś krzywdę.

– Jaką krzywdę, zapewniam cię, że moje małżeństwo było już tylko farsą.

– Tak, teraz ci wierzę. Gdyby nie to, nawet teraz byłabym zdecydowana na stanowczy krok, chociaż przyszłoby mi za to gorzko zapłacić. To jednak krzywda.

– Nieprawda.

– Myślę, że tak – odparła. – I Bóg nas za to ukarze.

– Za miłość?

– Wiesz przecież za co. Nie powinieneś z Bogiem grać w kości.

– Ale nie potrafię inaczej. Zakochałem się w tobie i nie potrafię.

Znowu nastąpiła długa przerwa. W słuchawce był tylko szmer.

Wreszcie: – Ja też, Robercie – zapewniła Angela. – I ja już nie mogę inaczej.

– Wszystko się dobrze ułoży, zobaczysz.

Milczała.

– Nie wierzysz?

– Nie – rzekła – ale chciałabym wierzyć. Pijany jesteś, prawda?

- Tak – przyznałem się. – I to bardzo.
- Zazdroszczę ci – wyznała nieoczekiwanie. – A więc do wieczora. Czekam na telefon, Robercie, ja... – Połączenie zostało nagle przerwane. Zastanawiałem się, czy nie zamówić nowej rozmowy, ale zrezygnowałem. Siedziałem dalej z nogami na stole, piłem i spoglądałem na światła lotniska, na morze jasnych punkcików, które tak przypominało mi Cannes. Jakiś samolot nadlatywał nad hotel, kierując wprost na mnie światła pozycyjne. Nagle jednak pilot poderwał maszynę stromo w górę, silniki odrzutowe tylko zaszepotały i wszystko nagle stało się dla mnie nierzeczywiste, rozplynęło się.

33.

Zadzwonił telefon. Usłyszałem go w chaotycznym, ciężkim śnie i pomyślałem, że i on mi się przyśnił. We śnie nawiedziły mnie węże, całe mnóstwo wielkich węży, z którymi walczyłem o życie, bo chciały mnie udusić. Telefon dzwonił uparcie. Nie, to nie był sen. Zerwałem się, już zupełnie przebudzony. Nie wiedziałem, gdzie jestem, jaki jest dzień, która godzina, kim jestem, naprawdę nie umiałbym niczego powiedzieć. Telefon dzwonił dalej. Nie widziałem go, gdyż zasłony w oknach nie przepuszczały dziennego światła i w pokoju było prawie ciemno. Wciąż jeszcze mi się wydawało, że węże oplatają mi ciało i włosy, cały byłem mokry od potu.

Gdzie byłem? Gdzie się podział ów przeklęty telefon? Szukając go po omacku, przewróciłem na nocnym stoliku szklankę z wodą, zmoczyłem rękę, woda zaczęła kapać – kap, kap, kap – na podłogę, błądziłem dalej i wreszcie wymacałem coś twardego – był to telefon. Podniosłem słuchawkę. Drżała mi ręka, gdy przykładalem ją do ucha.

- Tak?
- Dzień dobry, panie Lucas – usłyszałem dziewczęcy głos. – Zamawiał pan budzenie. Jest siódma.
- Siódma – powtórzyłem idiotycznie. Chciałem odłożyć słuchawkę, ale nie mogłem znaleźć widełek, obydwoma rękami szukałem teraz kontaktu od lampki nocnej i kiedy wreszcie go nacisnąłem, wstrętne, jaskrawe światło zalało cały pokój. Cóż to za... I zaraz wszystko sobie przypomniałem. Tak, to mój hotelowy pokój, oczywiście prosiłem, żeby mnie zbudzono o siódmej. Mieszkam teraz w „Intercontinentalu”. Opuściłem żonę. Dla Angeli. O czwartej jeszcze z nią rozmawiałem. A więc nie spałem nawet trzech godzin. Palily mnie oczy. Wiedziałem, że zasną znowu, jeśli natychmiast nie wstanę, i że nie wolno mi tego zrobić. Teraz

zauważyłem, że woda ze szklanki zalała blat nocnego stolika, a na wykładzinie podłogowej zrobił się ciemny zaciek. Zaczepiłem głęboko powietrza i spróbowałem wyskoczyć z łóżka – za szybko, gdyż straciłem równowagę i omal nie upadłem. Czaszka pękała mi z bólu. To z powodu whisky, zbyt dużej ilości whisky wypitej ostatniej nocy. Wciąż jeszcze byłem pijany. Na chwiejnych nogach jakoś dobiegłem do okna i rozsunąłem zasłony. Jaskrawe słońce oślepiło mnie do bólu. Przcisnąłem ręce do czoła. W oddali zobaczyłem port lotniczy.

Przypomniałem sobie, że dziś jest czwartek, 18 maja. Zamyka on dawne życie, ale czy daje początek nowemu? Miałem taką nadzieję. Życiu wypełnionemu miłością. Jak do niego dojdę? Nie zastanawiałem się tego rana nad tą piramidą problemów i trudności, zagrażającą mi drogę do Angeli, refleksja przyszła dopiero później. Tego rana, w pół odurzony alkoholem, z obolałą głową, myślałem tylko o jednym: że dzisiejszej nocy coś się skończyło. Ale ów koniec jest równocześnie początkiem. Byłem w poważnym nastroju, zależało mi, żeby teraz niczego nie popsuć. Czułem się bezradny i nagle bardzo samotny. Chciałem zadzwonić do Angeli, ale obawiałem się, że ją zbudzę. Wziąłem gorący prysznic i przytrzymałem głowę pod lodowatą wodą, ogoliłem się, ale ból głowy i oszołomienie nie ustępowały. Zamówiłem dwa dzbanki herbaty, tabletki alka-seltzer i wodę mineralną. Herbata i alka-seltzer pomogły wreszcie. Poczułem się lepiej. Była siódma czterydzieści pięć.

Miałem dzisiaj wiele do załatwienia. Najpierw zadzwoniłem do Fontany, jeszcze do domu. Doktor Paul Fontana był moim adwokatem od ponad dwudziestu lat. Opowiedziałem mu wszystko, co się stało, i poprosiłem o pilną rozmowę.

– Kiedy? – głos Fontany brzmiał spokojnie i przyjaźnie jak głos lekarza. Nigdy go nie podnosił.

– Nie wiem, Paul. Muszę być najpierw w firmie. Być może, że Brandenburg gdzieś mnie wyśle. Jeśli będą przeszkody, zadzwonię.

– Dobrze. Wpadnij do kancelarii. Mam zaległości w aktach. Do północy na pewno posiedzę. Przyjdź, kiedy ci najwygodniej, najlepiej po szóstej, nikogo już wtedy nie będzie.

– Dziękuję, Paul.

– Już dobrze. Ostrzegam, zaczyna się dla ciebie trudny okres.

– Wszystko jedno.

– Mówisz tak teraz. Zaczekamy.

– Aż umrę? Nie myślę, co będzie. Chcę odejść od Karin. Kocham tę drugą kobietę i ona mnie kocha.

– To piękne, ale dla nas mało pomocne. Spróbuję postępowania, które by cię jak najmniej obciążało. Musisz jednak mnie słuchać i stosować się do moich zaleceń.

– Dlatego chciałbym jak najprędzej spotkać się z tobą.

- Wszystkim do mnie pilno, ale rad potem mało kto słucha. Co z twoim kontem bankowym?
- Jest na moje nazwisko, ale Karin ma ode mnie upoważnienie.
- Jedź więc zaraz do banku i odwołaj je.
- Już o tym także pomyślałem. Zaraz to zrobię.
- Jasne. Na różne sposoby żona będzie ci teraz szkodzić, aby skomplikować życie, a sobie od początku zapewnić najkorzystniejszą sytuację.
- Odgrażała się, że zedrze ze mnie ostatnią koszulę.
- No widzisz. Miej się na baczności, Robercie. Kobieta porzucona jest zdolna do wszystkiego. Nienawiść jest o wiele silniejszym uczuciem niż miłość. Czy również Karin ma konto?
- Tak, od lat. W innym banku. Nie wiem, ile na nim jest.
- Czy i ty jesteś upoważniony do podpisu?
- Nie.
- Dziwiłbym się – rzekł Fontana. – To dobrze. Czekam więc na ciebie wieczorem. Uporządkuj konto, ale innych rzeczy nie rób. I skieruj pocztę na „Intercontinental”. Obiecuj.
- Słowo. Pozdrów ode mnie Werę.
- Z przyjemnością. – Wera była jego żoną od siedemnastu lat. Mieli dwie córki i byli szczęśliwi. Idealna para. Zdarza się. Pomyślałem, że również z Angelą stworzymy idealną parę. Ubrałem się, poprosiłem w recepcji o sejf i schowałem w nim wszystkie dokumenty, jak również kopertę z resztą wygranej. Siadłem następnie do admirała i pojechałem do banku.

Urzędnika z okienka, który mnie powitał z uśmiechem, znałem od czterdziestego dziewiątego roku. Nazywał się Kresse i miał jedno oko szklane, ale o tym prawie nikt nie wiedział. Kiedyś mi się do tego przyznał. Szklane oko do złudzenia przypominało normalne i dlatego nie zwracało niczyjej uwagi.

Wy tłumaczyłem, o co mi chodzi Kressemu, który w ciągu tych długich lat zdążył posiwieć i postarzeć się; wyszedł i przyniósł moje akta, następnie wypełnił formularz, w którym odwoływałem pełnomocnictwo dla żony. Wystarczyło tylko podpisać i tym sposobem zablokowałem swoje konto. Jakie to było proste, nie trwało nawet pięciu minut. Zostawiłem Kressemu swój nowy adres, pod który miały być przysyłane wyciągi bankowe, na razie był to hotel „Intercontinental”, a on wszystko notował, nie zadając ani jednego osobistego pytania. Był bardzo nieśmiały. Szklane oko zawdzięczał radzieckiemu snajperowi i mówił zawsze, że dwa razy w życiu miał więcej szczęścia niż stu ludzi razem. Snajper mógł go śmiertelnie trafić, chodziło dosłownie o milimetry. Uważa to za swoje pierwsze szczęście. Drugim jego szczęściem był związek małżeński z kobietą, którą nazywał Ännchen. Ożenił się z nią dwadzieścia osiem lat temu. Nie mieli dzieci i byli w sobie

zakochani jak pierwszego dnia. Od zawsze był trochę gadatliwy. Tego ranka sala z kasami świeciła pustkami. Kresse wyciągnął kalendarz i pokazał mi stronę ze wszystkimi dniami i miesiącami roku. Prawie połowę dni przekreślono czerwonym ołówkiem.

– Wspaniale wygląda, prawda? – Twarz Kressego promieniała. Miałem wrażenie, że cieszyło się nie tylko jego prawdziwe oko, ale i to ze szkła. – Każdego wieczora skreślał miniony dzień – poinformował.

– Dlaczego?

– Dwudziestego grudnia przechodzę na emeryturę i z Ännchen wyjeżdżamy z Düsseldorfu zaraz po świętach. Wszystko już załatwione. Opuszczamy Niemcy. Od wojny oszczędzaliśmy na bungalow na Teneryfie. W Bajamarze. Jest to, wie pan, mniej atrakcyjna część wyspy, z plażą pokrytą czarną lawą, ale o wiele tańsza. Spędzimy w Bajamarze jesień naszego życia. Dobry pomysł, prawda?

– Wspaniały – przyznałem. – Cieszę się razem z panem, panie Kresse. Choć będzie mi przykro, że już tu pana nie zastanę.

– I mnie będzie przykro, panie Lucas. Ale może pana również tu nie będzie? – I to była jedyna aluzja, na jaką sobie pozwolił.

– Może nie – zgodziłem się i pomyślałem, że na Boże Narodzenie powinienem być u Angeli, bez względu na to, co się przedtem miało zdarzyć, w jakiej sytuacji znaleźlibyśmy się potem i co mnie jeszcze później czekało. Boże Narodzenie u Angeli. I Sylwester. Koniecznie.

– Domek jest już gotowy i umeblowany. Do grudnia wynajmowaliśmy go. Sprzedamy nasze meble i w ogóle wszystko. Dopiero w Bajamarze zacznie się nasze życie.

– Jeszcze się zobaczymy – rzuciłem na pożegnanie. – Proszę pozdrowić ode mnie żonę.

– Dziękuję, panie Lucas. – Podaliśmy sobie dłonie, a Kresse wyprężył się słuźbiście jak zawsze. Kiedy wychodziłem z banku, zakręciło mi się w głowie. Zacząłem zastanawiać się, czy było wielką podłością to, co właśnie zrobiłem, i doszedłem od wniosku, że tak, ale musiałem to zrobić w interesie Angeli i swoim. I poczułem się jeszcze bardziej niewyrażnie, gdy zorientowałem się, że kompletnie już mnie nie obchodzi, czy owej niegodziwości dopuściłem się, czy też nie. Na moim koncie – jak sprawdził Kresse – znajdowało się 192.522,50 marek niemieckich, z czego sto pięćdziesiąt tysięcy na rachunku terminowym. Zależało mi przecież na paroprocentowych odsetkach. Pieniądze te gromadziłem przez dziewiętnaście lat, harując dla „Globalu”. Nie byłem oczywiście milionerem, ale i nie byłem żebrakiem. A poza tym miałem jeszcze sto dziewiętnaście tysięcy franków i pensję przekazywaną zawsze na konto. Zastanawiałem się, ile po rozwodzie będę musiał

dawać Karin. Ile muszę jej dać, kiedy nie zgodzi się na rozwód. Pociężyłem się, że Fontana wszystko mi powie i pojechałem do urzędu pocztowego, któremu podlegałem, i na pierwszym pięttrze wypełniłem wniosek o przesyłanie całej korespondencji pod adresem „Intercontinentalu”, od zaraz aż do odwołania, względnie innych poleceń. Mężczyzna odbierający formularz studiował go dokładnie i potem długo na mnie patrzył.

– Co się stało? – spytałem. Źle wypełniłem?

– Nie – odparł. – W porządku. Pan odchodzi z domu. Do hotelu, czy tak, panie Lucas? Od żony?

– Co to pana obchodzi? – oburzyłem się.

– Niczego złego nie miałem na myśli – rzekł cicho. – Imponuje mi każdy, komu udaje się wyjść z tej szatańskiej instytucji, nazwanej małżeństwem. Moje piekło trwa już czternaście lat. Zafundowałem sobie wrzody żołądka i muszę teraz brać czternaście pigułek dziennie. Czternaście! I unikać wzruszeń, bo wtedy bóle się nasilają. – Zaśmiał się. – Unikać wzruszeń, dobre, co?

– Bardzo panu współczuję – zmieniłem ton, zauważając w myślach, że wprawdzie nie byłem obciążony czternastoma pigułkami dziennie i wrzodami żołądka, ale miałem *claudicatio intermittens*, a może również dusznicę bolesną. Gdy odwróciłem się od drzwi, mój rozmówca zza biurka sięgnął już po książkę i zagłębił się w lekturze. Miał tu spokojną posadę i wyrozumiałych przełożonych. Dostrzegłem tytuł na okładce: „Wszystkie przyjemności świata”.

34.

– Robercie – witał mnie Gustaw Brandenburg – niechże cię uścisknę. – Gdy wchodziłem do jego biura, stał na wprost mnie krępy, średniego wzrostu mężczyzna o zupełnie łysej, kwadratowej czaszce. Zaanonsowała mnie jego sekretarka i zdążył już się wytoczyć zza biurka. Teraz otoczył mnie ramionami i poklepywał po plecach, rozsiewając woń cygar i przepoconej koszuli. Żołądek zaczął mi lekko podchodzić do gardła. Próbowałem się cofnąć, ale uchwyt miał mocny i obserwował mnie z dołu, gdyż był niższy ode mnie. W kącikach ust miał resztki popcornu, a chytne, świńskie oczka wyrażały duże wzruszenie. I zwilgotniały, stwierdziłem ze zdumieniem. – Zuch z ciebie, Robercie, zdecydowałaś się! Wreszcie działasz, a nie tylko gadasz. Wiesz, jak się cieszę? Jesteś jakby moim synem. – Znowu to poklepywanie po plecach i znowu zapach cygar i potu. Nie wytrzymałem i uwolniłem się z jego objęć.

Podeszliśmy do zabałaganionego i zdewastowanego biurka, na którym dmuchana kukurydza i popiół z cygar przyprószyły wszystkie papiery. Zająłem szybko miejsce w fotelu przed biurkiem.

Stał niezdecydowany przede mną i już się bałem, że zacznie mnie głaskać lub wybierze miejsce na oparciu fotela, dlatego założyłem nogę na nogę i oparłem ręce na poręczach. Przyglądał mi się sentymalnie, a potem podszedł do swojego fotela i ciężko się w nim zapadł. – Do diabła – zaczął z zadowoleniem – to dla mnie prawdziwy dzień triumfu. Czekałem na niego dziesięć lat.

– Skąd już wiesz? – spytałem.

Wyciągnął nową hawanę, odgryzł jej koniec, wypluł na podłogę i niewyraźnie cedząc słowa, to zapalał cygaro, to wydmuchiwał chmury dymu.

– Był telefon od Karin dzisiaj o ósmej. Wszystko powiedziała.

– Wszystko?

– A wszystko. Tym swoim wyszukany tonem, który przecież znasz. Dama jak się patrzy. Prawdziwa dama! Masz inną w Cannes i swoją prawdziwą damę opuściłeś bezlitośnie. Dla takiego faceta nie powinno być miejsca w „Globalu”. Mam cię wykończyć. Ta baba chyba zwariowała! Jak wyobraża sobie swoją przyszłość, jeśli cię wykończymy? Mówię ci, do wszystkiego jest zdolna. Potrafi wiotriolem chlusnąć w twarz. Myślę, że może udało mi się ją splawić.

– Tak uważasz?

– Posłuchaj! Powiedziałem, że w żadnym wypadku nie mogę i nie chciałbym ingerować w twoje prywatne życie.

– I co?

– Ona na to, że wobec tego pójdzie do dyrekcji, do najwyższych władz.

– Doskonale – wyrwało mi się. – Doskonale.

– Bzdury. Ci z góry zawołają mnie, jeśli rzeczywiście to zrobi. A ja trzymam z tobą, twardo! Jesteś mi potrzebny, z powodu byle głupstwa firma nigdy nie zwolni kogoś takiego jak ty.

– Powiadasz?

– Nigdy! – zaperzył się Gustaw. – Niech Karin rozrabia, dopóki nie straci ostatniej lewy. *No can do*. – Obserwował mnie z zaciekawieniem i lubieżnością. – A więc trafiła ci się w Cannes wielka miłość, czy tak?

– Tak.

– Cieszę się. Cieszę się, że to właśnie tobie się przydarzyło, Robercie.

– Dziękuję.

Nacisnął guzik telefonu i gdy w drzwiach pokazała się sekretarka, zagrzmiał:

– Prosimy o butelkę.

– Jaką butelkę? – spytała.

– Szampana. Musimy to przecież oblać, chłopie! Bądź przekonany, że twojej starej dałem chyba nauczkę. Wyprosiłem sobie, by kiedykolwiek jeszcze zawracała mi głowę swymi prywatnymi sprawami. Powiedziałem, że jestem twoim przyjacielem i na twój temat nie chcę od niej nic słyszeć. Mam rację?

Przytaknąłem

– Nawet ci nie powiem, co jeszcze na ciebie wygadywała. Ohyda, chłopcze, ohyda. – Musiało być tego sporo, pomyślałem, jeśli nawet Gustawowi wydało się to obrzydliwe. – Gdyby wściekała się, w porządku. Ale nie, tylko oskarżenia i lamente nad sobą, i pogrożki, bardzo by chciała zaszkodzić ci w pracy. Ordynarne, wykalkulowane pogrożki. Naturalnie, bez przerwy czepiała się tej drugiej, tej z Cannes. Nie zna jej, czy co?

– Nie.

– Oszalała na jej punkcie. Nic, tylko dziwka i dziwka. Dziwka z Cannes.

Z szampanem na tacy i dwoma kieliszkami weszła sekretarka Brandenburga, panna nie pierwszej młodości.

– Dziękuję – powiedział Gustaw. Nie miał wprawy w otwieraniu butelki i szampan trysnął strumieniem na ścianę. – Do diabła – zdenerwował się. – Jeszcze za ciepły. No, niech będzie. – Napęłnił kieliszki, podał mi jeden i wznosił toast. – Za twoje szczęście, Robercie, mój chłopcze.

Wypiliśmy. Szampan był rzeczywiście dość letni i zapewne tani. Gustaw nałaj po raz drugi.

– Co teraz zrobisz?

– Muszę się naradzić z adwokatem.

– Karin mówiła, że chcesz się rozwieść.

– Zgadza się.

– Aby poślubić tę drugą?

– Może.

– To oczywiście! Żadne może! Miej do mnie zaufanie, chłopie. Cieszę się razem z tobą, że wreszcie masz romans. Pierwszy raz od niepamiętnych lat wyglądasz jak nie ten sam człowiek! Zdrowie!

– Zdrowie! – Wypiłem ciepły trunek, chociaż mi nie smakował. Nie chciałem psuć humoru Gustawowi. Nikogo teraz nie chciałem do siebie zrażać.

– Jak się nazywa?

– Nie teraz, proszę.

– No wiesz, mnie możesz powiedzieć.

– Naprawdę, Gustawie, proszę, nie nalegaj.

– No, dobrze. Rozumiem. Rozumiem wszystko. Nie mam do ciebie pretensji. Jeszcze jeden za dziwkę z Cannes! – I zarechotał, zamierzając mi dolać.

– Pasuję – podziękowałem.

– Nie chcesz ze mną wypić za twoją miłość? Za wasze szczęście? Nie bawisz się chyba w przesady?

W jednej chwili tak mnie przestraszył, że natychmiast zdjąłem z kieliszka dłoń protestującą przeciw dalszym dolewkom.

– Pomyślności! – I raz jeszcze wypiliśmy. Wyczułem lekką zgagę. Ani chybi, sikacz. Mój oszczędny Gustaw. – I powinieneś wiedzieć, że cokolwiek się zdarzy, oboje możecie na mnie liczyć. Nie ma takiej rzeczy, której bym dla ciebie i dla niej nie uczynił. Nawet jej nie znam, ale jeśli kochasz ją ty, to i ja wszystko dla niej zrobię – rzekł Gustaw Brandenburg. Nad tym ostatnim oświadczeniem miałem się jeszcze raz zastanowić.

35.

Wystroił się tego dnia w pomarańczową koszulę w niebieskie pasy i zielony krawat. W jego pokoju było ciepło, powietrze zatęchłe i ciężkie, a pod pachami Gustawa widziało się przede wszystkim te ciemne plamy. Nie chciałem na nie patrzeć, ale właśnie dlatego przykuwały uwagę.

– Wiem wszystko, co się wydarzyło w Cannes – oznajmił Gustaw. – Telefonował jeszcze wczoraj Kessler, razem z tym swoim bońskim szefem Friesem. Mówił całą godzinę. Ma siekaczkę w aparacie, wiesz, co to jest, mogli się nie krępować. Dziesięć już lat staram się o taką rzecz – irytował się. – I co mam? Gównu mam. Muszą nam wystarczyć te głupkowate telegramy z kodami. Albo gnać trzeba ludzi na cztery strony świata. Do rzeczy teraz. A więc zakatrupili tego pijacznąę Kilwooda. Podobno widok obrzydliwy?

– O tak, rzeczywiście – potwierdziłem. Było w tym coś osobliwego, kiedy Gustaw Brandenburg z kimś innym kojarzył obrzydliwy widok.

– Kto to zrobił?

– Nie mam pojęcia. Czy się tymczasem posunęli w śledztwie?

– Ani o milimetr. Do Cannes natomiast zlecieli się adwokaci, urzędnicy policji i Bóg wie jacy dziennikarze, ale policja gównu wie. A francuscy i amerykańscy przedstawiciele, którzy ich pościągali, zajmują się tylko wyciszaniem sprawy.

– Też słyszałem.

– Od kogo... ach tak! Różnie bywa. Za duża sprawa. Facet z niewyobrażalną forszą. Co do jednego panuje zgoda: zatuszować, co się tylko da. Wydaje im się, że prowadzą dochodzenie, ale to lipa. Nie chciałbym być w skórze tego Lacrosse'a czy Roussela. Biedacy, cokolwiek by wyniuchali, jeśli w ogóle na to pozwolą, pójdzie na marne. Francuskie i nawet niektóre niemieckie gazety donoszą dzisiaj o tajemniczym morderstwie amerykańskiego miliardera. Kwalifikują całą sprawę jako zwykły kryminalny wypadek. Już się więc i one porozumiały. Jak sądzisz, kto sprzątnął Kilwooda?

– Ten, kto się obawiał, że Kilwood za dużo opowiada o śmierci Hellmanna. Kilwood musiał być dobrze zorientowany.

– Jakbym sam mówił – przyznał mi rację Gustaw, rozsiewając wokół popcorn. – Tylko jak się morderca dostał do Kilwooda? Dom, zapewniał mnie Kessler, był przecież strzeżony.

– Przypuszczają, że ktoś tam był cały czas i gdy zabójstwo wyszło na jaw, zwał w ogólnym zamieszaniu.

– Może tak, może nie.

– Co to znaczy?

– Przecież tam roilo się od policjantów, którzy pilnowali domu, no nie? Stale ktoś sprawdzał. Mógł to być ktoś z nich.

– Absurd!

– Wcale nie!

– Do licha – otrzeźwiałem. – Masz słuszność, że wcale nie. – Wystarczy odpowiednia suma. Wszystko możliwe.

– Właśnie. Ktoś przecież także sprzątnął Viale'a. I tych dwunastu ludzi, jeśli Hellmann nie popełnił samobójstwa.

– Jeśli Hellmann nie popełnił samobójstwa, „Global” będzie musiał zapłacić piętnaście milionów – przypomniałem. – Wysłałeś mnie przecież po to, żebym udowodnił ewentualne samobójstwo.

Gustaw obgryzał cygaro i wpatrywał się we mnie z napięciem.

– Co jest grane? Czy nie dlatego mnie wysłałeś?

– Jasne – odparł. – Ale czy czasem nie wolno sobie głośno pomyśleć? W tej cholernej historii wszystko jest możliwe. Także i to, że był nie jeden morderca, ale wielu, i Hellmann mimo to popełnił samobójstwo.

– Wierzysz w to jeszcze?

– Chcę wierzyć. Muszę wierzyć. I potrafię wierzyć – mówił Brandenburg. – Dlatego cię przywołałem. Przy odrobinie szczęścia może nam się uda udowodnić samobójstwo. Najbliższym samolotem polecisz do Frankfurtu.

– A tam po co?

– Zanim zadzwonił do mnie Friese i opowiedział mi wszystko o Kilwoodzie,

miałem jeszcze jeden telefon, od pewnego człowieka z Frankfurtu. Chciał koniecznie ze mną mówić – jako twoim przełożonym, tak się wyraził. A potem oznajmił, że chce ci coś przekazać. Osobiście, pilnie i w dodatku we Frankfurcie, bo sam nie może przyjechać. Przed szóstą wieczorem trzeba tam być.

– Dlaczego?

– Potem nie ma czasu, zaczyna pracę. Facet nazywa się Molitor, Fred Molitor.

– Nie znam, nigdy nie słyszałem takiego nazwiska. Dlaczego akurat ze mną chce mówić?

– Bo cię zna. To znaczy zna raczej twoje nazwisko. Wszystko o tobie wie – tłumaczył Gustaw. – Tylko z tobą chce mówić, z kim innym nie. Policja nie wchodzi w rachubę, to wykluczone. Chce naturalnie pieniędzy, więc będzie je miał. Weźmiesz ze sobą, ile trzeba. Zobaczysz, co jest warte jego opowiadanie.

– Chwileczkę – powiedziałem – już nic nie rozumiem. Skąd ów...

– Molitor, Fred Molitor. Tu jest kartka z jego nazwiskiem i adresem oraz numer telefonu. Alexanderstrasse, to w zachodniej części, przy Lorschstrasse.

– Skąd ten Molitor o mnie się dowiedział?

– Od Seeberga.

– To się staje coraz bardziej intrygujące.

– A jest proste. Gdy zaczęła się ta cała sprawa w Cannes i pojawiły się pierwsze doniesienia, Molitor, tak przynajmniej twierdził przez telefon, zadzwonił do Seeberga w Cannes i spytał, co ma zrobić.

– Co i z czym miał zrobić?

– No z tym, co ma do sprzedania, nie wiem przecież, o co chodzi. Seeberg wie, bo mu powiedział przez telefon. I Seeberg zaproponował, żeby się do ciebie zwrócił, jesteś najodpowiedniejszym człowiekiem. Rozpracowujesz ten wypadek.

– Co obiecujesz sobie po tej wyprawie? To wszystko brzmi dość fantastycznie, zbyt fantastycznie jak na mój gust.

– Gdy chodzi o duże pieniądze – rzekł Brandenburg – wtedy nie ma to najmniejszego znaczenia. Nieprawdopodobieństwa są najczęściej wyjaśnieniem wszystkiego.

– I sądzisz, że Molitor proponuje nam wyjaśnienie wszystkiego?

– No, wszystkiego może nie.

– Czegóż więc?

– A tego, że Hellmann był wielką świnią i naprawdę popełnił samobójstwo, kiedy znalazł się w sytuacji bez wyjścia – zakończył Gustaw Brandenburg.

- *Hallo, qui?*
- Angelo, tu Robert.
- To niesamowite! Nieprawdopodobne!
- O czym mówisz?
- Siedzę od godziny przy telefonie, gapię się i próbuję go zaczarować. I cały czas mówię: niech Robert zadzwoni, niech zadzwoni teraz, proszę, chcę usłyszeć jego głos. Muszę usłyszeć. Nie wytrzymam do wieczora. Muszę wiedzieć, co się stało. Co się stało, Robercie?

Dzwoniłem z budki pocztowej na lotnisku w Düsseldorfie. Powiedziałem Angeli, że lecę właśnie do Frankfurtu i że wieczorem umówiłem się z adwokatem.

- Natychmiast po powrocie zadzwoń, dobrze?
- Oczywiście.
- Kiedy do mnie wrócisz?
- Nie mam pojęcia.
- O Boże.
- Może wieczorem będę wiedział.
- A jeśli nie? Jeśli to się przeciągnie?
- Cóż zrobić, zostanę, to mój zawód, Angelo.
- Wiem. Wiem, Robercie. Tylko widzisz... – Na linii dały się słyszeć jakieś trzaski i coraz bardziej przeszkadzały w rozmowie.
- Co mówisz? Halo! Kompletnie cię nie rozumiem – krzychałem do słuchawki. – Zaczekaj, aż się trochę uspokoi.

Z głośnika dotarła teraz do budki zapowiedź.

– Uwaga, uwaga. Pasażerowie lecący do Frankfurtu samolotem rejsowym Lufthansy, lot numer 645, proszeni są do wyjścia numer czternaście. *Attention, please! Lufthansa announces...*

W słuchawce uspokoiło się.

- Słyszę cię teraz, Angelo.
- Postawiłeś na swoim, Robercie. – Głos Angeli to się zaciął, to cichnął. – Wygrałeś. Ja., ja również cię kocham. Boże drogi, wydaje mi się, że już bez ciebie nie potrafiłabym żyć. Nie wydaje mi się, jestem pewna. Wiem, a ty tak daleko.
- Odtąd razem.
- Tak, Robercie, tak.
- I ja bez ciebie... – Znowu zaczęło się trzeszczenie. Czekałem. Przez megafon ponownie wzywano pasażerów Lufthansy lecących do Frankfurtu. Po chwili,

która w moim odczuciu była pierwszą sekundą wieczności, ustały trzaski. – I ja nie mogę już bez ciebie żyć.

- Dzisiejszej nocy nie spałam ani minuty. To, co robimy, jest szaleństwem.
- Słodkim szaleństwem.
- Złym, Robercie. Nie wierzę, żeby nam się udało. Nie szanujemy zakazów.
- Czyich zakazów?
- Sprawiamy ból drugiej osobie, a tego nie wolno robić. To Bóg zakazuje.

To...

- Wszystko mi jedno, co Bóg...
- Pozwól dokończyć, Robercie! To straszne, co powiem.
- Co takiego?
- Że i mnie to nie obchodzi. Absolutnie nic! Pamiętaj, że cię kocham, choć nasze uczucie budujemy na krzywdzie i na przekór wszystkiemu. Kocham bardzo, choć właściwie nie znam cię dobrze.

- Ja...
- Zadzwoń po rozmowie z adwokatem, dobrze? Będę czekać. Nawet o piątej rano. Zadzwonisz?

- Tak – przyrzekłem.

Znów jej nie mogłem zrozumieć. Z megafonu po raz trzeci wezwano pasażerów z linii frankfurckiej. Zakłócenia na linii przeciągały się, nie było sensu trwać przy słuchawce. Odłożyłem ją, podszedłem do okienka, aby zapłacić. Potem pędem, tak, pędem, bo naraz mogłem biec, pogałem do kwaciarni. Młodej sprzedawczynie przekazałem dokładny adres Angeli.

- Oczywiście, proszę pana. Z bilecikiem? Dwieście marek.
- Naturalnie, bilecik. Już piszę. – Skreśliłem parę słów i zapłaciłem. Do tego doliczono jeszcze opłatę telefoniczną i ekspedycję.

Wpadłem szybko na korytarz lotniska, który zdawał się nie mieć końca. Zaczęła mnie boleć stopa. Biegłem i biegłem. Steward czekał na mnie przy wyjściu numer czternaście.

- Do Frankfurtu?
- Tak.
- Autobus odjechał, dowiezie pana volkswagen.
- Dziękuję. – Niebiesko-żółty wóz Lufthansy stał w pogotowiu na płycie już z zapuszczonym motorem. Kierowca nawet nie czekał, aż się koło niego usadowię, i ruszył. Trzasnęły drzwi.

– Z panami tak zawsze, mają czas – przywitał mnie gderliwie. Wyglądał bardzo młodo, choć twarz miał wykrzywioną i w pryszczach. Pewnie z tych pryszczycy brała się jego złośliwość, pomyślałem. Bolała mnie stopa. Rozstukotane gwałtownie serce czułem w gardle.

Angela kocha mnie. Kocha. Jestem najszcześniejszym człowiekiem tego świata, radowałem się, połykając dwie tabletki. Kiedy we Frankfurcie spotkam się z Fredem Molitorem, Angela będzie już miała ode mnie róże.

Szerokim łukiem podjechał nasz volkswagen do samolotu, na którego pomocy stała zniecierpliwiona stewardesa. Wyskoczyłem z wozu i kulejąc wspinałem się na schodki.

– To z pana winy opóźniamy start – spojrzała na mnie w wyrzucie. Była bardzo ładna i rozgniewana. Teoria pryszczu nie miała chyba pokrycia. Na karcetce, którą z różami miała otrzymać Angela, wypisałem słowa:

Je t'aime de tout mon cœur – Robert.

– Bardzo mi przykro – starałem się udobruchać równie piękną, co rozwścieczoną stewardesę. – Bardzo mi przykro. Przepraszam panią.

Nie odpowiedziała. Popchnęła mnie do środka i zamknęła drzwi, które zaraz zaryglowała. Upadłem na fotel przy oknie. Stopa bolała mnie coraz bardziej.

Kocham cię całym sercem – Robert.

37.

W pobliżu Lorschstrasse, pamiętałem słowa Gustawa. Wziąłem taksówkę i jechałem teraz obwodnicami i trasami szybkiego ruchu, mijając nowoczesne, dopiero co wzniesione twierdze mieszkaniowe i zieleńce. Potem okolica nagle się zmieniła. Wplątaliśmy się w małe uliczki, obwarowane po obu stronach krzywymi, bardzo starymi domami. Znaleźliśmy się jakby w innej epoce, cofniętej w odległą przeszłość.

W jednym z takich starych domów przy Alexanderstrasse mieszkał Fred Molitor. Na pierwszym piętrze otworzyła mi drzwi potężna, otyła kobieta. Miała ze sześć podbródków i jak całe mieszkanie, pachniała kiszoną kapustą.

– Nazywam się Molitor – przedstawiła się basem, który mnie wprawił w zdumienie. – Przepraszam za fartuch, ale właśnie zmywałam. Wie pan, zawsze jadamy późno! Fred musi długo spać. Niech pan pozwoli do salonu, Fred zaraz będzie. Uciął sobie drzemkę, ale powiedział, żeby go obudzić, kiedy pan się zjawi.

Usiadłem więc w „salonie”, małym pomieszczeniu z tapetami w kwiatki, w którym znajdowały się kulawe meble, okrągły stół nakryty koronkową serwetą, fotografie w ramach poustawiane na telewizorze i jeszcze ścienne witryny, zapchane lalkami w strojach ludowych – wśród nich Hiszpanka, Bawarczyk, Holenderka – jakie zwykle kupuje się na lotniskach albo w sklepach pamiątkarskich. Te

były jeszcze w celofanowym opakowaniu. Wybrałem miejsce na kanapie, której sprężyny zaraz jęknęły. Przy oknie wisiała klatka z parą papużek falistych. Pokój zalany był słońcem, które oślepiło mnie, gdy wchodziłem po skrzypiącej podłodze do środka. Tapety gdzieś tam były lekko wybrzuszone od wilgoci. Aż tu docierał zapach kiszonej kapusty.

Drzwi otworzyły się i wszedł mężczyzna, może pięćdziesięcioletni, chudy, bardzo blady, jak wszyscy pracujący na nocną zmianę, z zapadłymi policzkami i podkrążonymi oczami. Fred Molitor – skąd ów gość wytrzasnął takie nazwisko? – zjawił się w pantoflach i szlafroku. Oczy miał zmęczone i zaczerwienione. Ręka, którą mi podał, była jakaś taka zwiotczała. Gdy wszedł, zaskrzypiała pod nim podłoga. Od przejeżdżających samochodów wszystko dygotało w tym pokoju.

– Mała wódeczka? – powitał mnie Molitor, który w przeciwieństwie do żony, mówił bardzo wysokim głosem. – Likiereczku może, panie Lucas?

– Nie, dziękuję.

– Ależ tak, obrażę się. – Z szafki pod telewizorem wyciągnął butelkę i dwa kieliszki. Nalał je do pełna i wznosił toast. Likier był tak obrzydliwie słodki, że aż mnie odrzuciło. – Dobrze, co? – Molitor oblizał wargi. – Przepadam za tą nalewką.

– Panie Molitor, pan Seeberg powiedział, że ma mi pan coś do przekazania.

– Zgadza się. Chodzi o pana Hellmanna, niech Bóg świeci nad jego duszą. – Jego zmęczone oczy ożywiły się i obserwowały mnie bez sympatii. – Biedny pan Hellmann, jeszcze mi dał pieniądze, żebyśmy nikomu o tym nie mówili.

– A pan powiedział Seebergowi.

– To co innego, pan Seeberg należy do banku i był to mój obowiązek.

– Czy rozmowa ze mną już do takich obowiązków nie należy?

– Myślę, że nie. Policji też nic nie mówiłem. Dopiero gdy pan Seeberg powiedział, iż mam się do pana zwrócić, zdecydowałem się, ale nie wiem, czy dobrze robię.

– Kiedy naradzał się pan z Seebergiem?

– Wie pan, jak to jest, jako stróż zarabiam kiepsko. Niech pan popatrzy, jak mieszkam. Żona choruje na nerki, a sam... czy to wiem, jak długo jeszcze popracuję? Jednym słowem bieda, panie Lucas.

Na polecenie Brandenburga w kasie „Globalu” wypłacono mi pewną sumę na nieprzewidziane wydatki. Na koronkowej serwetce położyłem dwa tysiącmarkowe banknoty.

– Pan Hellmann dał mi pięć – szybko zauważył Molitor tym swoim eunuchowatym głosem.

– Ja daję dwa. Jeśli pan się wycofa z rozmowy, doniosę policji, że pan coś przemilcza.

– To szantaż.

– Tak jest.

– Trzy tysiące, panie Lucas. Biedak też musi żyć.

– Dwa tysiące i ani grosza więcej – byłem stanowczy.

Wąską ulicą z kocimi łbami przetoczyła się w dole ciężarówka. Cały dom za-drżał w posadach.

– Myślałem, że z pana bardziej ludzki człowiek, panie Lucas.

– Widocznie nie. Co wtedy zaszło? Niech pan mówi!

– I tyle mam z mojej uczciwości. – Na szlafroku roilo się od plam po jedze-niu, rękawy były wystrzępione, pantofle rozczłapane i przedpotopowe. – A moje wydatki! Musiałem przecież telefonować do pana Seeberga, do Cannes, bo nie mógł się stamtąd ruszyć. Całą relację zdałem przez telefon, ileż to kosztowało!

Dołożyłem na stół jeszcze pięć stumarkowych banknotów. Był odtąd nadskaku-jąco grzeczny.

– Wiedziałem, że jest pan człowiekiem z sercem. Jeszcze likiereczku? Ależ tak, ależ tak, koniecznie. – I sięgnął po butelkę. Nawet nie umoczyłem ust, on natomiast chciwie wysączył swój kieliszek. – Prawdziwy cymes, zwłaszcza po kiszzonej kapuście, bo stale mi się odbija. A więc zacznę od tego, proszę pana, że przydzielono mnie do banku Hellmanna. Już dziewięć lat tam pracuję, razem z trzema kolegami. Nasza służba trwa od szóstej wieczorem do siódmej rano. Na koniec tygodnia i w święta przychodzi druga grupa, która nas zastępuje. Mamy swoje zegary kontrolne i przydzielone piętra, praktycznie podczas służby jesteśmy cały czas w ruchu. Oczywiście pistolety, gaz łzawiący i co tam trzeba, to wszystko jest. Zna pan bank Hellmanna przy Zeili?

– Tak.

– Tak potworne gmaszysko? Od samego jego widoku można skapcanieć. Rano jestem zawsze wykończony, a w tym przeklętym domu nie można się nawet porządnie wyspać. Wiecznie te ciężarówki, kierują tu wszystkie od dwóch lat. Wykończę się, zresztą mój lekarz mówi...

– Panie Molitor!

– Już dobrze, niech pan teraz uważa, to było dwudziestego piątego kwietnia. W środku nocy. Właściwie już dwudziestego szóstego, bo pan Hellmann przyszedł dopiero o wpół do pierwszej. Była wtedy środa.

– No i...?

– Mniej więcej o wpół do pierwszej nad ranem w tę środę słyszę dzwonek przy bocznym wejściu. Tej nocy miałem parter, salę recepcyjną. Idę więc i wyglą-dam przez judasza w stalowych drzwiach, a na dworze stoi pan Hellmann,

smoking, płaszcz, kapelusz, biały, jedwabny szal. Bardzo zdenerwowany, wymachuje rękami, mam go wpuścić. Nocą nigdy by się pan Hellmann nie dostał do banku, gdyby mu ktoś z nas nie otworzył. Oczywiście otwieram, biorę trzy specjalne klucze, zna pan przecież banki. Wchodzi, z podniecenia płacząc mu się słowa, mówi, że musi jeszcze popracować.

– O pierwszej w nocy?

– Tak. Też mnie to zdziwiło.

– Często się to powtarzało?

– Co?

– No, to przychodzenie w środku nocy.

– Odkąd tam pracuję, pierwszy raz. Mówię panu, ten człowiek był bliski apopleksji, zawału i czego pan jeszcze chce. Dosłownie dygotał na całym ciele.

– Pijany może?

– Trzeźwiuteńki, tylko strasznie podniecony, mógł tylko szeptać. Gdzie są moi koledzy? W budynku, mówię. Wcisnął mi pięć tysiączków do ręki – pięć tysięcy, podkreślam, panie Lucas.

– Słyszałem.

– Już dobrze, dobrze, a więc pięć tysięcy i prosi, żebym nikomu nie rozpowiadał, że przyszedł do pracy, i żebym się z kolegą zmienił na drugim piętrze. Żaden z dwóch pozostałych nie może go zobaczyć i mnie nie wolno nigdy się z tym zdradzić. Ten człowiek, niech pan wierzy, panie Lucas, nie był przy zdrowych zmysłach, znałem go przecież. Taki spokojny, opanowany pan. A tej nocy... Można więc było uwierzyć, że stracił rozum.

– Co dalej?

– No, tak, więc on się wsuwa na korytarz obok bocznych drzwi, a ja idę do kolegi na drugie piętro – był tam wtedy Ernst Trost – i mówię mu, żebyśmy się zamienili. W sali z okienkami stoją wszędzie ławki, no nie? Mówię Ernstowi, że jestem jakiś taki zmęczony i że mi się tylko ławka widzi i spanie. Na piętrach się nie da, tam tylko na nogach. Ernst na to, że jest mu wszystko jedno, i zszedł na dół. A pan Hellmann siup na górę, małymi schodami przy bocznym wejściu. Nikt niczego nie zauważył. Jest więc teraz na drugim piętrze, gdzie znajduje się jego biuro, i ja jestem na górze, robiąc swoje obchody. I co pan powie? Hellmann wcale nie idzie do swego biura, ale bezpośrednio do biura generalnego pełnomocnika, pana Seeberga, w oddziale dewizowym. Taki bank to ogromna instytucja, jeden oddział w zasadzie nie styka się z drugim. I osłupiałem, gdy znowu zacząłem obchodzić budynek, oto bowiem zobaczyłem światło w biurze pana Seeberga – a u pana Hellmanna wszędzie było ciemno. Drzwi do gabinetu pana Seeberga były niedomknięte i została szpara. Nie jestem ciekawski, zapewniam pana, że nie, ale

to wszystko przejmowało mnie grozą. Podchodzę więc na palcach i zaglądam do biura. I co widzę? Pana Hellmanna przy biurku pana Seeberga. Pan Hellmann miał klucz, który pasował do wszystkich zamków. Biurko pana Seeberga jest otwarte, a pan Hellmann wyciąga akta, papiery i co tam jeszcze, całe ich stopy i kartkuje, czyta, ściągnął nawet płaszcz i marynarkę, wydawało mi się, proszę pana, że gdyby nawet eksplodowała bomba atomowa, ten człowiek powiedziałby „wejść”. Taki był nieobecny. Zgroza, mówię panu, panie Lucas, prawdziwa zgroza.

Znowu ciężarówka i znowu zadrżał cały dom.

– Pan już nie pije – zauważył Molitor i nalał sobie. Wychylił, pokaszłał i otarł usta. – Kiedy robiłem nowy obchód i ponownie tam zajrzałem, zastałem pana Hellmanna przy otwartych szafkach z aktami, studiującego coś w segregatorach i skoroszytach. Następnym razem zobaczyłem w biurze otwarty skarbiec, pan Hellmann znał naturalnie kombinacje. I tak stoi i stoi, a czoło ma pokryte wielkimi kroplami potu...

– No, no.

– Niech padnę trupem, jeśli nie! Tak spoconego czoła jeszcze nigdy nie widziałem. Facet biały jak papier, przysięgam panu, czyta te papiery, które wyjmuję ze skarbca. A za każdym razem, kiedy go widzę podczas obchodu, wygląda coraz starzej, coraz więcej w nim lęku i zwątpienia. Pomyślałem, że coś złego musiało się stać, ale co? W banku Hellmanna? W banku Hellmanna nie złego nie może się stać. Uwierz mi pan? Naprawdę się bałem.

– Tak. Gdzie był w tym czasie pan Seeberg, to znaczy w tych dniach?

– Na jakimś kongresie w Argentynie, chociaż nie, niech pan zaczeka, w... w... do diabła, wyleciało mi z głowy.

– Santiago de Chile?

– Właśnie! Zdaje się, że ten kongres trwał dłużej.

– Do dziewiętnastego maja.

– Zgadza się. Ale kiedy pan Hellmann miał ten nieszczęśliwy wypadek z jachtem, pan Seeberg natychmiast przyleciał do Cannes, do siostry pana Hellmanna. To ona go wezwała, była zupełnie załamana, a przecież ktoś musiał zarządzać bankiem.

– I kto nim kieruje?

– Pan Seeberg, ale inaczej niż poprzednio. Policja nie pozwoliła mu przecież opuszczać Cannes, załatwia więc wszystko przez telefon i dalekopisami. Zastępuje go tutaj pan Grosser, jest pierwszym prokurentem, ale nie tak wpływowym jak pan Seeberg. Dlatego skontaktowałem się telefonicznie z panem Seebergiem i nie rozmawiałem z panem Grosserem.

– I jak to długo trwało?

– Tak jak mówię, całą noc, do wpół do szóstej rano. Potem, gdy znowu tamtędy przechodziłem, pan Hellmann nagle pojawił się na korytarzu, upiór, mówię panu, upiór! Mam go wypuścić, powiedział, ale tak żeby nikt inny go nie widział. Wykonałem polecenie, a potem zajrzałem na górę do biura pana Seeberga. Wszystko było znowu na swoim miejscu, papiery tam, gdzie należy, tylko w popielniczce pełno niedopałków. Pan Hellmann wtedy bez przerwy palił, gdy był zajęty, nie wiem jednak czym. Znalazłem również trzy płaskie, puste pudełka od zapalek. Z „Frankfurter Hofu”.

– Skąd pan to wie?

– Przecież jest napis na opakowaniu. No, więc tak – zastanowił się. – To wszystko, panie Lucas, nic więcej nie mam do powiedzenia. Słyszałem tylko, że w parę dni potem pan Hellmann był zupełnie załamany i zrozpaczony, a następnego czwartku poleciał przecież do Cannes.

– Od kogo pan to słyszał?

– Od kolegów, coś takiego rozchodzi się prędko. Pan Hellmann miał się zachowywać jak obłąkany, jak nie ten sam. Ruina, nie człowiek.

– I co pan o tym myśli?

– Cóż ja mogę powiedzieć?

– Musiał pan przecież do tego wszystkiego wracać.

– Oczywiście pomyślałem sobie, że w banku Hellmanna coś się wydarzyło, z interesami może, ale na tym się przecież nie znam. Coś okropnie ważnego chyba. Tego samego zdania jest pan Seeberg, dlatego, powiedział, powinienem z panem pomówić, z policją raczej nie, bo zaraz do prasy się dostanie i bank zrobi plajtę.

– I pan Seeberg zupełnie się nie domyśla, co panem Hellmannem tak wstrząsnęło?

– Nie ma najmniejszego pojęcia. – Molitorowi odbiło się. – Proszę wybaczyć. Stale ta kiszona kapusta, nie mogę jej jeść, to trucizna dla mnie, prawdziwa trucizna, ale to najbardziej lubię i dlatego moja Cläre podaje mi ją na okrągło, a ja potem cierpię...

38.

Pojechałem do hotelu „Frankfurter Hof taksówką, którą przywołał dla mnie Molitor. Znam ten hotel od wielu lat, a w nim wszystkich pracowników recepcji, portierów, szefów restauracji, barmanów. Bardzo często mieszkalem we „Frankfurter Hofie”, bo lubię ów hotel, wszyscy są tam bardzo serdeczni i uczynni. Miałem szczęście: zastałem głównego portiera. Rozpromienił się na mój widok, a ja poprosiłem go na stronę.

- Czy mogę być panu w czymś pomocny, panie Lucas?
 - Mam nadzieję – odparłem. – Już mi pan nieraz pomógł, więc jeśli mi się poszczęści, to będzie tak i tym razem.
 - W czym rzecz? – spytał portier. Staliśmy przed wejściem do baru „Lipiz-zaner”. Przy długiej ladzie recepcji tłoczył się wielojęzyczny tłum. Byli tam biali, czarni, Hindusi i Japończycy. Nikt nie mógł nas podsłuchać, rozmawialiśmy przy-ciszonym głosem.
 - Proszę słuchać uważnie – przeszedłem do konkretów. – Chciałbym zapy-tać, czy dwudziestego piątego kwietnia odbywał się u państwa jakiś meeting, kon-ferencja lub coś w tym rodzaju, wydana przez bankierów. Byłoby to trudne do ustalenia?
 - Zaraz sprawdzimy – nie robił ceregieli. – Momencik. – Zniknął w biurze recepcji. Po dwóch minutach był znowu.
 - Dwudziestego czwartego i dwudziestego piątego mieliśmy tutaj pełno ban-kierów. Zjechali na jakąś naradę bankierzy z Francji, Anglii, Szwajcarii, Szwecji, Austrii, Włoch, no i z kraju.
 - O czym mówili?
 - Tego naturalnie nie wiem. Przydzielono tym panom dużą salę konferencyj-ną. Obradowali bardzo długo. A wieczorem dwudziestego piątego, a więc we wto-rek, pan Hellmann miał referat.
 - Na jaki temat?
 - To będzie w naszej dokumentacji, chyba coś o odpowiedzialności bankiera wobec społeczeństwa. Na zakończenie panowie spotkali się jeszcze przy wielkim bufecie w środkowej sali bankietowej. W środę wszyscy odjechali. Pan Hellmann naturalnie nie nocował u nas, bo mieszkał przecież w mieście.
 - Czy mógłby pan również ustalić, ilu było uczestników tego posiedzenia?
 - Oczywiście, panie Lucas.
 - Ilu?
 - Jeśli szuka pan konkretnej osoby lub chciałby czegoś się o niej dowiedzieć, to będą trudności. Łącznie z panem Hellmannem było sześćdziesięciu trzech uczestników. – Patrzył na mnie z troską.
 - Czy to zła wiadomość?
 - Nie wiem jeszcze – odparłem. – Raczej tak.
 - Przykro mi, panie Lucas.
- Miłym facetem był ten portier, bardzo go lubiłem i przypuszczam, że z wza-jemnością.
- Sądzi pan – zapytałem już zniechęcony – że będzie mi pan mógł pomóc w ustaleniu nazwisk i adresów owych bankierów?

- Spytam w dyrekcji. Tego się nie praktykuje, z drugiej strony... Może pan być pewny, że jeśli dyrekcja zechce przymrużyć oko, otrzyma pan taką listę. Natychmiast się dowiem.
 - Bardzo proszę. I w razie gdy dyrekcja zgodzi mi się pomóc, niech pan jak najszybciej przekaże ów wykaz dalekopisem lub telefonem – pod adresem mojego towarzystwa. Poprosi pan pana Brandenbura, zajmie się tym jego sekretarka.
 - Jeśli będzie je można opublikować.
 - Oczywiście, tylko wtedy. To bardzo ważne!
 - Dla pana zrobimy wszystko, pan przecież wie. Wszystko, co tylko będzie można, panie Lucas – oświadczył główny portier.
- Sześćdziesięciu trzech bankierów z siedmiu krajów...

39.

– Paragraf czterdzieści osiem prawa małżeńskiego: „Jeżeli od trzech lat zerwana jest więź rodzinna i na skutek zupełnego i nie rokującego poprawy rozkładu stosunków małżeńskich nie można się spodziewać przywrócenia współżycia, odpowiadającego istocie małżeństwa, wówczas każdy z małżonków może wystąpić o rozwód. Jeżeli małżonek starający się o rozwód jest wyłącznie lub decydująco winny rozkładowi pożycia, to na skutek sprzeciwu drugiego małżonka małżeństwo nie może być rozwiązane, chyba, że sprzeciwiający się małżonek utracił więź i wymaganą gotowość do kontynuowania małżeństwa”. Masz tutaj, co chcesz. – Mój adwokat i przyjaciel Paul Fontana odłożył gruby tom, z którego dopiero co czytał, i sponad biurka przyglądał mi się teraz bacznie. Pykał fajkę, która zgasła, i wciąż na mnie popatrując podpałał tytoń. Był moim rówieśnikiem, miał wąską twarz, zawsze nieruchomą, która kryła uczucia i wzruszenia, i brązowe, falujące włosy, sczesane do tyłu. Bardzo podobał się kobietom, czego zresztą nie próbował wykorzystywać. Jego wielkie biuro znajdowało się przy Freiligrath-Strasse na drugim piętrze. Na półkach piętrzyły się książki prawnicze i akta, podobnie jak na biurku. Jedno okno było otwarte. Świecił srebrny księżyc, noc była ciepła i jasna od gwiżdżących dziewczyny, przejeżdżały auta. Nagle odezwał się klakson, a cichcem skądś przepłynął jazz. Słyszeliśmy szmery rozmów. Noc z początku lata była pełna życia.

Dotarłem do Fontany o dwudziestą drugą dwadzieścia. Przy zamkniętej bramie znalazłem nazwisko i dzwonek, musiał zejść, żeby mi otworzyć. Właśnie zakończył swoje prace. W koszuli i spodniach, z rozluźnionym krawatem i rozpiętym

kołnierzykiem siedział huśtając się na krześle, zajęty fajką, i jeszcze raz słuchał w milczeniu mojej relacji. I ja byłem tylko w koszuli. Kiedy umilkłem, zadał mi sporo szczegółowych pytań, na przykład o datę i przebieg wyprowadzki z mieszkania oraz reakcji Karin na tę decyzję. Potem przeczytał mi paragraf czterdziesty ósmy prawa małżeńskiego, przypalił jeszcze raz wygasłą fajkę i powiedział: – No, więc sam widzisz, mój kochany, że sprawa nie jest tak prosta, jak ci się wydaje.

– Ale ja muszę się uwolnić od Karin! Od wielu lat nasze małżeństwo jest fikcją, wiesz o tym! Wykończę się przy niej – i to teraz, kiedy spotkałem inną kobietę!

Twarz jego była nieporuszona, podobnie jak spokojny, ostrożny, głos.

– To wszystko racja, tylko nie ma nic wspólnego z twoją sytuacją. Dlaczego, jak sądzisz, projekt nowego prawa rozwodowego tak długo nie może się doczekać akceptacji? Według starego, ale tylko przy wielkim szczęściu, dostaniesz rozwód w drugiej lub trzeciej instancji, w co jednak nie wierzę, natomiast jeśli będziesz miał pecha, możesz być jeszcze wielokrotnie wzywany przez różne sądy i coraz nowe instancje, żeby uregulować wszystkie formalności finansowe związane z utrzymaniem, sprzętem domowym, czynszem i dochodami. Pechowców jest wielu.

– To przecież potworne – zwołałem.

– Tak, i dlatego socjaldemokraci domagają się nowego prawa rozwodowego, według którego jeden sędzia w jednym sądzie mógłby orzekać o rozwodzie, jeśli oczywiście miałby dokładny obraz sytuacji; wówczas po dwóch, a nie trzech latach mógłbyś według tego nowego prawa otrzymać upragniony rozwód. Ale nowego prawa jeszcze nie ma i nikt nie wie, kiedy wejdzie w życie. Nie będę cię zanudzał opowieściami o tragediach, które mnoży istniejące prawo i które przeżyłem lub znam z opowiadań.

Na stole stała butelka Remy Martin z dwoma kieliszkami. Gdy je napełnił, zaraz podniosłem swój do ust, potrzebne mi było pokrzepienie.

– Biedaczka – odezwał się po chwili. – Kochasz bardzo tę Angelę, prawda?

– Więcej niż bardzo.

– I widzisz, tysiące kilometrów was dzieli i na nic się wasza miłość przydaje.

– Nigdy już nie wrócę do Karin – oznajmiłem twardo, sięgając po kieliszek.

– Co mam więc robić? Muszę znaleźć jakieś wyjście, a raczej ty, szalbierzu prawa, to przecież twój zawód.

Fajka już nie pykała. Fontana opróżnił ją i zaczął na nowo troskliwie napełniać, nabierając tytoń z biało-niebieskiego porcelanowego pojemniczka swymi długimi, smukłymi palcami, po czym wzruszył tylko ramionami.

– Musimy, Robercie, spojrzeć prawdzie w oczy. Według planowanego nowego prawa już nie zasada winy staje się podstawą do orzeczenia rozwodu, lecz jedynie i wyłącznie stan faktycznego rozkładu małżeństwa. Podejmujesz więc ryzyko, z którym po prostu musisz się pogodzić. Chcesz wnieść podanie o rozwód, może wkrótce pojawi się nowe prawo małżeńskie. A może nie. Może dostaniesz rozwód, i to bardzo szybko. Później jednak z powodu różnych konsekwencji rozwodowych jeszcze przez długie lata będziesz miał do czynienia z sądami. Czy twoja Angela to zniesie?

– Ona na pewno, ja nie.

– I ona nie – stwierdził. Zapaliwszy fajkę, wydmuchiwał gorliwie kłęby dymu, które pachniały smołą i miodem. – Ciebie rozwód wykończy, już dzisiaj jesteś wrakiem. Znam cię dobrze i inni by może nie zauważyli, ale ja, podając ci rękę, zorientowałem się od razu. Jesteś w takim napięciu, że nawet roku w tym stanie nie wytrzymasz.

Roku? To bardzo dla mnie ciekawe. Co może się zdarzyć w ciągu roku? Jeszcze bardziej się rozchoruję? Wysiądę zupełnie? Będzie jak jest? Może umrę, zanim się pobierzemy? Może, jak przypuszczał Fontana, ona nie zniesie czekania? Tak, byłem kłębkim nerwów, mój przyjaciel we wszystkim miał rację.

– To przecież nieludzkie, żeby dwoje ludzi, którzy zupełnie się w życiu rozmięli, przykuwać do siebie łańcuchem.

– Prawo jest nieludzkie. – Cokolwiek mówił, jego twarz pozostawała nieruchoma, podobnie jak głos. Opanowaniem tym wygrał już wiele procesów. – Dłatego tak bardzo bym ci odradzał wniesienie pozwu o rozwód. Jeśli chcesz osiągnąć cel, musisz się wobec Karin zdobyć na taktykę podłości i to bezwzględna. To ona przecież nie chce rozwodu.

– Nic nie mówiła, że chce.

– Oczywiście, że go nie chce! Nigdy go nie będzie chciała. Nigdy cię drugiej nie odstąpi, zwłaszcza po tym, idioto, jak o tej drugiej naopowiadałeś jej cudów. Z rozkoszą natomiast zacznie się przyglądać, jak zdychasz z miłości. Zdychasz, powiedziałem. To ty musisz zobaczyć, jak ona zdycha z miłości do ciebie – lub jak mięknie i ustępuje. – Wszystko to mówił z nieporuszoną, pokerową twarzą, głosem spokojnym i zrównoważonym. – Ile lat ma Karin?

– Trzydzieści osiem.

– A co byś powiedział na detektywa? Nie jest to tania metoda, ale opłaca się. Może przyłapie żonę na jakimś skoku w bok. Już by coś było w rękę.

– Karin nie romansuje, tym bardziej teraz.

– Kto wie.

– Nie robiła tego, to nie ten typ.

– Osobowość nie ma tu nic do rzeczy, tylko sytuacja, w jakiej się kobieta znajduje. Mówisz, że nie jest zbyt rozgarnięta. A więc...

– Nie wierzę w detektywa – powiedziałem cicho. Angelo, Angelo! Jak prosto to wszystko sobie wyobrażałem i jak skomplikowanie, prawie beznadziejnie, to teraz wygląda!

Ulicą przetoczył się z hukiem motocykl, a za nim cała kawalkada czarnych maszyn.

– Skinowie – zauważył mimochodem Fontana.

– Co?

– Nic. A więc dobrze, nie będzie detektywa. Mówię ci tylko, co masz robić, a twoja sprawa, czy się dostosujesz. Chcę ci pomóc, jako przyjaciel.

– Dlatego przyszedłem do ciebie.

– Przemysł sprawę detektywa. Następnie: twoja żona jest zdrowa i jeszcze młoda, może więc pracować i sama zarabiać. Zablokowałeś konto?

– Tak.

– Zostawiłeś jej wczoraj pieniądze?

– Tak.

– Ile?

Zawahałem się.

– No!

– Dwa tysiące osiemset.

– Idioto! – wykrzyknik był łagodny. Może pošlesz jej jutro z rana bukiet róż! I tobie się zdaje, że szybko otrzymasz rozwód!

– To był błąd. Czułem się tak winny i...

– Od tego momentu nie ma żadnej winy, zabraniam o niej myśleć.

– Łatwo ci zabraniać, ale nie mogę tego zmienić. Mam wciąż świadomość winy.

– Nie wolno! W ten sposób nigdy się nie wyzwolisz. Pomyśl o piekle ostatnich lat! Jak się zachowywała i jak ci dokuczyło jej postępowanie. Myśl tylko o tym, co złego zrobiła, nieustannie. Nie wolno ci jej dać ani grosza.

– Ale przecież tak nie mogę! – wykrztusiłem przerażony. – Z czego ma żyć? Jak zapłaci czynsz?

– Ile wynosi czynsz?

– Jakies siedemset marek.

– To zapłać czynsz, ale do rąk nie dawaj nic. Ma swoje konto. To są pieniądze, które w jakiś sposób otrzymała od ciebie, które urwała z wydatków domowych. Nie umrze z głodu, powinna pracować.

– Niczego się nie nauczyła...

– Znajdzie pracę i bez wykształcenia. – I dodał łagodnie: – Może uda nam się doprowadzić ją do tego, choć to tylko mrzonki, że rzeczywiście wścieknie się i sama wniesie o rozwód. Jeśli się przekona, że nie ma już absolutnie żadnej szansy. Moja rada: na razie możesz przecież z Angelą żyć w wolnym związku, tego ci nikt nie zabroni. Winnym rozwodu będziesz w każdym razie ty. Angeli jest to przecież obojętne – a może nie?

– Naturalnie, że obojętne.

– Dobrze, a więc nie wolno ci żonie dawać żadnych pieniędzy. Zapłacisz tylko czynsz – niech będzie. I wasze ubezpieczenia, na życie i chorobowe. – Końcem fajki mierzył teraz we mnie. – Telefon jest na twoje nazwisko?

– Tak.

– Natychmiast wymeldujesz numer. Sporządzę listę spraw, które załatwisz. Ile zarabiasz w „Globalu”?

– Siedem i pół tysiąca. Na rękę.

– Przy rozwodzie licz się z tym, że żonie będziesz musiał oddać trzecią część posiadanego dochodu, majątku oraz konta bankowego. Dasz radę?

Tylko dwie trzecie zarobków, oszczędności i późniejszej emerytury, to dopiero początek. Zacznie się zaciskanie pasa, rozważałem rzeczowo, podczas gdy Fontana dalej mnie indagował:

– Angela też przecież zarabia, w jaki sposób?

– Nie do pomyślenia, żebyś mógł korzystać z jej pieniędzy! Przeciwnie, chciałbym, żeby to ona była na moim utrzymaniu!

– Dasz radę? Cannes jest drogim miastem.

– To się przeniesiemy gdzie indziej. Tak czy owak, nie mogę tam mieszkać, skoro „Global” jest w Düsseldorfie. – Ale po tych słowach przyszła refleksja: jak myśleć o innym miejscu, przecież Angela świata nie widzi poza Cannes.

Fontana znowu czytał w moich myślach.

– Ona chce przecież mieszkać tylko w Cannes. Ma tam wory złota, które może malować. Przykro mi, Robercie, ale muszę o tym mówić. Największa miłość umiera, gdy stale brakuje pieniędzy.

– Ja...

– Śmiało!

– Nie jestem zdrowy, Paul... – i powiedziałem mu o wszystkim.

– Nie mów tylko nikomu – zakończyłem.

– Czy Angela wie?

– Nie. Sądzi, że trochę niedomagam, na nogę. Gdy się pogorszy, przejdę na emeryturę i będę z niej żył.

– Trzecią część dając Karin, zostanie ci więc jeszcze mniej.

– Oczywiście, ale mógłbym wtedy pozostać w Cannes. Znajdę tam pracę, bez obaw! Mówię po francusku, o zajęcie nie będzie trudno. – Naraz poczułem się

lżej, prawie wyzwolony. No cóż, z pewnością moja choroba stanie się z czasem dokuczliwsza i wyślą mnie na emeryturę. – Nie zamierzam dręczyć i szykanować Karin – postanowiłem nagle. – To byłoby podłe. Chcę wnieść o rozwód.

– A ja w dalszym ciągu jestem temu przeciwny. Z jakim uzasadnieniem? Nie masz przecież żadnego.

– Co mogę powiedzieć? Przychodzę do domu i zastaję piekło. Żona jest agresywna i nienawistna. Nie mam z nią żadnych małżeńskich kontaktów. Nie mógłbyś od tego zacząć?

Wzruszył zirytowany ramionami.

– To wszystko stanowczo za mało. Niech skarży ona! Niech...

– Nie! – zaproponowałem gwałtownie. – Chciałbym, żebyś wniósł pozew o rozwód! Mimo wszystko! Nie zależy mi, żeby ją poniżyć i dręczyć. Chcę odejść od niej, ale możliwie przyzwoicie.

– Proszę bardzo. W takim razie trzeba będzie w aktach zrobić adnotację, że to ty zmusiłeś mnie do wniesienia pozwu o rozwód, wbrew mojej radzie. Musisz ją podpisać. Jestem twoim przyjacielem, ale jestem także adwokatem i muszę się asekurować.

– Podpiszę z radością.

– I jeszcze pełnomocnictwo. – Podsunął mi formularz, który podpisałem. – A więc wniosę pozew o rozwód. To szaleństwo, powtarzam ci, ale mnie nie słuchasz.

– Nie, nie słucham, przynajmniej w tym punkcie. Wybacz, Paul. Jak długo trzeba będzie czekać na pierwszą reakcję?

– Tygodnie. Sąd zawiadomi Karin, potem ona naturalnie musi wziąć sobie adwokata. Adwokat będzie się z nią naradzał, wreszcie nawiąże kontakt ze mną.

– Niech się dzieje, co chce. – I wydało mi się nagle, jakby się już wszystko rozstrzygnęło z korzyścią dla mnie.

– Nie stosujesz się do moich rad – ostrzegł Fontana. – To źle.

Muzyka z oddali stała się wyraźniejsza. Napływała powolną, melancholijną melodią.

40.

Gdy wróciłem do hotelu, było trzydzieści minut po północy. Na stole stały czerwone róże „Sonie”. Przeliczyłem – było ich trzynaście. O wazon oparta była koperta. Rozerwałem ją, ze środka wypadła kartka. Niewprawnym pismem pracownica jakiejś kwiaciarni przekazała słowa: JE T'AIME DE TOUT MON CŒUR ET POUR TOUTE LA VIE – ANGELA.

Z kartką w ręce podszedłem do wielkiego okna, odsłoniłem je i zobaczyłem teraz przed sobą całe lotnisko Lohausen, gdzie białe wirujące światła mieszały się z zielonymi, czerwonymi i niebieskimi. Przy telefonie starałem się usiąść tak, żeby i róże mieć przed sobą, i port. Trzymałem kartkę i wtedy, gdy prosiłem centralę o połączenie z Cannes, powracałem do nagryzmołonej treści raz po raz: KOCHAM CIĘ CAŁYM SERCEM I NA CAŁE ŻYCIE – ANGELA. Odczułem ból w lewej nodze, choć niezbyt natarczywy.

Zadzwijał telefon.

- Cannes dla pana, panie Lucas. Proszę mówić.
- Angelo!
- Robercie! Wreszcie. Czekam od nie wiem kiedy.
- Nie mogłem wcześniej.
- Czekałabym i dłużej, choćby całą noc. Siedzę na tarasie, jest bardzo ciepło, Robercie. Czemu cię nie ma? Noc wspaniała, a ja pełna tęsknoty za tobą.
- I ja tęsknię! – Stopa ciążyła mi teraz jak ołów. Doszedł mnie słodki zapach róż.
- Dziękuję za „Sonie”, Angelo – rzekłem. – I dziękuję za słowa.
- To ja dziękuję za róże i za słowa.
- Przed tobą światła miasta, prawda?
- Hen, w dole. Roziskrzzone jest morze i cała trasa wzdłuż Estérelu.
- A ja przed sobą mam w światłach lotnisko i wmawiam sobie, że to te same światła. Łatwiej wtedy o odrobinę złudy, że jestem przy tobie.
- Kochane światła. Jesteśmy bogaci, bo mamy siebie. Wspólne szczęście. I te światła, które w naszych rozmowach telefonicznych łączyły nas będą każdej nocy, dopóki nie zjawisz się znowu u mnie.
- Miła!
- Kiedy wrócisz?
- Jeszcze nie wiem. Tym razem może się przeciągnąć. Nie odpowiedziała.
- Angelo!
- Tak...
- Nie słyszałaś mnie?
- Ależ tak.
- Dlaczego nie odpowiadasz?
- Nie mogłam. Mu... musiałam się rozplakać. Kiedy usłyszałam, że twój powrót może się odwlec, wierz mi, starałam się być dzielna. Wiedziałam, że tak będzie.
- Skąd?

– Wiem o tobie wiele rzeczy. Chciałam być dzielna i beztraska, żeby nie obarczać cię moim smutkiem, ale nie wychodzi.

Na wprost mojego okna widziałem jakiś samolot, który mrugając światłami pozycyjnymi, w jednej chwili stromo poderwał się w górę.

– Tutaj właśnie startuje samolot.

– U mnie też, akurat teraz, nisko jest jeszcze i całkiem niedaleko. Mamy wierzyć, że to dobry znak? Dla nas, dla naszej miłości i przyszłości? Że Bóg nam przebaczył i mimo wszystko chroni?

– Trzymaj się tej wiary.

– Robercie...

– Tak?

– Ostrzegam cię: nigdy się ode mnie nie uwolnisz, nigdy. Dopóki istnieję, będę cię kochała, tylko ciebie. Co było u adwokata? Opowiedz.

– Uff, ciężko, Angelo.

– Wiedziałam. Na czym stało?

Zdałem jej całą relację z wizyty u Fontany i zakończyłem: – Nie sądziłaś chyba, że będzie aż tak źle, co?

– Miałam gorsze myśli. Ale gdzie tu zło? Twój przyjaciel podpowiada przecież, że nikt nam nie zabroni się kochać ani ze sobą żyć. Czy to nie najważniejsze? To właściwie wszystko.

– Ale dopóki pracuję, Angelo, nie będę mógł stale przebywać w Cannes. Nie wzięliśmy tego pod uwagę.

– Ja tak. Będę z tobą, gdziekolwiek ty będziesz.

– Powiedziałaś przecież, że nigdy nie opuścisz Cannes.

– W moim życiu nie było jeszcze ciebie. Cannes jest mi obojętne, zupełnie obojętne, przecież mogę wszędzie pracować, w każdym wielkim mieście, w którym są bogaci ludzie. W Düsseldorfie ich przecież nie brakuje, prawda?

– Oczywiście.

– Niech będzie Düsseldorf, nie boję się twojej żony i tego, że tam mieszka.

– Na razie zostajesz w Cannes, a ja wracam do ciebie. Muszę się zorientować, czy nie da się zmusić Karin do posłuszeństwa.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Bo nie. Adwokat niech mówi swoje, ale ty nie możesz na to iść, nie wolno ci złośliwie utrudniać jej życia, nie dawać pieniędzy. Nie chcę, żebyś we wszystkim poddawał się jego woli. Wydaje mi się, że już starczy: telefon, konto bankowe i co tam jeszcze. Nie możesz żony zostawić bez pieniędzy.

Miła moja, pomyślałem. Kiedy zażądał tego Fontana, powiedziałem sobie, że nie zrobię tego, że nie wolno mi. A teraz to samo usłyszałem od Angeli, która

miała wszelkie powody, żeby stanąć po stronie mojego adwokata.

– Musisz zapłacić czynsz i ubezpieczenia i dawać jej tyle pieniędzy – najlepiej na konto – żeby mogła żyć bez niepotrzebnych wyrzeczeń. Obiecuj mi. Ile zarabiasz, Robercie?

Wymieniłem sumę.

– Daj jej tysiąc pięćset.

– Tysiąc pięćset? Z czynszem i ubezpieczeniami to przecież ponad trzy tysiące! Za dużo! W tej sytuacji nigdy nie zgodzi się na rozwód – stwierdziłem i pomyślałem, jak bardzo jestem jej wdzięczny, gdyż podjąłem dokładnie takie samo zobowiązanie.

– Raczej zgodzi się na rozwód, widząc, że nie jesteś łajdakiem i nie zostawiasz jej na lodzie, a tobie zostanie dosyć pieniędzy.

– Ale jest nas dwoje!... – zawołałem.

– Mam pieniądze, bo pracuję i zarabiam. Tak jest w wielu małżeństwach, razem nie będzie nam źle, wystarczy. Tysiąc pięćset, Robercie – obiecuj, że tyle jej dasz, proszę!

– No dobrze – zgodziłem się postanawiając w duchu, że nigdy się do tego nie przyznam przed Fontana, choć on z pewnością o wszystkim się dowie i zwymyśla mnie, że tym półtora tysiącem pakuję się w nieszczęście, ale nie zaznałbym nigdy spokoju, gdybym takiej decyzji nie podjął.

– Dzięki, wszystko się ułoży, jestem przekonana i pełna optymizmu. Przyjeżdżaj, przyjeżdżaj do mnie. Wiem, musisz pracować, ale gdy tylko pozatwierdzisz sprawy, przyjeźdź, bo nie mogę się ciebie doczekać. Ja teraz też dużo pracuję i to pomaga – za dnia, ale nie w nocy.

– Wiem o tym.

– Ale i ten czas przeminie, a potem będziemy razem, niekiedy przypominając sobie rozłąkę i te telefony. Spróbuj wyobrazić sobie, że nie ma telefonu, my mamy jednak szczęście, nie uważasz?

– Prawdziwe szczęście – przytaknąłem.

– Dzwonź jutro wieczorem, albo kiedy chcesz.

– Oczywiście.

– Czekam, zawsze czekam, nawet gdyby to miało długo trwać.

– Dobranoc. – Poczekalem, aż odłoży słuchawkę. Potem siedziałem jeszcze w fotelu, patrząc na lotnisko. Księżyc rozjaśniał okolicę blaskiem jasnym i cokolwiek odrealnionym. Wydało mi się, że nic, ani drzewo, ani krzak, ani samolot, ani hangar, ani wieża kontrolna, nic nie miało cienia.

– Masz tu listę – i po zaśmieconym stole Gustaw Brandenburg przesunął ją w moją stronę. – O świcie przyszła dzisiaj ekspresem.

Sympatyczni ludzie z tego frankfurckiego hotelu.

Spojrzałem na zapisane kartki. We „Frankfurter Hofie” spotkało się sześćdziesięciu trzech bankierów, jeden z nich, Hellmann, nie żyje. Na dwóch stronach zestawiono nazwiska i adresy sześćdziesięciu dwóch pozostałych. Były to same znane nazwiska, a ich właściciele mieszkali w Monachium, Hamburgu, Bremie, Berlinie, Frankfurcie, Hanowerze, Stuttgarcie, Zurychu, Bazylei, Bernie, Londynie, Wiedniu, Paryżu, Rzymie i Oslo.

– Zaczniemy od Niemców – stęknął Gustaw. – W najbliższym czasie będziesz musiał zwiększyć obroty, mój kochany. Tylko co to da? Beznadziejna mitręga. Jeśli będziesz miał szczęście, już pierwszy bankier, którego odwiedzisz, powie ci, co trzeba. Jeśli uczepli się ciebie pech, będzie nim ostatni.

– Lub nikt – zauważyłem

– Lub nikt, rzeczywiście. Co z żoną?

– Nie wiem.

– Zająłeś się rozwodem?

– Tak.

– Dobrze, wobec tego przystępujemy do roboty. – I kazał sekretarce łączyć się po kolei z niemieckimi bankami. Szło to bardzo szybko, ledwie minęła dziesiąta, a wszystkich, z którymi chciał rozmawiać, osiągnął w biurach. Gustaw miał w sobie cechy kaznodziei i prokuratora i to nigdy go nie zawodziło; przy telefonie nie zabrakło więc nikogo, na kim mu zależało, i nikt po jego wyjaśnieniu, o co chodzi, nie wymówił się od spotkania ze mną, wprost przeciwnie – wszyscy byli nadzwyczaj uprzejmi, mówiąc, że oczekują mnie o każdej porze. Gustaw już przed moim przyjściem sporządził dla mnie szczegółową marszrutę. Zaczynała się na północy Niemiec od Hamburga i stopniowo przesuwała na południe, by potem objąć zagranicę. Zorientowałem się, że bardzo długo nie zobaczę Angeli, zirykowało mnie to i oczywiście przygnębiło. Na szczęście bankierzy mieszkali po kilku w jednym mieście – w Hamburgu na przykład aż trzech. Właśnie tam miałem zaraz jechać, tak zdecydował mój szef Gustaw po tym, jak mu powiedziano, że hamburscy bankierzy gotowi są mnie przyjąć jeszcze dzisiaj. Bardzo mi to odpowiadało, bo ani przez chwilę nie chciałem być beczynny, dotarłem więc do tego miasta około czternastej.

Zanim poszedłem do biura Gustawa Brandenbura, odwiedziłem swój bank i szczęśliwemu urzędnikowi Kressemu, ze szklanym okiem, który właśnie przechodził na emeryturę, dałem upoważnienie do comiesięcznego przekazywania półtora tysiąca marek na konto mojej żony. Nie znając numeru konta, poleciłem mu, by zadzwonił do żony i dowiedział się. Ze swojego biura w „Globalu” wysłałem jeszcze list do centrali telefonicznej z prośbą o likwidację połączenia. Od zaraz odwołałem abonament gazety oraz telewizji i załatwiłem jeszcze całą masę innych spraw, o których mówił Fontana. Jak z tym wszystkim pogodzić fakt, że zobowiązałem się dobrowolnie, co miesiąc, przekazywać półtora tysiąca marek na jej konto? Czynsz już od dawna przelewem załatwiał mi bank, podobnie jak składki ubezpieczeniowe na życie. Posłuchałem rad Fontany, jeśli chodziło o drobiazgi, ale w poważnej sprawie, jaką były pieniądze, sprzeniewierzyłem się mu. Wyobraziłem sobie, jak będzie wściekły, gdy się dowie. Leciałem do Hamburga pełen dręczących mnie wątpliwości, działałem na swoją szkodę, to było pewne, ale każdy postępuje według swoich zasad, ja zaś nie mogłem zostawić Karin bez pieniędzy.

W Hamburgu było chłodno i chmurnie. Odszukałem szefa pierwszego banku – nazwiska nie wymienię ze zrozumiałych względów. W mahoniowym biurze przy Binnenalster przyjął mnie człowiek bardzo uprzejmy i spokojny. Pragnę uprzedzić: wszystkie biura, które kolejno odwiedzałem, były urządzone niezwykle komfortowo i z największym smakiem, a ich rezydenci imponowali taktem i spokojem. Różnym językiem mówili mi w gruncie rzeczy to samo, a rozmowy były krótkie i jeśli tutaj odtworzę pierwszą, zastąpi wszystkie inne.

A oto jak mniej więcej wyglądała ta pierwsza rozmowa:

– Badam przyczyny śmierci pana Hellmanna. Wiem, że obaj panowie, jak i inni bankierzy, mieli dwudziestego czwartego i dwudziestego piątego zebranie we „Frankfurter Hofie”. Wiem także, że pan Hellmann po tym spotkaniu był ogromnie zdenerwowany i nie wiadomo dlaczego zrozpaczony czy też wściekły, a może jedno i drugie, i że stan ten trwał aż do jego odlotu do Cannes. Czy domyśla się pan może przyczyny tak nagłego jego wzruszenia?

– Nie, panie Lucas.

– Czy w czasie konferencji we Frankfurcie zdarzyło się coś, co mogło go zdenerwować? Czy były jakieś niesnaski? Kłótnie?

– W naszych kołach, panie Lucas, nie ma zwyczaju się kłócić.

– Czy pan Hellmann znalazł się może w jakiejś przykrej sytuacji?

– W żadnym wypadku, wiedzielibyśmy o tym, bo informacje tego typu rozchodzą się zazwyczaj bardzo szybko, jeden się dowiaduje od drugiego.

– Dopuszcza pan możliwość, by pan Hellmann zawarł transakcje, które narażałyby na szwank jego nienaganną reputację?

- Wykluczone.
- Jak więc tłumaczy pan zmianę jego nastroju po konferencji?
- Nie potrafię wyjaśnić.
- Czy to była jakaś szczególna konferencja? Myślę o określonych powodach jej zwołania.

- Nie, zupełnie nie. Spotykamy się dwa, trzy razy do roku, by podtrzymać kontakty, wymienić informacje oraz opinie na temat aktualnej sytuacji politycznej i gospodarczej. Jesteśmy, jakby się tu wyrazić, czymś w rodzaju wielkiej rodziny, panie Lucas.

- A w wielkiej rodzinie wszyscy trzymają się razem i nie zdradzają osobom postronnym swych sekretów, zwłaszcza dotyczących drażliwych spraw, czy tak?

- Pytanie jest trochę – proszę wybaczyć, panie Lucas – trochę nietaktowne. Gdybym wiedział, dlaczego pan Hellmann, jak pan twierdzi, więc powołał się na pańskie słowa – był tak zdenerwowany po naszym spotkaniu, na pewno bym panu powiedział.

- Czy aby na pewno?

- Oczywiście. Nie wierzy mi pan?

- Nie. W jaki sposób więc stracił życie? Nieszczęście, morderstwo czy samobójstwo?

- Nieszczęście albo morderstwo, samobójstwo wykluczone. Nie miał po prostu powodu do odebrania sobie życia, poza jednym, ale to tylko niezobowiązujące podejrzenie, że był nieuleczalnie chory, lecz i wtedy by wybrał inny rodzaj śmierci, nie pociągnąłby za sobą tylu innych ludzi.

- Czy wie pan lub podejrzewa coś jeszcze, co byłoby mi pomocne?

- Zanim pan się zgłosił, panie Lucas, zrobiłem rachunek sumienia. Bardzo mi przykro, odpowiedź brzmi: nie.

Oto pierwsza rozmowa, oczywiście trochę skrócona i stylistycznie podretuszowana. Następne miały identyczny przebieg. Odwiedzałem zazwyczaj w ciągu jednego dnia wszystkie niemieckie banki w danym mieście i wieczorem samolotem mogłem jeszcze wrócić do Düsseldorfu. Męczyło mnie to śmiertelnie, nie mogłem jeść i często bolała mnie noga. Z „Intercontinental” telefonowałem jeszcze do Brandenburga i informowałem go o niezmiennie negatywnym wyniku rozmów.

- I co robić? – spytał któregoś wieczora, gdy byłem szczególnie wyczerpany.

- Nie widać końca, a musimy jednak przez to przejść. Cholera, może któryś z tych facetów otworzy wreszcie gębę. Wyśpij się teraz dobrze, jutro z rana znowu lecis. Były wieści od Karin?

- Ani słowa, ani listu, ani telefonu.

- Pierwszorzędnie, już ty ją zmiękczysz. Głowa do góry, chłopcze. Wierz mi, znajdziemy prawdę! Teraz wal do łóżka, dobranoc.

– Dobranoc, Gustawie – powtórzyłem.

Zbyt byłem zdenerwowany i rozdrażniony, żeby kłaść się zaraz spać. Brałem zwykle zimny i gorący prysznic i później telefonowałem do Angeli. Po całodziennym młynie był to dla mnie czas szczęścia. Cały dzień potrafiłem myśleć tylko o tym wieczornym telefonie, a potem wylewałem przed nią wszystkie moje żale. Nigdy nie okazywała zniecierpliwienia, nie ponaglała do przyjazdu, rozumiejąc, że nie mogę teraz wrócić, ale niekiedy głos zdradzał ją, cichy i drżący. Nie do znieśnienia stawała się już dla nas ta rozłąka.

Powiedziała kiedyś:

– Wczorajszej nocy chyba coś między nami było, Robercie.

– Proszę?

– Po naszym telefonie poszłam spać. O trzeciej czy czwartej zbudziłam się i sięgnęłam po twoją rękę, ale ciebie nie było. Nie umiałam sobie tego wytłumaczyć! Byłam absolutnie przekonana, że byłeś przy mnie, mogłabym przysiąc.

– Przyśniłem ci się wcześniej?

– Skądże! I to jest właśnie dziwne! Wstałam i przesłam do pokoju, przekonana, że może chrapałam i musiałeś się przenieść.

– Naprawdę wstałaś?

– Mówię przecież.

– O Boże, jeszcze tego brakowało, żebyś zaczęła chodzić we śnie.

– To nie był sen, byłam zupełnie przytomna. W saloniku nie znalazłam cię, zaczęłam wołać i przeszukiwać całe mieszkanie. Naprawdę święcie wierzyłam, że byłeś przy mnie. Kiedy cię nie znalazłam, wróciłam do łóżka i rozplakałam się, bo pomyślałam, że opuściłeś mnie bez słowa. Tak zasnąłam, a dzisiaj rano bolały mnie wszystkie kości.

– Mój ty biedny skarbie.

– Jaki tam biedny, zakochany.

Za dużo paliliśmy w tych dniach. Angela od papierosów nabawiła się kaszlu, choć znajdowała dla niego tysiąc innych przyczyn: a to zakrztusiła się, a to czymś udławiła, stale coś wymyślała. Zdawaliśmy sobie oboje sprawę, jak bardzo nam ciążyła ta sytuacja, ale unikaliśmy tego tematu. Kiedy siedzieliśmy przy telefonie, patrzyliśmy na światła przed sobą, ja na światła lotniska, ona na Cannes. Światła były w tym czasie jedyną naszą pociechą. Cudowne światła.

Monachium, Brema, Berlin, Hanower, Stuttgart, Frankfurt.

W jednym dniu załatwiałem wszystko i zawsze to samo. Brak rezultatu, zero. Grzeczne twarze, frazesy i żadnego choćby najmniejszego dowodu.

– Naprawdę, panie Lucas, bardzo żałuję, ale w niczym nie mogę panu pomóc...

Poleciałem do Wiednia i dlatego, że jeden dzień by nie wystarczył na załatwienie wszystkich spraw, wynająłem pokój w „Imperialu”.

Austria nie miała automatycznego połączenia z Cannes – działało ono tylko w odwrotnym kierunku. W Cannes zaczął się właśnie sezon festiwalu filmowych. Angela naturalnie musiała uczestniczyć w przyjęciach, premierach i odbywających się po nich spotkaniach towarzyskich, w naszych telefonicznych kontaktach zaszły więc zmiany. To ona postanowiła do mnie dzwonić – do tej pory zawsze ja to robiłem – ponieważ nigdy nie wiedziała, gdzie będzie wieczorem i o której wróci do domu.

Również i tu, w Wiedniu trzech odszukani przeze mnie bankierzy nie powiedzieli więcej niż ich niemieccy koledzy. Mieszkałem już wiele razy w „Imperialu” i lubiłem ten hotel. Wróciwszy owego wieczoru do domu, zjadłem kolację, a później przenieśliem się do małego, purpurowego baru, gdzie piłem trochę i paliłem. Nie spieszyłem się do pokoju wiedząc, że Angela zadzwoni dzisiaj dość późno. Bezustanne latanie samolotami, brak rezultatów męczyły mnie, często teraz bolała mnie stopa i czułem, że za dużo byłem w drodze, a za mało odpoczywałem. Łykałem stale tabletki zapisane mi przez Betza, chociaż nie stwierdzałem poprawy. W barze pracowało dwóch znajomych barmanów. Wdałem się w rozmowę z jednym z nich, niejakim Franzlem, który opowiedział mi o swoim ogródku działkowym i początkach swojej kariery. Przyznał się, że zaczynał od robienia wina dla siebie i przyjaciół. Obiecał, że jesienią przyśle mi parę butelek. Siedziałem tak do pierwszej, póki nie zaczęły mi się kleić oczy. Wróciłem do swojego pokoju i położyłem się, bo uznałem, że równie dobrze mogę czekać w łóżku na rozmowę z Angelą, nawet gdybym Zasnął, obudziłby mnie telefon. Rzeczywiście zasnąłem i miałem niedobry sen. Śniłem, że straciłem Angelę, a z tym i jakąkolwiek chęć do życia, i biegłem zimową, oblodzoną autostradą, w potwornej mgle, na osłep przed siebie. Było przeraźliwie zimno i marzłem na kość, biegłem jednak wytrwale mając nadzieję, że pojawi się jakiś samochód i kierowca nie spostrzeże mnie we mgle, i zginę w wypadku.

Gdy wreszcie telefon zadzwieczał, zbudziłem się z wielkim trudem. Nie od razu znalazłem kontakt nocnej lampki, a w dłoni, wilgotnej od potu i śliskiej, ledwo trzymałem słuchawkę. Spojrzałem na zegarek: była trzecia czterdzieści pięć.

Podniosłem do ucha słuchawkę.

– Halo...

Usłyszałem melodię, i to znajomą, nuconą głębokim, męskim głosem. „*Blowin' in the wind*”!

– Robercie...

– Angelo! – musiałem odchrząknąć. – Angelo!

– Zbudziłam cię, biedaku.

– Nie.

– Jakże, słyszę przecież.

Melodia nie milkła, niósł ją dalej męski głos.

– Niech będzie, obudziłaś mnie, ale to nic nie szkodzi. Kto to śpiewa? Gdzie jesteś?

– Po premierze filmu urządzono galowe przyjęcie w restauracji „Municipal”, wiesz której?

– Tak.

– Mnóstwo ludzi, same znane nazwiska i gruba forsa. Dostałam trzy zamówienia na portrety, wyobrażasz sobie?

– Gratuluję!

– Dziękuję! A ty? Jak poszło w Wiedniu?

– Znowu nic.

– Ach, Boże – powiedziała cicho. Muzyka i męski głos stały się teraz wyraźniejsze. Gdy się znów odezwała, czułem, jak udaje ożywienie i wesołość. – Kiedyś to się przecież skończy, Robercie.

– Tak myślę.

– Mam przyjechać do Niemiec, do ciebie? Mogłabym zamieszkać gdzie indziej, spotykałybyśmy się po kryjomu.

– To bez sensu, jestem przecież każdego dnia gdzie indziej. Teraz kolej na Anglię, potem będzie Szwajcaria, miej cierpliwość, proszę.

– Jestem cierpliwa – odpowiedziała. – Będę czekać, jak długo trzeba, mamy przecież siebie, to najważniejsze. Słyszysz piosenkę? Naszą piosenkę?

– Tak – odparłem. Co ona wymyśliła? Orkiestra gra przecież zwykle w sali jadalnej, jakim sposobem słyhać ją tak dobrze?

– To ja, Robercie, jestem w restauracji! Gala już się skończyła, pogadałam więc z muzykami i zgodzili się zostać jeszcze trochę. Nie masz pojęcia, jak ja tu nabroiłam! Przeniosłam telefon do restauracji, a że sznur był za krótki, elektryk musiał mi zorganizować dodatkowy kabel i wtedy udało się ustawić telefon przed

orkiestrą. W restauracji jestem tylko ja i muzycy, bo goście przenieśli się do sali gry lub powychodzili do domów. Powiedziałam, że muszę załatwić coś pilnego, i kiedy szefostwo usłyszało, że zamawiam melodię dla mężczyzny, którego kocham, w lot pojęło, że to pilna rzecz.

– Rzeczywiście tak im powiedziałaś?

– A cóż w tym złego? We Francji są trochę inne zwyczaje niż w Niemczech.

„... *the answer, my friend, is blowin' in the wind, the answer is blowin' in the wind*” – słyszałem znów męski głos.

– Angelo?

– Tak?

– To wszystko minie i będziemy naprawdę szczęśliwi. – Pieśń ucichła. – Wspaniałą niespodziankę mi zrobiłaś, Angelo, dziękuję.

– To ja ci dziękuję, Robercie.

– A mnie za co?

– Za wszystko, czym dla mnie jesteś i co robisz. Wracasz do Düsseldorfu?

– Nie, prosto z Wiednia lecę do Londynu. Będziesz jutro wieczorem w domu?

– Tak, będę czekała na twój telefon.

– Idziesz jeszcze do kasyna?

– A cóż tam po mnie? Jadę do domu, jestem też zmęczona. Mam nadzieję, że zaraz zasną i że mi się przyśnisz.

– Też wierzę, że będę o tobie śnił. – Dobranoc.

– Dobranoc.

Połączenie przerwano.

Zgasilem światło i położyłem się na wznak, próbując znowu zasnąć, ale sen nie przychodził. Długo leżałem, czując w nodze przeciągły, lekki ból i rozmyślając o wielu rzeczach.

43.

Po trzech dniach Londynu wylądowałem w Zurychu. I tu szło jak po grudzie, nic się nie układało. Mieszkałem w „Dolderze”. „Global” nie liczył się z wydatkami, to trzeba przyznać. Przez dziewiętnaście lat wynajmowałem zawsze pokoje w najdroższych i najlepszych hotelach; ten był malowniczo położony na wzgórzu. Świeżą zielenią jaśniały pod moim oknem bezkresne łąki pola golfowego, powietrze było łagodne, a mieszkańcy hotelu jak zwykle mili. Z pokoju widać było w

dolinie miasto i Jezioro Zurychskie, nie docierał tu nawet najmniejszy zgiełk uliczny. Zawsze chętnie zatrzymywałem się w „Dolderze”, a tym razem przyniosłem z sobą zmęczenie, rozdrażnienie i pesymizm, przed którym nie potrafiłem się obronić.

W Zurychu miałem odwiedzić trzy banki. Do tej pory przesłuchałem czterdzieści jeden osób (z sześćdziesięciu dwóch będących na liście) – i to bez jakiegokolwiek rezultatu. Wmawiałem sobie, że na tym właśnie polega mój zawód, iż każdego dnia może przecież zdarzyć się cud, ale było to oszukiwanie samego siebie. Pierwszego dnia rozmowy z bankierami nie przyniosły nic nowego. Rozkładali ręce, podobnie jak wcześniej ich koledzy. Myślę, że wieczorem telefon do Angeli przyniósł mi ulgę, rozwiął wątpliwości i poprawił nastrój. Uspokajała mnie, powtarzając, że będzie czekać, choćby nie wiem jak długo. Rozmowa odbyła się o dwudziestej drugiej, a godzinę później poszedłem spać, wyczerpany wędrówkami po mieście, a jeszcze bardziej – ich miernym rezultatem. O czwartej dwadzieścia zadzwonił telefon.

– Robercie... – W głosie Angeli nie było już beztrioski, optymizmu i pewności siebie. Mówiła wolno i jakby z trudem.

– Kochanie... Kochanie, co się stało?

– Mój Boże, na pewno cię zbudziłam, a ty tak potrzebujesz snu.

– Głupstwo, nie martw się, zaraz zasnę. – I nagle ogarnął mnie strach: – Czy coś się stało? – Byłem przerażony nie na żarty, gdy naraz usłyszałem jej płacz. – Angelo... Angelo... co się dzieje? Co ci jest? Powiedz, proszę.

Rozbudziłem się zupełnie i usiadłem prosto na łóżku. Szlochala, z trudem dobierając słowa.

– Tak bardzo cię kocham, Robercie.

– Myślisz, moje serce, że ja nie? Co ci jest?

– Martwię się, martwię i tęsknię. Po naszej rozmowie do północy siedziałam przy telewizorze, ale denerwowałam się coraz bardziej. Nalałam sobie kieliszek szampana, później wypilałam całą butelkę, a potem jeszcze piwo. I bez przerwy paliłam. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca, tak byłam niespokojna po naszej rozmowie. Przerażona jestem twoim zniechęceniem i wyczerpaniem. Robercie, zdążyłeś chyba zauważyć, że mam w czubie, gorzej, jestem pijaniuteńka. To mi się od lat nie zdarzyło. – I znowu się rozplakała, usłyszałem, jak odkłada słuchawkę. Wreszcie: – Wybacz. Jeszcze trochę pobeczę, ale już koniec. Wycierałam nos.

– Dlaczego nie jesteś w łóżku?

– Nie mogę. Jak tylko przestałam oglądać telewizję, siadłam na kanapie, znasz ją przecież, i tylko myślałam o tobie, jakbym się chciała zahipnotyzować. Nie pamiętam, żebym kiedyś to robiła. Wracałam wciąż do tego samego: co będzie, jeśli się nie zejdziemy? Aż się stało – sięgnęłam po alkohol. I dalej siedziałam jak zakłeta, myśląc o naszej miłości, a teraz obudziłam ciebie.

– Ale to nie ma żadnego znaczenia! Naprawdę cieszę się, że zadzwoniłaś, Angelo! To jedyna rzecz, jaką należało zrobić. Jeśli i mi przytrafi się to samo, zadzwonię na pewno.

– Przyrzeknij! O każdej porze i każdego dnia, Robercie...

– Tak?

– Czuję się okropnie i jeszcze ciebie tym obarczam. Przed tobą żaden człowiek nawet nie domyślał się, jaka jestem naprawdę. Gdy cię poznałam, zupełnie się zmieniłam. A teraz cię budzę...

– Nie mówmy o tym.

– Przez godzinę się wahałam, podnosiłam tylko słuchawkę i odkładałam, aż wreszcie zdecydowałam się. Nie jesteś na mnie zły?

– Zły? Chyba raczej szczęśliwy!

– Myślmy dokładnie tak samo, to samo czujemy. Jestem z tobą, gdy każdego dnia zaczynasz od nowa i wciąż bez skutku, kiedy jesteś daleko, bardzo daleko ode mnie...

– Angelo, kiedyś to się skończy i wrócę do ciebie. Będziemy znowu razem, u ciebie, na tarasie wśród kwiatów...

– U mnie – powtórzyła. – Tak, u mnie. Musimy znaleźć jakieś wyjście, Robercie. Życie bez ciebie nie ma już dla mnie żadnego znaczenia, ale źle się stało, że nagle straciłam całą odwagę.

– Wiedz, że ja tracę ją każdego dnia i znów odzyskuję.

– Musiałam usłyszeć twój głos, Robercie, musiałam.

– Rozumiem cię, Angelo, ale teraz obiecaj, że nie będziesz już pić i pójdziesz do łóżka.

– Wezmę coś na sen – postanowiła. – I popiję piwem, może jakoś pójdzie, mam nadzieję. Nie gniewaj się, że cię zbudziłam. – Była zupełnie pijana. – Dobranoc.

– Dobranoc.

Gdy odkładałam słuchawkę, przez zasłony wdzieraty się już do pokoju promienie wschodzącego słońca.

44.

Spotkanie w Zurychu z trzecim bankierem nie wyróżniało się niczym szczególnym, ale na zakończenie naszej krótkiej rozmowy ten starszy pan o białych włosach i takichże faworytach powiedział coś dziwnego:

– Wiem, panie Lucas, że to są pańskie zawodowe obowiązki. Poradziłbym jednak pańskiej firmie, żeby przerwała dochodzenie i zamknęła sprawę.

- A to dlaczego?
 - Bo pan się nigdy nie dowie prawdy.
 - Tak pan sądzi?
 - Być może dowie się pan prawdy – trochę spuścił z tonu – ale nic pan z niej nie skorzysta i nikomu się ona nie przyda.
 - Skąd taka pewność?
 - Tego nie powiem. Musi pan wierzyć. Zestarzałem się w swoim zawodzie, który jest zawodem szczególnym o całkiem szczególnych prawach.
 - Nie powinno być takich całkiem szczególnych praw – zauważyłem.
 - Mimo wszystko są, panie Lucas. – Gładził brodę. – Prowadząc dalej sprawę, a widzę, że będzie pan to robił...
 - Nawet na pewno.
 - ... przewiduję wiele nieszczęść. Nie finansowych, ale ludzkich. – Podniósł się, dając sygnał do zakończenia rozmowy. I przypatrując mi się starymi, zmęczonymi i smutnymi oczyma, dodał: – Nigdy nie należy potępiać z góry drugiego człowieka, kimkolwiek jest. Trzeba nauczyć się pobłażliwości, umieć przebaczać i usprawiedliwiać...
 - Co takiego? – podniosłem głos, ale bankier jakby mnie nie słyszał.
 - ... bo gdyby każdy z nas o drugim wszystko wiedział – ciągnął swoje – chętnie by i z lekkim sercem przebaczył, a między ludźmi nie byłoby już ani pychy, ani dumy, ani zarozumiałości, ani przechwalania się sprawiedliwością. Sprawiedliwość, panie Lucas, jest abstrakcyjna.
 - Nie – sprzeciwiłem się stanowczo. – Przykro mi, że jestem innego zdania. Sprawiedliwość nie jest abstrakcją – jest konkretem.
- Spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem, wzruszył ramionami i odwrócił się.

45.

W hotelu czekała na mnie wiadomość od Gustawa. Miałem natychmiast porozumieć się z nim, bo dzwonił już dwa razy i niecierpliwie czekał na mój telefon. W dwie minuty później już z nim rozmawiałem.

- No – usłyszałem jego ospały, a jednocześnie przebiegły głos – masz coś?
- Nic, ale to dopiero czterdziesty pierwszy bankier, z którym właśnie rozmawiałem.

– Sądę, że z resztą nie będziesz musiał. Leć najbliższym samolotem do Frankfurtu. Dzwonił twój znajomy, ten portier z „Frankfurter Hofu”. Mówił, że ma coś dla ciebie i żebyś do niego przyjechał. Potem skontaktuj się ze mną, żebyśmy wiedział, kiedy wracasz do Düsseldorfu.

– Znowu fałszywy alarm – nie wykazałem entuzjazmu.

– Nie – powiedział Gustaw. – Nie przypuszczam. Czuję to w kościach, a to najlepszy jak dotąd sygnał. Leć, Robercie!

Poleciałem i około trzeciej dotarłem do „Frankfurter Hofu”. Portier rozpromienił się na mój widok.

– Raz dwa poszło, nie do wiary! Zawiadomię Kallinga, czeka jeszcze w hotelu, ale tutaj nie będzie rozmowy, bo to rzuca się w oczy, a on nie chce. To poczciwy facet, ale się boi.

– Kto to jest Kailing?

– Kelner, jeszcze dość młody. Po pana ostatniej wizycie, zacząłem wypytywać obsługę hotelu i – jak mi się wydaje – znalazłem coś.

– Co?

– Niech on sam opowie. Teraz jest trzecia, spotka go pan o wpół do czwartej przed wielkim stoiskiem z gazetami na dworcu głównym.

– Bardzo panu dziękuję.

– Głupstwo! Zrobiłbym dla pana, co tylko można, pan wie. Ale może na nic się nie przyda ta informacja, proszę więc nie dziękować z góry.

– Jak go poznam?

– Oparty o stoisko z gazetami będzie czytał dział sportowy w monachijskiej „Abendzeitung”. Jest tak wysoki jak pan, szatyn, trzydzieści dwa lata, szczupła, blada twarz. Będzie palił cygaro...

46.

– Pan Kailing?

– Mężczyzna o ciemnych włosach i pociągłej twarzy, który koło dworcowego stoiska z gazetami czytał monachijską „Abendzeitung”, wyjął z ust cygaro, zlustrował mnie i wreszcie się odezwał. – Dzień dobry, panie Lucas.

Na dworcu i peronach kręciło się mnóstwo ludzi, bez przerwy jazgotały głośniki i wyjeżdżały lub odjeżdżały pociągi, warunki do takiego spotkania były więc idealne. Nikt nie zwracał na nas uwagi.

– Mój znajomy zawiadomił mnie, że ma mi pan coś do przekazania. Naturalnie, nie pozostanę panu dłużny.

– Powiem, ale bez zapłaty – rzekł Kailing. – Jest pan z nami w dobrych stosunkach i chętnie się panu przysłużę, ale bez wynagrodzenia, proszę to sobie wybić z głowy.

Z podobnym oświadczeniem jeszcze się nie spotkałem.

– Niech będzie – machnąłem ręką. – Słucham pana.

– A więc – zaczął Kailing, a dookoła mijali nas w pośpiechu ludzie, płakały dzieci, gwizdały lokomotywy i rozpędzały się koła – chodzi oczywiście o tę wielką konferencję bankierów pod koniec kwietnia. Ostatniego wieczora miał wykład pan Hellmann. Po angielsku.

– O czym? – spytałem. – Dokładnie o czym?

– O etyce i obowiązkach bankiera w nowoczesnym społeczeństwie przemysłowym – wyrecytował Kailing, ssając cygaro. – Obok wind znajduje się czarna tablica, prawda? W hotelu, znaczy się. Na tablicy zawsze jest zaznaczone, kiedy, gdzie i co się odbywa, stąd znam temat. Miał to być bardzo mądry i ludzki referat. Mówili o tym inni bankierzy, którzy przechodzili potem do sali bankietowej, gdzie był bufet i bar. Obsługiwałem gości przy bufecie i rzecz jasna słyszałem wszystko, o czym mówiono.

– Naturalnie.

– Bankierzy z szacunkiem i podziwem odnosili się do Hellmanna, jego przemówienie było żywo dyskutowane. Musiało to być naprawdę piękne wystąpienie, Hellmann był przecież jednym z najbardziej cenionych w kraju bankierów, prawda?

– Tak było – potwierdziłem. Zapowiedziano z głośnika, że pociąg pośpieszny z Dortmundu spóźni się przypuszczalnie piętnaście minut.

– Ale nie wszyscy bankierzy ów zachwyty podzieliali.

– Co takiego?

– A nie – podkreślił Kailing. – Zwłaszcza taki jeden, dlatego cała sprawa utkwiała mi w pamięci. Rozumie pan, kiedy pan tak stoi za bufetem i słyszy tylko komplementy, pochwały i same dobre rzeczy o człowieku, i naraz wpada do ucha coś zupełnie innego, to mimo woli zaczyna pan podsłuchiwać – nie jest tak?

– Na pewno.

– Pan Hellmann przyszedł do bufetu z tym drugim panem i akurat podeszli do mnie. Wybrali sobie, co tam chcieli, a ja im napelniałem talerze.

– Jak był Hellmann ubrany?

– Smoking – jak wszyscy.

– Znał go pan z widzenia?

– Czy znałem? Od wielu lat był naszym stałym gościem we francuskiej restauracji.

– Tak – i co dalej?

– A więc obaj stoją naprzeciwko mnie. Najpierw obsłużyłem tego drugiego człowieka, potem dopiero pana Hellmanna. I kiedy to robiłem, ten drugi powiedział do niego: „Przemówienie miał pan wspaniałe, mój kochany. Kamienie płakać będą od tego bezmiaru miłości bliźniego i szlachetności.”

– Dosłownie pan zapamiętał?

– Tak albo prawie tak. Może szyk słów wyglądał inaczej, ale zabrzmiało to złośliwie i na pewno padły słowa o miłości bliźniego i szlachetności. Jakbym to dzisiaj słyszał... i zaraz doszło do małej sceny.

– Sceny? Niech pan wybaczy, panie Kailing, proszę mówić dalej.

– No, więc po kolei. To była krótka rozmowa. Pan Hellmann popatrzył na tego drugiego, jakby nie wiedział, o co chodzi, i spytał: „Jak pan to rozumie” albo może inaczej: „Co to ma znaczyć”...

– Tak, już rozumiem. I co?

– No i ten drugi spojrział na niego jakby z obrzydzeniem i powiedział parę zdań, a potem te słowa, które zapamiętałem dosłownie: „Na miłość boską, po co jeszcze ta komedia! Sam pan wie najlepiej, w co się wpakował. W porządku, niech pan kombinuje dalej, jeśli jest pan w zgodzie z własnym sumieniem, tylko proszę nie serwować nam tak rozczulających oracji.”

– Dosłownie tak powiedział czy prawie dosłownie?

– Dosłownie, panie Lucas.

– A potem? Co się działo potem?

– Potem po prostu zostawił pana Hellmanna i odszedł z pełnym talerzem. Pan Hellmann nawet nie spojrział na talerz, który mu podawałem. Oparł się o bufet i już pomyślałem, że mi się zaraz przewróci, zląkłem się panicznie i zawołałem go raz i drugi, ale on mnie zupełnie nie słyszał. Trząsł się cały, zaciskał dłonie i w końcu wyszedł z sali, nawet nie spojrzawszy na mnie, a ja zostałem z jego talerzem.

– Więc opuścił salę przed zakończeniem spotkania?

– Tak, mogę przysiąc, że tak. I już nie wrócił. Czy to się panu na coś przyda?

– Sądzę, że bardzo – odparłem. – A ten drugi, czy pan go zapamiętał? Czy wie pan, kto to był?

– Wyglądał na Włocha, ale równie dobrze mógł być kimś innym. Angielski z akcentem, powierzchowność nie rzucająca się w oczy, młodszy od pana Hellmanna. Jego zresztą też później już nie widziałem. Być może, że zaraz poszedł do swego pokoju – albo gdzie indziej.

– Kiedy się ta rozmowa odbywała?

– Około północy, choć raczej trochę później.

Z wypowiedzi Freda Molitora, stróża w banku, wynikało, że Hellmann, ogromnie wzburzony, bliski załamania nerwowego, zjawił się tam o wpół do pierwszej.

– Bardzo mi pan pomógł, panie Kailing, ale nie mogę przejść nad tym tak po prostu do porządku. Pozwoli więc pan, że wręczę mu pewne honorarium, proszę.

– W żadnym wypadku!

– Panie Kailing!

– Absolutnie, powtarzam! Ale wie pan co? Mam córeczkę, która marzy o chodzącej lalce, a naprzeciwko jest sklep z zabawkami.

47.

– Wiedziałem! – zagrział Gustaw Brandenburg. – Wiedziałem dobrze! Czuję to w kościach! A więc jednak nasz przyjaciel Hellmann popełnił jakieś świństwo i jeden z jego kolegów o tym wiedział. Wtedy Hellmann stracił głowę. Potem... potem... Wszystko do siebie pasuje, Robercie, wszystko gra. A widzisz, od początku miałem rację: to samobójstwo. Bingo!

– Bez paru dowodzików – zauważyłem. – Małych, ale ważnych.

– Natychmiast wracasz do Cannes – zdecydował, otrzepując nad brzuchem koszulę.

– Muszę... co się stało?

– Damy spokój reszcie bankierów, bo wiemy już dość. Przed trzema godzinami dzwonił do mnie Frieese. Kessler, który pracuje teraz w Cannes, udostępnił Lacrosse'owi to ministerialne połączenie z siekaczką. I Lacrosse prosił Frieesego, żeby do mnie zadzwonił i powiadomił cię.

– O czym?

– Że cię chce mieć u siebie i to jak najszybciej. Jakiś szpicel policyjny dał im namiar na różnych Algierczyków, którzy mieszkają w La Bocea – wiesz o co chodzi, to przecież pijany Kilwood krzyczał, że od nich wszystko się zaczęło.

– No i co?

– I jeśli mają trochę oleju w głowie, zarządzą ekspedycję karną, a kiedy tego właściwego Algierczyka schwytają i on im wszystko wyszczeka, będziemy może mieli sprawę zamkniętą. Widzisz, jak to się robi?

– Po prostu arcydzieło, Gustawie. – Myślałem już tylko o Angeli, wracałem przecież do niej. – Lecę natychmiast – zdecydowałem się bez wahania. – Czy dzisiaj mam jeszcze jakiś samolot?

- Właściwie tak, ale nigdzie nie wyjedziesz.
- O czym ty mówisz?
- Strajk – rzekł Gustaw. – Strajkują francuscy kolejarze, a na francuskich lotniskach personel naziemny oraz kontrola lot u. Nie możesz więc jechać koleją ani lecieć.

48.

- Angelo!
- Robercie! W twoim głosie jest radość, czyżby zdarzyło się coś dobrego?
- Tak, Angelo! Wracam do ciebie!
- Kiedy?
- Jak najszybciej. Teraz już za późno, aby cokolwiek zdziałać, bo mamy prawie północ, ale pojutrze w południe jestem u ciebie.

Pojutrze w południe – to znaczy w sobotę, 3 czerwca. Przed trzynastoma dniami wyjechałem. Trzydzieści dni. Dla mnie to jakby trzydzieści lat, całe życie. A teraz, teraz...

– Mój Boże, Robercie, ale tu przecież strajk! Pełno strajków! Nie możesz lecieć. I kolej odpada!

– Dam sobie radę. W Niemczech i we Włoszech nie strajkują, normalnie kursują pociągi. Musisz tylko dojechać do granicy włosko-francuskiej, do Ventimiglii, żeby mnie odebrać. Jak to daleko z Cannes?

– Niecałe dwie godziny, Robercie! Przyjadę na pewno! O której jutro będziesz w Ventimiglii?

– Ależ nie jutro, dopiero pojutrze. O dwunastej pięćdziesiąt pięć. Tylko ostrożnie! To włoskie lato!

– Będę stała na peronie! I będę tak krzyczała, że ludzie padną trupem ze strachu! Wyjadę pojutrze jak najwcześniej, żeby dotrzeć tam na czas.

Przed południem dnia następnego zjawilem się jeszcze raz u Gustawa w „Globalu” i odebrałem instrukcje oraz nowe czeki podróżne. Żona nie dzwoniła ani do mnie, ani do niego, ani do kogokolwiek i nic o niej nie wiedziałem. Porozumiałem się z mecenasem Paulem Fontana i posłałem mu upoważnienie dla jednego z jego pracowników, aby regularnie odbierał całą pocztę, która podczas mojej nieobecności zapewne nadejdzie do „Intercontinentalu”. Być może będzie w niej list od adwokata lub nawet z sądu. Terminów należało pilnować, bo wyrok mógł zapaść pod moją nieobecność. Rozmowa telefoniczna z Fontaną była krótka i rzeczowa.

- Dobrze, będę otwierał wszystkie urzędowe listy. Daj mi adres w Cannes.
- Hotel „Majestic”, Croisette.
- Powodzenia – rzucił na pożegnanie i odłożył słuchawkę.

W „Intercontinentalu” zostawiłem również wiadomość, że ktoś

będzie przychodził po przesyłki adresowane do mnie. Apartament zatrzymałem. Jednym z najszybszych pociągów „Intercity” odjechałem po południu do Stuttgartu. Tam przesiadłem się do bezpośredniego pociągu do Ventimiglii. „Global” zarezerwował mi jedynekę w wagonie sypialnym i choć mój przedział miał numer trzynastcie, nie zdziwiło mnie to. Zasnąłem natychmiast i przebudziłem się dopiero przed Mediolanem. Zatkanymi mi się uszy i bolały trochę, bo nocą przejeżdżaliśmy przez przełęcz Gottharda i czułem różnicę wysokości. Ziewałem bez przerwy i gdy wreszcie coś w uchu trzasnęło, pozbyłem się głuchoty.

We Włoszech świeciło słońce i wszystko było w kwiatkach, toteż z każdym kilometrem, który przybliżał mnie do ulubionego świata południa, pogodniałem i poprawiało mi się samopoczucie. W Genui mieliśmy długi postój. Wagon sypialny, ostatni w tym składzie, stał w tunelu, z którego czarnych ścian lała się woda. Wreszcie pociąg ruszył. Konduktor uprzątnął łóżko. Siedziałem teraz przy oknie, racząc się mocną kawą z ekspresu i patrząc na wielkie statki w szarych dokach genueńskiego portu, który leżał niemal na wyciągnięcie dłoni. Dopiero później zobaczyłem morze i odtąd towarzyszyło mi prawie stale na całej trasie do granicy. Jechaliśmy wzdłuż włoskiej Riwiery. Przed mymi oczyma przesuwały się statki na błyszczącym morzu i plaże wypełnione ludźmi, drzewa palmowe, eukaliptusowe i pomarańczowe w najrozmaitszych barwach. Pociąg zatrzymywał się na każdej małej stacji, ludzie wsiadali i wysiadali, ale w wagonie sypialnym znajdowały się jeszcze wolne miejsca. Myślałem o Angeli, tylko o niej, i zdałem sobie sprawę, że nie było we mnie dotąd takiego uczucia, jakim ją teraz obdarzałem. Nie byliśmy pewni, co nam przyniesie przyszłość, a ja nie wiedziałem, co zrobi Karin, jak się rozwinie moja choroba, co wyniknie ze sprawy Hellmanna, wiedziałem tylko jedno, że byłem w drodze do Angeli i owa świadomość zamieniała w błogi sen całą podróż wzdłuż lśniącego morza. Znowu się cieszyłem, że usłyszę jej śmiech, przecież tak go lubiłem i pomyślałem, że Bóg, chcąc wynagrodzić człowiekowi wszystkie zmartwienia i trudności, dał mu jeszcze w życiu trzy rzeczy: śmiech, sen i nadzieję.

Masywy górskie i skały wystawały tu prosto z morza, dlatego znikaliśmy raz po raz w tunelach. Wszystkie z nich miały nazwę, która widniała na tablicy przed wjazdem. Po jakimś czasie przestałem je liczyć, bo było ich niewiarygodnie dużo.

Kiedyś w Nicei na lotnisku biegliśmy ku sobie jak na skrzydłach i bez tchu. W Ventimiglii, na ogromnym, brzydkim dworcu nasze spotkanie wyglądało inaczej. Wyszedłem z wagonu sypialnego, odebrałem od konduktora walizki i ustawiłem je na peronie. Pasażerów kończących podróż nie było wielu w pociągu i szybko zniknęli. Konduktor głośno przywołał numerowego, dlatego stałem i czekałem. Peron koło pociągu opustoszał nagle. Słońce paliło. W oddali, w pobliżu lokomotywy ujrzałem szczupłą i zagubioną Angelę. Najpierw załśniły mi rudym blaskiem jej włosy, potem ją rozpoznałem. Dzielili nas spora odległość. Angela była w niebieskiej bluzce i białych spodniach. Już i ona mnie zobaczyła, ale stała w miejscu jak ja.

Wracaliśmy potem w rozmowach do tej chwili powitania i zastanawialiśmy się wspólnie, dlaczego byliśmy tak sztywni i mało spontaniczni. Wreszcie kiedyś Angela znalazła odpowiedź: – Długo sterczałam na peronie, bo ze strachu, żeby się nie spóźnić, wyjechałam z Cannes o dziewiątej. Od rana nic mi nie wychodziło, poruszałam się jak mechaniczna lalka. Gdy cię potem zobaczyłam, wrosłam w ziemię, jakby mnie sparaliżowało. Chciałam biec ku tobie, otworzyć ramiona i całować – i nie byłam w stanie ruszyć się z miejsca. Było we mnie tyle tęsknoty i radości ostatnich godzin, że – nie do wiary – zamieniały się w smutek, gdy cię wreszcie zobaczyłam i miałam być szczęśliwa. Naprawdę, najdroższy, poza smutkiem i powagą nie było we mnie nic.

Ze mną działo się podobnie, nawet dzisiaj nie umiem sobie tego wytłumaczyć. Zapamiętałam tylko smutek i powagę spotkania na rozslonecznionym, brzydkim dworcu w Ventimiglii. Nie potrafiłem się zdobyć na gest pozdrowienia, podobnie jak Angela, która jakby zamieniła się w posąg.

Pojawił się wreszcie włoski tragarz z wózkiem, na którym postawiłem obie walizki i torbę. Powiedział, że zaczeka na mnie przy wyjściu. Pchał wózek, a ja wlokłem się za nim sztywny jak drewno, niezgrabny i lekko utykający. Angela ani drgnęła. Szedłem wzdłuż całego pociągu, tragarz zniknął już przy windzie towarowej, łączącej się z niższą kondygnacją, a ja wciąż szedłem. Wreszcie stanąłem przed nią. Na jej twarzy znać było wielkie napięcie i zarazem opanowanie. Byliśmy teraz sami na peronie i nic nie mąciło ciszy. Patrzyliśmy na siebie i w jej dużych, brązowych oczach dojrzałem swoją małą postać. Nie powiedzieliśmy ani słowa, tylko otwarły się nasze ramiona i z całych sił przyłągnęliśmy do siebie,

długo pozostając w tym uścisku. Angela ujęła mnie za rękę i wolno, nie odzywając się do siebie, skierowaliśmy się ku schodom, które kończyły się w tunelu. W przejściu, wiodącym pod torami do budynku dworca, było bardzo brudno i cuchnęło lizolem. Idąc tak bez końca, nie potrafiliśmy już oczu oderwać od siebie, wciąż milczący i poważni. Następne schody zaprowadziły nas na górę i wydostaliśmy się na plac dworcowy, gdzie Angela zaparkowała swój wóz i czekał numerowy, który załadował walizki. W upale południa opustoszały ulice, ludzie pozasłaniaли okna białymi i zielonymi okiennicami, broniąc się przed słońcem.

Naprzeciw dworca stał hotel, a przed kawiarnią czekało na gości parę stolików. Pod ścianą wylegiwał się na boku rozczochrany pies. I tu było śmiertelnie cicho. Angela usiadła za kierownicą i otworzyła mi drzwi po przeciwnej stronie. W tej samej chwili pomyślałem o śmierci, potężde większej od miłości, która przychodzi do każdego i jest na końcu każdej drogi. Wsiadłem do samochodu. Nigdy już potem nie byłem w Ventimiglii.

50.

Angela prowadziła samochód spokojnie i pewnie jak zawsze. Dojechaliśmy najpierw do włoskiego posterunku celnego, potem do francuskiego. Upał dokuczał wszystkim, nawet celnikom. Tak Włosi, jak Francuzi dyskretnie próbowali uwodzić Angelę, ale przestali, kiedy zobaczyli, że nie reaguje na ich zaczepki. Na autostradzie zatrzymaliśmy się na moment, żeby zapłacić za przejazd. Powietrze nad drogą dosłownie się gotowało. Ściągnąłem marynarkę, rzuciłem ją na tylne siedzenie i zdjąłem krawat. Nadal nie mówiliśmy nic do siebie. Angela jechała szybko.

Może po pięciu minutach nacisnęła hamulec, skręciła na parking i zatrzymała się. W tym samym momencie rzuciliśmy się sobie w ramiona i wśród pocałunków przyłgnęliśmy do siebie z taką mocą i gwałtownością, a nawet rozpaczą, jakby zostało nas tylko dwoje na świecie. Teraz wreszcie padły pierwsze słowa.

- Angelo...
- Mój kochany, tak się cieszę.
- I ja jestem szczęśliwy.

Pocałunki mieszały się ze słowami, błędziły po twarzy, czole, oczach, dopóki usta nie spotkały się z ustami.

- Jesteś przy mnie nareszcie, Robercie. Złe były te dni bez ciebie.
- Ale teraz jesteśmy już razem. Zostaję.

– Och, Robercie, na tym ponurym włoskim dworcu tknęła mnie nagle straszna myśl.

– Jaka, mów! – Gładziłem teraz jej twarz, włosy, ręce, ramiona.

– Uświadomiłam sobie, że tylko to może nas rozdzielić, co przychodzi do każdego, przyjdzie więc pewnego dnia i do nas. Ktoś z nas zostanie sam. Pomyślałam, że jeśli mnie spotka taki los, podążę za tobą, gdyż nie umiałabym żyć sama, bez ciebie i bez twojej miłości.

A więc i ona o tym myślała...

– Ale już po wszystkim, teraz jest cudownie. – Roześmiała się. – Jesteśmy razem, Robercie! Znowu w naszym raj! – zmieniała się na moich oczach. Jeszcze parę minut temu smutna, teraz była wolna od trosk, szczęśliwa i wesoła. – Chce ci się jeść? Nie mów nic, na pewno jesteś głodny, bo mnie się też potwornie chce jeść! Rano byłam tak zdenerwowana, że nawet nie wypłam kawy. Pójdziemy najpierw coś zjeść, a potem popędzimy do domu, dobrze?

– Zgadzam się na wszystko.

– Znam tutaj jedną dobrą restaurację w bardzo pięknej miejscowości, wpadniemy tam?

– Jedź, Angelo.

Ruszyliśmy tak gwałtownie, aż zapiszczały opony. Spojrzałem za siebie, za nami białymi kłębami unosił się kurz. Uchyliliśmy okna i odsunęliśmy dach. Siedząc obok i nieustannie chłonąc ją oczyma, czułem dumę, że ta oto kobieta odwzajemniła moją miłość, i byłem wdzięczny losowi, Bogu czy temu komuś, kto odpowiedzialny był za nasze spotkanie. Popatrzyłem na jej dłonie i na to jasne znamię, które było jeszcze jaśniejsze niż poprzednio albo może tylko skóra Angeli zbrązowała od słońca.

– Jedziemy do Eze – oznajmiła.

51.

Aby dostać się do Eze, musieliśmy zjechać z autostrady. Na rozdrożu Angela wybrała środkową drogę, Moyenne Corniche, niestety zakurzoną. Potem znaleźliśmy się na jeszcze węższej i gorszej drodze, stromo podchodzącej w górę. Wieś Eze leżała wysoko, na kopulastym wierzchołku góry. Poniżej wzniesienia, u wejścia do wsi, znajdował się parking. Tu się zatrzymaliśmy i stromą uliczką wspinaliśmy się już pieszo.

Po obu jej stronach wznosiły się skalne ściany. Domy uczezione skał były bardzo stare i jeden podpierał drugi. Wąska uliczka była tak stroma, że często wejście

jednego domu znajdowało się na poziomie najwyższego okna w sąsiedniej chacie. Cała wieś musiała powstać już w średniowieczu.

Wokół parkingu na dole stały sklepiki z pamiątkami i mur, na którym rozwieszono obrazy. Siedzieli tu malarze i czekali na klientów. W domach też pełno było różnych punktów – szewskich, krawieckich i spożywczych, a najczęściej ze sztuką i rękodziełem artystycznym. Kusily oczy stare miedziane dzbanki, madonny, szklanki, snycerka i koronki. Upominki podsuwano gościom również na ulicy. Wszystko tu było bardzo małe, bardzo wąskie i strome, prawdziwie lilipucie miasteczko. Od skał szedł chłód. Tu w górze mieszkało nie więcej niż pięćdziesięciu, najwyżej sześćdziesięciu autochtonów. Turyści znali ów szlak. Uliczka wiała się nieprzerwanie.

Szliśmy ręką w rękę, a ze sklepików uśmiechali się do nas życzliwi ludzie. Nagle uliczka skręciła i stanęliśmy przed dużym budynkiem utrzymanym w tym samym stylu, który zachowała wieś.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała Angela. – Oto „Chèvre d'Or”.

Wnętrze „Złotej Kozy” urządzone ze smakiem cennymi antykami. My jednak, minawszy kilka pomieszczeń wybraliśmy nowoczesną jadalnię. Między nią a tym, co było na zewnątrz, leżały całe stulecia.

Wolny stolik znaleźliśmy przy oknie, zamówienie przyjął szef sali. Usiedliśmy obok siebie, ciągle trzymając się za ręce i oswajaliśmy się z krajobrazem za oknem. Chyba z żadnego miejsca na ziemi nie było takiego widoku na morze. Tak wyglądało Morze Śródziemne. Błękitem dorównywało niebu, a u kresu stapało się z nim i nie wiadomo było, czy to morze czy niebo? Dołem opasywała zatokę druga droga, Mała Corniche. Malutkie były auta i jeszcze mniejsi ludzie, opalający się na plaży wśród skał.

– Prawda, jak tu pięknie?

– Wprost wierzyć się nie chce – odparłem.

– Pokażę ci wszystko, co jest szczególnie piękne. Tak postanowiłam.

Objąłem ją ramieniem i pocałowałem. Gdy wargi jej rozchyliły się, wziąłem ją w ramiona, a ona zarzuciła mi ręce na szyję. Nasze języki dotknęły się, Angela westchnęła cicho.

– Halo, panie Lucas! – usłyszałem kobiecy głos.

Szybko uwolniłem się z objęć i podniosłem oczy. Przed mną stało dwoje ludzi – państwo Dreyerowie z Düsseldorfu. Przyjaciele Karin, zwłaszcza ona, Ilse Dreyer. Była to blondynka, po trzydziestce, smukła, niebrydka, ale na jej twarzy wiecznie gościł cierpki grymas niezadowolenia. Dreyer, znacznie od niej starszy, miał rzadkie włosy i potężny brzuch. Ubrani byli, z przesadną elegancją, w letnie

stroje. Nie lubili mnie nigdy i ja za nimi nie przepadałem.

– Broń Boże, nie chcieliśmy przeszkadzać – pierwsza odezwała się Ilse Dreyer. Mijaliśmy właśnie pański stolik i Franz nagle pana zauważył. Co słyhać, panie Lucas?

Podniosłem się. – Dziękuję – wycodziłem – w porządku.

– To widać – i Dreyer parsknął śmiechem.

Pani Dreyer przyglądała się Angeli, która spokojnie wytrzymywała jej natarczywe spojrzenie. Rozmowa urwała się, nie miałem więc wyboru, bo Dreyerowie nie zamierzali wcale odejść.

– Czy mogę przedstawić... – i wymieniłem bardzo niewyraźnie nazwisko Angeli.

– Jak proszę? – zapytała z uśmiechem Ilse Dreyer.

– Nazywam się Delpierre, madame Dreyer – odparła po niemiecku Angela i to bardzo wyraźnie, odwzajemniając uśmiech. – Angela Delpierre.

– Bardzo mi miło, madame Delpierre.

– Mnie również, madame Dreyer.

– Zna pani pana Lucasa? Nigdy o pani nie opowiadał! – ze słodyczą zawołała Ilse, a jej mąż miał coraz bardziej niewyraźną minę.

– Proszę cię, Ilse – wtrącił się nieśmiało.

– Daj spokój, kochanie. Czy to nie zabawne, panie Lucas, że się tutaj spotykamy? Wie pan, wybraliśmy się właśnie na wycieczkę. Mieszkamy w Juan-les-Pins, mąż wziął tego roku urlop wcześniej i zostaniemy jeszcze czternaście dni, bo tu jest tak pięknie.

– Zgadzam się – Angela dalej się uśmiechała – wyjątkowo pięknie.

– Naprawdę nie chcielibyśmy przeszkadzać. – Dreyer próbował wycofać się, ale jego żona udawała, że tego nie dostrzega.

– Z panem Lucasem doskonale się znamy, a raczej bardziej przyjaźnimy się z jego żoną, szczególnie ja. Czy zna pani żonę pana Lucasa?

– Nie, madame Dreyer – odparła Angela.

Miałem dosyć. – Nie chcielibyśmy państwa zatrzymywać. Miło, że się spotkailiśmy – wyrecytowałem grzecznościową formułkę.

– Czy aby naprawdę, panie Lucas? – Ilse nie miała zamiaru ustępować.

– Ależ zapewniam – starałem się być uprzejmy.

– I mnie było przyjemnie państwa poznać – dodała Angela.

– Zatem do zobaczenia – rzekła Ilse, a jej mąż skłonił się tylko sztywno. Zaczzerwienił się i z wyraźnym zniecierpliwieniem odciągał swoją Ilse do stolika. Nim opuściła salę, wciąż odwracała głowę.

Usiadłem obok Angeli.

– Czy stało się coś złego? – spytała Angela. – Będziesz miał jakieś przykrości?

– Ależ skąd! Powiedziałem przecież żonie, że spotkałem w Cannes kogoś i się zakochałem. Mogę się tylko cieszyć, że ci Dreyerowie nas widzieli. Cóż może się stać? Powinno to tylko skłonić Karin do szybkiego rozwodu.

– Miejmy nadzieję, byłoby cudownie, Robercie. Tak bardzo bym chciała, żebyś mógł zostać moim mężem.

– Tylko tego pragnę.

– Chociaż się nie uda, będę i tak z tobą żyła, zostanę twoją kochanką.

Ucałowałem ją w dłoń.

Kelner wtoczył cały wózek zakąsek. Angela zajęła się wyborem przysmaków, a ja dalej podziwiałem przez okno krajobraz. Niedaleko od restauracji zobaczyłem wielki kaktusowy ogród, w nim zaś ruinę zamku. W rozpalonym słońcu wszystkie kolory były bardzo intensywne i lśniące, a przedmioty ostro i jasno obrysowane.

52.

Na nocnym stoliku przy wielkim łożu Angeli stało małe radio tranzystorowe z wyciągniętą anteną. Byliśmy wreszcie w domu. Chciałem się odświeżyć po podróży, Angela poszła więc do łazienki, aby przygotować mi kąpiel. Ja zostałem w sypialni. Była duża i jasna, a przez jej olbrzymie okno swobodnie przepływało światło.

– Zaraz będzie – oznajmiła po wyjściu z łazienki. Zauważyła, że zainteresowałem się radiem. – Nocą można słuchać Monachium.

– Słuchasz niemieckich stacji? Przytaknęła.

– Każdej nocy, a po północy niemieckich wiadomości.

– Nie wystarczą ci francuskie?

– Nie, odkąd wyjechałeś do Niemiec.

Zaraz po wyjściu z restauracji w Eze zadzwoniłem do Lacrosse'a. Powiedział mi, że pewnie do jutra potrwa 'sprawdzenie donosu i ustalenie, który z siedmiu wskazanych przez szpicla Algierczyków z La Bocea miał coś wspólnego z eksplozją jachtu i śmiercią Hellmanna. Poinformowałem go na wszelki wypadek, że będę u Angeli. W Cannes udałem się najpierw do „Majestica”, gdzie mnie przyjęto jak dobrego przyjaciela. Zamieszkałem w swym dawnym pokoju i zostawiłem wiadomość, gdzie mnie mają szukać. Cała Croisette, którą jechaliśmy, wyglądała teraz jak ogród pełen kwiatów. Było też więcej samochodów i z trudem posuwaliśmy

się do przodu. W domu Angeli na górze panował przyjemny chłód, inaczej niż w nieludzką nagrzanym mieście.

– Często nie mogłam spać, słuchałam wtedy niemieckich wiadomości. Czy łąpałam ich sens, to inna sprawa. Ale sądzę, że tak, tylko że mój mózg już ich nie rejestrował. Słuchając radia, byłam zawsze z tobą, Robercie.

– A ja spałem.

– Możesz już iść się wykąpać – przypomniała. – Zaczekaj, dam ci jeszcze sól, wspaniale odświeża. – Poszła pierwsza i nasypała czegoś do wody, całej w pianie i aromatycznie pachnącej. Nagle przytuliła się do mnie.

– Tylko szybko – szepnęła. – Pośpiesz się, bo czekam na ciebie. Tak długo czekałam... – I wybiegła z łazienki. Rozebrałem się i wszedłem do wanny. Byłem podniecony. Uwinąłem się z kąpielą, jak szybko było można, wyskoczyłem i wysuszyłem wielkim ręcznikiem. Jeszcze w wannie usłyszałem, jak Angela spuszczała w sypialni żaluzje. Wyszedłem z łazienki nagi. W sypialni panował półmrok. Na łóżku leżała Angela, jak i ja zupełnie naga. W przyćmionym świetle jej opalone ciało wydawało się jeszcze ciemniejsze. Miała długie, piękne nogi i uda, wąskie biodra, pełne piersi, z wyraźnymi obwódkami wokół szczytów. Oto przede mną była ta, o której śniłem od wielu dni i nocy, w marzeniach i na jawie.

Oczekiwała mnie z uśmiechem. Posuwałem się wzdłuż jej ciała na posłaniu i zaczęliśmy się dotykać, pieścić i całować. Była już lekko zdyszana, nie panowała nad dłońmi, wplątanych w moje włosy. Skóra jej, gładka, miękka i aksamitna, była jak brzoskwinia. Leżeliśmy ciasno spleceni na wielkim łożu, szepcząc do siebie czułe słowa i prowadząc tę podniecającą grę miłosną między mężczyzną a kobietą przed osiągnięciem upragnionej wspólnoty. Po kwadransie nagle odezwałem się, nie ukrywając wstydu i gniewu: – Przestań, to daremne.

Kiedy wychodziłem z łazienki byłem już gotowy do miłości, a teraz okazało się, że zawiodłem Angelę. Przypominam sobie, że leżałem wtedy na plecach i znalazłem wówczas tylko jedno słowo: – Przebacz.

Przebacz. Przebacz. Przebacz.

Pochyliła się nade mną i całując moje spocone czoło, oczy i usta, uspokajała: – Głuptasie. Co przebaczać? Jesteś po prostu zbyt podniecony.

– Jeszcze mi się to nie zdarzyło, Angelo. Jeszcze nigdy! Nie wiem, co się stało.

– To długa jazda, podróż i ciężka praca. Nerwy, nerwy, nic więcej. – Była nawet wesola, jednym susem wyskoczyła z łóżka. – Też zresztą nie byłam w

najlepszej formie. Od obiadu straszliwie mi się chce pić. Mamy czas, Robercie, mamy tyle czasu, ile zechcemy. Chodź, napijemy się czegoś.

Wybiegła do kuchni. Leżałem jeszcze chwilę i czułem jak ciało moje, choć tak nieposłuszne, płonie z pożądania. Wstałem i w saloniku usiadłem nagi na kanapie. Znalazłem się w nader kłopotliwej i żalosalnej sytuacji. Angela pojawiła się z tacą, na której przyniosła butelkę, szklanki i gliniany dzbanek z kostkami lodu i wodą.

Przygotowywała drinki, jakby nic się nie stało. – Zrobię „Ricarda”, bo najlepiej gasi pragnienie. – Nalała jakiegoś płynu z butelki, uzupełniła wodą z lodem i w kieliszku zabieliło się. Wypiliśmy duszkiem. Angela stała obok, w takt oddechu jej mały brzuch to wznosił się, to opadał, rudym wzgórkim prawie mnie dotykała, ale choć tak bardzo jej pragnąłem, nie mogłem jeszcze nic zrobić. Nie patrzyła na mnie, tylko zrobiła dwa następne drinki i pobiegła po stojący pod telewizorem gramofon, którego wysoki drążek mógł pomieścić dziesięć długogrających płyt.

- Czego posłuchamy?
- Lubisz może Gershwiną?
- Bardzo.

– Będzie więc koncert Gershwiną. – Przyklęknąwszy, zaczęła z półki wybierać płyty i układać je na gramofonie. Obserwowałem ją. Miała piękne plecy, opalone na brąz, o jedwabistej skórze, która lśniła w promieniach słońca wpadających do pokoju. Włączyła gramofon i rozległy się pierwsze akordy „Koncertu fortepianowego”. Podeszła do mnie i usiadła obok na tapczanie. Pałac papierosy, patrzyliśmy na siebie i milczeliśmy, wsłuchani w muzykę genialnego artysty, który przedwcześnie zmarł na raka mózgu. Zupełnie bez związku przypomniała mi się gazeta, którą czytałem w wagonie sypialnym. Po przejrzaniu repertuaru kin i doniesień sportowych zwróciłem uwagę na duży nekrolog jakiegoś dziewięćdziesięciodwuletniego generała w stanie spoczynku. A Gershwin, pomyślałem, dożył zaledwie trzydziestu dziewięciu lat. Jego muzyka wypełniała pokój, na tarasie było pełno kwiatów, siedzieliśmy naprzeciw siebie w zasięgu ręki, a ja nie mogłem kochać się z kobietą, która znaczyła dla mnie więcej, niż ktokolwiek dotąd w życiu.

- Nie wiesz, jak mnie to cieszy – odezwała się Angela.
- Co?
- Teraz, ta sytuacja.
- No wiesz, jak możesz!

Skinęła głową.

– Za bardzo się zakochałeś, gdzieś już o tym słyszałam. Nie możesz mnie mieć, bo za bardzo pragniesz. Chwilowo nie możesz, tylko w tym momencie.

Gdybym była ci obojętna, mógłbyś robić wszystko, dlatego jeszcze bardziej cię kocham.

– Angelo, przysięgam ci, że...

– Pst! – Położyła palec na ustach. – Nic nie mów. Słuchaj, to przecież cudowne.

– Przepiękne.

Znów milczeliśmy. Angela to wyciągała ku mnie rękę, to ją cofała i gdy chwyciłem ją wreszcie, ścisnęła tak mocno, że zabolalo. Muzyka wypełniała przestrzeń, a my paliliśmy papierosy i popijaliśmy ze szklanek alkohol. Koncert dobiegł końca, na płytę opadła następna z najbardziej znanymi utworami, które Gershwin napisał.

Na początek pojawił się wolny i sentymentalny „A foggy day in London Town”, w którym pobrzmiwały dźwięki trąbki. Angela wstała.

– Chodź – pociągnęła mnie. – Zatańczymy.

Podniosłem się, wziąłem ją w ramiona i zaczęliśmy się lekko kołysać w takt wolnej muzyki. Nasze ciała dotykały się nieśmiało, potem bardziej poufale, aż wreszcie przywarły do siebie. Angela tańczyła z ramionami zarzuconymi mi na szyję, z zamkniętymi oczyma i lekko rozchylonymi ustami. Kręciliśmy się rozkołysani po pokoju, a po pierwszym utworze nastąpił drugi: „The man I love”.

– Mężczyzna, którego kocham – to ty – szepnęła mi w ucho Angela.

I nagle stał się cud. Czułem, jak krew przebiega moje ciało, jak stać się gotowy, by kochać Angelę, tak jak to sobie wyobrażałem od wielu dni. Krew tętniła i wzbierała we mnie. Zapragnąłem jej, ale ona powiedziała cicho: – Powoli, Robercie, powoli, bardzo proszę. W tanecznym splocie przesuwaliśmy się z salonu do sypialni, jeszcze w łóżku posłuszni rytmom. Razem osunęliśmy się na nie i oto znowu byłem mężczyzną, młodym mężczyzną, sprzed dwudziestu – dwudziestu pięciu lat. Tym razem nie traciliśmy czasu na przygotowania i zaczęliśmy się natychmiast kochać.

Kiedy w nią gwałtownie wszedłem, Angela, wąska i ciasna jak młoda dziewczyna, wydała okrzyk, który mógł być też rozpaczliwym westchnieniem. Wezbrana krew pulsowała w czaszce, przed oczyma wirowały mi czerwone smugi i nasze ciała poddały się wspólnemu rytmowi. Staliśmy się jednością, jednym ciałem, jedną tęsknotą za miłością i jej potwierdzeniem.

W tym samym czasie osiągnęliśmy szczyt. Nie potrzebowaliśmy słów. Kochaliśmy się oczami, dłońmi, każdym skrawkiem skóry, rozpalonej jednością. Nie spoczęliśmy jednak, słodkie szaleństwo przeciągało się tym razem, trwało dłużej. Paznokciami wpijała się w moje plecy, kasała przedramię i znowu udało nam się wspólnie dotrzeć do końca. Nie jestem już przecież taki młody, ale nie przeżyłem

czegoś podobnego. Trzecie nasze zbliżenie było najdłuższe. W pokoju obok sączyła się „Błękitna rapsodia”, Angela cicho jęknęła z rozkoszy. Trzymałem ją jeszcze w objęciach, a potem leżeliśmy obok siebie, zapatrzeni w sufit, a muzyka Gershwina wciąż wypełniała pokój. Angela zapaliła papierosa i podała go mnie, a później wzięła drugiego dla siebie. Wciąż leżeliśmy, trzymając się za ręce i w milczeniu słuchając płyt.

Nawet nie wiem, kiedy odezwał się dzwonek u drzwi. Narzuciła szlafroczek i wybiegła z sypialni, potem z kimś rozmawiała, a jak wróciła, w ramionach trzymała bukiet róż. Dzisiaj była przecież sobota, a ja poleciłem kwiaciarni „Floreal”, by w każdą sobotę o tej samej porze posyłało Angeli trzydzieści róż, gdyż to właśnie w ten dzień się poznaliśmy.

53.

Na początku tej relacji napisałem, że ma ona być dla Angeli czymś w rodzaju ubezpieczenia na życie i że muszę doprowadzić, jeśli Bóg dopomoże, moje opowiadanie do końca. Czy będę umiał? Dla niej potrafię przecież góry przenosić, chodzi tylko o czas, który mi pozostał.

Oto zostawiam tu na papierze ślad po tym, co przeżyłem. Opisuję wszystko dokładnie i prawdziwie, tylko jednego nie powiem: nie zdradzę tajemnicy naszych cudownych uniesień. To nasz sekret, który powinien nim zostać. Uważałbym się za zdrajcę, gdybym ujawnił wszystkie nasze intymne sprawy, gdybym napisał, co robiliśmy tego dnia, tej nocy i potem już zawsze. Powiem tylko: umiała kochać.

Nie przeczuwałem, że w kobiecie może być tyle oddania. Była cudem. Moim cudem. Cudem i szczęściem, i miłością, i spełnieniem mego życia.

54.

Gramofon po raz trzeci odtwarzał ostatnią płytę. Podniosłem się z łóżka.

– Dokąd?

– Zaraz wracam.

Poszedłem do łazienki i z marynarki wyciągnąłem brylantowe kolczyki, które kiedyś kupiłem Angeli, a ona po ostatniej kłótni mi je oddała. Wróciłem z nimi do łóżka, na którym leżała uśmiechnięta i odprężona. Zauważyła, co trzymam w ręce,

spojrzałem więc na nią pytająco, a ona skinęła tylko głową. Gdy jej podałem kolczyki, wpięła je zaraz do uszu. Nawet wtedy, gdy się później razem kąpaliśmy ich nie zdjęła, a w śnieżnej pianie wyglądała jak w wieczorowej sukni. Wskoczyła potem we frotowy szlafrok, ja w piżamę, wzięliśmy z lodu butelkę szampana i przenieśliśmy się na taras. Z huśtawki widać było morze i miasto, sączyliśmy szampana i palili papierosy. Nadszedł wieczór. Z każdą minutą zmieniały się teraz kolory nieba, szmerem znaczyły swą trasę potężne odrzutowce, które startowały w Nicei lub do niej zmierzały i na niebo koloru wody wypłynęły pierwsze gwiazdy.

– Jesteś dla mnie wszystkim – powiedziałem żarliwie.

– I ty jesteś dla mnie całym światem – i rozchyliła ustami moją dłoń, migocząc brylantami. Długo nie zamieniliśmy słowa, wystarczyła nam bliskość ciał, dotyk spojrzeń i pocałunki, bardzo tkliwe w tej wieczornej godzinie. Zaczęło się ściemniać.

– Zaczynam być głodna – oznajmiła nagle. – Chodź, kochanie. I jak dzieci pobiegliśmy do kuchni, gdzie znowu po długiej nieobecności przysiadłem na taborecie i podglądałem Angelę, jak krzątała się przygotowując steki i sałatę. Nie byłem w stanie oderwać od niej oczu. Wszystko, o czym kiedyś marzyłem i o co modliłem się, teraz spełniło się i było na wyciągnięcie ręki.

– Pora na wiadomości – przypomniała i włączyła w kuchni i w salonie telewizory. Wróciła i skierowała się do stołu pod oknem, by zająć się sałatą. Przecho-dząc obok, nieoczekiwanie pociągnęła mnie w stronę sypialni, zrzuciła szlafrok, zdarła ze mnie piżamę i jak szalona szeptała:

– Chodź... chodź... teraz...

Płonąc pożądaniem, kochaliśmy się jeszcze raz, a kiedy zaspokoiłiśmy zmysły, znieruchomieliśmy, zupełnie wyczerpani. – Chyba zwariowałam – odezwała się po chwili.

– Kochana, jestem dzięki tobie mężczyzną najszczęśliwszym na świecie.

– A ja najszczęśliwszą kobietą – i ledwie to wymówiła, zawołała: – O Boże, steki!

Steki się oczywiście przypaliły. W salonie szybko nakryliśmy stół i zasiedliśmy do kolacji, na którą złożyły się sałata, różne gatunki wędlin, *bâtard*, czyli długi biały chleb, oraz Rose do popicia. Przegapiliśmy dziennik telewizyjny. Duży telewizor był włączony, ale bez fonii.

Po kolacji, kiedy pomagałem sprzątać ze stołu, Angela zauważyła, że nie zaszkodziłoby sięgnąć po jeszcze jedną butelkę szampana. Wolno popijając alkohol, opowiadałem jej o pracy, ona zaś mówiła o Cannes, o tym, że wprawdzie śmierć Hellmanna i morderstwo Kilwooda stały się tematem dnia i w Cannes roilo się od adwokatów, zagranicznych policjantów oraz wysokich urzędników ministerialnych, to jednak starano się wszelkimi środkami sprawę wyciszyć. Wszyscy ci, których poznałem w domu Trabaudów, byli jeszcze na miejscu. Słyszała, że z osobna lub razem spotykali się często z generalnym pełnomocnikiem Seeborgiem. Angela otrzymała nowe zamówienia. Przeszliśmy do atelier, gdzie z dumą mi pokazała, jak pracowita była podczas mej nieobecności.

Gdy znowu znaleźliśmy się w salonie, zmieniła nagle ton: – Chcę ci coś powiedzieć, Robercie, jeszcze dzisiaj, zwłaszcza dzisiaj.

- Tak, słucham, kochanie.
- Należę do ciebie, a ty do mnie, więc masz prawo wiedzieć, jakie życie prowadziłam.
- Daj spokój!
- Właśnie, że nie. W moim życiu byli oczywiście inni mężczyźni.
- Proszę cię, Angelo!
- Pozwól mi mówić. Daleko im do ciebie, wiem to nie od dzisiaj, wiedziałam już wtedy, gdy się u mnie pierwszy raz pojawiłeś.
- W źle skrojonym garniturze, zmęczony i upokorzony, nade wszystko upokorzony.
- Zgoda, Robercie, tak było, ale wiedziałam od razu: to jest mężczyzna, którego pokocham naprawdę. I dlatego nie chcę mieć przed tobą tajemnic, żadnych sekretów po tym naszym... naszym popołudniu. Tłumu mężczyzn nie było, uważam się raczej za osobę rozważną, choć bynajmniej nie jakąś mniszkę. Wszystko ci opowiem.
- Nie – sprzeciwiłem się. – Nic nie mów, nie interesuje mnie twoja przeszłość i nic nie chcę o niej wiedzieć. Nie przeczuwaliśmy nawet, że się kiedyś poznamy. Co było wcześniej, po prostu się nie liczy, zapomnij o tym.

Obserwowała mnie w milczeniu, jej wargi drżały.

– Ach, Robercie – zaczęła niepewnie. – Robercie... Nigdy, nigdy nie myślałam, że potrafię tak mocno kochać.

– Ja również...

– To ty mnie nauczyłeś miłości. – Usiadła mi na kolanach i dłonią gładziła teraz moją twarz i włosy.

– Jakbyś mówiła moimi słowami.

– Nic nas już nie rozdzieli.

– Nic a nic, Angelo.

– Tylko... tylko to jedno... – urwała.

Oto więc znów pojawiła się śmierć, o której już dzisiaj myśleliśmy, oto znów była między nami.

– Nie mów – poprosiłem.

Ale nie milczała.

– Jeśli... jeśli ktoś z nas będzie musiał odejść, to ten drugi wnet pójdzie jego śladem, prawda? Nie potrafimy już bez siebie żyć, czy nie tak, Robercie?

– Tak, Angelo, to prawda.

Podniosła się i sięgnęła po książkę. Na początku tej opowieści napisałem, że zapomniałem, kto był jej autorem, wiedziałem tylko, że jakiś amerykański poeta. – Mam tutaj niemiecki przekład wierszy – wróciła do przerwanej rozmowy. – Polubiłam jeden utwór, do którego w ostatnich dniach stale wracałam. – Usiadła na kanapie, nałożyła okulary i naga, tylko w tych okularach i brylantowych kolczykach, czytała powoli: „Od nadziei, lęku wolni i życia dzikich żądź, ktokolwiek twoim bogiem, dziś z boskością w zgodzie bądź. Każdego życia kres – nie ma umarłych powrotu, znużony rzeki bieg dotrze do morza portu.”

Zdjęła okulary i odłożyła książkę.

– Jak mogłaś coś takiego wybrać, Angelo – zachnąłem się.

– Dlaczego?

– Bez obaw, najdroższy. Bo teraz chcę żyć, naprawdę żyć!

Dlatego myślę również o... o ostateczności. Wiersz mi się bardzo podoba, jest w nim tyle pociechy i spokoju, Robercie. Jeśli Bóg pozwoli, pragnę cię jeszcze lepiej kochać... zawsze.

Zobaczyłem na zegarku, że było już wpół do pierwszej. Przegapiliśmy w telewizji ostatnie wiadomości. W otchłani pod nami, na wodzie i lądzie, znów tysiącami migotały i iskrzyły się różnokolorowe i białe światła. Tyle światła.

Było w pól do pierwszej – ale nie poszliśmy spać, tylko nadal słuchaliśmy płyt, ciągle paląc i pijąc. Angela postawiła na stole dwa trójramienne lichtarze i wyłączyła elektryczne światło. Siedzieliśmy teraz przytuleni w blasku świec, a z głośników sączyła się muzyka. Świece od czasu do czasu skwierczały cicho, rzucając na ściany dziwaczne cienie.

Nawet nie zauważyłem, że Angela zasnęła na moim ramieniu, tak spokojnie oddychała. Pozwoliłem jej spać, wsłuchując się to w jej oddech, to w muzykę Rachmaninowa i trochę się modląc. Może po godzinie obudziła się.

– Nie zbudziłeś mnie! – zawołała z wyrzutem.

– A nie. Wpatrywałem się w twoją twarz, jest tak piękna. A we śnie jeszcze piękniejsza. Nie chciałbym bluźnić, Angelo, ale masz twarz Madonny. Muszę cię kiedyś sfotografować, żebyś zobaczyła, ile w tobie piękna i ile spokoju, gdy śpisz.

I to była prawda: nie pamiętam, bym kiedykolwiek widział tak spokojną i łagodną twarz.

– Nie pozwól mi spać – poprosiła. – Musisz mnie obudzić, obiecaj.

– Obiecuję. A jeśli się zdarzy, że zasnę, obudz mnie ty.

– Dobrze!

– Nie powinniśmy dużo spać. We śnie nie słyszymy się nawzajem, nie widzimy i nie czujemy siebie.

– Ano nie. Powinniśmy naprawdę sypiać tylko trochę – zgodziła się Angela.

– Sen jest jak śmierć – powiedziałem. (Śmierć – znów ona! Cóż to był za znak?) – Ludzie obchodzą się tak z czasem, jakby mieli przed sobą życie wieczne. – Lewa noga zaczęła mnie lekko boleć. – A przecież – dodałem – nikt nie wie, ile mu czasu jeszcze zostało – rok, pięć lat, minuta.

– Tak, Robercie, tak... Robercie?

– Słucham cię, najdroższa.

– Chodź do łóżka, tak bardzo cię pragnę.

Przenieśliśmy się więc na łóżko i raz jeszcze połączyli nasze ciała i dusze. Po tem był papieros i rozmowa.

Angela mówiła z coraz większym trudem. Wstałem i odsunąłem szklaną ścianę, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, po czym wróciłem do niej.

– Weź mnie w ramiona – poprosiła. – Zaśnijmy najbliżej siebie, dobrze? – Ledwie ją rozumiałem, płątały jej się słowa.

Objąłem ją i tak zasnęła, z tajemniczym uśmiechem na delikatnej twarzy, naga jak ja i przytulona do mnie. Czuwałem, zapatrzony w jej twarz i ogarnęło mnie wielkie wzruszenie. Ostrożnie cofnąłem swe ramię, wsparłem się na łokciu i zapaliłem jeszcze jednego papierosa, zbyt rozbudzony, aby zasnąć. Między morzem a miastem biegły tory kolejowe i całą noc, również teraz, słyszałem toczące się pociągi. Było już widno. W szczelinie uchylonego okna widziałem budzące się w dole miasto i morze, w zmieniających się z każdą minutą kolorach. Potem znów wpatrywałem się długo w twarz Angeli. Była naprawdę podobna do Madonny.

W dole, nad krawędzią morza, sunęły pociągi.

57.

Kiedy się podniosłem i przeszedłem do łazienki, Angela spała mocno. Ubrałem się, napisałem na karteczce: „Wrócę o dziesiątej. Kocham Cię – Robert” i zostawiłem ją na nocnym stoliku, obok radia. Zamówiłem przez telefon taksówkę i kazałem się zawieść do „Majestica”. Portier, przekazując mi klucze do pokoju, uśmiechnął się życzliwie i bez śladu przygany, że spędziłem noc poza hotelem. Szczęśliwa, cudowna Francja. Nie było dla mnie żadnych wiadomości.

Pojechałem do siebie na górę. Wykapany i ogolony, założyłem znów swe jasne mokasyny, białe spodnie i niebieską koszulę, kupione kiedyś – teraz wydawało mi się, że całe wieki temu – przez Angelę. Zamówiłem herbatę, zjadłem śniadanie i zacząłem do dziewiątej. Wówczas wyszedłem z hotelu i skierowałem się najpierw do sklepu jubilerskiego firmy Van Cleef & Arpéis, gdzie czekał już na mnie monsieur Quémard z pracownikiem. Zadzwoiłem do niego wcześniej i spytałem, czy dzisiaj, w niedzielę, mógłby zrobić wyjątek i umówić się ze mną. Natychmiast się zgodził, a teraz z namaszczeniem otwierał szklane drzwi. Ucieszył się szczerze z ponownego spotkania. Wziąłem ze sobą pieniądze i powiedziałem mu, że chciałbym kupić ślubną obrączkę.

- Ślubną, monsieur Lucas?
- Tak, dlaczego pan pyta?
- Mamy także zaręczynowe obrączki. We Francji, jeśli kogoś na to stać, daje się na zaręczyny obrączkę z diamentami. Obrączki ślubne natomiast...

– Chodzi mi o obrączkę ślubną, a nie zaręczynową – uciąłem dyskusję.
– Rozumiem, monsieur. – Skinął głową i z promiennym uśmiechem kazał przynieść całą kolekcję na tacy, wyściełanej niebieskim aksamitem.

– Jak duża ma być obrączka? – spytał.

– O, taka – to mówiąc wyciągnąłem z kieszeni pierścioneł Angeli, który zabrałem z nocnego stolika. Quémard zmierzył go i oznajmił, że akurat ma te wielkości na składzie. Najbardziej spodobała mi się obrączka wysadzona skośnie samymi brylantami za dwadzieścia tysięcy franków.

Quémard osobiście ją zapakował, potem przywołał taksówkę, którą wróciłem do Residence Cléopâtre. Wziąłem klucze od mieszkania na wypadek, gdyby Angela jeszcze spała, ale ona siedziała już na tarasie, pijąc czarną kawę z bardzo dużej filiżanki.

– Robercie! – Podskoczyła. – Gdzie byłeś? Tak się niepokoiłam.

– Zostawiłem ci przecież karteczkę.

– Mimo to się niepokoiłam, gdy się tylko obudziłam i nie zastałam cię koło siebie. Nie od razu znalazłam kartkę. Gdzie byłeś?

– Zamknij oczy.

Posłuchała. Wyjąłem obrączkę z etui.

– Podaj mi lewą dłoń.

Wyciągnęła rękę i wsunąłem jej obrączkę na palec.

– Czy mogę już spojrzeć?

– Tak.

Otworzyła oczy i wzrok jej znieruchomiał nad obrączką, której kamienie migotały tęczę.

– Robercie... – szepnęła.

– To szaleństwo z mojej strony, wiem – odparłem. – Jestem jeszcze żonaty i daję ci ślubną obrączkę. Pomyśl jednak, że dla mnie jesteś kobietą, którą poślubię, jesteś moją żoną, i wtedy wygląda to już zupełnie inaczej.

– A ty moim mężem – dopowiedziała Angela. – Dziękuję ci, Robercie, z całego serca dziękuję. Ta obrączka... przypieczętuje wszystko, prawda?

– Tak, wszystko.

W saloniku odezwał się telefon.

Samotna wieża w środku betonowego placu, wąska i bardzo wysoka, wyglądała jak pionowy fragment olbrzymiego dźwigu. Na górze, wokół malutkiej kabiny, umocowano potężne reflektory, które nocą doskonale penetrowały tereny dworca towarowego. Z okna kabiny jakiś policjant wysunął błyskawicznie lufę karabinu i zadudniła salwa. Kule trafiały w zamknięte okno na pierwszym piętrze, ostrzeliwany dom stał naprzeciwko dworca w ponurej ulicy. Były tam tylko dwa domy, różowy i zielonkawy, i parę zakurzonych palm. Z obu budynków odpadł tynk, oba były jednopiętrowe i zrujnowane.

Za zamkniętym oknem ktoś się poruszył i natychmiast odpowiedziano na atak policjanta. W kącie okna, znajdującego się obok tego z potłuczonymi szybami, dostrzegłem błysk pistoletu maszynowego. Było otwarte, a strzelec niewidoczny. Celował nie tylko w policjanta na wieży, ale ostrzeliwał cały dworzec, tory i wagony, za którymi przykucnęli policjanci uzbrojeni w pistolety maszynowe. Żeby się do nich dostać, skakałem jak zając od jednego wagonu towarowego do drugiego, kule tylko gwizdały nade mną, a ten mężczyzna z pierwszego piętra był albo oszalałym zbrodniarzem, albo zbrodniczym szaleńcem.

Całą dzielnicę policja odcięła wozami patrolowymi. Za blokadą tłoczył się tłum ciekawskich, a wśród nich rybacy, starsi mężczyźni, dzieci, kobiety z siatkami, słowem, biedni ludzie z biednej dzielnicy. Przez blokadę przepuszczono mnie dopiero wtedy, gdy wysokiemu oficerowi policji podałem nazwisko i zazaczyłem, że Louis Lacrosse prosił mnie telefonicznie, bym tu przyszedł. Oficer rozpoznał mnie i wskazał ręką na tor z wagonem frachtowym, za którym ukrywał się Lacrosse. Biegając miałem duszę na ramieniu, ale nie przystawałem, a policjanci zza wagonów towarowych i magazynów oraz strzelec z wieży dawali mi osłonę, ostrzeliwując mieszkanie owego mężczyzny przy avenue Pierre Semard. Policjanci byli wszędzie. Na rozległym, smutnym dworcu aż roiło się od nich, stali też pod ścianą domu, do którego z pewnością już wtargnęli inni policjanci. Wszyscy mieli ciężką broń i stalowe hełmy. Od avenue Francis Tonner na północy ta ponura avenue Pierre Semard kieruje się prawie prosto na południe, w stronę boulevard de Midi, za którym jest już morze. Avenue Pierre Semard ma tylko kilka domów po wschodniej stronie, z lewej jest otwarta i tam właśnie leży wielki dworzec towarowy w gmatwaninie torów i magazynów. Z zapamiętanych dworców towarowych ten właśnie jest najbrzydszy i robi najbardziej przygnębiające wrażenie.

Za nim rozciąga się równoległe boulevard de Midi, skąd do morza jest już tylko ze sto metrów. W tej okolicy wszystko było brzydkie, nawet przykurzone czubki palm.

Dopałem wreszcie wagonu, który wskazał mi oficer, i dopiero wtedy dostrzegłem małego Louisa Lacrosse'a, jak zawsze w cywilu, również uzbrojonego w pistolet maszynowy.

– Dzień dobry – rzucił na powitanie. – I głos jego i postawa zdziwiły mnie. Nie był to już zastrachany, skulony urzędnik, ale stanowczy i energiczny człowiek. – Jest pan bez broni?

– Tak.

– Idioci! Dlaczego nic panu nie dali? To nie zabawa w Indian.

Cały czas, gdyśmy rozmawiali, słychać było strzały, brzęk tłuczonego szkła, pokrzykiwania ludzi.

– Co tu się dzieje? – spytałem.

– Powiedziałem przecież panu przez telefon, że nie wiem jeszcze, kto jest tym podejrzanym Algierczykiem. Zastosowaliśmy wszelkie środki ostrożności. Ostrożnie, do diabła! – Splunął na ziemię. Ubranie na nim było równie brudne jak moje spodnie. Pociiliśmy się obaj, bo słońce paliło bezlitośnie. – O ósmej urzędnicy z wydziału kryminalnego centralnego komisariatu z nakazami rewizji ruszyli do akcji, aby nakryć w mieszkaniach tych Algierczyków. Dwóch ludzi zadzwoniło do drzwi na pierwszym piętrze. Algierczyka – nazywa się Argouad – zastali w domu, ale nie chciał otworzyć, więc nastraszyli go, że są z policji i wtedy się zaczęło. Chyba mu całkiem odbiło, tak wrzeszczał i przeklinał.

– Powiedział coś?

– Że żadnemu słowu nie wierzy, że wcale nie są policjantami i nie da się tak po prostu rozwalić. Potem strzelił swoim empi przez drzwi, trafiając jednego policjanta w brzuch. Zastraniec. – Lacrosse znowu splunął. Musiał coś zobaczyć w oknach pierwszego piętra, gdyż poderwał swój pistolet maszynowy i wycelował. – Pudło – stwierdził samokrytycznie.

– A co z urzędnikiem?

– Szpital. Natychmiast operacja.

– Wyjdzie?

– Miejmy nadzieję. Jeszcze go operują. W każdym razie zaraz ogłoszono alarm. Wszystko, co można było postawić na nogi, ściągnięto tutaj. Roussel jest także, ale za wagonową chłodnią, nie zobaczy go pan.

Zobaczyć go nie mogłem, ale po chwili przez megafon rozległ się jego głos: – Uwaga Argouad, uwaga! Dość tego! Dom otoczony! Nigdy stąd nie wyjdiesz! W klatce schodowej pełno policjantów, aż do samych drzwi! Jednego człowieka masz już na sumieniu, chcesz więcej? Wyrzuć z okna empi i wyjdź z mieszkania, z rękami nad głową!

Głos rozchodził się daleko poza rozgrzany słońcem dworzec. Odpowiedzią na wezwanie Roussela była nowa seria ogniowa z drugiego okna.

Dostrzegłem u Lacrosse'a przenośny aparat radiotelefoniczny z wyciągniętą anteną. Trzymał mikrofon przy ustach i mówił:

- Letouche na wieży, słyszy mnie pan?
- Słyszę – przyszła do aparatu odpowiedź.
- Teraz gaz łzawiący. W okno.
- Tak jest.

Oparłem się ręką o szynę, ale szybko ją cofnąłem, tak rozpalone było żelazo. Pot strumieniami spływał teraz nam na twarz, koszule lepiły się do ciała. Z wieży rozległy się trzy serie, ale o wiele cichsze od tych z karabinu. Z rozbitych okien zaczął nagle wypływać biały, gęsty dym. Zrobiło się naraz upiornie cicho. Minęła minuta, potem druga. Z aparatu radiotelefonicznego Lacrosse'a rozległ się po chwili inny głos: – Poddał się, komisarzu.

- Bądźcie ostrożni – to mówił Roussel. – Nie zabijajcie go. Będzie jeszcze potrzebny. Jeśli strzeli, oddajcie strzał, ale nie zabijajcie go.

- Zrozumiano, szefie. – Piętnaście sekund ciszy. – Otwiera drzwi. – Dziesięć sekund ciszy. – Wychodzi z rękami nad głową. Mamy go, szefie, mamy!

- Idziemy – zdecydował Lacrosse i już biegł przede mną przez tory w stronę avenue Pierre Semard. Potknąłem się o jakiś podkład, upadłem, skaleczyłem rękę, ale poderwałem się i na oślep pędziłem dalej za nim. Z trudem przedzieraliśmy się przez gęstą cizbę gapiów i w pewnym momencie uznałem za cud, że nie boli mnie stopa. Przy blokadzie policjanci przepuścili nas. Przy bramie domu spostrzegłem uzbrojonego Roussela, który dotarł tu od innej strony. Skinął mi głową. Z bramy wyszło trzech policjantów z bronią gotową do strzału. Potem, z rękami skrępowanymi na plecach, pokazał się ów człowiek, w spodniach i wyłożonej na nie koszuli. Miał wyniszczoną, ciemną twarz, wąsy i czarne włosy i zachowywał się jak szalenciec. Dwaj policjanci nie tyle prowadzili go, co wlekli.

- Dajcie mi żyć! Dajcie żyć! Nie zabijajcie mnie, dranie! – krzyczał Argouad, zataczając się jak ślepiec. Z jego zaczerwienionych oczu strumieniami spływały łzy, krzyżąc kaszlał i dusił się. Gaz łzawiący chyba spełnił swoje zadanie. Prowadzący go mężczyźni wepchnęli go do wozu policyjnego, a za nim wsiadł Roussel. Kierowca ruszył na sygnale, na nic się nie oglądając. Prerażeni ludzie cofnęli się z drogi. – Po drugiej stronie jest mój wóz – rzucił szybko Lacrosse.

Pobiegłem za nim ledwie dysząc. Było nieludzko gorąco tego dnia.

Dwie godziny później.

Byliśmy w pokoju przesłuchań centralnego komisariatu – Roussel, Lacrosse, dwóch oficerów policji, ja i Argouad, który siedział na krześle na środku pokoju. Lekarz dał mu zastrzyk uspokajający i opatrzył oczy i gardło. Potem kazano mu przez godzinę leżeć w celi, póki lekarz nie zdecydował, że może być przesłuchiwany. Próbowałem w tym czasie porozumieć się z Kesslerem w „Carltonie”, ale nie było go w hotelu i nie zostawił żadnej wiadomości, gdzie go szukać. Poleciałem, żeby natychmiast, kiedy się pojawi, porozumiał się z centralnym komisariatem.

Przesłuchanie prowadzili na zmianę Roussel, Lacrosse i dwaj urzędnicy policji. Argouad, zasypywany pytaniami, nie miał chwili wytchnienia. Bosa, w koszuli tylko i spodniach, nie panował nad mimiką twarzy i tylko raz po raz powtarzał po francusku z obcym akcentem: – Nie wierzyłem, że to policjanci przyszli do mnie dzisiaj, dlatego strzeliłem.

- A powód?
- Żeby sam nie został zastrzelony.
- Przez kogo?
- Przez nich!
- Co za „nich”?

Drżał teraz na całym ciele i pocił się, jak my wszyscy, choć w pokoju kręcił się wielki wentylator. Milczał, tylko z zaczerwienionych oczu spływały po policzkach łzy.

- Odpowiadaj, łajdaku! – zawołał Roussel.
- Ja... ja nie mogę... – łkał Algierczyk o imieniu Jussuf, jak się zdążyłem dowiedzieć. Jussuf Argouad, lat trzydzieści pięć, magazynier, nieżonaty.
- Nie chcesz!
- Nie, nie, nie! Nie mogę!

Pytania i odpowiedzi padały szybko, jak strzały tam na dworcu. Nie dawano mu chwili do namysłu ani nie znano litości.

- Dlaczego nie możesz? – to Lacrosse.
- Strach... strach... Zabijają mnie, gdy powiem. Jak nic zabijają... Nie potrafię spać ani jeść, od kiedy ten jacht wyleciał w powietrze, a potem zamordowano tego Amerykanina. Powiedzieli mi, że mówił o jakimś Algierczyku z La Bocea, od którego wszystko się zaczęło.

- Kto ci powiedział?
- Nic więcej nie wiem. Ktoś w bistro.

- Kłamiesz!
- Nie! Naprawdę nic więcej nie wiem...
- Jasne, że wiesz!
- Teraz żyję ciągle w śmiertelnym strachu... Wiedziałem, że przyjdą, żeby mnie zabić... Muszą mnie sprzątnąć... muszą to po prostu zrobić, skurwysyny... No i wysiadły mi nerwy.
- Dlaczego muszą? – spytał Lacrosse. Chwyciwszy Argouada za podbródek, cedził mu słowa prosto w twarz. – Dlaczego, Jussuf? Dlaczego muszą cię zabić? Odpowiadaj, chłopie...
- Bo się boją, że puszczę farbą, a ja nie pisnąłbym słowa, daję głowę.
- Ale teraz powiesz, nawet gdyby to miały być twoje ostatnie słowa – rzekł Roussel. – Jesteś załatwiony, tak czy owak. Jeśli człowiek, któremu przestreliliś brzuch, umrze, możesz się już tylko modlić, ale nawet modlitwa ci nie pomoże. Nie zazdroścę ci.
- Nie chciałem przecież... Nie wiedziałem... On nie może umrzeć – zawołał z rozpaczą. – Nie chciałem tego!
- Nie chciałeś! Ale strzeliłeś.
- Jeśli nie powiem nic, dostanę za tego postrzelonego człowieka najwyższy wymiar kary – Argouad uspokoił się nagle i ucichł. – Powiem coś, to mnie zabiją.
- Póki będziesz w więzieniu, nikt cię nie zabije – zapewnił Roussel.
- Oni na pewno! Dopadną wszędzie, bo wszędzie mają ludzi i wszystko mogą. Nie ma dla nich rzeczy niemożliwych.
- Jeśli nam zaraz wszystko powiesz, to obiecuję, że będziesz dzień i noc pilnowany w celi, ani na moment nie spuścimy cię z oczu. Ale jak zbyt długo będziesz się wahać, zamkniemy cię i zostawimy na pastwę losu, a o wypadek wtedy rzeczywiście nietrudno. Ostatecznie jest tu sporo więźniów, jeden może mieć pilnik, a dwóch stryczek. Wystarczy, że zaśniesz albo pójdziesz sikać...
- Niech pan przestanie! – krzyknął Algierczyk. – Niech pan przestanie! Proszę...
- To już brzmi lepiej – odparł Roussel i pochylił się nad nim nisko. – Jeśli natychmiast nie zaczniesz mówić, zamkniemy cię i będziesz zdychał jak pies. Kapujesz?
- Algierczyk skinął głową.
- No więc?
- Będę mówił – zdecydował się wreszcie Jussuf Argouad.

W pokoju śledczym na biurku obracały się szpule magnetofonu. Kaszląc nieustannie i dławiąc się Argouad składał zeznanie: – Pewnego dnia ktoś do mnie przyszedł... Nigdy go przedtem nie widziałem... Znał mnie, wiedział, że pracuję na dworcu jako magazynier i że w jednym magazynie przechowywany jest dynamit... do wysadzania w górach, mnóstwo dynamitu. Powiedział, że muszę go w ten dynamit zaopatrzyć i wtedy dostanę za to pieniądze, dużo pieniędzy.

– I ukradłeś? – upewnił się Roussel.

– Tyle dawali pieniędzy, a ja jestem biedny i chciałem wreszcie wyrwać się z tej brudnej roboty na dworcu. Tyle pieniędzy.

– Ile?

– Sto tysięcy nowych franków. Tyle mi obiecano, jeśli zorganizuję im dynamit, więc go podwędziłem, nie było to łatwe, bo wszystkie skrzynie były pod zamknięciem i rejestrowane. Potrzebny mi był kumpel. Już go nie ma, dawno zniknął. Gdzie się zadekował, nie wiem. Dałem mu dwadzieścia tysięcy, kiedy już mieliśmy tę skrzynię.

– Dobrze. Ukradłeś więc jedną skrzynię?

– Z kumplem.

– I podałeś dalej.

– Tak.

– Kiedy?

– Piątego maja, w piątek, akurat wypłacono mi tygodniówkę, stąd pamiętam.

– A kiedy cię pierwszy raz zaczepili?

– Dwa dni przedtem, trzeciego maja. Czy na pewno będą mnie pilnować w celi?

– Na pewno, jeśli powiesz, co dalej. Inaczej nie.

– Mówię przecież... Mówię przecież...

– Wiesz chyba, na co temu facetowi potrzebny był dynamit?

– Nie wiem.

– Jussuf, nie z nami te numery, zrozumiano? – do rozmowy włączył się Lacrosse. Zmienił się bardzo, w jego głosie pobrzmiwała groźba. – Jacht Hellmanna wyleciał w powietrze, sam to przecież powiedziałeś. Ekspłodował ładunek wybuchowy. To był twój dynamit!

– Nie... nie...

– Nie zaprzeczaj, bo wiesz, że to był twój dynamit! W piekielnej maszynie! Ta bomba to twoja robota?

– Nie!
– Części do niej?
– Nie! Nie!
– Zmajstrowano bombkę na medal – zrobiłeś to ty?
– Nie! Przysięgam, dostarczyłem tylko dynamitu!
– Ty i przysięga!
– To prawda, dlaczego teraz miałbym kłamać?
– Bo łajdak z ciebie i lump, złodziej i przestępca, który ma portki pełne strachu.

– No właśnie, i dlatego, że się boję, że was potrzebuję, chciałbym powiedzieć wszystko i mówić przecież, panie komisarzu.

– Już dobrze. Przekazałeś tylko dynamit.
– Tylko, przy...
– Zamknij się. Dostałeś pieniądze.
– Tak, dostałem.
– A więc ktoś inny musiał tę piekielną maszynę zbudować.
– Tak.
– A teraz powiedz nam, jak nazywa się facet, który kupił od ciebie dynamit.
– Nie wiem.
– Oczywiście, nie wiesz.
– Naprawdę! Co pan sobie wyobraża? Miał mi jeszcze powiedzieć, jak się nazywa?

Zadzwonił telefon. Odebrał go Lacrosse. Rozmawiał krótko i odłożył zaraz słuchawkę. Na twarzy jego znać było ulgę.

– Szpital – poinformował. – Już po operacji. Jeśli nie nastąpią komplikacje, wygrzebie się z tego.

Argouad upadł na kolana.

– Niech będą dzięki Allachowi, niech będą dzięki! – krzyczał.
– Kończ z tym! – Lacrosse szarpnął go i posadził znów na krześle. – I daruj sobie ten teatr. Masz, łachudro, więcej szczęścia niż rozumu!
– Żyje., żyje... – ciągle mamrotał. – Nie jestem mordercą, nie zabiłem go...
– Przystaniesz czy nie? Jeszcze mamy coś sobie do powiedzenia. Jeśli już nie wiesz, jak się ten facet nazywał, to może powiesz, jak wyglądał?
– To nie był mężczyzna – wyjąkał roztrzęsiony Algierczyk.
– Co? – Roussel aż zaniemówił ze zdziwienia.
– Nie było mężczyzny. To była kobieta.
– Kobieta?
– Tak! Tak! Kobieta!
– I naturalnie nie wiesz, jak się nazywa.
– A nie.

- To ją opisz. Jazda! Szybko!
- Będzie trudno – zastanowił się Argouad. – Zawsze spotykaliśmy się w nocy. Nie była stąd, to pewne.
- Nie stąd? Jak do tego doszedłeś?
- Jej francuski, miała obcy akcent i zaraz się zorientowałem, że to nie Francuzka.
- Skąd więc mogła być?
- Z Włoch. Mam tam przyjaciół, tak samo gadają. Mediolan może albo Genua. I... i... ten jej wygląd... To bardzo wysoka i silna baba, ja przy niej to chuchro... Mówię prawdę. Świętą prawdę! Była silna i krzepka jak jaki chłop – przy tym...
- A przy tym co? – szepnął Roussel.
- Przy tym... To takie dziwne... Zawsze mi się kojarzyła z matką, jak z nią rozmawiałem...
- Dlaczego z matką?
- No bo.. Ta kobieta przypominała mi matkę, nie moją, ale tak ogólnie było w niej coś macierzyńskiego, rozumie pan?

61.

Pędziliśmy dwoma samochodami przez Cannes. Ludzie uskakiwali w popłochu, bo trzymaliśmy się skraju ulic i przejeżdżaliśmy przez wszystkie czerwone światła. Siedziałem z tyłu koło Roussela, Lacrosse obok kierowcy, w pierwszym wozie, drugi zajęli urzędnicy z wydziału kryminalnego. Gnaliśmy teraz cichymi ulicami nubiowej dzielnicy Les Vallergues. Oto zaczynała się posiadłość Hellmanna, otoczona murami zwieńczonymi stalowymi ostrzami i zwojami z drutu kolczastego. Oba auta zatrzymały się z piskiem opon przed wielką bramą do parku. Z domku wyszedł portier, którego już poznałem, i tym razem w białym mundurze z mosiężnymi guzikami i złotymi galonami. Kierowca naszego wozu zatrąbił.

Portier dał znak, by wysiadać.

- Nie wpuszcza aut – przypomniałem.
- Ach tak, słusznie – Lacrosse wpadł we wściekłość. – Zaczekajcie chwilę – wyskoczył z samochodu i podbiegłszy do bramy, pokazał portierowi służbową legitymację, po czym zwymyślał go. Trudno było zrozumieć, jakich użył argumentów, ale musiały być groźne, skoro przestraszony portier zdecydował się otworzyć. Kiedy wrócił, opadając na siedzenie rzucił tylko: – Idiota!

Szofer ruszył z miejsca, za nim drugi wóz. Jechaliśmy teraz przez park, zarosły palmami, cedrami, cyprysami i oliwkami, wsuwaliśmy się w liściaste tunele, które tworzyły gałęzie starych drzew. Pojawiły się znajome kamienne ławki, amorki i

popękane figury, a potem basen pływacki bez wody. Przed podjazdem zobaczyłem rabaty kwiatowe i jak poprzednio kręcące się zraszalniki, w jaskrawym słońcu rozpinające tęcze.

Zatrzymaliśmy się ze zgrzytem na żwirze i pośpieszyliśmy do wejścia wśród kolumn. Było zamknięte, ale na drzwiach umocowano metalowe, ciężkie kółko, którym teraz Lacrosse zaczął z całej siły kołatać, ani myśląc przerwać. Już po kilku sekundach pojawił się drugi służący – również cały w bieli.

– Policja! – ryknął Lacrosse.

– Portier już dzwonił – wyjąkał służący. – Co... Co to znaczy? Nie powinniście, moi panowie, robić tyle hałasu. Madame nie czuje się najlepiej... nawet bardzo źle.

– Gdzie jest?

– W łóżku, w swoim pokoju...

– Niech pan prowadzi!

– Nie wolno mi... Wyrzucą mnie...

– Nikt pana nie wyrzuci. Szybko, szybko, szybko! – popędzał go Lacrosse. Kiedy byliśmy już w holu, widziałem jeszcze, jak z drugiego wozu wyskoczyli ludzie i rozbiegli się, otaczając dom. Jeden z nich poszedł za nami. W różnych drzwiach holu pokazały się zaciekawione twarze służby.

– Schodami w górę! – zakomenderował Lacrosse. Przeskakiwaliśmy je w pośpiechu, mijaliśmy wiszące na ścianach obrazy Rubensa, Botticellego, El Greca, Vermeera van Delft, ogromne gobeliny i stojące w niszach podświetlone rzeźby z kości słoniowej. Poczulem znowu unoszący się wszędzie silny zapach kwiatów. Biegliśmy korytarzem na pierwszym piętrze, którego schody to prowadziły w górę, to na dół. Służący, zupełnie zdezorientowany, zapukał do drzwi dobrze mi znanego salonu. Otworzyła jakaś pokojówka.

– Panowie ci.. – zaczął służący, ale Lacrosse po prostu go odsunął. – Gdzie jest madame? W swoim pokoju? – I już szedł spieszenie do sypialni, już był na wyciągnięcie ręki, gdy nagle jej drzwi się otworzyły. W ich framudze, niczym ze snu na jawie, stała Brylantowa Hilda. Pojawiła się w różowym, haftowanym szlafroku i oczywiście w przekrzywionej peruce. Twarz miała gładką i białą. Tym razem założyła antyczną obrożę z diamentami, do tego pierścienie: jeden z wielkim brylantem pośrodku, drugi z dużą perłą i dwoma jeszcze większymi brylantami. Peruka obsunęła jej się do przodu i za uszami dostrzegłem żółtawą, przebarwioną i napiętą skórę, ze śladami operacji plastycznej. Różowy szlafrok harmonizował z kolorem jej oczu, którymi, nie ukrywając wściekłości, właśnie nam się przyglądała.

– Co za bezczelność, to przechodzi ludzkie granice! Inspektorze Lacrosse, wyleci pan jeszcze dzisiaj, już moja w tym głowa! I pan także, panie Lucas, zaraz dzwonię do Düsseldorfu!

- Sądziłem, że to w pani interesie mam szukać morderców jej brata – zauważyłem.
- Zamknij się pan, głupcze! – zawołała i zwróciła się do Roussela: – A pan, monsieur, ja pana będę...
- Nic pani nie będzie – zaraz jej przerwał. – Jedyne będzie pani musiała się uspokoić. Jesteśmy tu nie bez powodu. Czy pani źle się czuje, madame?
- Widzi pan przecież. – Brylantowa Hilda zachwiała się, ale nie wiem, czy naprawdę czy udawała. – Kiepsko ze mną.
- Gdzie jest pani pielęgniarka?
- Anna?
- Tak, Anna, gdzie jest?
- Nie wiem.
- Jak to pani nie wie?
- Po śniadaniu jeszcze raz zasnęłam, a dopiero teraz panowie mnie obudzili. Rano widziałam Annę, więc pewnie będzie w swoim pokoju. Budzę się zwykle o siódmej, w tej chwili mamy trzecią.
- Gdzie jest pokój siostry? – Lacrosse zwrócił się do pokojówki.
- Na drugim piętrze, monsieur...
- Proszę nas zaprowadzić.
- Tego panom nie wolno! – zaskrzeczała Brylantowa Hilda.
- Czy mają panowie nakaz rewizji?
- Nie – spokojnie odpowiedział Lacrosse. – I gwizdźmy na nakaz. Dalej, niech pani robi, co kazał komisarz, bo narazi się pani na przykrości – przestrzegł pokojówkę.
- Dziewczyna wciąż się ociągała, wzrokiem szukając pomocy u Brylantowej Hildy.
- Już dobrze, już idźcie – zasyczała stara dama. – Ale ja z wami.
- Uważam, że w takim stanie... – wtrącił się.
- Wie pan co, panie Lucas? – Głos jej nagle zyskał na sile. – Niech się pan o siebie martwi! Dalej, prowadźcie mnie! – Uwiesiła się mego ramienia. Wróciliśmy do przedsiionka z marmurowymi schodami, które wiodły na drugie piętro. Korytarz był tu na górze niższy i drzwi do pokoi nie tak wysokie.
- To tu – dziewczyna zatrzymała się. Roussel zapukał.
- Madame Anna?
- Nikt nie odpowiadał.
- Pani Anno, proszę otworzyć! Policja!
- Nic się nie poruszyło.
- Czy mogła nam się wymknąć? – szepnąłem do Lacrosse'a.
- Cały dom jest obstawiony. Jeśli tu była w chwili naszego przyjazdu, to jeszcze jest. Jules!

Towarzyszający nam urzędnik z wydziału kryminalnego wysunął się do przodu i szarpnął klamką.

– Zamknięte – stwierdził i nachylając się, zajrzał przez dziurkę od klucza. – Ale w środku nie ma klucza.

– Wyłamać – rozkazał Lacrosse.

– Potwór! – wrzasnęła Brylantowa Hilda.

– Tylko spokojnie – upomniał ją Lacrosse, ów mały człowiek, który już zupełnie pozbył się lęku przed możliwymi tego świata.

Urzędnik o posturze olbrzyma rzucił się na drzwi raz i drugi. Za trzecim razem zamek puścił i mężczyzna wpadł z rozpędem do pokoju. Weszliśmy szybko za nim. Był to duży pokój na poddaszu umeblowany antykami, z półkolistymi oknami. Nagle usłyszeliśmy krzyk Brylantowej Hildy i zobaczyliśmy, jak osuwa się na podłogę. W ostatniej chwili udało mi się uratować ją przed upadkiem. Zemdlała, a jeśli nie, to doskonale udawała utratę przytomności, zwisając mi ciężko na rękach. Położyłem ją na podłogę.

– Psia krew! – zaklął Lacrosse. W poprzek szerokiego łóża leżała pielęgniarka Anna z Mediolanu, ta silna i potężna kobieta o macierzyńskim wyglądem. Była w swoim zwykłym stroju, ale z jego bieli niewiele już zostało. Głowę miała przechyloną na bok, oczy wlepione sufit, usta szeroko otwarte. Biały strój przesiąknięty był krwią.

Z piersi, po stronie serca, wystawała rękojęść dużego sztyletu.

62.

W pół godziny później zjawili się eksperci z komisji zabójstw, a wraz z nimi doktor Vernon i rewident podatkowy Kessler, który dowiedział się o wszystkim w centralnym komisariacie. Teraz wzdrygnął się na widok trupa.

– Kto to mógł zrobić?

Lacrosse opowiedział mu krótko o wydarzeniach z przedpołudnia i na koniec dodał: – Mordercą jest ktoś, kto nie chciał dopuścić do tego, by zaczęła mówić, no i stało się, jak przewidział Algierczyk.

– Ale skąd zabójca wiedział, że się Algierczyk wygadał?

– Spodziewał się tego – zauważyłem. – Mógł widzieć naszą obławę. Potem było u nas przesłuchanie, miał więc dosyć czasu.

– Algierczyk. – Kessler zamyślił się. – Całe przedpołudnie byłem z Malcolmem Thorwellem na polu golfowym i wyciskałem go jak cytrynę, wpytując o jego handlowe powiązania z Kilwoodem i interesy innych podejrzanych.

Rozmawialiśmy także o Kilwoodzie, o tym, jak wspomniał o Algierczyku z La Bocea, ale Thorwell twierdził, że to był pijacki bełkot, że tego człowieka nigdy nie było. Na Boga, a on przecież istnieje i Kilwood, ten pijaczyna, mówił prawdę.

– Fakt – zgodził się ponuro Lacrosse. – Dlatego... i on został zamordowany, bo ktoś się bał, że mu się wymknie jeszcze więcej. Dokładnie z tego samego powodu zamordowana została teraz pielęgniarka.

Eksperci z komisji zabójstw krzżeli się tymczasem pilnie, fotografowali zwłoki, rozdmuchiwali grant nad wszystkimi meblami i szukali śladów. Gdy skończyli robić zdjęcia, zwłokami zajął się doktor Vernon.

– Nie chciałbym, broń Boże, nalegać, doktorze – zwrócił się do niego Lacrosse – ale czy mógłby pan, choćby w przybliżeniu, określić nam, kiedy to się zdarzyło?

– Naturalnie, że nie, dzieciątko. – I Vernon kichnął oraz otarł sobie pot z czoła.

– Mniej więcej.

– Steżenie zwłok już nastąpiło. Która teraz godzina? Szesnasta trzydzieści. Steżenie mimo upału. Ale dom jest klimatyzowany. A więc dobrze, dziecińko, to tylko do pana wiadomości i zupełnie niezobowiązująco: tej kobiety nie zasztyletowano przed godziną dziesiątą ani po dwunastej.

– No i widzi pan, czasu było dosyć – mruknął Lacrosse do Kesslera.

– Drzwi do pokoju były zamknięte – wtrąciłem się. – I nie było klucza.

– Zabrał go z pewnością morderca. Albo morderczyni. W tym wypadku liczę się ze wszystkim – rzekł Roussel.

– Dobrze. Ale jak morderca dostał się do tak strzeżonego domu? – zgłosiłem dalsze wątpliwości.

– Nie mam pojęcia – odparł Roussel. – Być może już w tym domu był.

– Ktoś ze służby? – spytał Kessler.

– Dajmy na to. Albo Brylantowa Hilda.

– Dlaczego nie... – zacząłem i urwałem.

– No właśnie – i Lacrosse skinął znacząco. – Chciał pan zapytać: dlaczego nie Brylantowa Hilda? Zgadza się? A widzi pan. Rzeczywiście, dlaczego ona nie mogłaby tego zrobić? Wszyscy zauważyliśmy, że porusza się całkiem dobrze, nie jest wcale taka chora, a sztylet, jak już wiemy, też pochodzi z tego domu.

Ustalono bowiem, że mordercza broń w zabytkowej, pięknie kutej pochwie wisiała zwykle na ścianie klatki schodowej.

– Co z odciskami palców? – zwrócił się Roussel do technika kryminalnego, ale ten wzruszył tylko ramionami.

- Wiele należy do zmarłej i jeszcze więcej do innych osób, pokojówki, służącego czy kogokolwiek innego z tego domu. Trzeba je najpierw zbadać.
- Cholera – palnął Lacrosse. – Powtarza się historia Kilwooda, czuję to. Wszedł służący, który nas wpuścił do domu.
- Przepraszam panów, ale madame czuje się bardzo źle. Chciałbym zapytać, czy pan doktor z policji nie mógłby do niej zajrzeć, bo jej osobisty lekarz może przyjść dopiero za pół godziny.
- Naturalnie, dziecko, naturalnie – zaskrzeczał wesolutki Vernon. – Dobry wujcio doktor już idzie. Zaraz wracam, panowie. – I skierował się ku drzwiom.
- Monsieur Lucas też jest proszony do madame – dodał służący.
- Ja? – osłupiałem.
- Madame wyraźnie o to prosiła.

Zeszliśmy obaj do Brylantowej Hildy. Leżała w rokokowym łóżku, poruszając głową, a jej palce wędrowały po kółdrze. Na progu odurzył nas zapach kwiatów. Vernon zajął się badaniem Brylantowej Hildy, tymczasem ja przez szpary spuszczonej żaluzji przyglądałem się w dole kwiatowym rabatom i wspominałem swój odjazd po pierwszej wizycie w tym domu. Seeborg odprowadził mnie aż do tego dziwnego jeepa, a kiedy się odwróciłem i odszukałem wzrokiem okno, zobaczyłem tam dwie twarze przyklejone do szyby. Była to Brylantowa Hilda z Anną. Zauważyły, że je obserwuję, i natychmiast zniknęły. Nie zapomnę tego strachu, który malował się na ich twarzach. Czego bała się Brylantowa Hilda, a czego pielęgniar-ka, próbowałem dociec. Czy teraz też grozi jej jakieś niebezpieczeństwo? Chyba tak, pomyślałem, jeśli bały się tego samego. Coś się tu jednak nie zgadzało. Strach mógł oznaczać śmierć tylko dla jednej z nich. Ale czy tak było na pewno?

Usłyszałem Vernona i spojrzałem w kierunku łóżka.

- ...wszystko w porządku, to tylko szok. Mój czcigodny kolega zostawił pani świetne pigułki na uspokojenie. Na moją odpowiedzialność proszę jeszcze przed jego przyjściem wziąć dwie. – Podtrzymując Hildzie głowę, przytknął szklanekę wody do jej warg, żeby się napiła i połknęła podane jej pigułki. – Zobacz pani teraz, madame, że w parę minut poczuje się lepiej.
- Dlaczego zamordowano Annę? – szepnęła. Znów miała na nocnej koszuli tę swoją dżersejową lizeskę. I oczywiście biżuterię.
- Nie wiemy jeszcze. Podejrzewa pani kogoś? – spytał Vernon.
- Potrząsnęła głową.
- Muszę wrócić na górę.
- Pan Lucas niech zostanie na chwilę, proszę.
- Jak pani sobie życzy, ale proszę nie mówić za dużo. – Vernon skierował się

ku drzwiom i wychodząc jeszcze mnie przestrzegł.

– Tylko pięć minut.

Gdy zostaliśmy sami, Brylantowa Hilda przywołała mnie skinieniem i szepnęła:

– Dwa miliony.

– Słucham?

– Marek. Dwa miliony. – Przytrzymała mnie za guzik koszuli. – Zapłacę, jeśli pan ich wszystkich wyda.

A więc znowu.

– Tak, pani Hellmann – odparłem.

– Sam pan widzi, że miałam rację. Ci ludzie nie cofną się przed niczym. Mój brat. Kilwood. Anna. Jutro ja... Boję się! Boję! – Szarpnęła mnie za guzik i z trudem się od niej uwolniłem.

– Zrobię, co będę mógł. Policja też.

– Policja! Czy coś dotąd zrobiła? Niczego nie potrafi! Pan, panie Lucas, tylko pan jeden może coś jeszcze działać. Tylko szybko, nim będzie za późno, błagam pana. Chce pan te pieniądze zaraz? Chce pan czek?

– Wrócę – przyrzekłem. – Wkrótce. Muszę pomówić z pani generalnym pełnomocnikiem.

– Z Seebergiem?

– Tak. Gdzie jest?

– Pojechał dzisiaj rano do Frankfurtu. Potrzebują go pilnie w banku. Otrzymał zezwolenie policji na opuszczenie Cannes. Za kilka dni wróci. Czego pan chce od Seeberga?

– To jemu powiem.

– Dobrze. Dobrze. Jest pan po mojej stronie, czy tak? Wyda pan tę hołotę i zadba o to, żeby ich wszystkich zniszczyć?

– Naturalnie, pani Hellmann – powiedziałem. Zapach kwiatów przyprawiał mnie o mdłości. Jak w ogóle można było spać w takim pokoju?

63.

Uzgodniłem z Rousselem i Lacrossem, których teraz czekało rutynowe śledztwo w sprawie o morderstwa, że będę się meldował co trzy godziny, a poza tym można mnie zastać u madame Delpierre. Poinformowałem o tym dyskretnie Lacrosse'a, który tylko skinął głową i ani drgnął. Podwieziono mnie policyjnym

samochodem do „Majestica”. Nadałem dwa długie zaszyfrowane telegramy do Gustawa Brandenbura. W jednym zawiadamałem o śmierci pielęgniarki Anny Galiny, w drugim prosiłem o natychmiastowe ustalenie, czy Seeberg faktycznie przebywał we Frankfurcie, czy był w banku, jakim samolotem przyleciał i kiedy wraca. Mój szef tak się przecież chełpił, że potrafi prawie każdego przekupić, niech więc to udowodni. Telegramy nadałem jako pilne. Przebrałem się w swoim pokoju i zadzwoniłem do Angeli. Telefon odebrała Alfonsyna Petit, sprzątaczką, która tak mnie polubiła.

– Madame bardzo długo czekała na pański telefon, monsieur. Teraz wyszła. Może dziesięć minut temu.

– Dokąd?

– Mam powiedzieć, gdyby pan zadzwonił, że do kościoła.

– Dziękuję. – Gdy odkładałem słuchawkę, nagle poczułem przeszywający ból w lewej piersi, aż zgiąłem się wpół. W chwilę było po wszystkim.

64.

W rosyjskim kościółku było ciemno i chłodno, tylko od ikon szedł blask. Gdy moje oczy przyzwyczały się do mroku, zobaczyłem Angelę. Siedziała przed wielkim obrazem czarnej Madonny i wpatrywała się w płomień palących się świec. Ręce miała złożone jak dziecko do modlitwy.

Podszedłem do niej, usiadłem obok i musnąłem jej włosy. Nie drgnęła. Poruszając wargami bezgłośnie wypowiadała swoje słowa modlitwy. Zacząłem się też modlić, tym razem przyszło mi to bez trudu. Prosiłem Boga o pomoc i takie pokierowanie naszym losem, by Karin zgodziła się na rozwód i bym mógł poślubić Angelę.

Siedziałem przy Angeli, która w skupieniu zamknęła oczy. Usłyszałem za sobą kroki, ale się nie odwróciłem. Czekałem, aż ona skończy się modlić. Wreszcie wzięła mnie za rękę i wstała. Przy wejściu do kościoła młody kapłan przypinał pluskiewkami ogłoszenia do czarnej tablicy. Podeszliśmy do niego. Skłonił z uśmiechem głowę.

Angela zatrzymała się i popatrzyła na niego przeciągle.

– Mogę w czymś pomóc, madame? – zapytał uprzejmie. Był w długim habicie i luźno opadające włosy sięgały mu ramion. Miał piękne szare oczy i głos przepiękny spokojem, niebywałą siłą i dobrocią.

- *Père* – odezwała się cicho Angela. – To był pan. Poznaję pański głos. Tak, to na pewno pan.
- Ja – to znaczy kto? – W zdziczałym ogrodzie dokazywały dzieci. Ich donośne, beztrudne pokrzykiwania docierały do cichego kościółka.
- Pan może sobie nie przypomina, bo było to trzy lata temu, w noc z dziesiątego na jedenastego czerwca sześćdziesiątego dziewiątego roku. Dzwoniła kobieta, która chciała sobie odebrać życie. Skądże by pan pamiętał.
- Młody kapłan uśmiechnął się.
- Ależ pamiętam dokładnie – zapewnił. – Ta pani była zrozpaczona i bardzo samotna. Zawiodła się na pewnym mężczyźnie. Powiedziała, że musi często uczestniczyć w różnych przyjęciach i imprezach, że tego wymaga jej zawód. Musi być zawsze pogodna i dobrze się prezentować. Nie wolno jej nigdy zdradzić się z kłopotami i smutkami. Bardzo długo, madame, czekałem na tę wizytę.
- Naprawdę pan pamięta?
- Jakby to się zdarzyło wczoraj. Przez te wszystkie lata stale myślałem o tym, byłem pewny, że pewnego dnia pani przyjdzie. I oto jest pani. Szczęśliwa, jak widzę.
- Szczęśliwa, ojcze, nawet bardziej, niż można sobie wyobrazić. Zawdzięczam to panu. Nie przychodziłam, bo się wstydziłam. Potem powiedziałam sobie, że przyjdę dopiero wówczas, gdy znowu będę szczęśliwa, gdy nie będę już sama.
- I stało się to teraz.
- Tak – przytaknęła. – Już nie jestem sama. Znalazłam mężczyznę, którego szczerze kocham.
- I ja, ojcze kocham tę kobietę – powiedziałem.
- Mam na imię Ilia, proszę mi mówić bracie Ilia, jestem jeszcze bardzo młody.
- Przedstawiliśmy się i wtedy podał mi rękę.
- Cieszę się, madame Delpierre, że pani znalazła szczęście i spokój – zapewnił brat Ilia. Mówił płynnie po francusku z rosyjskim akcentem. – Widzi pani, cierpienie przemija. Bóg kocha ludzi, potrzebuje ich. Kim byłby bez nich?
- Znaleźliśmy szczęście, bracie Ilia – wyznała Angela – lecz jeszcze nie spokój. Monsieur Lucas jest żonaty.
- Tak?
- Rozstałem się z żoną, ale wciąż jestem żonaty – dodałem.
- Rozumiem. – Brat Ilia przez chwilę przyglądał się swoim rękom, a potem nam. – Opowiedzcie coś więcej. Chcecie chyba znać moje zdanie, prawda?
- Oczywiście – przyznała Angela.

– Powiniennem lepiej poznać okoliczności. Panu, monsieur Lucas, może będzie łatwiej opowiedzieć.

Zacząłem zwierzenia. Brat Ilia słuchał w milczeniu. Niekiedy potakiwał, a kiedy skończyłem, rzekł: – Czuje się pan winny wobec żony?

– Nie – odparłem. – Nie, bracie Ilia. Czułem się winny, dopóki żonie nie wyjawilem prawdy, potem już nie.

– A pani, madame?

– Ze mną było podobnie. – I opowiedziała o sobie, mówiąc na końcu: – Rozstaliśmy się, ojczy, gdy dowiedziałam się prawdy. Nie mogłabym być kochanką Roberta i z nim oszukiwać jego żonę. On jednak przyznał się do wszystkiego. Przekonałam się, że jego małżeństwo od lat było fikcją. Teraz i ja nie poczuwam się do winy, czy to źle?

Brat Ilia uśmiechnął się. – Nie chciałbym uogólniać i próbować was osądzić z punktu widzenia moralności. Nie możecie tego ode mnie żądać. Mogę państwu odpowiedzieć tylko jako człowiek, który służy drugiemu człowiekowi.

– Jaka będzie odpowiedź?

– Pani znalazła nową treść życia, madame. Kocha pani i jest szczęśliwa. Życie odzyskało sens i znów stało się piękne.

– Tak jest naprawdę – potwierdziła Angela.

– A pan, monsieur Lucas, pan od lat musiał żyć w związku, który istniał tylko na papierze. Był pan kiedyś nieszczęśliwy. Nie ma pan dzieci ze swoją żoną. Nie wątpię, że będzie się pan zawsze nią opiekował, nawet kiedy ją pan opuści.

– Z całą pewnością – przyrzekłem.

Staliśmy ręką w rękę przed młodym kapłanem jak dwoje dzieci.

– Może jestem zbyt młody i niedoświadczony, żeby to mówić, może inni kapłani mówili państwu co innego, ale z teologicznego punktu widzenia byłby to formalizm i fałsz, gdybym potępił i grzechem nazwał wasz związek, który przywrócił was życiu. Nie – podkreślił zamyślony – tego nie uczynię. Dla człowieka współczującego nie może to być grzech, choć brak zgodności z przykazaniami kościoła. Oto troje ludzi w nieszczęściu. Teraz dwoje może mówić o szczęściu. Pan, jak widzę, życzy swojej żonie, by ona znalazła kiedyś szczęście w małżeństwie.

– W istocie.

– Udało się więc panu przerwać coś, co i dla pańskiej małżonki musiało być nie do zniesienia. Narazając się na najcięższą krytykę, powiem: – Cieszę się wami obojgiem, którzy wzajemnie tak się kochacie i jesteście pewni swoich uczuć. Staję po waszej stronie i opowiadam się za wami, bo wierzę, że być chrześcijaninem, to przede wszystkim znaczy być człowiekiem – we właściwym znaczeniu tego słowa. Powinniśmy zawsze pamiętać, że przykazania kościoła – nie tylko naszego

wyznania, lecz i wielu innych – są po to, by człowiek jako jednostka i zarazem członek społeczności był szczęśliwy i wiódł życie miłe Bogu. W każdym przypadku orzekanie o winie czy niewinności należy do Boga i jego wyroki nie znane są ludziom. Człowiek nie może o tym decydować, inaczej byłoby to prawdziwą pychą. – Spojrzał na Angelę. – Już mówiłem, że jestem jeszcze bardzo młody. Może to fałszywe lub grzeszne, co państwu powiem, ale muszę to powiedzieć, bo czuję i uważam za słuszne. Nie wiemy, monsieur, co postanowi sąd i jak się zachowa pańska żona. To przyszłość, otoczona ciemnością. Jako kapłan, madame, ośmielałem się jednakże powiedzieć, że cieszę się wami obojgiem. Jesteście oboje u progu czegoś nowego, pięknego i pełnego życia. Kościół, chrześcijaństwo powinno stać po stronie człowieka, nie po stronie prawa. Innymi słowami powiedział to także Chrystus. – Uśmiechnął się życzliwie i z niejakim zakłopotaniem. Nastąpiła długa cisza. Przerwała ją dopiero cicho Angela: – Dziękuję, bracie Ilia, dziękuję panu.

– I ja dziękuję – poparłem ją, sięgając po portfel.

Zauważył ów ruch i szybko mnie powstrzymał: – Nie, nie, proszę. Nie teraz.

– Przecież potrzebujecie pieniędzy.

– I to bardzo. Ale teraz, monsieur, proszę się wstrzymać. Nie po takiej rozmowie. Widzi pan skrzynkę przy drzwiach kościoła, tam może pan wrzucić pieniądze, jeśli pan tak chce. Tylko nie teraz. Rozumie pan przecież.

– Proszę mi wybaczyć – zawstydziłem się.

– Zapraszam znowu, przychodźcie, zawsze, kiedy jesteście smutni lub macie kłopoty, będę czekał – powiedział brat Ilia.

Pożegnaliśmy się i skierowali się w stronę samochodu, który zostawiony pod starym drzewami, znowu był cały obsypany pyłem kwiatowym. Wsiedliśmy. W otwartych drzwiach kościoła stał brat Ilia. Pomachał mi na pożegnanie, a on skinął nam ręką. Angela wyjechała na ulicę.

– Jest mi po prostu wesoło, Robercie – rzekła po chwili.

– Mnie tak samo.

– Rozumie nas. Wiedziałaś, że nas zrozumie. I zaprosił nas, gdy będziemy mieli zmartwienie lub będzie nam smutno. Czy przypuszczałaś, że mogą być jeszcze tacy ludzie?

– Nie.

– Jesteś teraz bardzo zajęty?

– Na razie nie, muszę tylko gdzieś zatelefonować.

– Co się stało?

– Jedźmy do naszego kącika w „Majesticu”. Trzeba się czegoś napić. Tam ci wszystko opowiem – powiedziałem.

W potoku aut przebijaliśmy się znowu w górę Croisette. Angela przy kierownicy, ja obok niej. Jak zawsze z nadciągającym wieczorem przychodził upagniony

chłód. Pod hotelem Serge, który opiekował się samochodami przybyłych gości, wprowadził mercedesa do podziemnego garażu. Nasz kącik w „Majesticu” był wolny. Zaraz też gdy usiedliśmy, podszedł znajomy kelner i zamówiłem butelkę szampana. Na chwilę wyszedłem do holu. Telegraficzna odpowiedź Gustawa jeszcze nie nadeszła, zadzwoniłem więc do centralnego komisariatu i złapałem Rous-sela. Powiedział, że śledztwo trwa. Do tej pory nie udało się znaleźć żadnego punktu zaczepienia, pozwalającego sformułować zarzuty w stosunku do konkretnych osób. Za trzy godziny powinienem się odezwać znowu, ale przed jutrem nie należy się raczej spodziewać czegoś istotnie nowego. Wróciłem na taras pełen gości i usiadłem obok Angeli. Pijąc szampana i pojadając oliwki oraz słone migdały, opowiadałem jej o obławie policyjnej w La Bocea i zabójstwie pielęgniarki Anny Galiny.

– Robi się coraz gorzej – stwierdziła.

– Myślę, że jeszcze daleko do końca.

Prawą dłonią nakryła moją dłoń leżącą na stole. Nagle przeszył mnie dreszcz. Nie było śladu. To niemożliwe, pomyślałem, to być nie może.

– Robercie – usłyszałem. – Robercie, co ci jest?

Nie potrafiłem wydobyć słowa. Powędrowała za moim wzrokiem i krzyknęła: – Nie! Nie, to przecież niemożliwe. Z tej radości aż zakręciło mi się w głowie.

– Ależ to prawda, przecież widzimy oboje. Powiedziałem ci, że kiedyś tak się stanie. I stało się.

– O Robercie, Robercie – głos Angeli przeszedł w szept. Przytuliła się do mnie. Siedzieliśmy nieruchomo przy naszym stole i oboje wpatrywaliśmy się w jej dłoń, która leżała na mojej. Kiedyś było na niej białe znamię, które nigdy się nie opalało jak reszta skóry i zawsze pozostawało jasne. Patrzyliśmy teraz oboje na jej rękę. Była gładka i opalona na piękny brąz. Białe znamię zniknęło.

KSIĘGA TRZECIA

1.

– Wszystko, co się dzieje, ma swój sens – mówił Gaston Tilmant. – Czasem nam trudno, czy nawet nie potrafimy go zrozumieć, i wówczas ogarnia nas gniew lub smutek, jak teraz was, moi panowie. Tak nie wolno. Nie po to tu przyjechałem, by was pocieszać jakimś gadaniem lub zwodzić. Powierzono mi misję, która i dla mnie w każdej chwili może się skończyć fiaskiem, musiałem jednak się jej podjąć, bo i ona ma swój cel. Wyobraźmy sobie, że każda karta księgi, a więc także i księgi życia, ma dwie strony. Jedną zapisujemy my, ludzie o określonych poglądach i oczekiwaniach, pełni nadziei i wciąż do czegoś dążący. Druga należy do losu, a sens naszych poczynań jest głęboko przed nami ukryty. Czasem nam się wydaje, że los nie jest dla nas łaskawy i płata nam figle, w końcu jednak zawsze zwycięża sprawiedliwość. – Nieśmiało przecesał ręką swoje jasne włosy. Był wysoki i potężny, znakomicie ubrany, jak prawdziwy dyplomata. (którym w istocie był), twarz miał okrągłą, różową i bezgranicznie szczerą. Okulary nie odbierały jego oczom łagodności i zyczliwości. Gaston Tilmant był wysokim urzędnikiem we francuskim ministerstwie spraw zagranicznych. Prysłano go do Cannes w określonym celu, który nam właśnie referował. Siedzieliśmy przy wielkim stole w sali konferencyjnej naczelnika policji. My, to znaczy naczelnik, Lacrosse, Roussel, kilku urzędników z policji w Cannes, rewident podatkowy Kessler i ja. Odchrząknąwszy Gaston Tilmant ciągnął: – I do tej sprawiedliwości zawsze się dochodzi, choćby wydawała się odległa i nierealna. Bo zawsze zwycięży.

– Ano zwycięży, monsieur Tilmant – odezwał się z goryczą w głosie Lacrosse – Kiedy? Za sto lat? Za tysiąc? Mówi pan, że to potrwa, że to daleki cel. Kto w tym czasie zwycięży? Bezprawie? Nienawidzę bezprawia, monsieur. Wszyscy widzimy, że tu się ono panoszy, że popełniane są przestępstwa i w najbliższej przyszłości nic się nie zmieni. Co mi z tego, że kiedyś i gdzieś zwycięży sprawiedliwość, skoro nie dożyję tej chwili, a za moich czasów będą triumfowały przemoc i gwałt? Obejmując swój urząd, składałem przysięgę, że z całych sił będę bronił prawa. Czy mam zapomnieć o tej przysiędze? Czy dlatego nic już ona nie znaczy, że ludzie piastujący wysokie stanowiska w Paryżu dogadali się i zjednoczyli w wysiłkach z wpływowymi osobami w innych krajach?

– Mówiłem wam, moi panowie, jak zareagowałem na powierzone mi zadanie – cicho usprawiedliwiał się Tilmant. – Dobrze pana rozumiem, monsieur Lacrosse. Mogę pana zapewnić, że ci, którzy mnie tu wysyłali, nie działali lekkomyślnie. Znalazszy się wobec potężnego przeciwnika, trzeba dużo rozsądku, żeby go zwalczyć.

Było to 9 czerwca 1972 roku, w piątek, krótko po dziesiątej.

Gaston Tilmant przybył do Cannes wczesnym, specjalnym samolotem Air France i zamieszkał w „Carltonie”. Jego przybycie zapowiedziano już wczoraj, wiedzieliśmy więc wszyscy, że chce się z nami spotkać w biurze naczelnika o dziewiątej trzydzieści. Właściwym sobie tonem, spokojnym i uprzejmym, omówił charakter swej misji. Przedstawił także wyniki rozmów na szczelbu międzynarodowym; otóż najwyższe gremia, po wnikliwym zapoznaniu się ze sprawą, zadecydowały, że należy starać się wszelkimi sposobami wyjaśnić całą tragedię w Cannes, a więc eksplozję jachtu, śmierć znajdujących się na nim ludzi, jak i wydarzenia, które nastąpiły potem. Należało jednak, w miarę możliwości, utrzymać całe postępowanie w tajemnicy przed opinią publiczną i chronić przed atakami prasy magnatów finansowych, którzy znali się z Hellmannem. Istniało bowiem niebezpieczeństwo, iż któryś z nich zostanie sprowokowany do jakiegoś nierozważnego kroku, co doprowadziłoby do zgoła nieprzewidzianych zachowań światowej finansjery. Nie przemyślane działania potężnych, wielonarodowych korporacji, niewątpliwie zamieszanych w całą aferę, mogłyby wywołać powszechne zaniepokojenie, a nawet panikę, gdyby opinia publiczna dowiedziała się o szczegółach manipulacji dewizowych i finansowych. Trudno przewidzieć, jak zareagowałyby wówczas przedsiębiorstwa, banki, spekulanci, a przede wszystkim giełda. Gdyby rozsypał się ów syndykat przestępców, do których należał KOOD, mógł się powtórzyć „czarny piątek”, gigantyczny krach giełdowy. Z tych to powodów wszystko, co się zdarzyło i co mogło się jeszcze wydarzyć, należało traktować i przedstawiać jako tajemniczy zbieg nieszczęśliwych wypadków i przestępstw. Uzgodniono więc na najwyższym szczelbu, że kontaktami z prasą, radiem i telewizją zajmie się jeden człowiek, którego zadaniem będzie również selekcja informacji przedostających się na zewnątrz i dyskretna ochrona najbogatszych przed natarczywością środków masowego przekazu.

Gaston Tilmant wszystko to dokładnie przedstawił. Przyznał się, że nie ma pojęcia, jak w takich okolicznościach prowadzić śledztwo zgodnie z przepisami. – Dołożymy wszelkich starań, żeby razem zrobić wszystko, co w naszej mocy – powiedział tylko.

Żał mi było Gastona Tilmanta. Robił wrażenie sympatycznego człowieka, choć jego zadanie nie należało do łatwych.

– Wszystko jasne – pierwszy zaatakował go Roussel. – Wszystko nam wolno, z wyjątkiem jednego: nie możemy nietaktownie pytać tych bogaczy, skąd pochodzą ich miliardy i jakich oszustw się dopuścili, żeby je zdobyć, bo byłoby to niedelikatne.

– Przesadza pan, monsieur Roussel – i Tilmant znów przejechał dłonią po włosach. – Niech pan jednemu z nich udowodni winę, a my... – urwał i widać było, że znalazł się w niezręcznej sytuacji.

– A my, co? – naciskał Roussel.

– a... my już znajdziemy sposób, żeby pociągnąć go do odpowiedzialności – i po tych słowach Tilmant odrzucił głowę do tyłu.

– Nie drażniąc równocześnie opinii publicznej – nacierał dalej Roussel.

– A nie drażniąc.

– Monsieur Tilmant – milczący dotąd Kessler odezwał się z taką agresją w głosie, że wszyscy na niego spojrzeli – to my jesteśmy tą opinią publiczną. Czy zasada, że wszyscy są równi, już nie obowiązuje? Czy prawo do szczęścia, bezpieczeństwa, sprawiedliwości i informacji nie dla wszystkich jest jednakowe?

– Ależ ma pan całkowitą rację, monsieur Kessler. – Tilmant był człowiekiem o wprost niewyczerpanej cierpliwości – i na pewno dlatego powierzono mu tę misję.

– Siostrze Annie Galinie należy się takie prawo – atakował Kessler – i kapitanowi Viale'owi również. Anna Galina ma krewnych w Mediolanie. Viale został starą matką. Czy prawdę o tym, jak zginęli najbliżsi, mamy im również po odkryciu przestępstwa podawać w ocenzonej formie, czy tak, monsieur Tilmant?

– Powiedziałem panu przecież, monsieur Kessler, że postawiono nas w nader skomplikowanej i przykłej sytuacji – Gaston Tilmant poprawił tym razem okulary. – Ale sprawcy czynu nie są głupcami ani pospolitymi rzezimieszkami. Niestety, w tej konkretnej sprawie lepiej będzie, jeśli kilka zainteresowanych osób nie dowie się, czy, powiedzmy, na razie nie dowie się prawdy, niż gdyby jej odkrycie miało zaszokować cały świat i wywołać niekontrolowane skutki. Także wasi ludzie są takiego samego zdania, panie Kessler, potwierdził mi to pan Friese.

– Wiem – Kessler nie ustępował. – Rozmawiałem z nim telefonicznie. To jeden wielki skandal. Nie usprawiedliwiam się. Siedzą tu dorośli ludzie, którzy wiedzą, co się dzieje i co jest grane, którzy domyślają się, dlaczego tak się dzieje i o' co tak naprawdę chodzi. Życie tracą niewinni czy też winni ludzie, wszystko jedno, bo fakt pozostaje faktem, i tak będzie dalej, a nam, nam się teraz nakazuje,

byśmy panu, monsieur Tilmant – przeciwko panu osobiście nic nie mamy, wykonuje pan tylko polecenia – a więc byśmy panu o wszystkim szczegółowo donosili i pan ma nam mówić, jak mamy postępować dalej i co powinniśmy robić, a czego zaniechać. – Nie widziałem Kesslera jeszcze tak wzburzonego. Spojrzał na mnie. – Niechże i pan się odezwie, panie Lucas.

– Przyszły z mojej firmy telegramy – zacząłem wymijająco. – Moje towarzystwo, monsieur Tilmant, jest już odpowiednio poinstruowane. Zobowiązano mnie do podporządkowania się pana decyzjom.

– Ale „Global” jest przecież prywatnym przedsiębiorstwem! – zawołał Rousel. – Co ma do niego państwo? Jak śmie ingerować?

– Nie wolno mu, ale widocznie ma taką możliwość – wyręczył mnie w odpowiedzi Lacrosse. – W pańskim wypadku zawsze zostaje możliwość wyłączenia się ze sprawy. Dlaczego pan tego nie powie?

– Bo jestem przekonany, jak i monsieur Tilmant, że sprawiedliwość w końcu zwycięży. Nawet jeśli to niekiedy długo trwa, na końcu jest zwycięstwo. Nie chcę, żeby w tym zabrakło mojego udziału. – Ale łzę, pomyślałem. Prawdą natomiast było, że gdybym odmówił dalszej pracy pod komendą Tilmanta, Gustaw Brandenburg mógłby mnie odwołać z Cannes i zlecić jakąś nową sprawę. Co by się wtedy stało z Angelą i ze mną? W natłoku myśli i zdarzeń nie byłem w stanie pojąć, że znalezienie rozwiązania wymaga czasu. Potrafiłem myśleć tylko o dniu dzisiejszym, tylko o Angeli i o tym, żeby być przy niej jak najdłużej, a potem... Nie potrafiłem o tym myśleć.

– Dziękuję panu za te słowa, monsieur Lucas – ku memu zaskoczeniu poparł mnie szef policji. – Moi panowie, ostatnią instancją jest dla nas odtąd pan Tilmant...

– ...który powierzonej mu władzy nigdy samowolnie nie nadużyje – szepnął Tilmant, gdy tymczasem Lacrosse podejrzanie zaczął sapać przez nos.

– Niech pan dalej prowadzi śledztwo na dotychczasowych zasadach – powiedział naczelnik policji. – Będzie je teraz koordynował pan Tilmant.

– Mam jedno pytanie do pana Tilmanta – zgłosił się Kessler. – Przypuszczam, że nurtuje ono wszystkich obecnych.

– O co chodzi, monsieur? – zainteresował się szybko Tilmant.

– Nikt z nas nie potrafił wyjaśnić pewnej kwestii, bo wszystkie ślady doskonale pozacierano. Pan Hellmann, jak wiadomo, jechał na Korsykę, żeby się w Ajaccio spotkać z jakimiś ludźmi w interesach – spostrzegłem, że Tilmantowi lekko drgnęły usta. – Nikt z nas ich nie zna. Mieli gdzieś zamieszkać prywatnie i natychmiast po wizycie Hellmanna odjechać. Kim oni byli, monsieur Tilmant?

– To francuscy przemysłowcy – rzekł przedstawiciel ministerstwa spraw zagranicznych.

– Jacy przemysłowcy? Jak się nazywają? Gdzie teraz są?

– Nie mogę tego panu powiedzieć, monsieur Kessler – odparł cicho Tilmant.

– Dlaczego nie? – zdziwił się Roussel.

W tym zdumieniu jego pytanie zabrzmiało bezradnie.

– Bo mi w ministerstwie wyraźnie zakazano, przynajmniej do jakiegoś czasu. Mogę tylko panów zapewnić, że przemysłowcy ci nie mają nic wspólnego z serią przestępstw czy też jakimiś innymi nadużyciami.

– Są więc pod ochroną – domyślił się Lacrosse.

– Tak, monsieur.

– Ze względu na interes naszego kraju?

– W interesie wszystkich krajów. – I Tilmant powiódł wzrokiem po kręgu zebranych. – Przykro mi, że nasza współpraca tak się zaczyna, ale nie mam na to wpływu. Czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania?

Nikt się nie zgłosił, narada dobiegła więc końca i opuściliśmy salę. Znalazłem się nagle przy Tilmancie.

– Dziękuję panu, monsieur – zwrócił się do mnie cicho. – Przede wszystkim za to, że poparł mnie pan słowami, w które sam pan nie wierzy.

Szliśmy długim korytarzem.

– O jakie słowa chodzi?

– O sprawiedliwość. Że zawsze na końcu zwycięży. Wierzy pan w to naprawdę?

– Nie – stwierdziłem. – A pan, monsieur?

– Też nie – i pierwszy raz wydał mi się przegrany.

2.

Gdy się znalazłem w atelier Angeli, na stołeczku siedziała dziewczynka w czerwonej sukience. Angela pocałowała mnie. Była w białym fartuchu, zapaćkanym różnokolorowymi farbami, i domowych pantoflach. Rude włosy przewięzała szeroką wstążką, a na piersiach, na łańcuszku, dyndały jej okulary.

– Popatrz – i jeszcze w przedpokoju pokazała mi lewą dłoń z brylantową obrączką. – To najcenniejsza rzecz, jaką posiadam i kiedykolwiek posiadałam. – Po czym uniosła prawą dłoń. – Popatrz i tu. – Wierzch dłoni był złotobrazowy od

słońca, po białym znamię nie zostało śladu. – Stał się cud i to za twoją sprawą. Jesteś największym cudem mego życia.

Gdy przeszliśmy do pracowni, dziewczynka podniosła się, dygnęła, podała mi następnie rękę i powiedziała „dzień dobry”.

– To Georgia – przedstawiła mi ją po angielsku Angela.

– Ojciec Georgii robi w Hollywood wielkie filmy. Jest sławnym producentem, a teraz spędza tutaj z nią urlop.

– Tylko daddy i ja – podkreśliła dziewczynka i usiadła na swoim miejscu. – Jesteśmy właśnie po rozwodzie, wiesz już? – Złożyła ręce na brzuszku i patrzyła na mnie poważnie.

– Przykro mi.

– Mnie też – stwierdziła. – Ale to takie emocjonujące. Pół roku jestem u tatusia, pół roku u mamusi, to przecież emocjonujące, nie sądzisz?

– Bardzo – zgodziłem się, podchodząc do Angeli, która zdążyła stanąć przy sztalugach. Niewiele już jej zostało do wykończenia obrazu. Za główką dziecka w zamglonej szarości Angela umieściła konika do zabawy. Pomyślałem zaraz o swoim sycylijskim koniku, całym w kolorach, strojnym w sznury z jedwabiu i pajety, który w moim apartamencie hotelowym w Düsseldorfie stał na półce między słoniami.

– Psychiczne okrucieństwo – z powagą oznajmiła Georgia. – Tatuś był wobec mamusi psychicznym okrutnikiem. Tak powiedziała przed sądem i tak napisało w gazetach. Umiem już czytać. Czy psychiczne okrucieństwo to coś złego?

– Prawdopodobnie – rzekłem wymijająco.

– To było powodem rozwodu – paplała Georgia. – Ale ja nie wierzę, żebyś tatuś był psychicznie okrutny dla mamy. Daddy jest tak kochany i dobry. Ale dla czego mama przeprowadziła się zaraz do wujka Freda?

– Georgio – upomniała ją Angela – nie rozmawiaj, gdy pracuję, wiesz przecież, prawda?

– Tak, oczywiście – posłusznie przyznała dziewczynka. – Już będę cicho. Zapytam tylko jeszcze, jak z tym półrokiem tatusia i półrokiem mamusi będzie, gdy urosnę – zafrasowała się całkiem serio.

– Usiądź – zwróciła się do mnie Angela.

Przykucnąłem na stołku i zapaliłem. Obserwowałem Angelę, jak malowała, i nagle pojawił się znów ów słodki, trudny do opisanego ból, przeszywający całe ciało.

– Po południu wybieram się do Juan-les-Pins – oznajmiła.

– Kupiłam parę sukienek, trochę je poprawiono i muszę być jeszcze raz u miary. Jesteś zajęty?

– Nie, mam czas.

Rozmawialiśmy teraz po niemiecku.

- Pojedziesz ze mną?
- Naturalnie.

Zajęła się obrazem i dalej malowała, a ja z przyjemnością się jej przyglądałem.

Wczoraj późnym wieczorem i dzisiaj o świcie nadeszło kilka telegramów od Gustawa Brandenbura. Dwa dotyczyły generalnego pełnomocnika Seeberga. Przebywał rzeczywiście we Frankfurcie i na jutro miał zarezerwowany samolot do Nicei. Szef podał mi również numer lotu i dokładny czas lądowania. Co się zaś tyczyło zabójstwa Anny Galiny, to Gustaw już w pierwszych zaszyfrowanych depeszach zapowiadał przyjazd Gastona Tilmanta i nalegał, by zgodnie z instrukcjami dyrekcji, która z kolei podporządkowała się ogólnym zaleceniom, wszystko z nim konsultować. Nie powinienem naturalnie dopuścić, żeby mi przeszkadzano w wykonywaniu czynności, ale przed każdą ważną decyzją należało się naradzić nie tylko z Brandenburgiem, ale i Tilmantem. Wspaniale, już przecież na porannej konferencji wykazałem dyscyplinę. Przekłęci miliarderzy...

Po dwóch może godzinach odezwał się dzwonek u drzwi. Zjawił się kierowca w liberii, by odebrać małą Georgię.

- Jutro także o jedenastej – przypomniała mu Angela.
- Tak, madame.

Georgia dygnęła mi na pożegnanie i pocałowała Angelę. Wychodząc, zamyślnie powiedziała sama do siebie: – Daddy wciąż kocha mammy. Mammy żyje z wujkiem Fredem. Kto wobec tego był właściwie psychicznie okrutny? – I drzwi zamknęły się za nią i za kierowcą.

Angela przytuliła się do mnie, a ja pod poplamionym farbą fartuchem odnalazłem jej piersi. Rozpięła mi koszulę, w chwilę później jej malarski kitel zsunął się na ziemię. Nie było czasu na sypialnię. Kochaliśmy się na dywanie. Siedząc potem nieruchomo obok leżącej Angeli, nie od razu zorientowałem się, co mówi.

- ...nie było. Co kochany? Powiedziałam, że nigdy jeszcze z żadnym mężczyzną nie było mi tak cudownie jak z tobą.
- Ani mnie z inną kobietą.
- Co ci jest? Bóle?
- Nie. Skąd ci to przyszło do głowy?
- Nie słyszałeś, co mówiłam.
- A nie.
- Dlaczego?
- Bo nie spuszczałem oczu z twoich ust – odparłem. – Trudno mi było potem słyszeć, co mówisz.

Jechaliśmy do Juan-les-Pins drogą wzdłuż morza. Małe miasteczko było już pełne turystów, po ulicach kręciło się wiele niemieckich aut i zewsząd dało się słyszeć niemieckie rozmowy. Było gwarno i rojno jak na wielkim targowisku, lokal przy lokalu, sklep przy sklepie, gorączka zakupów i głośne nawoływania.

– Zimą jest tu rozpaczliwie nudno, a latem hałaśliwie – stwierdziła Angela. – Ale odkryłam sklep, który elegancją dystansuje inne i tylko dlatego tutaj przyjeżdżam.

Tłoczyli się ludzie, trąbiły na siebie auta. Przyszły mi na myśl Las Vegas i Sankt Pauli, małe miasteczko na amerykańskim Zachodzie w okresie gorączki złota. Zaparkowaliśmy wóz pod starymi drzewami, które stały przed kasynem. Stąd mieliśmy tylko parę kroków do domu mody o nazwie „Old England”. Powitała nas właścicielka, madame Grégoire z całym dworem krawcowych. Angela przedstawiła mnie jako przyszłego męża, zresztą z wdziękiem i w nie narzucający się sposób potrafiła w czasie rozmowy zawsze wyeksponować swoją brylantową obrączkę. Choć „Old England” nie był dużym sklepem, to od razu zorientowałem się, że Angela wybrała najlepszy. Krętymi schodkami poprowadzono ją na pierwsze piętro do przymiarki, tymczasem ja zadowolilem się fotelem między sukniami i kuponami materiałów. Poczęstowano mnie whisky. Trzymałem już szklankę w rękę, gdy w połowie schodów pojawiła się młoda praktykantka. – Monsieur – zwróciła się do mnie – czy byłby pan łaskaw przyjąć do madame? Zależy jej na pańskim zdaniu.

Po krętych schodach wdrapałem się do pomieszczenia pełnego wieszaków z sukniami. Pośrodku było trochę wolnego miejsca i tu, w samych tylko majteczkach, stała Angela. Złotobrazowa, jedwabista jej skóra lśniła w świetle. Krawcowa przyniosła właśnie suknię.

– Zamówiłam trzy – zwróciła się do mnie. – Rzuć na mnie okiem, bo chciałabym nosić tylko te sukienki, które ci się podobają.

Nie przejmowała się zupełnie swym neglizem i również panie ze sklepu, które się nią zajmowały, nie speszyły się widokiem mężczyzny, który ze szklanką whisky w ręce zajął obserwacyjne miejsce w fotelu. Za Angela znajdowało się okno. Kiedy wyjrzałem na ulicę, zobaczyłem stare drzewa przed kasynem i nasz samochód.

Pierwsza suknia z zielonego muślinu, zapinana wysoko pod szyję, miała długie, szerokie rękawy z dwoma rzędami falbanek. Sięgająca ziemi spódnica była dołem także wykończona kilkoma rzędami falbanek.

– Podoba ci się? – spytała.
– Świetna – uznałem. – W zielonym jest ci znakomicie. – W kilku miejscach krawcowe korygowały krój szpilkami, dopasowując go do linii ciała. Piłem whisky i obserwowałem Angelę.

Musiała się rozebrać i znowu miałem przed sobą jej nagość, co wzbudziło we mnie pożądanie. Druga suknia z jedwabiu była czarna i sięgała tylko kolan. Mały dekolt wykończony był falbankami, co dawało wrażenie, jakby szyja wysuwała się z nich niczym kielich. Aż po biust przezroczysta, suknia miała długie rękawy i dołem zdobiły ją falbanki, które były widocznie w modzie.

Zobaczyłem nagle młodego mężczyznę w ubraniu koloru khaki, który podszedł do mercedesa Angeli i przykleknął przy lewym, przednim kole. Wstałem i wyjrzałem przez okno, ale nie udało mi się zobaczyć jego twarzy. Teraz manipulował coś przy kole. Już miałem krzyknąć, ale widocznie zorientował się, że go obserwowałem. Zerwał się błyskawicznie i dwoma susami zniknął za pniami starych drzew.

– Czy coś się stało? – zainteresowała się Angela, odwrócona do okna plecami.

– Nie – rzuciłem wymijająco, ale zostałem na miejscu, by sprawdzić, czy intruz wróci.

Trzecia długa suknia z cytrynowego muślinu miękko sływała do ziemi lekko odstającymi kryzami. Głośno wyraziłem swój zachwyt, po czym stwierdziłem:

– Ale najwspanialsza jest ta krótka czarna!

– Włóż ją wobec tego na nasze urodziny – postanowiła Angela. – Trzynastego czerwca, Robercie, mamy nasze urodziny.

Zdjęła wieczorową kreację i założyła swoją jedwabną szmizjerkę z heraldycznymi motywami w złotym i liliowym kolorze na białym tle. Suknie wymagały jeszcze paru poprawek, więc obiecano je potem przesłać do Cannes. Poprosiłem o rachunek. Płaciłem właśnie, gdy na dworze pojawili się trzej mężczyźni z mocno zaczerwienionymi twarzami, w jaskrawych koszulach i krótkich, lnianych spodniach. Byli pijani, zataczali się i wzajemnie podtrzymywali. Śpiewali głośno czy raczej wrzeszczeli: „Dlaczego nad Renem tak pięknie jest”.

4.

Nadchodził wieczór, ściemniało się.

Siedzieliśmy przy stoliku ulicznej kafejki, obok sławnej dyskoteki „Voom-Voom”, piliśmy szampana i przypatrywaliśmy się ludziom oraz samochodom, przepływającym obok nas. Nie spuszczałem z oczu mercedesa, ale podejrzany już się nie pokazał. Zorientowałem się w pewnej chwili, że Angela wsuwa mi banknoty do ręki.

– A to co?
– Należność za sukienki – oświadczyła.
– Pozwól, że zapłacę.
– Nigdy! To ja je zamówiłam, to w pewnym sensie strój roboczy. Pozwoliłam ci zapłacić w sklepie, bo przecież masz być moim mężem, ale teraz je zwracam.

– Nie!
– Bierz! Nie ustąpię!

Przekomarzaliśmy się chwilę i Angela oczywiście zwyciężyła. Schowałam banknoty. Nagle wydała się bardzo zadowolona.

– O czym myślisz? – spytałam, bacznie się jej przyglądając.
– O świętach Bożego Narodzenia – powiedziała nieoczekiwanie.

Oślupiałam.

– Co?

– Cały czas, Robercie, myślę o Bożym Narodzeniu – zaśmiała się. – Jestem wariatka, to fakt.

– Bogu dzięki, czy inaczej wytrzymałibyśmy z sobą? Co z tym Bożym Narodzeniem?

– Pomyślałam, że tego roku w Boże Narodzenie będziesz tutaj. Będiesz – prawda? – Głos jej zadrżał nagle i w oczach błysnęła trwoga.

– Naturalnie – powiedziałam i uwierzyłam słowu. Cokolwiek się do tego czasu zdarzy – na Boże Narodzenie chciałem być z Angelą.

– Będzie to najpiękniejsze moje Boże Narodzenie – rozchmurzyła się. – Zawsze bałam się tych świąt.

– Nie zawsze, przynaj.

– Może masz rację, czasami był jakiś mężczyzna, ale to już za mną, rozumiesz? W grudniu jest tutaj często tak ciepło, że można siedzieć na dworze w słońcu. Pamiętam, że przed dwoma laty spadło trochę śniegu. W sklepach fotograficznych zabrakło nagle filmów, wszyscy się na nie rzucili, by fotografować śnieg, jako największą sensację. – Pochwyliła moją dłoń. – Wymienimy prezenty, dobrze? Małe, symboliczne. A ja... nie śmieję się Robercie... postawię na tarasie drzewko i ustroję je. Jak sądzisz? Nie będzie to kicz?

– Ależ skąd!

– Ubierzemy się elegancko, zgoda? Potem będą prezenty. Kolęd nie zaśpiewamy, o to się nie, martwię. A potem wybierzemy się do „Ambassadeura”, do restauracji w „Municipalu”, tak?

– Jak chcesz, Angelo – nie gasiłem jej entuzjazmu, choć uświadomiłem sobie, że mamy dopiero czerwiec.

– Zawczasu zamówię stół u Maria, szefa restauracji. Stół na dwie osoby. *Une table pour les amoureux*. Dla dwojga najbardziej zakochanych ludzi na świecie. A czy wiesz, że Boże Narodzenie obchodzi się we Francji bardzo wesoło? Ludzie tańczą i śmieją się, obrzucają się przy stołkach konfetti i serpentynami. I my zatańczymy, prawda?

– Zrobimy wszystko, co zechcesz.

– W sylwestra też będziemy razem i wybierzemy się znów do „Ambassadeura”. O północy, jak w Boże Narodzenie, gaszą światło, żeby się można było całować. Och, Robercie, ale się będziemy całowali! Zaraz potem zaczyna się za oknami pokaz sztucznych ogni. Widok nie do opisania, ma się wrażenie, jakby się siedziało w środku wulkanu! Zawsze ostatnio płakałam przy tych fajerwerkach, będąc z mężczyzną, którego nie kochałam, albo kiedy zabierali mnie przyjaciele – jak w ubiegłym roku Trabaudowie. Szybko trzeba było znaleźć wymówkę i tłumaczyć, że to ten blask oślepił mnie do łez lub coś w tym rodzaju. Początek nowego roku nigdy nie był dla mnie szczęśliwy, potrafisz to zrozumieć?

– Oczywiście, bo dla mnie była to też przykra chwila. Często po prostu kładłem się spać i przesyślałem dwunastą.

– Nie w tym roku. Teraz będziemy razem i koniec ze smutkami. Następny rok będzie przecież nasz, prawda?

– Na pewno nasz – przytaknąłem z przekonaniem.

– Dopiero się pobeczę, znam siebie – rozkuliła się Angela.

Dwóch mężczyzn odzianych w łachmany pojawiło się w pobliżu naszego stołu, obaj mieli przewieszane jakieś tabliczki. Na jednej przeczytałem: CO WTOREK NOCNE BIEGI KONI NA HIPODROMIE W CAGNES SUR MER.

Na drugiej tablicy widniało ostrzeżenie: ŻAŁUJCIE GRZESZNICY, KONIEC ŚWIATA JUŻ BLISKI.

Musieli się znać, bo uściskały sobie dłonie, wdali się w rozmowę. Widziałem, jak się śmiali.

5.

Morze wyglądało niespokojnie tej nocy, choć było ciepło i bezwietrznie. Utknęliśmy w „Tetou” dla zupy rybnej, popularnej *bouillabaisse*. Jak tylko wyjechaliśmy z Juan-les-Pins, Angela stwierdziła, że jest głodna.

– Miałabyś ochotę na *bouillabaisse*?

– Jeszcze jaką! Zaczekaj, najlepiej jeśli wybierzemy się...

– Do „Tetou” – podpowiedziałem jej, przypomniawszy sobie, że kiedy pierwszy raz pojawiłem się w Cannes, kierowca taksówki polecił mi właśnie ten lokal. – W „Tetou” podają najlepszą nad całą zatoką *bouillabaise* – dodałem.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– A ty skąd wiesz?

– Każdy wykształcony człowiek to wie – i wybuchnęliśmy oboje śmiechem. Drwalnia, w której urządzono restaurację „Tetou”, leży zaraz nad wodą, wciśnięta w plażę, tuż na skraju drogi. Jest to zwykła szopa, bardzo czysta wewnątrz i pobielona, ale tylko szopa. Angela powiedziała mi, że właściciele dorobili się na niej wielkich pieniędzy. W dużym pomieszczeniu wszystkie stoliki były zajęte i po całym dniu słońca panował tu po prostu upał. Do jadalni dobudowano małą oszkloną werandę, podpartą palami. Tu było chłodniej i wreszcie znaleźliśmy miejsce. Auto zaparkowaliśmy po przeciwnej stronie ulicy, na placu osłoniętym dachem ze słomianych mat, który chronił samochody przed zbytnim przegrzaniem.

Przez uchylone na werandzie okno słyszeliśmy huk fali wdzierających się na plażę gdzieś pod naszymi stopami. W drodze przybywało im pienistych grzyw i nie mogłem oczu oderwać od tego żywiołu. Księżyc poślącał morze, a że było ono tak ruchome, świetne refleksy szybko wirowały po czarnej toni.

– Skąd tyle huku i kotłowania w tej kipieli? – przerwałem milczenie.

– Zawsze tak jest.

– Ale mam na myśli te drobne fale, które dopiero wybiegają.

– Te małe fale – odparła – z pozoru tylko wyglądają niewinnie. Napierają z taką szybkością i siłą, że przewrócą i pochłoną każdego, kto się znajdzie w ich zasięgu. Jest cudownie, prawda?

– Przyznaję. Ale wszędzie jest pięknie, jeśli tylko ze mną jesteś.

Na zupełną rybną musieliśmy trochę poczekać. Pałaszowaliśmy tymczasem świeże bagietki z masłem, popijając zimnym piwem. Jak zawsze siedzieliśmy obok siebie. Gładziłem delikatnie jej prawą dłoń, z której znikło pigmentowe znamię.

– Oto zagadka mego życia – zamyśliła się. – Dzwoniłam do lekarza, którego znam od lat. Nie chciał wierzyć, że nie ma już tej plamy. Będzie musiał uwierzyć, ale wytłumaczyć nie potrafi.

– Tylko my wiemy, o co chodzi, prawda?

– Tylko my – i spojrzała na mnie, a wówczas w jej ogromnych, brązowych oczach zaiskrzyły się złote punkciki. – Tylko my dwoje.

Ucałowałem ją w rękę.

– *Le chaim* – Angela podniosła szklanke.

– *Le chaim* – powtórzyłem.

Piwo było mocne, aromatyczne i tak zimne, że aż sprawiało ból zębom.

– Jaka to szkoda, często się zastanawiałam, że poznaliśmy się dopiero teraz. Gdyby to się stało przed dziesięciu czy piętnastu laty...

– Ba!

– Zmieniłam jednak zdanie. Może wówczas, Robercie, nie zakochalibyśmy się w sobie tak mocno? Przed dziesięciu, piętnastu laty nie mieliśmy jeszcze tylu przeżyć i los nas tak ciężko nie doświadczył. Musiałam widocznie iść swoją drogą, błądzić i mieć swoje zmartwienia i kłopoty, z tobą było zresztą podobnie. Lata, kiedy szliśmy własną drogą, byliśmy nieszczęśliwi lub wierzyliśmy w szczęście, by potem stwierdzić, że to pomyłka, dopiero te długie lata uformowały naszą osobowość i przygotowały do wielkiej miłości. Nie sądzisz?

– To słuszne, co mówisz, Angelo. Ale moglibyśmy się już w ogóle nie spotkać. Byłem u kresu.

– Właśnie to było ów moment – powiedziała. – Bóg tak chciał. Musi istnieć Bóg, nie ten stary człowiek z białą brodą, ale ktoś... Jak myślisz?

– Na pewno gdzieś jest i teraz, kiedy odnaleźliśmy się, pokładamy w nim nadzieję, prosimy Go o pomoc, modlimy się.

– Do kochanego Boga – dodała w zamyśleniu.

– Tak, tak to nazywamy. – Rozmawialiśmy głośno, żeby się słyszeć w nieustannym huku fal. Wreszcie starsza, uśmiechnięta kelnerka podała nam *bouillabaise*. Zaczął się cały obrządek. Na stół wjechała najpierw waza z rosółem, za nią potężny półmisek z dużym wyborem ryb i stworów morskich, na trzecim talerzu podano langusty, a w koszyczku chrupiące tosty.

Angela pouczyła mnie, żebym kromki smarował ciemnozłotym sosem, zwanym *la rouille*, przypominającym musztardę, który również znalazł się na stole. Później dała mi do zupy małe kawałeczki ryb, na które położyłem tosty. Zaczekałem, aż nasiąkną, ale gdy tylko pierwszy kawałek chleba włożyłem do ust, zabrakło mi powietrza, *la rouille* okazała się istnym piekłem, ogniem, czegoś równie ostrego nigdy jeszcze nie próbowałem. Sięgnąłem natychmiast po piwo. Pałaszowaliśmy jak prawdziwe żarłoki. *Bouillabaise* była wspaniała, taksówkarz miał rację. Popatrywałem na Angele, jak jadła, i na dzikie, smolisto-srebrne morze, a huk wody układał mi się w muzykę.

– Jeszcze trochę zupy, a może ryb? – zachęcała Angela.

– Z przyjemnością – i zachłannie śledziłem, jak napełnia mi talerz.

– Co z nogą?

– Wszystko w porządku.

Rzeczywiście od pewnego czasu nie miałem z nią kłopotu.

6.

Około wpół do dziesiątej odjechaliśmy do domu. Angela wyprowadziła samochód na drogę, gdzie jeszcze panował ożywiony ruch. Oślepiały nas reflektory nadjeżdżających z przeciwnika, przed nami wolno i ostrożnie jechał citroen.

– Ten facet doprowadza mnie do szału – denerwowała się Angela, próżno starając się wyprzedzić marudera. – Słowo daję, pijany, dlatego taki ostrożny. Czekać, teraz musi się udać. – Szykowała się do wyprzedzania, ale gdy znaleźliśmy się na tej samej wysokości, citroen nagle przyspieszył. Z przeciwnika nadjeżdżał inny samochód, dając znaki światłami.

– Do diabła – zaklęła i nacisnęła pedał hamulca. No i wtedy stało się. Mercedesem zarzuciło, potracił citroena i odbił się w lewo ku morzu. Nie byłem w stanie wykrztusić słowa. Angela rozpaczliwie kręciła kierownicą, ale bez skutku; samochód nie zwalniał. Wóz z naprzeciwka zjechał z pasa i jechał prosto na citroena, który na całe szczęście w ostatniej chwili skręcił, i oba auta minęły się z wyciem klaksonów. Jadący z naprzeciwka samochód znalazł się obok naszego tak blisko, że zobaczyłem w jego wnętrzu zdumione twarze trzech mężczyzn. Mercedes tylko cudem się z nimi nie zderzył, zrobił nagle skręt w lewo, zatrzęsł nad chodnikiem i z hukiem stoczył na plażę, a potem w skotłowane fale. Zaczął się zsuwać w głąb. Zorientowałem się nagle, że mogą nas zagarnąć fale. Angela wyłączyła zapłon. Samochodem zaczęło kołysać, woda zalewała go już do połowy i rozbijała się o szyby.

– Uciekajmy! – krzyknąłem.

– Nie otworzę drzwi! – Angela była nawet dość opanowana.

I ja nie radziłem sobie ze swoimi, bo było zbyt duże ciśnienie wody. Z całych sił napierałem na nie i czułem, jak z wysiłku serce podchodzi mi do gardła. Wreszcie pokazała się w nich szpara i woda wdarła się do wozu, ale teraz przynajmniej można je było otworzyć. Schwyciłem Angelę, która nagle osunęła się z fotela, i próbowałem ją wyciągnąć. Fale sięgały mi aż do pasa, straciłem równowagę i napiłem się wody, ale zdołałem się podnieść i wyprostować. Gdzie Angela? Jest! Zwisła głową w dół z samochodu, zalewały ją fale. Straciła przytomność. Ciągnąłem ją i szarpałem. Była ciężka, zbyt ciężka, nie dawałem rady i coraz to przewracałem się. Podtrzymałem jej głowę, czując, jak mnie opuszczają siły. W górze zahamowały dwa samochody. Już w moją stronę zdążali mężczyźni, przedzierając się przez wodę. Razem udało nam się wytargać Angelę z wozu i skarpą wynieść ją na ulicę.

– Z najbliższego bistro zadzwonię po policję – zaofiarował się kierowca jednego wozu i odjechał. Angela leżała na chodniku, na kocu, który drugi kierowca wyniósł ze swego samochodu, i szybko dochodziła do siebie.

– Robercie! – Patrzyła na mnie zdumiona. – Co to było? Nacisnęłam na hamulec i wtedy to się stało. Tak ostrożnie zawsze prowadzę, jeszcze nigdy...

– Dobrze, Angelo, dobrze, bądź spokojna, już wszystko w porządku.

– A gdyby nie? Robercie, omal nas nie zabiłam. – Zaczęła drżeć na całym ciele. Owinąłem ją kocem i głaskałem po włosach i policzkach.

– Już po wszystkim – uspokajałem ją, powtarzając te słowa bez przerwy.

Tymczasem inne samochody zaczęły się zatrzymywać i wokół nas zgromadził się wianuszek ciekawskich. W dziesięć minut później zjawił się wóz policyjny z Cannes. Siedzieli w nim trzech mundurowi. Wyskoczyli.

– Co się stało? – zwrócił się do mnie policjant. Drugi stał obok, a trzeci wzywał gapiów do rozejścia się, bo ulica była wąska. Opowiedziałem, co się zdarzyło.

– Jesteście po wódce?

– Nie.

Wyciągnął szklaną rurkę, przymocowaną do nylonowego woreczka.

– Woli pan dmuchnąć, czy mamy pobrać krew?

– Mogę dmuchnąć – odparłem. – Ale to nie ja siedziałem za kierownicą.

– Ta pani?

– Tak.

Kazali nam obojgu dmuchnąć w balonik i podświetlili latarką rurkę z kryształkami.

– W obydwóch ledwie się barwi na zielono – stwierdził pierwszy policjant.

– Piliśmy po posiłku tylko piwo – poinformowałem.

– Nie powiedziałem przecież, że państwo są pijani. Ale jak do tego doszło?

– Wóz – podpowiedziała Angela. – Coś tam musi być nie w porządku. Do „Tetou” jechaliśmy normalnie, ale potem...

– To ten człowiek! – wpadło mi nagle do głowy.

– Co za człowiek?

Powiedziałem, że w Juan-les-Pines zauważyłem mężczyznę, który klęczał przy lewym przednim kole mercedesa.

– A jeśli wtedy, gdy jedliśmy zmajstrował coś przy samochodzie? – spytałem. Ze spodni ściekała mi woda.

– Dlaczego miałyby to zrobić? – zdziwił się pierwszy policjant.
– Nazywam się Robert Lucas.
– Tak, i co z tego?
– Czy o tym, co się nam zdarzyło, mógłby pan przez radio zawiadomić komisarza Roussela?
– Roussela? Jest pan może także związany z tą sprawą, która...
– Tak.
– Do diabła! – Pobiegł do wozu i powiedział coś do mikrofonu. – Zostałem go jeszcze w komisariacie centralnym – oznajmił po powrocie. – Będzie natychmiast. Zaraz też powinien nadjechać holownik.

Pojawił się w kilka minut później. Dwaj mechanicy przymocowali stalową linkę do tylnej osi mercedesa, który zdążył się już głębiej zapaść w wodę, wrócili do holownika i uruchomili dźwig. Lina napięła się i wyciągnęła auto na ląd. Powoli przyholowano je na górę aż do samej ulicy. Angela czuła się już całkiem nieźle i teras owinięta w koc stała koło mnie. W tym samym momencie kiedy mechanicy w asyście policjantów zaczęli oglądać wóz, z kierunku Cannes nadjechał czarny peugeot i zatrzymał się przy nas z piskiem opon. Wskoczyli z niego Roussel, Lacrosse i przedstawiciel ministerstwa spraw zagranicznych z Paryża, Tilmant. Przedstawiłem Angeli Tilmanta i Roussela, Lacrosse'a poznała już wcześniej.

– Byłem jeszcze z Rousselem, gdy przyszedł meldunek – informował Lacrosse. – Zadzwoniliśmy natychmiast do monsieur Tilmanta do hotelu. Uparł się, żeby z nami jechać.

– Zwykły wypadek to nie jest – zaznaczyłem i jeszcze raz powiedziałem o tym człowieku, którego zauważyłem w Juan-les-Pins. Podeszedł do nas jeden z policjantów, który był z mechanikami przy samochodzie.

– Mamy coś – oznajmił. – Przewód hamulcowy z lewego przedniego koła.

– Co się stało? – spytał Roussel.

– Zwisiał przecięty obcęgami. Można to zrobić szybko i łatwo. Wyjechała pani i nic nie zauważyła, wyciekło tylko trochę płynu hamulcowego, gdy pani nacisnęła hamulec. Wtedy zresztą wszystko sikhnęło w powietrze i nic nie dotarło do szcęk hamulcowych koła. Wozem zarzuciło. Ktokolwiek to zrobił, chciał, żeby pasażerowie zabili się lub przynajmniej ulegli ciężkiemu wypadkowi.

Nikt się przez chwilę nie odzywał.

Lacrosse i Roussel podeszli do mercedesa i oglądali odcięty przewód hamulcowy. Ja też mu się przyjrzałem. Wróciliśmy do Angeli i spokojnego Gastona Tilmanta.

– Udało się – Lacrosse nie taił przede mną wzburzenia. – Usiłowanie morderstwa, przynajmniej coś nowego.

Przez chwilę na twarzy Tilmanta pojawiło się zmęczenie.

– Usiłowanie zabójstwa... – Angela spojrzała na mnie. – Ale dlaczego, Robercie, dlaczego? Co zrobiliśmy?

– Ty nie, ale ja za dużo – odparłem.

– Prasie ani słowa, prawda? – Lacrosse zaatakował Tilmanta. – Wypadek drogowy, którego przyczyną była usterka samochodu.

Na szczęście nic się nikomu nie stało. Trzywierszowa wzmianka w „Nice-Matin” i koniec, kropka.

– Tak jest – potwierdził urzędnik z Paryża. – To mogłoby pogorszyć pańską sytuację, monsieur Lucas.

– Ach, niech pan już przestanie! – Lacrosse nie panował nad sobą. – Wiemy przecież, dlaczego wszystko ma być takie ułożone. Świetnie, proszę, jak pan rozkaże, monsieur Tilmant. Skoro pan sądzi, że to właściwa droga, i bierze pan za to odpowiedzialność...

– Uspokój się, Louis – zmitygował go Roussel. – Widzisz przecież, że panu Tilmantowi też nie sprawia to przyjemności, ale takie ma dyrektywy.

– Nic nie rozumiem – wtrąciła się Angela. – Czy może mi pan wytłumaczyć, monsieur Tilmant?

Policjanci rozpedzili ostatnich gapiów, nadmorską ulicą mijaly nas auta, zostaliśmy tylko we własnym gronie.

– Wytłumaczy to pani monsieur Lucas, madame – rzekł Tilmant. – Wie, dlaczego nie mogę inaczej postępować. Pani wóz zostanie odholowany do warsztatów Mercedesa w Cannes i doprowadzony do porządku. Jest pani pewna, że dobrze się czuje?

– Myślę, że tak. Zaczynam tylko marznąć.

– Wóz policyjny odwiezie panią do domu. Proszę o dyskrecję, madame, podobnie jak wszystkich tu obecnych. Czy tak, panowie? – Gaston Tilmant rozejrzał się po zebranych.

Nikt nie odpowiedział.

– Pytałem, czy się rozumiemy?

Wolno, jeden po drugim, potwierdziliśmy skinieniem głowy, ostatni był Lacrosse.

– Dziękuję.

Policjant zaprowadził nas do wozu patrolowego. Pomogłem Angeli ulokować się na tylnym siedzeniu i zająłem miejsce obok niej. Policjant wsunął się za kierownicę i ruszył. Obejrzałem się. Przez tylne okno dostrzegłem Gastona Tilmanta. Stał samotny trochę z boku i patrzył, jak odjeżdżamy. Wydawał się lekko zgarbiony. Tak oto między przemykającymi reflektorami samochodów a czarno-srebrnym

dzikim morzem stał wysoki, silny mężczyzna około pięćdziesiątki, który wyglądał jak uosobienie wszystkich smutków i kłopotów, jakie tylko istnieją na świecie.

7.

– Rozumiem Tilmanta – oświadczyła Angela. Natychmiast po powrocie do domu zrzuciliśmy mokre ubrania i wskoczyliśmy do łóżka. – Na pewno się nie pechał do takiej misji. Oczy ma nad wyraz poczciwe, wygląda na dobrego człowieka, spełnia tylko swój obowiązek.

– Tak – zgodziłem się. – Rozgrzałaś się już? Nie jest ci zimno?

– Jest mi cudownie, Robercie... Robercie... Boję się o ciebie.

– Nonsens.

– To nie nonsens! Chcą cię widzieć martwego. Boże, co ze mną, jeśli ci się przydarzy coś złego?

– Nic się nie zdarzy – uspokajałem ją i jednocześnie myślałem: Miejmy nadzieję, dziś wieczorem niewiele brakowało.

Angela poderwała się nagle i objęła mnie mocno.

– Boję się, tak się boję! Chodź do mnie, Robercie, chodź szybko! Chcę cię mieć przy sobie! – Drżała na całym ciele.

Przyłgnąłem do niej i kochaliśmy się znowu z rozpaczliwą gwałtownością. Potem leżeliśmy cicho i usłyszałem jej spokojny oddech. Zgasilem nocną lampkę. Nad morzem przetaczały się pociągi. Jeszcze przez chwilę miałem otwarte oczy, a potem nawet nie wiem, kiedy zasnąłem. Ze snu wyrwała mnie nagle Angela, szarpiąc mnie za ramię i coś wołając. Z trudem dochodziłem do siebie.

– Co... jest?

– Przepraszam, najdroższy, że cię budzę! Ale chcę ci coś pokazać. – Stała naga przy łóżku i pochylała się nade mną.

– Która godzina?

– Wpół do piątej – odparła. – Nie chciało mi się już spać. Wstałam, wyszłam na taras i nie wierzyłam własnym oczom.

– Co się stało?

– Chcę ci właśnie pokazać, chodź.

Wskoczyłem z łóżka i nagi pomaszerowałem za nią na taras, cały w kwiatach i zanurzony teraz w jaskrawym blasku wschodzącego słońca. Spojrzałem w dół na miasto, gdzie również jasno lśniły domy, podobnie jak spokojne i gładkie morze.

– Nie w dół, ale w górę – zawołała Angela. – Na zboczu. – I ręką wskazała kierunek. – Obok cyprysów! – Obok cyprysów na stromym zboczu za domem

dojrzałem migdałowca w chmurze różowych kwiatów. Słoneczne promienie tworzyły wokół niego niezmierną poświatę.

– Obserwuję to drzewo od lat – oznajmiła. – W czerwcu nie kwitło ani razu, a tego roku zakwitło. Pamiętasz mnichów z Wyspy Świętego Honorata i legendę o migdałowcu?

– Oczywiście.

Wybiegła do pokoju i wróciła z aparatem fotograficznym.

– Muszę to sfotografować – była bardzo podniecona. – Kwitnie przecież dla nas, Robercie. Założę album ze zdjęciami, które tylko dla nas będą mieć znaczenie. To będzie pierwsze. – Podniosła aparat do oczu. – Odradzać się będzie w kwiatkach dla nas dwojga – szepnęła, spoglądając na mnie. – Do dzieła – uśmiechnęła się. – I to szybko...

8.

Pusty basen lśnił w słońcu bielą.

Paul Seeberg, podobnie jak ja, był tylko w koszuli i spodniach, z dnia na dzień gorąco dokuczało coraz bardziej. W lekkich pantoflach spacerowaliśmy pod zielonym dachem z cedrów, oliwek i palm. W prześwicie drzew przed podjazdem do domu Hildy Hellmann widziałem kolorowe rabaty kwietne i znajomy basen. Kamienne płyty były w wielu miejscach popękane. Na dnie leżały gałęzie i buszowały małe jaszczurki. Było południe i cisza ogarniała park.

Seeberga, który dopiero co wrócił z Niemiec, chyba zaskoczyłem swoją wizytą. Myślałem, że będzie zwlekał ze spotkaniem lub odmówi, on jednak oświadczył, że woli zaraz odpowiedzieć na moje pytania. Tak więc przyjechałem tu taksówką.

Poinformowałem go, co mi we Frankfurcie powiedział ten strażnik, Fred Molitor, rzekomo przez niego do tej rozmowy upoważniony. Nie zdradziłem, że wiedziałem o spotkaniu bankierów we „Frankfurter Hofie”, jak i tego, że odwiedzałem potem uczestników tej konferencji.

– Wszystko się zgadza – potwierdził. – Jak najdokładniej.

Nawet w koszuli i spodniach nie tracił fasonu poważnego i wzbudzającego zaufanie bankiera. – Gdy Molitor zadzwonił, poradziłem mu, żeby zwrócił się z tym do pana. Czy to się panu na coś przydało?

– Trudno jeszcze powiedzieć, dlatego chciałem pomówić z panem.

– Chętnie pomogę, o ile będę mógł. – Pachniał znów tym swoim „Gres pour homme”, był odświeżony i wypoczęty, nie zaszkodziła mu widocznie ani praca we Frankfurcie, ani lot, ani zmiana klimatu.

– Nie muszę mówić, jak się czułem, słysząc relację Molitora.
– Mogę sobie wyobrazić, że był to szok, gdy się pan dowiedział, że szef szperał w pańskim biurku, w szafach i sejfach w całym wydziale, jakby podejrzewał pana o popełnienie jakiegoś przestępstwa.

Sprokutowałem go i zareagował oczywiście gwałtownie.

– Przestępstwa? Dlaczego? Nie, nie, tak nie myślałem.

– Pozwoli pan...

– Przepraszam, ale proszę pozwolić mi skończyć. Domyśliłem się, o co panu chodzi, ale tak nie było i nie mogło być. Żeby znaleźć dokumenty, jakieś papiery dotyczące transakcji, które jako rzekomy przestępca chciałem usunąć, czy też bez jego wiedzy sporządzić i podpisać, pan Hellmann nie musiał pustoszyć mego wydziału.

– Nie musiał?

– Nie zna pan organizacji banku, panie Lucas, w tej instytucji nie mogłoby się zdarzyć nic, o czym by się pan Hellmann normalną drogą nie dowiedział, czego by nie zaaprobował, sam nie ustalił i nie przekazał do realizacji. Jestem wprawdzie generalnym pełnomocnikiem, ale nie dysponuję przecież bankiem w banku. Dział dewizowy należy do domu bankowego jak każdy inny dział. A więc pan Hellmann nie mógł liczyć na to, że znajdzie coś, o czym by nie wiedział. – Seeberg zatrzymał się przy kolumnie, zwieńczonej zmurszałą głową Janusa z dwoma obliczami, z których jedno patrzyło przed siebie w przyszłość, a drugie zwrócone było w tył, ku przeszłości. W zamyśleniu obserwował rzeźbę.

– A może spodziewał się, że czegoś nie znajdzie? – spytałem.

– Spodziewał się, czy raczej bał. Strażnik z banku powiedział mi, że Hellmann był bardzo zdenerwowany – czy więc nie przestraszył się, i że dokumenty zniknęły?

– Patrzeć w przeszłość, widzieć przyszłość, tak właśnie robię. Nie wiem tylko, czy właściwie patrzę, a zatem i czynię – Seeberg był wyraźnie roztargniony. – Tak, z pewnością, tego mógł się obawiać. Tylko o jakie dokumenty chodziło? W przypadku, gdyby dotyczyły jakichś transakcji, cóż za interes miałbym – przyjmując, że to ja jestem sprawcą – w usuwaniu tych dokumentów, których kopie posiadał przecież wspólnik. Myślę, że to jasne.

– Tak – zgodziłem się. – A skoro już jesteśmy przy tym, że pan się sam stawia w roli ewentualnego winowajcy, oczywiście tylko teoretycznie, przypuścmy więc, że jakieś dokumenty, które zostały sporządzone w tajemnicy, bez wiedzy Hellmanna, lub jakieś inne zapisy o poufnym charakterze w pańskim oddziale kazał pan...

– To naprawdę żałosne podejrzenia – przerwał mi Seeberg. – Zresztą, gdybym coś ukrywał w banku, zdążyłbym to przecież usunąć przed moim odlotem do Chile.

- Słusznie, był pan przecież w Chile.
- Na konferencji światowego handlu, a przedtem załatwiałem tam jeszcze sprawy bankowe. Kongres zaczynał się trzynastego kwietnia, a ja polecałem już dwudziestego dziewiątego marca.
- To znaczy, że o nocnej wizycie pana Hellmanna dowiedział się pan dopiero po telefonie Molitora?
- Tak jest. Gdy dowiedziałem się o śmierci mojego szefa, polecałem natychmiast do Nicei i zjawiłem się w Cannes, żeby zająć się panią Hellmann.
- Dlaczego wobec tego, to pana słowa, opowieść Molitora była dla pana szokiem?
- Mój ty Boże – zaczął Seeberg i usiadł na kamiennej ławce, tuż koło kolumny z Janusową głową – i pan mnie o to pyta? Do chwili kiedy zadzwonił ten strażnik, wierzyłem w wypadek lub morderstwo, jak wszyscy tutaj, a z nimi i pani Hellmann.
- Ona dalej wierzy w zabójstwo – zauważyłem.
- Nie słuchał, mówił teraz bardzo szybko:
- Ten telefon wyjaśnił mi wszystko. To nie papierów szukał pan Hellmann, ale chciał, by jakieś papiery zniknęły.
- Mówił pan przecież, że dokumenty mają więcej kopii.
- Mógł próbować zabrać wszystkie, aby zatuszować jakąś sprawę. Może mu się to nie udało i dlatego doszło do tragedii.
- To znaczy, że już teraz pan nie wierzy w zabójstwo czy nieszczęśliwy wypadek?
- Na to wychodzi, panie Lucas.
- A w co pan wierzy? Proszę powiedzieć.
- W samobójstwo – odparł generalny pełnomocnik Paul Seeberg – samobójstwo w sytuacji bez wyjścia.

9.

W gałęziach śpiewały ptaki, brzęczały pszczoły.

– Nic pani Hellmann nie powiedziałem – mówił dalej Seeberg – to nie na jej siły. Z panem dzielę się szczerze wszystkim, co tylko udało mi się ustalić we Frankfurcie – razem z panem Grosserem, pierwszym prokurentem, który będzie prowadzić interesy do czasu, nim znów zjawię się w siedzibie banku. Całe noce z nim pracowałem. Rzeczywistość przedstawia się dość ponuro, powiem panu jednak co się stało. W czasie mojej nieobecności i przed dewaluacją funta, pan Hellmann

i John Kilwood kupili funty i udzielili kredytów funtowych o łącznej wartości pięciuset milionów marek.

– Dobrze, że pan o tym mówi – wtrąciłem się. – Ustalił to także rewident podatkowy, Kessler.

– Wiedział pan o tym?

Przytaknąłem.

– I wie pan, że pan Hellmann kupował na zlecenie Kilwooda?

– Tak.

– A więc wie pan i o tym, co się w głowie nie mieści, tak jest zagadkowe i pozbawione sensu: Hellmann nie odsprzedał zaraz tych funtów Bankowi Federalnemu i bank, także na skutek udzielenia kredytów funtowych, stracił na tej operacji czterdzieści milionów?

– Wiem, wiem. – I jednocześnie przyszło mi na myśl, że Seeberg może dlatego okazał się taki rozmowny, że uznał, iż nie ma innego wyjścia. – Ale dla naszego banku nie ma to najmniejszego znaczenia – zauważył Seeberg. – Zdążyłem już o to zadbać, funkcjonuje jak dawniej. Ale czy pan potrafi wytłumaczyć, dlaczego u nas zostały te funty? Dlaczego daliśmy kredyty? Co Hellmann planował?

– Skądże! Wiem tyle, co pan.

– Och, myśli pan, że coś ukrywam. Nic podobnego, naprawdę nic nie wiem. Nikt tego nie wie i nikt z wtajemniczonych nie potrafi zrozumieć.

– Wtajemniczeni – to pan i ten pierwszy prokurent, Grosser, oraz panowie: Sargantana, Fabiani, Thorwell i Tenedos, prawda? Aby nie przedłużać rozmowy, panie Seeberg: wiem również, że ci panowie i Kilwood założyli międzynarodową spółkę, KOOD, ten olbrzymi koncern elektroniczny, którego bankiem kredytowym jest pański bank.

– A John Kilwood był generalnym pełnomocnikiem KOOD – dodał Seeberg.

– Rzeczywiście. – Przyglądałem się Janusowej głowie. Ile stuleci trwała? Chciałbym mieć zdolność przenikania przeszłości i przyszłości, nie tylko w takiej sprawie jak bank Hellmanna.

– Niczego przed panem nie ukrywam. A więc i tego, że transakcje pieniężne, takie jak zakup słabych walut przed ich dewaluacją, zlecano u nas Kilwoodowi w imieniu całego zespołu. Tylko, że słabą walutę Hellmann zawsze odsprzedawał Bankowi Federalnemu.

– Proszę powiedzieć, czy transakcje te uważa pan za moralne?

– Są legalne, choć dość ryzykowne. Bankier nie może robić niczego, co jest niezgodne z prawem. Pieniądze mają swoją własną moralność, tak uważam. Brzmi to cynicznie, ale nie jestem cyniczny ani obłudny.

– W przeciwieństwie do pana Hellmanna – rzekłem.
– Co pan ma na myśli? Ach, tak! – zagryzł wargi. – A więc i pan już wie o referacie, który we „Frankfurter Hofie” wygłosił tej samej nocy, kiedy przeszukiwał mój gabinet. Myśli pan o jego wystąpieniu na temat etyki bankiera i odpowiedzialności wobec społeczeństwa, czy tak?

– Tak, panie Seeberg.

Milczał. Odczekałem chwilę. – Nie chce pan osądzać szefa – próbowałem go skłonić do zwierzeń.

– Nigdy źle o umarłych – stwierdził sentencjonalnie.

– Ale był przecież hipokrytą, godząc tak łatwo wzniosłe słowa z ciemnymi interesami. Wyjaśnił mi pan, że pieniądze mają swoją własną moralność. Sądzę, że ludzie, którzy na obrocie pieniędzmi ubili interesy, zapominają zupełnie o losie milionów, zależnych od tych pieniędzy. Pieniądz staje się dla nich przedmiotem, a one nie mają moralności. I dlatego ci ludzie mimo woli stają się w swoim zawodzie amoralni. Prywatnie są dobrzy albo źli – jak wszyscy normalni ludzie, a nawet niekiedy kompensują sobie uświadomiony czy podświadomy niepokój. Myślę o Rockefellerze i Carnegie, o tych wszystkich muzeach, szpitalach, o mecenacie i potrzebie czynienia dobra dla ogółu – naturalnie poza swoją działalnością zawodową.

– Proszę mówić dalej. Niewykluczone, że ma pan rację.

– Na pewno. Jak pan tłumaczy zachowanie Hellmanna po tym przemówieniu we Frankfurcie?

– Mogę się tylko domyślać...

– Mianowicie?

– Być może zaatakowano go po transakcji z Kilwoodem i zaczął się bać o swoje dobre imię.

– Dobre imię – powtórzyłem. – A więc jednak nie bardzo czyste jest to, co robił pański bank i Hellmann.

– Legalne.

– Już słyszałem. Czy to powód do dumy? Czy tym można się chwalić?

– Nie.

– No więc! Czyżby moralne skrupuły? Dotąd wszystko co pan przedstawił, było bardzo przekonujące.

– Już nie jest, wiem.

– Chce pan chronić swego szefa?

Wzruszył ramionami.

– Kilwood też chyba się zmienił – stwierdziłem. – Nie oskarżałby się, nie robił skandali – to kosztowało go przecież życie. Komuś się naraził i ktoś zmusił go do milczenia. Kto to mógł być, panie Seeberg?

– Nie wiem. Dodam, że dzisiaj po południu umówił się ze mną na rozmowę monsieur Tilmant, przedstawiciel rządu francuskiego. Przymierzam, że mu dokładnie to samo powiem, co panu.

– Czy pan się nie naraża?

– Przeciwnie, panie Lucas. Jak pan chyba wie, przysłano go tutaj w określonym celu. Muszę teraz myśleć o zachowaniu dobrej opinii naszego banku, dlatego człowieka, który otrzymał tak szczególną misję, chcę wtajemniczyć we wszystko. Czy może być coś rozsądniejszego?

– Racja. – Spojrzeliśmy na siebie, a potem obaj zwróciliśmy się w stronę Janusowej głowy. Seeberg patrzył na twarz skierowaną w przyszłość, ja wybrałem tę, która zwracała się ku przeszłości.

10.

Tego samego popołudnia spotkałem się jeszcze z Rousselem, Lacrosse'em i Kesslerem i zdałem im relację z rozmowy z Seebergiem. Siedzieliśmy w biurze Lacrosse'a przy Starym Porcie. Choć obracały się wentylatory, po czołach splotywał nam pot.

– Biedny Tilmant – skwitował moją relację Roussel. Zapędzili go w kozi róg. Seeberg to przecież chytry lis, szczerymi wyznaniem faktycznie zmusza rząd francuski – a tym samym niemiecki i wszystkie inne – do osłony banku Hellmanna. To się nazywa robota.

– Dowiedział się pan wiele, ale nie wszystkiego – zwróciłem się do Kesslera.

– Mówiłem z Kilwoodem – zareagował dość agresywnie.

– Mam jego zwierzenia, wydusiłem z niego co się dało. Nie moja wina, jeśli coś przemilczał lub może kłamał. W zasadzie prawie wszystko, co pan tu przedstawił, relacjonowałem już w Düsseldorfie.

– Ale nie wiedział pan nic o tej międzynarodowej korporacji, w której – z wyjątkiem Trabauda – całe to towarzystwo ma udziały.

– To prawda – przyznał. – Ale teraz już wiemy. Wszyscy są więc podejrzani.

– Ma pan rację – zakończyłem wymianę zdań. – A jak tam pańska córeczka, monsieur Lacrosse?

– Najgorsze już za nią – i skinąwszy mi przyjaźnie, spoważniał. – Mamy tu do czynienia z prawdziwą *cabale*, tak właśnie *cabale*.

Zostawiłem to francuskie słowo, bo w niemieckim nie ma odpowiednika. *Cabale* znaczy tyle, co tajne sprzysiężenie ludzi powiązanych ze sobą jakimiś ciemnymi interesami.

Około szóstej pojechałem taksówką do Angeli. Próbowałem porozumieć się z nią telefonicznie, ale bez skutku, choć zapowiedziała, że po południu pracuje. Jechałem do niej pełen złych przeczuc. Co się mogło stać? Gdy nacisnąłem dzwonek do mieszkania i otworzyła mi drzwi, zaniepokoiłem się jeszcze bardziej. Przywitała mnie uprzejmie, ale chłodno, a szukając jej ust, trafiłem na policzek, bo odwróciła głowę. Ubrana w jeden ze swoich licznych frotowych szlafroczków, szła przodem, prowadząc mnie na taras, gdzie w świetle zachodzącego słońca wciąż jeszcze lśniły kwiaty.

Usiadła na huśtawce. Stałem przed nią i patrzyłem. Nie odzywała się, a gdy zapalała papierosa, dłonie jej lekko drżały.

– Co się stało, Angelo?

– Miałam wizytę – wykrztusiła wreszcie. – Przed godziną.

– Kto tu był?

– Ilse Dreyer.

– Kto?

– Dobrze usłyszałeś, przyjaciółka twojej żony. Jak powiedziała, przyjechała tu z Juan-les-Pins. Mój adres znalazła w książce telefonicznej. Przecież wtedy, w „Chèvre d'Or” bardzo głośno i wyraźnie wymówiłam swoje nazwisko – w przeciwieństwie do ciebie.

– O co ci chodzi?

– Że wstydziłeś się mojego nazwiska.

– Bzdura, chciałem ci oszczędzić przykrości.

– Tak, oczywiście, tak samo zaraz pomyślałam.

– Angelo! Jak ty ze mną rozmawiasz?

Spróbowałem ją objąć, ale się wymknęła.

– Daj spokój, proszę.

– Naprawdę, nic już nie rozumiem. Co ta kobieta chciała od ciebie?

– Ta kobieta... – gdy tylko zaczęła, głos jej przycichł, posmutniała i była jakby zniechęcona – ta kobieta powiedziała mi, że zaraz gdy tylko zobaczyła nas w Eze, zadzwoniła do twojej żony. Nic pilniejszego nie miała oczywiście do roboty, już wtedy wiedziałam.

– Ja też i cóż z tego? Dla nas to bez znaczenia!

– Tak? – zawiesiła głos. – Dla ciebie to obojętne?

– Do czego zmierzasz, Angelo, mów, co się stało?

– Twoja żona przekazała przez telefon mnóstwo rzeczy o tobie, a potem jeszcze dokładniej wszystko zreferowała w liście. Ekspresowym, lotniczym, który przyszedł dzisiaj. Uznawszy mnie za osobę nader sympatyczną, Ilse Dreyer postanowiła dać mi go do przeczytania, ba, uważała to nawet za swój obowiązek. – Sięgnęła do kieszeni szlafroka. – Proszę. – I wręczyła mi kopertę, z której wyciągnąłem kilka kartek. Poznałem to staranne, charakterystyczne pismo.

– Czytaj – ponagliła mnie bezdźwięcznym głosem.

Zabrałem się do czytania.

„Moja droga Ilse!

To bardzo miłe z Twojej strony, że do mnie zadzwoniłaś i powiadomiłaś o spotkaniu Roberta z jakąś panią, całujących się i obejmujących jak para prawdziwych kochanków. Zdążyłam Ci powiedzieć przez telefon, co o tym należy sądzić i jakie jest moje stanowisko. Wracam do tej sprawy trochę bardziej szczegółowo, żebyś się niepotrzebnie nie kłopotowała.

Prawda wygląda zupełnie inaczej, niż Ty i Twój mąż sądziliście, ale rozumiem, że ten widok mógł Was zaskoczyć i nawet zbulwersować. Jak już powiedziałam, odpowiedź jest zupełnie prosta: jesteśmy nowoczesną i bardzo szczęśliwą parą, która już dawno porozumiała się co do tego, że każdemu wolno chodzić własną drogą. Mimo to zostajemy razem i kochamy się, bo łączy nas głęboki związek dusz. Widzisz, droga Ilse, Twój mąż i Ty żyjecie szczęśliwie i harmonijnie w tradycyjnym małżeństwie. Z nami jest trochę inaczej. O ile psychicznie jesteśmy do siebie wyjątkowo przywiązani (nic, nic i jeszcze raz nic nie mogłoby nas rozdzielić, nikt nigdy nie mógłby mi zastąpić Roberta, jak jemu nikt nie zastąpiłby mnie!), to w sprawach intymnych po dziesięciu latach zdążyliśmy się ze sobą oswoić i szukamy, dążymy nieustannie do nowych przeżyć. Wolno ci nas sądzić – mówię, co czuję. Erotyczne przygody i częste „skoki w bok” nie mają najmniejszego negatywnego wpływu na nasze małżeństwo. Przeciwnie, jeszcze bardziej je cementują. A jak myślisz, co dwoje ludzi szczególnie wiąże, gdy dają sobie tyle wolności? Z mężczyzn, których miałam, żaden nie sięga Robertowi do pięt, i on mi to również stale powtarza. Gdy wraca do domu z podróży, opowiada mi wszystko z najmniejszymi detalami i z humorem, jaki u niego znasz, zdradza najintymniejsze sytuacje i natrzęsa się z głupiej krowy, z biednego zajączka, któremu gdzieś w świecie ledwo co wyznawał wielką miłość. Odgrywa przede mną wszystkie pikantne sceny! Możesz sobie wyobrazić, jak to podniecająco na mnie działa. Potem ja rewanżuję mu się szczegółowym opisem moich sukcesów miłosnych. Istne szaleństwo!”

Kartki wypadły mi z rąk. Patrzyłem na Angelę, która unikając mego wzroku, patrzyła na miasto i morze.

– Angelo! To ordynarne i dokładnie skalkulowane kłamstwa – zawołałem. – Spreparowała list, żeby ci go doręczono! Nie ma w nim słowa prawdy! To zemsta opuszczonej kobiety! Angelo, proszę cię...

– Czytaj dalej.

– Ale oświadczam ci...

– Masz czytać!

Wróciłem więc do listu.

„I jak myślisz, Ilse, co się potem z nami dzieje? Nazwij to perwersją, zgoda, ale powiem ci, że potem cały dzień nie wychodzimy z łóżka, tak bardzo jesteśmy siebie spragnieni. Ach, kochana Ilse, masz zanego Męża i sama jesteś zaną, uczciwą istotą, wiem, że mnie i Roberta trudno wam będzie zrozumieć. Ale to właśnie sposób, żeby w naszym małżeństwie było tak jak na początku. Oczywiście Robert powiedział mi, że w Cannes poznał tę Angelę Delpierre i że znowu odstawi wielki show, jak to między sobą nazywamy. Mówiłam ci już przecież przez telefon. Namotał więc znowu coś sobie na boku i wmawia tej biednej kobiecie, która pewnie jest bardzo ładna i może także bardzo miła, że tylko ona jedna dla niego istnieje...”

– To ordynarne – przerwałem – po prostu chamstwo!

„...że nie może bez niej żyć, że od lat jego małżeństwo jest fikcją, a ja potworem i różne takie rzeczy, które należą do gry, rozumiesz? Kiedy w rozmowie telefonicznej mówiłaś mi, że ta kobieta zrobiła na Tobie bardzo dobre wrażenie, najpierw nie słuchałam, gdyż dobrze to znam od lat. Ale później zaczęły mnie dręczyć wyrzuty sumienia. Zabawa tego typu między dwojgiem ludzi, jak Robert i ja, musi mieć granice! Kończy się tam, gdzie zaczyna się nieszczęście innych. Nigdy o tym nie pomyślałam, dopiero teraz się nad tym zastanowiłam. Chciałam nawet zadzwonić do Roberta i powiedzieć mu, żeby przerwał tę komedię, ale wiesz, jaki on jest. Zacznie się wygłupiać i rozśmiesza mnie do łez. Piszę więc do Ciebie i proszę, byś list pokazała owej pani, z którą się teraz zabawia. Nie znając jej, proszę o wybaczenie dla niego i siebie, niewiele lepszej. Nie spodziewam się, by dla postępu Roberta okazała wyrozumiałość. Biedactwo! Szczerze mi jej żal i po raz pierwszy wstydzę się naszych praktyk, które z Robertem od tylu już lat uprawiamy. Trzeba z tym skończyć, dalej tak być nie może. Zadzwoń znów do mnie, najdroższa Ilse, i pozdrów najserdeczniej Męża. Spędzaj mile czas, bo z tego, co piszesz, wynika, że musi tam być wspaniale. Ściskam Cię.

Twoja dobra przyjaciółka Karin.”

List wypadł mi z rąk.

– Angelo – nachyliłem się – na miłość Boską, nie wierzysz chyba jednemu słowu, które jest tutaj?

Nie odpowiedziała, wpatrzona dalej w miasto i morze.

– Angelo, proszę!

– Ta Ilse Dreyer – odezwała się wreszcie – sprawiała wrażenie osoby szczerze zakłopotanej. Znam poza tym małżeństwa, które sobie w ten sposób urozmaicają życie.

– Ale ja tego nie robię!

– Dlaczego krzyczysz?

– Muszę! To przecież obłąd! Kocham cię, Angelo, tylko ciebie, jesteś moim życiem – czy jeszcze tego nie rozumiesz? Nie czujesz? Mało ci dowodów? Odszedłem od Karin, zażądałem rozwodu, wyprowadziłem się do hotelu...

– Tak, ale ile razy już tego próbowałaś? Czy jeszcze pamiętasz?

– Wolisz wierzyć tej intrygantce – ogarniała mnie wściekłość.

– To niemożliwe, Angelo, błagam cię! Po wszystkim, co przeżyliśmy – wierzysz w te kłamstwa?

– To wszystko należy do twojej gry, prawda? – dalej mówiła tym tonem, którego nie mogłem znieść. – I wszystko potem odegrasz przed żoną, naszą rozmowę teraz, co robiliśmy w łóżku, co mówiłam, wszystko, gdy tylko do niej wrócisz?

– Nigdy do niej nie wrócę!

– Znowu krzyczysz – zauważyła. – Proszę, nie krzycz, też jestem tylko człowiekiem.

– Angelo, przysięgam na naszą miłość, że to jest jedno wielkie, ordynarne kłamstwo!

– Wszystkim swoim miłościom przysięgasz?

– Mam tylko jedną, ciebie!

– Czy i to mówisz zawsze?

Nie panowałem już nad emocjami.

– Jesteś inteligentną osobą, Angelo! Jak możesz choćby przez moment wierzyć w taki list? Jak możesz choćby przez moment wątpić we mnie?

– Nie potrafię wytłumaczyć.

– Nie wierzysz mi? Milczała.

– Naprawdę?

– Wiesz, co przeszłam w życiu, czym kończyły się moje romanse. Nietrudno potem o zwątpienie i zniechęcenie, jest się wtedy realistą. Powiedz Robercie, czy ze mną to była twoja zwykła gra?

– Angelo – czułem, jak krew zaczyna mi pulsować w skroniach – nie możesz tak ze mną rozmawiać!

– Nie? A dlaczego nie? Drażni cię to szczególnie? No, no! Przy takiej wprawie? Ach, prawda, to przecież także należy do gry. Wróciwszy do domu będziesz rzeczywiście miał temat jak nigdy.

Chciało mi się wyc, nie byłem w stanie dłużej tego słuchać.

– Angelo, błagam, bądź rozsądna!

– Jestem przecież. Nie bój się, Robercie, nie rzucę się z tarasu. Twoje układy małżeńskie z Karin muszą być rzeczywiście bardzo podniecające.

– Jeśli jeszcze raz coś podobnego usłyszę, odchodzę – zawołałem głośno. – Oszalałaś chyba, nie można z tobą rozmawiać! Albo mi natychmiast uwierzysz, że to wszystko kłamstwo i podłość, albo...

- Albo?
- Albo naprawdę odejdę! Zrobiłem dla ciebie wszystko! Nie zniosę już takich podejrzeń i takiego traktowania.
- Koniec drugiego aktu – rzuciła z zawziętością.
- Zbliżyłem się i uderzyłem ją mocno w twarz, aż odrzuciła na bok głowę.
- Co ja robię! – zawołałem w tej samej chwili z rozpaczą. – Przebacz, Angelo, przebacz! – Próbowałem ją objąć, ale odepchnęła mnie.
- Teraz możesz iść – oznajmiła.
- Pójdę na pewno. – Czułem łzy napływające mi do oczu.
- I to natychmiast – dodała.

Wpadłem na wazon z gladiolami. Rozbił się w drobny mak, kwiaty i skorupy zostały rozrzucone po całym pokoju, bryzgnęła woda. Wyszedłem szybko i trzasnąłem drzwiami. W windzie zacząłem spazmatycznie łkać i dygotać na całym ciele. Zjechałem w dół, ale nie byłem w stanie opuścić windy. Wtulony w kąt, zalewałem się łzami i nie czułem nóg. Osunąwszy się na podłogę, waliłem pięściami w ścianę i przeklinałem głośno, nie bacząc na nic, wreszcie tak osłabłem, że nie potrafiłem się już podnieść, a cóż dopiero iść.

11.

W pewnym momencie straciłem poczucie czasu. Skulony siedziałem w windzie może dwie minuty, może pół godziny, nie mam pojęcia. Wiem tylko, że wreszcie otworzyły się drzwi kabiny. Stała w nich jakaś starsza elegancka kobieta. Spojrzała na mnie, krzyknęła z przestraszeniem i zatrzasnęła drzwi. Słyszałem, jak wołała dozorcę.

Teraz musiałem się stąd ulotnić i to szybko! Podniosłem się chwiejnie. Drżały mi kolana, ale stanąłem i mogłem iść dalej. Opuściłem windę i przez hol wydostałem się na dwór. Ściemniło się i czuło się znów chłodny, wieczorny powiew. Ledwie wkroczyłem na żwir, lewa noga zaczęła mnie boleć i to bardzo mocno. Zatrzymałem się, zaczerpnąłem powietrza i przetarłszy chusteczką twarz, ruszyłem kuśtykając z bólu. Ciężka jak ołów stopa znów nie należała do mnie. Nie było mowy, żebym bez taksówki dotarł do „Majestica”. Zacisnąwszy zęby dotarłem na chwiejnych nogach do ulicy i zatrzymałem się, cały ciężar ciała przenosząc na prawą nogę.

Przejeżdżały różne samochody, ale nie było wśród nich taksówki. Minęło pięć minut, dziesięć i pół godziny, ale taksówki ani śladu. Wciąż myślałem o tym, co zaszło, nie potrafiąc zrozumieć, jak mogłem tak łatwo stracić panowanie nad sobą.

Uderzyłem Angelę. Angelę! Nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety. To był pierwszy raz...

Lewa noga rozbolała mnie na dobre. Nagle przypomniałem sobie, że tą właśnie nogą potrafiłem wazon z kwiatami, stąd może wziął się ból. Zachowałem się jak wariat, jak prawdziwy winowajca, tak pewnie pomyślała Angela. Nie, nie mogła jednak tego zrobić. Czyżby jej wiara we mnie była tak krucha? List Karin był jednak wyjątkowo perfidny, a Angela już się w życiu porządnie zawiadła. Niech cię piekło pochłonie, Karin. Auta i auta. Gdzie taksówka? Nigdy już chyba nie dotrę do hotelu.

Obojgu nam brakuje poczucia bezpieczeństwa i pewności, tłumaczyłem sobie, gorączkowo szukając usprawiedliwienia dla tego, co zaszło. Wystarczy błahostka, jak ten list, by...Nie! Nie, to wykluczone! Przecież to uczucie jest prawdziwe! Kto kogo naprawdę kocha, a kto pozwala się kochać? Ja? Angela? Angela? Ja? Stopa wściekle mnie rwała, nawet jeśli nie stąpałem. Ale oto w górze ulicy pojawiła się taksówka, zamachałem rozpaczliwie, wtedy zatrzymała się i opadłem na tylne siedzenie.

- Proszę do „Majestica”
- Tak jest, monsieur.

W tym samym momencie poczułem również ból po lewej stronie piersi, który tak dobrze znałem, na razie co prawda nieznaczny, ale wiedziałem, że będzie gorzej. Rozdygotanymi palcami szukałem tabletek i drażetek nitrostenonu, które zawsze z sobą nosiłem, jedno połknąłem, drugie rozgryzłem.

Co robić teraz? Dzwonić do Angeli, gdy tylko wrócę do hotelu? Żebrać, prosić, zaklinać, żeby mi uwierzyła? Wszystkie na nic, jeśli sama nie uwierzy. Nie chciałem zresztą tego robić, bo nie czułem się winny, a tylko ten musi nieustannie się usprawiedliwiać. A w ogóle, czy to ma sens, nie jest mi już wszystko jedno? A jednak, co mnie czekało bez Angeli? Nie wyobrażałem sobie życia bez niej. Ze stopą nie dawałem już sobie rady, ból w piersi też był coraz większy i promieniował na lewą rękę. Angela. Angela. Traciłem rozum, gdy o niej myślałem, ale nie potrafiłem czym innym się zająć. Dzisiejszego rana pokazała mi jeszcze kwitnące drzewo migdałowca. Jeszcze dzisiaj rano...

Zorientowałem się nagle, że kierowca do mnie coś mówi. Zatrzymaliśmy się przed hotelowym podjazdem. Nie miałem pojęcia, jak długo tam staliśmy.

- Czy źle się pan czuje, monsieur?
- Wszystko w porządku – zbyłem go płacąc. Ledwie wysiadłem, bo lewa noga nie nadawała się już do niczego.

Taksówka odjechała. Na dworze było już prawie ciemno. Pomyślałem, że sporo czasu musiałem spędzić w windzie. Zabawne, że przed ową starszą panią nikt jej

wcześniej nie potrzebował. Zabawne, wszystko jest zabawne, piekielnie śmieszne, aż do bólu. Pokuściłem do holu, ale jeszcze łyknałem parę pastylek.

W holu kręciło się tylko kilka osób, niektórzy zaczęli mi się przyglądać ze zdumieniem. Marzyłem tylko o swoim pokoju, chciałem się w nim schować jak chory zwierz w jaskini, bo nie miałem już sił. Były tylko ból i strach. I zwątpienie, które rosło z minuty na minutę.

– Panie Lucas!

Odwrociłem się.

Gaston Tilmant, miły jak zawsze, dobrodusznymi oczyma przyglądał mi się uważnie zza szkieł.

– O, dobry wieczór, monsieur Tilmant.

– Dobry wieczór. Dzwoniłem do madame Delpierre, ale powiedziała, że pan wyszedł, chyba do hotelu, dokładnie nie wiedziała. Opuściłem więc „Carlton” i czekałem tutaj na pana.

– Dlaczego?

– Rozmawiał pan dzisiaj z panem Seebergiem, prawda? Ja także miałem z nim spotkanie i chciałem teraz narodzić się z panem. Co panu jest? Nie ma pan ochoty na rozmowę?

Chwila zastanowienia: jeśli teraz zostanę sam, będę cierpiał z bólu i trudno mi będzie się opanować. Lepiej nie. A nuż się coś złego stanie? Tilmant chyba nie zauważył, co się ze mną dzieje, więc spróbowałem wziąć się w garść.

– Oczywiście, chętnie z panem porozmawiam, monsieur Tilmant. Może w barze...na tarasie?

– Za dużo tu wszędzie ludzi i nietrudno o podsłuch. Wolałbym nie ryzykować. Wynająłem w Cannes wóz. Stoi przed „Carltonem”. Podejdźmy, a potem pojedziemy razem. Będziemy przynajmniej pewni, że nas nikt nie podsłuchuje.

Podejdźmy...Wielki Boże, podejść do „Carltona”! Śmiesznie blisko, ale nie dla faceta w takiej sytuacji, jak ja. Co znaczy w takiej sytuacji? Należało zapanować nad bólem i rozpaczą, powiedziałem więc: W porządku, idziemy.

Nie wiem, jak się dowlokłem do „Carltona”. Stopa rwała mnie nieznośnie, a ból w lewej piersi promieniował coraz bardziej na lewą rękę, sięgając czubków palców. Ledwie łapałem powietrze. Chodnikiem Croisette spacerowali pogodni ludzie, jarzyły się światłami wystawy sklepowe, ale ja niczego nie widziałem i nie słyszałem. Tilmant mówił coś o jakiejś hodowli pstrągów, którą prowadził. Był namiętym wędkarzem. Reflektory przesuwających się aut. Łagodne powietrze. Jasny kobiecy śmiech. Ludzie, pełno ludzi. Zderzałem się z nimi, to znów oni mnie potrącali. Stopa. Serce. Gorzej, coraz gorzej. Czemu nie zostałem w hotelu. Szaleństwo, szaleństwem było wszystko, co robiłem. Co zrobiłem. Uderzyłem Angelę.

Nie, nie, nie wolno myśleć o niej.

Przekłete pastylki nie działają, nic nie pomogły. Dalej nie dam rady, rozpaczalem, nie zrobię kroku. Ale szedłem, wytrzymałem do samego „Carltona” i wsiadłem do wozu Tilmanta, do czarnego, dużego chryslera.

Tilmant wyprowadził samochód. Strumień aut płynął nieprzerwanie przez Croisette, posuwaliśmy się bardzo wolno, zatrzymując się raz po raz. W piersiach i stopie czułem coraz większy ból. Niech mnie diabli wezmą, jeśli coś zauważył. Kto wie, czy przestraszony nie jechał ze mną do szpitala, co będzie, jeśli wszystko się wyda, jeśli Gustaw dowie się o mojej chorobie i mnie odwoła. A jeśli nawet? Przecież z Angelą wszystko skończone.

Skończone?

Nigdy!

– ...są dość trafne – to mówił Tilmant. Trzeba uważać, bo umknął mi gdzieś początek zdania.

– Słucham? Proszę wybaczyć, monsieur.

Obrzucił mnie krótkim spojrzeniem.

– Mówiłem, że uwagi Seeberga o Hellmannie są dość trafne. Nie uważa pan?

– Tak. Nie. – I nagle pojawiło się imadło; już je czułem. Boże kochany błagam, tylko nie to!

– Tak, nie – z aprobatą powtórzył Tilmant. – To właściwa odpowiedź. Hellmann mógł mieć na sumieniu jakieś kombinacje, które w razie ujawnienia musiałyby zrujnować jego nieskazitelną opinię. I chyba wyszły na jaw, skoro po swoim przemówieniu we „Frankfurter Hofe” niespodziewanie pojawił się w banku i zaczął przeszukiwać biuro Seeberga.

– Tak – tyle tylko zdołałem z siebie wykrztusić. Czułem, jak imadło zgniatało mi pierś. Nie mogąc złapać tchu, próbowałem jakoś wygodniej się usadowić, a potem otworzyłem po swojej stronie okno. Powietrza!

– Ale mogło być inaczej. Seeberg to przebiegła sztuka i nie trzeba mu wierzyć, nikomu zresztą nie należy wierzyć.

– Słusznie. – Bóg jednak mi nie pomógł. Miałem wrażenie, że ginę, że jestem miażdżony. I ten strach, okropny, obłądny strach. Wbiłem paznokcie w skórę fotela. Na szczęście Tilmant pochłonięty był całkowicie jazdą i jeszcze niczego nie zauważył.

– Ale przypuśćmy, że Hellmann postanowił ratować swoją reputację. Podjął więc decyzję – która Bóg wie ile go kosztowała – żeby porozmawiać z tymi wszystkimi ludźmi i skłonić ich do pomocy w wycofaniu się z funtowej transakcji. A to nie było już takie proste. Zdaje pan sobie sprawę z wielkości tego

przedsięwzięcia i wie pan, jaka jest niemiecka kontrola bankowa! Prawdopodobnie jedyną szansę dostrzegł w przypisaniu tego olbrzymiego deficytu całej grupie, która rzekomo uczestniczyła w transakcji i poniosła straty. Gdyby to się udało, pojawiały się inne możliwości, jak na przykład wewnętrzne przeksięgowania na firmy, które należały do KOOD. To całkiem możliwe, prawda?

– Tak. – Czerwone tylne światła aut zaczęły przede mną dziki płas, włączyły się w ten taniec również światła hamowania, czerwien i czerwien, tyle czerwieni. Umieram. Umrę obok tego niezwykle życzliwego człowieka, który nawet nie zauważył, co się ze mną dzieje. Umieram. Tak, tak, tak. Och, to imadło, ta straszna machina, lęk i ból w piersi i stopie. Nie potrafię już mówić. Nie potrafię myśleć. Zostało już tylko umieranie. Śmierć w Cannes, na ulicy Croisette. Teraz znów wirują czerwone światła w chryslerze, wszystko się kręci. Z rękami przyciśniętymi do piersi wiłem się z bólu. Jazda była trudna. Tilmant musiał bardzo uważać, żeby nie spowodować wypadku. Croisette była coraz bardziej zatłoczona.

– ...najpierw z Kilwoodem. Ale powiedział, że nie pomoże. Potem z innymi, ci także odmówili, bo chcieli go może zniszczyć, popchnąć do samobójstwa. Mieli zapewne powody, których możemy się domyślić. To jedna z hipotez, a jest ich zapewne więcej, prawda? – Rozgadał się, nie zwracając uwagi na moje odpowiedzi.

Usta pełne miałem śliny. Pot zalewał mi oczy. Imadło. Imadło zaciskające się mocno jak nigdy dotąd. Umieram. Kocham cię, Angelo. Nie, nie, nie, wiem, że i ty mnie kochasz. Może już nie? Mogę więc umrzeć spokojnie. Ach!...

– ...a więc Hellmann popełnił samobójstwo. Pielęgniarka, która mogła być we wszystko wtajemniczona, dostarczyła mu dynamit. Zamordowano ją. Zamordowano Viale'a, a potem Kilwooda. Pana pobito, a wczoraj próbowano upozorować wypadek samochodowy. Wszystko to nie przemawia jednak za samobójstwem, ale za zabójstwem, które na wszystkie sposoby próbowano zatuszować. Wiem, że to okrutnie zabrmi, co teraz powiem...

Czerwien! Wszystko czerwone! Rozpływają się światła samochodów, głos Tilmanta dobiega jakby zza światów. Do krwi zagryzałem wargi, żeby nie jęczeć, nie krzyczeć z bólu i strachu przed śmiercią. Jakby trochę przeszło. Z Angela na pewno się spotkamy, nie może być inaczej. A gdybym tak wszystko opowiedział Tilmantowi. Nie, nie, nie wolno mi. Że też zgodziłem się na tę jazdę. Teraz nie wysiądę. Byłem uwieczony.

– ...widzi pan, przysłano mnie, żeby zapobiec wielkiemu skandalowi, żeby, na ile można, wszystko wyciszyć. Sądzę, iż zdaje pan sobie sprawę, jak się czuję.

– Ach!

– Tak właśnie myślałem. – Skinąwszy głową, patrzył przed siebie. To niepojęte, że jeszcze niczego nie zauważył. Serce biło mi teraz jak oszalałe, czułem je wszędzie. Wydawało mi się, że jakieś rozżarzone pierścienie zaciskają się wokół mojej lewej stopy, wokół całej lewej nogi.

– Nie jest pan specjalistą od kryminalistyki. Morderstwa i napady mogły mieć – powtarzam: mogły mieć – zupełnie inną przyczynę. Z pewnością klan miliarderów ma swoją tajemnicę. Na najwyższym szczeblu zdecydowano, żeby mu się nie przeciwstawiać, bo skutki byłyby trudne do przewidzenia. Powiedziałem już, że nienawidzę misji, którą mi powierzono. Skoro ją jednak przyjąłem, muszę pana o coś zapytać, proszę tylko mną nie gardzić: – Czy we wniosku ubezpieczeniowym nie mógłby pan uwiarygodnić wersji samobójstwa?

Było coraz gorzej. Gorzej i gorzej. Nie potrafiłem już oddychać.

– Wyba...

– Chwileczkę. Propozycję składałem w interesie nas wszystkich. Wiemy obaj, monsieur, że nie wygramy z tymi bogaczami. Aby przeszkodzić jeszcze większemu nieszczęściu i nie prowokować dalszych morderstw, powinniśmy całą sprawę zatuzszować i jak najszybciej o niej zapomnieć. To straszne, co mówię, ale nie widzę innej drogi. Towarzystwo pańskie, jeśli złoży pan w nim oświadczenie, że było to samobójstwo, nie będzie musiało płacić. Myślę, że ta wersja z pewnością będzie zaakceptowana, a i madame Hellmann nie będzie się upierać przy odszkodowaniu. Bez wątplenia i jej, i innym osobom chodzi o nieporównywalnie ważniejsze rzeczy. Brak podstaw do wypłacenia odszkodowania to znakomity pretekst do dalszego wyciszenia sprawy. Stanowisko pańskiego towarzystwa mogłoby przysłużyć się i temu, by Kessler przerwał swoje śledztwo. Zechce więc pan swojej firmie...Sądzę, że wówczas teoria samobójstwa zyskałaby przewagę nad innymi hipotezami i mielibyśmy szansę... Monsieur Lucas! Monsieur Lucas! Co z panem?

– Ja...ja....

Stało się. Dusilem się, w środku trawił mnie ogień. Wreszcie Tilmant zauważył. W panice nacisnął na hamulec. Wozem szarpnęło i w tym samym momencie runąłem do przodu. Przypominam sobie jeszcze, że głową uderzyłem w tablicę rozdzielczą. Nic więcej nie zapamiętałem.

Biało. Wszystko w bieli i bardzo jasno.

Z łękiem i powoli spróbowałem zaczerpnąć powietrza. Udało się bez trudu. Zniknął ból, zniknęło imadło. Ostrożnie otwierając oczy, przyzwyczajałem je do bieli i tej jasności. Leżałem na łóżku w ubraniu, ale bez butów. Obok siedział i obserwował mnie wysoki mężczyzna około pięćdziesiątki, twarz miał szeroką, włosy czarne i skręcone. Ta twarz należeć mogła do malarza albo poety.

– No wreszcie – usłyszałem jego głos.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Joubert, jestem lekarzem, leży pan w szpitalu Broussailles.

– W szpitalu?

– Tak, monsieur Lucas.

– Skąd pan zna moje nazwisko?

– Podał mi ten pan, który pana przywiózł.

– Monsieur Tilmant?

– Tak. Czekał jakiś czas, ale musiał wyjść, miał jakieś pilne spotkanie. Zdążył już dzwonić. W samochodzie miał pan...

– Tak. – Patrzyłem na Jouberta. – Która teraz godzina?

– Dwudziesta pierwsza, monsieur. Jakiś czas był pan...nieprzytomny. Gdy pana przywieziono, dałem panu zastrzyk. Przeciw...atakowi. Teraz wszystko w porządku, czy tak?

– Najzupelniej.

– Sądzi pan, że będzie mógł wstać?

– Nie wiem.

– Niech pan spróbuje.

Podniosłem się. Czulem się, jakby mnie nigdy nie bolała stopa, jakbym nie miał ataku serca. Doktor Joubert obserwował mnie z uśmiechem, a potem też wstał.

– Cudownie!

– Wspaniale.

– Monsieur Lucas, to przecież nie pierwszy raz zdarza się panu coś takiego. Zawahałem się.

– Obowiązuje mnie tajemnica lekarska, może być pan spokojny.

Zaufałem mu natychmiast.

– Nie, nie pierwszy raz – i opowiedziałem mu o wcześniejszych atakach, wzięcie u doktora Betza, po prostu wszystko.

– Mam *claudicatio intermittens*, tak powiedział lekarz w Düsseldorfie.
– Zgadza się – rzekł Joubert. – I chore serce. Obejrzałem lekarstwa, które panu przepisał, wypadły z kieszeni, gdyśmy wnosili pana na górę. Dzisiejszy atak był szczególnie silny.

– Najgorszy, panie doktorze – potwierdziłem. – Co mam robić? Czy w chorobie nastąpił jakiś postęp?

– Nie wiem, jaki był stan, gdy badał pana niemiecki lekarz. Czy dużo napięć miał pan w ostatnim okresie?

– Bardzo dużo. W dodatku paliłem, o czym powinien pan wiedzieć, poza tym wiele pracowałem i stale byłem w drodze. Pracy nie skończyłem, nie mogę więc sobie pozwolić na zwolnienie tempa. I... panie doktorze, bardzo bym prosił, żeby nikt się nie dowiedział o moim wypadku, nikt, nawet monsieur Tilmant, który mnie przywiózł.

– Zapewniałem już pana, że obowiązuje mnie milczenie. Bez wyraźnego pańskiego zezwolenia nikt trzeci niczego się ode mnie nie dowie.

Odetchnąłem głęboko.

– Mam jeszcze do pana prośbę.

– Słucham.

– Czy mógłby mi pan zbadać stopę i serce i powiedzieć, jak z nimi jest – i to zaraz?

– Chciałem to właśnie panu zaproponować.

– I powie mi pan prawdę, zgoda, doktorze Joubert?

– Proszę za mną.

Zaprowadził mnie w szpitalu do różnych miejsc, gdzie zrobiono EKG i inne badania. Sam dokładnie przebadał mi serce i przede wszystkim stopę. Zauważyłem, że kontrolował puls obu stóp. Po godzinie miałem badania za sobą. Przeszliśmy do pokoju, gdzie poza biurkiem, zawalonym papierami, i pełnymi książek regałami stały tylko dwa fotele i łóżko, na którym chyba spał w godzinach nocnego dyżuru. Usiadłem.

– No więc jak, panie doktorze?

– Zależało panu na prawdzie, czy tak?

– Oczywiście.

– Całej prawdzie?

– Ależ tak!

– Potrafi pan ją znieść?

– Na pewno – potwierdziłem. – Jeśli czegoś nie zniósłbym, to dalszej niepewności.

– No więc dobrze – przeciągał słowa. – Zatem... – Spojrzał na mnie rozmazonymi oczami, które teraz zmieniły się, stając się bardzo jasne i poważne. – Jest

pan chory, panie Lucas. Ciężko chory. Niechętnie o tym mówię. Początek dusznicy bolesnej, którą można jednak blokować nitrostenonem, czy też, w razie konieczności, innymi środkami. Katastrofalnie natomiast wygląda pańska lewa noga.

– Lewa stopa.

– Niestety, cała noga aż do uda. Nie tylko w lewej stopie, ale i w całej lewej nodze ma pan poważne zaburzenia w krążeniu. Koniec z papierosami.

– Tak, tak... Proszę dalej.

– Dalej... – Nie spuszczał oczu z mojej twarzy. – Lewa noga stracona.

– Co znaczy stracona? – W pytaniu zdobyłem się na chłód i spokój.

– To znaczy, że musi się pan liczyć z amputacją lewej nogi najpóźniej za sześć miesięcy, a może nawet dużo wcześniej.

– Amputacja?

– Miał się pan nie obawiać prawdy.

– Przecież nie histeryzuję, ale amputacja... nie ma innych możliwości?

– Nie, monsieur Lucas, nawet jeśli pan już nie zapali ani jednego papierosa.

Nawet, jeśli pan będzie żył rozsądnie i bez napięcia, bóle w stopie będą wracać i to coraz dokuczliwsze. Dzisiejsze były niczym w porównaniu z tymi, które pana czekają. Nie zniesie ich pan.

– Może jednak.

– Nie – powtórzył.

– Są przecież na to jakieś lekarstwa.

– Jaki to ma sens, pańska noga musi zostać amputowana. Musi, monsieur.

– Ale dlaczego, skoro jakieś środki pomogłyby mi znosić ból?

– Bo zaczniesz obumierać, zaczniesz gnić. Bez amputacji umrze pan na gnijącą nogę, monsieur Lucas.

Milczałem. Patrzyliśmy na siebie.

– To było brutalne – stwierdził.

– Tak. Ale mimo wszystko dziękuję panu. Bardzo dziękuję, doktorze Joubert.

– Powiedział pan, że zniesie pan prawdę, monsieur. *Voilà*, oto ona.

– A pan dał mi słowo, że nikomu nie powie.

– Przysięgam panu – oświadczył doktor Joubert.

Portier z „Majestica” miał dla mnie wiadomość.

- Proszę natychmiast zadzwonić do pana Tilmanta.
- Dziękuję.

Pojechałem na górę. Także i tej nocy było bardzo ciepło. Usiadłem przy telefonie i poprosiłem o połączenie z panem Tilmantem w hotelu „Carlton”. – Musiałem pilnie wyjść – w jego głosie było zmieszanie. – Miałem spotkanie z naczelnikiem policji, a w szpitalu powiedziano mi, że z panem sprawa może się przeciągnąć. Co się stało, na miłość Boską?

Zaśmiałem się.

– Nic! Ależ nie! To z tutejszego upału, powiedział lekarz. Nie nawykłem do takiej patelni. Za dużo było dzisiejszej bieganiny. Niegroźne zaburzenia w krążeniu.

– Czy to aby prawda?

– No wie pan! Naturalnie, że prawda. Doktor Joubert przebadał mnie od stóp do głowy. Przepisał mi coś i powiedział, że muszę unikać słońca. A poza tym w porządku.

– Ejże?

– Nie wierzy mi pan? Przysięgam!

Doktor Joubert w końcu także złożył mi przysięgę.

– Już dobrze, dobrze, niech się pan zaraz nie obraża. W każdym razie ulżyło mi. W samochodzie nie było z panem wesoło.

– Niech pan będzie spokojny.

– Tak? Więc dobrze, będę.

Pomyślałem, że powinienem teraz wrócić do naszej nie dokończonyj rozmowy.

– Nie będzie odpowiedzi na pańską propozycję, drogi monsieur Tilmant. Rozumiem w pełni trudną sytuację, w której pan się znalazł, co zresztą widać gołym okiem.

– Widać? – zapytał zrezygowany.

– Tak. Zbyt porządny z pana człowiek, żeby mogło się panu coś takiego podobać. Tym bardziej mi przykro, że nie mogę spełnić pańskiej prośby. Mam swoje obowiązki i sumienie, jak pan. Przykro mi, że pana zawiodłem. Nie ma też sensu rozmawiać z Kesslerem. Nigdy by na coś takiego nie poszedł.

Nastąpiło długie milczenie.

– Monsieur Tilmant! Słyszał pan, co powiedziałem?

– Dokładnie. To była tylko próba, zmuszony jestem szukać różnych rozwiązań.

Powinienem wiedzieć, że pan nie... – westchnął. – Najgorsze, że widzę, jak się to wszystko skończy.

– Jak?

– Na pewno nie tak, jakbyśmy sobie tego życzyli – rzekł ze smutkiem. – Na pewno tak, jak ci panowie z góry sobie ustalą, tak chyba będzie. I jak będą chciały inne osoby. To łatwe do przewidzenia, dlatego moje wysiłki zakończą się sukcesem, z którego niestety nie będę dumny. A pan, monsieur, pan będzie... Dajmy spokój, każdy musi robić to, co musi. I mimo wszystko dziękuję panu!

– Za co?

– Za postawę.

– Ach, postawę...

Po rozmowie wziąłem prysznic, narzuciłem szlafrok i rozlokowałem się na balkonie przed wielkim oknem. Naprzeciw miałem Croisette, światła, morze i dobrze znajomy widok tego cudownego miasta. Jeszcze mogłem się nim cieszyć, mogłem pracować i zarabiać. Miałem jeszcze obydwie nogi. Na koncie były pieniądze, wypłacono mi pensję.

Jeszcze.

Ale nie uniknę przeznaczenia, pomyślałem, a na końcu mej drogi jest nieszczęście i upadek, samotność i bieda. W tej sytuacji być może dobrze się stało, że Angela uwierzyła żonie, a nie mnie i zerwała ze mną, nie mogąc mi zaufać. To straszne, co cię spotyka, stary, mówiłem do siebie, ale prawdopodobnie za jakiś czas – za jaki? – najpóźniej za sześć miesięcy będzie to jedyne rozwiązanie. Istnieje przecież Bóg, który sprowadza wszystko na właściwą drogę. Zwykle nie od razu pojmujemy, dlaczego coś się potoczyło w taki, a nie inny sposób. Dziś potrafię to zrozumieć. Przejrzałem cię, Boże, i wydaje mi się, jakbyś nawet chciał dla mnie dobrze! Bo jak zniósłbym te najbliższe sześć miesięcy u boku Angeli, teraz gdy znam prawdę o sobie? Jak ona by je zniosła, gdybym jej powiedział, a przecież musiałbym to zrobić. Na pewno byłaby dzielna i pocieszała mnie, mówiąc nawet wtedy, gdyby mi amputowano nogę, że to niczego nie zmieni w jej uczuciach. Tak by się zachowała, mój stary, przekonywałem siebie, gdyby cię jeszcze kochała i gdyby dzisiaj z tobą nie zerwała. Mój Boże, jak długo żyłaby szczęśliwie z facetem, któremu została tylko jedna noga, który, o ile w ogóle miałby szansę pracy, przez wiele miesięcy byłby wyłączony z normalnego życia? Oczywiście, wyślą cię na emeryturę, innego wyjścia nie mają. Zerwałeś z Angelą, odszedłeś od żony. Prędzej umrę, nim wrócę do Karin. Niech umrę, ale sam, błagam, sam. Jak? Gdzie? Pieniądze z konta szybko stopnieją. Emerytury nawet nie ma co porównywać z pensją. Zresztą Karin dostanie jej część, bo prawdopodobnie nigdy nie dopuści do rozwodu. Gdy mi amputują nogę, wykalkuluje sobie, że może szybko zejść z tego świata i wówczas wszystko zgarnie – mieszkanie, meble, ubezpieczenie,

wszystko. Załóżmy, że nie rozstałem się z Angelą – czy dałbym sobie radę finansowo, gdybym nie mógł pracować w „Globalu” (co do tego, że by mnie nie zatrzymali, nie miałem wątpliwości)? W moim zawodzie trzeba mieć żelazne zdrowie. Co mógłbym robić innego? I ile bym zarobił? Dla Angeli stałbym się tylko ciężarem. Nie chcę nawet o tym myśleć, wszystko, Boże, mądrze urządziłeś, stwierdziłem w duchu. Bardzo mądrze, nawet jeśli teraz bliski jestem końca, i to bez Angeli. Może zasłużyłem na karę, za to, że zostawiłem Karin, że nie miałem współczucia ani litości. I to bez znaczenia, jaka ona jest. Może właśnie dlatego.

Było już późno, Croisette ucichła w dole i opustoszała. Mijały godziny, a ja wracałem wciąż tylko do tego jednego: noga nie boli, pozornie wszystko w porządku, ale najdalej za sześć miesięcy czeka mnie amputacja. Są podobno doskonałe protezy, może więc po pewnym czasie jakoś się do sztucznej nogi przyzwyczaję, ale do ciężkiej pracy już się nie będę nadawać. Jak dziwne jest życie, pomyślałem, w którym w ciągu jednego dnia wszystko może się zawalić. Wszystko, miłość, szczęście, a nawet samo życie.

Gdy tak siedziałem, rozpaczliwie tęskniłem za Angelą, nie mogąc zrozumieć, jak mogliśmy się w ten sposób rozstać! Moje nocne rozważania sprawiały mi ból, ale wtedy zaraz zaczynałem chłodno myśleć o pieniądzach, kalectwie i biedzie. Oczywiście, łudziłem się, że doktor Joubert może się mylić. Ale zaraz wracałem do tego samego: jeśli lekarz z taką stanowczością decyduje się na ujawnienie gorzkiej prawdy, to do diabła, wie, co mówi. Przełknij tę pigułkę, mój stary, mówiłem sobie, udław się, tak wygląda twoja przyszłość. Nie miałeś pojęcia o szczęściu, potem przez krótką chwilę doświadczyłeś go. Bóg nie dał ci więcej, tylko tyle i wszystko minęło. Jesteś teraz sam i sam pozostaniesz. Jak to jest w „Ryszardzie III”?

„Rozpaczaj i giń!”

Jeszcze nie uległem rozpaczcy. Od amputacji na ogół się nie umiera, ale wszystko może się zdarzyć. Dla mnie to bez znaczenia, tak jak inne sprawy. Pieniądże. Dwie kobiety. Różnica lat dzieląca mnie od Angeli. I nawet dzisiejszy dzień, którego mogło nie być. Stary i do tego jeszcze kaleka. Nie, nie, Bóg postępuje słusznie, przekonywałem się. Choć to bardzo boli, zrozum. Tak, tak, rozumiem. Nie miałbym już sił, żeby roztrwonić przez sześć miesięcy to, co mi jeszcze pozostało, w pogoni za pozornym szczęściem. Alkohol. Dziwki. Hazard. Nie, pomyślałem, nic takiego nie zrobię. Wreszcie po wielu godzinach doznałem uczucia spokoju. Teraz jeszcze tylko szczęśliwie doprowadzić sprawę Hellmanna do końca, ostatecznie „Global” dobrze mi płaci. W wirze zajęć zapomnę o Angeli, samotności i czekającej mnie operacji. Zobaczymy, co potem. Teraz należy zasnąć, postanowiłem w duchu.

Poszedłem do łóżka, ale nie zasnąłem. Myśli wciąż kotłowały mi się w głowie, było mi duszno, przewracałem się z boku na bok. Przeklinałem życie, przeklinałem Angelę, przeklinałem Boga. Łatwo mówić o rozsądku, rzeczywistości i rozwadze komuś, kto potrafi znieść wszystko. Co innego, gdy się leży w łóżku, w samotności, bez kogoś, kto z tobą rozmawia i do ciebie należy, w obcym mieście, bez domu i bez nadziei. Naprawdę, to zupełnie co innego.

14.

Malcolm Thorwell z namaszczeniem wybierał właściwy kijek, to podchodził, to oddalał się, przymierzając się do piłki, czas przestawał dla niego istnieć. Laską zatoczył wreszcie nad głową krąg i uderzył w piłkę, która przeleciała nad pagórkowatym polem z wypielęgnowaną trawą.

– Nieźle – z zadowoleniem pochwalił sam siebie. W lnianych spodniach koloru ziemi i jedwabnej koszuli z barwnym fularem wokół szyi wyglądał niezwykle elegancko, może nawet zbyt elegancko jak na człowieka uprawiającego sport. Ruchy miał kobiece, głos miękki, śpiewny, melodyjny. Podeszliśmy do czwartego dołka, koło którego wylądowała piłka. Za nami z wózkiem pełnym kijków i piłek kroczył caddy, piegowaty czternastolatek. Mówił tylko po francusku, my natomiast rozmawialiśmy po angielsku.

Było to we wtorek, 13 czerwca, o wpół do dziewiątej. Zadzwoiłem do domu Thorwella z rana, wiedząc, że codziennie grał w golfa na pięknych terenach koło Mougins i to zazwyczaj wczesnym przedpołudniem, ze względu na upał. Swoim bentleyem zabrał mnie sprzed „Majestica”. Tej nocy spałem może tylko pół godziny, ale czułem się świeżo i zdrow. Nie pomyślałem ani o Angeli, ani o nodze, którą miano mi amputować, nawet mi to do głowy nie przyszło. Chwileczkę, chyba pisząc te słowa jednak skłamałem.

– Uroczy, prawda? – i rozpromieniony obrócił się w stronę caddy'ego, który ciągnął za nami wózek. W odwzajemnionym uśmiechu chłopca znać było radość. – Jestem nim oczarowany, a on mną. Zawsze tylko ze mną chce chodzić, z innymi nie. Przyłgnał do mnie, słodki urwis. A te piegi – zachwycające, prawda?

– W istocie – nie podtrzymałem tematu. Przekazałem Thorwellowi wszystko, co usłyszałem od Seeberga – jego wersję o zachowaniu się Hellmanna we Frankfurcie i domysły dotyczące tego, co się na posiedzeniu wydarzyło i popchnęło Hellmanna do samobójstwa. Zakończyłem pytaniem:

- Wierzy pan w taką teorię?
- Jaką...ach, tak, naturalnie. Nie, nie wierzę, to absurd, mister Lucas. Robił z nami interesy od wielu lat, to znaczy z nami i Kilwoodem. To był zimny drań. Miałby się bać o swoją reputację? Miałby się nagle opamiętać? No, wie pan! Nie zna pan bankierów, nie tak szybko ulegają panice, mają stalowe nerwy.
- A więc nie wierzy pan w samobójstwo?
- Nie. – Idąc kołysał biodrami, a ja dreptałem obok niego. Choć szliśmy dość szybko, z nogą było w porządku. – W dalszym ciągu wierzę w morderstwo.
- Dlaczego chciano zamordować Hellmanna?
- Tego nie wiem, ale wszystko za tym przemawia – mam na myśli to, co się zdarzyło po jego śmierci. Widzi pan przecież, że każdy, kto się z tą sprawą zetknął, kto mógłby cokolwiek zdradzić, jak ten pijaczek John Kilwood, kto choć trochę wiedział, jak Viale czy pielęgniarka, że każdy z nich ginie. A więc musi być jakiś morderca, zgadza się pan? Czy nie mógł też sprzątnąć Hellmanna? I teraz się zabezpiecza. Słyszałem, że nawet ktoś próbował pana zastraszyć.
- Tak – potwierdziłem. Byliśmy już przy piłce. Leżała w małym zagłębieniu, tuż koło dołka. Thorwell ocenił sytuację i wybrał inny kijek, a przy okazji pogłaskał chłopca po czuprynie i policzku. Przymierzył się do piłki i wycelował. Piłka wtoczyła się do dołka.
- Brawo – pogratulowałem. Caddy przyniósł piłkę i przygotował ją do następnego uderzenia. Thorwell nie był tu jedynym graczem, w oddali dostrzegłem innych, ale mimo to na polu golfowym było wyjątkowo spokojnie.
- I kto to mógł być?
- Podejrzewa pan mnie, prawda? Że sam to zrobiłem lub komuś zleciłem, tak? – Uśmiechał się do mnie prawie tkliwie. – Widzi pan, jak jedwabiste rzęsy ma ten mały? Jak dziewczyna. Piękne, prawda? Miałbym powód do odwetu, bo manipulacje dewizowe i wszystkie inne transakcje, które Kilwood zlecił Hellmannowi, doprowadziły brytyjską spółkę kooperującą z KOOD do plajty, a należy ona prawie w całości do mnie. – Zaśmiał się cicho. – Nie było to dla mnie przyjemne, mister Lucas, ale orientuje się pan zapewne, że to tylko jedno z wielu przedsięwzięć, które do mnie należą.
- Tak, wiem.
- I że ta plajta nie zrujnuje mnie, proszę wierzyć.
- Zapewne.
- A więc widzi pan. – Podparł się lekko kijkiem. – Niech pan nie zapomina, że przecież i do mnie należy KOOD – do nas wszystkich. I że zawsze popierałem zabiegi Kilwooda i Hellmanna. Przez nich upadła moja firma, to dla mnie pech, ale nie mogłem mieć pretensji do Hellmanna, bo przecież wszystkie transakcje

przeprowadzał pośrednio i na moje zlecenie. KOOD istnieje dalej, mam w nim duży udział, jak zresztą inni – Sargantana, Tenedos, Fabiani i Kilwood. Hellmann nie żyje, ale ma spadkobierców.

– Jednym słowem uważa pan, że żadna z tych osób nie miała żadnego interesu w zamordowaniu Hellmanna.

– W istocie tak.

– Ale pan się przecież upiera przy morderstwie.

– Czy powiedziałem, że to ktoś z nas? Nie przypominam sobie, mister Lucas, żebym tak powiedział. Morderca istnieje, jestem pewien, ale nie należy go szukać w naszym gronie. To musi być ktoś spoza układów, dlatego wszystkim nam, czego przykładem Kilwood, grozi niebezpieczeństwo. Mogę się tylko łudzić, że okażecie się sprawni i znajdziecie mordercę, zanim jeszcze raz uderzy, jak w przypadku biednego Johna.

– John Kilwood oskarżał siebie i jak się wyraził trochę mgliście – „nas wszystkich”, chyba pan sobie przypomina.

– John był skończonym alkoholikiem. Niech Bóg ma w opiece jego duszę.

– Mówił także o Algierczyku z La Bocea, od którego wszystko się zaczęło. Znaleźliśmy go, to on dostarczył dynamit do bomby. Odebrała go pielęgniarka pani Hellmann.

– Tak powiedział Algierczyk.

– Pielęgniarkę zamordowano, zanim mogliśmy ją przesłuchać.

Thorwell znów zajął się grą. Dwa razy zmieniał kijki, pogładził ręką caddy'ego, wpatrzonemu w niego jak w obraz i przycałił się przy piłce.

– Może była w zмовie z mordercą.

– Ale skąd Kilwood wiedział o Algierczyku z La Bocea?

– Mógł mieć własne kanały informacyjne i wiedzieć więcej od innych.

– Powiedział pan, że był pijakiem.

– Dlatego mógł śledztwo prowadzić na własną rękę! – Wreszcie zdecydował się poderwać piłkę. Ruszyliśmy przez trawnik. – Policja stoi w miejscu. Pan stoi w miejscu. Jesteście przecież ekspertami, więc dlaczego nie posuwacie się naprzód?

– No właśnie, dlaczego? – podtrzymałem pytanie.

– Bo uroiliście sobie wszyscy, że to ktoś z nas zrobił, z naszego grona. Niech pan da sobie spokój z takim pomysłem, bo nigdy pan nie dotrze do prawdy, mister Lucas. Przypisujecie nam więcej, niż trzeba. Nie jesteśmy tajnym sprzysiężeniem, to nie *cabala*, mister Lucas!

Cabala – znowu to słowo! W angielskim więc również istnieje. Lacrosse określił nim najbogatszych z Cannes, podejrzewając, że tworzą tajne sprzysiężenie.

Malcolm Thorwell roześmiał się i podążył za piłką, a za nim mały caddy i ja. Pięknie było na tym polu golfowym w Mougins. Wdychałem głęboko świeże powietrze. Wiał lekki wiatr. Soczyste, młode liście drżały na wierzchołkach starych drzew. Zauważyłem je, gdy spojrzałem w niebo, by sprawdzić, jak wysoko wspięło się słońce.

15.

Okolo jedenastej wróciłem do hotelu. W wielkim basenie przed hotelem kilko-
ro gości korzystało z kąpieli, a inni wylegiwali się na słońcu. Przy znajomym stoli-
ku na rogu dostrzegłem Pasquale Trabaud, która dawała mi jakieś znaki. Podszed-
łem do niej. Ubrana była w przewiewną bluzkę i spodnie z bardzo cienkiego
materiału.

Do naszego kącika nie dotarło jeszcze słońce.

– Czekam od dwóch godzin – oznajmiła, gdy tylko przywitaliśmy się i usiad-
łem koło niej.

– Nie przypuszczałem, że cię tu spotkam – usprawiedliwiłem się.

– Bo nie mogłeś. Gotowa byłam czekać następne dwie godziny, ba, nawet
cztery. Kiedyś przecież musiałeś wrócić do hotelu.

Zjawił się kelner.

– Co pijesz? – spytałem.

– Dżin z tonikiem.

– Proszę więc to samo – powiedziałem. – Dla madame również.

Kelner zniknął.

– O co chodzi, Pasquale?

– Angela.

– Co z Angellą?

– Przyszła wczoraj wieczorem do nas. Nocowała – nie mogliśmy jej w takim
stanie zostawić samej. Dzisiaj z rana Claude odwiózł ją do domu, bo wóz miała
jeszcze w naprawie.

– Co znaczy – w takim stanie?

– Była kompletnie wykończona. Wszystko nam opowiedziała. O liście twojej
żony, jak ona na niego zareagowała, a potem jak ty... jak ją uderzyłeś i poszedłeś
sobie.

– Straciłem panowanie nad sobą – przyznałem. – Przepraszałem, było mi
piekielnie przykro, naprawdę.

– Wiem. I Angela też, jej także było strasznie przykro.

– Dlaczego?

– Że się tak zachowała i uwierzyła w to, co napisała twoja żona, a nie tobie.

O Boże, pomyślałem, Boże, co ty ze mną wyprawiasz? Ledwie pogodziłem się z przeznaczeniem, a ty znowu wszystko wywracasz do góry nogami. Boże, bądź kimkolwiek jesteś ty, który sprawiasz to wszystko i tolerujesz, miej litość nade mną, jestem przecież chory, nie potrafię tyle znieść.

– Nic nie mówisz – zauważyła Pasquale.

– A cóż mam powiedzieć?

– Jakbym słyszała Angelę. Też nie wie, co ma ci powiedzieć, brak jej odwagi. Nie widziałam, Robercie, bardziej nieszczęśliwej osoby. Nie ma pojęcia, że tu jestem. Idź do niej, Robercie.

– Nie... nie... Nie mogę.

– Już jej nie kochasz?

Poczułem jakby piasek pod powiekami, szybko odwróciłem więc wzrok i popatrzyłem w stronę basenu, gdzie właśnie jakaś młoda, śliczna dziewczyna skakała do wody, rozbryzgując ją na wszystkie strony.

– Kocham ją – z trudem wykrztusiłem – kocham ją bardziej niż kiedykolwiek. I będę kochał bez względu na to, jak postąpi.

– To samo mówi ona, Robercie. Jest jej przykro, bo myśli, że nigdy nie naprawi tego, co zrobiła, dlatego to ty musisz do niej pójść.

Milczałem. Czuję, jak powoli wracało do mnie szczęście i – co dziwne – jednocześnie wypełniał mnie smutek. Jeśli miłość nasza ocaleje i będzie trwała przez parę miesięcy, wszystko skomplikuje się jeszcze bardziej, a ja się już przecież pogodziłem z losem.

Pogodziłem? I natychmiast sobie odpowiedziałem: ani na sekundę, ani na ułamek sekundy! Rób Boże, co chcesz, dozwól tylko, bym mógł być z Angelą. Choćby przez chwilę, póki czas mój się nie wypełni, tak mało nam go przecież zostało.

– Robercie! Odpowiedz! Proszę cię, odpowiedz!

Widziałem, jak nadchodził kelner z tacą, ale nie czekałem, tylko zerwałem się bez słowa i wybiegłem, aż obejrzelisi się za mną siedzący na tarasie ludzie.

Serge, znajomy dozorca z hotelowego parkingu popatrzył na mnie ze zdumieniem, gdy się na niego natknąłem.

– Taxi! – rzuciłem. – Niech pan szybko zamówi, proszę!

Pobiegł po taksówkę, a ja oddychając coraz szybciej i głębiej, stałem w jaskrawym słońcu i patrzyłem na kwiaty rosnące przed hotelem. Angela. Angela. O Boże niebiański, Angela.

Gdy otworzyła drzwi, wydała mi się jakaś krucha i zmęczona. Twarz jej zdradzała nieprzespaną noc. Brązowe oczy miała głęboko podkrążone, usta jej drżały. Chciała coś powiedzieć, ale zamiast słowa wydała tylko ochryply dźwięk.

Wziąłem ją w ramiona i delikatnie pocałowałem w usta. Rozpłakała się.

– Angelo, proszę!

Potrząsnęła głową i chwyciwszy mnie za rękę, poprowadziła na taras mieniący się od kwiatów w jaskrawym słońcu. Usiedliśmy w cieniu rozpiętej markizy, nie patrząc na siebie i długi czas nie odzywając się. Spoglądałem na miasto i morze, śledziłem niebo i samoloty i odniosłem wrażenie, jakbym świat oglądał w lupinie orzecha, jak w tym wierszu: „Widzę Jeruzalem i Madagaskar, Amerykę Północną i jej Południe...”. Ciągle trzymaliśmy się za ręce. Angela patrzyła na żywopłot z bugenwillami, ale myślę, że nic nie widziała.

Wyszeptała wreszcie:

– Przykro mi, Robercie, tak mi przykro.

– Ani słowa, Angelo – przerwałem. – To już za nami.

– Tak – ścisnęła mi dłoń. – Minęło i nigdy się nie powtórzy, mimo to czuję się kiepsko, mam strasznego moralnego kaca. Jak mogło do tego dojść?

– Nie myśl o tym więcej.

– Muszę... Nie potrafię i nawet nie chcę zapomnieć. Myślałam, że kocham cię, jak kochać może tylko kobieta. Ale nie zaufałam ci, pozwoliłam odejść, uwierzywszy temu, co napisała twoja żona.

– Uwierzyłaś, bo kochasz szczerze – powiedziałem. – Morze zaroilo się znowu od różnokolorowych żagli. – Tylko dlatego. Na twoim miejscu zrobiłbym to samo.

– Nieprawda, ty byś nigdy we mnie nie zwątpił.

– A może – i w tym momencie nasze spojrzenia spotkały się. W oczach jej zaiskrzyły się złote punkciki. – To dopiero początek, Angelo. Musimy się starać panować nad emocjami. Jesteśmy dopiero na początku drogi, na której czeka nas jeszcze wiele zła, podłości i potwarzy. Ale wiedzieliśmy przecież o tym, prawda? – Przytaknęła, nadal poważna i zwrócona ku mnie. – Wczoraj obojgu nam zabrakło rozwagi. Uderzyłem cię... – Położyła mi palec na usta. Wziąłem ją za rękę i podjąłem wyzwanie. – Uderzyłem cię i odszedłem w gniewie. Zostawiłem cię samą. To się już nigdy nie powtórzy.

– Już nigdy – doszło mnie jej echo.

O Boże, pomyślałem, i w myślach zobaczyłem doktora Jouberta, jak mówił: „...w ciągu sześciu miesięcy. Taka jest prawda, monsieur Lucas. Tę prawdę chciał pan znać...”

Przecież amputacja nogi to jeszcze nie śmierć. Pewnie, czasem się zdarza, ale rzadko.

– Skrzywdziłam cię bardzo – wyznała Angela.

– Ja też zadałem ci ból.

– Nieprawda, nigdy – rzekła z przekonaniem. – Dzisiaj widzę to wszystko bardzo jasno i teraz mam na to dowód. Jej oczy zasłoniła mgła. – Zbliź się, Robercie – wyszeptwała.

17.

Siedziałem w kuchni na stołeczku i przypatrywałem się, jak Angela przygotowuje dla nas obiad. W kuchni i salonie gadały telewizory, dochodziły mnie wprawdzie nadawane wiadomości, ale ich nie rozumiałem, gdyż bez reszty byłem pochłonięty patrzeniem na nią, jak się krzątała, wesoła i szczęśliwa. Gdy znalazła się w moim pobliżu, nachyliła się i pocałowała mnie.

– W obłąd już przeszła ta telemania – rzekła – nie denerwuje cię?

– Wcale.

– Zbyt taktowny jesteś, żeby się przyznać.

– Kiedy mówię prawdę.

– Widzisz, zbyt długo i za dużo byłam sama – nie zawsze oczywiście, ale za często. I dostałam bzika na punkcie telewizji. Wolisz chyba to, niż gdybym co noc hulała? A może się mylę?

– Nie – odparłem. – Wolałbym, byś noce spędzała na hulankach i pograżała się w bagnie rozpusty.

Pomogłem jej nakryć stół na tarasie i usiedliśmy do jedzenia pojednani. Po zmyciu naczyń sączyliśmy koniak z brzuchatych kieliszków, a Angela paliła papierosa. Na jej lewej dłoni iskrzyła się obrączka.

– Robercie – oznajmiła. Dzisiaj jest trzynasty czerwca, nasze pierwsze urodziny.

– Pamiętam – odparłem. Po wzruszeniach i nie przespanej nocy nic dziwnego, że zaczęła mnie ogarniać senność. – Chciałbym, żebyśmy ten dzień jakoś uczcili, tak przecież postanowiliśmy, pamiętasz?

- Świetny pomysł! Myślałam, żeby pójść do Nicolaia, do „L'Age d'Or”. Chciałabym koniecznie pokazać ci ten lokal.
- Ale przedtem pójdziemy na aperitif do naszego kącika w „Majesticu”.
- Dobrze.
- I ubierzemy się odświętnie, musisz pięknie dziś wyglądać, zgoda?
- „L'Age d'Or” jest bardzo znanym i eleganckim lokalem, ale tam się nie chodzi w stroju wieczorowym. Mogłoby się to wydać śmieszne.
- Wszystko mi jedno – uparłem się. – To nasz dzień i spędzimy go, jak chcemy. Zakochałem się w tej krótkiej, czarnej sukience, którą kupiłaś w „Old England”. Włóż ją, weź też klipsy, całą biżuterię, a ja ubiorę smoking.
- Naprawdę, chcesz?
- To przecież wielkie święto dla nas. A jeśli u Nicolaia będzie za elegancko, pójdziemy gdzie indziej.
- Nie, koniecznie do Nicolaia i tak odświętnie ubrani, jak sobie życzysz. Dla ciebie będę wyglądała pięknie.
- Dla mnie zawsze jesteś piękna.
- Trochę się podmaluję, trochę popudruję, no wiesz.
- Dobrze, do dzieła. Niech wszyscy myślą, że zwariowaliśmy, zresztą niech myślą, co chcą.
- Pewnie, że tak – zgodziła się Angela. – A Nicolai, gdy tylko nas oboje zobaczy, zrozumie w lot, o co chodzi... Robercie!
- Głowa mi się osunęła ze zmęczenia.
- Tak.
- Jesteś śpiący.
- Co znowu – broniłem się. – No, porządnie zmęczony.
- Ze mną nie lepiej. – Podniosła się. – Chodź na wyrko, zdrzemniemy się trochę, żeby świeżo wyglądać wieczorem.
- Tak więc położyliśmy się, a chłodny powiew wiatru, na górze zawsze obecny, przynosił ze sobą wspaniałe, rześkie powietrze. Wdychałem zapach nasłonecznionej skóry Angeli i poddałem się wszechogarniającemu zmęczeniu.
- Wiesz, czego najbardziej pragnę, Robercie? – odezwała się cicho.
- Czego?
- Nie teraz, ale kiedyś, później. Kiedy się wszystko jakoś ułoży, będziemy wolni i bez trosk.
- Co wtedy?
- Chciałabym z tobą odbyć podróż dookoła świata. Jej głos docierał do mnie z daleka. – Na wielkim statku, na przykład na „France”. Co ty na to?

- Hm...
 - Moglibyśmy zacząć stąd, okrążyć Afrykę, zobaczyć Casablankę, Kapsztad, Dar es-Salaam. A potem popłynąć w górę, do Karaczi i Bombaju, Madrasu, Kalkuty, Singapuru i Bangkoku. Tyle filmów i fotografii widziałam z tych miast i chciałabym je zobaczyć w rzeczywistości, z tobą, tylko z tobą. To moje największe życzenie. Takie podróże wokół globu nie są zbyt drogie.
 - Pojedziemy w świat – przyrzekłem, czując jak ogarnia mnie sen – i wspólnie obejrzymy wszystkie miasta, teraz jest to też moje marzenie. Niektóre z nich znam i będę ci mógł wszystko pokazać.
 - Cudownie, Robercie! – I mocniej przyłgnęła do mnie. – Hongkong, Manila, Tajpej, Nagasaki, Jokohama, Tokio...
- Słowa dochodziły do mnie coraz niewyraźniej. Potem zasnąłem. We śnie przeniosłem się do Afryki, do Dar es-Salaam i z jakimś handlarzem targowałem się o cenę koralu dla Angeli.

18.

Siedziała w łazience przed trójskrzydłowym dobrze oświetlonym lustrem swojej toaletki. Była tylko w samych majtkach w cielistym kolorze. Uporała się już z fryzurą, co poszło bardzo szybko, a teraz zajęta była makijażem, o który prosiłem. Z łóżka w sypialni przyglądałem się jej zabiegom. Przedtem była wspólna kąpiel, po której posmarowała, przy mojej pomocy, swoje ciało kremem. Powiedziała, że suche powietrze w Cannes i to, że lubi się wystawiać na słońce, zmusza ją do częstego nawilżania skóry. Teraz siedziała przed lustrem i zmywała twarz jakimś tonikiem, którym nasyciała gąbkę. Siedziałem i przypatrywałem się jej bez ruchu.

- To nudne dla mężczyzny – zauważyła. – Rusz się, Robercie, poczytaj sobie, wypij coś.
- Wolę ci się przyglądać.
- Lubisz?
- Nigdy tego nie robiłem, ale teraz sprawia mi to przyjemność.

Teraz kolistymi ruchami wklepywała w twarz inny krem i potem zaczęła, aż się wchłonie. Skupiona nie odrywała oczu od lustra, w którym mnie widziała. Nasze spojrzenia spotykały się, chociaż odwrócona była do mnie plecami. Sięgnęła po płynny make-up i rozprowadziła go po twarzy. Był w tym samym złocisto-brązowym odcieniu co jej skóra.

- Wyglądasz tym pudrem skórę, czy odgadłem?

– Tak. Mam ich parę w różnych odcieniach i w zależności od opalenizny dobieram kolor do skóry.

Skinąłem, co zauważyła w lustrze. Zamyśliłem się. W żadnym wypadku nie powiem jej dzisiaj, że czeka mnie amputacja, ale kiedyś będę musiał to zrobić. Jak się wtedy zachowa? Co będzie, gdy zaczniesz się pocieszać i współczucie? Jak wtedy postąpić? Okazać wdzięczność za każde słowo? Próbować ją do siebie przywiązać? Czy to nie egoizm, czy mogę tego od niej żądać? Skoro tak bardzo ją kocham, czy nie należałoby właśnie w krytycznym momencie zniknąć z jej życia, po cichu i bez śladu? Wszystko się we mnie kotłowało, targały mną sprzeczne uczucia, ale zaraz wracały nadzieja i przekonanie, że nie będzie to miało nic wspólnego z egoizmem, jeśli nie zostawię jej samej, przeciwnie, wyobraziłem sobie, że mogę, chcę i muszę przy niej zostać.

Ołówkiem podkreśliła brwi, cała pochłonięta tą czynnością. Chciała przecież dla mnie być piękna. Jeśli stać ją na to, na pewno zrobi też więcej. Będzie mnie pielęgnowała po operacji, pomoże, nim dzięki protezie nie nauczę się porządnie chodzić.

Inaczej niż w czasie tej strasznej, bezsennej nocy myślałem teraz: Jakie to szczęście, mój stary, że ją spotkałeś. Z nią łatwiej zniesiesz utratę nogi. Czy jednak zostaniesz prawdziwym mężczyzną? Co z tym będzie? Kobieta potrzebuje prawdziwego mężczyzny.

Angela sięgnęła teraz po buteleczkę i zanurzywszy w niej mały pędzelek, kładła ostrożnie na powiekach turkusowy cień. Turkus do czarnej sukni, pomyślałem. Do innych sukien wybiera inne cienie do powiek. Oczywiście, snułem swe rozważania, przy Angeli i dzięki niej pozostaniesz mężczyzną. Szczęściar z ciebie, dodałem jeszcze.

Innym pędzelkiem pociągnęła czarną linię wzdłuż rzęs, przedłużając ją nieznacznie ku kąciom oczu. Siedziałem i przypatrywałem się jej z niekłamanym zainteresowaniem, czując, jak ciepło ogarnia falą moje ciało. Może tu na południu pomoże mi znaleźć pracę, zastanawiałem się nad przyszłością. Mój ty Boże, jakie to wszystko proste, a dzisiejszej nocy wszystko wyglądało tak beznadziejnie. Idiota z ciebie, prawdziwy i wieczny Joe-Dylemat! Przypomniał mi się ten Joe-Dylemat, bo byłem do niego podobny. Gdy proteza będzie dobrze dopasowana, możliwości pracy może być wiele. Znałem kilka języków, coś by się więc znalazło. Mógłbym na przykład pracować u jakiegoś adwokata lub notariusza. Angela miała tyle znajomości w Cannes, z całą pewnością znalazłaby coś dla mnie. Tym sposobem zniknąłby problem pieniędzy, bo wystarczy dla nas obojga i dla Karin. I co najgorsze: jeśli stracę nogę będę mógł pozostać w Cannes na zawsze, nie ruszać się stąd nigdy. Choć nie rozmawialiśmy o tym jeszcze, to było naszym najtrudniejszym zadaniem do rozwiązania. Idioto, zrugąłem się w myślach.

Angela miała długie, jedwabiste, czarne rzęsy. Teraz je starannie tuszowała, a ja dalej rozmyślałem. Mogę na zawsze zostać w Cannes, z Angelą. I wszystkie kłopoty – ale głupiec był ze mnie! – zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jak mogłeś w nią zwątpić! To niesamowite, że zachowuje jeszcze tyle optymizmu przy takim pesymiście, czarnowidzu i Joe-Dylemacie, jakim jesteś. Przypomniała mi się jedna z naszych nocnych rozmów przez telefon, gdy się zastanawialiśmy nad naszą przyszłością. Kiedy ja byłem pełen obaw, ona powiedziała wówczas: – W życiu kierowałam się zawsze zasadą: czekać!

Czekać!

Słuszna postawa, tylko że sam nie miałbym ani siły, ani odwagi się do niej dostosować. Co innego razem z nią.

Teraz usta. Angela wybrała pomarańczową szminkę. Najpierw dokładnie i wolno obrysowała kontury warg, a potem je osuszyła. Wzruszony byłem jak nigdy, patrząc na to pochylone nagie ciało kobiece, na delikatną postać, na kształtną głowę w rudym blasku.

Gdy skończyła, wstała i rozpyliła jakieś perfumy, wyjęte z pudła wypełnionego małymi flakonikami z wonnościami.

– Możesz sobie wyobrazić, że odkąd jestem w Cannes, nie kupiłam jeszcze perfum? Ani razu! Na tych wszystkich przyjęciach i galowych fetach damy są obdarowywane przez różne firmy perfumami, panowie zaś dostają co innego. Kupowanie mam z głowy, widzisz przecież, że nawet tych próbek nie jestem w stanie użyć. Podoba ci się ten zapach? – podała mi rękę.

– Wspaniały – i zbliżywszy się, pocałowałem jej piersi.

– Robercie, mamy tu zostać?

– Nie, idziemy ucztować.

– Więc nie zaczynaj, wiesz, jak ze mną zaraz jest. I proszę, nie głaszcz mnie po karku i górze pleców, mówiłam ci, że najłatwiej się wtedy podniecam. Pomóż lepiej przy sukience.

Sukienka miała wszyty stanik. Przytrzymałem ją, gdy Angela się w nią wsuwała, i podciągaaliśmy ją oboje, a potem zasunąłem zamek. Na łóżku leżały brylantowe klipsy ode mnie, obrączka i wisior z białym brylantem w platynie oraz wąska, też brylantowa bransoletka. Całą tę biżuterię Angela założyła na siebie. Usiadła potem raz jeszcze i pomalowała paznokcie lakierem w kolorze szminki. – Zawsze to zostawiam na koniec – wyjaśniła. – Szybko wysychają. Weź tymczasem dokumenty samochodowe, dobrze? – Mercedes, przyprawiony pod wieczór z naprawy, stał na dole przed rezydencją. Była już prawie siódma. Przedemną obracała się teraz wolno Angela, strojna w czarną, krótką sukienkę z jedwabiu, dołem wykończoną falbankami, z takimż kołnierzem, z którego szyja wychylała się jak z kieliszka.

– Wystarczy tej elegancji dla ciebie?

Skinąłem tylko, bo brak mi było słów.

– Zamkniesz drzwi na taras? – zapytała, a ja pomyślałem: Tak, stary, ona jest twoją ostoją, pomoże ci i będzie kochać zawsze. Ale nagle, z ręką na klamce, zatrzymałem się zdრętwiały, bo przyszła mi do głowy pewna nieuchronna myśl: A jeśli się mylisz? A jeśli wszystko potoczy się tak, jak ci się dzisiejszej nocy zdawało?

19.

Jechaliśmy do „Majestica”. Siedziałem jak zwykle obok Angeli, która prowadziła wóz, wpatrzony w nią i olśniony jej urodą. Wyjechaliśmy na Croisette i oślepiło nas słońce nad Estérellem. Przypomniał mi się wiersz, który Angela czytała w naszą pierwszą noc. Zaraz, jak on brzmiał? „Od nadziei, lęku wolni i życia dzikich żądz...” Wolni od strachu i nadziei. Chwała temu, kto się od nich uwolnił, pomyślałem, bo we mnie było wszystko, nadzieja, strach i zachłanność życia. Znowu widziałem przyszłość w czarnych kolorach, choć dopiero co byłem pełen optymizmu. Ogarnął mnie smutek.

– O czym myślisz, najdroższy?

– O tobie, Angelo.

– Jesteś szczęśliwy?

– Tak, bardzo.

Pod hotelem zamieniliśmy parę słów z Serge'em, potem ona przeszła do naszego stolika w rogu, gdzie zamówiła szampana, natomiast ja udałem się do recepcji. Nie było dla mnie żadnych wiadomości. To dobrze. Wjechałem na górę i szybko przebrawszy się w smoking, zabrałem coś z biurka. Zjechałem windą i podążyłem do Angeli na taras, zawsze o tej porze pełen rozbawionych gości. Kelner odkorkował butelkę, Angela zaprosiła go do wspólnego toastu.

– Dzisiaj nasze wielkie święto – oznajmiła.

Kelner, który miał na imię Robert, przyniósł kieliszek i gdy go napełniłem, podniósł go uroczyście ze słowami: – Piję za wasze zdrowie i szczęście, madame i monsieur. Są państwo, proszę wybaczyć poufałość, idealną parą.

– Dziękuję – odparłem.

– Tego samego zdania jestem nie tylko ja – dodał kelner, mój imiennik.

– Któż jeszcze?

– Inni goście, którzy tu państwa zawsze widują. – Wychylił kieliszek, uklonił się i odszedł.

- Jesteśmy idealną parą – powtórzyła Angela. – Wreszcie wiesz.
- Tak, mówią to wszyscy, gdy nas widzą.
- Ale to prawda, Robercie, nie uważasz? Jestem dumna z ciebie, świetnie wyglądasz w tym smokingu. Pocałuj mnie.

Całowałem ją długo na oczach wszystkich, ale nikogo to nie zbulwersowało, kto zaś nas zauważył, uśmiechał się zyczliwie. Cóż to za kraj, ta Francja!

– A ponieważ są dzisiaj nasze pierwsze urodziny – odezwała się Angela, szukając czegoś gorączkowo w torebce – dostaniesz prezent. Zamówiłam go wcześniej, ale potem tylko się okropnie denerwowałam, że między nami wszystko się może skończyć i prezent okaże się zbędny. – Wyciągnęła zawiniątko i podała mi je. Rozwinąłem jedwabisty papier i na rękę zsunął mi się dość długi, cienki złoty łańcuszek, do którego przyczepiony był złoty medalion. Były to właściwie dwa medaliony, spięte rewersami. Jedną stronę zdobił Lew – znak zodiaku Angeli, która urodziła się w sierpniu, drugą – Wodnik, mój znak.

- Dziękuję, Angelo.
- Podoba ci się?
- Bardzo.
- Zamówiłam go u Quémarda już wtedy, gdy byłeś w Düseldorfie.
- Poczciwy monsieur Quémard – powiedziałem i z kieszeni smokingu również wyciągnąłem paczuszkę. – I ja mam dla ciebie prezent urodzinowy.

Rozwinęła opakowanie i położyła na dłoni złoty łańcuszek, do którego przyczepione były identyczne medaliony ze złota. Po jednej stronie był znak Lwa, po drugiej Wodnika.

- Zrobiliśmy sobie...
- ... jednakowe prezenty. Ja też odwiedziłem monsieur Quémarda, zaraz po powrocie zamówiłem dla ciebie ten właśnie drobiazg. Nie zdradził cię ani słowem.
- Mężczyzna z charakterem – stwierdziła.
- I dyskretny.
- Wspaniały człowiek – i objąwszy mnie za szyję, pocałowała.

W lewej stopie poczułem lekki ból. Boże kochany, pomyślałem, tylko nie dzisiaj, proszę. Angela uniosła kieliszek. – Za naszą przyszłość – rzekła. – Żebyśmy, jak dzisiaj, kochali się zawsze.

Wypiliśmy do dna i kelner ponownie napełnił kieliszki. Gdy zniknął, powiedziała: – Mamy teraz takie same łańcuszki, będę zawsze nosić swój, chyba że ubiorę się w dekoltowaną suknię!

- I ja go będę nosił – przyrzekłem – o ile mi dekolt nie przeszkodzi. Który łańcuszek teraz do kogo należy?

– Zbyt często wędrowały z rąk do rąk, już do tego nie dojdziemy – zauważyła. – To właśnie jest najpiękniejsze. Podobieństwo i jedność jak między nami. Wszystko jedno, kto jaki łańcuszek założy. – Gdy jeden z nich zawiesił mi na szyi, wpuściłem go pod kołnierzyku koszuli, tak by medalion znalazł się na piersi. – Pamiętałam, żeby to Lew dotykał twego serca. Załóż mi teraz ty łańcuszek, z Wodnikiem bliżej serca.

Cały czas czułem jak boli mnie stopa.

– *Happy birthday to you, darling* – powiedziała.

– *And a very happy birthday to you, darling* – powtórzyłem.

– Jesteś głodny?

– Bardzo.

– A więc szybko do Nicolaia – poderwała się nagle. – Ale czekaj, chwileczkę! – I resztkę szampana strząsnęliśmy na marmurowy taras ku chwale spragnionych bóstw podziemnych.

Gdy zobaczył nas Serge, wyprowadził z garażu mercedesa i wdał się w rozmowę z Angłą, mnie tymczasem udało się połknąć dwie tabletki. Słońce już się chowało za Estérelem, gdzie niebo upodobiło się teraz do płynnego złota. Na wschodzie było jasne, prawie bezbarwne.

20.

„L'Age d'Or” leży przy rue des Frères, uliczce wąziutkiej i stromej. „L'Age d'Or” to lokal stary, pełen zakamarków, niskich, obszernych pomieszczeń, łukowato sklepionych przejść i krużganków, co jest pozostałością klasztoru. Za restauracją znajduje się duży ogród. Gdy wieczory w lecie są bardzo gorące, powiedziała Angła, właśnie tam przyjmuje się gości. Szła przodem przez salę, której białe ściany obwieszono były starymi patelniami, cynowymi talerzami i hełmami rycerzy. Wyszedł ku nam z otwartymi ramionami i cały w uśmiechach potężny mężczyzna o dobrodusznym wyglądzie. Przywitał się z Angłą, po czym nastąpiła prezentacja.

– Robercie, to właśnie Nicolai. A to mój przyszły mąż, Nicolai.

– Już słyszałem, że chce pani wyjść za mąż, madame Delpierre – przyznał się gospodarz, ubrany w rozpiętą pod szyją białą koszulę z podkasanymi rękawami i czerwony fartuch. Wszystko u niego było duże – dłonie, ręce, głowa, twarz, oczy, usta.

– A któż to mówi? – zainteresowała się Angła.

– Już nie pamiętam, żyjemy tutaj jak na wsi, czyż nie? Moje serdeczne gratulacje, monsieur Lucas.

– Dziękuję, monsieur Nicolai.
– Wystarczy Nicolai, przyjaciele tak się do mnie zwracają. Madame Delpierre pana kocha, a jednocześnie jest moją dobrą znajomą, bądźmy więc i my przyjaciółmi, monsieur. – Podprowadził nas do narożnego stolika z wazą róż pośrodku, nakrytego czerwonym, lnianym obrusem. Trzy świece w lichtarzu były już zapalone, jak zresztą na wszystkich stołach w całej restauracji. Było tu chłodno i przyjemnie.

– Niech pan spojrzy, Nicolai – i Angela pokazała mu swoją obrączkę.

– Och – szczerze zachwycił się olbrzym.

Musnęła mnie w policzek. Na szczęście ból w stopie ustąpił.

– No to musi być toast – szybko zareagował Nicolai. – Tylko bez sprzeciwu, monsieur. Co podać państwu? Wino? Szampana?

– Szampana – zdecydowała Angela.

– I dla pani cały ogród, madame Delpierre – dodał Nicolai. – Jak zawsze.

– Jak zawsze – zgodziła się Angela. – Nicolai jest wspaniałym kucharzem.

Widzisz piec?

Cały kąt po przeciwnej stronie zajmował potężny półkolisty piec z buchającym w nim ogniem.

– Nicolai przypieka w nim mięso – wyjaśniła. – Fantastycznie to robi. W tym piecu również wspaniale wychodzi jabłecznik, koniecznie musisz spróbować.

– Chętnie, do tego nie trzeba mnie namawiać.

– Jakie pan sobie życzy mięso? Średnio przysmażone? – upewniał się Nicolai.

– Niech będzie średnio – zgodziłem się.

– Zaraz wracam z szampanem – rzekł i klepnął mnie po ramieniu. – Dostanie pan najlepszą świecie żonę, monsieur.

– Wiem – przyznałem. Odszedł.

– Co to znaczy: dla pani cały ogród? – spytałem.

– Zaraz zobaczysz – odparła Angela. – Mam dla ciebie nowinę. Kocham cię, Robercie.

Dojrzałem, że Nicolai wszedł za kamienny bar i nastawił gramofon; rozległy się łagodne dźwięki skrzypiec, a w tle cała orkiestra.

– Teść Nicolaia jest sławnym skrzypkiem we Francji. Nazywa się Grapelly – wyjaśniła Angela. Pięknie gra, prawda?

Przytaknąłem.

– Muszę ci powiedzieć, że Nicolai jest Rumunem, na pewno słyszałeś ten twardy akcent, którego się jeszcze nie pozbył, choć jest we Francji już od pięćdziesiątego piętego.

Oczy już mi się oswoiły ze światłem świec. Zauważyłem, że inni goście byli całkiem zwyczajnie ubrani, ale nikt jednak nie zwracał na nas szczególnej uwagi. Nagle dostrzegłem wchodzącą parę, która kierowała swe kroki w stronę naszego stolika. Poznałem mężczyznę: był to doktor Joubert ze szpitala Broussailles. No cóż, on też od czasu do czasu miał przecież prawo zjeść kolację w „L'Age d'Or”.

21.

Rozpoznał mnie także i na moment się zatrzymał.

Zorientowałem się, że to niezdecydowanie nie uszło uwagi Angeli. Nie miałem wyjścia. Wstałem.

Podszedł do naszego stolika w towarzystwie dość niskiej kobiety o miłej powierzchowności.

– Dobry wieczór, doktorze Joubert – przywitałem go pierwszy.

– Dobry wieczór, monsieur Lucas.

Dopelniliśmy wzajemnej prezentacji. Sympatyczna kobieta okazała się żoną doktora. – Doktor Joubert pomógł mi wczoraj – wyjaśniłem jej oraz Angeli.

– Gdzie? – podchwyciła zaraz Angelą, a w jej szeroko otwartych oczach błysnęła strach.

– W szpitalu Broussailles. – Opowiedziałem, jak zasłałem w samochodzie Gastona Tilmanta i zaraz zostałem odwieziony do szpitala, gdzie zajął się mną doktor.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś? – niepokoila się dalej Angela.

– Nie było o czym opowiadać, tak jak nie ma czego wspominać, prawda doktorze?

– Nie, nie – z uśmiechem poparł mnie lekarz.

– Ale co ci było? Robercie!

– Nic groźnego, zapasć krążeńiowa. Za dużo wczoraj przebywałem w słońcu, przemęczyłem się. Po zastrzyku i dwugodzinnym odpoczynku wszystko wróciło do normy.

– Naprawdę? – Angela zwróciła się do lekarza.

– Naprawdę, madame. Jak się pan teraz czuje, monsieur Lucas?

Skrzypce zawodziły czule i melancholijnie.

– Wyśmienicie – oznajmiłem.

– To mnie cieszy – Joubert był nieoceniony.

– I zastosowałem się do pańskich rad. Uważam na siebie i wystrzegam się słońca.

– Dobrze – powiedział. – Gdyby się pan gorzej poczuł, wie pan już teraz,

gdzie mnie szukać. – Pochylił się w ukłonie przed Angelą, jego żona skinęła nam przyjaźnie i oboje oddalili się w stronę swojego stolika.

Angela patrzyła na mnie badawczo.

– Byłeś w szpitalu?

– Tylko bez paniki, moja droga! Zdenerwowałem się bardzo po naszej sprzeczce...tak samo, jak ty. Ale to tylko mała zapaść, słyszałaś przecież, co powiedział doktor.

– Na pewno nie co innego?

– Na pewno, Angelo.

– Stopa! – zawołała. – To była stopa! I serce!

– Nie – upierałem się – to nie była stopa, Angelo, i nie serce.

– Nie wierzę ci! – rozgniewała się. – Nie chcesz mnie niepokoić, ale chyba pamiętasz, jak się poczułeś na Wyspie Świętego Honorata? Przysięgałeś mi, że odwiedzisz specjalistę.

– Mogę cię uspokoić, że dotrzymałem słowa – zapewniłem ją szybko.

– Kiedy?

– W szpitalu u doktora Jouberta, który jest również specjalistą od chorób układu krążenia.

– Co to ma za znaczenie?

– Gruntownie mnie przebałał.

– I?

– I nic, małe zaburzenie w dopływie krwi. Powiedział, że tabletki, które zabrałem z Niemiec, są skuteczne. Mam je brać i nie palić, ból wtedy w stopie ustąpi. To opinia specjalisty. Zadowolona?

– Nie. Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym badaniu?

– Miałem zamiar to zrobić teraz przy kolacji. Chciałem cię zaskoczyć i...

Nie czekając aż dokończę, poderwała się nagle i szybko podeszła do stolika Joubertów. Widziałem, jak się lekarz podniósł i z nią rozmawiał. Przekonywała go o czymś poważnie, zaklinała. Boże kochany, pomyślałem. Rozmowa zdawała się nie mieć końca, tego mi było już za wiele. Chciałem właśnie wstać i podejść do nich, ale zobaczyłem, że Angela się żegna z Joubertem i wraca. Próbowałem z wyrazu jej twarzy zgadnąć, czego się dowiedziała, ale była w niej tylko pustka. Wzrok utkwiała w podłogę.

Podniosłem się, gdy do mnie podeszła. Usiedliśmy oboje, ale ona ciągle unikała mojego spojrzenia i patrzyła na płonące świece.

– No więc? – spytałem. Ani słowa.

– Angelo! Co ci powiedział?

– Powiedział mi to samo co ty – cicho wyszeptwała. – Nie ma mowy o zagrożeniu życia, to tylko zaburzenia w krążeniu, a z sercem w porządku.

Dzięki Bogu, pomyślałem i spytałem:

– Ale dlaczego masz taką minę?

Wzięła moją dłoń i przyciskając do policzka, mówiła nieskładnie.

– Muszę... muszę najpierw ochłonać. Bałam się, tak strasznie się bałam, Robercie...

– Czego?

– Że mnie oszukałeś, aby mnie nie martwić, że w rzeczywistości jest bardzo źle, tak źle, że oni... Że ci...

– Co oni?

– Że ci... może... będą musieli amputować stopę albo... albo nawet całą nogę... – Ledwie już ją słyszałem. – Ale nie ma niebezpieczeństwa, teraz w to wierzę i jestem spokojna. Nie oszukałeś mnie. Teraz już wszystko w porządku.

– Tak. Teraz wszystko w porządku – powtórzyłem.

22.

Młoda ładna kelnerka wniosła kosz surowych warzyw. Były w nim selery, ogórki, pomidory, cebulki z pióropuszcami, różne sałaty, karczochy i rośliny zupełnie mi nie znane. Do tego pojawiły się jajka na twardo, różne przyprawy korzenne, sosy i biały ser przyrządzony na różne sposoby.

– Ty to jesz?

– Namiętnie. Cały ogród dla pani, teraz rozumiesz. Tutaj, u Nicolaia jedzenie kosztuje jednako, obojętnie, ile i co zamawiasz. – Kelnerka doniosła jeszcze butelkę szampana i napełniła nasze kieliszki. Nicolai stał teraz przed otwartym piecem, którego żar oświetlał go tajemniczo. Na żeliwnej patelni, którą trzymał za długą rękojeść i zręcznie żonglował, opiekął dla mnie kawał mięsiwa, który podał mi osobiście do stołu. Mięso było wspaniałe, o czym nie omieszkalem mu powiedzieć. Gdy się zajęliśmy jedzeniem, przysiadł się do nas. Przyniósł drugą butelkę szampana, pił z nami i chwalił się, że ostatnio stale wygrywał w kasynie. Nicolai, jak z tego wynikało, był namiętym graczem w ruletkę. Po pracy przebierał się i wyjeżdżał, żeby jak najszybciej oddać się swojej namiętności. Tłumaczył mi w najdrobniejszych szczegółach swój system gry, czemu się grzecznie przysłuchiwałem, choć oczywiście ruletką nie rządzą żadne reguły. Nicolai jednak wierzył, że je wymyślił. Ale czy sami nie postępujemy podobnie, wierząc w rzeczy niemożliwe, ba, nawet nie istniejące? Czy w ogóle moglibyśmy żyć inaczej?

Potem zostawił nas na chwilę, by przygotować nam jabłecznik, który wprost rozpływał się w ustach. I znowu siedział z nami, pił i cieszył się, że nam wszystko tak smakuje, a ja wyobraziłem sobie, jak mógłbym być szczęśliwy, żyjąc do końca w takim kraju, jak Francja, w którym ludzie nade wszystko cenią miłość, dobre jedzenie i przyjaźń. Pojawiła się trzecia butelka i trochę szumiało nam już w głowach.

– Tak szczęśliwie oboje wyglądacie – powiedział. – Od ostatniego spotkania madame odmłodziła i wypiękniała. To miłość, oczywiście.

– Tak, Nicolai – poświadczyła Angela i mocno uściśnęła mnie za rękę. – To miłość.

23.

Jechała trochę za szybko, choć cały czas bardzo pewnie. Mknęliśmy szeroką ulicą, ogrodzoną po lewej stronie wysokim parkanem, za którym trwały jakieś prace budowlane.

– Chcą cały tor kolejowy schować pod ziemię – wyjaśniła Angela. – I budować nowy dworzec, bo stary jest kompromitacją dla miasta. Stare pudło z ubiegłego wieku. Teraz wszystko jest rozkopane, a do torów można dojść tylko tunelami. Za dziesięć, za dwadzieścia lat może się wygrzebią. Hop!

– Jakie hop?

– Ach, nie zauważyłeś?

– Nie.

– Masz chyba też trochę w czubie.

– Może i tak, ale co chciałaś powiedzieć?

– Nic takiego! Na czerwonym przejechałam skrzyżowanie – przyznała się do winy. Jechaliśmy do La Californie. – Masz przy sobie pieniądze?

– Tak.

– Ile?

– Może z półtora tysiąca franków.

– Dobrze – powiedziała i nagle się zorientowałem, dokąd jechała – do naszego małego kościółka przy Boulevard Alexandre III. Zaparkowała wóz pod pięknymi, starymi drzewami i podeszliśmy do zamkniętych drzwi kościoła, na których wisiała skrzynka z napisem „Dla naszych biednych”. Przetrzęsnałem kieszenie i znalezione pieniądze przekazałem Angeli, która wetknęła je do skrzynki.

Wróciliśmy do samochodu i odjechaliśmy. Szlabany przy przejeździe kolejowym jak zawsze zagrodziły nam drogę i uniosły się dopiero wtedy, gdy Angela

dwukrotnie nacisnęła klakson, budząc dróżnika. Potem pokiwała mu ręką, a on jej.

W mieszkaniu zdjęła natychmiast całą biżuterię wraz z obrączką i nowym łańcuszkiem, ściągnęła suknię i założyła frotowy szlafrok; ja też uwolniłem się od marynarki, odpiąłem muszkę i rozluźniłem kołnierz. Niedawno minęła północ.

Angela wyciągnęła z lodówki jeszcze jedną butelkę szampana i otworzyliśmy drzwi na taras. Do pokoju wtargnęło świeże, nocne powietrze. Sześcioramienne świecznik postawiła na stole blisko wielkiej ściany okiennej, przez którą widać było miasto. Zapaliła wszystkie świece, wyłączyła elektryczne światło i przyniosła z sypialni małe tranzystorowe radio. Znalazła niemiecką stację z łagodnym, sentymentalnym jazzem. Siedzieliśmy przytuleni do siebie na kanapie, sącząc szampana i popatrując na Cannes i morze. Światła w oddali to łączyły się ze sobą, to od siebie odrywały.

– Śmieszne – odezwałem się po chwili.

– Co?

– Pomyślałem właśnie, że to chyba dziwne, jak mało o tobie wiem.

Patrzyła na mnie z boku.

– Zazdrosny? To mnie cieszy!

– Nie, to nie zazdrość, tylko...

– Rozumiem. Już przecież próbowałam ci to wszystko wyjaśnić, ale ty nie chciałeś słuchać, mam więc to zrobić teraz?

– Mów – poprosiłem.

– Dobrze, powinieneś przecież o wszystkim wiedzieć.

– Ale możesz nie mówić, jeśli nie chcesz.

– Ależ chcę, zawsze chciałam.

– No więc słucham.

I tak zaczęła snuć opowieść o mężczyznach w swoim życiu, sumiennie sprawdzając, czy kogo nie pominęła. Było ich ośmiu czy dziewięciu, czyli całkiem niewiele jak na tak piękną kobietę w jej wieku. Oparta o moje ramię mówiła cicho i dwa razy przysnęła. Budziła się i zwierzała się dalej. Przeważnie byli to sami sympatyczni mężczyźni z wyjątkiem jednego, który ukradł jej pieniądze, i drugiego, który obiecał małżeństwo jako człowiek żonaty. Nienawidziła go, z jego powodu omal nie popełniła samobójstwa.

– Myślę, że i ty to znasz – człowiek spotyka kogoś, bardzo miłego, znajduje z nim wspólny język i wierzy, że to miłość, a potem spostrzega, że sobie tylko ją wmawiał. Czy doświadczenia mężczyzn są takie same jak kobiet?

– Takie same.

– Człowiek jest przekonany, że to miłość, a nie wie, że to wyłącznie seks i chodzi tylko o łóżko, prawda?

– Tak.

– Chociaż wtedy wszystko jest jasne, na koniec zostaje trochę niezobowiązującej sympatii i tyle – zauważyła Angela. – Ale słuchaj, jest jeszcze Harry. Pewnego razu jechałam pociągiem z Ostendy do Paryża... – Opowiadała i opowiadała. Słuchałem, ale bez zazdrości, pewny, że tak jak mnie nikogo jeszcze nie kochała, podobnie jak i ona stała się najważniejsza w moim życiu. Ze mną sprawa była prosta, pomyślałem, dotąd bowiem nie spotkałem prawdziwej miłości.

Z radia snuł się leniwie jazz, przepadały godziny, na wschodzie rozjaśniało się niebo i słońce podnosiło się z morza. Już dawno nie było między nami słów. Siedzieliśmy obok siebie i patrzyliśmy na miasto i morze. Nachyliłem się i szepnąłem jej do ucha: – Chodź, Angelo. – Poszukałem ustami jej powiek.

Godzinę później spała w mych ramionach. Obserwowałem ją z boku, tak jak lubiłem, i znowu w jej profilu widziałem twarz Madonny, spokojną, odprężoną i pełną ufności. Nie odrywałem od niej wzroku, choć już słońce wciskało się w szpary żaluzji i słyszałem turkoczące pociągi.

24.

Curd Jürgens, żywo gestykulując, odgrywał jakąś scenkę przed siedzącymi z nim przy stoliku gośćmi, wśród których byli Elizabeth Taylor i Richard Burton. Wszyscy dobrze się bawili, wybuchając raz po raz śmiechem. Parę stolików dalej przebywający na wygnaniu król Grecji i jego żona rozmawiali z indyjską księżniczką i jakąś młodą damą, a na końcu tarasu amerykański doradca prezydenta Henry Kissinger gorliwie przekonywał paru panów, przysłuchujących mu się w milczeniu. Goście siedzieli na tarasach, wykutych w skalnym nabrzeżu poniżej restauracji „Eden Roe”, i mimo że było ich kilka, trudno było znaleźć wolne miejsce tego popołudnia, kiedy słońce przesunęło się już ku zachodowi. W zatoce odpoczywały jachty. Wybraliśmy miejsce na najwyższym tarasie, to znaczy małżeństwo Tenedosów i ja, i jak tu było w zwyczaju, zamówiliśmy aperitif. Poproszony o rozmowę, Tenedos zaproponował, abyśmy jego rolls-royce'em pojechali na Cap d'Antibes i potem w „Eden Roc” zjedli kolację. Właściwie z tą propozycją wysłała jego żona mówiąc: – Jedźmy gdzieś, proszę, u nas zbyt niebezpiecznie. Wie pan przecież, dlaczego, monsieur Lucas.

Była to dziwna rozmowa telefoniczna, w czasie której małżonkowie, Melina i Athanasios Tenedosowie, zmieniali się przy słuchawce. Zadzwońłem z mieszkania Angeli.

– Rozumiem – odpowiedziałem. – Służba. Boi się pani Vittoria, tego maisty.

– Ostrożnie, bo może podsłuchiwać! Mówiłam panu przecież, że nie możemy tu nikogo przyjmować – trajkotała Melina. To może dla pana brzmieć śmiesznie, ale jeśli jest pan zainteresowany spotkaniem z nami, ostrzegam, że Vittorio na pewno będzie podsłuchiwać. Nie, nie, to wykluczone. Nasz kierowca wyjedzie po pana – gdzie?

– Wobec tego proszę do hotelu „Majestic”. – Byłem wciąż w smokingu i zorientowałem się, że muszę tam pojechać się przebrać.

– Dobrze. Później zadecydujemy, gdzie jechać. Czy odpowiada panu dzisiejsze popołudnie, o czwartej?

– O czwartej – zgodziłem się.

– I proszę się zwyczajnie ubrać, monsieur Lucas – zawołała jeszcze pani Tenedos. – Zawsze tego przestrzegam, to bezpieczniejsze.

– Dobrze, madame – i odłożyłem słuchawkę.

– Panicznie się wszystkiego boją, biedni miliarderzy – skomentowała rozmowę Angela, która słyszała ją przez drugą słuchawkę.

Wylegiwaliśmy się długo w łóżku, bo późno poszliśmy spać i zasnąłem dopiero nad ranem. Śniadanie zjedliśmy dopiero w porze obiadowej. Po południu Angela zamierzała pracować. Uzgodniliśmy, że wrócę do niej wieczorem, niezależnie od tego, jak będzie późno. Chcieliśmy ten wieczór spędzić razem. Żegnaliśmy się tak czule, jakbyśmy już nigdy mieli się nie zobaczyć. Odprowadziła mnie do windy i stała tak ze smutną twarzą, póki drzwi się za mną nie zatrzasnęły.

Do „Majestica” pojechałem taksówką. Nikt nie zwrócił uwagi, że o tej porze dnia paraduję w smokingu, bo tu naprawdę nikogo nie interesowało, co robi ktoś inny, o czym jeszcze raz mogłem się przekonać, gdy poprosiłem głównego portiera, by moją walizkę odesłał do mieszkania Angeli. Powiedziałem, że niekiedy będę tam przebywał dłużej, ale pokój zatrzymuję i jeśliby nadeszły jakieś wiadomości dla mnie, będzie mnie można znaleźć u madame Delpierre. Czy to się da zrobić? Przyznaję, że zapytałem o to z zakłopotaniem.

– Ależ oczywiście, monsieur – portier uśmiechnął się szeroko. – Podoba się panu w Cannes, prawda?

– Tak, bardzo.

– To się cieszę – odparł kurtuazyjnie.

Pojechałem na górę, wykąpałem się i założyłem spodnie, koszulę i pantofle, po czym zapakowałem do walizki ubranie i bieliznę. Zadzwoiłem po boya hotelowego, by ją zabrał. Był już o wszystkim uprzedzony i przyrzekł, że sprawa zostanie załatwiona po mojej myśli. Dałem mu napiwek i kiedy wyszedł, pomyślałem, że tą śmieszna, małą przeprowadzką znów o kawałek zbliżyłem się do Angeli.

Kierowca Tenedosów był punktualny. Czekałem na niego na tarasie, popijając dżin z tonikiem i rozmyślając o Angeli. Bałem się, że rozboli mnie noga, ale nic takiego się nie stało. Wreszcie zauważyłem wchodzącego kierowcę w beżowym mundurze. Pojechaliśmy do willi Tenedosów. Oboje czekali już w parku. Athanasios, którego przysadzista sylwetka z kwadratową głową przypominała mi Brandenburga, był podobnie jak ja tylko w koszuli i spodniach. Jego żona zdecydowała się na tanią, kolorową, letnią sukienkę. Tak oto prezentował się jeden z największych na świecie armatorów z żoną.

Wysiadłem i witając się pocałowałem Melinę w rękę. Zachichotała jak mała dziewczynka i oznajmiła, że cieszy się z wyjazdu do „Eden Roc”.

– Będziemy tam mogli wreszcie spokojnie zjeść – zaszczybiotała. Kierowca jest również Włochem. Uprzedzam pana, że ani słowa nie rozumie po angielsku.

Tak oto znaleźliśmy się na najwyższym tarasie restauracji „Eden Roc”, wśród zebranych tego dnia wyjątkowo licznie ważnych osób, na które zwracała mi uwagę podekscytowana Melina Tenedos.

– Jeśli się pan dyskretnie odwróci, zobaczy pan Juana Carlosa, hiszpańskiego pretendenta do tronu. Przy jego stoliku siedzą sami hrabiowie, baronowie i księżęta.

– Aha – starałem się okazać zainteresowanie.

– A na wprost, ci mężczyźni z cygarami, to Amerykanie. Stal. Dwóch z nich znam. – Tenedos skinął w ich stronę, obaj panowie odwzajemnili pozdrowienie. – Jak pan widzi – w głosie Athanasiosa pojawiła się duma – ma pan o nas fałszywe wyobrażenie, monsieur Lucas.

– A to dlaczego?

– Przecież uważa nas pan za dorobkiewiczów?

– Ależ...

– Naturalnie, że tak – wtrąciła się jego żona, trzepocząc rzęsami.

– Zaczynałem w Atenach jako czyścibut – wyznał Tenedos. – Nie wiedział pan o tym?

– Nie – odparłem. W szafirowych wodach zatoki słońce znaczyło złote szlaki. – Nic mi nie wiadomo.

– Ale Vittorio o tym wie i mimo to widzi we mnie śmiertelnego wroga. W życiu wszyscy mamy jednakowe szanse, nie moja to wina, że ktoś nie wykorzystał swojej. Wszystko zależy od losu. Równie dobrze mógłby być na moim miejscu, a ja byłbym jego służącym.

– Dzisiaj jem tylko kawior – obwieściła Melina. – Choćbym miała pęknąć. I piję tylko „Roederera”. Raz przynajmniej bez strachu.

- Proponuję jeszcze jeden aperitif – odezwał się jej mąż. – Monsieur Lucas ma do nas jakieś pytania, może więc załatwimy to przed jedzeniem, dobrze?
- Opowiedziałem im, tak jak poprzednio Thorwellowi, co mi przekazał Seeberg. Przysłuchiwali się z uwagą, po czym odezwał się Tenedos:
- Tak Melina, jak i ja, wierzymy, że Hellmann został zamordowany.
- To samo twierdzi mister Thorwell.
- A widzi pan. Ale nie zamordował go nikt z grupy ludzi związanych z KO-OD. Nikt z nas nie miałby najmniejszego logicznego powodu. Chyba pan się z tym zgadza, monsieur Lucas?
- Też na razie nie widzę żadnego, ale może jednak jest.
- Wykluczone. Przebywa już pan tutaj dość długo i zarówno pan, jak i policja, bylibyście już coś odkryli. Morderca istnieje, to pewne. To miasto jest dla morderców, powiedziałem to panu tego wieczora, gdy się u Trabaudów poznaliśmy, pamięta pan?
- Przypominam sobie – przytaknąłem. Spostrzegłem, jak czymś zirytowany Curd Jürgens opuścił taras.
- To musiało być zabójstwo. Utwierdziłem się w moim przekonaniu po tym wszystkim, co się zdarzyło po śmierci Hellmanna. Prześladuje mnie pewne przypuszczenie.
- Jakież?
- Że morderca jest stąd lub teraz tutaj przebywa, ale tuż przed śmiercią Hellmanna był gdzie indziej.
- Gdzie?
- Na Korsyce. Nikt z was jeszcze o tym nie pomyślał, co? Korsyka! Bomba na pokładzie jachtu ukryta została dopiero tam, morderca wykonał swoje zadanie, które mu zlecono na Korsyce.
- Ale kto mu zlecił?
- Hellmann płynął do Ajaccio, żeby się z kimś spotkać w interesach, tak się przynajmniej mówi, prawda? Czy powiedziała panu policja z kim?
- Nie.
- Więc nie wie pan, kim są ci dwaj?
- Oczywiście, to przemysłowcy.
- Tenedos zaśmiał się złośliwie.
- Aha, to panu powiedziano. I nic więcej?
- Nie.
- Proponowałbym, monsieur Lucas, żeby u tego Tilmanta z ministerstwa spraw zagranicznych, który tu przyjechał – tak, tak, orientujemy się, niech pan nie robi takich oczu, orientujemy się doskonale – A więc chciałbym zaproponować,

żeby pan u niego zebrał dokładniejsze informacje o tych panach. Nazywają się Clermont i Abel.

– Clermont i Abel – powtórzyłem. – Tak. Niech pan go spyta, kim są.

– A jeśli mi nie powie?

– Niech pan nalega i nie ustępuje! Jeśli odmówi, wyciągnie pan z tego odpowiednie wnioski, a jeśli powie, będzie pan może zaskoczony,

– Bardzo?

– Nic już nie powiem – uciął Tenedos. – Ani słowa więcej. Niech pan pyta Tilmanta. Zdziwi się pan, przyjacielu, bardzo się pan zdziwi.

– Kawioru, o niczym więcej nie marzę – przypomniała o swoim istnieniu Melina.

– Dobrze, mój skarbie, będziesz go miała – obiecał jej mąż. – Przespacerujemy się trochę przed kolacją?

Wyszliśmy na wąską, czerwoną ścieżkę, która schodziła od restauracji ku przystani dla bączków jachtowych. Po obu stronach rosły róże, narcyzy i potężne, złociście ukwiecone krzaki, których nazwy nie znałem. Dalej wznosiły się pomarańczowe i cytrynowe drzewa, pinie, palmy, sosny i eukaliptusy. Na morze wypływały jachty, inne wracały. Niebo i woda zmieniły już barwę. Dotarliśmy do wielkiej klatki z gadającą papugą.

– *Bonjour Marcel!* – już dał się słyszeć jej głos.

Sama siebie nazywała Marcelem.

– Nie jest słodka? – zapiszczała z zachwytu jak dziecko Melina.

– *How do you do?* – zaskrzeczał znów Marcel.

– *All right, thank you* – Tenedos potraktował ją poważnie, jak zresztą wszystko wokół. Nawet kiedy się śmiał, wypadalo to sztucznie. Zastanawiałem się, dlaczego nie powiedział mi nic o swojej przeszłości puceybuta. Wzruszyło mnie to i nawet zacząłem traktować go z większą życzliwością. Może mu właśnie o to chodziło.

– *You are happy* – Marcel wyraźnie faworyzował Melinę, która nie posiadając się z radości, klaskała jak mała dziewczynka.

– *Thank you, Marcel, thank you* – wołała.

– *You are wise man* – teraz Marcel zwrócił uwagę na Tenedosa, który milczał.

– *And you are fool* – to było powiedziane do mnie.

A ty jesteś głupcem...

– *Thank you, Marcel* – odparłem i odwróciłem wzrok ku morzu, kolorowemu portowi Juan-les-Pins, a potem wielkiej zatoce, w której leżało Cannes. W oddali widziałem tylko niewyraźne kontury, ale słońce rozpalalo białe domy i rozświetlało złotem tysiące okien, dostrzegłem więc Port Canto i Stary Port, pałace hotelowe

przy Croisette, które już dobrze zdążyłem poznać, rezydencje na zboczach ponad miastem. Spojrzałem na prawo, gdzie była La Californie i Résidence Cléopâtre, a w niej Angela.

– *You lucky fool* – znów mnie zaczepił Marcel.

Szczęśliwy głupiec.

To było już lepsze.

25.

Zanim poszedłem na kolację, zadzwoniłem do Angeli i powiadomiłem ją, że chyba późno wrócę, bo jeszcze wszystkiego nie załatwiłem.

– Nie szkodzi, zaczekam. Robercie przyniesiono już twoją walizkę, wszystko wypakowałam i ułożyłam. W elektrycznej szczoteczce miałeś słabe baterie.

– Chyba tak.

– Pojechałam więc do miasta i przywiozłam nowe, muszę przecież o ciebie dbać, jesteś moim mężczyzną. Ty zaś nie możesz być dla mnie surowy, jeśli w domu czasami coś nie będzie grało: posiłek nie o zwykłej porze, czy coś w tym rodzaju. Nie nawykłam do, uporządkowanego życia z mężczyzną, bo tak długo byłam sama; właściwie zawsze żyłam jak cyganka. Ale to się, Robercie, zmieni. Zobaczysz, będę jeszcze świetną gospodynią...

– Angelo...

– Słucham.

– Bądź tym, kim jesteś. Nie powinnaś się zmieniać. Ani odrobinę.

– Jesteś wspaniała – rzuciła na zakończenie. – Czekam, Robercie...

W związku z tym, co usłyszałem od Tenedosów, postanowiłem zatelefonować do Gastona Tilmanta. Zastałem go w „Carltonie”. Poprosiłem, by zaczekał na mnie, bo chciałem z nim coś omówić.

– Dobrze – zgodził się.

Później udałem się do bufetu, gdzie był ustawiony monsturalnej wielkości stół z zimnymi przekąskami, przy którym siedzieli już Tenedosowie. Zaczęliśmy jeść.

– Nie ma pan pojęcia – zupełnie poważnie rzekł do mnie Grek – co znaczy pozbyć się strachu przed własnymi pracownikami na cały długi wieczór. Od miesięcy tak się swobodnie nie czułem.

– Do woli może pan przecież jadać poza domem.

– Właśnie że nie – wtrąciła się Melina. – Vittorio zaraz by to wykorzystał, buntując innych przeciwko nam. To dla nas jeszcze bardziej niebezpieczne. Nie, nie, wychodzimy niezwykle rzadko i to przeważnie na jakieś spotkania w interesach. – Rzeczywiście jadła tylko kawior.

26.

Gaston Tilmant westchnął ciężko, zdjął okulary, chusteczką wypolerował szkła i założywszy je ponownie, wreszcie się odezwał:

– Należało się spodziewać, że pan jeszcze raz postawi mi to pytanie, wcześniej czy później.

Siedzieliśmy przy whisky na tarasie dużego baru w hotelu „Carlton”. Po Croisette przepływał strumień aut. Opowiedziałem Tilmantowi o rozmowie z Tenedosem i spytałem o Clermonta i Abła.

– Spryciarz z tego Greka – usłyszałem odpowiedź – że pana uwagę skierował na Clermonta i Abła. Już się nawet zastanawiałem, kto to robi; w tym towarzystwie Tenedos ma chyba najwięcej oleju w głowie albo mu wyznaczono takie zadanie.

– Kim są ci ludzie, monsieur Tilmant?

Przed hotelem paradowało kilka młodych prostytutek. Od czasu do czasu zatrzymywał się jakiś samochód i wtedy jedna z nich wsiadała lub zagadywała mężczyznę. Kiedy rozmawiałem na ten temat z portierem u mnie w hotelu, dowiedziałem się, że te tutaj należały do najtańszych. Brały do czterystu franków za całą noc i najwyżej dwieście za godzinę. Ladacznicie-arystokratki miały własne apartamenty i nie włóczyły się po ulicy, a można je było spotkać na przykład w kasynach, gdzie tolerowano ich obecność, lub nie wychodziły nigdzie, czekając w domu na telefon. Ich nazwiska podawano sobie z ust do ust, czasem przez portierów i obsługę hotelową. Owe luksusowe panienki brały od pięciuset franków za jednorazową przyjemność i dwa tysiące za całą noc ze specjalnym programem, oczywiście licząc w nowych frankach. Jak mi powiedziano, były to nadzwyczaj piękne dziewczyny, większość z nich pochodziła zresztą z Niemiec.

– Clermont i Abel to ludzie, którzy stoją za największym francuskim koncertem elektronicznym – wreszcie odpowiedział na moje pytanie. – Nie zna pan ich nazwisk, bo obaj, jeśli mogą, wolą się trzymać na uboczu. Nie widzę już sensu, monsieur Lucas, żeby taić przed panem prawdę, i tak zaczęłyby pan drążyć i jeszcze mógłby pan narobić głupstw. Ten przemysłowy gigant jest ściśle powiązany

z rządem, między innymi ze względu na swe strategiczne znaczenie. Clermont i Abel – znam obu osobiście, a ich dossier na pamięć – otóż obaj na skutek różnych machinacji KOOD popadli w poważne tarapaty finansowe i na dodatek mają kłopoty ze zbytem. Rząd mógłby ich wesprzeć, nie może jednak kierować rynkiem na ich korzyść, jeśli KOOD nieustannie obniża ceny, oferuje dostawy na lepszych warunkach i próbuje zająć stanowisko monopolisty. Hellmann znał obydwu dobrze, byli nawet kiedyś zaprzyjaźnieni, teraz już nie.

– Mówi się tylko o tym, że spotkał się na Korsyce ze swymi handlowymi partnerami.

Już po raz trzeci defilowała koło naszego stolika prostytutka, blondynka z wydatnymi ustami. Próbowała nas kokietować, ale w pewnym momencie wzruszyła ramionami i odeszła.

– Niewielu tylko zna prawdę, monsieur Lucas.

– Czego obaj chcieli od Hellmanna?

– Z zeznań wynika, że spotkanie było wcześniej zaplanowane. Chcieli prosić Hellmanna, aby KOOD wstrzymał swą osaczającą kampanię i im oraz ich produktom dał jeszcze jedną szansę. Apelowali, jak to określili, do jego sumienia...

– Mówił pan z obydwojma?

– Tak, w Paryżu. Nie mam podstaw, by wątpić w ich prawdomówność. Gdy Hellmann im powiedział, że nie jest to w jego mocy, choćby nawet chciał, zmienili – hm – taktykę działania.

– Co pan ma na myśli?

– Podobnie jak ów nieznany bankier, który w hotelu „Frankfurter Hof obraził Hellmanna, również Clermont i Abel wiedzieli o finansowych operacjach, przeprowadzanych z Hellmannem przez Kilwooda na zlecenie współników KOOD. Powiem krótko: zagrozili mu, że ujawnią jego ciemne interesy opinii publicznej, jeśli nie zachowa się wobec nich fair. Zdawali sobie sprawę, że narazi się tym na krytykę ze strony spółki KOOD, ale przecież był wolnym człowiekiem i nie musiał we wszystkim podporządkowywać się Kilwoodowi.

– I odmówił?

– Ze łzami w oczach.

– Co?

– Rozplakał się, tak twierdzą Clermont i Abel, zupełnie się rozkleił. Mówił, że naciskają na niego, że musi we wszystkim stosować się do żądań Kilwooda i dlatego nie może im pomóc.

– Chwileczkę – przerwałem mu. – Chociaż Hellmann nie żyje, ci dwaj zostali ze swymi problemami. Bank Hellmanna, jego spadkobiercy i ludzie KOOD mogą przecież kontynuować swoją dotychczasową politykę.

– Do tej pory nie zrobili niczego, co by na to wskazywało – stwierdził Gaston Tilmant oglądając się za blondynką, która znów się pojawiła w polu naszego widzenia. – Rozpacz. Taka młoda i taka ładna. Za dziesięć lat stanie się kimś, kogo można będzie mieć za trzydzieści franków. Zachoruje lub w ogóle jej nie będzie.

– Romantyk z pana – powiedziałem.

– Skądże, chciałbym tylko, żeby wszyscy ludzie byli szczęśliwi. Gdybym mógł, pomagałbym wszystkim nieszczęśliwym.

– Czy pomaga pan teraz przynajmniej niektórym? Milczał, a potem odwrócił głowę, przytaknął.

– Jeśli tylko mogę.

– Zły zawód wybrał pan dla siebie, monsieur Tilmant.

– Tak – zgodził się i powtórzył: – Do tej pory KOOD nie zrobił niczego, co by zaszkodziło Clermontowi i Ablowi oraz ich przedsiębiorstwu. Nie podjął żadnych kroków również bank Hellmanna, kierowany przez Seeberga. Jednym słowem, zaprzestano dawnych praktyk.

– Aby mogło się wydawać, że upór Hellmanna przeszkadzał Clermontowi i Ablowi w prowadzeniu interesów i dlatego zdecydowali się go usunąć ze swej drogi.

– Być może, ale tak nie jest.

– Sądzi pan?

– Clermont i Abel są chlubą francuskiego narodu, naszej gospodarki; krew na ich rękach splamiłaby nasz rząd.

– Zdarzało się przecież, że na polecenie rządu usuwano ludzi.

– Oczywiście – potwierdził Tilmant.

– I zawsze wtedy ci na samej górze znajdują wysokiej rangi urzędnika, w tym wypadku pana, człowieka, który całą aferę ma dyskretnie zatuszować. A nam wszystkim zostaje już tylko dostosowanie się do pańskich poleceń. Tak to przecież wygląda.

– W istocie tak, monsieur Lucas. Jak już powiedziałem, monsieur Tenedos jest bardzo sprytnym człowiekiem... Niech pan sobie wyobrazi, że od kiedy zajmuję się tą sprawą, wracam ciągle do pewnego fragmentu w książce autora, którego szalenie cenię. Jest Niemcem i nazywa się Georg Christoph Lichtenberg.

– Co to za złota myśl?

– Brzmi ona: „Tak strasznie padało, iż wszystkie świnie wybielały, a ludzie utyflali się w błocie”. Ta sprawa, monsieur Lucas, to największy deszcz, w jaki się kiedykolwiek wpakowałem.

Siedziałem z Angelą na kanapie naprzeciw wielkich okien. Po północy wyłączyliśmy telewizor i przy kieliszku „Remy Martin” opowiadałem jej o wszystkim, co przyniósł dzień.

– Znam tę papugę, która mówi – ożywiła się Angela. – Do „Eden Roc” wybrałam się parę razy z przyjaciółmi.

– Jak myślisz – spytałem – mówił Tilmant prawdę?

– Widziałam go tylko przelotnie i prawie z nim nie rozmawiałam – odparła. – Ale wyglądał na człowieka absolutnie uczciwego. Nie wierzę, żeby ktoś taki potrafił kłamać, nawet gdyby chciał.

– I mnie się tak wydaje. Ale znów drepczę w miejscu, nie postąpiłem kroku naprzód.

– A ten rewident podatkowy z Bonn, jakże się on nazywa...

– Kessler? I u niego nic. Tilmant pozwolił mi do niego zadzwonić i do Rousseau; powiedziałem im o Clermoncie i Ablu. Roussel wciąż się wścieka na tę opiekę Paryża. Kessler wykazuje więcej rozważliwości i jak ty wierzy Tilmantowi.

– Spójrz tylko – i przesunęła mi dłonią po włosach. – Dawno nie myte.

– Jutro z rana wybieram się do fryzjera.

– Chętnie umyję ci głowę.

– Zwariowałaś.

– Dlaczego?

– Nigdy żadna kobieta mi tego nie robiła.

– Widocznie się kiepsko starałeś. Umyję ci głowę, chyba że to cię krępuje.

– Ależ nie. – I zmieniłem temat. – Przekłęta sprawa. Stałem w miejscu. Od Karin nie ma wiadomości. Niepotrzebnie zrobiłem jej prezent z tysiąca pięciuset marek. Adwokat miał rację.

Zamilkła i patrzyła w otchłań miasta.

– A ty co sądzisz?

– Długo o tym myślałam – odezwała się wolno. – To było wówczas, gdy ta pani Dreyer przekazała mi jej list.

– I co?

– I doszłam do wniosku, że dobrze zrobiłeś.

– Każę teraz wstrzymać płatności.

– Tak byłoby najprościej, ale potem...

– Potem?

– List świadczy o tym, że cię kocha, Robercie, ciągle i mimo wszystko.

– Kocha... Bzdury! Karin od lat mnie nie kocha! A jej list dowodzi, że nie cofnie się przed żadną podłością!

– Wolno ci tak myśleć. Może dopiero teraz, gdy cię straciła, uświadomiła sobie, że cię kocha. Albo potrzebuje. I w tej sytuacji nie przebiera w środkach.

– Ty byś tego nigdy nie zrobiła – zareagowałem gwałtownie.

– Nigdy! Może mi powiesz, że byłabyś zdolna do takiej nikczemności?

– Potrafię to sobie wyobrazić – oznajmiła.

– Angelo!

– A tak – potwierdziła spokojnie. – I dlatego uważam, że na zło nie wolno odpowiadać złem. Jeśli zablokujesz teraz pieniądze, żona wścieknie się jeszcze bardziej. Wie, że ci zależy na rozwodzie. Jeśli tak postąpisz, nie będzie chciała dać ci go wcale. Natomiast jeśli zadbasz o jej finanse, pomyśli sobie: wobec mnie jest w porządku i oboje muszą się rzeczywiście bardzo kochać, bo inaczej po takim liście by się rozstali. Straciłam Roberta, ale przyczyną jest miłość, a nie nienawiść. Mamy szansę rozejść się w spokoju i zgodzie, mogę na niego zawsze liczyć, czego dowody mam, zwrócę mu więc wolność.

– To twoje rozumowanie, Angelo – zawołałem. – Twoje!

– Tak, moje.

– Ale nie Karin! Karin nie myśli tak jak ty, znam ją.

– No to dawaj jej pieniądze choćby dlatego, że wierzysz w przesady. Przewiduję najgorsze, jeśli tego nie zrobisz.

– I ja – zgodziłem się cicho. – Ale naprawdę tylko dlatego.

– No widzisz! – I rzuciła się na mnie z pocałunkami. – A więc zgoda na te półtora tysiąca?

Skinąłem głową.

– Przesady czy jakikolwiek inny powód, to bez znaczenia

– przekonywała mnie. – To jedyne wyjście, wierz mi. Ach, Robercie... – Przytuliła się do mnie i wsunawszy mi rękę pod koszulę, głaskała mnie po piersi, bawiąc się łańcuszkiem i złotym medalionem z naszymi znakami zodiaku. – Zrobiłam coś... Mam nadzieję, że się nie pogniewasz...

– Jak mógłbym się gniewać na ciebie?

– Zadzwoiłam do swojej fryzjerki – zaczęła. – Zna mnie od wieków, to ona swego czasu zaprowadziła mnie do sławnej wróżki z Saint-Raphael, o której ci opowiadałam. Zwierzyłam jej się, że się zakochałam – wybac mi! – i ona, mając zupełnego bzika na punkcie wróżb i przepowiedni, znowu znalazła dla mnie jakąś madame Bernis. Przyjeżdża tu z Antibes, raz w tygodniu, i przyjmuje w hotelu „D'Autriche”, przy Boulevard Carnot. Moja znajoma fryzjerka mówi, że jest wspaniała. Czemu się śmiejesz?

– Nic, nic, najdroższa – zapewniłem. Ale było mi raczej wesoło. Oto wyłądowaliśmy u wróżki.

– Wybrałbyś się ze mną do madame Bernis?

– Czemu nie?

– Jest jutro w Cannes. Mogłabym się z nią umówić na jutrzejsze popołudnie?

– Naturalnie.

Objęła mnie.

– Dziękuję – rzekła. – Robercie, wiem, co sobie myślisz, ja zresztą podobnie. Ale w naszej sytuacji trzeba się chwycić wszystkiego, co przynosi jakąś nadzieję, słowa otuchy, rozumiesz mnie?

– Rozumiem.

– Chodź teraz – zawołała – umyjemy włosy. Była trzecia rano, gdy mnie za rękę ciągnęła przez pokoje, prowadząc do opróżnionej z jej rzeczy szafy, w której już troskliwie porozkładała moją garderobę z walizki, dwa lekkie ubrania, koszule i spodnie, bieliznę i buty. – Oto twój dobytek. – oznajmiła. – Mieszkanie, Bogu dzięki, jest duże. Już wszystko dokładnie przewidziałam: dostaniesz piękny pokój wyłącznie dla siebie, a w tej szafie będą twoje rzeczy.

Szafa z przesuwanymi drzwiami wbudowana w ścianę była ogromna i dwa ubrania z niewielką ilością bielizny zupełnie się w niej pogubiły.

– Miejsca aż nadto – oceniłem. Pociągnęła mnie dalej, do drugiej łazienki, której jeszcze nie znałem. Choć nieduża, była urządzona niezwykle komfortowo. – Dziś po południu zrobiłam wypad na rue d'Antibes. Kupiłam ci ścienne szafeczki, które sama zawiesiłam. Znam się na rzeczy, nie uważasz?

Otworzywszy szafeczkę, znalazłem w niej maszynkę do golenia, płyn po goleniu i trochę lekarstw.

– Rozbierz się – zakomenderowała. – Usiądź, ja przyniosę szampon. – Wybiegła, a ja się rozebrałem i usiadłem przed umywalką. Kiedy wróciła, umyła mi włosy i przy okazji wymasowała głowę, co mi sprawiło prawdziwą przyjemność. Na koniec powiedziała: – A teraz nie przestrasz się: będzie zimna woda!

Wzdrygnąłem się pod strumieniem.

– Włosy będą pięknie lśniły – objaśniła. Długo je suszyła ręcznikiem, a potem szczotkowała, zaczesując do tyłu, szczególnie zwracając uwagę na skronie. – Ostrzyżono ci typowo po prusku. – przyjrzała mi się krytycznie. – Po bokach włosy muszą być dłuższe, żeby przylegały po zaczesaniu. Zwróć na to uwagę, gdy wybierzesz się do fryzjera. Nie pozwalaj na podgolenie boków, zrezygnuj z przedziałka, o wiele lepiej wtedy wyglądasz. U fryzjera myśl zawsze o mnie, gdziekolwiek będziesz. W żadnym wypadku...

– ...nie wolno mi włosów skracać na bokach – dokończyłem. – Na pewno nie zapomnę.

Pochłonięta swoją rolą obwiązała mi włosy siatką. Gdy wstałem, wskazała z dumą na dwa plastikowe wieszaki, na mój szlafrok i piżamę.

– Też je sama przymocowałam. Chodź teraz pod suszarkę! – Zaprowadziła mnie do zimowego ogrodu, gdzie z kąta wyciągnęła elektryczną suszarkę. Podstaawiła mi krzesło, włożyła na głowę hełm, włączyła aparat i zaczęło szumieć gorące powietrze. Aż dostała wypieków, sama więc usiadła naprzeciwko mnie i zapaliła papierosa.

28.

Hotel „D'Autriche”, mały i stary, wydał nam się dość podejrzanym miejscem. Madame Bernis umówiła się z nami na czwartą, ale choć byliśmy punktualni, dowiedzieliśmy się od portiera, że jest jeszcze zajęta. Wszędzie było ciasno, a kiedy usiedliśmy, pomieszczenie okazało się również stęchłe i duszne. Spróbowałem otworzyć okno, ale rygiel nie puszczał. Bolała mnie głowa. Było parno tego popołudnia, wielka rozbzykana mucha wytrwale objiała się o szybę. Nie wytrzymałem i wyszedłszy na korytarz, spytałem portiera, czy by nam nie przyniósł czegoś do picia. Zgodził się, zamówiłem więc piwo. Przyniósł dwie butelki i nalał do szklanek. Było letnie. Już miałem mu zwrócić uwagę, ale Angela powstrzymała mnie ruchem głowy, zostawiłem je więc nietknięte. Pociłem się, coraz bardziej bolała mnie głowa. Angela zdjęła obrączkę i schowała ją.

– Nie będziemy jej ułatwiać zadania – oświadczyła poważnie.

O wpół do piątej wreszcie jakaś parka zjechała trzęsącą się, starą windą do holu. Wziąłem ich za ludzi, którzy wynajęli ten pokój na godziny, ale oni byli chyba jednak klientami madame Bernis, gdyż portier oznajmił, że możemy już do niej iść. Rozdygotaną, skrzypiącą drewnianą windą, jakby uwięzioną w domku z żelaznych krat, zawiózł nas na trzecie piętro i zaprowadził pod drzwi pokoju wynajmowanego przez wróżkę. W środku było bardzo duszno. Na łóżku leżał bursztynowy kot, a przy okrągłym stole pośrodku pokoju siedziała madame Bernis, gruba, typowa mieszczenka. Miała przed sobą wielką, kryształową kulę i rozłożonych kilka talii kart. Usiedliśmy obok siebie naprzeciwko niej.

– Niesłusznie uważają mnie ludzie za wróżkę – zaczęła. – Wszyscy tak sądzą, ale nią nie jestem. Jestem medium. Po zapaleniu opon mózgowych w dzieciństwie nigdy już w szkole nie potrafiłam dorównać innym, zawsze byłam najgorsza

w klasie, stale miałam przykrości i wreszcie zbadał mnie pewien neurolog. Powiedział matce, że jestem medium i pozostanę nim do końca życia. Wiek mi nie przeszkadza; czy państwo uwierzą, że skończyłam już osiemdziesiąt sześć lat?

– Nigdy – rzekła Angela.

– To, co robię, jest bardzo męczące – wyznała nam madame Bernis. – Więcej niż czterech klientów dziennie nie jestem w stanie przyjąć. Państwo są ostatni. Kiedy skończymy, położę się tu na godzinę. – Rozmasowała swoje skronie. Nie podaliśmy nazwisk ani nie powiedzieliśmy jej, co nas z sobą łączy.

– Najpierw monsieur – zdecydowała. – Niech pan położy na stole dłoń, proszę. – Gdy spełniłem jej prośbę, zamknęła oczy i swoją dłonią przeciągnęła po mojej. Dostrzegłem na jej skroniach pulsujące żyły. I prawie zawsze przymknięte oczy.

– Pan nie stąd, monsieur – zaczęła – ale tu zostanie. Na zawsze.

– Kiedy? – wtrąciła się Angela, bardzo podniecona.

– Pst! – syknęła, ale potem odpowiedziała na pytanie: – Jeszcze w tym roku to się stanie. Pan jest związany, monsieur... Widzę kobietę w odległym mieście... Pan jest żonaty, prawda?

– Tak.

Bursztynowy kot mruczał. Z dołu przenikał szum ruchliwego i zatłoczonego Boulevard Carnot.

– Ale pan opuścił żonę... Nigdy pan do niej nie wróci... Nigdy jej pan nie zobaczy...

Zerknąłem na Angelę. Była tak zafascynowana, że nie zauważyła mego spojrzenia. Nie spuszczała oczu z madame Bernis podczas jej monotonnego monologu. – To prawda, nigdy pan już nie zobaczy żony... W pana pobliżu jest zupełnie inna kobieta... Ta kobieta kocha pana, a pan ją... zostanieiecie ze sobą... tak... razem. – Urwała. Zauważyłem, że paznokcie jej rąk zabarwiły się na niebiesko. Zrobiło to na mnie wrażenie, słuchałem więc dalej...

– Nic was już nie rozdzieli... Widzę bardzo dużo pieniędzy...

– Czy to możliwe, pomyślałem. – Tak, tak. Otrzymacie mnóstwo pieniędzy za konkretną rzecz.

– Jaką rzecz?

– Kryje ją ciemność, nie potrafię dojrzeć... A przecież się staram... – Żyły na jej skroniach pulsowały teraz gwałtowniej, a paznokcie zaszły czernią. – Widzę cienie... zmarłych, zamordowanych... a obok tego dużo pieniędzy, mnóstwo pieniędzy dla pana, monsieur... Widzę białe fartuchy... Strasznie dużo białych fartuchów... Ktoś umrze w tym roku i to spowoduje, że pan połączy się ze swoją miłością... Połączy się tak, że nikt i nic już nie będzie was w stanie rozdzielić... Widzę wasze szczęście, wielkie szczęście... I deszcz, silny deszcz... Cmentarz... Nie

umiem go dokładnie określić, bardzo pada... kogoś chowają... to pana widzę w deszczu, monsieur...

– I to wszystko zdarzy się jeszcze w tym roku? – zdziwiłem się i przyszło mi do głowy, że wprawdzie Karin jest zupełnie zdrowa, ale mogły ją nachodzić myśli o samobójstwie. Nie, to nie Karin. Śmierć przy amputacji? Czyżbym miał być szczęśliwy i wolny w miłości dopiero po śmierci? To nie mogłem przecież być ja ani Angela.

– A ten człowiek, który ma umrzeć, kim jest? – spytałem.

– Nie wiem... – madame Bernis znowu przesunęła dłonią po mojej dłoni. – Czy ma pan może do czynienia z jakimś śledztwem?

– Co pani ma na myśli?

– No, takim jak w policji, tylko że pan nie jest w policji.

– Tak – potwierdziłem.

– Już pan nie będzie musiał tym się zajmować. Będzie pan miał dosyć pieniędzy, bardzo dużo pieniędzy, o tak... Ten człowiek, który umrze... Niech pan zaczeka... to jest ulica... auto...

– Wypadek?

Otworzyła oczy, miała zapadnięte policzki i zmęczoną twarz.

– Tego nie powiem – oświadczyła. – Proszę wybaczyć, chwileczkę, to naprawdę dla mnie bardzo wyczerpujące. – Odeszła od stołu, po czym nalała sobie wody z karafki i ugasiła pragnienie. Po paru minutach poczuła się chyba lepiej. Paznokcie znowu miała normalne.

Angela położyła rękę na stole.

– Pani jest tutejsza, madame... I pani tu zostanie... Mój Boże... z tym panem połączy się na zawsze.

– Jeszcze w tym roku?

– Jeszcze w tym roku – zgodziła się madame Bernis. – Na zawsze i po wszystkie czasy... Widzę wielką uroczystość... Muzykę... Ludzie w pięknych strojach... Jakaś uroczystość... Są nawet ognie sztuczne... Widzę teraz was oboje... Jesteście bardzo szczęśliwi... Pani za dużo pali... Niech pani uważa, kiedy pada, madame... W deszczu łatwo o wypadek...

– Samochodowy?

– Taki również... Pani jest sama, z nikim nie związana... Oto znów ów człowiek, który umiera, nie potrafię go rozpoznać... Widzę znów mnóstwo białych fartuchów... Sala operacyjna. Ta śmierć daje wam obojgu wolną drogę... – Zobaczyłem, iż paznokcie madame Bernis znowu posiniały. – Oto mały kościół... A w nim wy oboje... wyciągają samochód z wody... Za kierownicą siedzi trup...

– Czy to ten zmarły, który...

– Nie potrafię rozpoznać... Dużo policji... Czy pani imię zaczyna się na A?

- Tak...
- Deszcz... deszcz... Musi się pani wystrzegać deszczu... Pani szczęśliwą liczbą jest trzynastka...

Sporo tego, pomyślałem. Madame Bernis przepowiedziała Angeli właściwie to samo, co mnie, jeszcze w tym roku połączymy się na zawsze.

Na koniec raz jeszcze zwróciła się do mnie, bym wyciągnął kilka kart.

- Chciałabym sprawdzić, czy się nie pomyliłam – wyjąwiła. – Wybrałem parę kart. Oznaczone były dziwnymi rysunkami i znakami, których nie znałem. Jedna karta stale wracała i madame wyjaśniła nam, że to karta śmierci. U Angeli też się ona pojawiła.

Na tym skończył się seans, za który zapłaciliśmy pięćdziesiąt franków. Madame Bernis pożegnała nas zdawkowo., wyglądała na bardzo zmęczoną. Zjechaliśmy na dół rozklekotaną windą i samochodem skierowaliśmy się do „Majestica”. W naszym kąciку wypiliśmy jak zwykle wieczorem butelkę szampana i Angela znów założyła obrączkę.

- Jestem naprawdę wstrząśnięta – rzekła. – Ty też?

- Tak – i przeniosłem spojrzenie na Croisette, na jej palmy i kwiaty na tle morza. – Ja też.

Milczeliśmy.

Wreszcie odezwała się Angela:

- Doszliśmy już do tego, że uzależniamy przyszłość od przepowiedni jakiejś tam wróżki.

- Jesteś pewna, że twoja fryzjerka nic o nas nie mówiła tej kobiecie?

- Specjalnie ją prosiłam. Dała słowo honoru. Na pewno nie uprzedziła madame Bernis! Dlatego jestem tak tym poruszona. Na przykład, skąd wiedziała, co robisz, jak zarabiasz pieniądze?

- No właśnie.

Milczeliśmy dalej przy szampanie.

- Wolalabym, Robercie, żeby nie było tej wizyty – usłyszałem jej złękniiony szept.

- Chyba masz rację.

- Czujesz się marnie, co?

- Beznadziejnie.

- Jak ja. Jeśli obojgu nam jeszcze w tym roku pisane jest szczęście i ktoś umrze, żeby nam je dać, to może być tylko...

- No właśnie.

- Ale ja tego nie chcę. Nigdy bym nie zniosła, gdyby rzeczywiście tak się zdarzyło. Ja... wydawałoby mi się zawsze, że jestem winna!

- Mnie też, dlatego czujemy się tak podle.

- Jak moglibyśmy kiedykolwiek być szczęśliwi, gdybyśmy teraz uwierzyli tej kobiecie i gdyby tak się rzeczywiście stało? Nie, Robercie, nie wytrzymam!
- Więc dajmy sobie z tym spokój. Może twoja znajoma trochę jej o nas opowiedziała, a potem usłyszeliśmy jeszcze trochę przyjemnych rzeczy, ostatecznie płaciliśmy jej za to.
- Trochę przyjemnych rzeczy – i aż wzdrygnęła się cała.
- Dajmy sobie z nią spokój. To wszystko tanie sztuczki i oszustwo, Angelo! I tak będziemy razem i szczęśliwi – bez śmierci i białych fartuchów.
- Źle zrobiłam, że cię do niej zaprowadziłam, ale nie wiedziałam przecież, co powie.
- Zapomnij, Angelo.
- Muszę zapomnieć. O Boże, tylko o tym marzę, Robercie, żeby zapomnieć.

29.

Willa Fabianich znajdowała się w dzielnicy Les Gabres przy avenue de la Cava. Wielki, lśniący złotem dom leżał w wielkim ogrodzie. Przed ciekawskimi oczami chronił go od ulicy wysoki, starannie przycięty żywopłot. Wszystko w nim zdawało się być nowe i urządzone z wielkim przepychem. Basen pływacki w kształcie nerki otoczony był kwietnymi rabatami. Przy bramie do ogrodu najpierw musiałem zadzwonić, potem przez domofon podać nazwisko i wyjaśnić, że z signorem Fabianim jestem umówiony o jedenastej. Wreszcie usłyszałem jakiś brzęk, wielka brama raptownie się otworzyła i mogłem wejść. Ogrodową aleją, wysadzaną dorodnymi palmami, podążyłem ku domowi. Naprzeciw wyszedł mi służący, cały w bieli.

- Proszę, by zajął pan miejsce przy basenie i chwilę zaczekał, monsieur Lucas.
- Do domu nie mogę wejść?
- Będzie pan tak uprzejmy i zaczeka przy basenie.

A więc byłem tak uprzejmy. Dookoła stały białe plecione fotele i leżaki, usiadłem więc i czekałem. Nie chwila, ale dwadzieścia minut upłynęło, nim ktoś wyszedł z willi. Zamiast Fabianiego pojawiła się jego żona Bianca, dawna tancerka z „Lido”. Zbliżyła się do mnie w białym płaszczu kąpielowym, smukła i pewna siebie. Wstałem na jej powitanie. Jej przesadnie poufały i kokieteryjny sposób bycia gdzieś się tego dnia zapodział; przeciwnie, sprawiała wrażenie osoby wyniosłej i chłodnej, co także było udawane.

- Dzień dobry, monsieur Lucas.
- Dzień dobry, madame. Chciałem właściwie rozmawiać z pani mężem. Byłem z nim umówiony o jedenastej, a teraz jest...
- Mąż nie będzie mógł z panem rozmawiać.
- Słucham?

Minęła mnie i skierowała się w stronę basenu. Poszedłem za nią. Nad wodą rzuciła płaszcz kąpielowy, ukazując ciało w skąpym bikini z białego, błyszczącego materiału. Było to dość prowokujące. Usiadła w fotelu i przysunawszy do siebie stolik na kółkach z szufladkami, wyjęła z jednej z nich krem przeciwsłoneczny. Rozmawiając ze mną, wcierała go w ciało.

– Mąż nie przyjmie pana, monsieur Lucas. – Nawet gdy mówiła, czuło się jej zmysłowość. Natłuszczała skórę powolnymi, kolistymi ruchami.

– Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że już nie chce mieć z panem nic do czynienia. Ja także nie, monsieur Lucas. Wyręczyłam tylko męża w tej ostatniej rozmowie z panem. – Starannie dobierała słowa, delektując się każdym z nich, nozdrza jej drżały, jakby to wszystko sprawiało jej niemal erotyczną przyjemność.

– Madame, proszę przyjąć do wiadomości, że nie przyszedłem tu, żeby miło spędzić czas.

– To samo mogę powiedzieć o sobie – w jej głosie brzmiała ironia.

– ... lecz aby wyjaśnić śmierć Hellmanna.

– To już sprawa policji. Jeśli od nich ktoś się zgłosi, mąż go przyjmie. Pana nie. Proszę mi natrzeć plecy! – To był rozkaz.

Nie poruszyłem się.

– Nie słyszał pan? Chciałam, żeby mi pan natarł plecy.

– Słyszałem, ale nie mam ochoty. Proszę mi teraz powiedzieć bez ogródek, co tu jest grane?

– Ależ oczywiście, z miłą chęcią – rzekła Bianca Fabiani. – Dowiedzieliśmy się po prostu, że jest pan w Niemczech żonaty.

– Tak, i co z tego?

– A tu w Cannes żyje pan z madame Delpierre, jakby był po ślubie. Pokazuje się pan z nią wszędzie, publicznie się tym afiszujecie – tu nawet się nie zająknęła – i podarował jej pan obrączkę, choć daleko panu do uzyskania rozwodu. Mieszka pan u niej, żyje pan z nią, o czym już trąbi całe miasto. Jeśli pani Delpierre to obojętne – jej sprawa, ale czy podobnie pomyślała w pańskiej firmie?

– Tak. – I zaraz przyszło mi na myśl: – Oho, zaczęła się nagonka.

– Nie sądzę – odparła Bianca. – Prosiłam, żeby mi pan posmarował plecy, doczekam się?

Wziąłem krem i zacząłem masować jej gładkie, piękne plecy. Po tym, jak przeciągała się i przeżyła, znać było, iż sprawiało jej to przyjemność. Zwyciężyła.

– Nie jesteśmy kołtunami, monsieur Lucas. Cieszymy się z pańskiego szczęścia.

– Czy rzeczywiście?

– Na pewno, a już zwłaszcza ja. Która kobieta nie stanie po stronie wielkiej miłości? Ale to inna sprawa. Mąż mój nie będzie rozmawiał z człowiekiem, który kompromituje damę i sam staje się przedmiotem plotek. Nie pozwala mu na to jego pozycja.

– Naprawdę?

– Zapewniam pana.

– Tu idzie o morderstwo, i to niejedno, madame Fabiani.

– Właśnie z tego powodu nie może być pan partnerem do rozmowy. Dość już pan namącił, zarówno w sprawach służbowych, jak i w swoim prywatnym życiu, monsieur Lucas. Trzeba z tym skończyć. Tam na dole też proszę, och, co za przyjemność. – Cisnąłem tubkę na stolik. Czuję, jak mi krew napływa do twarzy.

– Wobec tego – przeszedłem na urzędowy ton – poproszę komisarza Rousse-la albo inspektora Lacrosse'a, aby mnie wyręczyli w rozmowie z pani mężem.

– Wolno panu. – Obsunęła staniczek i nabrawszy kremu, zaczęła nim nacie-rać piersi. Siedziała teraz przede mną prawie naga – ale tylko przez moment, zaraz bowiem podciągnęła górę kostiumu.

– Mam nadzieję, że pan nic nie widział.

– A widziałem, widziałem – ogarniała mnie wściekłość.

– Piękne, co? – Oczy jej zmieniły się w szparki. Doskonale grała swoją rolę, miała tego świadomość, bo potem zaraz krzyknęła na mnie:

– Niech pan idzie! Do widzenia, monsieur Lucas!

Odwrociłem się bez słowa i przez trawnik dotarłem do wyżwirowanej drogi, która prowadziła do bramy ogrodowej. Po chwili odwróciłem się; Fabiani już towarzyszył żonie i oboje patrzyli, jak odchodzę. Piersi Bianki znów były odsłonięte.

30.

Przeszedłem kawałek ulicą i zobaczywszy mały bar, wstąpiłem. Zamówiłem anyżówkę i zadzwoniłem do „Majestica”.

– Czy były wiadomości?

– Tak, monsieur – w głosie portiera poczułem dziwne podniecenie. – Dzwonił monsieur Lacrosse i prosił, by przekazać, że ma pan natychmiast udać się do Starego Portu.

- Do jego biura?
- Nie, prosto do Starego Portu. Tam pan się zorientuje.
- Co to znaczy?
- Podobno stało się tam nieszczęście. – Portier był wyraźnie zmieszany, czego nie potrafiłem sobie wytłumaczyć.

Przywołałem telefonicznie taksówkę i właśnie dopijałem anyżówkę, gdy się zatrzymała przed barem. Do framugi drzwi przymocowano zasłonę z koralików, które zadzwięczały, gdy wychodziłem.

- Do Starego Portu – rzuciłem kierowcy.
- Już się robi, monsieur.

Stary Port otoczony był policjantami i tłoczyło się tam mnóstwo gapiów. Początkowo policjanci nie chcieli mnie przepuścić, podałem więc nazwisko i pokazałem paszport.

- Proszę wybaczyć, monsieur Lucas. Panowie są tam, z przodu. Proszę...

Działo się to w zachodniej części basenu portowego, przy Quai Saint Pierre. Naprzeciwko w oddaleniu stał jaskrawoczerwony gmach „Municipalu”, zimowego kasyna. Port był wielki, z jego środkowej części kursowały motorówki do wysp Lérins i mnóstwo łodzi rybackich oraz większych statków było tam przymocowanych linami. Zauważyłem, że sprowadzono dwa dźwigi. Ich stalowe liny zniknęły pod wodą. Wokoło było pełno policyjnych aut. Wreszcie w jakiejś grupie dostrzegłem Lacrosse'a, Roussela i Tilmanta.

- Co się stało?
- Lacrosse szybko znalazł się przy mnie.
- Dzięki Bogu! – I objął mnie poruszony. – Pan żyje! A więc to kłamstwo!
- Jakie kłamstwo?

Nadbiegli Roussel i Tilmant, także z widoczną ulgą na twarzach.

- Otrzymaliśmy anonimowy telefon – wyjaśnił Roussel.
- Tak i co?
- Ktoś dał nam znać, że wpadł pan z samochodem do basenu portowego.
- Ja?
- Tak, pan!
- Kto to mógł wymyślić?
- Nie wiemy, dzwonił jakiś mężczyzna, głos oczywiście zmieniony. W każdym razie wyjechaliśmy natychmiast i zaczęliśmy tu szukać. Woda pokryta jest olejem i potwornie brudna, ale jakieś auto rzeczywiście leży w basenie. Odkryli je pletwonurkowie.

Jeden z nich właśnie wynurzył się z wody. Na twarzy miał maskę, a na plecach butlę z tlenem. Dawał znaki operatorom dźwigów.

- Wreszcie chyba udało im się przymocować liny – wyjaśnił Roussel.

– Jak to im?

– Jest jeszcze jeden nurek na dole. Stalowe liny ciągle się zsuwały, ale miejmy nadzieję, że tym razem się udało. – Nurek ponownie zniknął w oleistej wodzie. Liny zniecała drgnęły i oba dźwigi zaczęły pracować. Obok mnie stał Tilmant. Wyglądał na wyczerpanego, nie odzywał się.

Wszyscy patrzyliśmy tylko na liny, które powoli naprężyły się. Po chwili z maziściej otchłani wynurzyła się maska samochodu i zaraz potem zawisnął w powietrzu cały wóz, który ociekał wodą. Był to ciemnozielony stary Chevrolet. Dźwigi zmieniły kierunek. Wóz podchodził w naszą stronę, zakołysał się nam nad głowami i opadając, wylądował z lekkim chrzęstem na bulwarze. Woda wciąż się z niego lała. Podbiegliśmy do niego. Okno przy fotelu kierowcy było otwarte. Zobaczyliśmy jakiegoś mężczyznę, który siedział skulony z głową na kierownicy, jeszcze trzymając jej koło. Był łysawy i krępy, na jego lewej skroni widoczna była mała dziurka. W miejscu gdzie wyszedł pocisk, potylicą była rozszarpana. Poczulem mdłości na widok otwartej czaszki i zmasakrowanego mózgu, ale mimo to zawołałem:

– To Danon!

– Kto? – spytał Lacrosse.

– Alain Danon, pan przecież pamięta! To ten facet z Residence de Paris, z mieszkania, w którym miała na mnie czekać Nicole Monnier. Residence de Paris... Tam mnie pobito i tam Nicole Monnier chciała mi sprzedać prawdę...

– Jest pan pewien, że to on? – To po raz pierwszy odezwał się Tilmant, cicho i jakoś niepewnie.

– Absolutnie pewny. To facet, który potem zniknął razem z tą kobietą, przepadł bez śladu, pan przecież mówił jeszcze, że nie sposób go znaleźć, nie przypomina pan sobie, monsieur Lacrosse?

– Pamiętam dokładnie – zasępił się mały człowiek. – A teraz się odnalazł.

– Tak – zawtórował mu Roussel nachylony nad wozem – a zastrzelono go pociskiem dum-dum z wielkokalibrowego pistoletu, tak samo jak Viale'a. – Spojrzał na Tilmanta. – A dla prasy co? Jeszcze jeden drobny wypadek, prawda?

– To morderstwo – Gaston Tilmant nie dał się wyprowadzić z równowagi. – A dla prasy – zabójstwo w podziemiu. Zastrzelono sutenera i był to prawdopodobnie porachunek między rywalami. Czy to wystarczy?

– Wystarczy – gorzko się zgodził Roussel. – I to jak jeszcze, monsieur Tilmant. Niech pan tylko mówi, jak było, a my podamy dalej.

Gaston Tilmant spojrzął na niego. Długo na niego patrzył, aż Roussel, nie mogąc znieść tego wzroku, odwrócił głowę.

Poprosiłem, by wóz policyjny odwiózł mnie do hotelu, gdzie zaraz nadałem do Gustawa Brandenburga zaszyfrowany telegram, w którym donosiłem o najnowszych wydarzeniach i prosiłem o wskazówki. Właśnie przekazywałem treść telegramu centrali telefonicznej, gdy odwołano mnie do telefonu. Wszedłem do kabiny i podniosłem słuchawkę.

– Tu Robert Lucas.

Usłyszałem kobiecy głos, drżący i ledwie zrozumiały:

– Znamy się, monsieur. Proponowałam panu pewną transakcję – w barze pańskiego hotelu, przypomina pan sobie?

Nicole Monnier! Nie poznałbym jej po głosie.

– Czerwona róża! – wpadło mi do głowy.

– Tak. – Teraz usłyszałem płacz. – Czy wie pan, co się stało?

– Bardzo mi przykro – odparłem.

Łkała jeszcze bardziej.

– I wszystko na nic? Jego już nie ma, zostałam sama i to wszystko nadaremnie? Nie, nie, nie! Czy w dalszym ciągu reflektuje pan na kupno, monsieur Lucas?

– Oczywiście.

– Musiałby pan jednak do mnie przyjść, najszybciej jak można. Tu, gdzie jestem, nie mogę już zostać. Muszę wyjechać i to jak najdalej. Ale to, co trzeba, powinien pan przedtem dostać. Mam to, mam wszystko, czego pan potrzebuje.

– Gdzie pani jest?

– We Fréjus. Niech pan weźmie taksówkę i przyjedzie tutaj. Tylko sam! Ostrzegam pana! Jeśli ktoś się dołączy z policji, jeśli ktoś pana będzie śledził, mnie tu nie będzie. Postępuję uczciwie i wymagam tego samego od pana.

– Przyjadę sam.

– I proszę nikomu o tym nie mówić.

– Zgoda. Jaki adres?

– Boulevard Salvarelli 121. U Julesa Lureya. Pod sam dom proszę nie podjeżdżać, niech pan powie kierowcy, żeby wysadził pana przy akwedukcie. Zna pan Fréjus?

– Nie.

– Musi pan zapytać o drogę, to niedaleko. Nie wysiądzie pan przy akwedukcie, to i mnie pan nie zastanie. Ostrzegam pana!

– Już raz to słyszałem.

– Nie żartuję.

- Zrobię, co pani mówi.
- I proszę przywieźć ze sobą pieniądze.
- Ile?
- Sto tysięcy. Chcieliśmy dużo więcej, milion, ale już dłużej nie mogę czekać, muszę wiać, wystarczy mi stowa... Wszystko mi jedno teraz, kiedy Alain nie żyje... Na co mi milion.

Zostało mi kilka czeków na sumę trzydziestu tysięcy marek, a przed ostatnim wyjazdem Brandenburg dał mi nowe o wartości ponad pięćdziesięciu tysięcy. Jakos powinno wystarczyć.

- Mam czeki podróżne – zaproponowałem.
- Nic z tego – Nicole Monnier przestała naraz płakać. – Tylko nie czeki. Mówię panu, że muszę szybko zniknąć. Czeki mógłby pan zablokować albo by się okazało, że są bez pokrycia. Pieniądze muszę mieć w gotówce, niech więc pan zrealizuje czeki. Niech pan robi, co mówię, albo w ogóle niech pan nie przyjeżdża!
- Banki są w południe zamknięte. Mogę je wymienić o drugiej, będę wobec tego u pani po południu, proszę się zatem nie niecierpliwzić.
- Skądże znowu. Każdy pański krok będzie odtąd pilnowany, monsieur. Rozumie pan, o co chodzi? Nie chcę tak jak Alain... – Głos zamilkł.
- Rozumiem – zdążyłem jeszcze rzucić w słuchawkę i odwiesiłem ją. Pozbierałem myśli, a potem zadzwoniłem do Angeli. Właśnie malowała.
- Muszę po południu wyjechać, ale wieczorem powinienem wrócić.
- Kiedy?
- Nie wiem jeszcze dokładnie.
- To bardzo ważne?
- Tak mi się wydaje.
- Bądź ostrożny, Robercie, pamiętaj!
- Postaram się. Do wieczora – tak ją pożegnałem.

Przed obiadem zjrzałem na taras i usiadłem w naszym kąciaku pod dużą markizą, rozmyślając przy dżinie z tonikiem o tym, że dzisiaj, już za parę godzin, dowiem się wreszcie prawdy o śmierci Hellmanna. Byłem pewien, że to będzie koniec sprawy. A dla lewej nogi zostanie mi sześć miesięcy. Co się jeszcze w tych sześciu miesiącach wydarzy, zastanawiałem się. W Cannes zaczęły się plotki na temat Angeli i mnie. Bianca Fabiani już się o to postara, żeby uprzykrzyć nam życie. Pomyślałem, że wiele będę miał do opowiedzenia Angeli, gdy zjawię się u niej wieczorem.

Drink chłodził przyjemnie, bo poprosiłem o podwójną porcję lodu.

Fréjus dzieli od Cannes jakieś trzydzieści kilometrów. Taksówkarz jechał szybko trasą Estérel – Côte d'Azur. Na drodze z Cannes minęliśmy najpierw Mandelieu, a potem dolinę Argentière. Przecieliśmy płaskie wzniesienie między Tanne-ronem i Estérelem i posuwaliśmy się wzdłuż wielkiej zapory.

Kierowca odwrócił w moją stronę głowę.

– Oto Malpasset. Przypomina pan sobie?

– A co?

– Rok pięćdziesiąty dziewięć, początek grudnia. Górą przerwał się wał. Ponad czterystu ludzi zginęło.

– A tak, teraz pamiętam. Ale wymieniano zawsze zaporę koło Fréjus.

– Zaraz tam będziemy – kierowca należał do ludzi raczej małowównych.

Znaleźliśmy się w dolinie rzeki Reyron, a potem autostrada wiodła przez opuszczone podgórze Estérelu. W słońcu żarzyły się czerwone skały. Kilka kilometrów przed Fréjus autostrada się skończyła i jechaliśmy teraz szeroką wiejską drogą. Miasto leży jakieś dwadzieścia metrów powyżej rzeki, oddalone od morza o półtora kilometra. Dostrzegłem gotycką katedrę i bardzo piękny stary pałac. Kierowcy spieszyło się. Naraz znaleźliśmy się w pobliżu całego zespołu ruin, pochodzących chyba z czasów rzymskich – był tu amfiteatr i olbrzymi, na jakieś dwadzieścia metrów wysoki akwedukt, który biegł ponad doliną. Podskakując na wybojach, dotarliśmy do muru leżącego w ruinach. Tutaj się zatrzymaliśmy.

– Proszę bardzo, a oto akwedukt, monsieur.

Wsiadłem i zapłaciłem. Do Cannes postanowiłem wracać inną taksówką, kierowca miał jednak nadzieję, że go zatrzymam, i odjechał wściekły. Stałem na pustym zupełnie placu przed zrujnowanym murem i czekałem, aż pojawi się jakiś inny samochód, ale nic nie mąciło ciszy. Miasto drzemało w popołudniowym upale. Trochę po omacku skierowałem się ku szosie, którą przyjechaliśmy, i na przydrożnej tablicy przeczytałem, że była to *route de Cannes*. W cieniu domu na ziemi siedział jakiś inwalida bez nogi i grał na skrzypcach. Przed nim leżała czapka. Patrzyłem długo na niego i na miejsce, w którym powinna się znajdować druga noga, gdyby miał obie. Brakowało mu lewej. Rzuciłem parę monet do pustej czapki i spytałem go o drogę do Boulevard Salvarelli. Odpowiedział nie przerywając gry. Przeszedłem kawałek drogą w kierunku miasta i skręciłem w lewo na Cours Paul-Vernet. Miałem z tego miejsca piękny widok na Saint-Raphael i Estérel.

Zachwycony krajobrazem zatrzymałem się, gdyż zaczęła mnie boleć lewa stopa. Połknąłem dwie tabletki i powędrowałem dalej, skręcając w lewo, a potem w prawo, aż do avenue de la Porte d'Orée, którą znowu poszedłem na prawo. Z lewej zobaczyłem Porte d'Orée, pozostałość po kiedyś na pewno potężnej budowli. Opowiedział mi o niej kaleki skrzypek, podkreślając, że pochodzi z czwartego wieku i zbudowana została przez Rzymian, a tam gdzie teraz sterczały resztki murów, znajdował się kiedyś port. Rychło znalazłem się na Boulevard Salvarelli. Poza jednym żebrakiem nie spotkałem żywej duszy, tylko dwa psy i kot wygrzewały się pod starymi domami na bruku. Kot trwał w bezruchu, ale psy ze zwieszonymi językami dyszały ciężko i niespokojnie. Wszystkie okiennice były zamknięte i doznałem uczucia, że znalazłem się w jakimś umarłym mieście.

Dom pod numerem 121 był jednopiętrowy i pomalowany na brzydki zielony kolor. Z szyldu wynikało, że mieściła się w nim pralnia parowa Lureya. Drzwi wejściowe były zamknięte. Stukałem głośno, stojąc w prażącym słońcu i ocierając chusteczką pot z karku i czoła. Ból w stopie nie ustępował. Chyba z pięć minut łomotałem w drzwi, aż wreszcie po drugiej stronie zaszurały kroki i odezwał się męski głos:

- Kto tam? Proszę podać nazwisko.
- Robert Lucas.

Klucz obrócił się w zamku i drzwi się otworzyły. Przede mną stał młody człowiek o posturze atlety; na pewno był wyższy ode mnie o dwie głowy.

- Robert Lucas, i co z tego? – spytał.
- Czekają tu na mnie.
- Kto?
- Mademoiselle Monnier.
- Niech pan ją opisze.

Opisałem więc ją, jak tylko potrafiłem. Gdy doszedłem do zepsutych zębów, olbrzym skinął głową.

– Niech pan idzie za mną. – Zamknął drzwi i przez czworokątne, zagracone podwórce, na którym stały stara ciężarówka i zardzewiałe maglownice, prowadził mnie ku schodom, wiodącym na ganek, który na wysokości pierwszego piętra obiegał całe podwórce.

Wychodziły na niego drzwi i okna mieszkań. – Wejdzie pan na górę i zaraz do pierwszych drzwi. Dzwonić trzy razy, dwa razy krótko i raz długo – objaśnił mi osilek.

Wszedłem na zardzewiałe, żelazne schody. Blaszane stopnie zgrzytnęły pod nogami. Sam ganek był z kamienia. Zatrzymałem się przed pierwszymi drzwiami i zadzwoniłem w umówiony sposób.

Drzwi otworzyły się natychmiast, a w ich framudze stanęła Nicole Monnier. Rozpoznałem ją, ale prawie przestraszyłem się na jej widok. Bez makijażu, cerę miała szarą, czarne włosy w niechlujnych 'strąkach, a zaczerwienione oczy były spuchnięte od płaczu. Teraz już nie płakała, ale twarz jej zamieniła się w nieruchomą maskę. Wyglądała jak stara, zniszczona kobieta.

– Niech pan wejdzie – zaprosiła mnie niezbyt uprzejmie do środka. Znalazłem się w niskiej, brudnej i dawno nie sprzątej kuchni, z której przeszliśmy do równie obscurnego pokoju. Stało w nim podwójne łóżko, a nad nim wisiał oleodruk z ukrzyżowanym Chrystusem. Poza tym były tu jeszcze dwa kulawe krzesła, szafa i stół. Przez zamknięte okiennice nie wpadało do pokoju ani światło, ani świeże powietrze. Nicole miała na sobie tylko szary fartuch, chodziła boso. Zsunąłem z nogi lewy but, gdyż ból stawał się coraz bardziej nieznośny.

– Usiądźmy – zaproponowała.

Zajęliśmy krzesła przy stole, naprzeciw nie pościelonego łóżka. Na stole leżały jakieś fotografie, zauważyłem także mały magnetofon, połączony sznurem z gniazdkiem.

– Naprawdę boleję nad tym, co się wydarzyło – podjąłem rozmowę.

– Ja też – westchnęła smutno Nicole. – Alain był łajdakiem, ale go kochałam. Teraz nie żyje i zostałam zupełnie sama. – Mówiąc to, nie starała się nawet ukryć zepsutych zębów. ,

– Co pani ma zamiar zrobić?

– Uciec stąd – oświadczyła stanowczo. – Mam czekać, aż przyjdą i również mnie ukatrupią? Ci tutaj to nasi przyjaciele i do nich należy dom. Ale teraz nie mogę już tu dłużej zostać.

– Dokąd chce pani jechać?

– Gdzie bądź, byle daleko od Francji. Muszę więc mieć pieniądze. Przyniósł je pan?

– Tak.

– Niech pan pokaże.

Wyciągnąłem plik banknotów, który potem znów schowałem do skórzanej torebki, podarowanej mi przez Angelę.

– Ma pan papierosa?

– Już nie palę.

– Niech tam, wszystko mi jedno. Do rzeczy, panu się spieszy, prawda?

– Tak.

– Mnie zresztą też – stwierdziła. – Niech pan uważa. Kiedy w „Majesticu” powiedziałam panu przy barze, że mam do sprzedania całą prawdę, istotnie chciałam to zrobić, tak postanowiliśmy z Alainem, który wysłał mnie, abym z panem

ubiła interes. Potem spotkalibyśmy się u mnie i wszystko byłoby w porządku, gdybyśmy nie zobaczyli, że pana napadli.

– Widziała to pani, Alain też?

– Mówię przecież. Uznał wtedy, że nic z tego, to za duże ryzyko. Gdyby pan wtedy przyszedł na górę, wszystkiego się dowiedział i bomba by wybuchła, byliśmy skończeni. Już by oni wiedzieli, kto zaczął sypać.

– Co za oni?

– No, tamci.

– Jacy tamci?

– Na miłość boską, niechże pan zaczeka!

– Przepraszam.

– Już dobrze. Nerwy mi wysiadają, panu też?

– Tak.

– Wyobrażam sobie – rzekła kobieta, która wtedy wydawała mi się całkiem ładna, a teraz siedziała przede mną niczym ludzki wrak. – Nieprzyjemne to wszystko, dla pana też. Co robić, muszę stąd uciekać i potrzebuję pańskich pieniędzy, tak jak pan potrzebuje prawdy. A więc tamtego wieczoru Alain powiedział: Nie możemy tego zrobić, sam przyjmę tego faceta, a ciebie nie ma. I kiedy oprowadzał pana po mieszkaniu, byłam w szafie, takiej z lustrem w sypialni, przypomina pan sobie?

– Przecież do niej zaglądałem – odparłem.

– Miała z tyłu przesuwane drzwi, przez które wchodziło się do małego pomieszczenia, między dwoma murami, całkiem z zewnątrz niewidocznego.

– Gdyby nie ten napad, rozmawiałaby pani ze mną w sypialni, a Alain by siedział w tej klitce za szafą, czy tak?

– Tak.

– Zawsze pani tak robiła, gdy miała pani klientów?

– Nie zawsze, ale często. Na przykład, jeśli chcieliśmy z kogoś coś wycisnąć albo kiedy się bałam. W każdym razie po pańskiej wizycie Alain zaczął się bać i uznał, że na jakiś czas musimy zniknąć. Byliśmy tu i tam, w końcu tu. Stąd Alain nawiązał kontakt z tym Seebergiem.

– Z kim?

– Z Seebergiem, tym facetem z banku Hellmanna. Zna go pan przecież!

– Znam, oczywiście. Ale że go Alain znał...

– On znał ich wszystkich, całą tę ferajnę. I to właśnie chcieliśmy panu sprzedać. Panu, a nie komuś z nich. Zbyt niebezpieczne, zawsze to podkreślał. Pan nie był dla nas niebezpieczny, pan by chętnie zapłacił, oczywiście w interesie swojej firmy. – Nicole przesunęła ręką po zlepionych kosmykach włosów. – Tak wtedy

powiedział, ale coś mu strzeliło do głowy i postanowił z Seeberga wycisnąć milion. Najmniej milion. Dał mu to do zrozumienia przez telefon. Mieli się spotkać w Starym Porcie wczoraj w nocy. Rzecz jasna Alain niczego ze sobą nie zabrał, żadnych materiałów.

Nicole przyglądała się swoim dłoniom. Miała brudne ręce i poodpryskiwany lakier na paznokciach.

– No i ma pan – dodała. Stopa mniej mnie teraz bolała.

– Sądzi pani, że to Seeberg zastrzelił Alaina?

– Na pewno nie własnymi rękami. Do takich rzeczy mają swojego człowieka, specjalistę. – Nachyliła się do przodu. – Proszę mnie teraz uważnie posłuchać, monsieur: Alain i Argouad byli zaprzyjaźnieni od lat.

– Kto?

– Mój ty Boże, Argouad, ten Algierczyk z La Bocea!

– Ach tak, przepraszam! No i?...

– I pewnego dnia Argouad przychodzi do Alaina i mówi mu: słuchaj, była jakaś Włoszka, mam się jej postarać o dynamit. Daje sto tysięcy. Od tego momentu zaczął się Alain interesować sprawą.

– Już wtedy?

– Już wtedy, tak. Znał wielu ludzi, a zwłaszcza tych, co trzeba, ma się rozumieć. No i zaczął się interesować, co ta pielęgniarzka zrobi z dynamitem. Najpierw nic z nim nie robiła. A Hellmann przyjechał do Cannes podobno zupełnie wykończony. Jego także przywazył i śledził go, kiedy się kręcił i odwiedzał, a to Fabianich, a to Kilwooda i tego Thorwella, a to Tenedosa i Sargantanę. Stale Hellmann do tych ludzi zajeżdżał.

– Tylko do nich?

– Co to znaczy?

– Nikogo pani nie pominęła?

Zastanowiła się, potrząsnęła głową.

– A co z Trabaudem? – podsunąłem jej nazwisko..

– Ach tak, słusznie, ten był również z Hellmannem powiązany interesami, ale z tą sprawą nie miał nic wspólnego. Wiem na pewno! Zaraz pan zrozumie, dlaczego. A więc Hellmann był na pełnych obrotach. Odwiedził pańską przyjaciółkę, madame Delpierre. Ona też ze sprawą nie ma nic wspólnego. Malowała mu tylko portret. Niech pan nie robi takiej zdziwionej miny, przecież powiedziałam, że Alain znał wielu ludzi. Znał też pewnego Włocha, a ten miał znajomego na służbie u Tenedosów, Vittoria. Alain i Vittorio dogadali się. Vittorio nienawidzi Tenedosów.

– Tak, bo Tenedos jest miliarderem.

– Nie – sprzeciwiła się szybko Nicole. – Wcale nie dlatego!

– Wobec tego dlaczego?

– Bo Tenedos jest obłudnikiem i kanciarzem! Vittorio jak pan wie, ma bzika na punkcie prawa i bezprawia, dobra i zła. Dlatego też powiedział, że pomoże Alainowi. Nie wziął za to grosza. Żeby tylko wykończyć Tenedosa, tego rekina, co ma lodówkę w salonie za fortepianem i nocą ze swoją starą wykrada z niej kawior i szampan, tego pospolitego tchórza, co się boi, że Vittorio zbuntuje pracowników i ci go zamordują, jeśli ujawni im swoje dęte bogactwo.

– Czy Vittorio rzeczywiście podburzał pracowników?

– Nie było potrzeby. Myśli pan, że nie mają swojego zdania? To nie oni sprzątną Tenedosa; Vittorio i służba nie mordują, mordercami są inni.

– Nie rozumiem.

– Powoli, wyjaśnię to panu, wszystko wyjaśnię. Vittorio założył w salonie podsłuch. Pewnego razu, kiedy znów się pojawił Hellmann i rozmawiał w salonie z Tenedosem, Vittorio w swoim pokoju – dokąd prowadził przewód – włączył magnetofon, ten, co tu stoi, i nagrał całą rozmowę. Kasetą jest wewnątrz. – Włączyła magnetofon. – Niech pan posłucha. Brakuje początku, bo trochę się spóźnił, ale i to wystarczy. – Wcisnęła klawisz. Odezwał się męski głos...

– ... dwa razy już panu mówiłem i powiem trzeci: nic nie wiedziałem o waszych ciemnych interesach! Już to innym mówiłem, przede wszystkim Kilwoodowi. Najmniejszego pojęcia nie miałem, aż do owego wieczoru, kiedy mnie zaczepiono we „Frankfurter Hofie”. Zaraz potem, jeszcze w nocy, poszedłem do banku i zająłem się oddziałem dewizowym. Po raz pierwszy, rozumie pan, pierwszy raz dowiedziałem się, jakie to miliardowe machlojki za moimi plecami robił z Seebiergiem Kilwood w imieniu was wszystkich. Was wszystkich! Dlatego tu przyszedłem! Seeberga, tego łajdaka, natychmiast telegraficznie zwolniłem, ale, niestety, nie mogę tej decyzji podać do publicznej wiadomości.

– Głos Hellmanna – szepnęła Nicole.

Wyjaśnienie było całkiem zbędne, ale przytaknąłem, pochylony nad magnetofonem. Poznałem głos, który się teraz odezwał, należał do Tenedosa. Spróbowałem spisać ten dialog z taśmy. Oto on:

TENEDOS: – To szaleństwo, czego pan żąda! Nie zdoła pan już wycofać się z tych funtowych transakcji, tak by tego nikt nie zauważył.

HELLMANN (z rozpaczą i bezradnością, jakby sam nie wierzył tym zapewnieniom): Zrobię to! Zrobię! Wszystkie sumy na nowo zaksięguję, dla starych zapisów księgowych znajdę inne tytuły... I w tym musicie mi pomóc. Nie dopuszczę, by ktoś z was naraził na szwank moją reputację!

TENEDOS: – A ja panu mówię, że nikt nie uwierzy w pana niewinność i to, że o niczym pan nie wiedział.

HELLMANN: – Sprowadzę pierwszorzędnych rzeczoznawców. Na całym świecie mam wśród bankierów przyjaciół, najlepszych ludzi. Potwierdzą, że człowiek pokroju Seeberga, na stanowisku generalnego pełnomocnika, który samodzielnie kierował oddziałem dewizowym w jednym z moich banków, mógł z łatwością bez wiedzy właściciela banku prowadzić takie interesy.

TENEDOS: – Niech pan tak nie krzyczy!

HELLMANN: – Będę jeszcze głośniejszy. Odmówiliście mi *coverage* dla transakcji kredytowej. Seeberg popełnił świnstwo umyślnie zatrzymując funty i nie przekazując ich do banku federalnego. Chcieliście mnie zrujnować. Mielście nadzieję, że z rozpaczy i bezsilności palnę sobie w łeb, jeśli wszystko odkryje. A wtedy bank byłby wasz i tego aferzysty Seeberga. Bo moją siostrę na pewno byście oszukali. Domagam się od was, byście wspólnie pomogli mi pokryć stratę. Kilwood już o tym wie.

TENEDOS: – I co na to?

HELLMANN: – Zaśmiał się tylko i powiedział, że mogę sobie odebrać życie.

TENEDOS: – Rzeczywiście, tylko się z tego śmiać.

HELLMANN: – Tak? To ma być śmieszne? Już zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni. A teraz, Tenedos: żądam pokrycia dla powstałej w markach straty. Natychmiast! Od was wszystkich! Kilwood działał przecież na wasze zlecenie, gdy instruował Seeberga.

TENEDOS: – Dla człowieka z taką pozycją jak pan, czterdzieści milionów nie stanowi chyba problemu.

HELLMANN: – Nie, ale osiemdziesiąt już tak! Tyle mi trzeba, żeby po starej cenie zwrócić wam wszystkie funty i przenieść na was wszystkie transakcje kredytowe. Nie zorganizuję takiej sumy. Naturalnie, już mowy nie ma o dalszej współpracy. KOOD będzie musiał sobie poszukać innego bankiera.

Nicole przycisnęła wyłącznik. – To jeszcze potrwa – wyjaśniła. Hellmann krzyczy, Tenedos plecie to samo, wykręca się, nie mówi tak, nie mówi nie. W każdym razie jest pewne, to jeszcze Alain ustalił, że Hellmann rzeczywiście nic o tych interesach nie wiedział. Najlepszym dowodem jest przecież jego zdenerwowanie. – Nicole szukała teraz na taśmie początku drugiej rozmowy. – Dzień po tej wizycie Tenedos miał drugiego gościa, Sargantanę. Znowu rozmawiali w salonie, a Vittorio uruchomił magnetofon i tak jak poprzednio brakuje pierwszych zdań. Nacisnęła guzik i usłyszałem następujący dialog:

SARGANTANA: – ... wszystko według planu, mój kochany, Hellmann wpadł w pułapkę, lepiej nie mogło się udać. Uzgodniliśmy już, co się ma stać. Powtórzę tylko raz jeszcze, gdyż czasu mało. Nie odmawiamy mu stanowczo naszej pomocy. Pozwolimy mu najpierw jechać na Korsykę. Kiedy wróci, damy odpowiedź, powiemy mu.

TENEDOS: – Nie wróci przecież.

SARGANTANA: – Z boską pomocą nie. Warunek: każdy w tej sprawie robi teraz to, co do niego należy. Mówi pan, że pewnemu absolutnie zaufanemu człowiekowi kazał od pielęgniarki przejąć dynamit. Czy możemy na nim rzeczywiście polegać?

TENEDOS: – Bezwarunkowo.

SARGANTANA: – Cóż, mogę tylko panu uwierzyć, jak i pozostałym, że zaufali właściwym osobom, wnosząc tym samym swój wkład do wspólnego przedsięwzięcia.

– Wspólnego morderstwa – poprawiłem, czemu Nicole przytaknęła.

TENEDOS: – Mój specjalista zajął się konstrukcją bomby. Przygotuje wszystko, łącznie z częścią elektryczną. Dalszy ciąg należy do Thorwella. Jego człowiek zainstaluje to tak, żeby urządzenie było gotowe do działania. Jest jeszcze jedno: zawsze należy się liczyć z tym, że ktoś nie utrzyma języka za zębami – to może być nawet ktoś z nas, niech się pan nie obraża, idzie przecież o wielką stawkę, to może być ktoś z tych ludzi, z którymi teraz pracujemy, to przecież gangsterzy – ponieważ więc taka możliwość istnieje, Kilwood i pan musicie się zająć znalezieniem zawodowca, który w razie zagrożenia z czyjejś strony natychmiast wkroczy do akcji i zrobi porządek.

SARGANTANA: – Znaleźliśmy takiego człowieka.

TENEDOS: – Kto to taki?

SARGANTANA: – Tego nie powiem. Zdradzę tylko, że lepszego być nie mogło. Nie ma mowy, żeby mógł kiedykolwiek wzbudzić podejrzenie, ale jego nazwiska nie powiem i proszę także nie wymieniać nazwiska swojego człowieka.

TENEDOS: – Dobrze, niech pan zachowa to dla siebie. Żeby się tylko podporządkował.

SARGANTANA: – Będzie chodził na sznurku, może być pan pewny.

TENEDOS: – Co z tymi dwoma Francuzami, z którymi Hellmann chciał się spotkać na Korsyce?

SARGANTANA: – Z Clermontem i Ablem?

TENEDOS: – Tak.

SARGANTANA: – A nic. Wykluczone, by Hellmann chciał się z nimi układać lub cokolwiek im obiecywać, dopóki z nami nie wyjaśni sprawy. A sam daje nam tym wyjazdem na Korsykę ostatnią okazję do namysłu. Kiedy znajdzie się w drodze, nie będziemy się już musieli zastanawiać. Niestety, samobójstwo, morderstwo – nic się nie wyda, jeśli zaangażujemy się wszyscy, każdy w swojej części. Oby tylko ten zawodowiec nie pokrzyżował nam planów, a wtedy już na pewno pozbedziemy się Hellmanna.

Nicole zatrzymała taśmę i wyłączyła magnetofon.

– Morderstwo, w którym miało udział więcej osób – podsumowała – tak było, monsieur. Jak się to wszystko zgadza! Eksplozja, zawodowiec. Viale'a sprząnięto zapewne dlatego, że wpadł na ślad, który prowadził do Algierczyka, tego Argouada. Zamordowano pielęgniarkę, bo istniało niebezpieczeństwo, że zacznie mówić. Próbowano pana usunąć z drogi, bo stał się pan zbyt niewygodny. Zamordowano mojego Alaina, gdy przestraszył Seeberga, a zawsze mu mówiłam, żeby nie z tymi ludźmi, ale z panem pertraktował, choćby nawet miał mniej zarobić. Nie posłuchał mnie, nigdy mnie zresztą nie słuchał i teraz nie żyje... – Umilkła i patrzyła na mnie oczyma, które nic nie widzą. Z podwórza dochodziły wesołe głosy bawiących się dzieci.

– Co to za fotografie? – zainteresowałem się po chwili.

– Ach tak – zaczęła szperać w stosie zdjęć. – Alain naprawdę ciężko pracował nad tą sprawą. Odszukał faceta, który skonstruował pierwszą część piekielnej maszyny; z tyłu na zdjęciu znajdzie pan nazwisko i adres. – Dała mi fotografię i wzięła następną. – Ten tutaj zajmował się instalacją elektryczną, nazwisko i adres także na odwrocie. – Rozłożyła na brudnym stole całą kolekcję zdjęć. – A oto ci ludzie przy wykonywaniu swoich zadań; Alainowi udał się pomysł nie z tej ziemi.

– Co takiego?

– Wśliznął się na „Moonglowa”, kiedy ten czekał w Port Canto, tylko dwóch ludzi było wtedy na pokładzie. Wprowadził na pokład prostytutkę, marynarze upili się i zasnęli. Całe noce zostawał w ukryciu na pokładzie, czekając na faceta, który miał przynieść i zamontować bombę. Trzy noce to trwało, aż się wreszcie doczekał i ten ktoś przyszedł. W skarpetkach zszedł za nim do maszynowni.

– Nie było tam światła.

– A nie, ale miał noktowizor. Podczerwone światło jest niewidoczne, ale wystarczy, żeby zrobić pierwszorzędne zdjęcia. Alain sfotografował osobę, która ukryła bombę w maszynowni. Oto ona. – Nicole podała mi ostatnie zdjęcie.

W maszynowni statku przy montażu skrzyneczki zobaczyłem Hildę Hellmann, Brylantową Hildę, siostrę Herberta Hellmanna.

33.

O dwudziestej pierwszej byłem znów w „Majesticu”. Poprosiłem o drugi, większy sejf i złożyłem w nim wszystkie materiały, które mi Nicole Monnier sprzedała za sto tysięcy franków. Klucz do niego zostawiłem w pierwszym, mniejszym sejfie.

Oddałem jak zawsze klucz portierowi, gdy usłyszałem:

– Telefon do pana... z Düsseldorfu, monsieur Lucas, ten pan dzwoni już czwarty raz. Do trzeciej kabiny proszę.

Udałem się do kabiny i podniosłem słuchawkę.

– Robert?

– Gustaw! Mam... – Ale coś nagle kazało mi milczeć, jakieś niejasne przecucie. – Co się stało? – spytałem.

– Wracasz – przemówił chłodnym tonem mój szef. – Pierwszym samolotem. I zaraz do mnie.

– Dlaczego?

– Zostałeś z tej sprawy wyłączony.

– Ale dlaczego? – krzyknąłem.

– Angela Delpierre.

– A co to ma wspólnego?

– Wiesz dobrze.

– I ty także wiesz! Piliśmy za jej zdrowie, za moje, za nasze szczęście.

– Nie przypominam sobie.

– Człowieku, co ty gadasz...

– Były tutaj skargi od ludzi z Cannes. Od bardzo niebezpiecznych ludzi.

– Wiem nawet od których.

– Nie mnie się skarżyli, lecz dyrekcji, która uznała, że twoje zachowanie jest rzeczywiście niestosowne. Wyrażono ubolewanie i obiecano, że zostaniesz natychmiast odwołany. Dojrzałeś do emerytury, Robertcie, jeśli oczywiście ją dostaniesz. Bądź co bądź poważnie zaniedbałeś swoje obowiązki.

– Gustawie – przemówiła przeze mnie gorycz – nie pamiętasz już, jak mi obiecywałeś, że można na tobie polegać, bez względu na to, co się stanie. Już nie pamiętasz?

– Ee tam – zgasił mnie Gustaw, mój dobry przyjaciel.

– Nie ma takiej rzeczy, której bym dla was nie zrobił – krzyczałem. – Dla waszej miłości, dla ciebie. I dla niej! Jeśli ją kochasz, to i ja wszystko dla niej zrobię. Tak powiedziałeś!

– Nie krzycz tak – upomniał mnie i zaśmiał się złośliwie: – Rzeczywiście? Tak powiedziałem? No i co z tego? Co mnie obchodzą jakieś wczorajsze głupstwa?

– Ty parszywa świnio...

– Stul pysk – warknął. – Wracasz pierwszym samolotem i meldujesz się u mnie, jasne?

Odłożyłem słuchawkę bez odpowiedzi.

Wróciłem do holu i dopiero wtedy pojąłem, w jak groteskowej sytuacji znalazłem się. Była to najgłupsza rzecz pod słońcem, jaka mogła mi się teraz przydarzyć.

Zacząłem się głośno śmiać, aż jacyś ludzie zaczęli mi się przyglądać ze zdziwieniem. Poprosiłem portiera, żeby mi zarezerwował miejsce w pierwszym samolocie, który odlatuje do Düsseldorfu.

– Czy pan zatrzymuje pokój, monsieur Lucas?

– Tak – odparłem bez namysłu. – Szybko wróć.

– Cieszę się, monsieur Lucas.

– Przypuszczam, że nie wrócę dzisiaj na noc, a jutro z rana bezpośrednio pojadę na lotnisko.

– Oczywiście, monsieur, miłej podróży i szczęśliwego powrotu. Byłbym zapomniał, z popołudniową pocztą przyszedł do pana jeszcze jeden list.

Wręczył mi kopertę z nadrukowanym adresem mego przyjaciela i adwokata, doktora Paula Fontana.

34.

Siedzieliśmy blisko siebie na huśtawce, która stała w kącie wielkiego tarasu. Światło z tarasu padało na kwiaty i na list, który trzymałem w ręce. Czekałem z otwarciem koperty, aż znajdę się u Angeli. Teraz czytałem głośno:

– „Wielce szanowny Panie Lucas!” – jesteśmy co prawda na ty, ale to jest list oficjalny. – „W załączeniu przesyłam panu kopię pisma nadesłanego przez mecenasa doktora Borcherta, adwokata Pańskiej Żony. Mam nadzieję, że w najbliższym czasie będzie się Pan mógł zjawić na rozmowę w mojej kancelarii. Z wyrazami poważania – Paul Fontana.”

– Gdzie ta kopia? – wyciągnąłem z koperty cienką kartkę i rozwinąwszy ją, czytałem: – „Wielce Szanowny Panie Kolego! Pani Karin Lucas otrzymała od Pana list zawiadomieniem, że mąż jej stara się o rozwód i takież pozew został już skierowany do sądu. W imieniu mojej Klientki oświadczam, że nie myślała ona kiedykolwiek i w żadnych okolicznościach o wyrażeniu zgody na rozwód. Jestem absolutnie pewien, że na podstawie tak przedstawionej sytuacji sąd nie wyrazi zgody na rozpatrywanie tak mało konkretnego pozwu rozwodowego Pańskiego Klienta. Z koleżeńskimi wyrazami uszanowania – Borchert, adwokat”. – Papiery wypadły mi z rąk, spojrzałem na Angelę. – Kochany Pan Bóg widocznie nie bardzo nas kocha.

– Nie mów tak – zachnęła się. – To przecież dopiero początek. Wiedzieliśmy, na co się decydujemy, spodziewaliśmy się, że będą trudności, i to wielkie. I co z tego? Jesteśmy razem, zawsze będziemy razem. Tego nikt nam nie zabroni, nawet twoja żona. Ani ona, ani żaden sąd na świecie nie zmusi cię do powrotu do niej.

- Jesteś dzielna.
 - Myślę tylko realnie. Uważamy się za małżonków, brakuje nam dokumentu potwierdzającego ten związek, kawałek papieru, rozumiesz, Robercie!
 - Zgoda, mówisz to dzisiaj. Ale za dwa, trzy lata...
 - Może będzie tak samo albo całkiem inaczej, bo twoja żona zmieni zdanie. W życiu zdarza się zwykle co innego, niż oczekujemy.
 - Nie licz na to, Karin tego na pewno nie zrobi.
 - A może. Jesteś czarnowidzem, Robercie, nie zaprzeczaj, jesteś. Kocham cię także za to. Ale teraz, kiedy jestem z tobą, musisz się zdobyć na więcej optymizmu, na więcej wiary w siebie. I tak los cię hojnie obdarował, a będziesz miał jeszcze więcej.
 - Chciałbym mieć twoją pewność siebie. Niestety, nie mam.
 - Spróbuję walczyć za dwoje – uśmiechnęła się Angela.
 - Po trzech latach, przy dużym szczęściu, dostanę rozwód, nawet wbrew woli Karin.
 - Lecz bez szczęścia nigdy. Nie myślmy o tym w tej chwili. Nawet gdybyś nigdy nie dostał rozwodu i nigdy nie moglibyśmy się pobrać, zawsze, Robercie, tylko ciebie będę kochać. Zrozumiałeś to wreszcie, wierzysz mi?
 - Niech będzie.
 - Mogę do końca życia być tylko twoją kochanką. Nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Dopóki mnie kochasz, jest mi to zupełnie obojętne. Jakie to dziwne, że słowo „kochanka” znaczy w twoim języku coś gorszego. Czy znasz piękniejsze określenie, powiedz?
 - Nie.
 - Szczerze mówiąc, zawsze liczyłam się z tym, że żona nie da ci rozwodu. I zawsze było dla mnie oczywiste, że to nie będzie miało żadnego wpływu na to, co czuję do ciebie, na naszą miłość.
- Silny podmuch wiatru wdarł się na taras. Spojrzałem w górę na zachmurzone niebo. Nagle ochłodziło się, pierwszy raz, odkąd znalazłem się w Cannes, było zimno. Znów uderzył wiatr. Burza, daleka jeszcze, szybko nadciągała.
- A cóż to znowu?
 - Mistral – poderwała się Angela. – Chodź, wracamy do mieszkania. – Pomagałem jej wnosić koce i poduszki oraz złożyć szeroką markizę. Burza dopadła już Cannes i wypełniając przestrzeń szeptem i skowytym pędziła opętańczo, uderzając w żaluzje i trzęsąc palmami. Namęczyłem się porządnie przy wielkich, szklanych, rozsuwanych drzwiach, nim je wreszcie zamknąłem po umieszczeniu wszystkiego w bezpiecznym miejscu.
 - Mistral? – zdziwiłem się.

– A tak – potwierdziła. – Wpada tu od czasu do czasu, ale nikt go nie wita z entuzjazmem.

– Dlaczego?

– Ludzie robią się nerwowi, mają bóle głowy. Mistral jest zimnym wiatrem północnym, który wrywa się z doliny Rodanu. – Po chwili dodała: – Nie rób takiej miny, Robercie. Proszę, uwierz mi, że nawet gdybym do końca życia miała być twoją kochanką – nie mogę sobie wyobrazić niczego piękniejszego!

Objąłem ją ramieniem i pocałowałem. Osunęliśmy się na kanapę. Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej, szarpał szklanymi drzwiami, potrącał markizą, gwizdał, wył i skowyczał, wciskając się w szczeliny okien. Kiedy uwolniła się z moich objęć, dostrzegłem w oczach Angeli łzy i znów pokryłem jej twarz pocałunkami.

– Tylko dlatego płaczę, że jestem szczęśliwa – szepnęła.

– Wiem, że to tylko dlatego – i dalej zbierałem pocałunkami jej łzy, ale wciąż płynęły nowe, a wicher hulał wokół naszego domu, wokół jedynego miejsca na ziemi, w którym czuliśmy się bezpiecznie.

Przynajmniej wtedy tak nam się wydawało.

35.

Prawie nie spaliśmy tej nocy.

Piliśmy szampana i spoglądaliśmy na morze, jak zmagало się z burzą. W Port Canto roztańczyły się światła pozycyjne jachtów. Obejrzeliliśmy film w telewizji i ostatnie wiadomości, a potem słuchaliśmy płyty Cole Portera. Burza szalała na całego.

– Będzie tak trzy dni – ostrzegła mnie Angela. – Zimno ci, kochanie?

– Ależ nie.

Oboje byliśmy w szlafrokach.

– Muszę jechać do Düsseldorfu – powiedziałem nagle.

Skinęła tylko głową.

– Brandenburg chce ze mną mówić.

– Ach, tak. A co wydarzyło się dzisiaj po południu? Udało ci się coś zdobyć?

Słuchałem muzyki, skowytu grzmotów i westchnień wichru. Po tym, co usłyszałem od Angeli, wiedziałem już, co robić. Wszystko wydało mi się proste i ujrzałem moją drogę niezwykle dokładnie. A iść nią musiałem, bo nie było innej. Zaraz o tym napiszę, niczego nie ukrywając.

To, co zamierzałem, nie było wcale piękne ani uczciwe. Wprost przeciwnie, było czynem kryminalnym, bezwzględny i – jak chcecie – wstrętny. Co do ostatniego określenia miałbym co prawda zastrzeżenie. Nie zawsze byłem tak zdeterminowany, jak w tę burzliwą noc. Obcując z szubrawcami, sam stałem się szubrawcem. Po prostu przestępcą, człowiekiem bez skrupułów, może nawet budzącym obrzydzenie. Dotarliście do tego miejsca w książce i wiecie już, co mnie spotkało. Wycofano mnie ze sprawy w trybie natychmiastowym. Choroba. Najdalej za sześć miesięcy amputują mi nogę. Co potem? Angela –jak zawsze z podniesioną głową – zdecydowana była zostać moją kochanką do końca życia, gdyby żona odmówiła rozwodu. Ale nie wiedziała nic o czekającym mnie szpitalu. Ani o sytuacji zawodowej. Była jedyną wielką miłością mego życia. Wierzyłem – nawet jako Joe Dylemat urodzony pesymista – że niezależnie od mego kalectwa, Angela będzie mnie kochała jak dzisiejszej nocy, jeśli oczywiście wyjdę z tego. W obu wypadkach miałem moralny obowiązek zabezpieczenia przyszłości pod względem finansowym: samej Angeli lub – jeśli będę miał szczęście i przeżyję – nas obojga.

Zwróciliście uwagę, że w moich rozważaniach daleki jestem od skrupułów moralnych. Były one niemożliwe po tym wszystkim, co mi we Fréjus opowiedziała Nicole Monnier, po telefonie Brandenburga i odmowie zgody na rozwód ze strony Karin. Ani mi w głowie nie było zastanawiać się, jak porządny człowiek ustosunkowałby się do tego czy innego postępowania. Porządny człowiek? Co to znaczy? Poznałem tutaj całą gromadę tak zwanych porządnymi ludźmi, osób wysoce poważanych, ale zagrażających innym, wszechmocnych, którzy byli nie tylko pospolitymi przestępcami, ale jeszcze mordercami. Ludzi zbijających fortuny na powszechnej inflacji, która zubożała całe społeczeństwa. Ludzi, którzy po wielokroć mogli mordować, a włos im z głowy nie spadał, ponieważ przestępstwa na wielką skalę i ci, którzy je popełniają, w pewnym momencie przestają być nazywani po imieniu. Tak, to właśnie chciałem powiedzieć: nikt ich wprost nie nazwie złodziejem czy mordercą. Cóż więc, chciałem być teraz jak oni. Mniej więcej wiedziałem już, co zrobić, żeby zapewnić Angeli i sobie dostatnią przyszłość. Takie myśli przychodziły mi do głowy w tę noc wichrów. Być może, czytając te słowa, potępicie mnie i wzbudzę w was wstręt, nic na to nie poradzę. A może jednak uda się wam mnie zrozumieć.

– Ach tak – odezwała się Angela. – A co wydarzyło się dzisiaj po południu? Udało ci się coś zdobyć?

Jak się przekonacie, już się zaczęło od kłamstwa.

– Byłem we Fréjus. U przyjaciółki tego Alaina Danona, którego wyłowili w Starym Porcie. Opowiadała mi, że Danon dowiedział się już prawie wszystkiego o sprawie Hellmanna i dlatego go zastrzelono. Ona zna mężczyzn, z którymi pracował. Był szantażystą; liczył na to, że gdy będzie miał w garści wszystkie informacje, wykorzysta je do szantażowania winnych albo sprzeda tym, którzy najwięcej dadzą. Muszę to przekazać Brandenburgowi, ale potrzebna będzie gruba forsa. Szef pewnie sam nie zdecyduje, jak postąpić, bo będzie musiał zasięgnąć rady wyżej. W każdym razie powinniśmy tę prawdę zdobyć, nawet gdyby miało to się okazać kosztowne. Prawdę o Hellmannie i jego przyjaciółach.

Drzewa trzeszczały i jęczały, mistral wiał z nieprawdopodobną siłą. Słychać było stukot dachówek, na pewno w leżącej pod nami starej willi Kazbek, w której kiedyś rosyjscy książęta urządzali wystawne przyjęcia. Dachy rezydencji nie powinno się kryć dachówkami. Nawet w naszym saloniku czuliśmy delikatny, choć chłodny powiew wiatru, bo mistral przenikał wszystko, nawet betonowe mury, metal i szkło.

Na szczęście Angela zbyt była pochłonięta naszym bliskim rozstaniem, żeby mnie dalej wypytywać o spotkanie z Nicole Monnier. Zainteresowało ją co innego: – Kiedy musisz jechać?

– Jak najwcześniej jutro, pierwszym samolotem.

– A... a kiedy wrócisz?

– Wkrótce – odparłem wymijająco. – Jak najszybciej, kochanie.

– Żeby to tylko długo nie trwało, proszę cię, Robercie.

– Wrócę szybko – przyrzekłem w przekonaniu, że mogę to jej spokojnie obiecać.

– Jesteś mi tak bardzo potrzebny.

– Ty mi też. Bądź spokojna, szybko wrócę.

Nachyliła się i ucałowała złoty medalion, przyczepiony do łańcuszka na mojej szyi. I ja poszukałem ustami złotego krążka, który wisiał między jej piersiami. Ów dotyk poruszył nas oboje i kochaliśmy się znowu wśród muzyki Cole Portera i mistrala huczącego tak, jakby miał nastąpić koniec świata.

Spleni z sobą zasnęliśmy wreszcie pod flanelowym kocem.

Obudziłem się o wpół do siódmej.

Zegarek zostawiłem na ręce. Niebo było jeszcze szare i wiatr wcale nie zelżał. Wicher przyginał do ziemi kwiaty i krzewy na tarasie. Obudziłem Angelę pocałunkami i gdy otworzyła oczy, uśmiechnęła się natychmiast, przeciągając się w moich ramionach. Wypiliśmy tylko herbatę, a po kąpieli szybko się ubraliśmy. Gdy zająłem się goleniem, spakowała mi walizkę. Opuściliśmy razem mieszkanie o ósmej, bo ona uparła się, żeby mnie odwieźć na lotnisko w Nicei.

Była w brązowych spodniach i luźnej oliwkowej bluzie, krojem przypominającej wiatrówkę amerykańskiej armii. W tym stroju wydawała się jeszcze bardziej krucha niż zwykle. Jechaliśmy drogą wzdłuż zatoki, a morze zalewało jezdnię co krok. Również wiatr bardzo utrudniał jazdę, szarpiąc samochodem. Krajobraz, światło, niebo, morze – wszystko było szare. Przejeżdżaliśmy koło „Tetou”, gdzie podawano najlepszą *bouillabaisse*. Mistral uszkodził jedną z bocznych drewnianych ścian i paru mężczyzn usiłowało naprawić szkodę.

– Boli cię głowa? – zwróciła się do mnie Angela.

– Tak.

– Mnie też. Oto znowu coś, co nas oboje dotyczy. Gdy cierpisz, to i ja niech cierpię. – Mój Boże, pomyślałem, ale rzekłem: – Moje słowa, Angelo.

Na lotnisku odprowadziła mnie aż do ostatniej barierki kontrolnej, przez którą nie wolno było jej już przejść. Tutaj pocałowaliśmy się. Trzymałem w chłodnych dłoniach jej równie chłodną twarz.

– Będę na drugim balkonie – rzuciła jeszcze i zostawiając pocałunek na mojej dłoni, zniknęła w tej swojej przepastnej wiatrówce. Gdy wyszedłem na płytę i skierowałem się do autobusu, który na nas czekał, odwróciłem się w tamtą stronę. Na górze stała tylko ona jedna. Wiatr brutalnie obchodził się z jej włosami, jedną ręką musiała trzymać się balustrady, żeby nie upaść, ale drugą kiwała w moją stronę, a ja też jej machałem na pożegnanie, walcząc z wichrem. I postanowiłem w duchu: jeśli wszystko ułoży się zgodnie z moim planem, to rozstajemy się ostatni raz i pożegnań już nie będzie.

Wsiadłem do autobusu, który ruszył przez płytę lotniska, ale wiatr był tak gwałtowny, że kierowca z trudem panował nad pojazdem. Przy samolocie obejrzałem się jeszcze raz na balkon i wciąż stojącą tam Angelę. Dostrzegłem jej rude włosy, uniosła rękę w jeszcze jednym geście pożegnalnym, a ja też jej pomachałem, dopóki nie zawołano mnie do środka.

Wystartowaliśmy w kierunku morza, pilot szybko spróbował podnieść maszynę, która w mistralu zaraz zaczęła się trząść i kołysać, a napis „FASTEN SEAT BELTS” wcale nie chciał zgasnąć. Cały czas tkwiliśmy w pasach, bo był to wyjątkowo paskudny lot. Wiele osób miało mdłości. O dziwo, ja byłem opanywany

i odważnie patrzyłem w przyszłość. Tak to jest, że zanim zdecydujecie się na popełnienie przestępstwa, możecie przeżywać istną udrękę i gnębić was będą wyrzuty sumienia. Jeśli jednak raz podejmiecie decyzję, skończy się to wszystko i nie będziecie mieć już żadnych skrupułów. Właśnie to zrobiłem i nic mnie już nie obchodziło, ani wina, ani moralność, jedynym moim dążeniem było dorównać tamtym. Nigdy jeszcze nie byłem tak spokojny jak teraz, gdy się przygotowywałem do wkroczenia na drogę występku.

37.

– Robiłem, co mogłem w twojej sprawie – oświadczył Gustaw Brandenburg, jak zwykle mówiąc z ustami pełnymi ziarenek popcornu. – Chwilami brakowało mi już języka w gębie. Pojęcia nie masz, czego nie próbowałem, żeby cię wyrwać z tego dołka, ale wszystko na nic. Bardzo mi przykro. Inna rzecz, że idiota z ciebie.

– Jak to?

– Już raz musieliśmy okpić dyрекcję, nie mówiąc prawdy o stanie twego zdrowia, ale to ci nie wystarczyło. Musiała cię tam na południu jeszcze jakaś podebrać. Zupełnie oszalałeś. Cały czas, odkąd u mnie pracujesz, mogłeś sobie używać, ile tylko chciałeś, co zresztą skrzętnie wykorzystywałeś. Ale teraz musiałeś sobie zafundować wielką miłość. Widzieliście już takiego kretyna?

– Gustawie?

– Tak? – Miał koszulę w pomarańczowo-niebieskie pasy.

– Przymknij się – cicho wycedziłem przez zęby.

– Co? – w świńskich oczkach błysnął gniew.

– Jeżeli już nie potrafisz sobie przypomnieć, że życzyłeś mi tej miłości i dawałeś nam swoje błogosławieństwo, mówiąc, że dla nas, dla naszej miłości uczynisz wszystko, to przynajmniej oszczędź mi teraz tej gadki. Nie twój przekłety interes.

Połknął kukurydzę, którą miał w ustach, zabębnił palcami w biurko i przyglądał mi się wzrokiem nie wróżącym niczego dobrego.

– Oto jak się stawia. Gratuluję; wywalają go, a on jeszcze struga chojraka. Brawo! Znakomicie, cudownie. Co ty mi wmawiasz, nigdy w życiu czegoś takiego nie mówiłem!

– Kłamco!

– Ty sukinsynu! Nazywaj mnie jak chcesz, ale i tak jesteś skończony! – Zaczął krzyczeć. – Koniec! Rozumiesz?

No i proszę, to znowu był cały mój Gustaw.

- Dawno zrozumiałem – odgryzłem się, a on nagle się jakoś uspokoił.
 - Od sprawy, jak powiedziano, jesteś odsunięty, i to natychmiast. Raz dałem ci czeki na trzydzieści tysięcy, a raz na pięćdziesiąt tysięcy marek, gdzie są?
 - Tu – i podsunąłem mu książeczkę. – Nim zjawiłem się w biurze, odwiedziłem bank, a w nim szczęśliwego starego pana Kressego, i ze swojego konta podjąłem osiemdziesiąt tysięcy marek.
 - Aż tyle? Cóż to pan wyprawia, panie Lucas? – spytał przestraszony Kresse. Jak wszyscy urzędnicy, którzy mieli do czynienia z pieniędzmi, tak i on zawsze się bał w podobnych sytuacjach, jak gdyby żądało się jego własnej forsy; był to zapewne już taki odruch. Cudze pieniądze traktowali jak własne, które zobowiązani są chronić. – Niech pan tylko nie robi teraz żadnych głupstw. Niech pan pomyśli o tym, że panu dalej pieniądze będą potrzebne do życia. Podejmując teraz takie oszczędności...
 - Wkrótce, panie Kresse, wpłyną nowe na moje konto – uspokoiłem go. – Potrzebuję tych osiemdziesięciu tysięcy, żeby wykupić czeki podrózne.
- Rzeczywiście tak zrobiłem; ryzykowałem oszczędności, ale nie miałem innego wyjścia, gdy obmyślałem swój plan. Było jasne, że Gustaw zażąda zwrotu czeków podróжных, a tamte poszły przecież na opłacenie Nicole Monnier. Stawiłem się więc z nimi u niego i położyłem je na stole, mówiąc:
- Oto one.
- Rzuciłem wszystko na jedną szalę, przecież mógł się zorientować, że wracały do niego inne czeki niż te, które mi dawał.
- Ale on był zdenerwowany i oburzony moim impertynenckim zachowaniem, bo pewnie oczekiwał, że będę błagał o wybaczenie. Spojrzał więc tylko na czeki i odsunął je na bok.
- Dokumenty – warknął. – Klucz szyfrowy.
- Podąłem mu. Z rana wyciągnąłem to wszystko z sejfu w „Majesticu”, kiedy Angela odwoziła mnie do Nicei. Mnóstwo rzeczy, o których Gustaw nie miał zielonego pojęcia, zostało jeszcze w hotelu, w drugim większym sejfie.
- Co ze mną teraz będzie? – spytałem, choć znałem już odpowiedź. Chciałem tylko sprawdzić, jak mój przyjaciel ją sformułuje.
 - Ale sobie piwa nawarzyłeś. W firmie jesteś spalony. Ci, co donieśli o tobie i tej, no jak jej tam, powiedzieli na górze, że wasze zachowanie w Cannes jest po prostu bezwstydne i zasługuje na naganę. Na to „Global” nie może sobie pozwolić. Musimy bronić dobrego imienia w świecie. Uważałem cię za mądrzejszego faceta. Ale dobrze, nigdy mnie nie słuchałeś. Jeśli byłeś już taki napalony...
 - Gustawie – przerwałem – jesteś świnią.

– A ty niewypałem. Totalnym niewypałem. Pudło. – Palił hawanę i cuchnął potem. I pomyśleć, odkryłem ze zdumieniem, że znosiłem to przez dziewiętnaście lat. Dziewiętnaście lat, nie do wiary. Marnowałeś tylko czas i pieniądze towarzystwa – ciągnął Gustaw. – A taką miałaś szansę, tyle możliwości i wszystko do dyspozycji. I co zrobiłeś dla naszej firmy? Czy coś ujawniłeś? Guzik z pętelką. Twój czas minął, Robercie. Skończyłeś się. Koniec, kropka. Nie jesteś mi już potrzebny i żadnemu towarzystwu ubezpieczeniowemu już się nie przydasz. – Uśmiechnął się, a ja odwzajemniłem uśmiech i patrzyliśmy sobie w oczy jak zalotnicy. Żebyś ty wiedział, co ujawniłem! No właśnie, co ja odkryłem?

– A może się nie zgadzasz? Mów! Nie chcę, żebyś się uważał za pokrzywdzonego. Co osiągnąłeś, mów!

– Nic – zdobyłem się na skruchę, myśląc jednocześnie o drugim sejfie w „Majesticu”. – Zupełnie nic.

– Zamiast tego byczyłeś się i parzyłeś. Nie ma co, piękne życie z tą...

– Gustawie – przerwałem mu szybko – jeśli usłyszę jeszcze słowo, powybijam ci te cuchnące zęby. – Wstałem. Patrzył na mnie z niedowierzaniem, bo jeszcze mnie takiego nie znał. Cygaro omal nie wypadło mu z ust, pochwycił je w ostatniej chwili, ale i tak ubrudził swą koszmarną koszulę popiołem. – Ani słowa o niej, rozumiałeś? Albo pożegnasz się ze sztuczną szczęką. Jeszcze cię tak, draniu, urządzę, że popamiętasz. Rozumiałeś?

Zaśmiał się zgrzyliwie.

– W porządku, nic już nie powiem na jej temat, miłość jest rzeczą świętą. Będziesz miał teraz dużo czasu na miłość. A teraz nie spadnij z krzesła: jesteś zawieszony w czynnościach służbowych ze skutkiem natychmiastowym. „Global” jest porządną firmą, nawet zbyt łaskawą dla ciebie. Nie chce cię skompromitować, więc na podstawie orzeczenia doktora Betza posyła cię na wcześniejszą emeryturę. Nie dlatego, że wywołałeś skandal, zaniedbałeś swoje obowiązki i postawiłeś firmę w niezręcznej sytuacji – nie dlatego odchodzisz, ale wyłącznie ze względów zdrowotnych. W dyrekcji leży list ze szczegółowym wyjaśnieniem, który otrzymasz jeszcze dzisiaj. Dostaniesz taką emeryturę, jaka ci przysługuje w myśl przepisów. Odtąd już dla nas nie pracujesz. Pieniądze zostaną ci przekazane. Powiedz, że nie zachowaliśmy się fair wobec ciebie.

Milczałem.

– Niech tam, możesz nie mówić, wszystko mi jedno. Na koniec przyznam ci się, że w gruncie rzeczy zawsze cię nie znosiłem.

– Z wzajemnością, Gustawie.

– Zawsze wiedziałem, że tak skończysz. Kąsasz rękę, która cię karmi. Jesteś nieuczciwy wobec „Globalu”, psujesz mu opinię. Byłem pewny, że do tego dojdzie.

– Przekonasz się, ile w tym racji – odrzekłem. O ile wszystko pójdzie z planem, jaki ułożyłem, pomyślałem. Chciałem się jeszcze czegoś dowiedzieć. – Kto teraz przejmie sprawę? Bertrand? Holger?

– Nikt.

– Co znaczy nikt?

– Sprawa została zamknięta. Płacimy.

Na to liczyłem, ba, miałem pewność – po dziewiętnastu latach to był mój szósty zmysł. Świetnie się składało, wysmienicie. A jednak Bóg mi sprzyja.

Nie omieszkalem zabawić się w teatr. Podskoczyłem.

– To wy płacicie? – zawołałem. – Czyście oszaleli? Dlaczego płacicie, do jasnej cholery?

– Siadaj – mruknął. Był rzeczywiście odrażający. Dziewiętnaście lat męczyłem się z facetem, który okropnie wyglądał i obrzydliwie postępował. Teraz z tym koniec. – A cóż ciebie obchodzi, czy wybulimy te piętnaście milionów, czy też nie. Przeciwnie, na pewno się ucieszysz. – O tak, pomyślałem, z całą pewnością. – Płacimy za twoją nieudolność, która sprawiła, że nie dałeś nam jednego choćby dowodu przemawiającego za samobójstwem.

– Zgadza się – potwierdziłem. – A to dlatego, że to nie było samobójstwo, lecz zabójstwo i wszyscy tutaj, podobnie jak ja, dobrze o tym wiecie.

– Tylko się znowu nie stawiaj – ostrzegł mnie, grożąc mi obgryzionym hawańskim cygarem. – Nie wykryto jeszcze mordercy i wychodzi na to, że nigdy nie zostanie znaleziony. Gdyby nie twoje niedołęstwo, moglibyśmy mieć przynajmniej jakiś pretekst do zwłoki w wypłacie bezterminowej. Ale nie, pan musiał się łajdaczyć zamiast pracować. Pan miał nas w nosie, chociaż mu płaciliśmy. Pan...

– Zamknij się. A więc zapłacicie piętnaście milionów.

– Tak.

– Kiedy?

– Zaraz, o ile już nie zapłacili. Adwokaci Brylantowej Hildy bardzo na nas naciskali. – Wszystko dobrze się składa – pomyślałem. – Jeśli się wysyła fajtlapę, trzeba potem za to płacić.

– A teraz ja ci coś powiem. – Zdążyłem trochę poznać środowisko w Cannes i miałem własną wersję wydarzeń. – To nie tylko adwokaci Brylantowej Hildy naciskali na „Global”, lecz zupełnie inne osoby. Bogate, i to bardzo; potężne, prawie wszechmocne. Oczywiście nie bezpośrednio, bo to się robi inaczej. Może nawet do nich należy część „Globalu” albo są u was ubezpieczeni na jakieś

horrendalnie duże sumy. Oni właśnie, mniejsza o to, kim są, zagrozili wam, że jeśli nie zapłacicie Brylantowej Hildzie, czekają was kłopoty, i to poważne, w wielu krajach. Popełniono morderstwo, nie ma dwóch zdań. Ale to nie z winy nieudolnego pracownika trudno wam było udowodnić samobójstwo. Rzecz w tym, że samobójstwa nie było. A więc płaciecie – a może nie?

– Bzdura do kwadratu – rzekł Gustaw, nie patrząc mi w oczy, tylko oglądając swe brudne paznokcie. – „Global” nikomu by nie pozwolił na szantaż.

– Może, ale teraz nagle wypłaca odszkodowanie i w dodatku zamyka śledztwo. A przecież we wszystkich podobnych sprawach, które znam, latami a nawet dłużej firma uchylała się od płacenia, zawsze znajdując jakieś kruczki prawne i coraz to nowe wymówki, które opóźniały termin ostatecznego rozstrzygnięcia.

– Mówię ci, że nikt nie wywiera! nacisku na „Global”.

– Oczywiście, że nie – zgodziłem się. – „Global” wie, co robi. Woli nie mieć nic wspólnego z brudnymi interesami. Płaci, zanim wszystko zostanie wyjaśnione. Nigdy tego nie praktykowano wcześniej, ale teraz tak.

– Dla nas sprawa jest jasna: to było morderstwo.

– Przecież cały czas upierałeś się przy samobójstwie. Mówiłeś, że czujesz to w kościach, nie przypominasz sobie?

– Po pierwsze, człowiek może się mylić, po drugie, instynkt zawodzi, gdy wysła się takiego niedorajdę. Piętnaście milionów utopione. – Wyglądał, jakby miał się rozplakać. Zawsze tak błaznował, gdy towarzystwo musiało płacić odszkodowanie. – Na głowę chyba upadłem, wstawiając się za tobą. Dają ci jeszcze emeryturę, zamiast po prostu zwolnić dyscyplinarnie. I jeszcze ci taki napyskuje. To ma być wdzięczność, ładne rzeczy. Zawsze wiedziałem, że jesteś smarkaczem.

– Dziwne, że nie powiedziałeś mi tego przez dziewiętnaście lat. Musiałeś chyba przeżyć prawdziwe piekło.

– Tak było – burknął. – Cieszę się, że to koniec. Spływaj teraz, i żebym cię więcej nie oglądał! Jeśli pragnąłbym zapomnieć o czymś nazwisku, to na pewno o twoim.

– Wyobraź sobie – odwzajemniłem się – że to samo i mnie przyszło. – Pomyślałem, że w dyrekcji musieli mu porządnie zmyć głowę. Dawno nie czułem się tak lekko i wesoło. Zaczynałem realizować mój plan! – Nie musisz się fatygować, nie wstawaj. – Podniosłem się. – Cygaro zatrzymaj w dłoni, nie podam ci swojej. Wiedz swój bogobojny żywot, Gustawie, primadonno „Globalu”.

Splunął na dywan.

– Idź do diabła – zawołał. – Tylko patrzeć, jak zdechniesz. Nawet nie myśl, byś zebranią coś tutaj wskórał. Dla mnie już teraz nie żyjesz. Boże, odetchnę

naprawdę z ulgą, kiedy nie będę musiał cię oglądać.

– Z wzajemnością, Gustawie. A papiery chcę mieć do wieczora w „Intercontinentalu”, rozumiano? Są przecież jeszcze sądy pracy.

– Ani mi w głowie fatyga, szczeniaku – odwarknął. – Po tym wszystkim, co zrobiłeś – po zatajeniu orzeczenia lekarskiego. Głupiec ze mnie, jeszcze ci pomogłem. Że też, do diabła, zawsze muszę być naiwny, po prostu muszę.

– To diabelska sprawka, zgadza się.

– Rozmawiałem z doktorem Betzem, nie krył przede mną niczego. Uważa, że to kwestia niedługiego czasu, jak będą ci musieli odjąć całą nogę. Czy wiesz już, kiedy będzie amputacja?

Odrzuciłem się i po wielkim dywanie pomaszerowałem do drzwi. Krok miałem sprężysty, stopa nie bolała i serce biło szybko, gdyż w moich planach pojawił się nowy ważny element, najważniejsza rzecz chyba, a pomysł podsunął mi sam Gustaw. Wysokie okna przepuszczały dużo słońca. W Düsseldorfie dzień był gorący. Dotarłem do drzwi, otworzyłem je i wyszedłem, zamykając je za sobą starannie. Nie odezwaliśmy się już do siebie. I taki był koniec dziewiętnastoletniej służby dla „Globalu”, dla bogaczy, których w ogóle nie znałem. Ale jeśli się człowiek zastanowił, wszystko toczyło się zgodnie z zasadami logiki. Gdy cię wyzyskają i wykończą, gdy chcieliby się już ciebie pozbyć, nikt w naszym systemie społecznym nie wzniesie toastu na twoją cześć, choćby tylko toastu czekoladowego, o nie, nawet czekolady nie będzie.

38.

– I co teraz zrobisz? – z tym pytaniem zwracał się do mnie Paul Fontana. To było o siedemnastej tego samego dnia. Jak zawsze jego szczupła, gładka twarz ani jednym drgnieniem nie zdradzała żadnych uczuć, żadnych myśli. Gładził dłonią zaczesane do tyłu brązowe, proste włosy. Opowiedziałem mu o wszystkim, co zaszło u Gustawa Brandenburga.

– Wracam do Cannes – oświadczyłem. – Już jutro, jak tylko dostanę papiery z „Globalu”.

Taksował mnie długim spojrzeniem.

– O co chodzi?

– Robercie – zaczął. – Jak przewidywał Borchert, sąd oczywiście odrzucił nasz pozew rozwodowy. Zresztą ja też od razu się tego obawiałem. Jesteś już przegrany.

- O, nie!
- O tak! Otrzymasz teraz tylko część swojej pensji. Jesteś chory, sam mi to powiedziałeś. Twoja przyszłość nie wygląda więc różowo. Rozumiem cię jako twój przyjaciel, ale jako adwokat muszę zganić, że wbrew zaleceniom przekazałeś jednak żonie dodatkowe pieniądze... Nie patrz tak na mnie, rozmawiałem telefonicznie z jej adwokatem i powiedział mi.
 - Z tym koniec.
- Potrzęsnał głową.
- Niestety, to dopiero początek. Sam zrobiłeś to, czym miał się zająć sąd, wyznaczając żonie pensję. Nie uzgadniając tego ze mną, dałeś jej półtora tysiąca, opłacasz czynsz oraz ubezpieczenie. Ponieważ obniżyły się twoje dochody, będę chciał wpłynąć na sąd, byś płacił mniej, niż dobrowolnie zadeklarowałeś. Mam nadzieję, że mi się to uda. Jak powiedziałem, sam oceniłeś, ile jesteś wart, co z pewnością spowodowało, że żona nie myśli o rozwodzie. – Zaczął dłużyć w fajce.
- Dlaczego to zrobiłeś, Robercie, tak cię przecież przestrzegalem.
 - Bo jestem przesądny i jej także na tym zależało.
 - Jej? Ach, tak. Ale wybacz – mówił cicho – nie wierzę w twoje przesady. Zrobiłeś tak, bo jesteś przywoitym człowiekiem, ona chyba także. Pewnie jej trudno było znieść myśl, że Karin...
 - Przestań – przerwałem mu prawie niegrzecznie.
 - Na co ci adwokat, jeśli nie stosujesz się do jego rad? – spytał. – Bądź spokojny, jestem twoim przyjacielem i nim zostanę. Tylko że teraz prawie nie mogę ci pomóc. Co się stanie po trzech latach, zapisane jest w gwiazdach.
 - Jest nam to obojętne, Angeli i mnie. Machnęliśmy już na to ręką, bo tak czy inaczej będziemy razem.
 - Czy to jej słowa? – Fontana wysypał popiół z fajki i ubijał w niej nowy tytoń.
 - Tak.
 - Wspaniała kobieta, Robercie.
 - A twoja nie?
- Zapalił fajkę.
- Spróbuję więc obniżyć alimenty dla Karin. Czy się uda, to inna sprawa. Prawdopodobnie będziesz musiał przyjechać do sądu, gdy wyznaczony zostanie termin. Sędzia będzie chciał zobaczyć obie strony. Pokrzyżowałeś moje plany i Karin może nigdy nie wyrazić zgody na rozwód.
 - Mam inny pomysł, ale nie mogę na razie o tym mówić.
 - Nie gniewam się, tylko mi smutno – z powodu ciebie.
 - Niepotrzebnie. Bądź wesół, ja się cieszę, bo przede mną piękna przyszłość.

- No, no!
- Naprawdę, to tylko mi zostało.

Weszła sekretarka, niosąc dla mnie w plastikowej torbie pocztę, którą odbierano z hotelu „Intercontinental” w czasie mojej nieobecności. Było tego dużo. Postanowiłem, że powiem w hotelu, żeby wszystkie listy przesyłano do Cannes, do madame Delpierre.

- Ach, jeszcze jedno – przypomniałem sobie. – Potrzebuję w Cannes notariusza. Znasz może kogoś dobrego i zaufanego?

- Sądzę, że kogoś takiego znam. Chwileczkę... – I sięgnął po dużą książkę adresową, po czym podał mi jego nazwisko i adres. Nazywał się Charles Libellè. Zapiisałem to sobie, a później pożegnałem się z Fontaną. Odprowadzając mnie do progu kancelarii, potrząsał stale moją dłońią.

- Kiedy się zobaczymy? – spytał.

- Na pewno zjawię się w sądzie.

- Nie o tym myślę. Wiesz, o co mi chodzi. Do zobaczenia... do prawdziwego zobaczenia, u mnie w domu, razem z moją żoną i twoją ukochaną.

Milczałem.

- Do tego już chyba nie dojdzie – sam sobie dał odpowiedź.

- Dlaczego by nie? – udałem zdziwienie. – Cóż to znaczy, Paul? Na pewno was odwiedzimy – ale mówiąc to byłem przekonany, że nigdy tego nie zrobimy, nigdy. Wszystko teraz wyglądało inaczej, zatrzasnąłem za sobą jakieś drzwi i nie myślałem już ich otwierać. Byłem szczęśliwy, że tu, w Niemczech nic mnie już nie trzymało i nic mnie nie mogło skłonić do powrotu. Odprowadził mnie aż do drzwi windy, czego nigdy dotąd nie robił. W poczekalni siedziało dwóch klientów.

- Szczęścia – rzucił na pożegnanie. – Życzę ci szczęścia, mój stary. Tak niewiele je ma, większość wpada pod koła. Nie chciałbym, żebyś tak skończył.

- Nie przypuszczam – odparłem.

Za mleczną szybą pojawiła się kabina windy. Otworzyłem drzwi.

- Wszystkiego dobrego – rzekł Fontana dziwnie ochryplym głosem. – Wsiadaj już!

Wszedłem. Jeszcze przez moment widziałem go, wysokiego, szczupłego i zawsze tak opanowanego. W jego twarzy coś drgnęło. Ale zaraz drzwi windy zatrzasnęły się. Nacisnąłem guzik i zjechałem na parter. Nigdy już nie zobaczyłem Paula Fontany.

Powlokłem się ulicami Düsseldorfu i rozglądałem się uważnie jak turysta, który nie widział jeszcze tych wszystkich kościołów, banków, muzeów, hoteli, teatrów i parków, dużych sklepów na Königsallee i wielkich wiaduktów, ze sznurami samochodów. Widziałem to i jeszcze więcej, słyszałem reński akcent w rozmowach i miałem świadomość, że już tego wszystkiego nigdy nie zobaczę i nie usłyszę, bo przecież nie zamierzałem stawić się w sądzie na rozprawie o alimenty. Miałem teraz zupełnie inne plany. Tak więc tego popołudnia pożegnałem się z Düsseldorfem.

Zmęczyłem się, więc złapałem taksówkę i pojechałem do hotelu. Tam zakomunikowałem portierowi, że się jutro wyprowadzam i potrzebna mi będzie firma spedycyjna, która spakuje i wyśle rzeczy z mojego apartamentu. Portier obiecał, że znajdzie taką firmę do następnego popołudnia. Podałem mu adres Angeli, pod który odtąd miała być kierowana cała moja poczta.

– Załatwione, panie Lucas. Przykro mi, że pan znowu nas opuszcza.

Wjechałem do siebie na górę, usiadłem przy dużym oknie w salonie i obserwowałem przez chwilę ruch samolotów nad lotniskiem Lohausen. Jasno było tego wieczoru. Zamówiłem whisky z lodem i wodą sodową i zacząłem przeglądać pocztę. Znalazłem w niej kilka interesujących listów, ale podarłem wszystkie, bo zmieniając swoje życie, nie miałem zamiaru na choćby jeden z nich odpisywać. Były też wyciągi bankowe. Po podjęciu osiemdziesięciu tysięcy, niewiele pieniędzy zostało na koncie, ale wkrótce ich przybędzie i wystarczy, żeby Karin dostała tyle, ile jej przysna sąd.

Zadzwoił portier. W holu czekał posłaniec z wielką kopertą.

– Niech go pan przyśle na górę – poprosiłem. Pojawił się chłopiec, dałem mu napiwek, a potem rozerwałem kopertę. Była to umowa emerytalna z „Globalu”. Firma dziękowała mi za wierną, ofiarną i długoletnią służbę, życzyła wszystkiego dobrego, szczególnie poprawy zdrowia i zapytywała, czy odpowiada mi, by emerytura, tak jak poprzednio moje pobory, była przekazywana na konto. Jeśli się nie wypowiem, wszystko zostanie tak, jak dotychczas. Nie miałem zamiaru się z nimi kontaktować.

I dalej darłem list za listem, nie było takiego, na który chciałbym lub musiał odpowiedzieć. Stwierdziłem nagle, że tu, w Niemczech nie mam już nic do zrobienia. Co innego w Cannes, tam musiałem uporać się z pewną sprawą, ale tutaj? Tu już nic. Na koniec została mi w ręce kartka drukowana na czerpanym papierze.

Ktoś, kogo jakoś nie mogłem sobie przypomnieć, donosił mi o swoim ślubie. Było to bardzo dyskretne i wytworne zawiadomienie. Patrzyłem na nie długo, potem sięgnąłem po słuchawkę telefonu. Angela zgłosiła się natychmiast.

– Robercie! Jak ci idzie?
– Wyśmienicie!
– Pięś, Robercie.
– Tak – odparłem. – I jeszcze wypiję z radości, że wszystko tak dobrze poszło.

– W firmie?
– A tak, w firmie.
– Czy to ostatnie twoje postępy w śledztwie zrobiły na nich takie wrażenie?
– Wielkie – zapewniłem gładko. – Wyjątkowe wrażenie. Wyraźnie mnie zachwa... pochwalili. Jak to się mówi?

– Nie pij tyle, proszę.
– To ze szczęścia, wiesz. Co robisz?
– Maluję.
– Czy ci już powiedziałem, że cię kocham?
– Kiedy wracasz do domu?

Do domu, powiedziała. Do domu...

– Spróbuję dostać się na samolot jutro po południu.
– Nie dasz rady wcześniej?
– Nie.
– Dlaczego nie?
– Muszę jeszcze poczekać na firmę spedycyjną. Zabieram wszystkie rzeczy, wszystko, co wziąłem z mieszkania, kiedy odchodziłem od żony. Czy mogę?

Krzyknęła z radości.

– Robercie! Sprowadzasz się wreszcie do mnie?
– Wreszcie tak – potwierdziłem. Ale musiałem być ostrożny. – To znaczy chciałem powiedzieć, że odtąd będę mieszkał w Cannes. Jeśli mnie będą gdzieś wysyłać, to z Cannes, i tam będę zawsze wracał.

– Do mnie.
– Do ciebie. Uzgodniłem to z firmą, a oni poszli mi na rękę. Na razie jednak mam się zajmować dotychczasową sprawą.

– Rozumiem. Och, cała jestem niespokojna.
– Zostajesz dzisiaj w domu?
– Tak, dlaczego?
– Bo będę dalej pił. I jest bardzo prawdopodobne, że do ciebie jeszcze zadzwonię. A nawet dwa razy. Prawie na pewno.
– Dzwoni, kiedy chcesz. Nawet późno. Czekał na twój telefon.

Zostałem przy oknie i patrzyłem, jak dzień wolno ustępuje miejsca nocy, a na lotnisku wszędzie zapalają się światła. Piłem właściwie niewiele, zastanawiając się dokładnie nad tym, co muszę zrobić, gdy wrócę do Cannes. Nie wydawało się to trudne.

Zamówiłem do pokoju kolację, a potem otwarłem nową butelkę. Nie zapomniałem o telefonie do Angeli; upiłem się tej nocy i wciąż do niej wydzwaniałem, ze cztery razy, ostatni raz o trzeciej nad ranem.

40.

Następnego dnia o dziewiętej pojawili się pracownicy firmy spedycyjnej, których zamówił portier. Było ich trzech, wśród nich dwaj studenci, którzy fachowo zapakowali w dwie skrzynie garderobę, słońce i cały mój dobytek zabrany z mieszkania. Trzeci, starszy, niski mężczyzna załatwił ze mną formalności. Dałem mu adres, pod który skrzynie miały zostać wysłane i po podpisaniu różnych papierów wpłaciłem zaliczkę. Wszystko poszło raz dwa. Sympatyczni studenci ostrożnie obeszlą się z moimi słońcami, każdego z nich pakując z osobna, żeby się nie potłukły. Szumiało mi jeszcze w głowie od poprzedniego wieczora, ale czułem się bardzo dobrze.

W dwie godziny później chłopcy zniknęli ze skrzyniami. Resztę spakowałem do walizki i ubrałem się. Obiad zjadłem w restauracji. Samolot leciał przez Zurych o piętnastej trzydzieści. Dokumenty samochodu i kluczyki przekazałem głównemu portierowi i poprosiłem go, by zaparkowanego przed hotelem admirała sprzedał, dziesięć procent zatrzymał sobie, a resztę przekazał na moje konto bankowe.

Tym razem pracownicy kontroli powietrznej pracowali normalnie, toteż wystartowaliśmy bez przeszkód i mieliśmy piękny lot. W Düsseldorfie świeciło słońce, podobnie jak w Zurychu. W Nicei niebo było zachmurzone i nadal szalał mistrzał. Wsiadłszy z samolotu, na drugim balkonie zaraz dostrzegłem Angelę i w wielkiej hali, jak kiedyś, zaczęliśmy biec ku sobie, coraz szybciej i coraz bardziej zadyszani.

Nie jechaliśmy tym razem wzdłuż zatoki, gdyż, jak powiedziała Angela, droga stała pod wodą. Wybraliśmy autostradę i musieliśmy zatrzymać się przed stanowiskiem taryfowym, a potem, choć wichher tańczył wokół mercedesa, ciężki wóz płynął lekko. Gięły się przy drodze palmy, niektóre były już połamane. Zaczęła mnie boleć głowa, nieprzespana noc odbiła się też na twarzy Angeli, która pod oczami miała głębokie cienie. Jak poprzednio, wybrała się w podróż w brązowych spodniach i obszernej wiatrówce z oliwkowego materiału.

Pojechaliśmy prosto do mieszkania Angeli. Wniosłem na górę walizkę. Mistral szumiał tu i jęczał, nawet w pomieszczeniach czuło się jego powiew. Na tarasie, na wietrze chwiały się wszystkie kwiaty i rośliny. Morze było bardzo wzburzone i ponure jak niebo. Z trudem otworzyłem szklane drzwi i wyszedłem na powietrze. Wiatr omal mnie nie przewrócił. Oddychałem głęboko. W pewnej chwili poczułem na ramieniu jej dłoń. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak po jej twarzy spływały łzy.

– Angelo... Angelo... – Musiałem krzyczeć. – Co ci jest?

– Nic... Ależ nic... To ten przekłęty mistral... Powiedziałaś mi przecież, że ludziom mąci w głowie... Ale to już trzeci dzień... Robercie, Robercie... Już mnie nie opuścisz... Nigdy, prawda? Nie potrafiłabym tego znieść... – wyszeptła mi do ucha.

Mistral rwał pędy kwiatów i porywał je z sobą.

Pociągnąłem Angelę na szerokie legowisko, które stało pod ścianą tarasu i szybko zapomnieliśmy o całym świecie. Zakłuło mnie nagle w sercu, ale jakoś nie zwróciłem na to szczególnej uwagi.

41.

– Jestem chorą, słabą kobietą – Hilda Hellmann próbowała wzbudzić we mnie litość. – Nie znam się na interesach, więc wolałabym, żeby pan Seeberg został ze mną.

– Ale mnie zależy, żeby pan Seeberg zostawił nas samych – odparłem stanowczo. – W sprawie, którą chciałem z panią omówić, jest pani doskonale zorientowana, pani Hellmann.

Było to w poniedziałek, 26 czerwca, około szesnastej.

W sobotę wróciłem do Cannes, a niedzielę spędziliśmy sami, leżąc przede wszystkim na tarasie i wypoczywając. Mistral pognał dalej, niebo promienie się wypogodziło i znowu zrobiło się gorąco. Jeszcze w niedzielę uprzedziłem Brylantową Hildę o swojej poniedziałkowej wizycie. Powiedziałem, że chciałem z nią porozmawiać na osobności. Siedziała w łóżku, jak zawsze w lizescie narzuconej na nocną koszulę, a obok niej stał wymuskany generalny pełnomocnik Seeberg i patrzył na mnie lodowatymi oczami.

– Jestem powiernikiem pani Hellmann – oznajmił na powitanie – i jeśli nie chce pan rozmawiać w mojej obecności, będzie się pan musiał pożegnać, panie Lucas.

Cóż, minęły czasy, kiedy znosiłem afronty. Taka jest korzyść z utraty sumienia, pomyślałem.

– Jeśli pan się natychmiast nie ulotni – zwróciłem się do niego – to nie z panią Hellmann będę rozmawiał, ale z policją. – Zaczekałem na reakcję, która była dokładnie taka, jak przewidywałem.

– Niech pan nas zostawi samych – zdecydowała Brylantowa Hilda.

– Wedle życzenia, łaskawa pani – powiedział Seeberg.

– Przecież potem może mu pani wszystko powtórzyć – zauważyłem, gdy ten młody człowiek opuszczał sypialnię, jak zawsze przesyconą odurzającym zapachem kwiatów. – Oczywiście, że pani mu wszystko powie, i nie tylko jemu, to jasne. Najpierw jednak pragnę z panią samą porozmawiać.

– A o czymże to?

– O morderstwie – wypaliłem od razu. – Dokonanym wspólnie przez kilku ludzi.

Zamrugła różowymi oczami albinoski. Tylko tyle. Siedziała wyprostowana w rokokowym łożu, demonstrując olśniewającą kolię ze szmaragdów i diamentów. O dziwo, peruka tym razem siedziała jej posłusznie na głowie.

– O jakim morderstwie? O czym pan mówi?

Usiadłem na brzegu łóżka.

– O morderstwie, w którym pani miała swój udział, pani Hellmann – rzekłem. – Pani i jeszcze kilkoro pani przyjaciół.

Przed południem tego samego dnia odwiedziłem w kancelarii notariusza Charlesa Libellégo, którego polecił mi Paul Fontana. Libellé był mężczyzną około pięćdziesiątki i sprawiał wrażenie człowieka budzącego zaufanie i poważnego.

– Maître – zwróciłem się do niego – przedstawię się panu dopiero wtedy, gdy mi pan obieca, iż będzie pan mógł prowadzić moją sprawę.

Brwi jego powędrowały w górę.

– Tego się nie praktykuje, monsieur!

– Wiem, proszę mnie wysłuchać. W tych kopertach mam parę fotografii i taśmę. Czy biorąc je na przechowanie, musi pan najpierw zobaczyć zdjęcia i usłyszeć nagranie?

– Nie.

– Dobrze. Chciałbym więc, żebyśmy te koperty wspólnie zapieczętowali, a potem poszli do banku i wynajęli sejf. Obaj otrzymamy kluczyki i upoważnienie do zabrania tych kopert w każdej chwili z sejfu. Jest pan zdecydowany?

– Tak – rzekł Libellé.

– Świetnie. W najbliższych dniach doniosę jeszcze kopertę z pewnym manuskryptem, którą włożymy również do sejfu. A teraz proszę uważać: W wypadku mojej gwałtownej śmierci proszę wszystko zabrać z sejfu i polecieć do Zurychu. Zwoła pan tam międzynarodową konferencję i zaprezentuje te materiały,

a dopiero potem przekaże je pan Interpolowi. Czy to jasne?

– Jak najbardziej, monsieur.

– Ale musi pan poczekać na potwierdzenie faktu mojej śmierci, i to śmierci gwałtownej. Jeśli zaś bym umarł całkiem zwyczajnie, nie musi pan niczego robić, w ogóle niczego. Materiał zostanie tam, gdzie jest.

– Na zawsze?

– Na zawsze. Nie! Nie na zawsze. Teraz się panu przedstawię. Nazywam się Robert Lucas. – Znowu jego brwi uniosły się w górę, ale to była jedyna reakcja. – Kiedy po moim zgonie i madame Angelę Delpierre... – tu wymieniał dokładny adres, który zanotował z podniesionymi wciąż brwiami – ... kiedy więc madame Delpierre spotka gwałtowna śmierć, obowiązuje pana również podanie tych materiałów do wiadomości publicznej. Wie pan teraz, kim jestem. Zna pan na pewno moje nazwisko, jak i madame Delpierre, jeśli pan śledził ostatnie wypadki w Cannes.

– Znam pana nazwisko, monsieur Lucas – oświadczył Libellè. – Znam również nazwiska innych osób związanych z panem.

– Możemy zaraz pójść do banku?

– Tak – zgodził się bez wahania notariusz, człowiek rzeczowy i dość oschły.

Poszliśmy pieszo do pobliskiego Banque Nationale de Paris przy rue Buttura i wynajęliśmy sejf na nasze nazwiska. Każdy otrzymał kluczyki. W upale wróciliśmy do chłodnej, mrocznej kancelarii, gdzie wystawiłem mu odpowiednie pisemne pełnomocnictwo. Potem poprosiłem go jeszcze o pewną przysługę, którą obiecał mi wyświadczyć, i pojechałem do Brylantowej Hildy. Teraz właśnie siedziałem w jej sypialni.

– O jakim morderstwie pan mówi? – zapytała Hilda. – I kto ma być mordercą?

– O morderstwie, w którym pani miała swój udział, pani Hellmann – odparłem. – Pani i jeszcze kilkoro pani przyjaciół.

– Czy pan oszalał?

– To nie ja oszalałem, ale pani, madame Hellmann. – Szedłem na całość, nie miałem żadnych skrupułów. – Oszalała pani na punkcie pieniędzy, władzy i bogactwa. Mało było tego, co pani miała. Pani nienawidziła swego brata...

– Nienawidziłam? Ja go kochałam! – zawołała z teatralną przesadą.

– ... z całego serca. Chciała pani banku i wszystkiego, co należało do brata. Przyszedł więc pani do głowy pewien pomysł. Jestem przekonany, że to pani obmyśliła cały plan. W Seebergu, któremu pani obiecała, że zostanie współnikiem w

banku, znalazła pani uczynnego pomocnika. Właściciele KOOD – Fabiani, Thorwell, Sargantana, Kilwood i Tenedos – zachwycili się pani pomysłem. Staroświecki w poglądach moralnych pani brat był od dawna przeszkodą na ich drodze. I tak oto Seeberg zainscenizował tę transakcję z funtami wedle sprawdzonego wzoru.

– Co to znaczy, wedle sprawdzonego wzoru? – Jej głos brzmiał ostro.

– Proszę się nie unosić. Tacy ludzie, jak pani, nie przepuszczą żadnej okazji i wykorzystają wszystkie kryzysowe sytuacje dla swoich celów. A kryzysów i okazji było naprawdę sporo od zakończenia wojny. Raz chwiał się frank, kiedy indziej lir, a zawsze były kłopoty z dolarem – z nim przede wszystkim, a na jego spadku robiście obłądną fortunę! – Chociaż nie chciałem, traciłem panowanie nad sobą. – Wasza pomysłowość była godna podziwu. Koncerny w USA zostały wam we wszystkim podporządkowane. Zwykły, szary obywatel w Ameryce nie kupi niemieckich akcji ot tak, po prostu. Musi płacić podatki, jeśli inwestuje za granicą! Wyście nie musieli! Macie KOOD, ponadnarodową korporację w Niemczech, a jej filie rozsiane po całym świecie. W ten sposób łatwo wam było – i to zupełnie legalnie – omijać wszystkie przepisy dewizowe i prawa podatkowe. W ten sposób mogliście przeskakiwać wszystkie płotki! A pani brat, pani Hellmann, był dla was zawsze niezawodnym parawanem! On, który zielonego pojęcia nie miał – a jestem o tym przekonany – co się działo za jego plecami. Aż odkrył aferę funtową. Był zrozpaczony. Przyleciał tutaj natychmiast, aby pociągnąć was wszystkich do odpowiedzialności. Was wszystkich – tylko nie panią, rodzoną siostrę. Sądzę, że do końca nie przeczuwał, iż to pani jest jego największym wrogiem. A w tym czasie pani już realizowała swój plan morderstwa doskonałego. Każdemu przypadło szczególne zadanie; pielęgniarka wystarała się o dynamit do skonstruowania bomby, Tenedos znalazł człowieka, który tę bombę zbudował, Thorwell znowu innego, który zajął się instalacją elektryczną...

– Pan naprawdę zwariował – szepnęła Hilda, a jej biżuteria migotała przy każdym poruszeniu głową. – Słowo daję, zupełny obłąd! Każę pana wyrzucić! Zawiadomię policję! – Sięgnęła po słuchawkę aparatu stojącego przy łóżku. Obserwowałem ją spokojnie. Dłoń położyła na słuchawce, ale jej nie podniosła. Dalej nie spuszczałem z niej wzroku. Wreszcie cofnęła rękę.

– Tak lepiej. – Spojrzałem na zegarek, bo teraz powinien odezwać się telefon. – Każdy robił swoje, zaangażowano też zawodowego mordercę. A pani, kochana siostrunia, miała własnoręcznie zamontować bombę na pokładzie jachtu.

– To chyba jakiś makabryczny żart!

– To prawda, którą mogę potwierdzić fotografiami i zarejestrowanymi na taśmie rozmowami. Mam nawet zdjęcie zrobione w czasie instalowania przez panią bomby. – I z kieszeni wyciągnąłem fotografię, ale tak niezgrabnie, by upadła na dywan. Jak pantera wyskoczyła z łóżka i pochwyciła ją. Wpatrywała się w nią nieruchomo: była to pocztówka z widokiem na Cannes. Wyrwało jej się z ust przekleństwo, a potem z nienawiścią wbiła we mnie wzrok.

– Chciałem tylko sprawdzić, madame, czy pani rzeczywiście jest taka słaba, ale pani jest zdrowa, i to zdrowsza, niż przypuszczałem.

Opadła znowu na łóżko i przykryła się.

– Kawał drania z pana – syknęła.

Zadzwonił telefon. Wreszcie, pomyślałem. Hilda podniosła słuchawkę, a ja wziąłem drugą.

– Tu mówi notariusz Charles Libellè. Madame Hellmann?

– Tak – stęknęła.

– Czy monsieur Lucas jest u pani, madame?

– Tak...

– Prosił mnie, żebym teraz do pani zadzwonił. Polecił mi, abym panią powiadomił, iż zdeponował u mnie kilka fotografii i kasetę z nagraniem. Rzeczy te zostały złożone w bankowym sejfie. W pewnych okolicznościach, które pan Lucas pani wyjaśni, mam obowiązek przejąć wszystko, co się już znajduje w sejfie i co się w nim jeszcze znajdzie, i podać do wiadomości międzynarodowej prasie oraz Interpolowi. Madame, proszę przyjąć wyrazy mojego szczególnego poważania.

Rozmowa skończyła się. Hilda wlepiła we mnie wzrok.

– Skąd mam wiedzieć, że to nie ktoś podstawiony? Że to nie bluff?

– Niech pani zadzwoni do niego i się upewni. A jeśli mi pani nie wierzy, też się dobrze składa. Wszystko pójdzie szybciej.

– Co... Co pokazują zdjęcia?

– Was wszystkich... I mężczyzn, którzy przygotowują bombę. I panią, pani Hellmann, w maszynowni „Moongłowa”.

– Tam było ciemno – zauważyła zaciskając zęby.

– Człowiek, który zrobił zdjęcia, miał noktowizor.

– Och, jest więc pan szantażystą.

– Tak, pani Hellmann.

– To zainteresuje policję i pańskie towarzystwo ubezpieczeniowe.

– Ależ oczywiście – rzekłem. – Proszę bardzo. – Wziąłem słuchawkę i zacząłem wybierać numer.

– Co pan robi?

– Dzwonię do centralnego komisariatu.

Przycisnęła widelki. Z jej różowych oczu zaczął wyzierać paniczny strach, który już raz widziałem – nieopisany strach.

- Czego pan żąda? – szepnęła.
- Pisemnego zeznania, pani Hellmann. Ze szczegółowymi informacjami o wszystkich współudziałowcach.
- Tego... tego nie zrobię!
- Musi pani.
- Naprawdę nie mogę!
- Dlaczego nie?
- Bo nie wiem wszystkiego... Nie wiem, kim jest morderca, którego zaangażowali Kilwood i Tenedos.
- Więc niech go pani pominię, a to, co pani wie, proszę precyzyjnie opisać. I radzę zaraz się zabrać do roboty, bo każdy dzień się liczy. Odbiorę zeznanie w następnym poniedziałek. Ale przedtem jeszcze coś ustalimy.
- Co?
- „Global” zapłaci za „Moonglowa” piętnaście milionów marek. Te piętnaście milionów chcę mieć.

42.

– Pan jest szalony... Pan naprawdę musiał zwariować – szeptała Hilda Hellmann. Wstałem i włączyłem światło, w którego blasku widać było wyraźnie portret Brylantowej Hildy, namalowany przez Angelę. Kochałem Angelę i musiałem ją chronić, również po swojej śmierci, i było mi obojętne, jak to zrobię, wiedziałem, że nie cofnę się przed niczym. Patrzyłem na wierny wizerunek pani Hellmann, uwieczniony pędzlem i na nią samą, która teraz opadła na poduszki.

- Piętnaście milionów... Gdzie pan je schowa? Zapytają, skąd pan je ma! Sam pan się pakuje w pułapkę.
 - O nie.
 - Światło. Niech pan wyłączy światło, proszę.
- Nacisnąłem wyłącznik i ponownie usiadłem na skraju łóżka.
- Pieniądze znajdują się w Szwajcarii, pani Hellmann, na koncie numerowym. W czwartek będę w Zurychu i spodziewam się, że już zastanę pieniądze.
 - Jak pan to sobie wyobraża? Taka olbrzymia suma. Jak mam tak szybko zadysponować tymi milionami, żeby nie wzbudzić sensacji?
 - Zostawmy to już pani pełnomocnikowi. Dla tak energicznego człowieka jak pan Seeberg będzie to błahostką. Zamierzam te piętnaście milionów złożyć na

konto w banku, w którym i państwo mają ulokowany swój wielki kapitał. Transakcja będzie wtedy łatwiejsza. Nie żądam, żeby mi tę sumę dostarczono gotówką do Zurychu, więc pan Seeberg nie musi tam lecieć. – Zdążyłem już przejrzeć rozkład lotów i zamówić bilety. – W przyszły czwartek będę od dziesiątej rano w hotelu „Baur au Lac”. Jeśli pani wysłannik ze wszystkimi pełnomocnictwami nie dostarczy mi pieniędzy do wpół do jedenastej, może pani naszą transakcję uważać za nieudaną.

– Nie da rady w tak krótkim czasie, to...

– Proszę się nie wysilać, bo czasu jest aż nadto. Madame, jeśli pani nie zrobi tego, co mówię i sprawa przedostanie się do światowej prasy, to znajdzie się pani ze swoimi przyjaciółmi w sytuacji bez wyjścia – prawdy nie da się już ukryć pogroźkami i szantażem. Powędrujecie na resztę życia za kratki, a przede wszystkim spotka to panią.

– Nie pójdę do więzienia, raczej odbiorę sobie życie.

– Myślę, że raczej pani mi zapłaci. To jeszcze nie wszystko; prócz tych piętnastu milionów, które traktuję jako grosz odłożony na czarną godzinę, żądam, by odtąd każdego miesiąca aż do mojej śmierci wypłacała mi pani pięćdziesiąt tysięcy franków. Dowie się pani, w jaki sposób chcę otrzymać pieniądze. Jeśli kiedykolwiek wypłata spóźni się o więcej niż dziesięć dni, jeśli nagle i niespodziewanie umrę, jeśli będziecie próbowali mnie zabić – to już pani słyszała od Libellého, co się wtedy stanie. Dla pani i pani przyjaciół cóż znaczą te piętnaście milionów i dodatkowa sumka? Możecie to przecież podzielić między siebie. Cóż znaczy taka kwota, jeśli będziecie mogli zachować imię, bank, KOOD, wolność i możliwość robienia dalszych, równie brudnych interesów? Lub jeszcze brudniejszych.

– Oby pan zdechł, powoli i w takich męczarniach, o jakich świat nie słyszał.

– Nie powinna mi pani tego życzyć, pani Hellmann – zauważyłem. – Bo jeśli stanie się to za pani przyczyną, koniec z panią. – Wstałem. – Do jutra wieczora czekam na potwierdzenie, że któryś z pani pełnomocników spotka się ze mną w czwartek o godzinie dziesiątej w „Baur au Lac”. Niech pani lub ktoś inny dzwoni do „Majestica”. Wystarczy, że usłyszę tylko: spotkanie aktualne.

Jej ręce bez przerwy nerwowo miętosily kołdrę. Oczy miała na wpół przyknięte, oddychała z trudem.

– Jeśli zaś chodzi o comiesięczne wypłaty, to panią dopiero zawiadomię, jak je przekazywać, przynajmniej na początku, zanim się wszystko nie ułoży. Ach, i jeszcze jedno. Chciałbym, żeby pani pełnomocnik w Zurychu przekazał mi najpierw osiemset tysięcy marek, które złożę na numerowym koncie. Potem spotkamy się jeszcze raz i za drugim razem zażądam przekazania na konto czternastu milionów dwustu tysięcy.

– Dlaczego właśnie tak?
– Ponieważ za pierwszym razem nie będę sam i nie chcę, by osoba, która mi będzie towarzyszyć, poznała wysokość sumy na koncie. W czasie drugiego spotkania będę sam.

– To Delpierre – domyśliła się szybko. – Zabierze pan z sobą tę Delpierre, żeby była współwłaścicielką konta.

– Zgadła pani – powiedziałem. – Nie jest to żadną tajemnicą, bo zdążyli już państwo donieść mojej firmie, że się kochamy. Nie chcę, żeby madame Delpierre miała kłopoty finansowe, jeśli mi się coś przytrafi. Pieniądze będą wtedy jej, ale o tym nie musi teraz wiedzieć.

– Jest pan diabłem!

– A pani mordercą. Właśnie straciłem posadę, pani Hellmann. Stałem się bezwzględny. Niech pani nie zapomni, że w przyszły poniedziałek chcę mieć to zeznanie. Jeśli go nie otrzymam, gwizdę na pieniądze i przekazuję wszystkie dowody prasie i Interpolowi. Nie wiem, jak długo wytrzyma pani za kratkami. Niektórym udaje się dożyć późnych lat. Teraz panią pożegnaj i proszę zawołać pana Seeberga, żeby mu zdać relację z naszej rozmowy. Jestem pewien, że będzie panią mocno nakłaniał do przyjęcia mojej propozycji. Proszę się też porozumieć z innymi, na pewno będą tego samego zdania, co Seeberg. Czekam więc na telefon w „Majesticu”. I jeszcze uprzedzam panią, że jeśli spróbuje pani powiedzieć madame Delpierre o transakcji, umowa zostanie zerwana i zawiadomię opinię publiczną. Jasne?

Milczała.

– Niechże mi pani odpowie.

– Zro... zrozumiałam. – Zaczerpnęła powietrza. – Nie... nie nienawidzę... pana.

– Dobrze, już dobrze.

Nagle zaczęła krzyczeć, jakby tracąc zmysły:

– Ale nie tak, jak mego brata! Nie tak, jak jego! Nikt tyle nienawiści nie miał do drugiego człowieka, jak ja do brata! Nikt! – Przycisnęła ręce do piersi, dusiła się, z trudem chwytając powietrze.

Do pokoju wtargnął Seeberg.

– Na miłość boską, co się tu dzieje?

– Łaskawa pani zaraz pana poinformuje – odparłem. – Do widzenia, pani Hellmann. Do widzenia, panie Seeberg. – Opuściłem sypialnię. Służący bez słowa sprowadził mnie do portalu, przed którym stał jeep z baldachimem. Było znowu gorąco tego dnia, ale upał wydał mi się nawet przyjemny. Wsiadłem do jeepa, drugi służący zajął miejsce przy kierownicy. Rozsiadłem się wygodnie i było mi błogo na sercu. O, jak błogo. Przez chwilę mignęła mi statua ze starą Janusową głową. Siedział na niej wielki, kolorowy ptak.

Siadłem na taborecie w kuchni, gdzie Angela otwierała przy stole langusty. Kiedy rozcinała je długimi nożycami, ich pancerze pękały z trzaskiem. Ostrożnie wydobywała ze skorupki białe mięso i kładła do miseczki. Słuchaliśmy południowych telewizyjnych wiadomości, a Angela przygotowywała sałatkę langustową z majonezem i pomidorami.

Nakryliśmy stół na tarasie. W salonie był włączony drugi telewizor i stamtąd dochodziły nas dźwięki dziennika, gdy zajadaliśmy się wyborną sałatką langustową z tostami, popijając ją lekkim, białym winem.

– W czwartek lecimy do Zurychu – oznajmiłem.

– Dlaczego?

Znowu kłamstwo.

– Przed laty otrzymałem spadek, osiemset tysięcy marek. Chcę je teraz przekazać na numerowe konto, żeby Karin nie dobrała się do tych pieniędzy – łągałem jak z nut. – Wiesz, co to jest konto numerowe?

– Nie miałam z czymś takim nigdy do czynienia.

To się dobrze składało.

– Wszystko się wyjaśni. Musisz tylko jechać ze mną, bo chcę, żebyś złożyła swój podpis i poznała numer. Potem będziesz mogła zawsze podjąć pieniądze, gdyby coś ze mną się stało.

– Nie mów tak, proszę!

– Trzeba być przygotowanym na każdą ewentualność – odparłem. – A więc w czwartek rano lecimy Swissairem, za pięćdziesiąt minut będziemy w Zurychu i tego samego dnia wrócimy. Odpowiada ci?

Przytaknęła.

– To będzie nasz pierwszy wspólny lot. Ach, tyle rzeczy jest jeszcze, które musimy zrobić razem.

Ba! – Tymczasem za sześć miesięcy amputują mi nogę. A jeśli będę miał pecha, to i rozwinie się moja druga choroba, *angina pectoris* czyli dusznica bolesna. Ale teraz zapewniam sobie bezpieczną przyszłość, żeby żyć z Angelą bez trosk i mieć gwarancję, że w razie mojej śmierci nie zazna ona biedy.

– Widać, że jesteś w dobrym nastroju – zauważyła Angela.

– A tak – odparłem. – Bo jestem z tobą i mam czas, dopóki nie przyjdą nowe instrukcje z Düsseldorfu. Możemy więc cały dzień robić, co nam się podoba. Co na przykład chciałabyś robić jutro?

– Jutro? Jutro jest czwartek. W czwartkowy wieczór są zawsze wyścigi konne w Cagnes-sur-Mer. To ogromnie emocjonujące. Pojedziemy?

44.

Hipodrom de la Cote d'Azur w Cagnes-sur-Mer zajmował rozległe tereny położone za miastem. Dojechaliśmy tam autostradą. Policjanci regulowali ruch na parkingu, wszędzie panował tłok i przepychanka. Młodzi chłopcy hałaśliwie zachwalali gazety o wyścigach. Tłum ciągnął nieprzerwanym strumieniem w kierunku hipodromu. Kolejki ustawiały się nawet przed windami jadącymi do restauracji, która – ze świetnym widokiem na tory – znajdowała się na drugim piętrze. Goście byli w niej obsługiwani przez cały sztab ludzi; tu, na górze czynna była jeszcze jedna kasa totalizatora, ale można też było spokojnie siedzieć przy stoliku i czekać na dziewczynę z kramikiem przytroczonym do szyi, która przyjmowała zakłady i wypłacała wygrane. Na sufitych i kolumnach w rześście oświetlonym lokalu zawieszono były monitory. Pojawiały się na nich wykazy z imionami i numerami startujących koni, transmitowano gonitwy i pokazywano zwycięzców oraz podawano wygrane.

U naszych stóp leżały tory wyścigowe, olbrzymi owal, na którym było widno od reflektorów jak za dnia. Gdyśmy tu dotarli, pojedynczy zawodnicy rozgrzewali swoje zwierzęta do wyścigu kłusaków. Siedzieli w małych dwukółkach. Wszystkie konie miały na bokach numery. Tylko dzięki odpowiedniemu napiwkowi udało nam się zdobyć dobry stolik. Z głębi dochodził szmer tłumu, brzmiący jak kipiela morska.

Do kolacji zamówiliśmy szampana, ale Angela była tak niecierpliwa, że w ogóle nie zwracała uwagi na to, co znajdowało się na stole. W takim stanie jeszcze jej nie widziałem. Okazało się, że była świetnie zorientowana, całkiem jak stary bywalec, który życie spędził wśród koni. Znała faworytów, powiedziała mi, który z osiemnastu koni w pierwszym starcie zasługiwał tego wieczora na uwagę. Nawet przy jedzeniu studiowała wyścigową gazetę i listę z imionami koni, ich właścicielami, dżokejami, stadninami. Komentując te informacje, wyjaśniła mi, że zawsze w jednym biegu stawała na *tiercé*.

– Co to jest *tiercé*?

– Spójrz, na przykład dziś wieczorem mamy sześć startów. Raz biegnie dwanaście koni, raz osiemnaście albo jeszcze więcej. Za każdym razem możesz wybrać tyle koni, ile chcesz, i postawić na zwycięzcę, względnie miejsce, lub na

jedno i drugie. – Była przejęta jak nastolatka, aż jej rumieńce wystąpiły na policzkach. – To jedna forma zakładów. Każdego wieczora jest jeszcze jeden jedyny start, właśnie *tiercé*. Najczęściej jest to dopiero czwarty albo piąty bieg, tylko dzisiaj wyjątkowo pierwszy. Obstawiając *tiercé* trzeba u innej dziewczyny zgłosić udział w grze i zapłacić. *Tiercé* – to wybór trzech koni. Ideałem byłoby, gdyby konie wbiegały w kolejności wybranych przez ciebie numerów, wtedy zdobywasz *dans ordre* i pieniężną wygraną pierwszego stopnia. Gdy kolejność jest inna, ale właściwie wytypowałeś zwycięzców, dostajesz *désordre*, czyli tylko drugą nagrodę, choć wygrana może być nieraz wysoka. Mademoiselle! – Podeszła dziewczyna i Angela poprosiła ją o połowę lornetkę, można je było tu wypożyczać.

– Zjedzże coś, Angelo.

– Teraz nie mogę. Z podniecenia. Śmieszne, co? Ale przy koniach zawsze się tak zachowuję. Wyścigi konne to jedna z tych rzeczy, których jeszcze nie przeżywaliśmy razem. – Położyła swoją dłoń na mojej: kiedy dziewczyna przyniosła lornetkę, Angela włożyła okulary i zgłosiła jej osiem numerów koni w pierwszej gonitwie o długości dwóch tysięcy dwustu metrów, która – jak przeczytałem – nazywała się Prix du Mont-Agel. Angela otrzymała oryginał kuponu konkursowego, dziewczyna zachowała jego kopię.

– Teraz ty – zwróciła się do mnie Angela.

– Nie mam pojęcia...

– Nigdy jeszcze nie byłeś na wyścigach konnych?

– Nie.

– No coś takiego! Kto by pomyślał! Na pewno wygrasz. Szybko wymień jakieś liczby, które przyjdą ci do głowy, albo wytypuj konie, których imiona ci się spodobają.

Spojrzałem na listę i wybrałem z niej imiona: Milopea, Brillant-chef, Chant d'Arôme, Ardent Amour, Élan d'Or, Courageux, Pierre Pure i Linda Bell. Konie miały następujące numery: 3,4, 6, 8, 10, 11, 13, 14.

Innej dziewczynie zgłosiłem *tiercé* z kolejnościami: 10, 3 i 13. Obstawienie jednego konia kosztowało minimum dziesięć franków. Naturalnie można było zakłady podwyższać i zrobiliśmy to.

Na torze tymczasem stała się cała osiemnastka koni ze swymi dżokejami i czekała w zbitej gromadzie. Męski głos oznajmił z wielu głośników, że zaczyna się pierwszy start. Była to jedna z tych gonitw, jakie często oglądałem w telewizji, a kiedy zwierzęta ruszyły do biegu, światła w restauracji przygaszono, żeby lepiej można było widzieć pole. Czułem lewą stopę i obserwowałem Angelę, podskakującą i głośno wykrzykującą numery, na które postawiła.

– Pospiesz się trzeci! Dziesiątka! Uważaj na czternastkę! Trzy! Trzy! Dziesięć! Dziesięć! Trzynaście! Trzynaście!

Poza mną nikogo to nie dziwiło, gdyż prawie wszyscy zachowywali się podobnie, zwłaszcza mężczyźni. Niżej też szalał tłum dopingujący zawodników i zwierzęta, niektóre okrzyki były nawet bardzo dowcipne i budziły śmiech na trybunach. Pomyślałem, że nawet z jedną nogą będę mógł chodzić na wyścigi, skoro Angela je tak lubiła. Myśl ta uspokoiła mnie. Konie przeszły koło nas jak burza i po łuku wyszły na przeciwną stronę. Gdy pierwsze dobiegły mety, w dole z tysiąca gardeł wyrwał się potężny krzyk i także w restauracji goście naraz zwariowali, a z nimi Angela.

– Trzy, dziesięć i trzynaście! Mam je! Mam! Tak obstawiałam!

– Ja też – ucieszyłem się – tylko w innej kolejności.

– Czy to nie wspaniałe? – rzuciła mi się na szyję i całowała.

– Jesteś nowicjuszem, musiałeś wygrać, ale żebyśmy oboje wygrali... – Usiadła rozgorączkowana i łyknęła trochę szampana. Na monitorach pokazał się wynik, a w restauracji znów włączono wszystkie światła. Dziewczyny podchodziły do stolików i Angela była bardzo dumna, kiedy wyplacono nam naszą wygraną. Ponieważ oboje postawiliśmy na konie, o których nikt nie myślał, że wygrają, kwota była stosunkowo wysoka. Każde z nas otrzymało po pięć tysięcy, Angela za *tiercé* dostała dwanaście i pół tysiąca, a ja ponad sześć tysięcy franków.

– I jak ci się podoba? – spytała rozpalona emocjami, gdy ja dawałem napiwek dziewczynie, która przyniosła nam pieniądze.

Nieźle chyba? Ale mi gorąco! Czy zostało coś jeszcze w butelce?

Była pusta, skinąłem więc na kelnera.

Tymczasem Angela typowała swoje numery na Prix du Mont-Perdu, drugą gonitwę na dwa tysiące sto metrów z udziałem dwudziestu koni. Kolejne biegi dzieliła zawsze mniej więcej trzydziestominutowa przerwa i w tym czasie ogromny walec wyrównywał tory. Niebo nad hipodromem było rozgwieżdżone. Kelner przyniósł wiaderko z lodem i nową butelkę szampana. Za torami wyścigowymi rozciągało się morze. Było zupełnie spokojne i wysrebrzone odbiciem księżyca, który się w nim przegłądał.

45.

W drugiej gonitwie nic nie wygraliśmy i także w trzeciej się nie udało. W czwartej zyskałem ponad dwa tysiące franków. W przerwie przed piątym biegiem pojawili się nagle przy naszym stoliku Pasquale i Claude Trabaudowie. Panie

rzuciły się sobie w objęcia i ucałowały się. Traudowie spytali, czy mogą się do nas przysiąść.

– Dzwoniliśmy do Angeli, ale nikt się nie zgłaszał. I nagle przypomniałam sobie, że przecież mówiłaś, iż wybieracie się dzisiaj na wyścigi – powiedziała Pasquale.

– Czy coś się stało? – Angela stała się czujna.

Traudowie byli wyraźnie przygnębieni.

– Mówcie wreszcie!

– To już trwa od pewnego czasu – ciągnęła Pasquale – ale dowiedzieliśmy się dopiero dzisiaj.

– Co znowu?

Zbliżyła się do stolika dziewczyna przyjmująca zakłady, ale Angela odprawiła ją uprzejmie.

– Przykra historia. Zdaje się, że wszystko wyszło od Bianki Fabiani, teraz już trudno będzie ustalić, bo stało się to tematem dnia w tak zwanym dobrym towarzystwie w Cannes.

– Co? – ponagliłem ją.

– Wy oboje, wasza miłość, wasz związek. Wyjątkowo podły musiał być ten, kto wymyślił tę intrygę. Rozpowiedział, że w Niemczech jesteś żonaty i opuściłeś biedną żonę, a tutaj bezwstydnie afiszujesz się z Angelą, że już jej kupiłeś obrączkę i u niej mieszkasz, że poważną firmę wciągnąłeś w przesłuchiwanie wysoko postawionych osób, co jest hańbą... i tak dalej.

W głośnikach znowu odezwała się zapowiedź, przygaszono w restauracji światła, zaczął się piąty bieg. Sądzę, że poza mną nikt tego przy naszym stoliku nie zauważył. Myślę, że ja zachowałem zimną krew tylko dlatego, że byłem przygotowany na taki rozwój wydarzeń. Angelę zdenerwowały te plotki.

– Kogo tak rozgniewaliśmy – zastanawiała się. – Kto może być tak podły?

– Właściwie każdy – stwierdził Claude. – Wszyscy lubią skandale. Wiesz, że Cannes to w gruncie rzeczy prowincja, tu się po prostu czeka na coś niezwykłego, ale na twoim miejscu bym tego nie bagatelizował. Niektórzy już głośno zastanawiają się, czy nie zerwać z tobą stosunków – Robert znany jest mniej – sprawa staje się poważna, żyjesz przecież z tego, że jesteś w towarzystwie lubiana i dostajesz zamówienia właśnie od tutejszej śmietanki. Utrzymujesz się przecież z malowania.

– Zgoda – przytaknęła mu. – Ale dlaczego ludzie tak postępują, Claude? Dlaczego szczęście drugich tak im przeszkadza, że muszą plotkować i judzić? Robert opuścił żonę i wniósł o rozwód, jest...

– To dla nikogo nie jest ważne, ludzi interesuje tylko wasz związek, który – według nich – godny jest potępienia – zauważyła Pasquale.

– A przeciw tobie, Robercie, są zwłaszcza ci, którym stale depczesz po piętach, i to oni rzucają ci kłody pod nogi – dodał Claude.

Dopięli swego, pomyślałem, ale mam ich wszystkich w garści.

– Zgadzam się, Claude – wtrąciłem.

Skończył się piąty bieg, którego Angela w ogóle nie zauważyła, bo przestraszyła się naprawdę tego, co usłyszała przed chwilą. Uszedł jej uwadze również szósty i ostatni bieg. Dyskutowała gorączkowo z Trabaudami o skutkach towarzyskiego bojkotu i to chyba wszystkich pochłonęło.

– Zastanawiamy się nad czymś, Pasquale i ja – mówił Claude Trabaud. – Jeśli się uda, a powinno się udać, położymy kres plotkom i odzyskacie spokój, a Angela przestanie się bać o nowe zamówienia. – Przyszło mi do głowy, że jeśli dopisze mi trochę szczęścia, Angela może do końca życia nie wziąć pędzla do ręki i nie zabiegać już o zamówienia. Ale zaraz zrozumiałem, że ona kocha swoje malowanie, to jest jej zawód i nie mógłbym jej tego odebrać.

Pasquale zaczęła nam przedstawiać swój plan, a tymczasem w restauracji znów przygaszono światła i zaczął się ostatni bieg.

– Czwartego lipca, jak co roku, mamy wielki, uroczysty bankiet w „Palm Beach”.

Angela zwróciła się do mnie:

– Pojawiają się wtedy amerykańskie lotniskowce i wszyscy liczący się znani i bogaci ludzie tego miasta świętują wspólnie amerykański Dzień Niepodległości. To bardzo uroczyste wydarzenie.

– Rozumiem – tyle byłem w stanie powiedzieć, gdyż właśnie konie kończyły rundę, ich finisz widoczny był na wielu monitorach, a ludzie wstawali ze swych miejsc i coś wykrzykiwali. Doszedł mnie wreszcie głos Pasquale:

– Nie nasza to wina, że jesteśmy bogaci. Chociaż, kto wie. Może Claude'a, bo całe życie ciężko harował.

– Miałem trochę szczęścia – wtrącił się jej mąż.

– Tak, i co dalej? – Angela była wyraźnie ożywiona.

– Jak zwykle otrzymaliśmy zaproszenie do honorowego stołu w pierwszym rzędzie – wyjaśniła Pasquale. – Tam, gdzie siedzą politycy, generalicja, arystokracja, całe to towarzystwo, wiesz, o kogo mi chodzi, Angelo.

– Rozumiem.

– No więc stolik jest na cztery osoby i możemy zabrać dwójkę gości. Pomyśleliśmy, że jeśli was zaprosimy i zjawimy się ostentacyjnie we czworo – wiecie, że kiedy mówię, że Claude jest kimś znaczącym we Francji, to nie przemawia przeze mnie ani próżność, ani zarozumialstwo – gdy więc wybierzemy się we czworo i pojawią się fotoreporterzy, a my będziemy na widoku publicznym, zaczną się wspólne tańce, to ludzie wreszcie przestaną gadać. Tak będzie, daję

głowę. – Stopa rozboleła mnie na dobre. Łyknąłem po kryjomu trzy tabletki i pomyślałem, że od chwili, gdy zacząłem realizować swój szatański plan, stąпам po kępach mchu w grząskim bagnie. – Angela będzie wyglądała tak pięknie, jak ona tylko potrafi, i na przyjęciu przyćmi wszystkie kobiety. Czy zechcecie przyjąć nasze zaproszenie? – spytała pani Trabaud.

– Dziękuję – Angela była wzruszona. – Jesteście naprawdę moimi serdecznymi przyjaciółmi. Dziękujemy wspólnie, prawda, Robercie?

– Ależ oczywiście, z całego serca.

– Bianca i cała reszta chyba pękną ze złości – cieszyła się Pasquale.

– Przeciwnie – zauważył Claude – wszyscy zaczną nagle nadskakiwać. Nie ucz mnie znajomości ludzi! – Spojrzał w górę. Restauracja znowu jarzyła się pełnym światłem. – Wyścigi chyba się skończyły. – Stoliki wokół nas zaczęły pustoszeć, wygaszono też reflektory na torach.

– Chyba się jeszcze czegoś napijemy – zaproponował Claude.

– Wszędzie będą okropne korki, trzeba się było wymknąć przed ostatnią gonitwą.

A więc zostaliśmy jeszcze przy butelce szampana. Pasquale i Angela omawiały jeszcze kreacje, które miały włożyć w Dzień Niepodległości, a Claude i ja rozmawialiśmy trochę o Hellmannie. Miał chyba niewiarygodną intuicję, bo zdawał sobie sprawę, że coś się stało, co mnie tak bardzo poruszyło. Zmienił temat i zastanawialiśmy się teraz nad ludźmi w ogóle, a ja wciąż pamiętam jedno jego zdanie, które szczególnie utkwiło mi w pamięci: – Wiesz, Robercie, im starszy jestem, tym bardziej wierzę, że ludzi nie powinno się nigdy osądzać wedle ich czynów, lecz jedynie według motywów takiego postępowania.

Opuściliśmy restaurację prawie ostatni. Tłum się rozszedł i przeszliśmy na parking po papierowym dywanie, który się utworzył z tysięcy porzuconych kuponów i gazet o wyścigach.

46.

Do „Baur au Lac” przyjechaliśmy tylko na jeden dzień i wynajęliśmy dwa spokojne pokoje, z oknami wychodzącymi na kanał. Były dość ciemne, ale nie mieliśmy przecież zamiaru zatrzymywać się w nich długo. Gdy w środę wieczorem, po wyścigach w Cagnes-sur-Mer wróciliśmy do domu, zadzwoniłem do „Majestica” i spytałem, czy zostawiono mi jakąś wiadomość.

– Tak, monsieur. Jakiś pan telefonował i powiedział, że spotkanie aktualne. Był to uzgodniony z Brylantową Hildą sygnał, że godzi się na moje żądania. Punktualnie o wpół do jedenastej w moim pokoju hotelowym zadzwonił telefon.

– Panie Lucas, czeka na pana pan Lichtenstein, mówi, że jest z panem umówiony.

– Schodzimy zaraz do holu – oznajmiłem.

Angela włożyła biały kostium kamgarnowy z żółto-ametystową bluzką, którą zdobiła duża kokarda. Podszewka żakietu była uszyta z tego samego materiału co bluzka.

Pan Lichtenstein był człowiekiem młodym, poważnym i opanowanym. Pokazał mi dokument podpisany przez generalnego pełnomocnika Seeberga, który go upoważniał do sfinalizowania omówionej transakcji.

– Musimy pójść do Schweizer Merkurbank – powiedział. – Na Bahnhofstrasse. Najlepiej będzie pieszo.

Było bardzo ciepło i całe miasto skąpane było w promieniach słonecznych.

W banku winda zawiozła nas na czwarte piętro. Wszystkie ściany były wyłożone mahoniowym drewnem, a podłogi wysłane grubymi dywanami. Urzędnik poprosił nas, żebyśmy zaczekali. Zniknął w biurze, ale zaraz z niego wyszedł w towarzystwie starszego, sympatycznego grubasa, który przedstawił się jako dyrektor Rüth i zaraz wprowadził nas do swego gabinetu, urządzonego niezwykle luksusowo. Zajęliśmy miejsca.

Lichtenstein przekazał Rumowi sporo papierów, rozmawiali przy tym po cichu.

– Kim jest ten Lichtenstein? – spytała mnie szeptem Angela.

– Przedstawicielem mego banku w Düsseldorfie, w którym złożyłem spadek. Prosiłem go, żeby przyjechał. Przez granicę trudno by mi było przewieźć osiemset tysięcy marek, a przekazać z banku do banku jest prościej, choć konto numerowe jest zawsze delikatną sprawą.

– Rozumiem. – Moje wyjaśnienia chyba jej wystarczyły i w myślach byłam jej wdzięczny, że nie zadawała dalszych pytań.

Dyrektor Rüth podniósł wzrok.

– Wszystko w porządku – ocenił. – Pan Lichtenstein zostawi nas teraz, ma jeszcze coś do załatwienia. Do reszty formalności nie jest nam już przecież potrzebny. Cha, cha.

– Cha, cha – powtórzyłem i podając Lichtensteinowi rękę, wycedziłem przez zęby: – Druga godzina, przed bankiem. Z resztą.

– Skinął poważnie głową. Sztywno się uklonił, pocałował Angelę w rękę i zniknął. Usiedliśmy znowu, Rūth i ja.

Rūth nacisnęła na guzik dzwonka. Zjawił się młody człowiek i wtedy dał mu papiery, które zostawił Lichtenstein, i coś mu tłumaczył przyciszonym głosem. Młody człowiek zniknął z pokoju.

– A więc chce pan u nas założyć konto numerowe – odezwał się Rūth.

– Tak – rzekłem.

– Czy mógłbym zobaczyć wasze paszporty?

Podaliśmy mu je.

– To tylko dla ustalenia waszej tożsamości – usprawiedliwił się i zaraz nam je zwrócił. – Co tu i teraz zostanie między nami uzgodnione, pozostanie na zawsze tajemnicą dla osób postronnych.

– Wyciągnął formularze, poprzekładał je kalką i zaczął wypełniać złotym długopisem.

– Wpłacono dzisiaj osiemset tysięcy marek – Rūth przystąpił do rutynowych czynności. – Wyniesie to... – Tu szybko przeliczył

– 949.360 franków szwajcarskich. Już wpisuję kwotę. Przejdą państwo następnie z tym młodym człowiekiem do jego biura, by na formularzu potwierdzić zaksięgowanie wpłaty. Jak dobrze zrozumiałem: pan, panie Lucas, i pani, madame Delpierre, pragną założyć wspólne konto numerowe, którym możecie rozporządzać wspólnie lub osobno. To znaczy, że każde z państwa, obojętnie kiedy, może się tu zjawić i podjąć z konta dowolną ilość pieniędzy, jak również dokonać wpłaty. Czy to jasne?

– Tak – potwierdziłem.

– Czy można prosić o państwa adres?

Podaliśmy adres Angeli w Cannes.

– Telefon? Nie po to, żeby niepokoić państwa, ale na wypadek, gdyby ktoś się tu pojawił z numerem waszego konta i ewentualnie sfalszował któryś z podpisów – a mnie by wtedy nie było; tylko wówczas może się przydać wasz telefon.

Angela dała mu numer swojego telefonu.

– I jeszcze jedno – dodał Rūth – nigdy się nie widzieliśmy i państwo nigdy o nas nie słyszeli. Jeśli państwo zapragną pieniędzy, proszę przyjść i podjąć je. Bez podatków, bez policji, nikt na świecie nie wie o tym koncju. Teraz potrzebne mi będą podpisy pana Lucasa i pani, madame, proszę.

Podpisaliśmy oboje, potem podpisał Rūth i na tym cała operacja się skończyła. Rūth odprowadził nas do znajdującego się obok pokoju sekretarza i poprosił nas, byśmy chwilkę zaczekali. Wyraźnie był uradowany, że zostaliśmy jego klientami.

– Jesteśmy bogatymi ludźmi, Robercie – zauważyła Angela ze zdziwieniem.

- Tak, kochanie – i gdybyś wiedziała, jak bogatymi, pomyślałem.
- Nigdy nie dotknę tych pieniędzy.
- Gdyby mi się coś przytrafiło, wszystko należy do ciebie i musiałabyś je wtedy podjąć.

– Nie mów o tym, proszę.

Zjawił się młody człowiek i poprosił o formularz, który dostaliśmy wcześniej. Zniknął i po chwili wrócił. Tak więc 949.360 franków szwajcarskich zostało oficjalnie zaksięgowanych w dokumentach na naszym koncju, które miało swoją literę i długi numer. Podziękowaliśmy młodemu urzędnikowi i opuściliśmy bank.

W „Baur au Lac” zamówiliśmy homara. Zaproponowałem potem Angeli, by sobie kupiła coś ładnego na Bahnhofstrasse, dałem jej pieniądze i rozstaliśmy się.

O godzinie czternastej stawiłem się przed Schweizer Merkurbank. Po dwóch minutach pojawił się Lichtenstein, na jego twarzy znów nie było ani śladu emocji. Pojechaliśmy, jak poprzednio, na czwarte piętro i raz jeszcze odwiedziliśmy dyrektora Rūtha, i znów Lichtenstein przekazał mi jakieś papiery. Choć był o wszystkim uprzedzony, to jednak rozmawiał dobrą chwilę przez telefon, zanim uspokojony przywołał sekretarza. Powtórzyła się procedura z przedpołudnia, trwało to dwadzieścia minut, po czym miałem drugie potwierdzenie wpłaty na moje konto; wplacono 14.200.000 marek, co dawało 16.851.140 franków szwajcarskich.

Obydwa dokumenty włożyłem do dużej koperty, którą podał mi młody urzędnik po zapieczętowaniu.

Opuszczałem bank z Lichtensteinem. Przed portalem uklonił się szybko i odszedł bez słowa. Wróciwszy do „Baur au Lac”, usiadłem na tarasie i przy herbacie czekałem na Angelę. Wróciła około wpół do czwartej i oświadczyła, że kupiła mi coś, ale pokaże dopiero w Cannes.

Odlecieliśmy o siedemnastej trzydzieści. Mercedes czekał na nas na parkingu przed nicejskim lotniskiem. W „Palm Beach”, w letnim kasynie, Angela miała drugi sejf, ten nosił numer trzynasty.

- Wpadniemy szybko do „Palm Beach” – zaproponowała.
- Powinieneś w sejfie zostawić tę kopertę, bo to pewny schowek.
- Oto Angela znów do tego wraca, jakby miało mi się naprawdę coś przytrafić, pomyślałem. Pojechaliśmy więc do kasyna. Było otwarte od siedemnastej, ale grano dopiero przy dwóch stołach. Gdy tylko dałem jej zapieczętowaną kopertę, zniknęła w małym pomieszczeniu za automatem do wymiany pieniędzy. Zaraz wróciła; nie zagraлиśmy tym razem i pojechaliśmy do domu. Szybko wzięliśmy prysznic, zawinęliśmy się w szlafroki i rozsiedliśmy się na tarasie, w morzu kwiatów.

– Pokaż wreszcie, co sobie kupiłaś – przypomniałem jej.

Wybiegła, a ja zostałem na ogrodowej huśtawce, lekko się kołysząc. Byłem z siebie bardzo zadowolony. 15.000.000 marek dawało 17.800.500 franków szwajcarskich, a to było mnóstwo pieniędzy.

Angela wróciła z niebieskim pudełeczkiem w dłoni.

– To dla ciebie – oświadczyła.

– Jak to dla mnie? Miałś coś kupić dla siebie!

– Ach, wiesz, nie znalazłam niczego, co by było godne uwagi. Otwórz!

Uchyliłem wieczko i zobaczyłem dwie płaskie platynowe spinki do mankietów z małymi brylancikami. – Z wyrazami szacunku – dodała.

47.

– Tak – potwierdziłem – „Global” zapłaci za „Moonglowa”, chociaż nie musiałby, gdyż sprawa nie jest przecież wyjaśniona. Ale spodziewamy się po tym kroku z naszej strony jakichś nowości w śledztwie.

Rozmowa toczyła się w pokoju Roussela w centralnym komisariacie w czasie jednego z regularnych spotkań, o które prosił Gaston Tilmant. Oprócz niego i mnie byli jeszcze obecni Roussel, Lacrosse i niemiecki rewident podatkowy Kessler.

– I to jak zapłaci – z goryczą odezwał się Lacrosse. – Żle wybrałem zawód, bo bardziej opłaca się być mordercą.

Zauważyłem, że Tilmant z uwagą śledził mnie z boku.

– Jeśli się okaże, że to samobójstwo – perorowałem – moje towarzystwo może naturalnie zażądać zwrotu sumy ubezpieczeniowej. Liczy na to, że sprawcy staną się teraz mniej ostrożni, mając świadomość, że przynajmniej dla nas sprawa jest zakończona. To zgodne z pańską intencją, prawda, monsieur Tilmant? – Mężczyzna o niezwykle życzliwych oczach i bardzo smutnej twarzy obserwował mnie długo i milcząco. A potem powiedział:

– Można to i tak widzieć, choć byłoby jeszcze jedno wyjście – ale chyba nie do przyjęcia dla „Globalu” prawda?

– A nie – powiedziałem. – Dążymy teraz do nowej strategii. – Kłamałem w przekonaniu, że w „Globalu” w żadnym wypadku nikt nie będzie bił na alarm i nie rozgłosi, jakiego skandalu byłem przyczyną, ile skarg posypało się na mnie, czego konsekwencją było zwolnienie z pracy. – Moja firma będzie mnie chciała na pewien czas wycofać z obiegu, czy jak się to mówi, rozumie pan? Sprawa jest zakończona – za taką przynajmniej powinna uchodzić. Uzasadnieniem mojej obecności

w Cannes, gdyby ktoś się temu dziwił, ma być urlop, który tutaj spędzam, ale nie sądzę, by ktoś pytał. Naturalnie, że nie przebywam na urlopie, ale dzięki temu, że się wycofuję i wypłacono całe odszkodowanie, sprawcy powinni się uspokoić, a na tym przecież panu najbardziej zależy, prawda, panie Tilmant?

Patrzył na mnie znowu, a potem spuścił głowę. Pomyślałem, że o tej nowej strategii powiem również Angeli, gdy tylko zakończę sprawę z Hildą Hellmann. Potem mógłbym jej wytłumaczyć, że towarzystwo uznało sprawę za zakończoną i wycofało mnie z niej. A jeszcze później jakoś ją przekonam, że niezadowolony z naszego związku „Global” przesunął mnie na emeryturę – z bardzo wysoką odprawą. Będę więc mógł zostać z Angelą, a dla niej to rzecz najważniejsza. Pieniądzy miałem teraz w bród.

– Nie oderwie mnie od tego horrendalnego oszustwa i dziesięć koni – to piecił się Kessler. – Będę ich ścigał, aż wreszcie, wreszcie dopadnę.

Mówił z zapalem, a Lacrosse i Roussel przytakiwali mu równie gorąco.

Gdyśmy wychodzili, Gaston Tilmant dogonił mnie na korytarzu.

– Nie wierzę, by nowa taktyka przyniosła pańskiemu towarzystwu jakieś rezultaty – zagadnął.

Przestraszyłem się.

– Dlaczego nie?

– Tutejsza finansjera poczuła się tymczasem tak pewnie, że dawne utrudnienia i szykany, wpędzające w kłopoty firmę Clermonta i Abła znowu się zaczęły – i to w niespotykanym dotąd wymiarze. Ci ludzie uważają się za bogów, za nietykalnych. Nikt, jak sądzę, nie jest w stanie pociągnąć ich do odpowiedzialności.

– Dojdzie i do tego pewnego dnia – odparłem, nie wierząc jednemu słowu.

– Nie – sprzeciwił się Tilmant zmęczonym głosem. – Nie zgadzam się. Nigdy takiego dnia nie będzie, zrozumiałem to teraz. – I bezradnie, jak dziecko, dodał: – Nasz świat jest zły, monsieur. I taki pozostanie.

48.

Nazajutrz poszedłem z Angelą na Marché Forville, który odbywał się każdego przedpołudnia. Można tu było tanio kupić wiele rodzajów warzyw, mięsa, pieczywa, po prostu wszystko. Było także targowisko z kwiatami. Nigdy nie widziałem takiej bajecznie kolorowej masy kwiatów, jak tu na Marché Forville. Widok był

fascynujący, kwiaty mieniły się wszystkimi kolorami tęczy i nie sposób było z nich wybrać najpiękniejsze. Kupiliśmy żywność, trochę roślin i załadowawszy to wszystko do wozu, wybraliśmy się do Vallauris po gazony i dzbany zwane ali babami. W domu zasadziliśmy kupione kwiaty. Byliśmy tak brudni, że razem wskoczyliśmy do wanny, potem zaś był czas na miłość i sen. Obudziliśmy się koło piątej i postanowiliśmy odwiedzić nasz kącik na tarasie „Majestica”, gdzie bardzo smakował nam szampan. Miejsce to było teraz już stale dla nas zarezerwowane. Trzymając się za ręce, spoglądaliśmy na morze. Daleko na horyzoncie czekały już dwa olbrzymie amerykańskie lotniskowce, a miasto wypełniło się amerykańskimi marynarzami w białych uniformach; prostytutki ledwie nadązały. Powiedziałem Angeli, że moja firma zdecydowała się przyjąć warunki Nicole Monnier i jej przyjaciół i zainwestować duże pieniądze w dodatkowe informacje, nawet gdybyśmy musieli dla pozorów wypłacić Hildzie Hellmann jej ubezpieczenie. W najbliższym czasie miałem się dowiedzieć, ile pieniędzy otrzymam na te informacje oraz w jaki sposób i gdzie je odbiorę.

Wracając do domu jechaliśmy rue du Canada, gdzie aż roilo się od amerykańskich żołnierzy i ulicznic i przyszło mi na myśl, że moja znajoma prostytutka Jessy doczekała się wreszcie tak upragnionego przez nią ruchu w interesie. W tę sobotę, i lipca, w Cannes było niesamowicie gorąco, nawet na tarasie Angeli. Aż od świtu siedzieliśmy na powietrzu wśród wzajemnych zwierzeń i opowieści z całego życia. Mieliśmy sobie tak wiele jeszcze do powiedzenia i tak wiele rzeczy chcieliśmy razem przeżyć. Ale potem pomyślałem o nodze i dalszych konsekwencjach.

49.

W poniedziałek z rana nadeszły obie skrzynie z moim dobytkiem. Chłopcy z firmy spedycyjnej przytargali je aż na górę do mieszkania, potem opróżnili skrzynie, dostali napiwek i zniknęli. Angela była w swoim żywiole.

Poukładaliśmy wszystko w szafie, która odąd miała służyć tylko mnie. Angela śmiała się i podśpiewywała, a słonie wprost ją zachwyciły. Na regałach z jej własnym zbiorem znalazło się jeszcze miejsce i tam je ustawiła.

– Niech się twoje wymieszają z moimi – postanowiła. – Wszystkie są teraz nasze, jesteście jedną rodziną, my dwoje i nasze słonie.

Sycylijski konik powędrował na półkę z książkami. W końcu wszystko zostało gdzieś rozlokowane, ale przestraszyłem się, widząc nagle Angelę we łzach.

- Co się stało? Angelo, kochanie, co ci jest? – Przycisnąłem ją do siebie.
- Nic...
- Co ci jest? Powiedz!
- To... to tylko z radości – szlochała. – Wreszcie i naprawdę jesteś u mnie!
- Tak – rozmarzyłem się i ponad jej ramionami spojrzałem w dal ku rozmiotanemu morzu. – Wreszcie i naprawdę u ciebie.

50.

- Wzywała mnie pani, prawda?
- Już gotowe, proszę – powiedziała Brylantowa Hilda. Jak zawsze leżała w rokokowym łóżku, ale dzisiaj nie miała na sobie biżuterii i wyglądała na zmęczoną. Zjawiłem się u niej w poniedziałek wczesnym popołudniem. Wskazała ręką na stos kartek obok łóżka. Usiadłem i czytałem jej zeznanie bardzo uważnie, słowo po słowie, linijkę po linijce. Przyznała się do wszystkiego, wymieniła okoliczności, daty i nazwiska. Nie podała tylko nazwiska wynajętego zawodowego mordercy, chyba rzeczywiście go nie знаła, a Kilwood nie mógł go już podać, bo nie żył, Sargantana zaś z pewnością by odmówił.
- Zadowolony? – Wszystko aż gotowało się w niej z wściekłości.
- Tak.
- Jak będzie z pieniędzmi, których pan się jeszcze domaga, z pańskimi miesięcznymi apanażami? Jak pan chce je otrzymywać?
- Zawiadomię jeszcze panią.
- Kiedy?
- Wkrótce, pani Hellmann.

Z zeznaniem Hildy pojechałem do notariusza Charlesa Libellého. Zapieczętowaliśmy papiery w specjalnej kopercie i udaliśmy się razem do Banque Nationale de Paris, aby ją złożyć w wynajętym sejfie. Potem pożegnałem się z Libellém i powędrowałem przez miasto aż do Croisette. Stałem długo na skraju nabrzeżnej promenady i gapiłem się na obydwa lotniskowce. Pomyślałem, że teraz nie byłem wiele lepszy od wszystkich tych, którzy obciążeni byli śmiercią Hellmanna, ale mimo to wydawało mi się, że postępowałem logicznie i konsekwentnie. Dojrzałem znów młodego malarza, który wystawiał tu swoje obrazy. Rozpoznał mnie natychmiast i pozdrowił uprzejmie. Podeszedłem do niego, a wtedy powiedział mi, że przyniosłem mu szczęście. Udało mu się sprzedać cztery obrazy.

- To świetnie – ucieszyłem się szczerze.
- Zauważył, że patrzyłem na morze i też skierował tam wzrok.
- Taki lotniskowiec to olbrzym, prawda?
- Tak – odparłem. – Olbrzym.

51.

W przeciwieństwie do „Municipalu” kasyno „Palm Beach” jest budynkiem nowoczesnym, przestronnym, rozległym, o obszernych pomieszczeniach. Wieczorem 4 lipca jego fasady rozświetlały reflektory, a do wejścia podjeżdżały coraz to nowe auta. Cały plac przed „Palm Beach” zamknęła policja. Przyjechaliśmy z Angielą rolls-royce'em Trabaudów. Portierzy z kasyna pomogli Pasquale i Angeli przy wysiadaniu, jeden z nich odprowadził wóz na parking. Mieliliśmy z Claude'em białe smokingowe marynarki, Pasquale wieczorową liliową suknię, a Angela wybrała cytrynową suknię wieczorową z muślinu, którą kupiła w „Old England”, podczas naszego wypadu do Juan-les-Pins. Założyła do niej klipsy, które jej podarowałem, obrączkę i pierścionek z dużym brylantem oraz brylantową kolbę.

Podjazd wyłożony był czerwonym dywanem, po którym stąpaliśmy aż do długiego ganku. Z lewej, podobni do kamiennych posągów, stali francuscy policjanci w niebieskich mundurach i białych getrach, rękawiczkach oraz kepi. Z prawej, również nieporuszeni, w całkowitej bieli pełnili honory amerykańscy marynarze. Od reflektorów traciło się wzrok, mrgały bez przerwy flesze i warczały kamery. Przeszliśmy wzdłuż szpaleru nieruchomości mężczyzn cały parter i wydostaliśmy się na wielki taras. Wysunięty do przodu, blisko podium, stał tutaj stół, do którego doprowadził nas maître d'hôtel. Taras sięgał wody, za podium leżało morze, rozjarzone blaskiem reflektorów. Na dwóch drewnianych pomostach zamontowano kamery telewizyjne. Między stolikami krążyło trzech operatorów z małymi kamerami na ramionach. Były też dwa tuziny reporterów.

Tego wieczoru spotkali się tu wszyscy, których określa się mianem towarzyskiej śmietanki nad Côte d'Azur. Na samą myśl o tym, jak przypadkowo się tu znalazłem i jak komiczna dla Angeli i dla mnie była nasza obecność w gronie samych tak bogatych, sławnych, możnych i pięknych ludzi, dostawałem lekkiego kręčka. Angela i Trabaudowie podpowiadali mi, kto kim był: władze miast Cannes i Nicea, politycy z południowej Francji, prefektowie większości departamentów,

arystokraci, malarze, muzycy, naukowcy, przemysłowcy i bankierzy – i oczywiście Tenedosowie, Fabiani, Sargantanowie, Seeberg i Thorwell.

Obecni byli także liczni wysocy rangą francuscy i amerykańscy wojskowi. Pannie ubrane były w wieczorowe suknie, mężczyźni w smokingi, oficerowie w mundurach z licznymi odznaczeniami, a bizuteria, którą tu widziałem, warta była na pewno, gdyby ją zebrano – setki milionów.

Gdy nas prowadzono do stolika, nagle ucichł gwar rozmów, spostrzegłem, że jesteśmy obserwowani. Wydawało się, jakby wszyscy naraz wstrzymali oddech. Jakiś kamerzysta cofnął się i zaczął nas filmować. Zabrzmiał to może głupio i zarozumiale, ale nie pycha przeze mnie przemawia, lecz prawda: wśród tych pięknych kobiet, które się tego wieczora tutaj zebrały, Angela była najpiękniejsza. Blask jej rudych włosów, promienna twarz, żółta suknia kontrastująca z opalenizną – ona wyglądała naprawdę cudownie. Fontanny światła strzelały w górę i wydobywały z mroku dwie flagi, blisko siebie zatknięte, amerykańską i francuską. Orkiestra z lotniskowca zaintonowała „Marsylianę” i wszyscy powstali. Po francuskim hymnie odezwał się amerykański, wysłuchaliśmy go również na stojąco, Amerykanie w cywilu i mundurach, z prawą ręką na sercu. Potem na podium zjawiała się druga kapela. Grała najpierw melodie operetkowe, potem standardy jazzowe. Omiatały nas telewizyjne reflektory, zawsze któryś z operatorów miał nasz stolik na wizji.

– Jest, jak trzeba, prawda? – zauważyła Pasquale.

– O tak – odparłem – dziękuję, Pasquale.

Ciepłego powietrza nie mącił najmniejszy powiew i wielkie flagi smętnie zwiślały z masztów. Gdy zaczęto podawać kolację, przy sąsiednim stoliku zwróciła moją uwagę pewna dama w długich rękawiczkach. Nie zdejmowała ich, nawet kiedy pogryzała bułkę z masłem w oczekiwaniu na kolejne danie. Wypływałe i sfatygowane rękawiczki zapewne kiedyś musiały być białe, ale teraz nie był to zbyt elegancki widok. Pasquale zauważyła mój wzrok.

– Przy tamtym stole siedzą wyłącznie osoby, w których żyłach płynie najprawdziwsza błękitna krew – powiedziała – Obiekt twojego podziwu jest księżną... – I wymieniła nazwisko.

– Zawsze w ten sposób jada?

– Tak myślę, taki widocznie zwyczaj u księżniczek, a już na pewno w tej książęcej rodzinie. Również w ruletkę ta dama grywa wyłącznie w rękawiczkach i to każdego wieczora.

– W tych samych?

– A jakże! Może jest przesądna.

– Ale o czystość dbająca na pewno – wtrącił się Claude. – Zawsze podkreśla, że dotykanie żetonów gołą ręką jest niehigieniczne.

Po kolacji wystąpiła grupa baletowa, na którą z dachu kasyna skierowano różnokolorowe reflektory. Obrazy zanurzały się w błękitach i purpurze, to znów malowane były złotem i zielenią. Zapowiedziano też gwiazdę wieczoru: Esther Ofarim. Śpiewała amerykańskie, francuskie i izraelskie piosenki, nagrodzone rzesistymi oklaskami. A potem na wielkim podium zaczęły się tańce.

Pierwszy wyszedł Trabaud z Angelą, odprowadzony kamerami i spojrzeniami zebranych. Podałem ramię Pasquale. W tańcu nas filmowano, podium też zapełniło się i o spokoju nie było już co marzyć. Zaraz po Trabaudzie zatańczył z Angelą generalny pełnomocnik Seeberg, uprzedzająco grzeczny, kłaniał jej się prawie uniżenie, a potem kolejno: Tenedos, Fabiani, Thorwell, Sargantana, naczelnik policji z Cannes, amerykański admirał i kilku oficerów. Przez chwilę sam siedziałem przy stole, gdy nagle wyrosła przede mną Bianca Fabiani, znowu w prowokacyjnie wydekoltowanej sukni.

– Nie gniewa się już pan na mnie, prawda, monsieur Lucas?

– Za co? – Wstałem.

– Wie pan, za co. Zachowałam się wobec pana dość obcesowo, bardzo mi przykro, proszę o wybaczenie.

– Naturalnie, to się zdarza.

– Więc już się pan nie gniewa.

– Skądże!

– No to zatańczmy, proszę.

I tak oto Bianca Fabiani, była tancerka z „Lido”, znalazła się w moich objęciach, przytulając się do mnie namiętnie. Kołysząc się, prawie nie ruszaliśmy się z miejsca. Szumiały kamery telewizyjne, błyskały flesze. Po chwili Bianca zabrała mnie do stołu Tenedosów i tańczyłem kolejno z Meliną Tenedos, a potem z Marią Sargantana. Na końcu wreszcie udało mi się poprosić Angelę. Zagrano właśnie walca i szepnąłem jej: – A teraz im pokażemy.

Przycisnąłem ją do siebie, jakbyśmy sami byli na sali. Wszystkie kamery skierowały się na nas, rozmigotały się światła błyskowe, nagle wszyscy zrobili nam miejsce i zostaliśmy sami na parkiecie, pod wielkimi flagami, nad roziskrzonym morzem. Gdy umilkły dźwięki walca rozległy się oklaski. Najgłośniejsz oklaskali Bianca Fabiani i Athanasios Tenedos.

– Chyba nam przebaczone – zauważyła Angela.

– Chyba tak. – I przypatrywałem im się dokładnie, tym wszystkim bogatym, sławnym i pięknym, i przyszły mi na myśl słowa Gastona Tilmanta. „Nasz świat jest zły. I taki zawsze zostanie...”

Dochodziliśmy właśnie do stolika, gdy zgasły reflektory i w niebo ze wszystkich stron strzeliły ognie sztuczne. Siedzieliśmy jakby w środku wulkanu zięjącego ogniem. Ponad nami bez przerwy eksplodowały rakiety, pokrywając nocne niebo

kolorowymi obrazami: gwiazdami, kwiatami i snopami zboża oraz rozpryskującymi się w żarze kulami. Wracały na ziemię deszczem iskier i tonęły w morzu, w którym odbijało się całe to widowisko.

Angela uściśnęła moją rękę i szepnęła na ucho: – Tak będzie na Boże Narodzenie i w sylwestra. Przeżyjemy to razem. Mój Boże, Robercie, nawet nie odważyłabym się marzyć, żeby coś takiego jeszcze raz przeżyć, coś tak cudownego. – Nachyliła się i pocałowała mnie, a wokół nas ognie sztuczne rozbijały się dalej o niebo.

52.

Większość gości przeniosła się do obszernej sali gry, gdzie stolików było o wiele więcej niż w „Municipalu” – jak w prawdziwym letnim kasynie. Angela grała trochę i straciła, ja zaś usiadłem przy długim barze, wypilem kieliszek szampana, potem drugi i poczułem się nagle zmęczony i smutny. Poprosiłem o jeszcze jedną lampkę i zorientowałem się, że się upiłem, ale zrobiło mi się raźniej, gdy popatrzyłem na kasę i automaty w głębi. Za nimi znajdowało się małe pomieszczenie ze stalowymi sejfami, jeden z nich należał do Angeli, a w pancernym schowku leżała teraz koperta z obydwoma potwierdzeniami wpłaty z zurychskiego banku na sumę prawie osiemnastu milionów franków szwajcarskich. Jak dobrze było sobie o tym od czasu do czasu przypomnieć, zresztą stale to robiłem.

Podszedł do mnie Claude Traubaud. Wygrał i miał zamiar jeszcze próbować, ale chciał się czegoś napić.

- Myślę, że poszło bajecznie – i klepnął mnie z radością.
- Dziękuję wam obojgu z całego serca.
- Przestań, przecież Bianca Fabiani i jej znajomi to zwykła hołota.
- Tak uważasz?

Popatrzył na mnie ze zmarszczonym czołem i zaśmiał się.

– Słuchaj – rzekł nieoczekiwanie – czy nie macie ochoty na „Shalimara”? Chcemy pojutrze wypłynąć, Pasquale prosiła, żebyśmy was spytał, czy nie zechcielibyście dotrzymać nam towarzystwa.

– Chętnie – odparłem. Przeszedł mi do głowy pewien pomysł i powiedziałem: – Jedźmy do „Eden Roc”, zapraszam was na obiad.

– Świetnie, ale teraz muszę jeszcze popracować. – Opróżnił kieliszek i wrócił do swojej ruletki. Z daleka dostrzegłem Angelę przy innym stoliku. Pomachała mi i ja jej też.

Była druga godzina, gdy wreszcie Trabaudowie odwieźli nas do domu. Przebraliśmy się w szlafroki i z ulgą wyciągnęli na tapczanie przed wielkim oknem. Lotniskowce, odświętnie iluminowane, mrugały światłkami wpiętymi w girlandy. Powiedziałem Angeli, że pojutrze – a właściwie już jutro – Claude zaprosił nas jachtem na przejażdżkę.

– To wspaniale – zareagowała spontanicznie. – Wieczór też był wspaniały. Jutro w programie lokalnym, a może nawet w głównym, pokażą nas oboje i wszyscy się przekonają, jak z nami jest, i nikt już złego słowa nie powie, nikt nie będzie nas ignorował, czy mówił, że nie powinnam dostawać zamówień. To bardzo ważne, nie sądzisz? – Była też trochę na rauszu. – I w gazetach znajdują się nasze zdjęcia, mówili mi fotoreporterzy. Pięknie było, prawda?

– Bardzo.

– Gdyśmy tańczyli oboje, wszyscy się rozstąpili. Walc z tobą, tylko my sami, to było cudowne.

– Nasz walc. – I pomyślałem: Cóż to za szczęście, że mam jeszcze dwie nogi.

– Robercie?

– Tak?

– Muszę cię o coś spytać. Tylko wypraszam sobie zdawkowe uprzejmości, mów zgodnie z prawdą. Czy ty mnie w ogóle kochasz?

– Nie.

– Dobrze, niech będzie. I jeszcze jedna szczerłość mi potrzebna.

– Słucham.

– Jak myślisz, czy mimo to możesz iść ze mną do łóżka?

– Myślę, że to będzie możliwe – odparłem.

Z rozwartymi szeroko oczami, całkowicie trzeźwy i czujny, leżałem później przy Angeli i nasłuchiwałem, jak pociągi przetaczają się między miastem i morzem. Łajdaku... Łotrze... Łajdaku... Łotrze...

To spieszące się koła pociągów wybijały słowa na szynach.

Kiedy spotkałem młodego malarza na Croisette, wszystkie uczynki widziałem wtedy w związku pełnym logiki i konsekwencji. Ale był dzień i jasno, teraz noc rozsunęła ciemności, a w ciemności i nocą rachunek sumienia wygląda inaczej, o mój ty Boże, zupełnie inaczej.

Jestem łajdakiem. Jestem łotrem.

Jestem łajdakiem. Jestem łotrem.

Łotrem i łajdakiem.

– *Bonjour*, Marcel! – To ta rozmowna papuga zaskrzeczała w klatce na skraju ścieżki, która od przystani prowadziła do restauracji „Eden Roc”. Noga porządnie mi dokuczwała, a tego wczesnego popołudnia czwartkowego, 6 lipca 1972 roku było okropnie gorąco.

Zatrzymałem się z Angelą przed Marcelem. Niżej w zatoce stało mnóstwo zakotwiczonych jachtów. Claude i Pasquale Trabaudowie wsiadali właśnie do bączka, którym najpierw dotarliśmy na ląd i który potem wrócił do „Shalimara”. Pies Naftali kręcił się jeszcze czymś zaaferowany po pokładzie. Powietrze stało nieruchomo, bez najlżejszego podmuchu. W przymglonym blasku słońca, daleko nad morzem spostrzegłem ledwo widoczny Stary i Nowy Port w Cannes, palmy, Croisette i za nią białe hotele, ale było to wszystko jakieś nieuchwytnie, to całe mrowie budynków, willi i rezydencji, które kryły się w wielkich ogrodach na zboczu. Na prawo rozpościerała się dzielnica La Californie, gdzie mieszkała Angela. Pomyślałem, że oto mam przed sobą mój dom i moją ojczyznę, bo tylko Angela mi została i jej mieszkanie. I jeszcze piętnaście milionów marek w szwajcarskich frankach. Więcej pieniędzy miałem właśnie otrzymać.

– Już trzy minuty po drugiej – zauważyła. Facet się spóźnia.

– Tak – odparłem. – Ale przyjdzie, na pewno przyjdzie. Musi przyjść. Sam Brandenburg do mnie dzwonił, który sam zaszyfrował nowe polecenie dla mnie i dał temu człowiekowi pieniądze, żebym mógł opłacić informatorów.

To była historia wymyślona specjalnie dla Angeli. Dzień przedtem jeszcze raz odwiedziłem Brylantową Hildę.

– Chciałbym, aby jutro, to jest we czwartek, ktoś od pani przyniósł mi pierwszą ratę dożywotniej renty – zakomunikowałem. – Niech przyjdzie do „Eden Roe” na Cap d'Antibes. Będę czekać na niego przed klatką z gadającą papugą. Wyplaci mi pani trzysta tysięcy franków za pierwsze sześć miesięcy.

– Zginie pan marnie – syknęła Hilda Hellmann.

– Zapewne, łaskawa pani – rzekłem – ale trochę czasu sobie jeszcze zostawię. Wie pani, co się stanie, gdy nie zjawi się posłaniec lub spróbuje pani mnie się pozbyć.

Skinęła głową.

– To za mało – odparłem na ten gest. – Przecież umie pani mówić!

– Wiem, co się stanie – wycodziła. – Bądź spokojny, draniu, posłaniec na pewno przyjdzie.

- Z trzystoma tysiącami.
- Z trzystoma tysiącami – potwierdziła, błyskając szafirami, którymi była obwieszona.

Oto więc stałem przed klatką z papugą i choć minęła druga, byłem spokojny, zupełnie spokojny. Posłaniec przyjdzie, bo musi przyjść.

– Dlaczego umówiłeś się z tym człowiekiem właśnie tutaj? – Angela zaczęła się już najwidoczniej denerwować.

– Powiedziałem ci przecież, Angelo. Po tym, co się zdarzyło, chcemy unikać ryzyka. Tu, w świetle słońca, na oczach wielu ludzi nic złego nie może mi się przytrafić. Brandenburg chce mieć tę pewność, ja zresztą też.

– Czy dużo pieniędzy przyniesie ten człowiek?

– Bardzo dużo, bo tyle żądają informatorzy.

I tak ją oszukiwałem, nie miałem innego wyboru. Prawdy o tym spotkaniu przed klatką Marcela Angela nie powinna się nigdy dowiedzieć. Już wkrótce natomiast, może za parę dni, chciałem jej powiedzieć, że mi odebrano sprawę, ponieważ towarzystwo ubezpieczeniowe doszło do przekonania, że musi jednak wypłacić odszkodowanie pani Hellmann. Później, pomyślałem, powiem jej także, że mnie przenieśli na emeryturę na bardzo dobrych warunkach i że nic mi już teraz nie przeszkodzi w osiedleniu się w Cannes na zawsze. Ale potem miała przyjść amputacja. Nie miałem jeszcze pomysłu na to, jak jej to wytłumaczyć. Dotąd wszystko układało się dobrze, nie powinno więc być przeszkód i dalej. Nie byłem już tym samym człowiekiem, co przed dwoma miesiącami. Było mi obojętne, że upodobałem się teraz do tych, których zwalczałem. Właściwie wszystko mi było jedno, liczyła się tylko Angela.

– Zaraz będą tu Trabaudowie – wyrwała mnie z rozmyślań. Rzeczywiście, ku przystani podpływał szerokim łukiem bączek „Shalimara”. To nawet dobrze, pomyślałem, że nikt jeszcze nie przyszedł, prosiłem bowiem Claude’a, by nas możliwie dyskretnie sfotografował. Claude miał świetny aparat, a ja chciałem mieć na zdjęciach tego człowieka, na którego czekałem, i moment wręczania pieniędzy. Wszystko idzie jak z płatka, pomyślałem i odezwałem się głośno:

– Uwielbiam cię. I gdybym w tym momencie umarł, byłbym najszcześniejszym...

Nigdy tego zdania nie dokończyłem. Z potworną siłą coś nagle uderzyło mnie w plecy, poniżej lewego barku. Runąłem na twarz, na czerwoną ziemię. To strzał, pomyślałem, trafiła mnie kula, choć niczego nie słyszałem.

Wiem jeszcze, że Angela krzyczała, nie rozumiałem jednakże jej słów. Dziwne, że nie czułem bólu, nawet najmniejszego. Teraz do krzyku Angeli dołączyły się inne głosy, donośne i przerażone. Potem wszystko wokół mnie zaczęła wchłaniać ciemność, miałem uczucie, że się zapadam coraz szybciej i szybciej, w jakiś odmět

bez dna. Zanim straciłem przytomność, zdążyłem pomyśleć, że tak chyba wygląda umieranie.

To był jego początek.

Parę razy jeszcze dochodziłem do przytomności, ale tylko na chwilę. W helikopterze miałem nad sobą brązowe oczy Angeli, o których powiedziałem, że nie mógłbym ich nigdy zapomnieć. Silnik huczał tak głośno, że musiała mówić prosto do mojego ucha, bym zrozumiał jej wołanie wśród łez:

– Proszę, proszę, proszę, Robercie, nie umieraj! Nie umrzesz, jeśli nie będziesz chciał. A więc nie rezygnuj, nie możesz tego zrobić! Jestem twoją żoną, bardzo cię kocham, Robercie! Nie rezygnuj, pomyśl o wszystkim, co mamy przed sobą, o naszym nowym życiu, ono się przecież dopiero zaczęło. Pamiętasz o tym? Powiedz, proszę!

Z największym trudem zdobyłem się tylko na nieznaczny ruch głową i zupełnie wyczerpany zamknąłem zaraz oczy. Wówczas, jak w kalejdoskopie, oszłomiły mnie kolory, głosy i postacie. Wszystko zlewało się z sobą, kolory, postacie i głosy, a pod powiekami pojawiały się obrazy z ostatnich tygodni. Moja żona Karin. Mój szef Gustaw Brandenburg. Ognie sztuczne w Dniu Niepodległości w „Palm Beach”. Walc z Angelą. Nasze miłosne uniesienia. Taras wśród kwiatów. John Kilwood powieszony w łazience. prostytutka Jessie na rue du Canada. Staruszka z düsseldorfskiej apteki. Bogaci będą się bogacić, a biedni tracić. Czy to sprawiedliwe? Ach, nieszczęście nie zjawia się jak deszcz, jego sprawcami są ci, którzy na tym korzystają. Pijany Kilwood w kasynie. Mordercy... Mordercy... Wszyscy jesteście mordercami! Oto grający w golfa Malcolm Thorwell. Hilda Hellmann w rokokowym łóżku. Nicolai, do którego należy „L'Age d'Or”. Filia jubilerska Van Cleef & Arpéis. Jean Quémard z żoną. Obrączka! Miasto i morze w światłach, i światła wzdłuż wzgórz Estérelu, widziane z tarasu Angeli późną nocą. Obława w La Bocea. Trzaskające pistolety maszynowe. Brat Ilia na motocyklu z koszem jarzyn. Nasz kościół, wielka czarna Madonna, przed nią świece. Chevrolet wyłowiony z basenu Starego Portu, przy kierownicy trup Alaina Danona. Na łóżku Anna Galina ze sztyletem w piersi, zamordowana pielęgniarka. Trzy telewizory, trzy dzienniki telewizyjne. Biała plama na dłoni Angeli. Mój adwokat Fontana z Düsseldorfu. Doktor Joubert ze szpitala Broussailles.

To wszystko, a nawet jeszcze więcej wyłoniło się z morza barw i dźwięków. Pamiętam, że helikopter wylądował na dachu szpitala i położono mnie na nosze. Winda. Korytarz bez końca. I nagle głos Angeli, bardzo wyraźny w słowach wiersza: – „Od nadziei, lęku wolni i życia dzikich żądz...”

Przeniesiono mnie na inne łóżko. Jakiś trzask. To moja koszula. Coś mnie oślepiło. Jakaś niesamowita szyba. W niej pełno jaskrawych lamp, tuż nade mną. Ludzie w maskach i białych czapkach operacyjnych. Pochylają się... Ktoś wbija mi igłę w prawy przegub ręki.

Coś nałożono mi na twarz. Słysząc cichy syk. Kolory! Kolory! Tak cudownych jeszcze nigdy nie widziałem!

Cichnie głos Angeli: „...znużony rzeki bieg dotrze do morza portu...”

Syczenie się nasiliło. Pośród łąki pokrytej kwiatami wiła się leniwie rzeka. Poczulem, że czyjeś gładkie dłonie dotykają mego ciała, a coś lodowatego i ostrego wdiera się w lewy bok. I już wiedziałem, co to za rzeka. To Lete z podziemnej krainy, oddzielająca królestwo żywych od umarłych, rzeka Lete, z której dusze zmarłych czerpią zapomnienie. I aż zdumiałem się, kiedy zobaczyłem brzegi skąpane w słońcu.

Potem moje serce łagodnie się zatrzymało, dobrze wyczułem ten moment. Powoli zaczął znikać obraz ukwieconej łąki i Lete, gdzieś rozplynęły się błyszczące kolory i wróciła czerń odmętu. Zapadłem się w otchłań po raz ostatni.

Chętnie się temu poddałem. Ustawał mój coraz płytszy oddech. Przycichł syk. Krzepła krew w żyłach i arteriach. Wszelobecne jeszcze były ciemność, ciepło i spokój.

I umarłem.

EPILOG

1.

Gdy umarłem, zaczęło się to drugie życie, o którym tak długo i tyle śniłem. Tak, to na pewno było ono. Po krótkim czasie niebytu, którego już sobie nie mogę przypomnieć, żyłem dalej. Z mojego doświadczenia wynika, że śmierć była tylko przejściowym stanem osłabienia.

W życiu po śmierci, wolny od trosk i ziemskich zmartwień, na zawsze połączyłem się z Angelą. Znalazłem się z nią na pokładzie statku, który w Cannes rozpoczął podróż dookoła świata. Nocą opatuleni kocami wypoczywaliśmy na leżakach na pokładzie i patrzyliśmy w gwiazdy na ciemnym niebie. Byliśmy po ślubie, Karin zgodziła się jednak na rozwód. Gwiazdy błyszczały jasno, a na górze czuwał wielki miodowy księżyc. Leżeliśmy w ciszy, prawie nie odzywając się do siebie. Zniknęły zwątpienie i niepewność, przepadły czarne myśli, śmierć niesła w darze błogie uczucie spełnienia. Nie wiem, czy z innymi ludźmi dzieje się to samo w ostatniej godzinie, ja byłem spokojny, wypełniony miłością i poczuciem bezpieczeństwa, „wolny od życia dzikich żądź, od strachu i nadziei”.

Wszystko to przeżywałem, gdy moje serce zatrzymało się i byłem w stanie śmierci klinicznej. Wtedy naprawdę nie żyłem, opuściłem na jakiś czas ten świat. Na dachu szpitala Broussailles znajdowało się lądowisko śmigłowców i kiedy pojawił się helikopter, który mnie przywiózł, czekał już tam w pogotowiu zespół kardiologiczny, a z nimi także doktor Joubert, który dowiedział się, kogo przywożą z ciężkim postrzałem. Opowiedział mi później, gdy zmartwychwstałem, co się wówczas działo. Powędrowałem na stół operacyjny i pod narkozę. Chirurdzy otworzyli klatkę piersiową, po czym stwierdzili, że pocisk karabinowy uszkodził osierdzie i mięsień sercowy. Istniało niebezpieczeństwo tamponady serca. Kiedy przestało bić, dano mi śródsercowy zastrzyk i pobudzono je elektrowstrząsami. Wypompowano krew z osierdzia, a ranę na nim zaszyto. Śmierć kliniczna trwała tak długo, że doszło do anoksemicznego uszkodzenia mózgu, czego następstwem były: sześciodniowa utrata przytomności i intensywna terapia.

Czy w ogóle wiedziałem, co się ze mną dzieje? Nie. Płynąłem z Angelą statkiem po Morzu Śródziemnym i Cieśninie Gibraltarskiej, zarzucaliśmy kotwicę w Casablance i Kapsztadzie, by zwiedzać te miasta, a wszędzie było bardzo gorąco. Góra Stołowa, u podnóża której leży Kapsztad, wydała mi się niebotyczna i wysoka. Kupiłem Angeli kamerę filmową, czym ją tak ucieszyłem, że filmowała bez przerwy, chcąc z tej podróży dookoła świata, o której zawsze marzyła, przywieźć na taśmie jak najwięcej wspomnień. Na pokładzie statku poznaliśmy interesujących, miłych ludzi – Izraelczyków, Amerykanów, Szwedów, Holendrów i Francuzów. Wieczorem często urządzano przyjęcia, na których mogła występować w swoich pięknych sukniach, ja zaś jak zwykle w smokingu. Przypominam też sobie dokładnie, jak zawsze późną nocą wychodziliśmy na pokład i długo staliśmy przy relingu.

Nie wiem, czy wszystko to, co było i co miało dopiero nadejść, przeżywałem w tym ułamku śmiertelnej sekundy albo w sekundzie, która przywróciła mnie do życia, a może stało się to w okresie, gdy byłem nieprzytomny. Doktor Joubert uważa, że nikt tego nie wie, ale też nigdy jeszcze nie miał do czynienia z pacjentem, który odzyskując świadomość, dokładnie zapamiętał, co widział, mówił i czynił w stanie śmierci klinicznej i później, gdy był między życiem a śmiercią.

Być może, że w czasie, kiedy z Angelą wędrowaliśmy po Kapsztadzie, i później, kiedy dotarliśmy do Durbanu, i jeszcze później, gdy w starym mieście Dar es-Salaam targowałem się z handlarzem o cenę koralu dla Angeli, być może wtedy miałem w tchawicy gumowego węża i oddychałem przez respirator. Gdyśmy dobiegali do Karaczi i Bombaju, możliwe, że w tym właśnie czasie tkwił jeszcze w zoperowanej ranie sączek, że miałem igły i rurki w przegubie ręki i byłem podłączony do kroplówki, leżałem z przyklepionymi do piersi i kończyn elektrodami, które na bieżąco rejestrowały mój elektrokardiogram i inne funkcje ciała, kontrolowały temperaturę i ciśnienie krwi – tego wszystkiego nikt nigdy się nie dowie. Nocą, wypływając z Bombaju, pomyślałem: Umierasz. Umierasz, kiedy kochasz. Kiedy to było? Kiedy? Czym właściwie jest życie, a czym śmierć? Czy pisząc te słowa, żyję, czy dawno jestem umarły? Czy śmierć jest tylko inną formą życia, a może tą samą albo podobną tak do niego, że nie dostrzegamy żadnej różnicy? Pamiętam, że w Bombaju, w tym dziwnym mieście, które posiada reaktor jądrowy i równocześnie jest główną siedzibą perskich czcicieli ognia, gdzie na przedmieściu Malabar Hill stoją wieże milczenia, w tym nierzeczywistym mieście przy owych kolistych budowlach rozmawialiśmy z Angelą z bardzo starym Hindusem. Przypominam sobie dokładnie, że powiedział:

– Tajemnica życia i tajemnica śmierci są zamknięte w dwóch szkatułkach, a w każdej z nich jest klucz do otwarcia drugiej.

Kto odważy się cokolwiek dodać?

Nikt.

Nawet doktor Joubert jest bezradny.

Być może, że w ułamku błyskawicy, a może w tych dniach i nocach, kiedy nieprzytomny leżałem na oddziale intensywnej terapii, być może że wtedy przeżyłem to wszystko, co dzisiaj widzę. Niewykluczone, że oglądałem z Angelą cuda świata i wielką nędzę Madrasu, Kalkuty, Rangun i Singapuru. Pewnie staliśmy przytłoczeni ogromem królewskich pałaców Bangkoku, Angela naprawdę filmowała baśniowe, pełne przepychu świątynie tych egzotycznych miast, okrążyliśmy Wietnam i kierowaliśmy się w stronę Hongkongu, który znałem tak dobrze, że zamieniłem się w przewodnika.

– Po czterdziestu ośmiu godzinach zaczął pan sam oddychać – opowiadał mi później Joubert. – Ale nie trwało to długo. I gdy po sześciu dniach odzyskał pan przytomność, był pan tak odurzony i niespokojny, że zaczęły się halucynacje.

– Jakie halucynacje, panie doktorze?

– Wydawało się panu, że jest pan na pełnym morzu, potem znów na Manili, na Tajwanie, w Nagasaki i Jokohamie.

Ależ byłem tam przecież z Angelą! I nawet w Tokio, gdzie podziwialiśmy pałac cesarski i świątynie, fabryki jedwabiu, fajansu i porcelany. Zwiedzaliśmy wystawę starojapońskiej sztuki i kupiłem jej śliczny drobiazg – parkę gołębi, ona mała, on większy, z uniesionymi skrzydłami.

Dwie zamknięte szkatułki, z których każda kryje klucz do drugiej...

Statek „France” uwiózł nas z Tokio daleko na południe, do Sydney, potem do Wellingtonu w Nowej Zelandii, a później znów płynęliśmy w górę na Hawaje, gdzie oglądaliśmy i rejestrowaliśmy na taśmie wygasłe i jeszcze czynne wulkany. Nigdy przedtem tam nie byłem, ale doktorowi Joubertowi potrafiłem opisać w najdrobniejszych szczegółach wulkany Mauna-Kea i Mauna-Loa z kraterem Kilau-ea, jak również jezioro lawowe Halemaumeru. Zajrzał do książek i wszystko się zgadzało. Kto to wyjaśni? Chyba nikt nie jest w stanie.

Z Hawajów dostaliśmy się do San Francisco, przez Kanał Panamski wypłynęliśmy na Morze Karaibskie i rozpoczęliśmy drogę powrotną przez Gibraltar.

Gdy opuszczaliśmy Morze Karaibskie, była właśnie noc, leżałem w kabinie na łóżku obok Angeli i drzemałem. I nagle usłyszałem jakiś szmer, otworzyłem oczy. Gdy źrenice oswoiły się z jasnością panującą wokół (dlaczego z jasnością, skoro była noc?), zobaczyłem tuż nad sobą oczy Angeli.

– Co się dzieje, najdroższa? – Zadałem spokojne i rzeczowe pytanie. – Dlaczego zapaliłaś światło? Nie możesz spać?

– Nie zapalałam światła – odparła. – To słońce prześwieca przez żaluzje, jest trzecia po południu.

– Och – rzekłem. – A gdzie jesteśmy?

– W szpitalu Broussailles. Dzisiaj rano przeniesiono cię do osobnego pokoju.

– Skąd przeniesiono?

– Z oddziału intensywnej terapii. Przez dziesięć dni mogłam cię tylko oglądać przez szybę. Kryzys jednak już minął i ordynator pozwolił, żeby tu wstawiono drugie łóżko dla mnie. Teraz mogę zostać, jak długo zechcę, nawet na noc. Żyjesz, Robercie, żyjesz! Nie umarłeś!

– Gdzie masz korale?

– Jakie korale?

– Ach, nic – i poczułem się bezradny jak chore dziecko, bo zrozumiałem, że to wszystko było snem. – Nic, najdroższa, nie umarłem, przynajmniej niezupełnie. – Spróbowałem się rozejrzeć odwracając nieco głowę – tylko trochę, na więcej nie było mnie stać – i zobaczyłem duży, nowoczesny pokój, w którym wszystko było jasne, jasne i czyste. Nie doznałem wprawdzie szoku, ale krótkiego niewytłumaczalnego uczucia smutku, że ze świata ułudy powróciłem do rzeczywistości (ale czy to była rzeczywistość?), i przypominam sobie, że cicho spytałem: – Jaki jest dzisiaj dzień?

– Niedziela – usłyszałem odpowiedź.

– Którego?

– Szesnastego lipca.

Szesnastego lipca.

Pomyślałem: szóstego lipca miałeś spotkać się z tym człowiekiem, wtedy strzelono do ciebie, a więc dziesięć dni walczyłeś o życie. Dziesięć dni bez przytomności, w odurzeniu i majakach – dziesięć cudownych dni. Powiedziałem: – Odbyliśmy podróż dookoła świata, o której tak marzyłaś. Było cudownie i myślę, że wkrótce zdarzy się to naprawdę.

– Koniecznie – Angela starała się uśmiechnąć, choć usta jej drżały. Wyglądała dość kiepsko, twarz jej jakby zmalala, zapadła się i zbladła, oczy miała głęboko podkrążone. Doktor Joubert opowiadał później, że Angela przez dziesięć dni najpierw wcale nie opuszczała szpitala, a potem tylko najwyżej na parę godzin. Dzień i noc była w moim pobliżu, chociaż stale próbowano ją odprawić. Nocą kładła się na ławce przed oddziałem intensywnej terapii i tam zasypiała.

Wreszcie zrobiono dla niej miejsce w dyżurce pielęgniarek, wstawiając tam łóżko. Ale i tak spała po godzinie, potem wstawała i podchodziła do wielkiej szyby. Patrzyła na mnie nieruchomym wzrokiem, nie zdradzała żadnych uczuć. A ja leżałem nieprzytomny i wolno wracałem ze świetlistej krainy śmierci, do ciemnego, niepewnego życia.

2.

Tego samego dnia pojawił się ordynator i inni lekarze, a wśród nich Joubert. Przebadali mnie dokładnie, po czym wszyscy uznali, że najgorsze minęło, chociaż stan mojego serca nadal był niezadowolający i stale groziła mi zapaść.

– Madame może tu zostać – zdecydował ordynator, mały, krępy mężczyzna w złotych okularach. – Choremu to tylko pomoże.

– Dziękuję – rzekła Angela, obecna przy tej konsultacji.

– Zależy mi, żeby z kimś pilnie porozmawiać – poprosiłem, bo uważałem, że po moim powrocie do życia mam parę spraw do załatwienia.

– Wykluczone – kategorycznie sprzeciwił się ordynator. – Czy wie pan, jaki to cud, że w ogóle pan jeszcze żyje? Dziewięćdziesiąt procent wypadków takich jak pański kończy się śmiercią. Nie, nie, na razie nie będzie pan z nikim rozmawiał. Byli już u mnie zresztą jacyś ludzie, którzy koniecznie chcieli z panem mówić, ale wyjaśniłem im, że to niemożliwe.

– Kto to był? – zainteresowałem się.

– Madame Hellmann i notariusz Libellè.

– To bardzo ważne, powinienem się z nimi zobaczyć – nalegałem.

– A ja zabraniam, dopóki pańskie serce będzie jeszcze w takim stanie. W ciągu tygodnia – być może – otrzyma pan pozwolenie. To samo powiedziałem tym osobom.

– Kiedy?

– Przed chwilą. Oni tu są codziennie. Co im tak pilno do pana?

– Ach, to prywatna sprawa, wie pan z pewnością, kim jestem i dlaczego przyjechałem do Cannes? – Przytaknął. – No więc, przypuszczam, że niepokoją się o mnie.

– Powiem im, że jak na razie pańska kondycja jest całkiem znośna. Powinno ich to na pewien czas uspokoić.

– Sądzę, że to ich wyjątkowo uspokoi – stwierdziłem. – Panie i panowie – zwróciłem się do zgromadzonych lekarzy i pielęgniarek. – Dziękuję z całego

serca za wielki trud i wasz kunszt, które przywróciły mnie życiu.

Powiedziawszy to nie byłem wcale pewien, czy tak rzeczywiście myślałem. Ogarnęło mnie straszne znużenie i w następnej chwili zasnąłem. Miałem jeszcze świadomość, że snią mi się świątynie, mnóstwo świątyń z całymi zastępami bogów z kości słoniowej, a każdy z nich miał wiele rąk.

3.

W sobotę, 22 lipca, w szesnastym dniu pobytu w szpitalu, stan mojego zdrowia był na tyle dobry, że ordynator zgodził się na krótkie wizyty. Kiedy mówię o ordynatorze, mam na myśli profesora Henriego Brilleta, szefa oddziału chirurgicznego, który mnie również operował. Pragnę jeszcze zaznaczyć, że szpital Broussailles, o czym wiedziałem od czasu mojej pierwszej bytności tutaj, jest dużą i nowoczesną placówką z wieloma oddziałami.

Angela była przy mnie, kiedy odwiedzili mnie Roussel, Lacrosse i Tilmant. Przyszła już trochę do siebie, przespała kilka nocy, ale dalej była bardzo błąda, pozostały jej też podkrążone oczy. Siedziała milcząca na swoim łóżku, przysłuchując się, jak rozmawialiśmy we czwórkę.

Pozwolono im na pięciominutową wizytę. Oczywiście zapytali mnie najpierw, czy podejrzewam, kto i z jakich powodów dokonał zamachu. O przebiegu wydarzeń poinformowała już ich wcześniej Angela.

– Nie mam pojęcia – odparłem. Jakoś się z tego wygrzebałem, pomyślałem, uszedłem z życiem. A teraz chcę tylko spokojnej przyszłości, bezpiecznej i dostatniej. – Nie mam najmniejszego pojęcia – powtórzyłem z naciskiem.

– Czy pan coś ukrywa? – Lacrosse obserwował mnie badawczo, a w jego oczach widziałem i prośbę, i gniew.

– A co miałbym przemilczać?

– Musiała być jakaś przyczyna, dla której próbowano pana zabić. Stanowi pan widać jakieś zagrożenie dla tych... dla tych ludzi. Czy pan może coś znaleźć? A może tylko powiedział im, że coś odkrył?

Hm, robiło się gorąco.

– Nie – odparłem. – Nic nie znalazłem, zupełnie nic. Chyba przypominają sobie panowie, że już raz dobrano się do samochodu madame Delpierre i omal z tego powodu nie zostaliśmy na zawsze w morzu. To była pierwsza próba, wtedy też nic nie wiedziałem.

- Rzecz jasna, skontaktowaliśmy się z pańską firmą – wtrącił się Roussel. Zaczynało być źle.
- Tak, oczywiście – wybąkałem.
- I zakomunikowano nam, że już pan nie pracuje nad tą sprawą, tak powiedziano, i że zwolniono pana z dalszych obowiązków.
- Spróbowałem się roześmiać, ale śmiech sprawiał mi ból. Zaraz też pomyślałem, że sprawa jeszcze się wyda, gdy Lacrosse i Roussel zaczną być dociekliwi i lepiej będzie, jeśli pierwszy zabiorę głos. Nie mogłem też dłużej okłamywać Angeli.
- Miałbym panom dużo więcej do powiedzenia. Moje towarzystwo ubezpieczeniowe zachowało się dość dyskretnie.
- Dlaczego?
- Nie tylko zostałem z tej sprawy wycofany, ale w ogóle już nie pracuję dla „Globalu”.
- Robercie! – Angela zerwała się na równe nogi, podchodząc do mojego łóżka.
- Uspokój się, kochanie, byłbym ci to teraz wszystko opowiedział, nie ma powodu do zdenerwowania.
- Co to znaczy, że pan już nie pracuje dla „Globalu”? – zdziwił się Tilmant.
- Czy pana zwolniono?
- Tak. – I spojrzałem w jego poważne oczy, zdając sobie sprawę, że ten miły człowiek przejrzał moją grę. – Albo nie, to niedobre określenie. Znalezione inne wyjście: wczesną emeryturę – uzasadnioną moją długoletnią wierną służbą i poważnymi zasługami dla „Globalu”.
- Ale co to znaczy? Wczesna emerytura? Robercie! Czy to twoja noga? Proszę! – Angela już była obok i pochylając się nade mną patrzyła na mnie ogromnymi, pełnymi strachu oczami.
- Nie noga, nie o nogę chodzi. To tylko pretekst, który wymyślili, żaloszny pretekst.
- A co z pańską nogą?
- Nic poważnego, lekkie zaburzenia w krążeniu. W Düsseldorfie zatrudniamy niesłychanie drobiazgowego lekarza i wszystko, co mówi, „Global” traktuje bardzo serio. Ale w rzeczywistości zwolniono mnie nie z powodu nogi, która zresztą tutaj została jeszcze raz przebadana – proszę zapytać doktora Jouberta – ale z powodu mego związku z madame Delpierre. Wszyscy ci dystyngowani ludzie, z którymi mamy tu do czynienia, a szczególnie chyba Brylantowa Hilda, postawili sprawę na ostrzu noża, składając na mnie donos w firmie i tym samym protestując przeciw temu związkowi. Zagrozili bojkotem „Globalu”, jeśli ten mnie nie zwolni i nie wypłaci odszkodowania madame Hellmann. Przykro mi, panowie, że na ostatnim naszym spotkaniu nie powiedziałem prawdy, czy powiedzmy, całej prawdy.

Moje towarzystwo ubezpieczeniowe dalej zamierza się interesować sprawą, nawet po wypłaceniu odszkodowania, tylko ja musiałem zostać odsunięty. Trudno mi było się z tym pogodzić, stąd to kłamstwo.

– Robercie, to przez nas straciłeś posadę? Przez nas? I nic mi nie powiedziałeś? Twierdziłeś przecież coś wręcz przeciwnego, że szef pošle ci do „Eden Roc” człowieka z dużymi pieniędzmi, abysy opłacił informatorów – zawołała Angela. I tak się wszystko wydało.

4.

Można się było spodziewać, że to kiedyś wyjdzie na jaw. W białym pokoju po słowach Angeli nastąpiła cisza, jak makiem zasiał. Pierwszy odezwał się Tilmant, jak zawsze powściągliwie i ostrożnie.

– Czy to możliwe, monsieur Lucas?

Przytaknąłem.

– I czy to prawda?

Potrząsnąłem głową.

– Robercie! – to znowu ona. Nigdy nie powinna się o tym dowiedzieć, przemknęło mi przez myśl. Musiałem teraz brnąć do końca, nie miałem wyjścia.

– Przebac – wyszeptalem.

– Dlaczego pan oszukał madame Delpierre?

– Chciałem jej oszczędzić prawdy.

– Jakiej prawdy, monsieur Lucas? – teraz nacierał Lacrosse.

Pielęgniarka wetknęła głowę w uchylone drzwi.

– Koniec wizyty, panowie, pięć minut minęło.

– Już, już, siostrze. Jeszcze dwie minuty – targował się Roussel.

– Najwyżej dwie. Potem wołam lekarza. – I wycofała się.

– Mówiliśmy o prawdzie, monsieur Lucas! – nie ustępował Lacrosse.

– Prawda jest taka, że czwartego lipca, kiedy byłem w kasynie, po przyjęciu z okazji Dnia Niepodległości, późną nocą zostałem wywołany do telefonu. Nie zauważyłaś, Angelo, bo grałaś.

– Kto dzwonił? – spytał Roussel.

– Jakiś człowiek, nie znałem go.

– Oczywiście, skądże by – uwaga pochodziła od Roussela.

– Spokojnie – to Tilmant. – Proszę dalej, monsieur Lucas.

– Ów facet powiedział mi, że gotowi są dać mi pieniądze, dużo pieniędzy, jeśli przestanę się zajmować sprawą Hellmanna.

– Przypuszczalnie nie wiedział, że został pan zwolniony.

– Widocznie nie. „Global” takich rzeczy nie rozgłasza.

- Ile pieniędzy? – dociekał Lacrosse.
- Milion nowych franków.
- Musiał pan na coś wpaść, co temu komuś wydało się niebezpieczne.
- Być może.
- Ale na co? – zastanawiał się Lacrosse.
- Nie mam pojęcia. W takiej sytuacji należało pieniądze wziąć, prawda? Byłem także ciekaw, kto się pojawi. Liczyłem na jakieś odkrycie.
- Robercie, Robercie, nigdy nie mówisz mi prawdy... – wyjąkała Angela.
- Nawet tobie. Facet zobowiązał mnie do milczenia, to był warunek. Ostrzegł mnie też, żebym nie zawiadamiał policji, mogłem natomiast wyznaczyć miejsce i czas spotkania. Akurat tuż przed telefonem mój przyjaciel Trabaud zaprosił mnie na przejażdżkę jachtem w dniu szóstego lipca, więc wybrałem „Eden Roc”. Ten człowiek zgodził się. Byłem punktualny, ale on się spóźnił. Postrzelono mnie więc z opóźnieniem.
- Pan oczywiście nie widział tego człowieka – upewnił się Roussel.
- Skądże.
- I nie dostał pan pieniędzy.
- Jasne, że nie – odparłem.

Znowu nastała cisza.

- Nie wierzę panu – oświadczył w końcu Lacrosse.
- Ja też nie – dołączył się Roussel, ale powiedzieli to dość uprzejmie.
- A ja wierzę – nieoczekiwanie odezwał się Tilmant i spojrzął na mnie dziwnie.
- Też ci wierzę – usłyszałem Angelę. – Chociaż to straszne, co powiedziałeś... zwolnili cię przeze mnie... I wciąż nie masz do mnie zaufania...
- Przecież bym cię tylko przestraszył! Wierzyłem, że idę na spotkanie po pieniądze. Prosiłem nawet Claude'a, żeby mnie i temu facetowi zrobił zdjęcie. – No, pomyślałem, przynajmniej coś, co pomoże, co można będzie sprawdzić. – Oczywiście, gdybym wpadł na jakiś nowy trop, gdybym cokolwiek podejrzewał, natychmiast bym się z wami porozumiał.

Znowu kłamstwo.

- Czy aby na pewno, monsieur Lucas? – atakował Roussel.
- To się rozumie samo przez się! Sądzi pan, że dałbym się tym ludziom zbalamucić?
- Spokojnie, spokojnie, panu potrzebny jest spokój, monsieur Lucas – wtrącił się Tilmant. – Nikt tak nie sądzi. Jestem przekonany, że by nam pan natychmiast przekazał każdą informację.

– Dziękuję – rzekłem.
– Monsieur Lucas będzie odtąd pod ochroną policyjną – zwrócił się Tilmant do obydwu urzędników śledczych. – Dzień i noc przed jego drzwiami ma być warta, każdy odwiedzający musi być wylegitymowany i skontrolowany, czy nie ma broni. Być może, iż ci ludzie podejrzewają pana Lucasa o posiadanie prawdy, która im zagraża, a której on nie zna lub nie ma pojęcia, że zna.

Lacrosse i Roussel milczeli.

- Czy zostałem zrozumiany? – upewnił się.
- Tak jest, monsieur – służyście zareagował Roussel.
- Ochrona policyjna. Od zaraz. Jak długo?
- Do odwołania – powiedział.

Raptem drzwi się otworzyły i wtargnęła siostra, a za nią lekarz.

– Moi panowie – Lekarz nie ukrywał gniewu – w tej chwili proszę opuścić pokój. Monsieur Lucas jest jeszcze bardzo słaby.

Pożegnaliśmy się, podając sobie ręce, Tilmant pocieszył mnie uśmiechem, Lacrosse i Roussel pozostali poważni. Gdy zostałem z Angelą sam, zaczęła mówić, raz po raz się zacinając:

– Nie powiedziałeś mi prawdy, Robercie... Dobrze, rozumiem... Nie chciałeś mnie niepokoić... Ale co mam teraz robić? Boże, co teraz będzie, jeśli myślą, że coś ukrywasz i jeśli chcieli cię sprzątnąć, a to się im nie udało? Przecież dalej tak myślą i tobie wciąż grozi niebezpieczeństwo!

– Było to już oczywiście koło „Tetou”, gdy mieliśmy wypadek i o mało nie utonęliśmy.

– Tak, rozumiem... Ale to niczego nie zmienia... Będą znowu próbowali, aż do skutku...

– Nie sądzę – uspokajałem ją. – Jeśli nic się nie będzie działo, zrozumieją, że się mylili, że rzeczywiście nie mam pojęcia o tym, co ich widocznie niepokoi. Przecież byłbym to teraz powiedział, Angelo! Uważasz, że nie?

Patrzyła na mnie w milczeniu.

- Angelo, pytałem o coś!
- Sądzę, żebyś powiedział. – Ledwie ją można było zrozumieć.
- Mogę się tylko modlić, żeby to była prawda, a oni się o tym przekonali.
- Zorientują się, zobaczysz – i tylko tym mogłem ją pocieszyć, wszystko inne musiało nadal zostać tajemnicą.
- Czy dlatego cię zwolnili, że się kochamy?
- Tak.
- Jakie to straszne.

- Cudowne!
- Cudowne, dlaczego?
- Dostanę wysoką emeryturę, Angelo... A potem – nie rozumiesz jeszcze?
- Czego?
- Że odtąd będę tylko z tobą!

Patrzyła na mnie długo. Potem schyliła się nad moją lewą ręką, która leżała na koidrze i pocałowała ją.

- Ze mną... zawsze ze mną... Odtąd będziemy razem... na zawsze!

5.

Godzinę później objęto przed moim pokojem wartę i odtąd byłem przez całą dobę strzeżony przez zmieniających się co sześć godzin policjantów.

Uspokoilo to Angelę, która w następnych dniach opuszczała mnie często na dłuższy czas, aby załatwić sprawy, których nie mogła już odkładać. W środę, 26 lipca, wybrała się wreszcie do fryzjera, mówiąc, że wygląda pewnie jak czupiraćło i nie będzie mi się już w takim stanie pokazywać, bo jeszcze przestanę ją lubić. Przez ten czas zdążyliśmy poznać wszystkich policjantów, którzy mnie pilnowali i od czasu do czasu zaglądali do pokoju. Byli to wyjątkowo sympatyczni ludzie, a temu, który tego popołudnia miał właśnie służbę, Angelę poleciła szczególnie się mną opiekować.

Wyszła zaraz po czwartej po południu, o wpół do piątej dyżurujący zajrzał do pokoju i zameldował:

– Wizyta, monsieur Lucas. Madame Hellmann i monsieur Libellè. Mają pozwolenie od lekarza, a jeśli chodzi o broń, to zrewidowałem ich i niczego nie znalazłem. – No, wreszcie, pomyślałem. – Pani Hellmann chciałaby najpierw sama z panem mówić.

- Proszę – odparłem.

I oto stała przede mną Brylantowa Hilda – bez kosztownych świecidełek, źle umalowana, w letniej sukience z białego jedwabiu, za którą pewnie musiała zapłacić masę pieniędzy. W różowych oczach albinoski znowu czaił się strach.

Wskazałem na krzesło, które przysunęła, siadając blisko mnie.

- Czy tu nas nikt nie podsłuchuje? Mam na myśli mikrofon czy też...
- Nie wiem, pani Hellmann. Sądzę, że nie.
- A gdyby tak?
- Musi pani zaryzykować.
- Będę mówić szeptem.

– Nie robiłbym tego. Policjant zna pani nazwisko. Gdyby jednak był pod-
słuch...

– No, właśnie! – wybuchnęła gniewem.

– Nie tak – upomniałem ją.

– Co nie tak?

– Nie będziemy rozmawiać w ten sposób, pani Hellmann.

– Niech pan wybaczy, panie Lucas.

– Tu nie ma mikrofonów – uspokoiłem ją i pomyślałem jednocześnie: Mam nadzieję. – A więc proszę, co pani ma mi do powiedzenia?

Widok był zaiste niecodzienny – Brylantowa Hilda wreszcie ubrana po ludzku i nie leżąca w łóżku.

– Już wiele razy próbowałam się dostać do pana, ale...

– Wiem. Z czym pani przychodzi?

– Że to nie my, żaden z nas. Nikt z nas nie wynajął człowieka, żeby pana za-
bić – mówiła szybko. Wszyscy byliśmy zrozpaczeni, jak dowiedzieliśmy się o
zamachu. Niech mi pan wierzy, panie Lucas! Pan musi uwierzyć! Przychodzę tu w
imieniu... wszystkich. Zdecydowałam się, choć wiem, jakie to upokarzające, a
przede wszystkim niebezpieczne. Ale pan musi mi wierzyć: nie ponosimy za to
żadnej odpowiedzialności. Mamy nadzieję, że pan już wkrótce wyzdrowieje i bę-
dzie długo żył... Niech się pan nie śmieje!

– Ale muszę! – Ze śmiechu łzy napłynęły mi do oczu. – Rozumiem, pani
Hellmann, dlaczego mi pani życzy dobrego zdrowia i długiego życia. Bo co będzie
z panią, jeśli mi się jeszcze raz coś takiego przydarzy i umrę?

– No właśnie! – Peruka znowu jej się przekrzywiła i wtedy pomyślałem, że
tak bogatą kobietę stać na lepszą perukę. – Niepokoiśmy się... bardzo się niepokoi-
my.

– Dlaczego?

– Wiemy, że to nie było nasze polecenie... Ktoś inny musiał je wobec tego
wydać.

– Kto?

– Właśnie, kto? Nie wiemy. A panu jak się zdaje?

Zażartowałem:

– Być może udało wam się przekupić mego notariusza i wydał wam wszyst-
kie materiały. Możecie go poprosić, żeby za dodatkowe honorarium dokończył
zamachu.

– Pan chyba oszalał! Notariusza się nie kupuje! Ale nawet gdyby, to i tak na-
sza sytuacja by się nie zmieniła – tylko ktoś inny by nas miał w garści. Pan byłby
zgubiony, ale Libellè... – Urwała. – Pan żartuje, a ja głupia dałam się nabrać. Nie,

panie Lucas, jedno jest tylko pewne: ktoś chce nas zniszczyć, wie wszystko o panu i o nas i co się stanie w przypadku pana nagłej śmierci – i to ten człowiek właśnie zwerbował zawodowego mordercę.

– Kogo pani ma na myśli?

– Clermonta i Abła.

– Bzdura – zareagowałem gwałtownie, ale zaraz pomyślałem: A dlaczego nie? Hilda Hellmann i jej wspólnicy nie zorganizowali tego zamachu, ale ktoś to jednak zrobił. Może właśnie właściciele tej francuskiej firmy, która powoli, choć konsekwentnie niszczona była przez KOOD. Może więc byli to Clermont i Abel? Zastanowiło też mnie, jak szybko mi uwierzył, czy tylko udawał Tilmant. Może on... Nie! Nie, nie, Tilmant to porządny człowiek. Ale równocześnie pomyślałem: – Co to właściwie znaczy porządny człowiek? Czy nim jestem? Bóg raczy wiedzieć.

– Milczy pan – odezwała się Brylantowa Hilda. – Zamyślił się pan. Wszyscy teraz, panie Lucas, znaleźliśmy się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Co będzie, jeśli ktoś ponowi próbę zamachu na pana i ta próba się powiedzie?

– Będzie to, o czym już mówiłem – przerwałem jej zniecierpliwiony. – Dajmy już spokój przypuszczeniom i podejrzeniom. Zobaczymy, co przyniesie przyszłość. Jeszcze coś? Nie pozwalają mi na dłuższe wizyty.

– Pan... pan nas nie zdradzi? – doszedł mnie jej szept.

– Nie.

– Nawet w chwili słabości, we śnie, w malignie?

– Skąd mogę wiedzieć. Sądzę, że nie. Przecież by pani tutaj teraz nie siedziała, pani Hellmann.

– I żadnych informacji pan nie udzielał?

– Żadnych.

– Dziękuję panu.

– Proszę, niech pani przestanie.

– Libellè...

– Co z nim?

– Chciałabym, żeby pan go teraz przyjął. To nie potrwa długo. – Podeszła do drzwi, porozmawiała z policjantem i wróciła z notariuszem. Był jak zawsze konkretny i oszczędny w słowach. Przywitał mnie zdawkowo, po czym wyraził radość, że wyszedłem cało z opresji.

– Madame Hellmann odwiedziła mnie zaraz po zamachu – oświadczył. – Powiedziałem jej, że według otrzymanych instrukcji mogę powierzone mi materiały ujawnić dopiero wtedy, gdy otrzymam jednoznaczną wiadomość o pańskiej gwałtownej śmierci, lub spowodowanej następstwami zamachu. Zaznaczyłem, że to samo odnosi się do madame Delpierre.

– To prawda – potwierdziłem.

Skłonił się krótko.

– Ale pan nie umarł – rzekł Libellè. – Sytuacja długo była krytyczna, ale pan nie umarł.

– Niewiele brakowało – zauważyłem.

– A więc skoro pan nie umarł, nie wszcząłem żadnych kroków. Madame Hellmann przyniosła mi trzysta tysięcy nowych franków, które w imieniu pana odebrałem i złożyłem do bankowego sejfów.

– Powinien pan się przekonać, to znaczy pan notariusz Libellè powinien się przekonać, że nie jesteśmy winni tego, co się stało – zwróciła się do niego błagalnie Brylantowa Hilda.

– Bardzo dziękuję za pieniądze – rzekłem. – Odtąd proszę umówioną kwotę przekazywać panu Libellému. Nie wiem, jak długo tu zostanie. Oczywiście nie będzie żadnych potwierdzeń odbioru, natomiast monsieur Libellè natychmiast mnie poinformuje, jeśli po ostatnim dniu miesiąca będzie pani zalegała z zapłatą.

– Bez obaw! – zawołała.

– Tak będzie, monsieur Lucas – zapewnił notariusz.

– I jeszcze coś – zatrzymałem go. – Dobrze się stało, że państwo są tutaj razem, nie będę więc musiał komunikować tego pani przez pana Libellého. Mam pewien pomysł.

– Jaki? – spytała ze strachem Brylantowa Hilda.

6.

– Jak słyszę, miałaś odwiedziny – powitała mnie od drzwi Angela. Była siódma. Zrobiła jeszcze parę zakupów i stała teraz przed moim łóżkiem, w nowej fryzurze i piękna, choć wciąż jeszcze pełna obaw.

– Tak. Pani Hellmann i notariusz Libellè.

– Kto to taki?

– To człowiek, którego poznałem przez adwokata Fontanę, o nieposzlakowanej opinii. Po zamachu zwróciła się do niego Hilda Hellmann, aby zapewnić, że ani ona, ani jej przyjaciele nie mają z tym nic wspólnego.

– I ty jej wierzysz?

– Tak – rzekłem.

– Dlaczego?

– Trochę już ją przejrzałem, jak i jej dobrych znajomych, czyż nie? I znam ludzi, którzy chcieli mi sprzedać prawdę. Ona wie o tym. Przed zamachem zdeponowałem wszystkie materiały śledcze u Libellého. Są w sejfie bankowym. Powiezyłem to notariuszowi, a nie policji. Otrzymał polecenie, by w razie mego

wypadku wszystko opublikować. Sądziłem, że w ten sposób zapewniłem nam bezpieczeństwo, rozumiesz?

– Jakże się omyliłeś!

– To był nieszczęśliwy wypadek, nieporozumienie. Nigdy się nie powtórzy, wierz mi Angelo.

– Na czym opierasz tę pewność?

– Bo się nad czymś zastanawiałem w ostatnich dniach i powiedziałem o tym dzisiaj Brylantowej Hildzie i Libellému.

– Co masz na myśli?

– Mam zamiar opisać swoją historię – powiedziałem. – Naszą historię, jeśli pozwolesz. Opowiedzieć o wszystkim, co mi się przytrafiło i co wiem. O wszystkim. I poinformowałem o tym Brylantową Hildę. Lekarze mówią, że minie parę miesięcy, nim opuścę szpital. No więc w tym czasie zajmę się pisaniem – stenografuję bardzo dobrze, także po francusku. Sekretarka Libellégo będzie każdego wieczora odbierać rękopis i w ciągu dnia przepisywać, potem pójdzie to do bankowego sejf. Libellè ma drugi klucz. Postaram się skoncentrować i pracować możliwie szybko. Brylantowa Hilda wie teraz, że jeśli mnie lub tobie coś się przytrafi, cała historia ze wszystkimi szczegółami zostanie opublikowana. Myślałem o nas obojgu. Lekarze już wiedzą, że to, co napiszę, pójdzie do Libellégo, mam więc świadków. Jako ludzie wolni będziemy żyć w spokoju i bez strachu, zwłaszcza że Brylantowa Hilda na pewno postara się, żeby o moim pisaniu dowiedział się, kto trzeba. Kiedy skończę tę opowieść, będziemy już oboje bezpieczni.

Angela usiadła na brzegu mego łóżka, nachyliła się i pocałowała mnie ostrożnie. Włosy jej cudownie pachniały.

7.

Ale z pisania nic nie wyszło – przynajmniej na razie. Lekarze stanowczo zaprotestowali, powiedzieli, że zbyt jeszcze jestem osłabiony. Mijały tygodnie, mój stan stale się poprawiał. Do naszego pokoju, który miał także łazienkę, Angela przyniosła mały japoński odbiornik i wieczorami oglądaliśmy razem telewizję. Najczęściej szybko zasypiałem, byłem rzeczywiście jeszcze nie w formie, ale powoli wracałem do zdrowia. Po pewnym czasie już nie zasypiałem przed telewizorem, a pod koniec czwartego tygodnia mogłem po raz pierwszy wstać i z pomocą Angeli oraz pielęgniarek zrobić kilka kroków. Stopa dokuczała mi przy chodzeniu, ale nic nie mówiłem. Codzienne spacerki przedłużały się, regularnie przychodziła masażysta,

przepisano kąpiele i nagle wrócił mi niemal wilczy apetyt. W piątym tygodniu pobytu w szpitalu, w czwartek, 10 sierpnia, pozwolono mi zająć się pisaniem.

Rzuciłem się w wir zajęć. Cały dzień był wypełniony pisaniem, spacerem, gimnastyką, masażami, kąpielami i wszystko miałem co do minuty rozplanowane. Lekarzom nawet się spodobał mój pomysł z pisaniem, bo uznali go za dobrą terapię. O mojej aktywności dowiedziała się też policja i za zgodą Tilmanta co wieczór sekretarka Libellégo odbierała zapisane strony. Byłem bardzo pilny. Angela po przerwie spowodowanej niedawnymi wydarzeniami znowu zaczęła malować. Miała mnóstwo pracy, bo teraz musiała się wywiązać z wcześniejszych umów. W ciągu dnia byłem więc przeważnie sam. Po raz pierwszy w życiu pracowałem z pasją. Opowieść, którą czytacie, co już podkreślałem, ma być ubezpieczeniem na życie kobiety, którą kocham – Angeli. Oczywiście myślałem też o sobie, dlatego modłę się co noc do Boga, żebym wszystkie wypadki mógł spisać do końca. Nie chodzi tu o umiejętności, bo nic nie sprawia mi kłopotu, jeśli robię to dla niej; chodzi tylko o czas.

W sierpniu było nieprawdopodobnie gorąco, tak samo we wrześniu. Niekiedy zdarzały się gwałtowne burze. Angela często wychodziła na różne przyjęcia i spotkania. Początkowo nie chciała, ale ją do tego zmusiłem, bo były częścią jej zawodu, a życie powinno toczyć się dalej. Gdy jej nie było, pisałem też nocą przez wiele godzin, póki nie wróciła, a wracała często prosto do mnie, jeszcze w wieczorowym stroju. Którejś nocy październikowej – zrobiło się już chłodniej, chociaż dni pełne jeszcze były słońca, a w wielkim ogrodzie szpitalnym kwitły rozmaite krzewy i kwiaty – którejś więc nocy około trzeciej nad ranem weszła do mego pokoju na palcach. Pisałem do drugiej i wcale nie chciało mi się spać. Rozebrała się w ciemności i poszła do łazienki, a potem zobaczyłem jej sylwetkę na tle otwartego okna. Świecił księżyc i po raz pierwszy po wypadku zapragnąłem jej.

Wymówiłem cicho jej imię.

Przestraszyła się.

- Myślałam, że śpisz. Czy cię zbudziłam?
- Podejdz.
- Co?
- Chodź do mnie, proszę, Angelo.
- Zwariowałeś. Policjant za drzwiami, może zajrzeć...
- Nocą nie zagląda, jeśli jesteś ze mną.
- Albo siostra z dyżuru nocnego...
- Już była. Chodź, Angelo, tęsknię za tobą.
- Szaleństwo... to zupełne szaleństwo, Robercie!
- Ty także chcesz! Chcesz tak samo, jak ja!

- Tak...
- No to chodź!

Wsunęła się szybko pod kołdrę i zapachniała mi jej skóra, jej nagie ciało poczułem na sobie i połączyliśmy się, jak dawno, dawno już nie.

8.

Szóstego listopada 1972 roku zwolniono mnie ze szpitala Broussailles.

Było poniedziałkowe, deszczowe popołudnie. Z pisaniem do tego czasu bardzo się posunąłem, dobrnąłem prawie do miejsca, które właśnie czytacie. Zanim przystąpię do dalszej relacji, muszę jeszcze opowiedzieć o dwóch rozmowach. Pierwsza z nich była właściwie wciąż powracającym dialogiem między Angela i mną, nawet padały wtedy te same słowa:

– Co się stanie, gdy cię zwolnią, Robercie? Będzie tak jak przed zamachem, znowu spróbują cię zabić. Nie zaznamy spokoju, czy mamy stale żyć pod czujnym okiem policji?

– Nie wiem, dlaczego do mnie strzelano – odpowiedziałem.

– Cóż więc mam robić?

– Zadzwoń może do Hildy Hellmann i powiedz jej, że już nie pracujesz dla „Globalu” i nie masz zamiaru minuty dłużej zajmować się tą aferą. Nie wiesz, dlaczego jesteś prześladowany i chcesz żyć ze mną w spokoju.

– Już jej to powiedziałem – skłamałem.

– Powiedz jeszcze raz.

Zgodziłem się wreszcie zadzwonić.

– Wkrótce wychodzę ze szpitala – oznajmiłem Hildzie Hellmann. – Jak pani wie, nie pracuję już dla „Globalu”. Nie dowiedziałem się niczego istotnego na temat śmierci pani brata, jak i całej sprawy, dlatego nie może być mowy o ujawnieniu przeze mnie jakichś ważnych szczegółów śledztwa.

– Przy drugiej słuchawce jest madame Delpierre, prawda? – spytała.

– Tak, pani Hellmann.

– Już panu powiedziałam i powtarzam pani Delpierre, że wśród moich znajomych nikt nie czyha na pańskie życie. Nawet we śnie by nam do głowy nie przyszło, żeby panu w czymkolwiek szkodzić. Nie mamy żadnego powodu. Powiedział pan swego czasu, że ma zamiar spisać swoje przeżycia.

– Już to zrobiłem, pani Hellmann.

- Dla was obojga będzie to doskonałe zabezpieczenie, bo po cóż by pan pisał? Jestem pewna, że i monsieur Tilmant, i policja wiedzą o tym.
 - Tak, pani Hellmann, właśnie taki miałem zamiar i starałem się go zrealizować najlepiej, jak umiałem.
 - Jeśli Tilmant wie, to chyba również Clermont i Abel?
 - Przypuszczam.
 - A więc lepszego zabezpieczenia nie mógł pan wymyślić, panie Lucas!
 - Po świecie, madame Hellmann, chodzą miliony głupców!
 - Ale żaden z nich nie dopuściłby do tego, żeby spadł panu choć jeden włos z głowy, biorąc pod uwagę – tu w głosie rozmówczyni pojawiło się wahanie – ... no to wszystko, co pan robi dla swojej ochrony.
 - Racja. Chciałem pani jeszcze powiedzieć, że po wyjściu ze szpitala staję się w Cannes zupełnie prywatną osobą.
 - Cieszy mnie, że pan tu zostaje. Życzę coraz lepszego zdrowia, kochany panie Lucas – zakończyła Brylantowa Hilda.
- Rozmową tą zadowolilem wreszcie Angelę. Komisarz Roussel nalegał, żebym przynajmniej jeszcze przez jakiś czas pozostał pod policyjnym nadzorem.
- Nigdy nie wiadomo – przestrzegam, więc zgodziłem się.
- Druga rozmowa odbyła się 6 listopada przed południem, a po dokładnym przebadaniu mnie przez lekarzy. W końcu zostałem sam w pokoju z doktorem Joubertem. Dłuższą chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.
- Niemało mnie to kosztowało, żeby przekonać kolegów. Słyszeć nie chcieli o zwolnieniu, myśleli, że pana tu zatrzymają.
 - Dlaczego?
 - Wie pan przecież! Chodzi o lewą nogę. Oczywiście koledzy zorientowali się, co z nią jest. Zamach, opieka lekarska i spokój w szpitalu odwlekły kryzys. Sytuacja jest jednak katastrofalna mimo wszystko. Tylko patrzeć, jak noga zacznie panu sinieć.
 - Jeszcze nie sinieje.
 - Ale przy chodzeniu zawsze pana boli, niech się pan nie upiera, to musi boleć!
- Skinąłem tylko głową.
- Chirurg miałby ułatwione zadanie, gdyby zaraz mógł ją amputować.
 - Nie! – zawołałem porywczo. – Nie chcę, tak długo tu przecież leżałem. Raz tylko – jeden jedyny raz chcę opuścić szpital przed amputacją. Czy nie potrafi pan tego zrozumieć?
 - Z pewnością rozumiem, jednakże...
 - Madame Delpierre nic o tym nie wie – przerwałem mu.

- Od nas się nie dowie.
- Będę musiał jej wytłumaczyć, potrzebuję więc trochę czasu.

Westchnął ciężko.

- Jak długo?
- Do Bożego Narodzenia i sylwestra.
- Dlaczego właśnie do świąt?
- Boże Narodzenie – musiałem chrząknąć – i sylwestra chcieliśmy spędzić razem, obiecałem jej wspólne święta. Wyjść z domu, cieszyć się, tańczyć. Zatańczyć, doktorze Joubert! Proszę zrozumieć, ona o niczym nie ma pojęcia!

Spojrzał na mnie smutno i powiedział:

– A więc dobrze, ale ostateczny termin to początek stycznia. Stopa i część nogi zaczniesz w tym czasie sinieć, wrócą ciężkie bóle i ataki. A z pańskim sercem jest gorzej, niż pan sobie wyobraża.

– Same wesołe rzeczy, nie ma co.

– Mówię prawdę, to wszystko, czeka pana amputacja. Zgoda, przedłużamy termin. Ale to już ostatni dzwonek.

– Piękny prezent na gwiazdkę, dam go Angeli – ucieszyłem się.

– Zniesie wszystko, jest opanowana i kocha pana. Poznałem ją teraz. To wspaniała kobieta. (Powiedział o niej: *une chic femme* i przypomniałem sobie, że tak samo wyraził się marynarz na schodach prowadzących do „Eden Roc”. Był to ów stary człowiek, opowiadający nam o swej żonie, która porzuciła go dla hodowcy mimoz z Grasse.)

Gdy popołudniem 6 listopada zęgnąłem się z lekarzami i pielęgniarkami, dziękując im za opiekę, padał ulewny deszcz. Angela przyniosła mi do szpitala bieliznę, ubranie, buty i płaszcz. Zjawili się Roussel, Lacrosse i Tilmant i uparli się, by nas eskortować aż do domu. Roussel uprzedził mnie, że dalej pozostanę pod ochroną. Po wyjściu z domu ochroniarze mieli mnie śledzić i wszędzie za mną chodzić. Jeden z nich będzie dyżurować przed drzwiami mieszkania, drugi przed wejściem do rezydencji. Przyznam, że nie miałem nic przeciwko temu, bo nie wiedziałem, co przyniosą następne dni. Prześladowała mnie nieustannie myśl, że będę już musiał powiedzieć Angeli o amputacji i trudno mi przyjdzie robić dobrą minę do złej gry. Bałem się tej operacji. Pocięsałem się, że na Gwiazdkę i Nowy Rok jeszcze zatańczymy, jak jej to obiecałem.

I tak opuściłem Hospital des Broussailles, ten cieszący się zasłużenie świetną opinią szpital, w którym przywrócono mnie życiu. Jest to potężna, biała budowla z traktem pośrodku, którym wchodzi się do kliniki, i rozległymi, wysokimi skrzydłami po obu stronach. Kiedy znalazłem się z Angelą na zewnątrz, zobaczyłem naprzeciwko nowe, jeszcze nie ukończone budynki szpitalne. Między nimi a kliniką rozpościera się wielki, pusty plac z paroma roslymi palmami, które teraz ociekały wodą. Środkowa część szpitala, gdzie znajduje się wejście, wsparta jest na

kolumnach. Po lewej stronie znajduje się parking, oddzielony niskim murem, za którym stoi kaplica. Gdy do mnie strzelano, było lato, rozżarzone od słońca, cudowne, oszałamiające kolorami lato. Teraz już większość kwiatów przekwitła, niebo szerniało, wszędzie paliły się uliczne lampy i zaciął zimny deszcz. Angela zaczęła wyprowadzać stojącego na parkingu mercedesa. Trzema samochodami przyjechali Tilmant, Roussel i Lacrosse. Utworzyli kolumnę, na przodzie Lacrosse, drugi Tilmant, dalej my, a na końcu Roussel w citroenie. Dostrzegłem z pół tuzina mężczyzn w płaszczach przeciwdeszczowych, którzy na nas czekali, a teraz szybko wsiadali do swoich wozów. Gdyśmy ruszali, trzy z nich wysunęły się na czoło konwoju.

- Ochrona jak dla prezydenta – zauważyłem siedząc jak zawsze obok niej.
- Bogu dzięki – odparła.

Z rozległego placu szpitalnego prowadzi do wyjścia asfaltowa droga wysadzona palmami. Białe znaki na asfalcie informują dokładnie kierowców, jak się tu wjeżdża i wyjeżdża. Pod łukiem bramy droga przechodzi w zakręt, omijając niedaleko położoną część administracyjną. Nadjeżdżające wozy mogą więc docierać na teren szpitala z jednej strony, a odjeżdżające poruszają się po drugiej. Przed budynkami administracji stoi otwarta, szeroka brama żelazna, której filary zwieńczają latarnie, a po bokach zaczyna się żelazne ogrodzenie.

Lacrosse i Tilmant już wyprowadzili swoje wozy na ulicę. Szpital leży przy avenue de Grasse, która nie należy do szerokich ulic. Naprzeciwko bramy znajduje się inny parking i miejsce postojowe taksówek. Właśnie dlatego, że avenue de Grasse nie jest szeroka, ale ruchliwa, ustawiono tam sygnalizację świetlną. Była akurat czerwona i Lacrosse z Tilmantem musieli się zatrzymać. Angela zahamowała dokładnie przy wyjeździe.

Nagle w oknie wielkiego buicka, stojącego po przeciwnej stronie na parkingu, spostrzegłem ogień i przemknęło mi przez myśl, że to pewnie peem.

Krzyk Angeli. Oderwałem ją od kierownicy i pchnąłem na podłogę. Motor szarpnął i stanął. Ludzie coś wołali do siebie, usłyszałem strzały, całą serię. Ochroniarze odpowiedzieli ogniem, również Lacrosse i Tilmant musieli użyć broni. Ogarnął mnie gniew. Pójdę i zobaczę – szybko postanowiłem. Muszę wiedzieć, co się stało i kto do nas strzelał.

Nacisnąłem klamkę po swojej stronie, mówiąc do Angeli:

- Leż, nie ruszaj się, dopóki nie wrócę.

Czołgając się wokół wozu, znalazłem wreszcie dogodny punkt obserwacyjny. Zauważyłem, że przerażeni przechodnie rzucili się na ziemię. Ludzie Roussela też leżeli na chodniku albo kryli się za ogrodzeniem i betonowymi filarami, ostrzeliwując buicka oddalonego najwyżej o dziesięć metrów. Taksówkarze na parkingu

wyskoczyli ze swoich samochodów, kładąc się obok. Jeden pocisk trafił w mur, odbił się w bok i roztrzaskał witrynę sklepu spożywczego, który znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie sygnalizacyjnych słupów. Wybuchła straszna panika, słychać było zewsząd krzyki i wypadki rozwijały się o wiele szybciej, niżby to wynikało z mojego zapisu. Z każdą minutą robiło się ciemniej, zapadał zmrok. Nagle wszystko ucichło. Zobaczyłem, jak w stronę buicka biegli dwaj policjanci. Nie wytrzymałem dłużej tej beczynności i równo z nimi dotarłem do beżowego wozu, wokół którego ziemia usłana była kawałkami szkła z potłuczonych szyb. Uprzedzając ich szarpnąłem drzwi od strony kierowcy, aby zobaczyć, kto znowu targnął się na moje życie. Z otwartych drzwi na splukany deszczem asfalt osunął się mężczyzna w niebieskim płaszczu. Upadł na twarz. Nie było siły, która by mnie teraz powstrzymała. Przyklęknąłem i spróbowałem go przewrócić na plecy, żeby zobaczyć, kim jest. I oto patrzyłem w twarz rewidenta podatkowego Kesslera, dryblasza z jasnymi, rzadkimi włosami, blizną na lewej skroni i oczami, które zawsze były pozbawione uczuć, zimne i zacięte. Teraz miał je wespółzrymnięte, a twarz w kolorze kredy. Został postrzelony, ciężko oddychał. Poły płaszcza rozchyliły się i widać było ubranie splamione krwią. Umierał. Straciłem panowanie nad sobą, szarpnąłem go i wtedy udało mi się go położyć na plecach. Coś szcęknęło, wypadł jego peem. Kessler leżał bezwładnie, a deszcz padał na niego i na mnie. Choć ludzie Roussela próbowali mnie od niego oderwać, odepchnąłem ich ze złością, a potem zająłem się Kesslerem, asem niemieckich rewidentów podatkowych.

9.

– Dlaczego to zrobiłeś, kanalio!

Milczał.

Uderzyłem go w twarz. Było mi wszystko jedno.

– Odpowiadaj!

Zostawiono mnie w spokoju, widocznie nikt nie rozumiał po niemiecku i zdawano sobie sprawę, że mogę od umierającego wydobyć jakieś zeznanie. Próbowano odsunąć gapiów, żeby nie tworzyło się zbiegowisko.

– Słyszysz, odpowiadaj! – I znów go uderzyłem.

– Pieniądze – Ledwie już potrafił mówić, bo z ust sączyła mu się krew. – Tyle pieniędzy...

– Ile?

– Dwa miliony marek...

– Dali ci? Tak? Gadaj!

Spróbował otworzyć oczy, ale było już widać prawie tylko białka.

– Dali mi, tak...

– A więc to ty byłeś tym zawodowcem?

– Tak... Nie pozwól mi zdechnąć... Umieram... Pomocy...

– To ty ich wszystkich sprzątnąłeś, czy tak? Najpierw Viale'a?

– Tak...

– Pielęgniarkę? Danona? I zleciłeś uszkodzenie mercedesa, tak?

– Tak... tak...

– A twoi kumple pobili mnie przed Residence de Paris, zaraz po przyjeździe?

– Tak... tak... zdycham...

– Zdychaj sobie. A co z anonimami, w których grożono Hellmannowi? Ty je napisałeś?

– Ja, tak...

Teraz było jasne, dlaczego żadna próba pisma nie pasowała do tych listów.

– Kto ci dyktował? Sargantana?

– Tak... Tak... pomocy... błagam... pomocy...

– I to ty strzelałeś do mnie w „Eden Roc”?

– Strzelałem... Wszystko na zlecenie...

– Przecież wiedzieli, że jeśli mnie zabijesz, to i dla nich koniec.

– Nie wiem... Byli bardzo pewni siebie, inaczej nie daliby mi przecież tego zadania... dzisiejszego też nie. Dwa miliony... człowieku, to jest... – Głowa nagle mu opadła na bok, oczy rozszerzyły się i zastygły wpatrzone we mnie.

Po raz pierwszy od poznania Ottona Kesslera zobaczyłem, że jego oczy nabrały przejmującego, ciepłego, prawie dobrodusznego wyrazu. Dopiero teraz się zorientowałem, że ktoś szarpie mnie gwałtownie za rękaw płaszcza. Był to jeden z podwładnych Roussela.

– Co się stało?

– Niech pan szybko idzie do samochodu, monsieur! Szybko! Niechże pan idzie!

Już biegł do mercedesa, a ja utykając za nim. Wreszcie dotarłem do wozu. W drzwiach obok fotela Angeli klęczał lekarz w białych spodniach i kitlu. Odepchnąłem go.

– Czy jej się coś...

Podniósł na mnie wzrok, wstał i odszedł na bok.

Teraz ja uklęknałem na brudnej, mokrej ulicy, pochylając się nad Angellą, która skulona siedziała na podłodze wozu tak samo, jak ją zostawiłem.

– Angelo... Angelo... Już po wszystkim... Zabili tego drania... Udało się jeszcze raz... – Urwałem. – Jesteś ranna? Tylko się nie ruszaj, Angelo, nie ruszaj się. Zostań tak, jak jesteś. – Skulona między siedzeniem a kolumną kierownicy, kuciała z otwartymi oczyma, z twarzą poważną, choć rozjaśnioną dziwnym uśmiechem.

Rękę trzymała jeszcze na kierownicy. – Nie widzę krwi... Jesteś ranna, prawda... To szok... Nie możesz mówić... Angelo... Angelo...

Ktoś położył rękę na moim ramieniu. Spojrzałem w górę. Nie wiedziałem już, co się ze mną dzieje.

– Niech pan wstanie, żeby lekarz mógł dojść – rzekł Gaston Tilmant.

– Jesteś ranna, prawda? Siedziała przecież po lewej, a w okna po tej stronie strzelano. Ale to nic ciężkiego, powiedzcie proszę, że to nic straszego... – Deszcz coraz bardziej zacinął. – Nie widzę krwi.

– Krwi? – Lekarz, którego odepchnąłem, odpiął jej płaszcz. Jasny sweter przesiąknięty był krwią.

– Głupstwo, Angelo... To tylko niewielkie skaleczenia...

– Niech pan przestanie – zwrócił się do mnie. – Mój Boże, czy pan nie widzi, że ta kobieta nie żyje?

10.

Środa, 8 listopada 1972, wieczorem.

Dzisiaj był pogrzeb Angeli. Siedzę przy biurku, wciąż pada, a ja piszę, odkąd wróciłem do domu. Pochowaliśmy Angelę na Cimetière du Grand Jas. To wielki cmentarz, leży przy avenue de Grasse, która w tym miejscu stromo podchodzi w górę. Cmentarz góruje więc nad miastem, dużo na nim cedrów, mało palm. Niedaleko wejścia stoją niskie, brunatne domy. W jednym z nich ulokował się antykwariat, osobliwe to miejsce do sprzedawania antyków. Nagrobki wyglądają całkiem inaczej niż w Niemczech. Groby są najczęściej większe, kamienne cokoły nieraz i metr wystają nad ziemią, a na nich stoją pojedyncze lub podwójne krzyże z kamienia. Na wielkich nagrobkach zawsze są kwiaty. Dzisiaj, po czterodniowym deszczu, kwiaty wyglądały beznadziejnie, a cały cmentarz, na którym wiele grobowców przypomina małe świątynie lub kaplice, sprawiał ponure wrażenie. Oczywiście i tutaj trafiają się płaskie marmurowe płyty, tak popularne w Niemczech. Rzędy grobów są nieregularne i w ich labiryncie łatwo się pogubić.

Na grób dla Angeli zaproponowano mi miejsce dość wysoko położone na zboczu, skąd rozciąga się widok na całą nekropolię, miasto i morze, które dzisiaj było szare i posępne, zupełnie jak niebo, i całkiem opustoszałe. Od Port Canto aż do

Golfe de la Napoule nie widziałem ani jednego statku, choć z tego miejsca wzrok sięgał daleko, podobnie jak z tarasu Angeli, o który monotonnie uderzają krople deszczu. W czasie pogrzebu, kiedy przemawiał ksiądz, starałem się nie patrzeć na grób, zwracałem się więc ku morzu. Dopiero później, gdy grabarze trzymali trumnę na linach, miałem przed oczyma tylko to. Nie znałem tego księdza. Sprawuje opiekę duszpasterską w dzielnicy La Californie, w której mieszkała Angela. Odwiedził mnie wczoraj i zobowiązał się do załatwienia wszystkich formalności w zakładzie pogrzebowym. To bardzo życzliwy człowiek i jestem mu wdzięczny, bo zarówno wczoraj, jak i dzisiaj nie byłem w stanie samodzielnie zrobić kilku kroków. Wczoraj zatrzymano mnie w szpitalu Broussailles, a dzisiaj przed południem zaaplikowano parę zastrzyków, dzięki czemu mogę chodzić, stać, mówić, czytać i pisać. I niestety, mogę znowu myśleć. Ksiądz chciał się czegoś dowiedzieć o Angeli, bo jej nie znał, a potrzebne mu były jakieś informacje, by wygłosić parę słów nad grobem. Trochę mu więc powiedziałem, same nieważne rzeczy, o tym, co istotne, nie potrafiłem mówić. Traciłem po prostu głos, choć się zmuszałem. Wspomniałem więc, że Angela była dobra, szczerą i dzielną i że bardzo ją kochałem. Powtórzył to wszystko na cmentarzu, dodając życzliwe słowo od siebie. Przyszli wszyscy, którzy znali Angelę i mnie. Staliśmy w deszczu, ja z przodu przed otwartym grobem wśród kwiatów, a koło siebie zauważyłem inspektora Lacrosse'a, komisarza Roussela, Gastona Tilmanta, sprzątaczkę Alfonsynę Petit, która zawsze modliła się o nasze szczęście, monsieur i madame Quémardów, Serge'a, zajmującego się samochodami w hotelu „Majestic”, młodego malarza, który latem wystawiał swoje obrazy na Croisette (nie wiem, skąd się o tym dowiedział) właściciela „Felixa”, Nicolai'a, gospodarza z „L'Age d'Or”, Jacquesa, szefa barmanów z klubu „Port Canto”, Pasquale i Claude'a Trabaudów, małą Georgię, malowaną kiedyś przez Angelę, która przyszła z ojcem, liczącym się producentem filmowym z Hollywood, naszego znajomego kelnera Roberta z „Majestica”, starszą panią, kasjerkę z „Municipalu”, która ma już osiemdziesiąt lat, ale wciąż jeszcze pracuje, ubranego z przesadną elegancją doktora Daniela Friesego z bońskiego federalnego ministerstwa finansów, o myślącej szczupłej twarzy; przybyło jeszcze wiele osób, których nie znałem. Friese pojawił się wczoraj rano, żeby wyjaśnić, jaki udział w sprawie Hellmanna miał Kessler, i odwiedził mnie w szpitalu z kondolencjami. Nie wiem, co powiedział, byłem jeszcze w bardzo złej kondycji.

Ksiądz długo i wzruszająco przemawiał, ale krążył wokół rzeczy bez znaczenia, gdy tymczasem mną targał coraz większy niepokój, a stopa bolała mnie coraz bardziej.

– ...człowiek zrodzony z kobiety, żyje krótko i nigdy nie zazna spokoju. Wschodzi jak kwiat i obumiera. Przemyka jak cień i jego miejsca nawet wiatr nie zna...

Pląkałem po śmierci Angeli, ale nikt tego nie widział. Pląkałem w sobie. Moja twarz wyglądała pewnie jak kamienna maska. Wśród słów księdza podążałem ku morzu, nad którym wisiały ciemne, deszczowe chmury. Wreszcie grabarze spuścili trumnę do grobu, a ksiądz wyciągnął rękę i coś powiedział, czego nie zrozumiałem, a potem podał mi łopatkę. Schyliłem się, nabrałem grudkę mokrej ziemi i rzuciłem ją w dół, na trumnę Angeli. Później to samo robili inni uczestnicy ceremonii; rzucali ziemię na trumnę i kwiaty, podchodzili do mnie z wyciągniętą ręką, czasem coś mówili odchodząc. W końcu zostałem sam z czterema mężczyznami, którzy zasypywali dół, paląc przy tym papierosy i rozmawiając. Stałem nieco z boku i patrzyłem na morze, które Angela tak kochała. Ściemniło się, zacząłem cały drzeć. Patrzyłem na grabarzy, jak porządkowali świeżą mogiłę, układając na niej kwiaty i wieńce. Potem i oni poszli. Wiedziałem, jak będzie wyglądało to miejsce w przyszłości. Wyszukałem już odpowiedni kamień, zapłaciłem i poprosiłem, żeby wyryto na nim tylko jedno słowo: ANGELA. Trzeba będzie trochę odczekać, powiedziano mi, aż ziemia się uleży, dopiero wtedy będzie można położyć kamień, czarny, płaski marmur.

Wreszcie zostałem zupełnie sam na wielkim cmentarzu du Grand Jas. Zbliżyłem się do grobu i spróbowałem porozmawiać z Angelą. Pragnąłem tego całym sercem, tyle przecież miałem jej jeszcze do powiedzenia. Daremny trud, nie przyszło mi na myśl ani jedno zdanie. W deszczu skierowałem się do wyjścia i usiadłem w mercedesie. W dzień pogrzebu pierwszy raz prowadziłem jej samochód, po którego lewej stronie widać było ślady po kulach. Mały niedźwiadek, kiedyś jej подарowany, kołysał się przy lusterku. Bez pośpiechu wracałem do miasta długą Croisette, mijając kolejno hotel „Majestic”, „Felix” i jubilerski sklep firmy Van Cleef & Arpéis. Zrobiło się już ciemno.

Wprowadziłem mercedesa do garażu i starannie go zamknąłem. Jakiś człowiek pozdrowił mnie przed wejściem do domu, a potem jeszcze drugi stojący przed drzwiami na górze, gdy tylko wysiadłem z windy. Roussel kazał mnie nadal pilnować, chociaż Kessler już nie żył. Nikt nie wiedział, o czym z nim, umierającym rozmawiałem po niemiecku, a Rousselowi wspomniałem tylko, że polecono mu mnie zabić, żebym wreszcie przestał węszyć. To samo powtórzyłem Friesemu. Międzynarodowe środki masowego przekazu przekażą światowej opinii publicznej całą prawdę o sprawie Hellmanna dopiero po specjalnej konferencji prasowej w Zurychu, na której notariusz Libellè zaprezentuje wszystkie materiały z sejfu Banque Nationale de Paris, a więc moją relację, zeznanie Brylantowej Hildy,

fotografie i nagranie. Nie widziałem ostatnio Libellégo, nie było go też na pogrzebie. Nie szkodzi, i tak wie, co ma robić. Wciąż zastanawiam się, dlaczego namówiono Kesslera do tego szaleńczego czynu. Brylantowa Hilda, jak i jej bogaci przyjaciele wiedzieli przecież, co im grozi, gdy Angela lub ja w taki sposób zginemy. Stracili rozum? Czy też może znaleźli drogę, żeby unieszkodliwić mnie i moje dowody? Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć, chociaż się staram. Zresztą nie lubiłem się nigdy długo zastanawiać, szybko się zniechęcałem i miałem trudności z koncentracją. Wszystko mi zresztą zobojętniało, odkąd ona nie żyje.

W mieszkaniu było zimno. Włączyłem wszystkie światła i telewizory i krążyłem po pokojach, dokładnie oglądając wszystko – gotowe i nie dokończone portrety w atelier, naczynia kuchenne, stołeczek, na którym lubiłem siedzieć, swoją szafę z ubraniami i suknie Angeli. Próbowałem wyłowić z materiału zapach jej skóry, ale to było nie do zniesienia. Zajrzałem do sypialni i długo siedziałem na szerokim łóżku, w którym zawsze spaliśmy razem. I to było przygnębiające. Potem przyglądałem się naszym słoniom. W salonie na stole stał kieliszek, na dnie którego było jeszcze trochę anyżówki. Piła z niego, zanim wyjechała, żeby mnie przywieźć ze szpitala. Na szkle zostały ślady szminki. Mam go teraz przed sobą, gdy przy biurku Angeli piszę te słowa.

Znowu zaczęło mocniej padać. Usłyszałem za drzwiami, jak zmieniali się pilnujący mnie ludzie, i pisałem dalej. Trwało to dość długo. Teraz jest dwudziesta druga piętnaście, właśnie dzwoniłem do notariusza z prośbą, by o godzinie jedenastej wstąpił i odebrał ostatnie strony mego pamiętnika. Przykazałem mu jeszcze, by postąpił tak, jak uzgodniliśmy, a on się zobowiązał, że dotrzyma słowa. Wyszedłem też do strażnika, który siedział na podeście koło windy, i dałem mu klucze od mieszkania z poleceniem, by wpuścił do domu Libellégo, gdy się pojawi. Powiedziałem mu, że notariusz miał coś odebrać, a ja chciałem się położyć, bo jestem zmęczony. Po tej rozmowie wróciłem do mieszkania i wyszedłem na taras, gdzie było zimno i zaczął deszcz.

I nagle przypomniałem sobie, że ktoś ostrzegał Angelę przed deszczem, mówił też coś o białych fartuchach i o kimś, kto umrze. Kto to... już wiem, to madame Bernis, wróżka z hotelu „D'Autriche” przy Boulevard Carnot, która jeszcze powiedziała, że między Angela i mną nie będzie już żadnych przeszkód i będziemy szczęśliwi po wsze czasy, a stanie się to w tym roku. Tak, to słowa madame Bernis.

Przeszedłem wzdłuż tarasu. Deszcz zniszczył część kwiatów. Przez balustradę wyjrzałem w przepaść, w którą kiedyś chciała skoczyć Angela. Od betonowej nawierzchni dzieliło mnie kilka pięt. Gdyby ktoś wyskoczył, nie miałby szans, śmierć nastąpiłaby natychmiast.

Wróciłem do mieszkania, w telewizji nadawano dziennik, ale nie rozumiałem, o czym mówiono. Wyłączyłem wszystkie światła i telewizory, zostawiając tylko lampkę na biurku, gdzie dopisałem ostatnie słowa. Za kwadrans przyjdzie Libellè. Ułożyłem porządnie stronice, żeby szybko znalazł manuskrypt. Myślę, że zapisałem wszystko, co zasługuje na uwagę. Zaraz wrócę na taras. Balustrada lśniła wilgocią, ale przrzucenie przez nią ciała nie powinno sprawić trudności. Będzie chwilą.

ZAMIAST PRZYSIĘGI

Ja, niżej podpisany, oświadczam dziś, to jest w piątek, 10 listopada 1972 roku, że zmarły przedwczorajszej nocy samobójczą śmiercią niemiecki obywatel Robert Lucas odwiedził mnie w kancelarii w dniu 26 czerwca 1972 roku. Wyraził życzenie, żebym w Banque Nationale de Paris przy rue Buttura wynajął z nim wspólnie sejf, do którego obaj otrzymaliśmy klucze. Do tego sejfu zmarły złożył dwie zapieczętowane koperty. Powiedział mi, że jedna koperta zawiera fotografie, druga kasety z nagraniami. Ani taśm, ani fotografii wówczas nie widziałem. Mój klient prosił mnie, abym w razie gwałtownego zgonu jego lub madame Delpierre obydwie koperty zawiózł do Zurychu i na specjalnej konferencji podał ich treść przedstawicielom prasy światowej, a potem Interpolowi.

Po nieudanej próbie zamachu na jego życie, Robert Lucas postanowił spisać swoje przeżycia. Ze szpitala Broussailles moja sekretarka odbierała co wieczór jego stenogramy, a następnie przepisywała na maszynie. Zawsze następnego dnia odnosiłem je do sejfu w Banque Nationale de Paris. Postanowiłem przeczytać tę relację dopiero po śmierci mojego klienta, co też uczyniłem. Oświadczam niniejszym, że jest ona czczym wymysłem – pisanym być może dla zemsty, szantażu lub usprawiedliwienia własnych występków – względnie jest produktem chorej, szalonej wyobraźni. Z Robertem Lucasem nigdy nie rozmawiałem o madame Hildzie Hellmann, nigdy też do tej damy nie telefonowałem. Całkiem przypadkowo spotkałem ją jedyny raz w szpitalu Broussailles, gdy pozwolono mi odwiedzić mojego klienta, i przyszedłem do niego po nowe instrukcje. Nieprawdziwe więc są wszelkie pomówienia, że między madame Hellmann czy innymi osobami a mną istniały jakieś związki i uzgodnienia. Wystąpię na drogę sądową przeciw każdemu, jeśli takowe twierdzenie wysunie. Od madame Hellmann nigdy nie otrzymałem trzystu tysięcy nowych franków, o czym pisze w swojej relacji Robert Lucas. Nic mi też nie wiadomo o „zeznaniu” madame Hellmann. W sejfie bankowym nigdy czegoś takiego nie było.

Na polecenie sądu policja kryminalna kazała dzisiaj w restauracji „Palm Beach” otworzyć sejf numer trzynastcie, który należał do madame Delpierre. Obecni byli komisarz Roussel, inspektor Lacrosse, Gaston Tilmant z francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych i sędzia śledczy Gerald Panisse. W sejfie, obok pieniędzy i biżuterii zmarłej, znajdowała się także zapieczętowana koperta, która na polecenie sędziego śledczego została otworzona. Koperta zawierała formularz konta numerowego Schweizer Mercurbank w Zurychu, na którym znajdowało się

17.800.500 (słownie: siedemnaście milionów osiemset tysięcy pięćset) franków szwajcarskich. Jak można się było spodziewać, dyrekcja Schweizer Merkurbank wykluczyła ujawnienie właściciela numerowego konta, a tym bardziej sposobu, w jaki pieniądze trafiły na konto.

Bezpośrednio przed swoim samobójstwem Robert Lucas zadzwonił do mnie i prosił, żebym odebrał z mieszkania madame Delpierre ostatnie strony jego stenogramu, co też uczyniłem. Następnego dnia kazałem je szybko przepisać i poszedłem z nimi do Banque Nationale de Paris, aby zabrać z sejfów wszystkie materiały i opublikować je zgodnie z wolą zmarłego. Prosił mnie, żeby po śmierci madame Delpierre nie otwierać zaraz sejfów, lecz poczekać, aż skończy pisać swoją relację. Obydwie wymienione koperty – cokolwiek zawierały – musiał Robert Lucas albo przed próbą zamachu na niego, albo po swoim zwolnieniu ze szpitala wyjąć ze stalowej przegródki, gdyż już ich nie zastałem. W sejfie znajdował się tylko niniejszy manuskrypt.

Charles Libellé
notariusz Cannes.